



GWIEZDNE WOJNY

Trylogia Hana Solo

Tom III ŚWIT REBELII

A.C. CRISPIN

Przekład
ANDRZEJ SYRZYCKI



Tytuł oryginału
REBEL DOWN

Redakcja stylistyczna
AGNIESZKA WESELI

Redakcja techniczna
ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta
IWONA REMBISZEWSKA
BEATA SŁAMA

Ilustracja na okładce
DREW STRUZAN

Opracowanie graficzne okładki
STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER

Skład
WYDAWNICTWO AMBER

Copyright © 1998 by Lucasfilm, Ltd. & TM
All rights reserved.

For the Polish translation
Copyright © 2000 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-7245-462-0

Pamięci Briana Daleya

ROZDZIAŁ

1

ZWYCIĘZCY I POKONANI

Han Solo obrócił się na fotelu pilota „Nieznosnej Pannicy”, po czym pochylił się nad pulpitemi kontrolnymi.

- Wchodzimy w atmosferę, kapitanie - oznajmił, zwracając się do siedzącej obok niego kobiety. Przyglądał się, jak wielkie, blade słońce rzuca ostatnie krwiste błyski, a potem znika za tarczą Bospina. Pograżona w mroku przeciwległa strona ogromnej tarczy planety zbliżała się coraz szybciej, zasłaniając kolejne gwiazdy. - Słyszałem, że w atmosferze Bospina lata - chociaż raczej powinienem powiedzieć: pływa - mnóstwo gigantycznych stworzeń. Ustaw natężenie ochronnych pól na maksimum.

Kobieta skorygowała natężenie pola.

- Kiedy dotrzemy do Miasta w Chmurach? - zapytała, nie próbując kryć zdenerwowania.

- Już niedługo - odparł uspokajająco Solo. Przecinając górne warstwy atmosfery, „Pannica” przeleciała nad pograżonym w ciemnościach biegunem planety. W oddali, przed dziobem, pojawiła się mglista poświata. Tu i ówdzie błyskały w niej punkciki światła. -Przewidywany czas - dwadzieścia sześć minut. Powinniśmy przylecieć do Miasta w Chmurach akurat na kolację.

- Im szybciej, tym lepiej - stwierdziła kobieta. Wyprostowała drugą rękę, wiszącą na ciśnieniowym temblaku i skrzywiła się. -Nie mogę już wytrzymać tego śwędzenia.

- Jeszcze trochę cierpliwości, Jadonno - odrzekł Solo. - Kiedy wylądujemy, zabiorę cię prosto do ośrodka medycznego.

Jego towarzyszką kiwnęła głową.

- Przecież nie narzekam. Spisałeś się na medal. Tylko nie mogę się doczekać, kiedy zanurzę tę rękę w płynie bacta.

Han pokręcił głową.

- Zmiażdżone chrząstki i naderwane więzadła... Musi boleć cię jak diabli - mruknął cicho. - Na szczęście opieka medyczna Miasta w Chmurach jest bez zarzutu.

Jadonna znów kiwnęła głową.

- Rzeczywiście - przyznała. - To wspaniałe miejsce. Z pewnością je polubisz.

Jadonna Veloz była niską, kręłą i ciemnoskórą kobietą o długich, prostych czarnych włosach. Han spotkał ją dwa dni wcześniej na Alderaanie. Jadonna rozglądała się tam za kimś, kto pomógłby jej pilotować statek podczas lotu na Bospin. Chwytał uszkodzonego binarnego podnośnika zgniótł jej rękę, ale ponieważ obiecała, że w bardzo krótkim terminie dostarczy towar na Bospin, postanowiła poczekać z leczeniem do czasu, aż wywiąże się z obietnicy.

Zapłaciła za przelot Hana pospieszonym wahadłowcem z Korelii na Alderaan. Kiedy Solo zasiadł za sterami jej frachtowca, na czas i bez problemów dotarł w okolice Bospina.

„Nieznosna Pannica” zanurzała się teraz w poprzecinane pasemkami rzadkiej mgły warstwy atmosfery, mknąc w stronę zapadającego mroku. Han zmienił kurs na południowo-zachodni i skierował dziób ku miejscu, gdzie zniknęło słońce. Stopniowo zaczęły się ukazywać górne warstwy chmur. Z początku rozjarzyły się ciemnym fioletem, potem stały się purpurowe i koralowe, a w końcu zapłonęły jaskrawym złocisto-pomarańczowym blaskiem.

Han Solo miał i własny powód, by lecieć na Bospina. Gdyby nie znalazł w sieci ogłoszenia Jadonny, musiałby sięgnąć do własnych, bardzo szybko topniejących zasobów kredytów, aby opłacić przelot na pokładzie pasażerskiego promu.

Jeżeli chodziło o niego, Jadonna nie mogła ulec wypadkowi w bardziej odpowiedniej chwili. Kredytami, które mu obiecała, opłaci wyżywienie i pobyt w tanim hotelu przez cały czas trwania wielkiego turnieju sabaka. Sam udział w tej imprezie kosztował ogromną sumę dziesięciu tysięcy kredytów! Han z największym trudem zdołał zebrać tyle pieniędzy. Sprzedał paserowi mały złoty paladorowy posążek, ukradziony ilezjańskiemu arcykapłanowi Teroenzie, a także znalezionej w gabinecie admirała Greelanksa smoczą perłę.

Korelianin żałował, że nie mógł zabrać Chewiego. Musiał go zostawić w małym mieszkanku, które obaj wynajmowali na księżycu Nar Shaddaa. Nie było go stać, żeby zapłacić za przelot przyjaciela na Alderaan.

Kiedy „Nieznosna Pannica” przecinała warstwy gęstszej atmosfery, zza skraju masywnego wału chmur znów ukazało się słońce Bospina. Miało barwę i kształt rozgniecionej pomarańczy. Frachtowiec także otaczały kłęby złocistych chmur - nie mniej złocistych niż marzenia o fortunie, które snuł Han.

Korelianin stawiał wszystko na jedną kartę... zawsze, ilekroć siadał do sabaka, dopisywało mu szczęście. Nie wiedział jednak, czy tym razem samo szczęście wystarczy. Przyjdzie mu przecież zmierzyć się z takimi zawodowymi hazardzistami jak Lando.

Han z wysiłkiem przełknął ślinę i postanowił skupić całą uwagę na pilotowaniu. To nie była najlepsza chwila na nerwy. Dokonał kolejnej poprawki parametrów wektora podejścia „Nieznosnej Pannicy”. Pomyślał, że już niedługo powinien znaleźć się w zasięgu nadajnika kontroli lotów.

Jakby ktoś umiał czytać w jego myślach, do życia obudził się głośnik komunikatora.

- Nadlatujący statek, proszę podać nazwę i parametry trajektorii lotu.

Jadonna Veloz włączyła lewą ręką nadajnik komunikatora.

- Kontrola lotów Miasta w Chmurach, tu „Niežnośna Pannica” z Alderaana - powiedziała. - Podaję parametry wektora podejścia...

Zerknęła na ekran monitora i zaczęła recytować wyświetlone tam liczby.

- „Niežnośna Pannico”, potwierdzamy parametry waszej trajektorii lotu. Lecicie do Miasta w Chmurach?

- Potwierdzam, kontrolo lotów - odpowiedziała Jadonna.

Han wyszczerzył zęby w uśmiechu. Z tego, co słyszał, Miasto w Chmurach było jedynym miejscem na Bespynie, w którym dawało się wylądować. Rzecz jasna, na planecie znajdowały się kopalnie gazu - podobnie jak rafinerie, magazyny i bazy załadunkowe - ale zapewne więcej niż połowa przylatujących gości kierowała się do luksusowych rezydencji lub hoteli. W ciągu ostatnich kilku lat dzięki tłumom znudzonych turystów unoszące się pośród chmur miasto stało się jednym z częściej odwiedzanych ośrodków wypoczynkowych i rozrywkowych.

- Kontrolo lotów, lecimy z priorytetowym transportem towarów, które powinny jak najszybciej trafić do restauracji Miasta w Chmurach - ciągnęła tymczasem Jadonna. - Połudwice nerfów w zastojnikach. Prosimy o wyrażenie zgody na lądowanie i podanie parametrów wektora lądowania.

- „Niežnośna Pannico”, macie zgodę na lądowanie - odezwał się funkcjonariusz kontroli lotów. Chwilą później dodał nieco mniej oficjalnym tonem. - Steki z nerfa, hmm? W końcu tygodnia wyciągnę żonę do jakiejś restauracji. Czekala, aż w jadłospisie pojawi się coś dobrego, a takie smakołyki nie trafiają do nas zbyt często.

- To są najsmakowsze kawałki - oświadczyła Veloz. - Mam nadzieję, że szef kuchni Yaritha Bospina potrafi to docenić.

- Och, bez wątpienia - odparł funkcjonariusz. - Jest najlepszy w swoim fachu. - Przerwał, by chwilę później zmienić ton na bardziej oficjalny. - „Niežnośna Pannico”, kieruję was na poziom sześćdziesiąty piąty, lądowisko siedem A. Powtarzam: poziom sześćdziesiąty piąty, siedem A. Czy mnie zrozumieliście?

- Zrozumiałam, kontrolo lotów.

- A parametry przydzielonego wektora lądowania...

Funkcjonariusz zawahał się, ale chwilę później podał zestaw współrzędnych.

Han wpisał je do pamięci nawigacyjnego komputera, a potem rozsiadł się wygodnie na fotelu pilota. Zamierzał rozkoszować się ostatnimi chwilami lotu. Z niecierpliwością czekał, by ujrzeć słynne Miasto w Chmurach. Jeszcze zanim ośrodek wypoczynkowy zaczął cieszyć się zasłużoną famą sam Bospin także słynął w całej galaktyce. To przecież właśnie tu pozyskiwano gaz timbanna - wykorzystywany jako źródło energii w jednostkach napędowych gwiazdnych statków i w blasterach.

Solo nie był pewien, jak właściwie wygląda proces pozyskiwania gazu. Pamiętał jednak, że sam gaz jest bardzo cenny, a zatem górnicy musieli być bogaczami. Zanim odkryto, że gaz timbanna jest jednym ze składników atmosfery Bospina, poszukiwano go w chromosferach gwiazd albo gromadach mgławic, wskutek czego pozyskiwanie go było przedsięwzięciem ryzykownym i kosztownym. Później ktoś zorientował się - zapewne przez przypadek - że atmosfera Bospina zawiera go w wielkich ilościach.

Han, który nie odrywał oczu od wskaźników, zauważył nagle poważne zakłócenie pola elektrostatycznego w pobliżu statku. Spieszenie dokonał chwilowej korekty trajektorii lotu.

- Hej, a to co? - zawołał, wskazując iluminator.

W okolicach sterburty, ledwo mającąc za zasłoną nieprawdopodobnie złocistych chmur, unosiło się monstrualne cielsko jakiegoś potwora. Było tak wielkie, że rozmiarami przewyższało niejedno koreliańskie miasteczko.

Jadonna pochyliła się ku szybie iluminatora.

- Spotyka się je bardzo rzadko - powiedziała po chwili. - Latam wiele lat i często przelatuję przez te chmury, a jeszcze żadnego nie widziałam.

Han zmrużył oczy i spoglądał na gigantyczne stworzenie, które z wolna przemieszczało się obok burty „Pannicy”. Beldon wyglądał jak jedno z galaretowatych potworów zamieszkujących oceany innych światów. Na grzbiecie miał wielki garb, podobny do kopuły, a z podbrzusza wystawało mnóstwo krótkich macek, za pomocą których stwór zdobywał pożywienie.

Han sprawdził parametry wektora lądowania.

- Dokładnie na kursie, pani kapitan - oznajmił, spoglądając na Jadonnę.

Cielsko potwora zostawało coraz dalej za rufą. Nagle Han ujrzał - na wprost przed dziobem - coś, co przypominało mniejszego beldona, dryfującego brzuchem do góry. Dopiero w następnej sekundzie usłyszał siebie, że spogląda na Miasto w Chmurach.

Otoczone koroną zaokrąglonych wieżyczek, kopuł domów, iglic ośrodków łączności i kominów rafinerii, unosiło się pośród chmur niczym egzotyczny puchar na szlachetne trunki. Oświetlone ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, mieniło się, iskrzyło i lśniło jak klejnot corusca.

Han nie zboczył z wyznaczonego kursu i kilka minut potem przelatował tuż nad kopułami domów Miasta w Chmurach. Po minucie czy dwóch wylądował dokładnie pośrodku przydzielonego lądowiska.

Kiedy odebrał obiecaną zapłatę i pożegnał się z panią kapitan Veloz, udał się na poszukiwania powietrznej taksówki. Chciał polecieć do luksusowego hotelu Yarith Bospin, gdzie już wkrótce miał się odbyć wielki turniej sabaka.

Kilka chwil później wystukiwał na klawiaturze pojazdu parametry celu. Kiedy skończył, mała maszyna wystrzeliła jak wyrzucona z katapulty. Zmieniała poziomy i szybowała nad ulicami miasta - a zwłaszcza przeskakiwała ponad niższymi domami - z szybkością która przyprawiłaby większość ludzi o zawrót głowy. Przedzierając się przez chmury, od czasu do czasu w dole ukazywały się mroczne, przepaściste głębiny. Zapadła noc i światła w oknach budynków miasta jarzyły się niczym klejnoty w otwartej szkatule elegantki.

Kilka minut później powietrzna taksówka znieruchomiała przed głównym wejściem Yaritha Bospina. Han wysiadł i odprawił androida-tragarza zamaszystym gestem ręki, po czym skierował się do ogromnych drzwi. Bywał często w luksusowych hotelach, kiedy podróżował z przyjaciółką iluzjonistką Xaverri, toteż na widok urządzonego wykwintnie wnętrza wzruszył tylko ramionami. Nie zachwyił się nawet podobnymi do pajęczych nici kładkami, które łączyły różne poziomy i punkty obwodu wielopiętrowe-

go atrium. Rozejrzał się i zobaczywszy wielki plakat, głoszący co najmniej w dwudziestu językach „Rejestracja uczestników turnieju”, wstąpił na taśmę ruchomego chodnika i pojechał na półpiętro.

Zeskoczył z ruchomej taśmy i skierował się do sali zastawionej dużymi stołami. W pomieszczeniu kłębił się tłum hazardzistów najróżniejszych ras, gatunków i rodzajów. Korelianin zarejestrował się i oddał blaster (wszystkie sztuki broni musiały trafić do przechowalni), a potem odebrał plaketkę z identyfikatorem oraz kwit kasowy, dzięki któremu mógł wymienić kredyty na żetony. Dowiedział się także, że pierwsza runda turnieju rozpoczyna się następnego dnia w samo południe.

Schował kasowy kwit do wewnętrznej kieszeni bluzy i upewnił się, że go nie zgubi. Właśnie odwracał się, żeby odejść, kiedy usłyszał znajomy głos.

- Hanie! Hej, Hanie! Tutaj! Tutaj!

Obejrzał się i ujrzał Landa Calrissiana. Ciemnoskóry mężczyzna machał do niego z przeciwległego krańca wielkiej sali. Han uniósł rękę i odpowiedział takim samym gestem, a potem wskoczył na taśmę ruchomego chodnika i podążył ku przyjacielowi. Zauważył, że Lando także stanął na chodniku sunącym w przeciwną stronę ogromnego pomieszczenia.

Kiedy ostatnio widział Calrissiana, młody hazardzista wybierał się do systemu Oseona. Ponieważ jednak od wielu miesięcy bardzo cieszył się na myśl o tym, że weźmie udział właśnie w tym turnieju, Han mógł być prawie pewien, że go tutaj spotka.

- Hej, Hanie! - Kiedy sunące w przeciwległe strony taśmy podwiozły ich bliżej siebie, na śniadej twarzy Landa ukazał się szeroki uśmiech. - Dawno cię nie widziałem, stary szachraj!

Han bez trudu przeskoczył odległość dzielącą oba chodniki i wylądował na taśmie tuż obok Calrissiana. Zaledwie zdążył się wyprostować, kiedy Lando pochwycił go w objęcia. Uściskał go z siłą, której nie powstydziliby się Wookiee.

- Cieszę się, że cię znów widzę, Lando - odezwał się Han, z trudem łapiąc oddech, gdyż przyjaciel entuzjastycznie grzmocił go po plecach.

Ruchomy chodnik dowiózł ich w okolice punktu rejestracyjnego. Zeskoczyli i dopiero teraz zaczęli mierzyć jeden drugiego badawczymi spojrzeniami. Wygląd Landa świadczył o niezwyklej zamożności hazardzisty. Widocznie bez trudu oskubywał oseońskich gości, z którymi siadał do gry w sabaka. Miał na sobie wykwiłtne ubranie z askijańskiego materiału, cieszącego się chyba w całej galaktyce opinią najdroższego i najlepszego. Nosił także nowiutką, srebrzysto-czarną pelerynę, upiętą zgodnie z wymogami najnowszej mody.

Han się uśmiechnął. Ostatnio, kiedy widział przyjaciela, hazardzista dopiero zaczynał zapuszczać wąsy. Teraz zaś ozdoba twarzy nie tylko osiągnęła pełną długość, ale sprawiała wrażenie starannie utrzymanej. Nadawała obliczu właściciela piracki wygląd. Han uniósł rękę i wskazał na wąsy.

- Widzę, że postanowiłeś zachować ten meszek na górnej wardze.

Lando pogładził wąsy, nie kryjąc dumy.

- Podobają się wszystkim kobietom - odparł. - Powinienem był zapuścić je już dawno.

- Niektórzy ludzie muszą uciekać się do dziwacznych sposobów, żeby zdobyć kobiety. Robią, co mogą - stwierdził Han lekko kpiącym tonem. - To prawdziwy wstyd, że nie masz takiego powodzenia u kobiet jak ja, kolego.

Lando parsknął ironicznie.

Han powiódł spojrzeniem po wielkiej sali.

- A gdzie podział się twój mały czerwonooki przyjaciel-automat? - zapytał. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że przegrałeś Vuffiego Raa podczas jakiejś partii sabaka?

Lando pokręcił głową.

- To długa historia, Hanie - odparł smutno. - Mogę ci ją opowiedzieć, ale muszę mieć przed sobą wysoką szklanicę wypełnioną czymś, co postawi mnie na nogi.

- Może opowiesz mi skróconą wersję? - zaproponował Solo. - Mam nadzieję, że małemu robotowi nie uprzykrzyło się tytułować cię „mistrzem”? A może Vuffi Raa doszedł do wniosku, że będzie lepiej, jeżeli zaoferuje swoje umiejętności robota drugiej klasy komuś innemu?

Lando nagle spoważniał.

- Hanie, zapewne nie uwierzysz, ale Vuffi Raa postanowił wrócić do domu i dorosnąć. Chciał dochować wierności swojemu przeznaczeniu.

Han się skrzywił.

- Hmm? - mruknął sceptycznym tonem. - Przecież to robot! Co chcesz przez to powiedzieć? Roboty nie dochowują wierności żadnemu przeznaczeniu!

- Vuffi Raa jest... był... młodocianym gwiazdny statkiem. Wiem, że to brzmi dziwnie, ale tak wygląda prawda. Jest przedstawicielem rasy... jedynych w swoim rodzaju inteligentnych istot. W pełni zautomatyzowanych gigantycznych gwiazdnych statków, które bez końca przemierzają międzyplanetarne szlaki. Inteligentnych form życia... inteligentnych, ale nie w biologicznym znaczeniu tego słowa.

Zdumiony Han spojrzał na przyjaciela, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

- Lando, nawąchałeś się ryllu? - zapytał po chwili. - Mówisz tak, jakbyś cały dzień przesiedział w barze.

Ciemnoskóry mężczyzna uniósł rękę.

- To prawda, przyjacielu - odrzekł. - Widzisz, spotkałem się z podstępny i przewrotnym czarownikiem Rokurem Geptą, ale się okazało, że Gepta jest Krokiem. Tymczasem te gigantyczne, oddychające w próżni gwiazdne statki pomogły mi stoczyć walkę w okolicach ogromnej GwiazdoGroty, w wyniku czego...

- Oszust! - rozległ się nagle czyjś chrapliwy okrzyk. Obaj przyjaciele aż podskoczyli. - Łapcie go! Nie pozwólcie, żeby brał udział w turnieju! To Han Solo! Zawsze oszukuje!

Korelianin odwrócił się i ujrzał rozwścieżoną Barabelkę, która rzuciła mu piorunujące spojrzenia. Idąc ku niemu, obca istota lekko utykała. Z trudem zginała jedną nogę w kolanie, lecz zbliżała się szybko szczerząc wielkie zęby. Barabele były wielkimi, pokrytymi grubymi, czarnymi łuskami gadoidami. Podczas swych licznych podróży Han spotkał zaledwie kilku. Pośród nich była tylko jedna samica.

Właśnie ta samica.

Przelknął ślinę i sięgnął po blaster, ale jego dłoń opadła bezsilnie na udo. Niech to wszyscy diabli! Wyciągnął ręce przed siebie w uspokajającym geście, ale zaraz doszedł do wniosku, że chyba lepiej będzie się wycofać.

- Posłuchaj, Shallamar... - zaczął.

Tymczasem Lando, który zawsze miał szybki refleks, usunął się z drogi rozszerzonej istoty.

- Strażnik! - krzyknął, kiedy jeszcze trochę odszedł na bok. - Potrzebny tu jest strażnik! Niech ktoś z gości wezwie strażnika!

Rozwścieczona Barabelka syczała i przyskała śliną.

- Posługuje się skifterami! To oszust! Aresztować go! Aresztować!

Han cofał się, aż oparł się plecami o jeden ze stolików, przy którym rejestrowano uczestników turnieju. Obrócił się i położył dłoń na blacie, a potem odbił się i przeskoczył na drugą stronę. Barabelka obnażyła długie zęby.

- Tchórz! - zasyczała. - Wylaż stamtąd! Aresztować oszusta!

- Posłuchaj, Shallamar - powtórzył Solo nieco pewniejszym tonem. - Pokonałem cię w uczciwej grze. Nie powinnaś żywić do mnie urazy. To bardzo niesportowe...

Istota ryknęła i rzuciła się ku Hanowi, ale nagle znieruchomiała i runęła na podłogę. Jej stopy objęło krępujące pole. Usiłowała się uwolnić, ale nadaremnie. Młóćąc dywan długim ogonem, miotała przekleństwa i ryczała.

Han obejrzał się i ujrzał funkcjonariuszy hotelowej straży. Dopiero wówczas odetchnął z ulgą.

Dziesięć minut później Han, Lando i Shallamar - wciąż w pętach - znaleźli się w gabinecie oficera dyżurnego. Barabelka, co prawda, nadal się dąsała, ale przynajmniej przestała ryczeć i przeklinać. Kilka chwil wcześniej dowódca strażników wyjął skaner i wodząc nim kilkakrotnie wzdłuż jego ciała, bardzo starannie przeszukał Hana. Okazało się, że Solo nie miał przy sobie żadnego urządzenia umożliwiającego oszukiwanie.

Barabelka przykucnęła w kącie, ponieważ jej stopy wciąż jeszcze unieruchamiało krępujące pole. Zwiesiwszy głowę, słuchała ostrzeżeń dowódcy strażników. Mężczyzna zapowiedział, że jeżeli będzie nadal okazywała niezadowolenie w taki sposób, zostanie wykluczona z turnieju.

- A poza tym, uważam, że powinna pani przeprosić pana Solo - zakończył oficer dyżurny hotelowej straży.

Shallamar warknęła... ale bardzo cicho.

- Już nie będę go nachodziła - obiecała. - Ma pan na to moje słowo.

- Ale... - nie dawał za wygraną dowódca straży.

Han przerwał mu machnięciem ręki.

- Niech pan się nie upiera - powiedział. - Wystarczy, jeżeli Shallamar zostawi mnie w spokoju. Jestem rad, że oczyścił pan mnie z wszelkich podejrzeń.

Umundurowany mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy, Solo - odrzekł. - W porządku, jesteście wolni. - Popatrzył na Landa i Hana. - Odczekam jeszcze kilka minut, zanim wyłączę generator krępującego pola, i dopiero wtedy pozwolę jej wyjść z gabinetu. - Przeniósł spojrzenie na Barabelkę.

- A pani, młoda damo, pozostanie pod naszą obserwacją. Proszę o tym nie zapomnieć. Organizujemy turniej sabaka, a nie bijatyki. Czy to jasne?

- Jasne - wychrypiała istota.

Han i Lando odwrócili się i wyszli z gabinetu. Solo nie odezwał się ani słowem, ale znał Landa nazbyt dobrze, żeby ludzić się, iż przyjaciel przepuści taką okazję. I rzeczywiście, zaledwie obaj wstąpili na ruchomy chodnik, który miał zawieźć ich do kawiarni, ciemnoskóry mężczyzna wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Oj, Hanie, Hanie... - powiedział. - Jeszcze jedna dobra znajoma, hmmm? Miałaś rację, stary piracie... Naprawdę umiesz radzić sobie z kobietami.

Han także wyszczerzył zęby w grymasie, którego widok mógł przerazić nie mniej niż obnażone kły Shallamar.

- Zamknij się, Lando - warknął. - Po prostu... się zamknij.

Lando aż dusił się ze śmiechu. I tak nie zdołałby wykrztusić ani słowa.

Kilka godzin zajęło obu przyjaciółom opowiadanie o wszystkim co zaszło, odkąd widzieli się po raz ostatni. Han wysłuchał relacji z przygód Landa w systemie Oseona. Od kiedy się rozstali, Calrissian wygrał i stracił kilka sporych fortun. Ostatnią był transport szlachetnych kamieni.

- Żałuj, że ich nie widziałeś, Hanie - oznajmił smętnie Lando. - Były fantastyczne. Zajmowały pół ładowni „Sokoła”. Jaka szkoda, że większość sprzedałem, żeby kupić pół udziału w tej przekłętą kopalni berubianu!

Han popatrzył na przyjaciela. Zastanawiał się, czy powinien mu współczuć, czy też może wytknąć brak rozwagi.

- Zasolona, mam rację? - spytał. - Okazała się bezwartościowa?

- Zgadłeś. Skąd wiedziałeś?

- Znałem kogoś, kto parął się podobnymi oszustwami - odparł Solo. - Tyle, że wówczas chodziło o durastopową asteroidę.

Zapomniał dodać, że kiedyś w podobny sposób wygrał w sabaka, a potem stracił wartość pół miliona kredytów kopalnię rudy uranu. Kopalnia rzeczywiście istniała, ale jej księgi rachunkowe przemyślnie spreparowano. Kiedy akcjonariusze wszczęli własne dochodzenie, Han miał szczęście, że nie trafił za kratki...

Wszystko to jednak należało do przeszłości, a Han Solo nie miał zwyczaju żałować przedsięwzięć, które mogły być mu się udać, ani pieniędzy, które mógł być zarobić.

- A wracając do „Sokoła” - zmienił temat - gdzie go pozostawiłeś?

- Och, nie tutaj! - zachnął się Calrissian. - Czeka na jednym z lądowisk księżycy Nar Shaddaa. Jeśli zdołam wywieść innych graczy w pole, mam zapewnioną połowę zwycięstwa. Muszę sprawiać wrażenie, że umiem grać o wysokie stawki, a przy tym nie dbam o to, czy wygram, czy też przegram krocie. Blefowanie staje się wówczas o wiele prostsze.

- Zapamiętam to - oznajmił Solo, postanawiając, że kiedyś skorzysta z dobrej rady. - Więc jak tu przyleciałeś?

- Jako pasażer na pokładzie jednego z tych wielkich luksusowych liniowców, „Królowej Imperium” - odparł Lando. - Podróżowałem w wielkim stylu. Nie muszę dodawać, że kasyno liniowca jest jednym z najwspanialszych, w jakim zdarzyło mi się grywać. Zresztą „Królowa” i ja znamy się od dawna.

Han uśmiechał się szelmowsko.

- Przed kilkoma tygodniami natknąłem się na Blue - zaczął. - Powiedziała mi, że wprawdzie podróżowałeś w wielkim stylu, ale na pokładzie „Czujnej Renthal”, nowego statku Drei. To lekki krążownik klasy Karrak. Drea wyremontowała go po tym, jak uległ uszkodzeniu podczas bitwy o księżyc Nar Shaddaa.

Lando chrząknął.

- Drea to fantastyczna kobieta - odezwał się po chwili. - Para się piractwem, ale jest zdumiewająco... dystygowana.

Han parsknął śmiechem.

- Wolne żarty, Lando! Czy przypadkiem nie jest dla ciebie za stara? Musi mieć na karku co najmniej czterdziestkę! Naprawdę zamierzała zostać bawidamką królowej piratów?

Lando spiorunował go spojrzeniem.

- Ja wcale... - zaczął. - Ona jest...

Korelianin wybuchnął śmiechem.

- Niemal tak stara, że mogłaby być twoją matką, hmmm?

Lando uśmiechnął się z przymusem.

- Wcale nie. A poza tym... Możesz mi wierzyć, Hanie, Drea w niczym nie przypominała mojej matki.

- To dlaczego się z nią rozstałeś? - Przyjaciel nie dawał za wygraną.

- Życie na pokładzie pirackiego statku jest wprawdzie... bardzo zajmujące - wyznał Calrissian. - Jednak... jak na mój gust... trochę nazbyt prymitywne.

Han rzucił okiem na wykwintne ubranie przyjaciela, po czym kiwnął głową.

- Założę się, że to prawda.

Lando oprzytomniał.

- Hej, ale najważniejsze... ja i Drea rozstaliśmy się jak przyjaciele. W ciągu ostatnich kilku miesięcy musiałem... miałem... - Urwał i wzruszył ramionami. Był wyraźnie zażenowany. - Cóż, Drea pojawiła się w najodpowiedniejszej chwili. Byłem wówczas... Cieszyłem się, że mam przy sobie kogoś, komu mogę się zwierzyć...

Han z powagą popatrzył na przyjaciela.

- Chcesz powiedzieć, że tęskniłeś za Vuffim Raa?

- No cóż... - zaczął Calrissian. - Jak można tęsknić za automatem? Tylko że... wiesz, Hanie, on był naprawdę wspaniałym towarzyszem podróży. Czasami zapomniałem, że mam do czynienia ze zwykłym mechanizmem. Przyzwyczailem się, że stale mam go u swojego boku. Dasz wiarę? Kiedy w końcu ten mały odkurzacz odleciał razem ze swoimi ziomkami, rzeczywiście poczułem, jakbym... stracił kogoś drogiego.

Han wyobraził sobie, jak by się czuł, gdyby musiał rozstać się z Chewiem. Kiwnął głową i nie powiedział ani słowa.

Obaj siedzieli jakiś czas w milczeniu, popijając trunki i ciesząc się swoją obecnością. W końcu Han wstał od stolika. Zmusił się, by nie ziewnąć.

- Chyba pora się zdrzemnąć - powiedział. - Jutro czeka nas trudny dzień.

Lando także wstał.

- Do zobaczenia przy stoliku - odparł, po czym obaj podążyli do swoich pokojów.

Sabak jest prastarą grą. Znano go już u zarania Starej Republiki. Spośród wszystkich gier hazardowych cieszy się opinią najbardziej skomplikowanej, nieprzewidywalnej, dynamicznej i podniecającej... ale sabak potrafi także zszarpać nerwy, a nawet doprowadzić do załamania.

W sabaku używa się talii siedemdziesięciu sześciu kart-płytek. Podczas gry walor każdej karty-płytki ulega zmianom - dzięki elektronicznym impulsom, które wytwarza losowo specjalny generator. Istnieje zatem prawdopodobieństwo, że w ciągu niespełna sekundy zestaw kart-płytek, który zapewnia wygraną, przeistoczy się w kombinację zwiastującą całkowitą klęskę.

Talia kart dzieli się na cztery kolory: szable, klepki, manierki i monety. Poszczególnym kartom każdego koloru przyporządkowano różne walory - od plus jednego do plus jedenastu punktów. Każdy kolor zawiera także cztery karty funkcyjne o walorach od plus dwunastu do plus piętnastu punktów: Dowódcę, Panią, Mistrza i Asa.

Talię uzupełniają szesnaście kart obrazowych - po dwie każdego rodzaju - którym przypisuje się zero albo punkty ujemne. Do kart tych należą: Idiota, Królowa Powietrza i Ciemności, Wytrwałość, Równowaga, Dzierżawa, Umiar, Diabeł oraz Gwiazda.

W sabaku można zwyciężyć w dwojaki sposób. „Pulę rozdania” zgarnia uczestnik zwyciężający w danym rozdaniu. Wygrywa osoba mająca sumę punktów - dodatnich albo ujemnych - wszystkich kart-płytek największą, ale nie przekraczającą dwudziestu trzech. W przypadku, kiedy dwie osoby zebrały taką samą sumę punktów, wygrywa ta, która ma punkty dodatnie.

„Pulę gry” również można zgarnąć na dwa sposoby: gdy się ma „czystego sabaka”, to znaczy kiedy suma walorów wszystkich kart-płytek wynosi dokładnie dwadzieścia trzy punkty, albo kiedy się otrzymuje tak zwany „zestaw Idioty”. Zestaw taki składa się z trzech kart: liczonego za zero punktów Idioty i dwóch innych, dwójki i trójki, w dowolnym kolorze. Trzymane obok siebie, te trzy karty - zero, dwójka i trójka - także liczą się za dwadzieścia trzy punkty.

Pośrodku stolika do gry znajduje się interferencyjne pole, które tłumi impulsy generatora losowych sygnałów. W dowolnej chwili zmagania, podnoszenie stawek i blefowania, każdy gracz może położyć tam jedną albo więcej kart, co powoduje „zamrożenie” ich walorów.

Organizowany w Mieście w Chmurach Wielki Turniej Sabaka zwałbił ponad setkę najwytrawniejszych hazardzistów z całej galaktyki: Rodian, Twi'leków, Sullustan, Bothan, Devaronian, ludzi... Wszyscy oni - podobnie jak przedstawiciele wielu innych ras inteligentnych istot - stłoczyli się przy stołach. Turniej zaplanowano na cztery dni; codziennie z dalszej gry powinna odpaść mniej więcej połowa uczestników. Liczba stolików także będzie maleć, dopóki nie pozostanie tylko jeden. W ostatniej grze mieli zatem brać udział tylko najlepsi spośród najlepszych.

Wszyscy wiedzieli, że gra w turnieju będzie toczyła się o wysokie stawki. Zwycięzcy mieli zatem szansę zakończyć grę bogatsi o dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy kredytów... a nawet jeszcze więcej.

Sabak nie zaliczał się do widowiskowych gier. Nie wzbudzał w sercach widzów takich emocji jak magnepiłka albo polo w zero-grawitacji. Do wielkiej sali balowej wpuszczano więc tylko uczestników; dyrekcja hotelu jednak, mając na uwadze innych gości, którzy chcieliby kibicować swoim ulubieńcom, ustawiła w ogromnej świetlicy wielki projektor hologramów. Dzięki niemu sympatycy sabaka, opiekunowie zawodników, wyeliminowani uczestnicy albo zwykli kibice, odwiedzając świetlicę co pewien czas, mogli obserwować grę, po cichu życząc zwycięstwa swemu faworytowi.

Obok gigantycznego hologramu jarzyła się lista uczestników; przy każdym nazwisku znajdował się opis zawodnika i punktacja. Drugiego dnia pozostało już tylko niespełna pięćdziesięciu graczy, którzy zgromadzili się przy dziesięciu stołach. Han Solo także zakwalifikował się do drugiej rundy - dzięki szczęściu i nieprawdopodobnemu uporowi. Nie zdobył wprawdzie „puli gry”, ale zgarnął tyle „pul rozdań”, że nadal mógł brać udział w turnieju.

Jedna z osób, która obserwowała zawody nie opuszczając świetlicy, trzymała kciuki za Hana Solo. Rzecz jasna, Korelianin mógłby przysiąc, że Bria Tharen, jego rodaczka, przebywa w odległości wielu parseków od Bospina, a Bria za nic w świecie nie chciałaby wyprowadzać Hana z błędu. Od tylu lat należała do koreliańskiego ruchu oporu, że do perfekcji zdołała opanować trudną sztukę kamuflażu. Także w tej chwili miała na głowie krótką czarną perukę, pod którą ukryła długie, złocistorude włosy. Posługując się biosoczewkami, zmieniła kolor błękitno-zielonych oczu na czarny - jak włosy. Nosila elegancki kostium. Wyglądała w nim jak dyrektorka poważnej firmy; wszyte starannie poduszki sprawiały przy tym, że wydawała się tęższa i bardziej umięśniona niż w rzeczywistości.

Nie mogła ukryć tylko wysokiego wzrostu, ale - na szczęście - wysokie kobiety nie należały do rzadkości.

Stała pod samą ścianą świetlicy, wpatrując się w hologram. Miała nadzieję zobaczyć na nim zbliżenie twarzy Hana Solo. W głębi duszy cieszyła się, że jej ziomek awansował do następnej rundy. Gdyby tylko udało mu się zwyciężyć - pomyślała. - Zasługuje, żeby wygrać fortunę. Gdyby nie musiał się martwić, gdzie i jak zdobyć kolejne kredyty, może nie ryzykowałby życia, parając się przemytem towarów...

Rzeczywiście, kilkanaście sekund później na hologramie ukazała się ogromna twarz Hana. Bria zauważyła, że w tej grze ma za przeciwników Sullustankę, Twi'leka, Bothanina i dwoje ludzi: mężczyznę i kobietę. Kobieta była niska, krępa i silnie umięśniona, co pozwalało się domyślać, że przyleciała z planety, na której panuje duże ciśnienie.

Bria nie знаła się na sabaku, ale dobrze znała Hana Solo. Mimo iż upłynęło siedem lat, odkąd się rozstali, znała każdy rys jego twarzy. Nie zapomniała, jak marszczą się kąciki jego oczu, kiedy Han się uśmiecha. Wciąż jeszcze pamiętała, jak mruży oczy, kiedy jest zły albo coś podejrzewa. Długie włosy od dawna domagały się przystrzyżenia. Grzbiety dłoni pokrywał delikatny meszek. ..

Bria znała Hana Solo tak dobrze, że nawet potrafiła powiedzieć, kiedy Korelianin blefuje... a właśnie to robił.

Z doskonale udawaną pewnością, Han uśmiechnął się do pozostałych graczy, pochylił nad blatem stołu i popchnął na środek jeszcze jeden stos żetonów. Ujrawszy, o ile podwyższył stawkę, Sullustanka zawahała się, a potem zrezygnowała. Mężczyzna i kobieta także się wycofali, ale Bothanin nie dał za wygraną. Dorzucił do puli tyle samo kredytów, co Han, a później ostentacyjnie podbił stawkę o równie wysoką sumę.

Bria nie zmieniła wyrazu twarzy, ale mocniej zacisnęła pięści. Była ciekawa, czy Han zrezygnuje. A może dołoży do puli i będzie liczył na to, że jego blef się powiedzie?

Tymczasem Twi'lek położył jedną kartę w interferencyjnym polu, a potem, posuwając się do przodu, zaczął zbierać żetony na środek stołu, uzupełnił pulę.

Oczy wszystkich zwróciły się na Hana.

Korelianin wyszczerzył zęby w jeszcze szerszym uśmiechu. Wyglądało na to, że niczym się nie przejmuje. Bria zauważyła jednak, że jego wargi się poruszyły, jakby rzucił komuś wyzwanie albo kpił z kogoś gracza. Nie zastanawiając się, lekceważącym gestem pchnął przed siebie jeszcze jeden stos kredytowych żetonów. .. tak wysoki, że Bria przygryzła dolną wargę. Jeśli Han teraz przegra, odpadnie z gry. Nie zdoła powetować sobie takiej straty!

Bothanin zerknął nerwowo - najpierw w prawo, a chwilę potem w lewo. Pierwszy raz sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Wahał się kilka sekund, wreszcie rzucił karty na blat stołu. Głowo-ogony Twi'leka nerwowo zadrzały i zafalowały.

W końcu, bardzo powoli, istota także położyła karty. Han uśmiechnął się tak szeroko, jak potrafił. Niedbalym ruchem rzucił swoje karty-płytki tak, aby nikt nie widział ich walorów, a potem wyciągnął ręce i zgarnął jeszcze jedną pulę rozdania. Czyżby naprawdę miał tak dobre karty? - zastanawiała się Bria. - A może jednak blefował?

Nagle Sullustanka poruszyła obwisłymi fałdami skóry przy dolnej szczęce i wykonała ruch, jakby zamierzała odwrócić karty Hana Solo. W następnej sekundzie jednak, kiedy sędzia rozdający karty ostrzegł ją by tego nie robiła, cofnęła ręce. Chwilę wcześniej i tak sędzia zarządził zmianę walorów wszystkich kart-płytek.

Rozemocjonowana Bria kiwnęła głową w stronę hologramu. Brawo, Hanie! - krzyknęła w duchu. - Tylko tak dalej! Pokaż, co potrafisz! Pokonasz wszystkich! Zostaniesz mistrzem!

Po sekundzie czy dwóch usłyszała obok groźne warczenie i chrapliwy, świszający głos.

- Niech wszystkie złe duchy Barabelów przeklną tego złoczyńcę Solo! Jeszcze raz wygrał! Musiał oszukiwać!

Korelianka zauważyła kątem oka ogromną Barabelkę... która sprawiała wrażenie wyjątkowo zirytowanej; jej kąciki ust drgały. Przecież Han dobrze umie radzić sobie z obcymi istotami - pomyślała. - Ciekawe, co jej zrobił, że się tak wściekła.

Ktoś zbliżył się z drugiej strony. Odwróciła głowę i ujrzała swojego doradcę, Korelianina Jace'a Paola. Mężczyzna mówił tak cicho, że ledwie go słyszała - mimo iż zbliżył usta do jej ucha.

- Pani komandor, przylecieli przedstawiciele Alderaana. Właśnie kierują się w umówione miejsce.

Bria kiwnęła głową.

- Zaraz tam będę, Jace - powiedziała.

Odczekała, aż doradca wyjdzie ze świetlicy, a potem wyjęła kosztowny komputerowy notes (a raczej jego imitację; starała się pozostawiać jak najmniej informacji na temat tego, czym naprawdę się zajmowała). Chwilę udawała, że coś czyta. Później obdarzyła Barabelkę nikłym uśmiechem, po czym odwróciła się i także opuściła świetlicę. Pomyślała, że najwyższy czas zająć się zadaniem, dla którego przyleciała do Miasta w Chmurach.

Kiedy dowiedziała się, że Miasto w Chmurach będzie gospodarzem wielkiego turnieju sabaka, uświadomiła sobie, że oto znalazła idealne miejsce na zorganizowanie tajnego zebrania przedstawicieli Rebeliantów z różnych światów. Z jej informacji wynikało, że na wielu planetach gnębionych przez Imperium pojawiało się coraz więcej grup buntowników. Należało więc wymyślić sposób, jak mogłyby kontaktować się ze sobą i współpracować.

Bria wiedziała jednak, że takie spotkanie musi odbyć się w jak najściślejszej tajemnicy. Imperium miało wszędzie swoich szpiegów.

Każdy funkcjonariusz wywiadu dobrze wiedział, że najłatwiej ukryć się w tłumie. Ponieważ Miasto w Chmurach znajdowało się daleko od opanowanego przez Imperium Jądra galaktyki, funkcjonariusze Palpatine'a nie poświęcali mu wiele uwagi. Wielki turniej byłby zatem doskonałym kamuflażem. Z pewnością Bospina odwiedzi i opuści mnóstwo gwiazdnych statków. Na pewno wśród gości będą ludzie i przedstawiciele wielu obcych ras. Nikt nie powinien zatem powziąć żadnych podejrzeń, jeżeli do Miasta w Chmurach przyleci dodatkowo kilkoro ludzi, Sullustanin i Durosjanin.

Bria nie ośmieliła się przyznać nawet przed sobą że jednym z powodów, dla których wybrała właśnie tutejszy turniej sabaka, była nadzieja ujrzenia Hana Solo. Rzecz jasna, Korelianka nie mogła mieć pewności, że go tu zostanie, ale - znając go całkiem nieźle - gotowa była się założyć, iż Han nie przepuści takiej okazji. Musiała go zwabić nadzieją dużej wygranej.

Wstąpiła na taśmę ruchomego chodnika i pojechała do najbliższego szybu turbowind. Wyobraziła sobie, że się przebiera, by wyglądać jak kiedyś, a potem, kiedy nastanie noc, puka do drzwi apartamentu Hana Solo. Z pewnością w jego pamięci pozostało wspomnienie chwili, kiedy widział ją ostatnio. Udawała wtedy, że jest utrzymanką moffa Sarna Shilda. Han musi jej uwierzyć, kiedy wyjaśni, że na rozkaz przywódcy korelińskiego ruchu oporu odgrywała tylko tę rolę. Z pewnością jej wybaczy, gdy mu powie, że między nią a Shildem nie doszło do niczego... absolutnie niczego.

A zatem, kiedy wyjawi mu całą prawdę, zaczną rozmawiać. Może wypiją kieliszek czy dwa dobrego wina. Po jakimś czasie wezmą się za rękę. A potem...

Kabina turbowindy unosiła ją coraz wyżej, ku pastelowo-kryształowemu przepychowi pięćdziesięciopiętrowego atrium Yaritha Bospina. Korelianka zamknęła oczy. Pomyślała, że kiedy wyjaśni wszystkie wątpliwości, Han Solo zechce przystać do ruchu

oporu i razem z nimi będzie się starał uwolnić Korelię spod władzy Imperatora - tyrana, który zniewolił i trzymał w śmiertcionym uścisku wiele innych światów.

A może... Bria wyobraziła sobie, jak oboje, ramię w ramię, walczą na lądzie albo w przestworzach. Oslaniając się nawzajem, toczą bohaterskie walki i odnoszą nad znieprawionym Imperium jedno zwycięstwo po drugim. A później, kiedy czas walki dobiegnie końca, obejmują się i przytulają do siebie...

Bria nie potrafiła wyobrazić sobie lepszego scenariusza.

Czując, że kabina turbowindy zwalnia, westchnęła i otworzyła oczy. Marzenia... czasami tylko one pozwalały Brii stawiać czoło rzeczywistości. Nie mogła jednak dopuścić, żeby przeszkadzały jej w spełnieniu ważnej misji.

Kiedy drzwi klatki się rozsunęły, była gotowa. Stąpając równo i pewnie po luksusowym chodniku, ruszyła długim korytarzem.

Dotarła do pokoju, w którym miało odbyć się zebranie. Wystukała na klawiaturze ustaloną kombinację cyfr i weszła do środka. Spojrzała na Jace'a. Doradca tylko kiwnął głową. Dał jej znać, że sprawdził cały pokój i upewnił się, że nie zainstalowano w środku urządzeń rejestrujących ani podsłuchowych. Dopiero wtedy Bria odwróciła się, aby powitać pozostałych uczestników zebrania.

Pierwszy na jej spotkanie wyszedł, jak zwykle smętny, niebieskoskóry Durosjanin, Jennisar SoBilles. Przyleciał sam, podobnie jak Sullustanin Sian Tew. Bria powitała serdecznie obie obce istoty, a potem poprosiła je, aby podziękowały przywódcom Rebelii ze swoich światów za to, że pozwolili delegatom wyruszyć na tak niebezpieczną wyprawę. Chyba tylko ona była świadoma rozmiarów niebezpieczeństwa. Niecały miesiąc wcześniej jeden z głównych przywódców Rebeliantów z Tibrina został pochwycony w drodze na podobne spotkanie. Pragnąc uniknąć sondowania mózgu za pomocą imperialnych próbników, Ishi Tib popełnił samobójstwo.

Z Alderaana przyleciało aż troje delegatów: dwoje ludzi i Caamasjanin. Ich przywódcą był siwowłosy i brodaty mężczyzna w średnim wieku, Hric Dalhney. Pełnił obowiązki zastępcy ministra bezpieczeństwa publicznego i cieszył się całkowitym zaufaniem alderańskiego wicekróla, Baila Organy. Towarzyszyła mu młoda, zaledwie kilkunastoletnia dziewczyna o długich i białych jak kryształ włosach. Dalhney przedstawił ją jako „Winter” i powiedział, że podczas tej wyprawy oboje udają ojca i córkę. Trzecim członkiem delegacji była obca istota płci męskiej z planety Caamas. Bria obrzuciła go zaintrygowanym spojrzeniem. Jeszcze nigdy w życiu nie widziała Caamasjanina. Przedstawiciele tej rasy bardzo rzadko spotykało się obecnie w galaktyce.

Ich planeta została niemal całkowicie zniszczona jeszcze w trakcie Wojen Klonów - głównie dzięki staraniom faworyta Imperatora, niejakiego Dartha Vadera. Tylko nieliczni wiedzieli, że wielu Caamasjanom udało się uniknąć śmierci. Ci, którzy przeżyli, zdolali schronić się na Alderaanie, gdzie wiedli teraz życie przeważnie w odosobnieniu.

Caamasjanin, który nazywał się Ylenic Ifkla, oświadczył, że pełni obowiązki doradcy wicekróla Alderaana. Wysoki - wyższy nawet niż Bria - miał na sobie strój przypominający kusą spódnicę, a także kilka drogocennych ozdób. Ciało człekokształtnej istoty porastał złocisty puch, a twarz przecinały purpurowe pęgi. W wielkich ciemnych

oczach odbijały się rezygnacja i smutek. Bria wiedziała, ile wycierpiała i co przeżyła ta istota. Poczula, że coś chwyta ją za serce.

Przyglądając się, jak pozostali delegaci witają się i wymieniają uprzejmości Bria zauważyła, że Ylenic właściwie nie powiedział ani słowa. Mimo to wywarł na niej duże wrażenie. Postanowiła, że będzie zasięgała jego rady - nawet gdyby istota nie zaproponowała pomocy. Caamasjanin roztaczał wokół siebie aurę autorytetu i władzy. Korelianka doszła do wniosku, że powinna liczyć się z Ylenikiem.

Pozwoliła, żeby wymiana uprzejmości potrwała jeszcze kilka minut, potem usiadła przy długim stole i oświadczyła, że otwiera zebranie.

- Drodzy przedstawiciele Rebeliantów - zagaiła, nadając głosowi oficjalne brzmienie i przemawiając tonem osoby obdarzonej władzą, która już nie raz otwierała podobne zgromadzenia. - Dziękuję wam, że ryzykowaliście życie w imię słusznej sprawy. My, Rebelianci z Korelii, doszliśmy do przekonania, że powinniśmy nawiązać kontakty z innymi grupami Rebeliantów, działającymi potajemnie na innych światach. Uważamy, że wszyscy powinniśmy się zjednoczyć. Tylko silna, zwarta grupa zdoła się przeciwstawić potęgze Imperium... tego samego Imperium, które uciska nasze światy, odbiera obywatelom chęć do życia i dławi nadzieję na lepszą przyszłość.

Bria przerwała, by zaczerpnąć głęboki haust powietrza, po czym ciągnęła:

- Uwierzcie mi, dobrze wiem, na jakie niebezpieczeństwa się narazicie, jeżeli przyjmiecie moją propozycję. Uważam jednak, że tylko zjednoczenie sił da nam nadzieję zwycięstwa. Dopóki będziemy podzieleni, związani z własnymi światami i zdani tylko na własne siły, jesteście skazani na porażkę, a nawet na zagładę.

Znów przerwała.

- Bojownicy korelińskiego ruchu oporu bardzo starannie przemyśleli tę propozycję. Jesteśmy w pełni świadomi, że radykalnie zmieni ona naszą sytuację. Zdajemy sobie sprawę ze wszystkich konsekwencji, niebezpieczeństw i trudności. Dopóki tworzymy oddzielne grupy, Imperium nie może unicestwić wszystkich jednym ciosem. Jeżeli się połączymy, możliwe, że pokona nas wszystkich w trakcie jednej bitwy. Wiemy także, jak trudna będzie współpraca istot różnych ras. Podzielić nas mogą systemy moralne i etyczne, religijne i ideologiczne - nie mówiąc już o różnicach w sprzeczności czy rodzajach broni. Na pewno napotkamy немало problemów.

Umilkła i powiodła spojrzeniem po uczestnikach konferencji.

- Uważam jednak, moi przyjaciele - ciągnęła po chwili - że nie mamy wyboru. Musimy się zjednoczyć. Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby przezwyciężyć dzielące nas różnice. Jestem pewna, że to potrafimy... i właśnie o drodze, która doprowadzi nas do zjednoczenia, powinniśmy dziś rozmawiać.

Przedstawiciel planety Duros zabębnił palcami po blacie stołu.

- Przyznaję, pani komandor, że czuję się poruszony - odezwał się po namyśle. - W głębi ducha przyznaję pani rację. Przyjrzyjmy się jednak oczywistym faktom. Namawiając istoty innych ras do zawarcia sojuszu z ludźmi, domaga się pani, żeby naraziły się na ryzyko jeszcze większe niż to, któremu stawiają czoło w tej chwili. Wszyscy doskonale wiemy, jak wielką niechęć żywi Imperator do istot nie będących ludźmi. Gdyby więc wojska takiego przymierza zmierzyły się w walce z oddziałami Imperium i

przegrały, Palpatine zwróci swój gniew przeciwko planetom zamieszkiwanym przez obce mu rasy. Możliwe nawet, że jeden czy dwa światy zechce unicestwić - jako nauczkę i przestrożę dla ludzi, którzy poparli Rebelię. Bria kiwnęła głową.

- Rozumiem, o co panu chodzi, Jennsar - powiedziała, po czym znów powiodła spojrzeniem po pozostałych uczestnikach narady. -Panie ministrze Dalhney, co pan o tym myśli? - zapytała.

- My, obywatele Alderaana, od samego początku popieraliśmy Rebelię - odezwał się siwowłosy mężczyzna. - Wyszukiwaliśmy tajne informacje, gromadziliśmy fundusze i służyliśmy doświadczeniem w sprawach technicznych. Nigdy jednak nie braliśmy udziału w czynnej walce. Boimy się nawet myśli o rozstrzygnięciu sporów za pomocą brutalnej siły. W dziejach naszej cywilizacji nie było przemocy ani używania jakiegokolwiek broni. Jesteśmy nastawieni pokojowo i dlatego wzdramy się przed braniem udziału w walce. Może więc pani liczyć na nasze poparcie, jeżeli chodzi o zjednoczenie, ale nie wyobrażam sobie, żebyśmy kiedykolwiek mogli dołączyć jako wojownicy.

Bria spojrzała na Dalhneya. W jej oczach czaił się smutek.

- Jest całkiem prawdopodobne, panie ministrze - rzekła po chwili - że Alderaan może zostać zmuszony do udziału w walce. -Przeniosła spojrzenie na małego Sullustanina. - A pańskie zdanie, panie Sian Tew?

- Pani komandor, moi ziomkowie jęczą w żelaznym uścisku Imperium. Chyba nikt spośród nas nie ma dość sił ani środków, żeby myśleć o przystąpieniu do Rebelii. - Fałdy skóry na twarzy drobnej istoty zadrżały, a w ciemnych oczach odmalowała się bezbrzeżna rezygnacja. - I chociaż niektórzy w duchu sprzeciwiają się tyranii Imperium, tylko nieliczni odważyli się otwarcie przeciwstawić jego wojskom. W naszych jaskiniach panuje strach i przerażenie. Korporacja SoroSuub sprawuje prawie wyłączną kontrolę nad naszym światem, a ich największym klientem jest przecież Imperium. Gdybyśmy więc zdecydowali się przyłączyć do Rebeliantów, musielibyśmy się liczyć z wojną domową!

Bria westchnęła. To będzie bardzo długa konferencja - pomyślała.

- Rozumiem, że wszyscy żywcie obawy - zaczęła, usiłując nadać głosowi rzeczowe, pozbawione emocji brzmienie. - Myślę wszakże, że nikomu nie stanie się krzywda, jeżeli spróbujemy podyskutować o naszym pomysle. To przecież do niczego nie zobowiązuje.

Upłynęło kilka chwil, zanim przedstawiciele Rebeliantów z trzech światów przystąpili do rzeczowej dyskusji. Bria zaczerpnęła głęboki haust powietrza i włączyła się do rozmowy...

Nie do wiary, że udało mi się zająć tak daleko! - pomyślał Han, walcząc z ogarniającym go znużeniem. Odsunął krzesło i usiadł przy jedynym stole do gry, który pozostał w sali. Dobiegał końca czwarty dzień zawodów. Zapadał zmierzch. W ostatnich rozgrywkach brali udział już tylko finaliści. Czy nadal będę miał takie szczęście? - zastanawiał się Solo.

Powoli wyprostował się na krześle. Żałował, że nie może położyć się do łóżka na dwadzieścia cztery godziny. W ciągu ostatnich kilku dni dał z siebie dosłownie wszyst-

ko... Jeżeli nie liczyć krótkich przerw na posiłki i kilku godzin snu na dobę, cały ten czas spędził, grając w sabaka.

Pozostali finaliści także zajęli miejsca przy stole. Drobny Chadra-Fan, Bothanin i Rodianka. Han nie był pewien, czy Chadra-Fan jest istotą płci męskiej, czy też żeńskiej. Przedstawiciele obu płci nosili takie same długie, fałdzone szaty.

Wodząc spojrzeniem po pozostałych graczach, Korelianin zauważył, że na jedynym wolnym krześle, ustawionym na wprost niego, siada ostatni finalista, także człowiek. Mogłem się spodziewać, że tak się stanie - jęknął w duchu. - Jaką mam szansę wygrać z takim zawodowcem jak Calrissian?

Han uświadamiał sobie jasno, że spośród wszystkich graczy najprawdopodobniej tylko on jest amatorem. Mógłby się założyć, że pozostali - nie wyłączając Landa - zarabiali na życie, wygrywając w sabaka spore sumy.

Chwilę czy dwie zastanawiał się, czy nie zrezygnować i po prostu nie opuścić wielkiej sali balowej. Tylko że gdyby poddał się teraz, po tylu dniach morderczych zmagania...

Lando uśmiechnął się z przymusem i, spojrzawszy na przyjaciela, kiwnął głową. Han odpowiedział mu takim samym ruchem.

Do stołu podszedł sędzia, który miał rozdawać karty. Podczas normalnych partii sabaka zajmował się tym jeden z uczestników. W trakcie zawodów jednak - a zwłaszcza wielkich turniejów - osoba rozdająca musiała czuwać nad przebiegiem gry... Funkcji tej nie mógł zatem pełnić żaden gracz.

Okazało się, że sędzia jest Bithem. Jego wielkie dłonie miały po pięć palców, przy czym naprzeciwko trzech środkowych mógł się znaleźć nie tylko kciuk, ale także najmniejszy palec. Ta właściwość sprawiała, że palce Bitha poruszały się niewiarygodnie zwinnie i szybko. Wielki kandelabr, zawieszony pod sufitem ogromnej sali, rzucał na jego łysą, wielką czaszkę jasne błyski.

Bith ostentacyjnie sięgnął po nową talię kart, a potem rozpakował ją i przetasował. Kilkakrotnie włączył generator losowych sygnałów, przez co zademonstrował wszystkim, że nikt nie może przewidzieć kolejności, w jakiej ułożą się karty. Później ustawił generator na normalne działanie. Oznaczało to, że odtąd, w losowo wybieranych chwilach, urządzenie będzie samo dokonywało zmian walorów i kolorów kart-płytek.

Han popatrzył na Landa. Trochę się rozchmurzył, kiedy ujrzał, że na twarzy przyjaciela również maluje się zmęczenie. Kosztowny strój był tak wymięty, jakby właściciel przespał w nim ze dwie noce. Pod oczami Landa pojawiły się... może nie sińce, ale z pewnością ciemniejsze półkola. Rozwichrzony włosy wyglądały, jakby od dawna nie widziały grzebienia.

Han wiedział, że także nie prezentuje się najlepiej. Odruchowo przejechał dłonią po twarzy i dopiero wtedy uświadomił sobie, że zapomniał się ogolić. Krótka, szorstka szczecina zachręściła pod paznokciami.

Z wysiłkiem prostując plecy, sięgnął po swoje karty.

Trzy i pół godziny później w turnieju uczestniczyło już tylko trzech finalistów. Bothanin i Rodianka odpadli z dalszej gry. Wstali od stołu i wyszli, nie mówiąc ani słowa. Bothanin postawił wszystkie zgromadzone dotąd żetony kredytowe. Kiedy Lan-

do zgarnął całą pulę, istota pogodziła się z przegraną. Odeszła od stołu, z nikim się nie żegnając. Rodianka sama zrezygnowała z dalszej gry. Han domyślił się, że zaczęła przegrywać i pragnąc ocalić resztkę pieniędzy, postanowiła się wycofać. Stawki rosły coraz szybciej. W samej „puli sabaka” leżało ponad dwadzieścia tysięcy kredytów.

Han nie mógł narzekać na brak szczęścia. Miał sporo żetonów kredytowych i mógł dokładać do puli za każdym razem, ilekroć któryś z graczy podbijał stawkę. Dodał w myśli wszystko, co dotąd zgromadził. Gdyby teraz zrezygnował z dalszej gry, odleciałby z Bospina bogatszy o jakieś dwadzieścia tysięcy kredytów... plus albo minus kilka set. Ze zmęczenia zaczął gorzej widzieć. Ponieważ ułożył żetony jedne na drugich w wysokie stopy, liczenie kredytów przychodziło mu z coraz większym trudem.

Korelianin się zawahał. Mimo wszystko, dwadzieścia tysięcy kredytów stanowiło sporą fortunę. Starczyłoby na własny statek. Czy nie lepiej będzie się wycofać? Czy może powinien grać do samego końca turnieju?

Chadra-Fan podbił stawkę o następne pięć tysięcy kredytów. Solo dołożył do puli. Lando poszedł w jego ślady, aczkolwiek pozbył się w ten sposób prawie wszystkich swoich żetonów.

Han spojrzął jeszcze raz na karty. Miał Wytrwałość - minus osiem punktów. Odpowiednia karta - pomyślał ponuro. - W tym turnieju zaczyna się liczyć przede wszystkim wytrwałość. Miał także Asa klepek, czyli plus piętnaście punktów. Trzecią kartą była szóstka manierek. Plus sześć punktów.

Razem trzynaście. Musiał zatem wziąć jeszcze jedną kartę - z nadzieją, że nie dostranie żadnej funkcyjnej. Odpadłby wówczas z dalszej gry i straciłby wszystko, co w niej postawił.

- Proszę o kartę - powiedział stanowczo, zwracając się do arbitra.

Rozdający pchnął ku niemu kartę-płytkę po blacie stołu. Han zbliżył ją do oczu i poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Otrzymał Dzierżawę, liczoną za minus trzynaście punktów. Wspaniale! - pomyślał z ponurą satysfakcją. - Masz mniej punktów niż kiedykolwiek do tej pory!

W tej samej chwili walory kart rozmyły się i zaczęły zmieniać...

Po chwili Han trzymał Królową Powietrza i Ciemności, która miała wartość minus dwa punkty, a także piątkę monet, szóstkę klepek oraz liczonego za plus czternaście punktów Mistrza monet. Razem więc... dwadzieścia trzy punkty! Poczuł, że jego serce zaczyna bić przyspieszonym rytmem. Miał czystego sabaka!

Mógł zgarnąć zarówno pulę rozdania, jak i pulę sabaka. Mógł zostać zwycięzcą całego turnieju.

Istniała tylko jedna kombinacja kart, która zdołałaby mu w tym przeszkodzić. Zestaw Idioty.

Han głęboko odetchnął, a potem pchnął po stole wszystkie stopy żetonów kredytowych... z wyjątkiem jednego. Sekundę czy dwie zastanawiał się, czy nie rzucić swoich kart-płytek w pole interferencyjne. Gdyby to jednak uczynił, pozostali gracze upewniliby się, że nie blefuje. Jeżeli pragnął oskubać przeciwników ze wszystkich kredytów, musiał ich zachęcić, aby także dołożyli do puli.

Nie zmieniajcie się - pomyślał, wbijając spojrzenie w swoje karty. Ileż by dał, żeby generator sygnałów losowych nie zmienił ich walorów! Prawidłowo funkcjonujące urządzenia wytwarzały impulsy w losowo wybieranych chwilach. Czasami dokonywały takich zmian kilkakrotnie w czasie jednej partii; kiedy indziej zaś generowały impulsy tylko raz albo dwa. Han doszedł do wniosku, że prawdopodobieństwo zmiany walorów albo kolorów w ciągu następnych trzech minut - w tym czasie uczestnicy zdążyliby uzupełnić stawkę - nie powinno przekraczać pięćdziesięciu procent.

Starął sienie zdradzić żadnym gestem, mrugnięciem czy drgnięciem mięśni twarzy. Odprężył się, co kosztowało go tyle wysiłku, że poczuł niemal fizyczny ból. Za wszelką cenę musiał upewnić pozostałych graczy, że jednak blefuje!

Siedzący po prawej stronie Korelianina Chadra-Fan (w ciągu kilku poprzednich godzin Han zdołał się zorientować, że istota jest samcem) raptownie zastrzygł uszami. Później jęknął - najciszej, jak potrafił. Starannie złożył swoje karty-płytki i lekko popchnął je po blacie stołu, a potem wstał, odwrócił się i bez słowa skierował ku drzwiom.

Han nie przestawał wpatrywać się w swoje karty-płytki. Nie zmieniajcie się... jeszcze chwilę! - błagał w duchu. Czuł, że jego serce wali jak młotem. Miał wrażenie, że żyły na jego skroniach miarowo pulsują i żywił nadzieję, że Lando tego nie dostrzeże.

Zawodowy hazardzista wahał się sekundę czy dwie, by wreszcie poprosić arbitra o następną kartę. Kiedy Han zobaczył, że Lando -demonstracyjnie powoli - wyciąga rękę i kładzie jedną kartę rewersem do góry pośrodku interferencyjnego pola, niemal usłyszał szum krwi pulsującej w uszach.

Napiął wszystkie mięśnie. Przez ułamek sekundy widział odbity od zjonizowanej powierzchni pola barwny błysk awersu karty-płytki Calrissiana. Fioletowy. Jeżeli przekrwione i zmęczone oczy nie płatały mu figła, był to Idioty. Najważniejsza karta zestawu Idioty.

Solo usiłował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w ustach. Lando jest doświadczonym graczem - pomyślał ponuro. - Z pewnością nieraz uciekał się do takich sztuczek. Mógł specjalnie położyć tę kartę tak powoli, żebym zobaczył fioletowy błysk i domyślił się, że ma Idiotę. Tylko dlaczego? Żeby mnie przestraszyć? Nakłonić do rezygnacji z dalszej gry? A może tak mi się tylko wydaje?

Uniósł głowę i popatrzył na przeciwnika. Lando trzymał w tej chwili tylko dwie karty. Odważymnił spojrzenie Hana i nawet lekko się uśmiechnął. Później -jakby nagle podjął decyzję - wyciągnął komputerowy notes i bardzo szybko wystukał coś na klawiaturze. Położył notes obok stosu pozostałych żetonów kredytowych, a następnie przesunął i jedno, i drugie na środek stołu.

- Mój weksel - powiedział niezwykle uprzejmym, aksamitnym tonem. - Opiewa na jeden ze statków stojących na mojej części lądowiska. Jeżeli wygrasz, będziesz mógł wybrać, jakkolwiek zechcesz.

Arbiter Bith zerknął na notes, a potem obrócił się do Hana.

- Czy pan się na to zgadza, panie Solo?

Han miał tak sucho w ustach, że nie odważył się odezwać. Kiwnął tylko głową.

Bith obrócił się do Calrissiana.

- Pański weksel ma pokrycie - oświadczył beznamiętnie.

Lando miał dwie karty i Idiotę, który bezpiecznie spoczywał w zasięgu interferencyjnego pola. Han zmusił się, by nie przetrzeć oczu grzbietem lewej dłoni. Czy Lando mógł zauważyć, że jego przeciwnik zaczyna się pocić? Musisz uspokoić się, zacząć myśleć - nakazał sobie. - Czy rzeczywiście może mieć zestaw Idioty... czy tylko blefuje?

Znał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać.

Spokojnie, spokojnie - powiedział sobie. Spróbował się skupić i, robiąc wszystko, żeby ręka nie zdrząła, pchnął na środek stołu ostatni stos żetonów kredytowych.

- Sprawdzam - wychrypiał cicho. Wydało mu się, że jego głos przypomina skrzeczenie drapieżnego ptaka.

Lando uniósł głowę i popatrzył na niego nad stołem. Spoglądał tak przez bardzo długą, wlokącą się chyba całą wieczność sekundę. Później lekko się uśmiechnął.

- Niech będzie, jak chcesz - oświadczył beztrasko.

Powoli, nie spiesząc się, wyciągnął rękę i odwrócił kartę, spoczywającą pośrodku interferencyjnego pola.

Han zobaczył Idiotę.

Okazując ogromną pewność siebie, Lando cofnął rękę i sięgnął po jedną z kart, które trzymał w prawej dłoni. Położył ją obok Idioty awersem do góry. Dwójka klepek.

Han wstrzymał oddech. Już po tobie, chłopie - pomyślał. -Straciłeś całą wygraną.

Tymczasem hazardzista sięgnął po ostatnią kartę.

Siódemka manierek.

Jeszcze nie wierząc własnym oczom, Han spojrział na karty... które oznaczały klęskę przeciwnika. Później - bardzo powoli -uniósł głowę i przeniósł spojrzenie na twarz przyjaciela. Lando uśmiechnął się z przymusem i wrzucił ramionami.

- Muszę przyznać, kolego - zaczął. - Do ostatniej sekundy sądziłem, że mój blef okaże się skuteczny.

Lando blefował! - zrozumiał Han, a w jego głowie coś zawirowało. Wciąż jeszcze nie mógł zebrać myśli. - Wygrałem! Nie do wiary, wygrałem!

Równie powoli, jak przedtem Lando, wyciągnął rękę i położył swoje karty-płytki na blacie stołu.

- Czysty sabak - oznajmił z niejaką dumą. - Wygrałem także pulę gry.

Bith kiwnął głową.

- Ogłaszam wszystkim dżentelistom, że zwycięzcą naszego turnieju został kapitan Solo - powiedział, zbliżywszy usta do mikroskopijnego nadajnika, który miał przytwierdzony do kołnierza bluzy. - Serdecznie panu gratuluję, kapitanie!

Czując, że kręci mu się w głowie, Korelianin kiwnął głową arbitrowi. Dopiero w tej chwili zauważył, że Lando wstał, pochylił się ku niemu nad blatem stołu i wyciągnął rękę. Han, wciąż jeszcze oszołomiony, mocno ucisnął dłoń przyjaciela.

- Nie mogę w to uwierzyć - powtórzył. - Co za gra! Co za turniej!

- Grasz lepiej niż podejrzewałem, staruszk - odparł jowialnie Calrissian.

Han zastanawiał się, jakim cudem przyjaciel może być taki opanowany. Stracił przecież prawdziwą fortunę. Dopiero po sekundzie czy dwóch uświadomił sobie, że młody hazardzista musiał wygrać i przegrać w życiu wiele takich fortun.

Sięgnął po komputerowy notes Landa i zaczął czytać zapisaną na nim informację.

- A zatem, kolego, który statek muszę ci odstąpić? - zapytał ciemnoskóry mężczyzna. - Przypuszczam, że najbardziej będzie ci odpowiadał prawie nowy lekki koreliański frachtowiec typu YT-2400. Poczekaj tylko, aż zobaczysz...

- Wezmę „Sokoła” - przerwał mu rozgorączkowany Solo.

Zdumiony Lando otworzył szerzej oczy.

- „Sokoła Millennium”? - zapytał, nawet nie kryjąc przerażenia. - O nie, Hanie. Nic z tego. Nie ma mowy. To mój ulubiony statek. Osobista rzecz. Kiedy wypisywałem ten weksel, nie brałem go pod uwagę.

- Oświadczyłeś, że mogę wybrać jakikolwiek statek z twojej części lądowiska - przypomniał mu beznamytnie Korelianin. - Powiedziałeś: jakikolwiek. „Sokół” należy do ciebie. Należał. Wybrałem właśnie jego.

-Ale...

Lando zacisnął wargi, a w jego oczach pojawiły się złowróżbne błyski.

- Tak, kolego? - zapytał Han kpiąco, choć z cieniem urazy. - Czyżbyś nie zamierzał honorować własnego weksla?

Dopiero po kilku chwilach Lando z namysłem kiwnął głową. Nabrał powietrza, a potem wypuścił je... z cichym świstem.

- Niech ci będzie - odezwał się cicho. - Od tej chwili „Sokół” stanowi twoją własność.

Han wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Uniósł najwyżej, jak umiał, obie ręce, i nie posiadając się z radości, puścił się w dzikie płasy. Nie mogąc się doczekać, kiedy powiem o tym Chewiemu! - myślał z dumą. - „Sokół Millennium” jest mój! Nareszcie! Nareszcie mam własny statek!

ROZDZIAŁ

2

OBIETNICE

Bria Tharen została sama w opustoszałej świetlicy. Nie odrywając spojrzenia od wielkiego hologramu, przyglądała się, jak Han Solo cieszy się ze zwycięstwa. Żałowała, że nie może stanąć obok niego, zarzucić mu ręk na szyję, pocałować go, pogratulować mu i cieszyć się razem z nim. To było wspaniałe! - myślała, wciąż jeszcze w uniesieniu. Och, Hanie, zasłużyłeś, żeby wygrać. Grałeś jak mistrz! Jak zawodowy hazardzista!

Zastanawiała się, na co mógł opiewać weksel, który otrzymał Han od śniadoliczego przeciwnika. Z pewnością musiało to być coś wartościowego. Han ścisnął komputerowy notes tak mocno, jakby uważał go za klucz do najcenniejszego skarbu wszechświata.

Zbliżała się północ czwartego dnia turnieju, a ostatnie spotkanie koreliańskiej pani komandor z przedstawicielami Rebeliantów z Durosa, Sullusty i Alderaana zostało wyznaczone na następny ranek. W rozmowach nastąpił pewien postęp. Osiągnięto porozumienie w kilku mniej istotnych sprawach, a wszyscy dowiedzieli się czegoś ciekawego o innych cywilizacjach, ale jeżeli chodzi o zasadniczy problem, negocjacje utknęły w martwym punkcie. Żadna z trzech innych grup nie zgodziła się przystąpić do zaproponowanego przez Korelię Sojuszu Rebeliantów.

Bria westchnęła. Starła się, jak mogła, ale czekało ją jeszcze mnóstwo pracy. Nie powinna winić innych rebelianckich grup za przesadną ostrożność - ale nie mogła na to nic poradzić. Sytuacja w Imperium może się tylko pogorszyć, a jeżeli pozostali byli tak krótkowzroczni, by tego nie dostrzec...

Nagle usłyszała odgłos czyichś kroków. Drgnęła jak wyrwana ze snu i odwróciła głowę. Zbliżała się do niej młoda Alderaanka... Winter. Uroczą i powabną dziewczyną o jasnozielonych oczach i włosach jak mlecznobiały kryształ. Prosta, skromna suknia tylko częściowo skrywała gibkie ciało. Winter była wysoka... choć nie tak wysoka jak Bria Tharen.

Korelianka kiwnęła głową. Winter stanęła obok niej. Kilka minut w milczeniu przyglądały się scenom transmitowanym z sali balowej. Han stał w kręgu pozostałych

graczy. Rozmawiał z nimi, cieszył się, przyjmował gratulacje. Usługne roboty roznosiły tace z potrawami i napojami, a w tłum w mieszał się organizatorzy turnieju, sędziowie i pracownicy hotelowi. Panowała atmosfera radości i zabawy.

- Wygląda na to, że bawią się lepiej niż my - odezwała się w końcu Bria. Nie kryła rozczarowania i goryczy. - Zazdroszczę im. Żadnych zmartwień.

- Och, jestem pewna, że mają dość kłopotów - zaproponowała młoda Alderaanka. - Po prostu w tej chwili o nich nie myślą. Zachowują się tak, jakby jutro nie istniało.

Bria kiwnęła głową.

- Ciebie także czasem nachodzą filozoficzne myśli? - zapytała.

Dziewczyna się roześmiała. Miała przyjemny, melodyjny głos.

- Och, my, Alderaanie, od bardzo dawna dyskutujemy na tematy filozoficzne, moralne i etyczne - rzekła. - Mamy w Alderze kawiarenki, gdzie obywatele całymi dniami rozprawiają o filozofii. To taka nasza tradycja.

Bria cicho zachichotała.

- Koreliananie mają opinię ludzi porywczych i kochających niebezpieczeństwo - powiedziała. - Ludzi, którzy lubią osiągać swoje cele, stawiać czoło wyzwaniom i ryzykować... jeżeli trzeba, nawet życie.

- Nasze światy mogłyby się uzupełniać - zauważyła Winter. - Może potrzebujemy siebie nawzajem.

Bria Tharen spojrzała na nią w zamyśleniu.

- Posłuchaj, Winter - zaproponowała. - Czy nie chciałabyś przejść do baru na filiżankę winokofeiny?

Dziewczyna kiwnęła głową.

- Bardzo chętnie - powiedziała.

Każdy ruch jej głowy sprawiał, że srebrzyste włosy falowały na ramionach. Bria słyszała, że dorośli na Alderaanie nie strzygą włosów. Włosy Winter spływały po jej plecach niczym kaskady zamrożonej wody.

Kiedy obie usiadły i zaczęły napawać się aromatem parującego napoju, Korelianka dyskretnie przycisnęła zapięcie swojej bransoletki, a potem wykonała płynny ruch ręką, jakby chciała, żeby kryształowe oko kamienia corusca omiotło całą salę. Później udając, że przygląda się innym klejnotom, zwróciła kryształ w górę, ku sufitowi. Żaden z kosztownych kamieni nie zaświecił. Odetchnęła z ulgą. Nie ma szpiegowskich urządzeń - pomyślała. - Co prawda, nie spodziewałam się ich tu, ale lepiej upewnić się wcześniej niż później żałować...

- No dobrze, Winter, a teraz opowiedz mi coś o sobie - powiedziała, zwracając się do dziewczyny. - Jak to się stało, że poleciałaś na tę wyprawę?

- Wicekról traktuje mnie jak własne dziecko - zaczęła cicho młoda Alderaanka. - Może dlatego, że wychowywałam się z jego córką, Leią. Towarzyszyłam jej, odkąd miałyśmy po kilka lat. - Uśmiechnęła się niepewnie, a Bria nie mogła pozbyć się wrażenia, że rozmawia z kimś dorosłym, poważnym, opanowanym i dystygowanym. - Czasami zdarzało się, że brano mnie za księżniczkę. Cieszę się jednak, że nie pochodzę z królewskiego rodu. Nie wiem, jakbym się czuła, gdybym musiała - jak wicekról i Leia

- cały czas być na widoku. Zapewne nie potrafiłabym żyć w nieustannym napięciu, nagabywana przez wścibskich dziennikarzy. Nie mogłabym żyć, tak jak pragnę.

Bria kiwnęła głową.

- Podejrzewam, że członkowie królewskiego rodu są własnością publiczną bardziej niż gwiazdy wideogramów. - Upiła mały łyk winokofeiny. - Więc powiadasz, że wychowywał cię Bail Organa... Jak to się stało, że pozwolił ci lecieć na tę wyprawę? Musiał wiedzieć, że jeżeli zostaniemy wysłędzeni, może grozić ci wielkie niebezpieczeństwo. - Uniosła brwi. - Dziwię się mu. Chyba jesteś zbyt młoda, by tak ryzykować.

Winter się uśmiechnęła.

- Jestem o rok i kilka miesięcy starsza niż księżniczka - odrzekła. - Niedawno skończyłam siedemnaście lat. Na Alderaanie to wiek, w którym osiąga się dojrzałość.

- Podobnie jak na Korelii - mruknęła Bria. - To chyba za mało. Ja w wieku siedemnastu lat nie miałam ani krztyny rozumu. - Uśmiechnęła się ponuro. - To było tak dawno... Wydaje się, że minęło nie dziewięć lat, ale cała wieczność.

- Sprawiasz wrażenie starszej niż jesteś - przyznała dziewczyna. - Masz dwadzieścia sześć lat i już jesteś panią komandor. Musiałaś zaczynać, kiedy byłaś bardzo młoda.

Dolała do swojej filiżanki odrobinę traladonowego mleka.

- To prawda - przyznała beztrąsko Korelianka. - Wydaje się starsza... - Wzruszyła lekko ramionami. - Cóż, jeśli młoda dziewczyna pracuje cały rok na Ilezji jako niewolnica... Praca w kopalni przyprawy zabija w człowieku całą chęć życia.

- Pracowałaś jako niewolnica? - W głosie Winter zabrzmiało zdumienie.

- Tak. Ocalał mnie... pewien przyjaciel. Tyle że ucieczka z Ilezji nie rozwiązała wszystkich moich problemów. Nawet tych najważniejszych. Moje ciało wyrwało się na swobodę, ale umysł i dusza!.., jeszcze długo potem pozostawały zniewolone. Uwolnienie ich okazało się najtrudniejszym zadaniem mojego życia.

Winter kiwnęła głową i spojrzała na rozmówczynię ze współczuciem. Bria sama się zdziwiła, że do tego stopnia otworzyła przed dziewczyną serce. Młoda Alderaanka była bardzo wdzięczną słuchaczką. Nie tylko starała się podtrzymać rozmowę, ale szczerze przejmowała się cierpieniami Korelianki. Bria wzruszyła ramionami.

- Kosztowało mnie to bardzo dużo - przyznała. - Poświęciłam wszystko, co uważałam za najcenniejsze. Miłość, rodzinę... bezpieczeństwo. Ale za tę cenę znów stałam się sobą i odnalazłam nowy cel w życiu.

- Walkę z Imperium.

Starsza kobieta kiwnęła głową.

- Walkę z Imperium, które wspiera niewolnictwo i czerpie z niego zyski. Z najpodszybszego, najbardziej poniżającego proceduru, jaki kiedykolwiek praktykowały rzekomo inteligentne istoty.

- Słyszałam o Ilezji - oznajmiła Alderaanka. - Przed kilkoma laty, kiedy dotarły do nas ponure wieści, wicekról zarządził w tej sprawie własne dochodzenie. Kiedy dowiedział się, jak wygląda prawda, rozpoczął publiczną kampanię, żeby wszyscy Alderaanie dowiedzieli się, czym naprawdę jest Ilezja... kopalnie przyprawy, niewolnicza praca i tak dalej.

- To jest właśnie najstraszniejsze - stwierdziła gorzko Korelianka. - Nikt nie zmusza cię do pracy. Ludzie sami zapracowują się na śmierć, a przy tym czynią to z ochotą. Gdybym tylko miała żołnierzy i dość broni, zebrałabym eskadrę czy dwie gwiazdnych myśliwców i jeszcze dziś poleciałabym na Ilezję. Zlikwidowalibyśmy wreszcie tę cuchnącą dziurę... raz na zawsze.

- Musiałabyś mieć bardzo wielu żołnierzy - zauważyła Winter.

- To prawda - przyznała Bria. - O ile mi wiadomo, na Ilezji jest teraz osiem albo dziewięć kolonii. A więc tysiące niewolników.

- Ostrożnie ujęła filiżankę i wypila następny łyk gorącego napoju.

- A zatem... mówiłaś, że cieszysz się na myśl o porannym zebraniu?

Winter westchnęła.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo - rzekła po chwili.

- Wcale się nie dziwię - odparła Korelianka. - Przysłuchując się cały dzień, jak spieramy się o to, czy stworzenie Sojuszu Rebeliantów okaże się dla nas korzystne, czy też nie, musisz nudzić się na potęgę. Powinnaś wykręcić się od uczestnictwa w jutrzejszym spotkaniu i trochę się zabawić. Podobno ktoś tu organizuje wycieczki, żeby turyści mogli oglądać stada beldonów. Urządza się też powietrzne wyścigi. Jeźdźcy wykonują różne akrobacje na thrantach. Słyszałam, że zapierają dech w piersiach.

- Muszę być na konferencji - oświadczyła srebrzystowłosa Alderaanka. - Minister Dalhney mnie potrzebuje.

- Do czego? - zdziwiła się Bria. - Musi mieć twoje moralne wsparcie?

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało.

- Nie - odrzekła. - Jestem jego rejestratorką. Potrzebuje mnie, żeby później mógł przygotować raport dla wicekróla.

- Rejestratorką?

- Tak. Zapamiętuję wszystko, co widzę, słyszę albo odczuwam - oznajmiła Winter.

- Nie potrafisz zapomnieć... choć czasami bardzo bym chciała.

Jej twarz posmutniała, jakby dziewczynę nagle uderzyło jakieś złe wspomnienie.

- Naprawdę? - Bria pomyślała, że dobrze byłoby mieć u boku kogoś obdarzonego takimi umiejętnościami. Pragnąc poprawić własną zdolność zapamiętywania, kiedyś także uczęszczała na lekcje hipnotycznych uwarunkowań. Uświadomiła sobie, jak niewiele może powierzyć pamięci komputerowych notatników albo arkusikom flimsiplastu. - Masz rację, jesteś dla niego bezcennym skarbem.

- A powodem, dla którego powiedziałam, że nie cieszę się na myśl o porannym zebraniu - ciągnęła Winter, pochylając się nad blatem stolika - nie jest nuda, pani komandor. Nie mogę znieść, kiedy słyszę, jak Hric Dalhney z uporem twierdzi, iż etyka Alderaan jest ważniejsza niż walka z Imperium. Bria przekrzywiła głowę.

- O, to ciekawe - rzekła. - Dlaczego tak uważasz?

- Już dwukrotnie, kiedy towarzyszyłam wicekrólowi i księżniczce Leii w dyplomatycznych misjach na Coruscant... - urwała i uśmiechnęła się ponuro - to znaczy, do Imperialnego Centrum, miałam okazję widzieć Imperatora. Raz nawet wstał, pochylił się nade mną i przemówił... wypowiedział kilka zdawkowych słów powitania, nic więcej. Mimo to...

Znów urwała i przygryzła wargę. Pierwszy raz sprawiała wrażenie niepewnej. Wyglądała jak mała, przerażona dziewczynka.

- Spojrzałam w jego oczy - podjęła po chwili. - I zrozumiałam, że już nigdy nie zapomnę ich widoku. Bez względu na to, jak bardzo bym się starała. Imperator Palpatine jest ucieleśnieniem zła. Jest wykoślawiony, zdeprawowany. - Dziewczyna wzdrygnęła się, chociaż w barze panowało przytulne ciepło. - Przeraził mnie. Był... podejrzliwy i traktował wszystkich jak wrogów. Nie potrafię tego inaczej wyrazić.

Bria kiwnęła głową.

- Opowiadano mi o nim - przyznała. - Nigdy jednak się z nim nie spotkałam. Widziałam go tylko z daleka. To wszystko.

- Nawet nie próbuj się z nim spotkać - ostrzegła młoda Alderaanka. - Ma takie dziwne oczy... wpijają się w człowieka, jakby chciały wysać duszę. Odnosisz wrażenie, że pochłaniają twoją osobowość.

Bria westchnęła.

- Właśnie dlatego musimy mu się przeciwstawić - rzekła stanowczo. - Palpatine o niczym innym nie marzy... Chce panować nad wszystkim i wszystkimi... nad światami, gwiazdami, systemami... istotami inteligentnymi, całą galaktyką. Zamierza zostać najbardziej bezwzględny despotą w historii wszechświata. Musimy wypowiedzieć mu wojnę, gdyż inaczej zmieie nas na popiół.

- Masz rację - oznajmiła również stanowczo Winter. - I właśnie dlatego, kiedy powrócę na Alderaan, oświadczę wicekrólowi, że musimy zdobyć broń i nauczyć się walczyć.

Zdumiona Bria zamrugwała.

- Naprawdę tak uważasz? - zapytała, kiedy trochę przysła do siebie. - Minister Dalhney ma odmienne zdanie.

- Wiem o tym - przyznała dziewczyna. - Wiem także, że wicekról sprzeciwia się przemocy. To jednak, co usłyszałam od ciebie w ciągu kilku ostatnich dni, utwierdza mnie w przekonaniu, że jeżeli Alderaan nie zacznie się zbroić, zostanie zniszczony. Dopóki władą nami Imperator, nie zaznamy prawdziwego pokoju.

- Czy przypuszczasz, że Bail Organa zechce cię wysłuchać? - zapytała Bria czując, że w jej serce wstępuje nowa otucha. Dobrze, że w ciągu tych kilku dni znalazłam zrozumienie chociaż u jednej osoby - pomyślała. - Przynajmniej moja misja nie zakończy się całkowitym fiaskiem.

- Nie wiem - odparła Winter. - Może... Jest prawym człowiekiem i szanuje tych, którzy umieją jasno przedstawić swój punkt widzenia - nawet jeżeli są bardzo młodzi. On także uważa, że powinniśmy przeciwstawić się Imperium. Rozkazał, żebyśmy obie, ja i jego córka, odbyły szkolenie w zakresie technik gromadzenia tajnych informacji. Wie, iż dwie młode, pozornie niedoświadczone i naiwne dziewczyny, zdołają dotrzeć do takich źródeł, do jakich nie udałoby się zbliżyć wielu wytrawnym dyplomatom.

Bria kiwnęła głowę.

- Sama się o tym przekonałam - powiedziała. - To smutne i karygodne, ale prawdziwe. Czasami piękna twarz i czarujący uśmiech zapewniają dostęp do tajnych baz

danych imperialnych urzędników, a nawet oficerów najwyższego szczebla dowodzenia. .. tam, gdzie zawodzą zwyczajne metody.

Powabna pani komandor uśmiechnęła się z przymusem i nałała sobie jeszcze jedną filiżankę winokofeiny.

- Bez wątplenia zauważyłaś, że Imperium jest zdominowane przez istoty ludzkie - i to w przeważającej mierze płci męskiej - ciągnęła po chwili. - A mężczyźni... no cóż, aż nazbyt łatwo dają się okręcać wokół palca urodziwym damom. Nie podoba mi się to i nie usprawiedliwiam takich metod zdobywania informacji, ale liczą się rezultaty. Minęło kilka dobrych lat, odkąd uświadomiłam sobie tę prawdę.

- Nawet jeżeli Bail Organa nie zechce mnie wysłuchać - odezwała się Winter - jestem pewna, że uczyni to jego córka, Leia. Właśnie ona nalegała, żeby szkolono nas w posługiwaniu się różnymi rodzajami broni. Obie nauczyłyśmy się trafiać do celu każdym strzałem. Z początku wicekról nie był zachwycony, ale po zastanowieniu przyznał nam rację, a nawet osobiście wybrał instruktora i zbrojmistrza Leii. Rozumie, że kiedyś może będziemy musiały walczyć o życie.

- Co osiągniesz, nawet jeśli uda ci się przekonać księżniczkę?

- zapytała sceptycznie Bria. - Jest ukochaną córką wicekróla, ale przecież to tylko młoda dziewczyna.

- Wicekról zamierza w następnym roku mianować ją przedstawicielką Alderaanu w Imperialnym Senacie - oznajmiła Winter.

- Nie powinnaś lekceważyć jej wpływów i siły charakteru.

- Nie będę - obiecała Korelianka, uśmiechając się do jasnowłosej rozmówczyni. - Bardzo się cieszę, że mogłam z tobą porozmawiać. Czulałam się przygnębiona i zniechęcona, a dzięki tobie odzyskuję wiarę we własne siły. Jestem ci za to, naprawdę bardzo wdzięczna.

- To ja jestem wdzięczna tobie, pani komandor - odparła dziewczyna. - Szczególnie za to, że nie ukrywałaś przede mną prawdy. Zgadzam się z przywódcami koreliańskiego ruchu oporu. Możemy liczyć na zwycięstwo tylko wówczas, jeżeli zawrzemy Sojusz. Mam nadzieję, że pewnego dnia tak się stanie...

Kiedy goście zaczęli się rozchodzić, Han podszedł do Calrissiana i gestem pokazał drzwi ogromnej sali.

- Chodźmy stąd - zaproponował. - Nie masz nic przeciwko temu, że postawię ci kolejkę?

Lando uśmiechnął się z przymusem.

- Chyba nie mam wyboru - powiedział. - Wyciągnąłeś ode mnie wszystkie kredyty.

Han wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Ja stawiam. Hej, Lando, a może potrzebujesz trochę gotówki? Chcesz, żebym opłacił twój przelot na Nar Shaddaa na pokładzie tego liniowca, który odlatuje jutro rano?

Lando zawahał się.

- Tak... i nie - odrzekł tajemniczo. - Chciałbym pożyczyć od ciebie tysiąc kredytów. Wiesz, że ci oddam. Postanowiłem jeszcze jakiś czas zostać na Bespinie. Paru inteligentnym istotom nie dopisało szczęście. Nie zakwalifikowały się do finału wielkiego turnieju i z pewnością odwiedzą jakieś kasyno, by powetować sobie poniesione straty. Myślę, że jakoś sobie poradzę.

Han kiwnął głową. Odliczył żetony warte półtora tysiąca kredytów, po czym wręczył je przyjacielowi.

- Nie spiesz się, kolego - oświadczył beztrąsko. - Nic pilnego-

Idąc z Hanem do baru, Lando obdarzył Koreliana szerokim uśmiechem.

- Dzięki, Hanie - powiedział z ulgą.

- Nie ma za co - odparł Solo. - Stać mnie na to... Ta pula sabaka bardzo poprawiła moją sytuację finansową.

Korelianiec czuł się bardzo zmęczony, ale wątpił, czy udałoby mu się zasnąć... jeszcze nie w tej chwili. Musiał nacieszyć się zwycięstwem - podobnie jak faktem, że wreszcie stał się właścicielem gwiazdowego statku.

- No cóż - zaczął. - Ja wracam już jutro. Nie widzę powodu, dla którego miałbym tu zostawać, a Chewie jest pewnie ciekaw, jak sobie poradziłem.

Lando chwilę spoglądał w przeciwległy kąt baru. Potem uniósł brwi.

- Och, jeżeli chodzi mnie, widzę aż dwa powody, żeby tu zostać - powiedział.

Han podążył za jego spojrzeniem i zobaczył dwie młode kobiety. Właśnie wychodziły z baru na korytarz. Jedna była wysoka, miała pełną figurę i krótkie ciemne włosy. Druga, bardzo szczupła, wyglądała na młodą dziewczynę, a jej długie, białe jak śnieg włosy opadały na plecy. Han pokręcił głową.

- Och, Lando, Lando... - westchnął. - Czy ty się nigdy nie zmienisz? Ta wyższa wygląda przecież jak zapaśniczka. Bez trudu przełożyłaby cię przez kolano i wymierzyła kilka mocnych klapsów. A druga jest taka młoda, że wylądowałbyś za kratkami za napastowanie nieletnich.

Lando wzruszył ramionami.

- No cóż, jeżeli nie któraś z nich, z pewnością zjawi się jakaś inna. W Mieście w Chmurach nie brakuje urodziwych dam. A poza tym, chciałbym trochę się tu rozejrzeć. Może uda mi się ubić jakiś interes. Zaczyna mi się tutaj podobać.

Han obdarzył przyjaciela szelmowskim uśmiechem.

- Rób, jak uważasz - powiedział. - Jeżeli chodzi o mnie, nie mogę się doczekać, kiedy wybiorę się na krótką wycieczkę własnym statkiem. - Uniósł rękę i pomachał do przechodzącego w pobliżu robota-kełnera. - Co pijesz, przyjacielu? - zapytał, spoglądając na Calrissiana.

Młody hazardzista przewrócił oczami.

- Proszę czerwony polanis, a dla niego... dużą porcję jakiejś innej trucizny.

Han wybuchnął śmiechem.

- A zatem - zaczął Lando - dokąd się wybierzesz w pierwszą podróż swoim nowym statkiem?

- Zamierzam dotrzymać obietnicy, jaką złożyłem przed prawie trzema laty Chewiemu - odparł Solo. - Polecę z nim na Kashyyyk, żeby mógł zobaczyć się z rodziną. „Sokół” jest tak szybki, że powinniśmy bez trudu przeslizgnąć się między patrolowcami Imperium.

- Ile czasu minęło, odkąd Chewie widział się z krewnymi? - zainteresował się Calrissian.

- Prawie pięćdziesiąt trzy lata - odparł Han. - Od tamtego czasu wiele mogło się zmienić. Zostawił na Kashyyyku ojca, kilkoro kuzynów i śliczną młodą samicę, która była w nim zakochana. Chyba najwyższy czas, żeby wrócił do domu i przekonał się, co porabiali.

- Pięćdziesiąt lat? - Lando pokręcił głową. - Nie wyobrażam sobie, żeby jakakolwiek kobieta zechciała czekać na mnie tyle czasu...

- Wiem o tym - wpadł mu w słowo Han. - Tym bardziej, że Chewie chyba nigdy nie poprosił Mallatobuck o rękę. Ostrzegałem go, żeby nie miał żadnych złudzeń. Powinien być przygotowany, że dziewczyna wyszła za męża, a nawet dochowała się wnuć.

Lando kiwnął głową, a kiedy zamówione trunki znalazły się na stole, uniósł swój puchar, żeby wnieść toast. Han także podniósł wysoką szklanicę mocnego alderaańskiego piwa.

- Za „Sokoła Millennium” - odezwał się uroczyście Lando. - Za najszybszą kupę złomu w całej galaktyce. Dbaj o ten statek, kolego. Teraz ty się nim opiekujesz.

- Za „Sokoła” - zawtórował mu Solo. - Za mój statek. Niech lata szybko i swobodnie. Szybciej niż wszystkie patrolowce Imperium.

Z powagą stuknęli szklanką o szklankę, aż zadźwięczały, a potem unieśli je do ust i spełnili toast.

Na planecie Nal Hutta wstawał parny dzień; ale przecież prawie każdy dzień na Nal Hutta był parny. Duchota, wilgoć, powietrzne przesycone cuchnącymi wyziewami... tak właśnie wyglądała Nal Hutta. Huttom jednak to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Sprowadzili się tu, ponieważ uwielbiali taki klimat. „Nal Hutta” oznaczało po huttańsku „Wspaniały Klejnot”.

Jeden z Huttów jednak tak intensywnie wpatrywał się w wyświetlany przez holoprojektor obraz, że nawet nie myślał o pogodzie. Nazywał się Durga i niedawno - przed sześcioma miesiącami, po przedwczesnej śmierci ojca - został nowym przywódcą klanu Besadii. Przebywał teraz w prywatnym gabinecie i nie odrywał spojrzenia od tworzącego się przed nim naturalnej wielkości hologramu.

Od śmierci Aruka upłynęły dwa miesiące, gdy Durga wynajął najlepszych specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej, jakich mógł znaleźć w całym Imperium. Zapłacił za ich przelot na planetę Nal Hutta i rozkazał, żeby przeprowadzili szczegółową autopsję opasłego cielska ojca. Był pewien, że ojciec nie umarł naturalną śmiercią, więc zamroził jego zwłoki i polecił, żeby przechowywano je w komorze zastoju.

Eksperci spędzili na Nal Hutta kilka pracowitych tygodni. Pobrali próbki tkanki ze wszystkich miejsc wielkiego ciała i przeprowadzili wiele testów. Pierwsze wyniki nie

przyniosły spodziewanych rezultatów, ale Durga nalegał, by specjaliści kontynuowali prace - a ponieważ im płacił, nie protestowali.

Teraz lord Huttów wpatrywał się w powstający przed nim migotliwy wizerunek szefa grupy specjalistów. Naukowiec był drobnym, wątym i bladym człowieczkiem o jasnożółtych, niemal siwych włosach. Nazywał się Myk Bidlor i nosił laboratoryjny kitel, pod którym skrywał mocno wymięte ubranie. Zapewne spostrzegł, że tworzy się przed nim wizerunek Durgi, ponieważ skłonił się lekko na powitanie lorda Huttów.

- Wasza Ekscelencjo - zaczął cicho. - Właśnie otrzymaliśmy wyniki ostatnich laboratoryjnych badań próbek tkanki, które przesłaliśmy na Coruscant... uhhh, to znaczy, do Imperialnego Centrum.

Zniecierpliwiony Durga machnął wątłą ręką na Bidlora, jakby chciał mu przerwać, a potem przeszedł na basie i powiedział:

- Spóźniłeś się. Oczekiwałem, że złożysz mi raport dwa dni wcześniej. Czego się dowiedziałeś?

- Przepraszam, Ekscelencjo, że wyniki testów dotarły do ciebie trochę później niż się spodziewałeś - odparł skruszony naukowiec. - Ale tym razem udało się nam wykryć coś, co z pewnością zainteresuje Waszą Ekscelencję. Coś nieoczekiwanego i niezwykle czystych próbek, nie mogliśmy ocenić dokładnej wartości współczynnika zachorowalności. Mimo to postanowiliśmy kontynuować i kiedy badaliśmy zawartość PSA w próbkach, jakimi dysponowaliśmy...

Durga grzmotnął drobną pięścią w blat stojącego w pobliżu stołu, wskutek czego rozplątał go na dwie części.

- Dość tych bzdur, Bidlor! - huknął. - Przejdź do sedna sprawy! Czy mój ojciec został zamordowany?

Przeżony naukowiec gwałtownie nabrał powietrza.

- Nie możemy stwierdzić tego z absolutną pewnością Wasza Ekscelencjo - powiedział. - Wiemy tylko, że wykryliśmy obecność bardzo rzadkiej substancji, której śladowe ilości zachowały się w komórkach mózgu lorda Aruka. Owa substancja nie występuje w przyrodzie. Żaden z członków mojego zespołu jeszcze nigdy nie miał z nią do czynienia. W tej chwili prowadzimy badania, mające na celu ustalenie jej właściwości...

Oszpecona porodowym znamieniem twarz Durgi wykrzywiła się grymasem, który uczynił ją jeszcze brzydszą. Hutt spojrzął na naukowca spode łba.

- Wiedziałem - oświadczył ponuro.

Myk Bidlor uniósł rękę, jakby pragnął powstrzymać go przed wyciąganiem pochopnych wniosków.

- Lordzie Durgo, bardzo proszę... niech pan nam pozwoli zakończyć wszystkie testy. Chcemy nadal prowadzić badania i złożymy raport, kiedy się upewnimy, że naprawdę coś wiemy...

Nie odrywając spojrzenia od migotliwego hologramu, Durga machnięciem ręki odprawił eksperta.

- Niech będzie. Tylko proszę złożyć mi raport natychmiast, kiedy zdobędziecie pewność, że wiecie, z czym mamy do czynienia.

Wąty mężczyzna znów zgiał ciało w niskim ukłonie.

- Obiecuję, Wasza Ekscelencjo.

Mrucząc jakieś przekleństwa, lord Huttów wyłączył projektor hologramów.

Durga nie był jedynym niezadowolonym Hurtem na planecie Nal Hutta. Także Jabba Desilijic Tiure, drugi w hierarchii potężnego klanu Desilijic, sprawiał wrażenie przygnębionego i niezadowolonego.

Spędził calutki ranek na rozmowie ze swoją ciotką Jiliac, przywódczynią klanu. Usiłował ukończyć ostateczny raport o stratach, jakie poniósł klan w wyniku napaści wojsk Imperium na księżyc Nar Shaddaa i próby podporządkowania sobie planety Nal Hutta. Atak imperialnych oddziałów zakończył się co prawda niepowodzeniem - głównie dlatego, że Jabba i Jiliac udało się przekupić dowodzącego całą akcją imperialnego admirała - ale Jabba nie wątpił, iż upłynie mnóstwo czasu, zanim interesy na księżycu Nar Shaddaa powrócą do poprzedniego stanu.

Nar Shaddaa był dużym księżycem krążącym wokół Nal Hut-ty. Czasami nazywano go Księżycem Przemysłowców. Nazwa była ze wszech miar usprawiedliwiona, jako że większość mieszkających tam obywateli albo parała się handlem nielegalnymi towarami - sprowadzanymi każdego dnia i transportowymi w inne rejony galaktyki - albo zaopatrywała przemysłowców we wszystko, co potrzebne do uprawiania ich procederu. Na Nar Shaddaa trafiały więc transporty przyprawy, broni, klejnotów, skradzionych skarbów, antyków... i w ogóle wszystkiego, na czym dało się zarobić.

- Ilość przeladowywanych towarów zmalała o czterdzieści cztery procent, ciociu - odezwał się Jabba, z wprawą przebierając małymi palcami po klawiaturze komputerowego notatnika. - W wyniku ataku tego po trzykroć przekłętego Sarna Shilda straciliśmy wiele statków wraz z kapitanami i załogami. Odbiorcy przyprawy narzekają, że nie jesteśmy w stanie sprostać zapotrzebowaniu. Nie transportujemy takich ilości towaru, jakich się spodziewają. Swoją statek stracił nawet Han Solo, a przecież jest najlepszym pilotem, jakiego mamy.

Jiliac spojrzała na krewniaka.

- Nie przestał latać naszymi statkami, drogi bratanku - rzekła oschle.

- Wiem o tym, ale większość statków, jakie nam pozostały, to przestarzałe modele, droga ciociu. Powolne - oświadczył z naciskiem Jabba. - A w naszym fachu szybkość to kredyty. - Młody Hutt dokonał kilku następnych obliczeń, a później wydał cichy jęk rozpaczy. - Czy wiesz, ciociu, że w tym roku osiągniemy zyski najniższe od dziesięciu lat?

Jiliac zareagowała na tę wiadomość głośnym czknięciem. Jabba uniósł głowę i przekonał się, że jego ciotka znów się pożywia. Smarowała grzbiety bagiennych wyj-ców jakąś wysokokaloryczną mazią, a potem wkładała stworzenia - jedno po drugim - do ogromnych ust. Przed rokiem zaszła w ciążę i przechodziła właśnie jeden z typowych dla Huttów okresów gwałtownego wzrostu... większość dorosłych Huttów przeżywała po kilka takich okresów w życiu.

Nim upłynął rok, Jiliac osiągnęła rozmiary o jedną trzecią większe niż te, jakie miała przed zajściem w ciążę.

- Lepiej uważaj - ostrzegł ją Jabba. - Te wyjce przyprawiły cię niedawno o potworną niestrawność. Już zapomniałaś?

Jiliac znów czknęła.

- Masz rację - rzekła. - Powinam przestać się obżerać. Ale moje maleństwo nie może być głodne.

Jabba westchnął. Noworodek Jiliac wciąż jeszcze spędzał większą część doby, bezpiecznie ukryty, w matczynej wielkiej torbie. W ciągu pierwszego roku życia potomstwo Huttów odżywiało się wyłącznie pokarmem matek.

- Jest wiadomość od Ephanta Mona - powiedział Jabba, widząc, że na obudowie komunikatora mruga lampka. Włączył odbiornik i pośpiesznie zapoznał się z jej treścią. - Uważa, że powinienem wrócić na Tatooine. Jestem pewien, że prowadzi tam moje interesy najlepiej, jak potrafi, ale lady Valarian wykorzystuje każdą chwilę mojej przedłużającej się nieobecności, żeby przejąć kontrolę choćby nad częścią mojego terytorium.

Jiliac skierowała wielkie, wylupiające oczy na krewniaka.

- Jeżeli musisz lecieć, leć, bratanku. Tylko postaraj się jak najszybciej wrócić. Będziesz mi potrzebny za jakieś dziesięć dni. Musisz wziąć udział w konferencji z przedstawicielami klanu Desilijic ze światów Jądra galaktyki.

- Ależ, droga ciociu, doskonale dasz sobie radę sama - zaoponował Jabba. - Więcej nawet, dobrze ci to zrobi. Zapewne już zapomniałaś, jak należy ich traktować.

Jiliac cicho czknęła, a potem ziewnęła.

- Och, ja także zamierzam w niej uczestniczyć, drogi bratanku - odparła beztrzesko, tłumiąc następne ziewnięcie. - Ale moje maleństwo jest takie wymagające... Chciałabym, żebyś mi towarzyszył, bym mogła je karmić, kiedy będzie głodne.

Jabba chciał zaprotestować, ale po chwili zrezygnował. Jakież miałoby to sens? Jiliac po prostu przestała się zajmować prowadzeniem interesów klanu Desilijic... a przynajmniej nie interesowała się nimi tak, jak przed zajściem w ciążę. Prawdopodobnie miało to coś wspólnego z hormonami...

Od czterech miesięcy Jabba robił, co się dało, by odrobić straty, jakie kajidic klanu Desilijic poniósł w wyniku Bitwy o księżyc Nar Shaddaa. Zaczynał być zmęczony dźwiganiem na swoich barkach - rzecz jasna, w przenośni, jako że Huttowie właściwie nie mieli żadnych barków - całej odpowiedzialności za kierowanie sprawami klanu Desilijic.

- A oto wiadomość, ciociu, która powinna cię zainteresować - oznajmił, zapoznając się z jej treścią. - Naprawa twój ego gwiazdowego jachtu dobiegła końca. „Smocza Perła” jest znów w pełni sprawna i zdolna do lotu.

Kiedyś - zapewne bardzo dawno - Jiliac zadałaby pytanie, które zaczynałoby się od: „Ile...”. Teraz jednak o to nie spytała. Widocznie przestała się interesować tak przyziemnymi sprawami...

Jacht Jiliac został porwany przez jakiegoś obrońcę księżyca Nar Shaddaa, a ponieważ brał udział w bitwie, odniósł poważne uszkodzenia. Dłuższy czas Jabba i jego

ciotka sądzili, że już go nie odzyskają. Potem jednak jakiś huttański przemytnik zauważył statek. „Smocza Perła” dryfowała w przestworzach pośród wielu innych zniszczonych, wypalonych i porzuconych wraków, jakich wiele krążyło wokół Księżyca Przemyslników.

Jabba rozkazał przyholować „Perłę” do gwiazdznego doku, ale chociaż wydał majątek na łapówki, nie dowiedział się, który przemytnik porwał jacht i latał nim podczas Bitwy. Pomyślał ze smutkiem, że kiedyś ciotka o wiele bardziej interesowała się losami ulubionego jachtu. Prawdę mówiąc, sama Jiliac ponosiła część odpowiedzialności za to, że jacht uległ uszkodzeniu. Jeszcze zanim doszło do bitwy, po prostu zapomniała wydać rozkaz sprowadzenia jachtu na powierzchnię planety Nal Hutta. „Napięcie nerwowe, związane z macierzyństwem” - jak to później określiła.

No cóż, owo „napięcie nerwowe, związane z macierzyństwem” i naprawa jachtu kosztowały klan Desilijic grubo ponad pięćdziesiąt tysięcy kredytów. A wszystko dlatego, że Jiliac nie okazała się dość przezorna.

Jabba westchnął i nie myśląc, co robi, sięgnął do akwarium z przekąskami ciotki. Kiedy wyjmował bagiennego wyjca, usłyszał sapanie, a po nim przeciągły, dudniący warkot. Obejrzał się. Jiliac zamknęła wylupiaste oczy, a z półprzymkniętych ust wydobywało się głośne chrapanie.

Westchnął jeszcze raz, po czym zabrał się do pracy...

Późnym wieczorem tego samego dnia Hurt Durga spożywał kolację w towarzystwie kuzyna Ziera. Durga nie znosił Ziera, ponieważ wiedział, że drugi huttański lord był swego czasu jego głównym rywalem w walce o władanie klanem Besadii. Tolerował go jednak, gdyż sprytny i mądry Zier nie przeciwstawiał mu się jawnie. Durga dobrze zapamiętał pouczenie Aruka: „przyjaciół powinno się mieć blisko siebie - a wrogów jeszcze bliżej”. Idąc za radą ojca, mianował Ziera - aczkolwiek nigdy tego oficjalnie nie ogłosił - swoim porucznikiem. Powierzył mu nadzór nad prowadzeniem skomplikowanych interesów klanu Besadii na planecie Nal Hutta.

Trzymał go wszakże na bardzo krótkiej smyczy i nie obdarzył ani odrobiną zaufania. Jedząc kolację, obaj lordowie Hurtów od czasu do czasu piorunowali się spojrzeniami i toczyli słowne pojedynki. Traktowali jeden drugiego jak drapieżnik ofiarę.

W pewnej chwili, kiedy Durga unosił do ust bardzo smakowity kąsek, do pokoju wślizgnął się zarządca posiadłości, Chevin o nazwisku Osman - płaszcząca się, człekokształtna istota o wyjątkowo bladej skórze.

- Panie, właśnie wysłano wiadomość - oznajmił cicho. - W ciągu najbliższych kilku minut dotrą tu ważne informacje z Coruscant. Czy zechce pan wysłuchać ich tutaj?

Durga zerknął podejrzliwie na Ziera.

- Nie - odparł. - Odbiorę je u siebie.

Wprawił ogromne cielsko w ruch falowy i podążył za Osmanem do osobistego gabinetu. Na płycie czołowej projektora hologramów mrugała lampka. Może Myk Bidlor chce mu powiedzieć, jaką substancję wykryto w komórkach mózgu ojca. Sądząc po zachowaniu naukowca, Durga odniósł jednak wrażenie, że upływie wiele dni, a może nawet miesięcy, zanim zespół ekspertów ukończy wszystkie testy.

Niecierpliwym gestem odprawił zgiętego w ukłonie Chevina, a kiedy człekokształtna istota, wycofując się tyłem, zamknęła za sobą drzwi gabinetu, wystukał na klawiaturze kombinację liter i cyfr, która usuwała blokadę. Później przełączył projektor hologramów na chronioną częstotliwość i pstryknął przełącznikiem odbiornika.

Chwilę potem spoglądał na wizerunek młodej istoty ludzkiej płci żeńskiej... prawie naturalnej wielkości. Durga nie bardzo wiedział, jakie cechy składają się na ludzki ideał piękna i wdzięku... ale młoda samica sprawiała wrażenie wyjątkowo sprawnej fizycznie i wysportowanej.

- Lordzie Durga - odezwała się kobieta. - Nazywam się Guri i jestem doradczynią księcia Xizora. Książę chciałby porozmawiać z tobą osobiście.

O, nie! - pomyślał Hurt. Gdyby był człowiekiem, zapewne oblałby się zimnym potem. Huttowie jednak się nie pocili... chociaż ich pory wydzielały oleistą substancję, która czyniła skórę śliską i wilgotną.

Hurt Aruk nie wychował jednak syna na głupca. Durga żadnym gestem nie okazał przerażenia. Zamiast tego lekko kiwnął głową - co, jak wiedział, u ludzi oznaczało przyzwolenie.

- Będzie to dla mnie wielki zaszczyt.

Świetlista sylwetka Guri usunęła się na bok, a na jej miejscu pojawiła się niemal natychmiast wysoka, majestatyczna postać księcia Falleenów Xizora, przywódcy potężnego przestępczego imperium, znanego jako Czarne Słońce.

Ziomkowie Xizora, Falleenowie, byli kiedyś podobni do jaszczurów, ale w wyniku ewolucji upodobnili się do ludzi. Książę Xizor wyglądał zatem prawie jak ludzka istota o zielonkawej skórze i matowych oczach, które nie wyrażały żadnych uczuć. Jego ciało, prężne i umięśnione, zdawało się należeć do trzydziestolatka; Durga wiedział jednak, że Xizor ma około stu lat. Jeżeli nie liczyć kosmyka długich, czarnych, opadających na ramiona włosów, książę był zupełnie łysy. Miał na sobie jednoczęściowy strój, trochę przypominający lotniczy kombinezon, na który narzucił kosztowną oponczkę.

Widocznie przywódca Czarne Słońca zorientował się, że Durga już go widzi, gdyż lekko kiwnął głową.

- Witam cię, lordzie Durga - odezwał się po chwili. - Od kilku miesięcy nie miałem od ciebie żadnej wiadomości i dlatego postanowiłem sam zapytać, jak się czujesz. Jak radzi sobie klan Besadii po tym, jak wasz przywódca, a twój nieodżałowanej pamięci ojciec, zakończył życie w tak młodym wieku?

- Klan Besadii radzi sobie doskonale, Wasza Wysokość - odrzekł Durga. - Zapewniam cię, że bardzo cenimy sobie pomoc, jakiej zechciałeś nam udzielić.

Kiedy Durga w końcu zwyciężył w walce o stanowisko przywódcy klanu Besadii, spotkał się z ostrym sprzeciwem pozostałych przywódców klanu. Inni Huttowie mieli mu za złe, że jego twarz szpeciło porodowe znamię, które kodeks Huttów uznawał za wyjątkowo niepomyślną wróżbę. Durga nie miał innego wyjścia i musiał zwrócić się o pomoc do księcia Xizora. Zanim upłynął tydzień od przedstawienia prośby, trzej najbardziej zagorzali przeciwnicy, a zarazem najgorsi prześmiewcy Durgi, zginęli w tajemniczych, ale nie powiązanych ze sobą wypadkach. Pozostali oponenci wyraźnie spuścili z tonu...

Rzecz jasna, lord obiecał, że odwdzięczy się księciu za tę pomoc. Cena, którą przyszło zapłacić, okazała się niewygórowana i niska w porównaniu z oczekiwaniami Durgi. Spadkobierca Aruka zrozumiał, iż Czarne Słońce nie powiedziało ostatniego słowa.

- Jestem rad, lordzie Durgo, że mogłem udzielić ci pomocy, której tak bardzo potrzebowałaś - ciągnął Xizor, rozkładając ręce w geście absolutnej szczerości. Durga nie wątpił, iż księżę Falleenów mówi to, co myśli. Lord klanu Besadii od dawna wiedział, że Czarne Słońce z radością opanowałoby przyczółek w przestworzach Huttów. - Muszę też dodać, że bardzo pragnę, abysmy i w przyszłości mogli tak zgodnie współpracować.

- Możliwe, że kiedyś będziemy, Wasza Wysokość - odrzekł Durga. - W tej chwili jednak cały czas wypełniają mi problemy klanu. Nie mogę rozpraszać uwagi na sprawy, które nie dotyczą planety Nal Hutta.

- Ach, ale przecież znalazłeś trochę czasu, żeby zainteresować się interesami klanu Besadii na Ilezji - powiedział Xizor takim tonem, jakby tylko myślał na głos. - Co za imponująca operacja. Co za skuteczność. I wszystko osiągnięte w ciągu stosunkowo krótkiego czasu. Muszę przyznać, że to wywiera duże wrażenie.

Durga poczuł, że zjedzony posiłek podchodzi mu do gardła. A zatem tego Xizor pragnie - pomyślał ponuro. - Ilezja. Chciałby mieć udział w zyskach, które ciągniemy z operacji na Ilezji.

- To chyba zrozumiałe, Wasza Wysokość - odparł, kiedy odzyskał panowanie nad sobą. - Ilezja ma ogromne znaczenie dla interesów klanu Besadii. Nasze operacje na tej planecie nakładają na mnie wiele obowiązków, a przecież nie mogę ich zaniedbywać.

- Wcale mnie to nie dziwi, lordzie Durgo - odparł księżę Falleenów. - Nie spodziewałbym się po tobie niczego innego. Jeżeli chodzi o interesy, twoi ziomkowie przypominają Falleenów bardziej niż większość istot, które chętnie się bystrością umysłu i umiejętnością dbania o własne sprawy... nie wyłączając ludzi. Ludzie nie potrafią zachować obiektywizmu i zimnej krwi, ale kierują się emocjami.

- To prawda, Wasza Wysokość, święta prawda - przyznał ochoczo Durga.

- Jednakże i moi, i twoi ziomkowie bardzo szanują rodzinę, prawda? - ciągnął po chwili milczenia Xizor.

Do czego on, na miłość wszystkich inteligentnych istot galaktyki, właściwie zmierzają? - zastanawiał się lord Huttów. Nie miał pojęcia, o co może chodzić rozmówcy, i świadomość ta sprawiała, że zaczynał się irytować.

- Tak, to również prawda, Wasza Wysokość - zgodził się po kilku chwilach, dokładając starań, żeby jego głos zabrzmiał beznamiętnie.

- Z zebranych przeze mnie informacji wynika, że możesz potrzebować pomocy w poznaniu prawdy o śmierci ojca, lordzie Durgo - powiedział Xizor. - Wszystko wskazuje na to, że wyszły na jaw... dziwne okoliczności jego zgonu.

Jakim cudem poznał tak szybko treść raportu? - zastanawiał się zdumiony Durga. Po sekundzie czy dwóch jednak odzyskał jasność myślenia. Rozmawiał przecież z przywódcą Czarnego Słońca, największej organizacji przestępczej galaktyki. Zapewne nawet Imperator nie dysponował lepszą siecią szpiegów.

- Moi ludzie prowadzą w tej sprawie dochodzenie - odparł beznamiętnie. - Z pewnością dam znać, jeżeli zechcę poprosić Waszą Wysokość o pomoc. Jestem bardzo zobowiązany i wdzięczny, że Wasza Wysokość okazuje mi współczucie.

Xizor lekko kiwnął głową, jakby zgadzał się z jego słowami, a zarazem okazywał szacunek.

- Członkom rodziny należy okazywać cześć, długi powinno się spłacać, a kiedy to konieczne, lordzie Durgo, nie wolno zwlekać z zemstą - odparł księżę Falleenów, spoglądając prosto w oczy Hutta. - Lordzie Durgo, chciałbym być z tobą absolutnie szczerzy. Interesy Czarnego Słońca w obszarze Odległych Rubieży mogłyby iść o wiele lepiej niż w tej chwili. Sojusz z naturalnymi władcami tego rejonu przestworzy, Huttami, przyniósłby nam wiele korzyści. Wszystko zaś przemawia za tym, że to ty, lordzie Durgo, jesteś wschodzącą gwiazdą na firmamencie planety Nal Hutta.

O dziwo, młody lord Huttów nie poczuł się słowami Xizora ani zaszczycony, ani uspokojony. Przypomniawszy sobie natychmiast rozmowę, którą odbył z ojcem krótko przed jego śmiercią. W ciągu ostatnich dwudziestu lat księżę Xizor kontaktował się z lordem Arukiem kilka razy i zawsze składał przywódcy klanu Besadii podobnie brzmiące propozycje. Aruk zawsze odmawiał... najuprzejmiej, jak potrafił. Nie chciał narażać się na gniew Xizora, ale nie miał zamiaru zostawać jednym z poruczników księcia Falleenów - albo, jak nazywał ich sam Xizor, „Vigów”.

- Potęga Czarnego Słońca może cię łatwo uwieść, moje dziecko - mawiał Aruk. - Strzeż się jej. Dopóki żyje księżę Xizor, nie zdołasz uwolnić się z uścisku jego rąk. Czasami łatwiej jest sprzeciwić się samemu Imperatorowi. Jeżeli pozwolisz Czarnemu Słońcu opanować kilometr przestworzy, zechce wziąć od ciebie cały parsek. Nigdy o tym nie zapomnij, synu.

- Nie zapomnę - obiecał wówczas Durga. Teraz spojrzał na księcia Xizora.

- Zastanowię się nad tą propozycją, Wasza Wysokość - odpowiedział. - Na razie jednak... muszę postępować zgodnie z uświęconymi zwyczajami Huttów, a one nakazują, żebym podjął dochodzenie i, jeśli uznam to za konieczne, wywarł zemstę sam... nie korzystając z niczyjej pomocy.

Xizor jeszcze raz lekko kiwnął głową.

- Doskonale cię rozumiem, lordzie Durgo - rzekł. - Cieszę się na myśl o tym, że kiedy zastanowisz się nad moją propozycją, przyjmiesz ją, a wówczas zechcesz się ze mną skontaktować.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - odparł Durga. - Czuję się zaszczycony okazaną troską i zachwycony, że mogę być twoim przyjacielem.

Pierwszy raz w ciągu całej rozmowy księżę Falleenów lekko się uśmiechnął. Zaraz potem przerwał połączenie.

Kiedy tylko świetlisty hologram Xizora rozpląnął się w powietrzu, Durga zwiotczał. Odnosił wrażenie, że słowny pojedynek z przywódcą Czarnego Słońca pozbawił go wszystkich sił. Mimo to pogratulował sobie w duchu. Spisał się przecież nie najgorzej.

Ilezja - pomyślał ponuro. - Chodzi mu o udział w zyskach z naszych operacji na Ilezji. No cóż, Xizor może mieć wiele pragnień, ale każde inteligentne dziecko wcze-

śniej czy później dowiaduje się, że chce czegoś, a móc to dostać, to dwie różne sprawy.

Gdyby Xizor wiedział, że wydałem rozkaz założenia następnej kolonii na Ilezji i wysłałem grupy zwiadowców do systemu Nyrvony z zadaniem znalezienia planety, która najlepiej nadawałaby się do założenia nowej kolonii dla pielgrzymów, byłby wściekły - pomyślał z satysfakcją. - Z pewnością zdwoiłby wysiłki, żeby nakłonić mnie do współpracy. Dobrze, że nikomu nie mówiłem o ambitnych planach ekspansji naszego klanu.

W wyobraźni lorda Huttów pojawił się wyraźny, prawie rzeczywisty obraz wielu Ilezji... światów, gdzie szczęśliwi i zadowoleni z życia pielgrzymi przetwarzają surową przyprawę w czysty zysk. Może nawet powinienem przenieść część operacji na jakiś świat Jądra galaktyki? - pomyślał. - Palpatine nie powinien mieć nic przeciwko temu. Zbyt wysoko ceni niewolników, których tak tanio sprzedają jego sługom...

Lord Huttów się uśmiechnął. Odwrócił się i czując, że ciągle ma apetyt, skierował się do salonu, by dokończyć kolację.

Daleko, w Imperialnym Centrum, książę Xizor odwrócił się plecami do kamery holoprojektora.

- Ten Hutt jest nie tylko szczwany, ale i wygadany - zwrócił się do Guri, androida replikującego człowieka. - Może sprawić więcej kłopotów niż się spodziewałem.

Zaprogramowana jak skrytobójczymi ARC - i wyglądająca jak ucieleśnienie piękna - młoda kobieta wykonała bardzo subtelny, a zarazem wymowny ruch ręką. Każdy bez trudu zrozumiałby ów gest... i kryjącą się w nim groźbę.

- Może powinniśmy go zlikwidować, książę? - zapytała. - To byłoby proste...

Xizor kiwnął głową.

- Dla ciebie, Guri, nawet gruba skóra Hutta nie stanowiłaby przeszkody - powiedział. - Ale zabijanie kogoś, kto w przyszłości może się okazać przeciwnikiem, nigdy nie jest takie skuteczne i efektywne, jak przemienienie go w posłusznego sługę.

- Z raportów wynika, mój książę, że młody lord Durga jeszcze nie umocnił władzy nad klanem Besadii i jego kajdnicem - stwierdziła replikantka. - Może lepszym kandydatem okazałby się Hutt Jabba.

Xizor zastanawiał się chwilę czy dwie, by wreszcie pokręcić głową.

- Jabba przydawał mi się w przeszłości - odparł. - Przekazywał mi informacje... rzecz jasna, niemal wszystkie już wcześniej znałem... a i ja oddałem mu niejedną przysługę. Wolę jednak, żeby nadal pozostawał moim dłużnikiem. Kiedy zażadam, żeby spłacił dług wdzięczności, chciałbym, żeby... uczynił to z entuzjazmem. Jabba poważa Czarne Słońce. Przypuszczam też, że trochę się nas boi, ale jestem pewien, że nigdy się do tego nie przyzna.

Guri kiwnęła głową. Większość inteligentnych istot galaktyki, które miały choć trochę zdrowego rozsądku - i wiedziały, czym właściwie jest Czarne Słońce, a takich było bardzo niewiele - obawiało się przestępczej organizacji.

- A poza tym - ciągnął z namysłem książę Falleenów - Jabba jest zbyt... niezależny. Przyzwyczał się nagać innych do swojej woli. Durga jest równie inteligentny, ale

- w przeciwieństwie do Jabby - na tyle młody, żebyśmy potrafili nagiąć go do naszej woli. Zdołam tego dokonać. Durga będzie cennym nabytkiem. Huttowie są przekupni i bezlitośni. Krótko mówiąc, idealnie nadają się do moich celów.

- Rozumiem, mój książę - odezwała się spokojnie replikantka.

Guri nigdy się nie denerwowała. Była przecież sztucznym tworem - choć we wszystkim przewyższała niezdarne, toporne automaty, które widziała w wyobraźni większość ludzi, słysząc słowo „android”. Podobnie rzecz się miała z księciem Xizorem. On również w niczym nie przypominał swych łuskowatych prapraprzodków.

Xizor podszedł do fotela i opadł na siedzenie. Czekając, aż mebel dopasuje się do kształtów jego ciała, leniwie się przeciągnął. Nie przestając rozmyślać, pogładził policzek ostrym jak gwóźdź szpicem paznokcia. Zakrzywiony szpon tylko musnął zielonkawą skórę.

- Czarne Słońce powinno opanować jakiś przyczółek w przestworzach Huttów - ciągnął zamyślony - a pertraktacje z lordem Durgą mogą być naszą największą szansą. A poza tym... klan Besadii włada Ilezją. Skala tamtejszych operacji jest niewielka w porównaniu z interesami Czarne Słońca, ale jej skuteczność wywiera na mnie wrażenie. Lord Aruk był najsprytniejszym i najprzebieglejszym starym Huttem, jakiego znam. Nigdy nie zgodził się ze mną współpracować... Może jego syn okaże się bardziej uległy?

- Co zamierzasz uczynić, mój książę? - zapytała rzeczowo Guri.

- Dam Durdze trochę czasu, żeby mógł uświadomić sobie, jak bardzo potrzebuje Czarne Słońca - odrzekł Xizor. - Dopilnuj, żebym otrzymywał dokładne i szczegółowe raporty o postępach śledztwa w sprawie śmierci Aruka. Życzę sobie, żeby moi wywiadowcy wiedzieli wcześniej niż Durga, co odkryli jego specjaliści od medycyny sądowej. Krótko mówiąc, chcę wiedzieć, jak zginął Aruk - zanim prawdę o jego śmierci pozna młody lord klanu Besadii.

Guri kiwnęła głową.

- Stanie się, jak sobie życzysz, mój panie - powiedziała.

- A jeżeli z raportów specjalistów Durgi będzie wynikało, że za śmierć Aruka ktoś odpowiada - najprawdopodobniej Jiliac albo Jabba - mają zostać przedsięwzięte jak najdelikatniejsze środki, aby wiadomość o tym nie dotarła do Durgi. Nie chcę jednak, żeby młody lord klanu Besadii powziął podejrzenie, że ktokolwiek uniemożliwia mu poznanie prawdy o śmierci ojca... Czy to jasne?

- Tak, mój książę. Twoja wola jest dla mnie rozkazem.

- To dobrze. - Xizor wyglądał na zadowolonego. - Niech Durga jeszcze kilka miesięcy - może nawet rok - bawi się w detektywa. Niech jeszcze podrepcze w kółko, usiłując pochwycić własny śliski ogon. Niech się zirytuje. Niech ogarnie go takie rozdrażnienie, że w końcu z radością przystanie na moją propozycję. Dopiero wówczas zgodzi się poświęcić część swej fortuny - i odpowiedni procent zysków z operacji na Ilezji... - dzięki czemu na zawsze zwiąże swój los z Czarnym Słońcem.

Han Solo dotarł do obskurnego mieszkania na księżycu Nar Shaddaa wcześniej rano, by przekonać się, że wszyscy domownicy smacznie śpią.

- Hej, wszyscy, wstawać z barłogów! - krzyknął tak głośno jak potrafił. - Chewie, Jariku... pobudka! Pobudka! Wygrałem! Spójrzcie na to!

Przebiegł przez pokój, nie przestając krzyczeć i wymachiwać plikiem czeków kredytowych... tak grubym, że udławiłby się nim nawet banth.

Han i Chewie dzielili pokój z młodzieńcem o imieniu Jarik i archaicznym, rozklekotanym androidem ZeeZee, którego Han wygrał przed kilkoma miesiącami od Mąka Spince'a podczas przyjacielskiej partii sabaka. Po miesiącu czy dwóch nabrał jednak pewności, że Mąko - notoryczny i doświadczony oszust - ułożył karty-płytki w taki sposób, żeby przegrać ZeeZee - i w taki sposób pozbyć się niechcianego automatu.

Z początku Solo powierzył ZeeZee obowiązki gospośi, ale bardzo szybko przekonał się, że wiecznie jękający się android bardziej przeszkadza niż pomaga. Widok nieporadnego automatu sprząającego pokój tak go irytował, że kilkakrotnie przysięgał sobie, iż odda zabytkowy szmelc do składnicy złomu. Nigdy jednak nie mógł się na to zdobyć. W końcu, zniechęcony i przygnębiony, zrezygnował. Rozkazał ZeeZee, żeby „zostawił wszystko, jak jest, i nie zwracał sobie głowy”.

Jarik „Solo” był zwykłym ulicznikiem, którego Han spotkał kiedyś na jednym z najniższych poziomów księżycy Nar Shaddaa. Mniej więcej przed rokiem rezolutny młodzieniec oświadczył, że także nazywa się Solo i jest dalekim kuzynem Hana. Bez wątplenia szanował i podziwiał zawiadackiego Korelianina... tym bardziej, że Han cieszył się opinią jednego z najlepszych pilotów całej galaktyki. Jarik był zuchwałym, przystojnym i sympatycznym chłopakiem. Patrząc na niego, Han odnosił wrażenie że widzi samego siebie w wieku kilkunastu lat. Po cichu jednak przeprowadził własne dochodzenie i upewnił się, że on i Jarik nie są spokrewnieni. Jarik nie mógł posługiwać się nazwiskiem Solo - a przynajmniej miał do tego nie większe prawo niż Wookie Chewbacca. Chłopak go oszukał... ale Han uświadomił sobie, że przywiązał się do niego, a nawet go polubił. Pozwolił mu więc zamieszkać w swoim mieszkaniu i nawet towarzyszyć w niebezpiecznych wyprawach. Wkrótce też okazało się, że Jarik jest całkiem przyzwoitym strzelcem.

Kiedy przezwycięzył początkowy strach, spisywał się bardzo dzielnie podczas Bitwy o Nar Shaddaa. Zestrzelił nawet kilka imperialnych myśliwców typu TIE i pomógł w ten sposób Hanowi, Calrissianowi i Salli Zend przechylić szalę zwycięstwa całej bitwy. Han nigdy nie powiedział chłopcu, że zna prawdę o jego pochodzeniu. Młodzieniec powinien myśleć, że jest kimś... cóż z tego, że tym kimś nie był? Pozwolił więc, żeby Jarik nadal korzystał z nazwiska Solo. Może nawet czuł się zaszczycony?

Teraz zaś krzyczał głośno, biegając po pokoju i odbijając się od ścian. Z łóżek podnosili się wciąż jeszcze rozespiani przyjaciele.

- No, dalej, obudźcie się, wstawajcie! - krzyczał wesoło. - Zwyciężyłem, chłopaki! I wygrałem od Landa jego „Sokoła”!

Usłyszawszy radosną nowinę, Chewie ryknął, Jarik wrzasnął, a biedny, stary ZeeZee tak się przeraził, że zrobiło mu się zwanie i trzeba go było ponownie włączyć. Klepiąc się nawzajem po plecach, śmiejąc, gratulując zwycięzcy i wznosząc radosne okrzyki, Han, Chewie i Jarik wbiegli z pomieszczenia. Skierowali się prosto do tej części lądowiska, gdzie stały - starannie zaparkowane jeden obok drugiego - używane stat-

ki ciemnoskórego hazardzisty. Han nie wypuszczał z rąk komputerowego notesu z wekslem Calrissiana.

Kiedy skończył załatwiać wszystkie formalności związane ze zmianą właściciela frachtowca, cofnął się kilkanaście kroków, aby obejrzeć statek.

- Mój... - powiedział do siebie i uśmiechnął się tak szeroko, że aż zaboląły go mięśnie twarzy.

Natychmiast zaczął myśleć o tym, w jaki sposób go ulepszyć. Jeżeli chciał zmienić frachtowiec w jednostkę swoich snów, musiał dokonać w nim wielu zmian i przeróbek. Nareszcie jednak miał dość kredytów, żeby urzeczywistnić swoje marzenia...

Po pierwsze i najważniejsze, musi nakłonić Shuga i Sallę, żeby pomogli mu zdemontować doskonałej jakości pancerne płyty, które chroniły kadłub imperialnego okrętu „Likwidator”. Wypalony kadłub ciężkiego krążownika, całkowicie zniszczonego podczas Bitwy o Nar Shaddaa, wciąż jeszcze krążył wokół Księżyca Przemysłników pośród wraków innych gwiazdnych statków. Najważniejszym zadaniem było teraz zdobycie jak najlepszych i najwytrzymalszych płyt pancerni. Han za nic w świecie nie chciałby, żeby kiedyś „Sokoła” spotkał taki sam los jak „Brie”, jego poprzedni statek.

Po drugie, chciał mieć dobry blaster. Mógłby go znaleźć w jakimś pomieszczeniu wraka krążownika. Przemysł towarów stawał się z każdym miesiącem coraz bardziej ryzykownym procederem. Może się zdarzyć, że będzie musiał szybko się wycofać. I co wtedy? Człuyby się o wiele pewniej, gdyby mógł osłonić odwrót ogniem blasterowych strzałów.

Po trzecie, trzeba dokonać przeglądu jednostki napędu nad-światłowego „Sokoła Millennium” i może zainstalować pod dziobem lekkie działko blasterowe. Z całą pewnością musi wyposażyć statek w wyrzutnie pocisków z zapalnikami udarowymi. Może też zdecydować się przenieść wieżyczkę czterolufowego działka, tak, by jedna znalazła się nad drugą, a nie - jak dotychczas - jedna na grzbiecie, a druga na prawej burcie. Zyska dzięki temu lepsze pole ostrzału. Możliwe także, że statkowi przydałoby się porządne ochronne pole siłowe...

Stał na płycie lądowiska i nie odrywał spojrzenia od gwiazdnego statku. Zastanawiał się nad tym, co jeszcze mógłby w nim ulepszyć albo zmienić... i co robi, kiedy wreszcie koreliański frachtowiec typu YT-1300 przeistoczy się w idealny statek... marzenie każdego przemysłnika.

- Ukryte ładownie - pomyślał głośno.

- Słucham? - Jarik obrzucił go zdziwionym spojrzeniem. - Co powiedziałaś, Hanie?

- Powiedziałem, że zamierzam zainstalować tajne skrytki, chłopcze... niewielkie ładownie, ukryte pod płytami pokładu - odparł Han, obejmując go w pasie. Popatrzył na Chewbacę i wyszczerzył zęby w szerokim, łobuzerskim uśmiechu. - I zgadnij, kolego, kto mi w tym pomoże?

Twarz chłopaka rozpromieniła się uśmiechem. Jarik wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

- Wspaniale! - krzyknął. - Jakie towary chcesz nim najpierw transportować?

Han się zamyślił.

- Najpierw polecimy na Kashyyyk - oznajmił stanowczo. - Najlepiej byłoby zabrać tam transport eksplodujących krótkich bełtów do kusz. Co o tym sądzisz, Chewie?

Chewbacca wyraził aprobatę głośnym, przeciągłym rykiem. Perspektywa wizyty w domu sprawiła, że wyglądał na bardziej podnieconego i szczęśliwego niż kiedykolwiek.

Dwa dni później, kiedy zamaskowane skrytki pod pokładem „Sokoła” wypełniono po brzegi przemycanymi bełtami do kusz, Han Solo wyprowadził „Sokoła Millennium” z gwiazdnej stajni, której właścicielem był Shug Ninx, i ruszył w przestworza. Rozkoszował się niespotykanym u innych statków tej klasy dużym przyspieszeniem. Na fotelu drugiego pilota usiadł Chewie, a Jarik pełnił obowiązki strzelca. Han miał nadzieję, że nie natkną się na żaden imperialny patrolowiec, ale gdyby nie dało się uniknąć walki... no cóż, wolał być przygotowany.

Kashyyyk był imperialnym „protektoratem” (czytaj: skolonizowaną planetą). Imperialni żołnierze zdołali wprawdzie ujarzmić jego mieszkańców - Wookiech, ale woleli nie zapuszczać się do ich miast ani domów. Ilekroć dokonywali rewizji albo kogoś szukali, poruszali się zawsze uzbrojoną grupą. Wookiee słynęli w całej galaktyce z niezwykłej siły, krewkiego temperamentu i uporu.

Han zdołał prześlizgnąć się między imperialnymi patrolowcami i trzymać się poza zasięgiem sensorów obronnych satelitów, które krążyły wokół zielonkawej kuli Kashyyyka. Prawie cały rodzinny świat Wookiech porastały lasy, w których przeważały gigantyczne, monstrualnie wielkie wroshyry. Cztery kontynenty oddzielone były wstęgami oceanów. Widziane z tej wysokości archipelagi przybrzeżnych wysp iskrzyły się niczym szmaragdy, rozsypane na błękitnym atłasie powierzchni wody. Na planecie znajdowało się także kilka pustyń, z których większość leżała u stóp równikowych łańcuchów górskich.

Kiedy „Sokół Millennium” znalazł się w zasięgu planetarnych stacji namiarowych, Chewbacca włączył komunikator. Nastawił nadajnik na tajną częstotliwość i zaczął wyrzucać z siebie krótkie serie dziko brzmiących gardłowych warknięć, szczęknięć, burzeń, chrząknięć i pomruków. Niezwykle dźwięki brzmiały jak mowa Wookiech... brzmiały, ale nią nie były.

Zdumiony Han zmarszczył brwi i zerknął na przyjaciela. Mimo iż wiele dźwięków miało znajome brzmienie, właściwie to nie zrozumiał ani słowa z tego, co mówił Chewie. Kiedy drugi pilot „Sokoła” skończył mówić do mikrofonu, z odbiornika rozległ się czyjś głos. Serie gardłowych dźwięków brzmiały jak polecenia albo rozkazy, ale i tym razem Han nie pojął nic więcej niż poprzednio.

Nagle zerknął na ekran sensorów i dokonał nagłej zmiany trajektorii lotu. Zobaczył, że zza tarczy planety wylania się startujący imperialny statek.

- Jariku, chłopcze miej oczy szeroko otwarte - powiedział przez interkom. - Nie sądzę, żeby nas zauważyli, ale lepiej zachowajmy czujność.

Upłynęło kilka pełnych napięcia sekund, zanim Han odetchnął z ulgą. Ze wskazań czujników wynikało, że kapitan imperialnego statku ich nie zauważył. Nie wiedząc o ich obecności, spokojnie leciał nadal tym samym kursem.

Chewie przekazał Hanowi treść poleceń i współrzędne wektora podejścia, które uzyskał od kontrolera ruchu powietrznego. Solo miał lecieć jak najniżej - a właściwie muskać korony najwyższych wroshyrów - i przygotować się do nagłych zmian kursu, ilekroć Chewie wyda takie polecenie.

- W porządku, kolego - odparł Solo. - To twoja planeta, ty tu rozkazujesz. Tylko... co to za dziwnego języka używałeś? Czyżby jakiś tajny szyfr, znany tylko istotom twojej rasy?

Chewbacca zachichotał i wyjaśnił swojemu przyjacielowi człowiekowi, jak beżmyślni i głupi potrafią być żołnierze Imperium. Większość nawet nie uświadamia sobie, że nie wszyscy Wookiee są tacy sami. Na planecie żyło kilka spokrewnionych ze sobą, ale różnych plemion. Han już wiedział, że Chewbacca jest Rwookiem i dlatego ma charakterystyczny dla tego plemienia brunatny, rdzawy i kasztanowy odcień sierści. Pamiętał także, że język, którego się nauczył, ale którym nie mówił, to shyriiwook, czyli - rzecz jasna, w dowolnym tłumaczeniu - „mowa ludzi lasu”.

Chewbacca wyjaśnił też, że chwilę wcześniej posługiwał się xaczikiem - tradycyjną mową plemienia Wookiech zamieszkującego wyspę Wartaki i kilka rejonów nad brzegami oceanu. Ponieważ shyriiwook był mową powszechnie używaną w interesach i podczas gwiazdnych lotów, słowa xaczika słyszało się wyjątkowo rzadko. Teraz wszakże, kiedy Imperium przejęło władzę nad Kashyyykiem, przywódcy ruchu oporu Wookiech postanowili, że ich tajnym językiem stanie się właśnie xaczik. Wydawano w nim rozkazy albo przekazywano informacje, których nie powinni usłyszeć funkcjonariusze Imperium.

Han kiwnął głową.

- Jasne, kolego - odrzekł. - Powiedz mi tylko, jak i dokąd lecieć, a zabiorę nas tam, gdzie każą twoi kumple z ruchu oporu.

Leciał jak najniżej i niemal ocierał spodem kadłuba o korony wysokich drzew - a czasami nawet przelatywał między konarami najwyższych wroshyrów. Mimo to nie zmniejszał prędkości lotu. Podążał kursem, który podał mu Chewie. Co minutę czy dwie rosły Wookiee porozumiewał się ze sprzyjającym ruchowi oporu kontrolerem lotów.

W końcu „Sokół Millennium” znalazł się w pobliżu rodzinnego miasta Chewiego, Rwookrrorro. Leśna metropolia miała kilometr średnicy i została wzniesiona na platformach, które były podtrzymywane przez krzyżujące się konary wroshyrów. Dopiero wtedy Chewie zarządził zmianę kursu. Najdziwniejsze jednak, że polecił mu zanurkować, i przez pełne, zapierające dech w piersiach trzydzieści sekund lecieć w dół między coraz grubszyimi konarami. Chociaż serce podchodziło mu do gardła, Han spełnił polecenie przyjaciela. Niczym prawdziwy sokół spadający na ofiarę, „Sokół” nurkował i nurkował... na szczęście, podane przez Chewiego współrzędne okazały się prawidłowe.

Wydawało mu się, że lada sekunda statek roztrzaska się o konar albo gałąź, ale kadłuba nie musnął nawet żaden listek. W końcu Chewie warknął jakiś rozkaz, a Han posłusznie powtórzył:

- Ostro na bakburtę... Jest, ostro na bakburtę!

Zatoczył ciasny luk... tak ciasny, że usłyszał świst powietrza, kiedy kończył manewr. Potem wyrównał lot i zobaczył prosto przed dziobem coś, co w pierwszej chwili wziął za otwór wielkiej jaskini. Wielka paszcza zdawała się tylko czekać, aż ich pochłonie.

Dopiero kiedy Han znalazł się trochę bliżej, przekonał się, że ma przed sobą gigantyczny konar wroshyry, ułożony poprzecznie na dwóch innych, równie wielkich gałęziach. Konar oderwał się od pnia, a potem został wydrążony. Powstała w nim jaskinia o rozmiarach niewielkiego imperialnego hangaru.

- Chcesz, żebym wleciał do środka? - wrzasnął Han, zwracając się do Wookiego. - A co, jeżeli się nie zmieścimy?

Głuchy pomruk upewnił Korelianina, że frachtowiec zmieści się w otworze bez trudu.

Zbliżywszy się do wlotu jaskini, Solo włączył na największą moc silniczki hamujące. Kiedy wleciał do środka, przekonał się jednak, że nic nie widzi. Włączył reflektory ładownicze i dopiero w ich blasku - a także dzięki czujnikom wrażliwym na podczerwień - mógł się zorientować, gdzie się znalazł.

Wytracił do końca prędkość i włączył repulsory, a później wysunął łapy ładownicze i najostrożniej, jak mógł, posadził statek na płycie lądowiska.

Chwilę później w otwartych drzwiach sterowni pojawił się przerażony Jarik.

- Hanie, jesteś bardziej szalony niż myślałem! - krzyknął. - To wariackie lądowanie...

- Zamknij się, chłopcze - przerwał mu spokojnie Solo.

Odrzucił się do Chewiego, który nie przestawał wyć. Zrozumiał, że Wookie chce, aby wyłączył zasilanie wszystkich pokładowych urządzeń i mechanizmów „Sokoła” - z wyjątkiem baterii zasilających podzespoły śluzy. I to jak najszybciej!

- Dobra, dobra - mruknął do siebie. - Nie gorączkuj się tak, kolego...

Nie tracąc ani sekundy, spełnił prośbę przyjaciela. Kilka chwil później ciemności we wnętrzu „Sokoła” rozjaśniał tylko nikły rubinowy blask lampek awaryjnych.

- Może teraz wreszcie powiesz, co się tutaj dzieje? - wykrzyknął Han, zwracając się do Chewbaccy. - Leć tu, skręć tam, wyłącz, gdzie ci każę, wyłącz zasilanie... dobrze, że masz do czynienia z dobrodusznym gościem, który podczas służby w Marynarce nauczył się słuchać rozkazów... Co jest grane?

Chewie gestem nakazał ludziom, by podążyli za nim. Nie posiadał się z podniecenia i radości. Przeciągle zaryczał... cieszył się na myśl o tym, że już wkrótce będzie mógł zaciągnąć się czystym, aromatycznym powietrzem rodzinnej planety.

Nagle rozległ się jakiś dźwięk, jakby coś twardego uderzyło o płytę nowiutkiego pancierza „Sokoła”.

- Hej! - krzyknął Han, który aż podskoczył. Biegąc w kierunku rampy, ramieniem odepchnął kosmatego przyjaciela na bok. - Uważajcie! To mój nowy statek!

Trzasnął otwartą dłonią w guzik uruchamiając rampę, zbiegł po niej na płytę lądowiska, i... stanął jak wryty. Przelatując przez otwór jaskini, odniósł wrażenie, że sta-

tek zmieści się w niej tylko z wielkim trudem. Teraz jednak uświadomił sobie, że grota jest tak przestronna, iż od ścian odbija się echo jego głosu.

Usłyszał jakiś skowyt i odwrócił się, jakby coś go użądliło. To tylko jakiś hydrauliczny siłownik przesłaniał wlot jaskini maskującą siecią. Ekipa Wookiech krzątała się wokół statku, by osłonić cały kadłub inną pajęczyną.

Zorientował się, że za jego plecami stanął Chewie. Wookie cicho zaryczał, jakby pragnął przeprosić przyjaciela za to, że nie ostrzegł, co go czeka.

- Niech zgadnę - odezwał się Solo, przyglądając się to jednej, to znów drugiej sieci. - Te pajęczyny zawierają albo mikrogeneratory zakłóceń, albo wysyłają sygnały o określonej częstotliwości. Uniemożliwiają wykrycie statku, tak?

Chewie zaryczał i pokiwał głową. Miejscowi Wookie korzystali z lądowiska, ilekroć chcieli przechwycić albo przeładować przemycane towary. Doskonale wiedzieli, co robić w takiej sytuacji.

- O rety - mruknął Jarik, gdy w pieczarze rozbłyły światła. Powiódł spojrzeniem po ogromnym pomieszczeniu i ze zdumienia aż otworzył usta. Jaskinia była tak dobrze wyposażona, że mogła pełnić rolę nie tylko lądowiska, ale nawet warsztatu remontowego. - O rety! Coś fantastycznego!

Han wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wylądował wewnątrz drzewa. Nie, nie drzewa... wewnątrz konaru. Jeżeli zaś konar miał takie rozmiary, sama myśl o tym, jak wielkie mogło być drzewo, przyprowadzała go o gęsią skórę. Pokręcił głową.

- Muszę przyznać, Chewie, że twoi ziomkowie wymyślili naprawdę doskonałą kryjówkę - powiedział.

Kiedy kłapa wjazdu została zamknięta i zabezpieczona, Han i Jarik podążyli za Chewiem ku wylotowi „jaskini”. Dopiero tam Chewbacca przedstawił obu przyjaciół tłumowi ziomków. Han z trudem rozumiał, o czym mówili, ponieważ nie przywykł do słuchania okrzyków tyłu Wookiech na raz - tym bardziej, że wszyscy starali się przekrzyczeć nawzajem. Warczeli do Chewiego, obejmowali go, klepali po plecach, ścisкали, potrząsali, znów grzmocili po grzbiecie i wydawali okrzyki świadczące o ogromnej radości.

Chewie przedstawił Hana jako „honorowego brata”, wobec którego ma dozgonny dług wdzięczności za oswobodzenie z niewoli. Korelianin uświadomił sobie, że jego życie znalazło się w poważnym niebezpieczeństwie. Obawiał się, że za chwilę także będzie ścisłany, obejmowany, poklepywany... i tak dalej. Na szczęście tragedii zapobiegł Chewbacca. Zdołał jakoś namówić ziomków, żeby wyrazili swoją radość w bardziej konwencjonalny sposób. Nie wszyscy Wookie rozumieli basie, a zatem musiał także pełnić rolę tłumacza.

Troje spośród tubylców, z którymi Han się witał, było krewniakami Chewiego... Pierwsza istota, porośnięta kręconą kasztanową sierścią, okazała się jego siostrą, Kallabow. Włosy drugiej istoty płci żeńskiej, nieco niższej kuzynki o imieniu Jowdrrl, także były lekko kasztanowe. Han ze zdziwieniem uświadomił sobie, że zaczyna zauważać rodzinne podobieństwo! Trzecim Wookiem był kuzyn Dryanta. Jego owłosienie miało trochę ciemniejszą barwę. Czworo pozostałych pełniło obowiązki przywódców miej-

scowego ruchu oporu. Przybyli powitać Chewiego, ale także porozmawiać z nim o cenie sprowadzonego „towaru”.

Motamba był starszawym Wookiem, ekspertem w dziedzinie broni, amunicji i materiałów wybuchowych. Kiedy Han wyjawiał mu, ile eksplodujących bełtów do kusz ma na pokładzie „Sokoła”, błękitne oczy istoty rozjarzyły się z zadowolenia. Katarra, młoda -a w każdym razie młodsza niż Chewbacca - samica, o ile Han mógł się zorientować, pełniła rolę głównej przywódczyni. Wszyscy pozostali Wookie, słuchając jej słów, poleceni i rozkazów, okazywali szacunek, a nawet coś w rodzaju uwielbienia. Katarra pytała często o radę ojca, który miał na imię Tarkazza i był krzepkim samcem - chyba pierwszym, porośniętym czarną sierścią, jakiego Han widział. Przez jego grzbiet biegła smuga srebrzystobiałej sierści. Niewątpliwie była to cecha rodzinna, ponieważ podobne jaśniejsze pasmo - tyle że jasnobrązowe - przecinało plecy Katany.

Kilka dobrych minut na lądowisku panowały nieopisany zamęt i rozgardiasz. W końcu Chewbacca odwrócił się do ziomeków i ryknął nakazującym tonem. Han zrozumiał większą część zdania. Chodziło o przyniesienie jakichś „quulaarów”.

Co to, u licha, może być? - zastanawiał się Solo.

Już wkrótce miał się dowiedzieć. Zobaczył dwa długie, podobne do śpiworów pojemniki, splecione z włókiem jakiejś tkaniny... a może włosów? Chewbacca gestem polecił Hanowi wejść do worka. Korelianin spoglądał na przyjaciela sekundę czy dwie, jakby pragnął upewnić się, czy ten nie żartuje. Chewbacca powtórzył gest. Solo energicznie pokręcił głową.

- Do środka? - zapytał. - Chcesz, żebyśmy tam weszli? Zamierzacie nas... O, nie, kolego. Nic z tego. Nie ma mowy. Potrafię sam wspiąć się po drzewach. I to nie gorzej niż Ty.

Chewbacca również pokręcił głową. Chwyił Hana za ramię i na wpół ciągnąc, zaprowadził do wylotu jaskini. Odchylił maskującą siatkę i gestem zachęcił przyjaciela, żeby zbliżył się do samej krawędzi.

Jarik podążył za nimi, podobnie jak pozostali Wookie. Młodzieniec nie miał pojęcia, o co chodzi. Nie znał mowy Wookiech i nie zorientował się, przed czym wzdraga się Solo. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

- Hanie? - zapytał, trochę zaniepokojony. - Czego od nas chcą?

- Żebyśmy wczolągali się do tych worków, chłopcze. Będą nas nieśli na plecach, wspinając się po drzewach do windy, która zabierze nas do Rwookrrorro. Oświadczyłem Chewbacce, że nic z tego. Potrafię się wspiąć po drzewach nie gorzej niż on.

Jarik podszedł do krawędzi jaskini. Ostrożnie wychylił się i spojrzął w dół. Potem podszedł do Hana i nie odzywając się, obdarzył go przeciągłym spojrzeniem i nadal nie mówiąc ani słowa, zaczął gramolić się do wnętrza quulaara.

Z czystej ciekawości - a może chcąc się przekonać, co tak przeraziło chłopaka - Han także wychylił się i popatrzył w dół.

Rzecz jasna, wiedział, że znajduje się wysoko nad powierzchnią gruntu, ale dopiero teraz zrozumiał, że cę innego wiedzieć, a co innego zobaczyć i uświadomić to sobie każdą komórką ciała. Przebywał na wysokości wielu kilometrów. Las pod nim, w dole, ciągnął się... i ciągnął... i ciągnął...

Daleko, daleko w dole - tak daleko, że nawet obdarzony sokolim wzrokiem Han nie mógł dostrzec, gdzie - pnie drzew łączyły się i stapiały w ciemnobrązową masę. Mimo wielkiego doświadczenia w pilotażu i doskonałego zmysłu równowagi Solo poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie. Cofnął się i podszedł do Chewiego, który usłużnie podał mu quulaar. Han zawahał się, a wówczas Chewbacca uniósł wielką rękę i wysunął długie, spiczaste pazury. Potężny Wookie mógł je wbijać głęboko w pień drzewa, dzięki czemu pazury bez trudu utrzymywały ciężar jego ciała.

- Jeszcze tego pożałuję - mruknął do siebie Han, wchodząc do worka.

Chęć niesienia go na plecach wyraził Chewbacca. Krewni wytłumaczyli mu jednak, że mógł wyjść z wprawy i podczas pierwszej od lat wspinaczki powinien raczej troszczyć się o swoje bezpieczeństwo.

Ustalono, że Jarika będzie dźwigał Motamba, a Hana Tarkazza. Obu ludzi wepchnięto na samo dno wielkich worków. W ostatniej chwili Han usiłował wysunąć głowę, ale Tarkazza pozostał nieugięty. Ponownie wepchnął Hana w głąb worka. Ostrzegł go także, żeby nie próbował wystawiać rąk ani wykonywać gwałtownych ruchów. Wookie obawiał się stracić równowagę podczas wspinaczki.

Siedząc skulony na dnie worka, Han poczuł, że jest unoszony w powietrze. Wór zakołysał się z boku na bok. Han zrozumiał, że Tarkazza podchodzi na skraj wlotu jaskini, a później... odbija się od niewielkiej platformy i rzuca się w bezdenną przepaść! Leciał w powietrzu, szybkował... coraz niżej, coraz szybciej...

Z trudem powstrzymywał się, by nie wrzasnąć. Usłyszał cichy, zdławiony okrzyk Jarika.

Kilka chwil później umięśnione ciało Tarkazzy zderzyło się z jakąś twardą przeszkodą. Wookie przyłgął do niej i zaczął się bardzo szybko wspiąć. Han poczuł i usłyszał, że o zewnętrznej powierzchni quulaara ocierają się liście. Już zaczynał się odprężyć, kiedy nagle poczuł, że znów leci w powietrzu!

W ciągu następnych kilku minut starał się nie poruszać. Skupił się tylko na tym, by nie zwymiotować. Wielki wór kołysał się z boku na bok i raz po raz obijał to o pień, to o gałąź, to o konar drzewa, chociaż Tarkazza starał się uważać.

W bok, w dół i w górę.

Skok, stęknienie, chwyt.

Wbicie pazurów, wspinaczka, lot w powietrzu.

Han musiał w końcu zamknąć oczy. Co prawda, i tak nic nie widział, ale chciał się bardziej skoncentrować. Miał wrażenie, że koszmarna podróż ciągnie się całymi godzinami. Kiedy później zerknął na chronometr, przekonał się jednak, że trwała zaledwie piętnaście minut.

W końcu wór zakołysał się ostatni raz i znieruchomiał. Podróż dobiegła końca. Han otworzył oczy i przekonał się, że nadal leży w quulaarze. Kiedy świat wokół niego przestał wirować w obłądnym tańcu (co potrwało dobrych kilkanaście sekund), zaczął się gramolić na zewnątrz.

Znajdował się na wielkiej platformie - jednej z wielu, na których wspierało się miasto Rwookrrorro. Niepewnie wstał, ale nie chcąc stracić równowagi, szeroko rozstawił nogi. Powiódł spojrzeniem po okolicy i zobaczył, że metropolia ma kształt wiel-

kiego, spłaszczonego jaja. Wzniesione na platformach domy ciągnęły się jak okiem sięgnąć, aż po obrzeża. Łączyły je wąskie i szerokie kładki, chodniki, ulice i aleje, a rosnące tuż obok nich drzewa pięły się jeszcze wyżej, ku niebu. Rzucaly miły cień i nadawały miastu niepowtarzalny wygląd.

Kiedy świat wokół niego przestał wirować, Han postanowił zaryzykować i zacerpnął głęboki haust powietrza. Rwookrrorro było tak piękne, że brakowało mu słów. Choć nie tak barwne i pastelowe jak Miasto w Chmurach na Bepinie, charakteryzowało się podobnym ulotnym wdziękiem. Może dlatego, że - podobnie jak Miasto w Chmurach - wznosiło się tak wysoko nad powierzchnią gruntu?

Chociaż niektóre budowle miały po kilka pięter, nie wystawały ponad czubek wroshyrów. Wiał lekki wiatr, dzięki czemu porośnięte jasnozielonymi liśćmi najwyższe gałęzie i konary kołysały się w takt jego podmuchów. Niebo wysoko, w górze, miało barwę błękitu zmieszanego z odrobiną jasnej zieleni. Pływały po nim ławice skłębionych, osłepiająco białych obłoków.

Nagle Solo usłyszał, że ktoś się krztusi. Odwrócił się i ujrzał Jarika. Chłopiec stał zgięty w pół i trzymał się za brzuch. Wszystko wskazywało na to, że nie czuje się najlepiej. Han podszedł do niego i położył dłoń na jego ramieniu.

- Hej, chłopcze, dobrze się czujesz? - zapytał współczująco.

Jarik pokręcił głową. Potem uniósł ją i spojrzał na Hana... jakby żałował, że w ogóle ją unosił.

- Zaraz... dojdę do siebie - wymamrotał ponuro. - Po prostu... staram się nie zwymiotować...

- Wiem, co może ci w tym pomóc, chłopcze - odezwał się Han śmiertelnie poważnym tonem. - Nie wolno ci myśleć o gulaszu z traladona ani duszonej tubercyzy.

Jarik zerknął spode łba na Hana, jakby ten go zdradził. W następnej sekundzie przycisnął dłoń do ust i skoczył ku krawędzi platformy. Korelianin uśmiechnął się i wzruszył ramionami, a potem odwrócił się i popatrzył na Chewbacę.

- Biedny chłopak - powiedział. - Hej, Chewie, jeszcze nigdy w życiu tak nie podróżowałem. Jak to dobrze, że twoi ziomkowie nie zapomnieli przynieść tych worów. Co w nich nosicie? Zakupy?

Wookie wydał wargi, jakby chciał się uśmiechnąć, a potem wytłumaczył przyjacielowi, co oznacza słowo „quulaar”. Han się zachnął.

- Worek do noszenia dzieci? - zapytał z niedowierzaniem. - Nosicie w nich małych Wookiech?

Chewbacca ryknął śmiechem i śmiał się tym głośniejszym, im bardziej jego przyjaciel się irytował. Przestał dopiero wówczas, kiedy usłyszał ryk, jaki dobiegał od strony miasta. Odwrócił się i ujrzał, że zdąża ku nim nowa grupa Wookiech. Han zorientował się, że widzi co najmniej dziesięć istot różnej płci i w różnym wieku. Na czele kroczył przygarbiony siwiejący starzec. No, może nie starzec, ale starszawy Wookie. Ujrawszy go, Chewie pognał ku niemu, ile miał sił w nogach. Od strony przybyszów napłynęła nowa fala radosnych okrzyków.

Han przyglądał się, jak Chewbacca obejmuje starszawego Wookiego, jak go ściska i entuzjastycznie poklepuje po plecach. Później odwrócił się do Kallabow, która na szczęście znalazła basie.

- Attichitcuk? - domyślił się, wskazując siwiejącego Wookiego. - Wasz ojciec?

Siostra Chewiego kiwnęła głową. Podobno, odkąd Attichitcuk dowiedział się, że po tylu latach syn powraca do domu, nie mówił o niczym innym.

- Chewie spodziewał się zobaczyć jeszcze kogoś - odezwał się Solo. - Mallatobuck. Nadal mieszka w Rwookrrorro?

Kallabow błysnęła zębami w szerokim uśmiechu. Ponownie kiwnęła głową - widocznie podpatrzyła ten gest u ludzi.

- Wyszła za męża? - zapytał Han. Bał się, że może usłyszeć twierdzącą odpowiedź. Wiedział, co to może oznaczać dla jego najlepszego przyjaciela.

Kallabow uśmiechnęła się jeszcze szerzej, po czym powoli -bardzo powoli - pokręciła głową.

- Nie, nie wyszła.

Han także wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Ho, ho! - krzyknął. - Będziemy musieli jakoś to uczcić!

Ktoś trącił go w ramię. Han odwrócił głowę. Obok niego stała Katarra w towarzystwie innego Wookiego. Przybysz odezwał się w języku Wookiech - tak zrozumieliśmy, że Han podskoczył ze zdumienia.

[Witam cię, kapitanie Solo. Nazywam się Ralrracheen, ale proszę, mów mi Ralrra. Jesteśmy zachwyceni, Haniesolo, że zechciałeś złożyć wizytę na Kashyyyku].

Zdumiony Han aż otworzył usta. Pamiętał, że upłynęło wiele lat, zanim nauczył się rozumieć mowę Wookiech, a choć bardzo się starał, nie potrafił wymówić ani jednego słowa w tym języku. Tymczasem stojący przed nim Wookie wydawał dźwięki, które Han nie tylko rozumiał bez trudu, ale nawet, jak sądził, mógłby łatwo powtórzyć.

- Hej! - wybuchnął. - Jak to robisz?

[Wada wymowy] odparł Wookie. [Bardzo przeszkadza, gdy rozmawiam z moimi ziomkami, ale przydaje się w kontaktach z ludźmi, którym zdarza się wylądować na Kashyyyku].

- Mógłbym się założyć... - mruknął Han. Wciąż jeszcze nie mógł zebrać myśli.

Korzystając z pomocy Ralrry, Han i Katarra mogli wreszcie rozpocząć negocjacje w sprawie ustalenia ceny beltów.

[Bardzo ich potrzebujemy] oznajmił Ralrra. [Nie chcemy jednak, kapitanie, żebyś bawił się w dobroczyńcę. Możemy zaproponować ci coś w zamian].

- Co takiego? - Han okazał tylko umiarkowane zainteresowanie.

[Pancerze imperialnych szturmowców] odparł Ralrra. [Moi ludzie zaczęli zabierać je żołnierzom, którzy już ich nie potrzebowali. Z początku traktowali je jak wojenne trofea; później jednak poznali ich prawdziwą wartość. Mamy bardzo wiele pancerzy i hełmów, kapitaniesolo].

Han zaczął się zastanawiać. Rzeczywiście, pancerze szturmowców, wykonane z bardzo cennego materiału, dawały się chemicznie przetapiać. Dzięki temu można było z nich wykonywać odlewy o różnych kształtach.

- Chciałbym rzucić na nie okiem - odezwał się po namyśle. - Prawdę mówiąc, mieliśmy na widoku coś innego. - Wzruszył ramionami. - A zresztą, używane pancerze szturmowców nie są wiele warte.

Nie mówił prawdy. Zależnie od panującej na rynku koniunktury, za nieuszkodzony pancerz szturmowca można było dostać nawet grubo ponad dwa tysiące kredytów. Pomyśl, chłopie - zreflektował się Solo. - Twoim gospodarzom do niczego się nie przydadzą, a ty musisz jakoś pokryć koszty tej wyprawy. Nie zajmujesz się działalnością dobroczynną...

Katarra przeciągle zaryczała, a później spojrzała na tłumacza. Powiedziała do niego coś tak szybko i tak silnie akcentowała wyrazy, że Han tylko z trudem ją rozumiał. Czyżby wspominała o istocie ludzkiej o włosach koloru wschodzącego słońca?

Ralra odwrócił się do Hana.

[Katarra dobrze wie, że pancerze są bardzo cenne] oznajmił, lekko się uśmiechając. [Wie, ponieważ powiedziała jej to kobieta z Korelii, twego świata. Kobieta o włosach barwy wstającego słońca].

Han natychmiast zapomniał o pancerzach. Postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o tajemniczej przywódczyni koreliańskiego ruchu oporu.

- Korelianka? - zapytał, okazując zainteresowanie. - Jasnowłosa przywódczyni podziemia?

Ralra i Katarra wymienili kilka zdań, jakby uzgadniali szczegóły.

[Tak] odezwał się w końcu Wookie. [Przybyła do nas niedługo po zakończeniu ostatniego życiodnia - mniej więcej przed standardowym rokiem - i spotkała się z przywódcami naszego ruchu oporu. Udzieliła im wielu cennych rad, jak organizować komórki, stosować tajne kody, na temat taktyk walki i tak dalej. Wiemy tylko, że była przywódczynią podziemia na twojej rodzinnej planecie].

Han nie odrywał spojrzenia od Katany.

- Jak miała na imię? - zapytał, kiedy Katarra skończyła tłumaczyć. - Jak się nazywała?

Wookie odwrócił się do swojej rozmówczyni i zamienił z nią kilka słów, po czym odezwał się do Hana:

[Katarra mówi, że nie mogła poznać jej imienia. To zwykła procedura, stosowana na wypadek, gdyby któraś z nich została poddana przesłuchaniu. Wie tylko, że kiedy Korelianka przebywała na Kashyyyku, nazywaliśmy ją Quarrteller, co znaczy „wojowniczką o włosach barwy słońca”].

Han zaczerpnął głęboki haust powietrza.

- Jak wyglądała? - zapytał. - Możliwe, że znam tę Koreliankę. Może to... - zawahał się na chwilę. - Może to moja towarzyszką życia. Kiedyś, bardzo dawno, rozłączyło nas Imperium.

W pewnym sensie mówił prawdę. Bria odeszła od niego, kiedy przygotowywał się, żeby wstąpić do Imperialnej Akademii. Powiedziała, że nie chce być mu ciężarem. Han wciąż jeszcze miał arkusik flimsiplastu z wiadomością, którą mu zostawiła. Świśtek mógł ściągnąć na niego kłopoty, więc ilekroć Han odnajdywał ów arkusik w kieszeni, obiecywał sobie, że go wyrzuci. Nigdy jednak nie mógł się na to zdobyć...

Katarra wyraźnie się odprężyła, a w jej oczach pojawiły się błyski współczucia. Istota położyła wielką łapę na ramieniu Hana. Chciała w ten sposób powiedzieć, że go rozumie. Imperium rozbiło tyle rodzin...

Ralra uniósł rękę i wykonał dłonią poziomy ruch na wysokości nosa Hana.

[Taka wysoka] powiedział. [Długie włosy koloru słońca o zachodzie... złocistorude. Oczy barwy naszego nieba. Niezbyt szeroka]. Rozłożył ręce na niewielką odległość, aby podkreślić, że kobieta była dosyć szczupła. [Uchodziła za przywódczynię, kogoś obdarzonego władzą. Powiedziała, że poproszono ją, aby przyleciała na Kashyyyk, ponieważ dobrze rozumie, co to znaczy żyć w niewoli. Oświadczyła nam, że sama była niewolnicą na planecie o nazwie Ilezja, i że poświęci życie, by uwolnić Kashyyyk oraz inne światy ujarzmione przez Imperium. Kiedy to mówiła, jej oczy miały błyskawice].

Ralra obniżył ton głosu, jakby zdradzał osobistą tajemnicę.

[Ja także byłem niewolnikiem, dopóki moi ziomkowie nie uwolnili mnie z więzienia Imperium. Mogę potwierdzić, że Quarrteller mówiła prawdę. Wiele rozmawialiśmy o naszej nienawiści do Imperium].

Han poczuł, że zaschło mu w gardle. Z trudem tylko skinął głową.

- Dzięki, że mi o tym powiedzieliście - mruknął po chwili.

Bria? - pomyślał, jakby nie mógł wyrwać się z odrętwienia. - Bria - przywódczynią koreliańskich Rebeliantów? Jak, na galaktykę, mogło się to stać?

ROZDZIAŁ

3

MAUATOBUCK

Chewbacca gościł w coraz to innym domu. Jego ojciec, Attichitcuk, z dumą przedstawiał wszystkim znajomym nie tylko swojego syna - znanego poszukiwacza przygód i byłego niewolnika -ale także jego przyjaciół ludzi. Han i Jarik przekonali się, że wszyscy Wookiee darzą ich wielkim poważaniem.

Ponieważ Kashyyyk znajdował się pod rządami Imperium, musieli zachować ostrożność i zataić prawdziwy powód przylotu na planetę. Pragnąc w czasie pobytu na Kashyyyku zachować anonimowość, Han założył ubranie, jakie zwykle nosili odwiedzający planetę Wookiech kupcy. On i Jarik mieli udawać braci. Gdyby ktoś pytał, zamierzali oświadczyć, że przylecieli na Kashyyyk, żeby sprzedać tubylcom trochę przedmiotów codziennego użytku albo świecidełek. Wiarygodności owej historii przydawał fakt, że Jarik był tylko trochę niższy niż Han, a obaj mieli brązowe włosy i piwne oczy.

Imperialni funkcjonariusze i żołnierze przebywali głównie w rozrzuconych po powierzchni planety bazach i posterunkach. Ponieważ samotnym szturmowcom wciąż zdarzało się zniknąć bez śladu, wyprawiali się na patrole tylko w licznych grupach.

Nie chcąc natknąć się na żaden oddział patrolujący Rwookrrorro, Han i Jarik starali się korzystać z bocznych kładek, przejść i chodników. Ponieważ „Sokół Millenium”, chroniony przez kamuflującą sieć i mikrogeneratory zakłócających sygnałów, spoczywał bezpiecznie w drzewnej jaskini, nie musieli się obawiać, że ktoś będzie ich podejrzewał o nielegalną działalność.

Han, który spędzał większość czasu w jaskini, w towarzystwie techników Wookiech, nie przestawał ulepszać swojej nowej zabawki. Kilku Wookiech było doskonałymi inżynierami. Sprawdzili funkcjonowanie urządzeń i systemów, a także dokonali gruntownego przeglądu pokładowych podzespołów. „Sokół” nie był nowym statkiem, ale pod troskliwą opieką miejscowych specjalistów bardzo szybko osiągnął lepszy stan techniczny niż kiedykolwiek.

Chewbacca nawet nie uświadamiał sobie, jak bardzo tęsknił za domem i rodziną. Kiedy po tylu latach nieobecności na Kashyyyku w końcu spotkał się z siostrą i rodzi-

cam, zastanawiał się, czy przypadkiem nie powinien ustatkować się, skończyć z pałętaniem po galaktyce i osiąść na rodzinnej planecie na stałe. Doszedł jednak do wniosku, że to niemożliwe. Miał do spłacenia dług życia. Jego miejsce było u boku Hana Solo.

Odwiedził wszystkich kuzynów, a także rodzinę siostry. Okazało się, że od czasu, kiedy opuścił rodziny dom, Kallabow wyszła za mąż za przystojnego Wookiego o imieniu Mahraccor.

Najbardziej jednak Chewie lubił bawić się z jej synem. Mały Wookie był mądry, sprytny i zabawny. Przed wszystkim jednak interesował się tym, co dzieje się we wszechświecie. Mógł całymi godzinami słuchać opowiadań wuja o przygodach, jakie ten przeżył, kiedy przemierzał niezliczone gwiazdne szlaki.

Oprócz najbliższych krewnych, Chewbacca odwiedził także Freyrrę - dalekiego krewniaka i najlepszego tropiciela spośród wszystkich członków rodziny - a także starych znajomych Kriyystaka i Shorana. Żałował, że nie może się spotkać z najlepszym przyjacielem Salporinem, który został wzięty do niewoli przez żołnierzy Imperium. Nikt nie miał pojęcia, co się z nim stało... nie wiadomo nawet, czy jeszcze żyje.

Chewbacca rozpacział po stracie przyjaciela. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek go zobaczy.

Przebywając na Kashyyyku, właściwie nie miał dla siebie ani chwili. A poza tym, jeżeli nie liczyć przyjaciół i członków rodziny, musiał znaleźć czas dla... Mallatobuck.

Młoda samica była jeszcze piękniejsza niż wówczas, kiedy odlatywał, a w nieśmiałym spojrzeniu błękitnych oczu kryło się chyba nawet więcej zagadek. Chewie spotkał się z Mallą wieczorem w dzień przylotu. Przybyła z sąsiedniej wioski, gdzie pracowała jako nauczycielka i opiekunka dzieci w miejscowym żłobku. Miała w Rwookrrorro wiele przyjaciółek, toteż bardzo łatwo uległa namowom Chewiego i postanowiła zostać w mieście dłużej niż początkowo zamierzała.

Spędzili razem wiele godzin. Przechadzali się splecionymi z wiotkich gałązek chodnikami, trzymali się za ręce, wpatrywali w usiane milionami gwiazd niebo, wsłuchiwali się w odgłosy mieszkańców lasu... Nie mówili wiele. Uznali, że cisza jest wymowniejsza niż wszystkie słowa...

Trzeciego dnia pobytu na Kashyyyku Chewbacca doszedł do wniosku, że najwyższy czas wyruszyć na polowanie. Han nie przestawał prowadzić z Katarra, Kichiirem i Motambą pertraktacji w sprawie ceny przemyconych eksplodujących bełtów. Chewbacca wiedział, że jego przyjaciel będzie zajęty jeszcze wiele godzin. Nie miał pojęcia, dlaczego nagle, ni stąd, ni zowąd, Korelianin interesuje się tak bardzo ruchem oporu na Kashyyyku. Gdyby się nad tym dłużej zastanowił, zapewne uznałby zachowanie przyjaciela za zagadkowe, a może także trochę niepokojące. Zazwyczaj Han żywił głęboką pogardę do inteligentnych istot, które w walce o sprawę inną niż własny dobrobyt nadstawiały karku (czy jakiegokolwiek innej będącej odpowiednikiem karku części ciała).

Chewie był jednak zbyt roztargniony, żeby zaniepokoić się dziwnym postępowaniem Hana. Myślał jedynie o tym, jak upolować quillarata. Quillaraty, niewielkie, nie przekraczające pół metra zwierzęta, żyły i żerowały samotnie, a ponieważ miały brązowo-zielonkawe ubarwienie, prawie nie odróżniały się od otoczenia.

Jednak najbardziej niezwykłą cechą, odróżniającą quillaraty od innych zwierząt, były wyrastające w wielu miejscach ciała długie i ostre jak igły kolce. Ilekroć zwierzę czuło się zagrożone, po prostu wystrzeliwało kolce w kierunku napastnika. Schwytanie i zabicie quillarata stanowiło nie lada wyzwanie. Samce Wookiech (ponieważ tylko oni polowali na quillaraty) musiały zatem wyruszać na polowania, osłonięte wytrzymałymi tarczami. Chroniły one ciała myśliwych, którzy mogli czekać, aż stworzenie wystrzeli cały zapas kolców.

Tradycja czyniła zabicie zwierzęcia jeszcze trudniejszym. Myśliwi polujący na quillaraty nie mogli zabierać na łowy żadnej broni. Pozbawienie zwierząt życia za pomocą strzałów z kuszy albo blasterów było zabronione. Łowcy powinni polegać wyłącznie na własnej sprawności fizycznej i spostrzegawczości. Musieli pochwycić zwierzę gołymi rękami i zabić, korzystając tylko z siły swych mięśni.

Chewbacca nie zwierzył się nikomu, że zamierza wyruszyć na polowanie. Po prostu zaczekał, aż nastanie późne popołudnie i dolne poziomy lasu pogrążą się w półmroku. Potem oddalił się od Rwookrroro i zaczął schodzić na niższe piętra.

Na najniższe poziomy nie zapuszczały się nawet istoty tak silne i zręczne jak jego ziomkowie. Podobno żyjące tam stworzenia nigdy nie oglądały słonecznego blasku. Powiadano, że żywiły się krwią i duchami ofiar. Plotka głosiła, że na samą powierzchnię opadały duchy nieszczęśników, którzy nie honorowali długów wdzięczności. Zerowały tam w nieprzeniknym mroku, w każdej chwili gotowe pochwycić i zabić każdego głupca, który ośmielił się zapuścić tak głęboko.

Twierdzono, że w biocenozie Kashyyyku można wyróżnić aż siedem charakterystycznych poziomów. Do siódmego, najwyższego, zaliczano korony drzew i najwyższe gałęzie wroshyrów. Nawet najodważniejsi spośród Wookiech nie zapuszczali się poniżej czwartego piętra. O tym, co kryło się jeszcze głębiej, milczały nawet legendy i opowieści. Chewbacca nie znał nikogo, kto chęłpiłby się, że postawił stopę na powierzchni Kashyyyka. Najniższe piętra niesamowitego lasu pozostawały okryte tajemnicą... i wszystko wskazywało, że pozostaną takimi jeszcze długo.

Pragnąc pochwycić quillarata, Chewie musiał zejść na czwarty poziom. Z powodu późnej pory panowały tam już ciemności. Życie toczyło się własnym rytmem i kierowało własnymi prawami. Polujące w mroku zwierzęta miały wielkie i bardzo wrażliwe oczy. Nie brakowało pośród nich groźnych drapieżników... chociażby takich jak katarra czy kkekkrro, Strażnik Cienia. Czasami zapuszczał się on aż na szósty poziom. Chewbacca musiał zatem mieć się na baczności. Wypatrując niebezpieczeństw, wyteżał wszystkie zmysły.

Gdy tak wędrował leśnymi szlakami, czuł, że powracają do niego zapomniane umiejętności. Od czasu do czasu spotykał starych znajomych: sykacze o liściach podobnych do ślubnych woalek, szerokolistne fałszywe shyry, winorośle kshyy... Roślinność tego poziomu nie miała ciemnozielonej barwy, sprawiała wrażenie bladej, jakby spranej czy wypłowiałej. Z wyższych poziomów nie docierało dość słonecznego blasku, by liście krzewów i drzew mogły nabrać intensywnego koloru.

Chewbacca starał się wybierać jak najszerze konary. Czując pod stopami chropowatą korę gałęzi wroshyrów, stapał bardzo ostrożnie. Nie przestawał omiatać spoj-

rzeniem najbliższej okolicy. Wyteżał wzrok, żeby dostrzec w ciemnościach ślad quillarata. Raz po raz, rozdymając nozdrza, wciągał powietrze i rozpoznawał zapachy. Nie miał okazji chłonać ich od ponad pięćdziesięciu lat, przez które przebywał z daleka od Kashyyyku.

Nagle ujrzał, że ciemna kora jednej gałęzi wroshyra jest lekko zadrapana, a skraj podobnego do welona liścia sykacza, rosnącego tuż obok leśnego szlaku, sprawia wrażenie naderwanego. Wysokość się zgadzała... Chewie pochylił się i zaczął badać ślady, by przekonać się, że rzeczywiście zostały zostawione przez quillarata. Przykłęknął na jedno kolano i przyjrzał się rysie na korze. Nie mogło być wątpliwości. Ślady były całkiem świeże.

Zwierzę podążało w tę samą, co on, stronę, ale szło po rosnącej w pobliżu, znacznie cieńszej i mniej wytrzymałej gałęzi wroshyra. Chewbacca zdwoił uwagę i ruszył dalej, mimo iż gałąź, po której stapał, miała niespełna dwa metry szerokości. Po obu stronach ziała brązowo-zielona, mroczna, bezdena przepaść.

Wookie wyteżał wszystkie zmysły. Raz po raz omiatał spojrzeniem okolicę - to z jednej, to znów z drugiej strony. Czujnie nadstawiał uszu i starając się pochwycić najłżejszy zapach, nieustannie rozszerzał i kurczył nozdrza. Wiedział, że ciała quillaratów wydzielają charakterystyczną woń, która nęciła i wabiła istoty rasy Wookie.

W lewej dłoni trzymał tarczę, splecioną z pasków kory i wzmocnioną skórą. W pewnej chwili chwycił ją jeszcze mocniej. Przypomnił sobie, że powinien unieść ją na wysokość torsu.

Nagle zwolnił... i w końcu całkowicie znieruchomiał. Zaczął się rozglądać. Napiął mięśnie... Tam! Między tamtymi liśćmi!

Quillarat zamarł. Instykt ostrzegł go o zbliżającym się niebezpieczeństwie. Chewie wyciągnął przed siebie rękę z tarczą. Bezszelestnie, powoli, zaczął się podkładać do zwierzęcia.

Nagle powietrze obok niego przecięła z cichym świstem ulewa ostrych kolców. Większość wbiła się z głuchym stukiem w tarczę, ale kilka trafiło go w tors i odsłonięte ramię. Nie czekając, aż zwierzę ponowi atak, Chewbacca wyciągnął prawą rękę i pochwycił quillarata za najeżony igłami ogon. W ostatniej chwili jednak, nim zacisnął palce, przesunął dłonią po czubkach kolców, tak by ułożyły się poziomo.

Przerażony quillarat zaskrzeczał i odwrócił łeb, żeby ukąsić napastnika. Było jednak za późno. Wookie wzmocnił uścisk palców i poderwał zwierzę w powietrze. Później uniósł je wysoko nad głowę i uderzył łbem quillarata o konar wroshyra. Ogłuszone stworzenie zwiotczało. Myśliwy zamachnął się drugi raz i pozbawił je życia.

Dopiero wtedy mógł wyciągnąć kolce, które wbiły się w jego ciało. W obawie, by rany nie zaczęły się jężyć, spryskał je anty-septycznym preparatem i posmarował kojącym balsamem. Jeden kolec wbił się w prawe przedramię. Wyciągnął go i opatrzył małą ranę.

Potem wepchnął quillarata do pleczonego worka, który zabrał z domu. Dopiero wtedy uśmiechnął się triumfująco i zaczął wspinać, żeby wrócić do Rwookrroro.

W mieście dłuższy czas rozglądał się za Mallatobuck. Nie chciał nikogo pytać, gdzie może ją odnaleźć. Obawiał się, że jego rozmówca albo rozmówczyni z łatwością wyczuje woń ukrytego w worku quillarata, a nie miał ochoty wysłuchiwać dobrych rad, docinków ani żartów.

W końcu zauważył młodą samicę. Mallatobuck wybrała się na spacer, ale postanowiła skorzystać z mało uczęszczanego leśnego szlaku. Ponieważ weszły oba małe księżycy Kashyyyka, jej sierść lśniła jak posypana srebrzystym pyłem. Mallatobuck musiała być pogrążona w myślach, gdyż w pierwszej chwili nie zorientowała się, że ktoś zmierza w jej stronę.

Spacerując, zrywała kwiaty kolvissha i wplatała łądygi we włosy. Chewie przyglądał się, jak Mallatobuck zrywa kolejny kwiat i wsuwa go za lewe ucho.

Znieruchomiał na ścieżce przed nią i stał tak, zachwycony jej urodą. Mallatobuck spostrzegła go dopiero, gdy stanął nieruchomo. Zaskoczona, stanęła i uniosła głowę. Dopiero wtedy go zobaczyła.

[Chewbacco!] rzekła cicho. [Wcale cię nie zauważyłam...].

[Mallo] odparł Chewie. [Przyniosłem coś dla ciebie. To prezent. Mam nadzieję, że zechcesz go przyjąć].

Maila zamarła. W jej oczach malowały się zdumienie i konsternacja... Przyglądała się, jak Chewie, nie wypuszczając worka, rusza ku niej. Żeby tylko spojrziała na mnie z nadzieją - myślał gorączkowo Wookie. - Na mój honor, niech okaże się, że w jej oczach płonie nadzieja...

Stanął przed nią i jednym płynnym ruchem uklęknął, a potem wyjął quillarata z worka. Ostrożnie, aby nie skaleczyć się o ostre kolce, ułożył stworzenie na dłoniach, a później wyciągnął je ku Mallatobuck. Czuł, że jego serce obija się o żebra, jakby wspinaćka na najwyższy poziom trwała całą wieczność.

[Mallatobuck...] zaczął i urwał. Chciał powiedzieć coś więcej, ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Ogarnął go strach, jakiego nie czuł nawet w ogniu walki. Co zrobi, jeżeli Maila odrzuci jego oświadczenia? Jak zareaguje, jeśli weźmie z jego rąk tradycyjny dar, jaki zwykło się dawać przy tej okazji wybrance serca, a potem pogardliwie odrzuci go na bok? Co będzie, jeżeli upolowany quillarat zniknie w ciemnościach nocy, a wraz z nim cała nadzieja, jaką żył przez te wszystkie lata?

Maila nie przestawała wpatrywać się w klęczącego Wookiego.

[Chewbacco...] przemówiła w końcu. [Spędziłeś wiele lat z daleka od rodzinnego domu. Czy pamiętasz jeszcze nasze zwyczaje? Czy na pewno wiesz, co oznacza twój podarunek?]

Chewie uświadomił sobie, że Maila się z nim przekomarza, i poczuł, jak zalewa go fala wielkiej ulgi.

[Wiem] odparł. [Pamięć mnie nie zawodzi. Przez te wszystkie lata spędzone z daleka od rodzinnego domu nie zapomniałem widoku twoich oczu ani twarzy. Marzyłem o dniu, kiedy zostaniemy mężem i żoną. Czy zgadzasz się, Mallatobuck? Czy zechcesz wziąć mnie za męża?]

Młoda samica odpowiedziała w tradycyjny sposób. Wzięła sztywniejącego quillarata z wyciągniętych rąk Chewiego, a potem uniosła do ust i zagłębiła zęby w delikatnym, miękkim podbrzuszu.

Chewbacca poczuł, że jego serce wypełnia się bezgraniczną radością. Przyjęła moje oświadczenia! - chciał zawołać. - Jesteśmy zaręczeni! Wstał i podążył za Mallą do niewielkiej altany, osłoniętej z trzech stron przez gąszcz liści. Usiadł obok niej i oboje zaczęli posilać się quillaratem. Próbowali delikatnych wnętrzności, rozkoszowali się wątroba... częstowali nawzajem najsmakowitszymi kąskami najwspanialszego przysmaku, jaki znali Wookie.

[Wiesz, oświadczyło mi się kilku przystojnych samców] odezwała się w pewnej chwili Mallatobuck. [Odrzuciłam ich oświadczenia. Członkowie rodziny mówili, że jestem niemądra, ponieważ zwlekałam tak długo. Zapewniali mnie, że nie żyjesz; że już nigdy nie zobaczę cię na Kashyyyku. Ja jednak nie zwątpiłam... Cały ten czas wierzyłam, że nie zginąłeś. Czekałam, a teraz moja radość wypełnia cały wszechświat].

Starając się okazać czułość, Chewie zlizął krew i resztki mięsa z twarzy Mallatobuck. Jej sierść była delikatna i miękka jak aksamit. Maila odwzajemniła pieczętę.

Kiedy skończyli, usiedli, objęli się i przytulili jedno do drugiego-

[Mallo] zaczął Chewie. [Chyba wiesz, że mam wobec Hana Solo dług życia?]

[Wiem]. Głos Mallatobuck lekko zdrzął. [Szanuję twój honor jak własny, mój przyszyły mąż. Dlatego uważam, że powinniśmy pobrać się jak najszybciej, abyśmy mieli czas nacieszyć się sobą, zanim będziesz musiał odlecieć z kapitanem Solo].

[Nic nie sprawiłoby mi większej radości] odrzekł Chewie. [Kiedy możesz być gotowa? Ile czasu potrzebujesz, żeby przygotować ślubny welon?]

Mallatobuck cicho zachichotała. W ciemnościach jej gardłowy chichot zabrzmiał jak najwspanialsza muzyka.

[Jestem gotowa od ponad pięćdziesięciu lat, Chewbacco] rzekła. [Od tak dawna jestem gotowa... i czekam].

Chewie poczuł, że jego serce pęcznieje z dumy i radości.

[A zatem, niech to będzie jutro, Mallo] powiedział.

[A zatem niech to będzie jutro, Chewbacco] odparła Mallatobuck.

Arcykapłan Ilezji, Teroenza, napiął wypoczynkową taśmę i odchylił się do tyłu. Przyglądał się, jak Kibbick - huttański figurant, ale oficjalnie lord i nadzorca Ilezji - łamie sobie głowę, usiłując zrozumieć zapisane w księgach rachunkowych zestawienie wpływów i wydatków za poprzedni miesiąc. Ogromny, czworonogi t'landa Til jęknął w duchu. Już dawno przestały go bawić kłopoty, jakie miał Kibbick ze zrozumieniem najbardziej elementarnych zasad księgowości. Lord Hurtów był idiotą, ale zadanie nieszczęsnego Teroenzy polegało na wprowadzaniu go we wszystkie tajniki kierowania operacją na Ilezji.

Czy naprawdę lordowie klanu Besadii są tak głupi? - zastanawiał się w duchu arcykapłan, nie mogąc opanować oburzenia i odrazy. - Czy nie uświadamiają sobie, że kiedy Kibbick nauczy się zarządzania przetwórcami przyprawy, pozbawi mnie zaję-

cia? Na szczęście, wszystko wskazywało na to, że nieprędko zdoła opanować tę sztukę, a może nawet nigdy mu się to nie uda.

Kiedy Teroenza, korzystając z pomocy przywódczyni klanu Desilijic, Jiliac, uknuł plan zamordowania Aruka, liczył na to, że jedyny potomek starzejącego się lorda klanu Besadii, Durga, nigdy nie zostanie ogłoszony przywódcą. Jego twarz szpeciło przecież ohydne porodowe znamię, a to powinno uniemożliwić mu sięgnięcie po pełnię władzy...

Durga jednak okazał się przebieglejszy i sprytniejszy niż Teroenza mógłby przypuszczać. Zdołał wyeliminować (niektórzy twierdzili, że z pomocą Czarnego Słońca) najbardziej krzykliwych przeciwników i rywali. Pozbył się ich szybko i skutecznie. Pozostali wyrażali już sprzeciw o wiele ciszej i ostrożniej.

Knując plan zabicia Aruka, Teroenza spodziewał się, że następcą lorda Huttów zostanie Zier, a nie Durga. Miał nadzieję, że najstarszy przedstawiciel klanu Besadii okaże się na tyle zaradny, że przechytry Durgę i zdoła pokrzyżować jego plany. Liczył na to, że Zier zostanie nowym przywódcą nie tylko klanu, ale także jego części zwanej kajidicem, czyli pionu operacji kryminalnych.

Niestety. Okazało się, że (przynajmniej na razie) zwycięstwo odniósł lord Durga. I chociaż można było żywić nadzieję, że nie zdoła umocnić swojej władzy, oświadczył stanowczo, że Teroenza musi respektować wszystkie polecenia, jakie otrzymał, kiedy żył lord Aruk.

A jednym z nich było uczenie zidiociałego kuzyna Durgi, Kibbicka, zasad prowadzenia przedsiębiorstwa, które przynosiło krociowe zyski.

Na Ilezję trafiały wciąż nowe transporty pielgrzymów. Werbowali ich należący do rasy t'landa Til wędrowni misjonarze, którzy w poszukiwaniu neofitów zapuszczali się nawet w odległe rejony galaktyki. Organizowali tam seanse religijnego przebudzenia i odrodzenia, a wszyscy, którzy mieli nieszczęście ulec zniewalającemu Uniesieniu, podążali za nimi na porośniętą tropikalną dżunglą planetę Ilezja. Tam byli poddawani indoktrynacji graniczącej z praniem mózgu. Chodziło o to, aby pielgrzymi - niedożywieni i łaknący coraz to nowych dawek Uniesienia - mogli harować od świtu do zmierzchu pod nadzorem nowych władców w ilezjańskich przetwórnich przyprawy.

Ziomkowie Teroenzy wyglądali jak dalecy kuzyni Huttów; byli jednak o wiele mniejsi i bardziej ruchliwi. Utrzymywali ciężar wielkich ciał na czterech wyglądających jak pnie drzew nogach. Podobnie jak Huttowie, istoty rasy flanda Til miały ogromne głowy i szerokie twarze, ale zasadniczą różnicę stanowił długi pojedynczy róg, który wyrastał z głowy tuż nad nosem. Miały też długie, podobne do biczów ogony, które spoczywały zwinięte na grzbietach. W porównaniu z rozmiarami reszty ciała oczy i dłonie były nieproporcjonalnie małe.

Ale, co najważniejsze, samce rasy flanda Til, potrafiły oddziaływać na umysły ludzi. Istoty te wysyłały fale empatii, wprawiające ofiary w dobry nastrój. Fale, połączone z kojącymi dźwiękami, które wytwarzały podgardla samców rasy flanda Til, oddziaływały na mózgi pielgrzymów niczym dawka potężnego narkotyku. Umysły nieszczęśników bardzo szybko przyzwyczajały się do codziennej porcji fal empatii i kojących

dźwięków. Pielgrzymi zaczęli wierzyć, że kapłani są istotami świętymi, obdarzonymi niebiańskim darem.

Rzecz jasna, prawda wyglądała zupełnie inaczej. Umiejętności, jakimi dysponowali kapłani rasy flanda Til, były po prostu wykształconymi w wyniku procesu ewolucji sposobami, do jakich uciekali się samcy, ilekroć chcieli przyciągnąć uwagę samic swego rodzaju.

- Posłuchaj, Teroenzo - odezwał się w pewnej chwili zaniepokojony Kibbick. - Tego nie rozumiem. Z zapisków wynika, że wydajemy tysiące kredytów na substancję hamującą popęd seksualny. Później dodajemy ją do papki, którą karmimy niewolników. Czy nie dałoby się ograniczyć tych wydatków? Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy pozwolili im rozmnażać się do woli? Zaoszczędzilibyśmy dzięki temu mnóstwo kredytów, prawda?

Teroenza przewrócił wylupiastymi oczami, ale - na szczęście - Kibbick tego nie zauważył.

- Wasza Ekscelencjo - odezwał się arcykapłan. - Jeżeli dopuścimy, żeby pielgrzymi rozmnażali się do woli, pozabawimy ich części energii niezbędnej do pracy. Ich wydajność się zmniejszy, a to oznacza, że będziemy mieli mniej przetworzonej przyprawy i nie zaspokoimy żądań wszystkich odbiorców.

- To możliwe - przyznał niechętnie Kibbick. - Z drugiej strony jednak, Teroenzo, chyba musi istnieć jakiś sposób, żeby rozwiązać ten problem bez wydawania sporych sum na kosztowne specyfiki. Czy nie powinniśmy pozwolić im, by się rozmnażali, a później wykorzystać ich larwy i jaja jako pożywienie?

- Wasza Ekscelencjo - powtórzył arcykapłan czując, że jego cierpliwość jest bliska wyczerpania. - Większość człokształtnych istot nie składa jaj ani nie wykluwa się z poczwerek. Istoty tych ras są żyworodne. Co więcej, wykazują bardzo dużą niechęć do spożywania własnych młodych.

Co prawda, od czasu do czasu zdarzało się, że niektórzy niewolnicy wyrywali się z transu Uniesienia i zaczęli pałać żądzą do istoty płci przeciwnej. Czasami nawet na Ilezji rodziły się dzieci. Teroenza zastanawiał się, czy nie powinno się po prostu zabijać ich tuż po urodzeniu, ale po namyśle doszedł do wniosku, że zna lepsze rozwiązanie. Wychowywanie tych dzieci nie powinno okazać się ani trudne, ani kosztowne, ani pracochłonne, a jeżeli zapewni im minimalną opiekę, może zdoła zrobić z nich pracowników administracji albo strażników. Rozkazał więc, żeby w barakach dla niewolników wydzielić specjalne pomieszczenia, i postanowił wychowywać tam wszystkie dzieci, jakie urodzą się pielgrzymom na Ilezji.

Ostatnio jednak do papki, którą jedli niewolnicy, zawsze dodawano substancję hamującą popęd seksualny. Upłynęło co najmniej pięć lat od chwili, kiedy miał miejsce ostatni przypadkowy poród.

- Och - odezwał się Kibbick. - Są żyworodne. Teraz rozumiem.

Idiota - pomyślał Teroenza. - Idiota, idiota, idiota... Od tylu lat przebywasz na Ilezji, a nie zadałeś sobie trudu, żeby poznać najbardziej elementarne fakty z życia pielgrzymów...

- Posłuchaj, Teroenzo - powiedział znów Kibbick. - Jeszcze czegoś tu nie rozumiem.

Arcykapłan zrobił głęboki wdech i policzył - bardzo powoli - do dwudziestu.

- Co takiego, Wasza Ekscelencjo?

- Dlaczego musimy wydawać tyle kredytów na działka i generatory ochronnych pól, które instaluje się na pokładach naszych statków? Przecież używamy ich wyłącznie do transportu niewolników. Po tym, jak przestaną nadawać się do pracy w przetwórnich przypraw, sprzedajemy ich do kopalń albo domów uciech. Kogo może obchodzić, jeżeli jeszcze raz czy dwa napadną na nich piraci?

Kibbick nawiązywał do ataku, jakiego dokonała mniej więcej przed miesiącem grupa istot ludzkich... bezczelnych Rebeliantów. Bandyty napadli na transportujący niewolników statek, który miał właśnie opuścić ilezjański system planetarny. Prawdę mówiąc, nie był to pierwszy taki atak. Teroenza nie miał pojęcia, kto za nie odpowiada, ale do głowy przychodziła mu tylko ta podstępna koreliańska zdrajczyni i renegatka, Bria Tharen.

Przywódcy klanu Besadii wyznaczili za jej głowę sporą nagrodę, ale na razie nikt się po nią nie zgłosił. Może powinienem pogadać z Durgą - pomyślał Teroenza. - Muszę poprosić go, żeby podwyższył sumę, jaką obiecał za schwytanie tej bezczelnej Korelianki.

Z demonstracyjną cierpliwością stwierdził:

- To prawda, Wasza Ekscelencjo, że nie troszczymy się o życie niewolników, którzy przestają być użyteczni. Mimo to nadal mają dla nas pewną wartość. Zależy nam jednak na transportowcach. Te są bardzo cenne. Jeśli ktoś wypali w burtach wielką dziurę, nie przydadzą się na nic. A naprawa może pochłonąć bardzo duże sumy.

- Och, rozumiem - odparł Kibbick, marszcząc fałdy twarzy. - Tak, to chyba oczywiste. Naturalnie.

Co za idiota!

- A to mi przypomina, że miałem o czymś powiedzieć Waszej Ekscelencji - ciągnął arcykapłan. - Wasza Ekscelencja może o tym wspomnieć kuzynowi. Otóż uważam, że naszym operacjom na Ilezji należy zapewnić większe bezpieczeństwo. Tylko kwestią czasu pozostaje, kiedy planeta zostanie znów napadnięta. Ataki piratów w przestworzach przysparzają nam wiele zmartwień, ale gdyby ci Rebeliancy napadli na jedną z naszych kolonii, życie Waszej Ekscelencji i moje nie byłoby warte złamanego kredytu.

Kibbick wpatrywał się w arcykapłana z wyraźnym przerażeniem.

- Myślisz, że się ośmielią? - zapytał po dłuższej chwili. Mimo iż bardzo się starał, nie potrafił ukryć drżenia głosu.

- Już raz się ośmielili, Wasza Ekscelencjo - przypomniał Teroenza. - Dowodziła nimi wówczas była niewolnica, Bria Tharen. Już Wasza Ekscelencja nie pamięta?

- Och, tak, to prawda - przyznał Hutt. - Tyle że od tamtego czasu upłynął ponad rok. Na pewno Rebeliancy przekonali się, że atakowanie planety nie ma sensu. Stracili przecież statek w naszej atmosferze.

Gwałtowne burze, które szalały w górnych warstwach ilezjańskiej atmosfery, uważano powszechnie za najlepszą ochronę przed wszelkimi atakami.

- To prawda - przyznał Teroenza. - Wolałbym jednak, Wasza Ekscelencjo, czuć się bezpieczny niż później żałować.

- Lepiej czuć się bezpiecznym niż później żałować - powtórzył machinalnie Kibbick, jakby arcykapłan powiedział coś zdumiewająco oryginalnego i mądrego. - No cóż - ciągnął po chwili. - Może masz rację. Musimy zapewnić sobie większe bezpieczeństwo. Jeszcze dziś porozmawiam o tym z kuzynem. Lepiej czuć się bezpiecznym niż później żałować. Tak, tak... Powinniśmy czuć się tu jak najbezpieczniej...

Mrucząc pod nosem, odwrócił się i pogrążył w studiowaniu wydruków. Teroenza odprężył się i opadł na wypoczynkową taśmę. Korzystając z tego, że krewniak Durgi go nie widzi, pozwolił sobie na jeszcze jeden luksus przewrócenia ogromnymi, wylupiającymi oczami.

ROZDZIAŁ

4

RODZINNE SZCZĘŚCIE I INNE KOMPLIKACJE

Dzień ślubu Chewbaccy i Mallatobuck okazał się zdumiewająco pogodny, jakby pełen obietnic i nadziei. Han, który dowiedział się o ślubie przyjaciela dopiero rano, cieszył się jego szczęściem. Martwiła go, co prawda, perspektywa rozstania ze starym przyjacielem. Spędzili razem kilka lat i Korelianin liczył na to, że kiedy Chewbacca przeżyje kilka następnych u boku żony może zechce wyprawić się z nim na jeszcze jedną przemytniczą eskapadę. Po prostu nie mógł uwierzyć, że gdy Wookiee zagna rodzinę szczęścia, nigdy więcej nie zapragnie zasiąść za sterami gwiazdowego statku.

Ponieważ przygotowania zajmowały cały wolny czas przyjaciela, Han właściwie nie miał kiedy zamienić z nim na ten temat choćby słowa. Wszystko wskazywało na to, że podczas ślubu Wookiech młodej parze nie towarzyszył nikt, kto odgrywałby - jak u ludzi - rolę drużby. Mimo to Chewbacca, pragnąc uhonorować przyjaciela, poprosił go, żeby ten stał u jego boku podczas ceremonii. Dowiedziawszy się o tym, Han wyszczerzył zęby w szelmowskim uśmiechu.

- Załatwione, kolego - obiecał. - Będę najlepszym drużbą jakim tylko może okazać się człowiek.

Rozbawiony Wookiee ryknął gromkim śmiechem i oświadczył, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszał tak dobrego żartu.

Han siedział teraz w kącie domu Attichitcuka i bardzo starał się nie wchodzić nikomu w drogę. Rozmyślał o jedynej sytuacji w swoim życiu, kiedy poprosił kobietę, żeby została jego żoną. Ową kobietą była Bria, wówczas zaledwie osiemnastoletnia dziewczyna. Han, starszy o rok, kochał ją bez pamięci. Wpatrzony w Brie jak w obrazek, chyba był zbyt młody, żeby uświadamiać sobie, na co się decyduje. Dobrze, że Bria go porzuciła...

Odpiął zatrask wewnętrznej kieszeni kamizelki i wyciągnął poskładany, starzejący się arkusik flimsiplastu. Rozłożył go i przeczytał pierwszą linijkę tekstu:

*Najdroższy Hanie
Nie zasługujesz na to, a ja mogę Cię tylko przeprosić. Kocham
Cię, ale nie mogę z Tobą zostać...*

Han skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego, a później złożył arkusik flimsiplastu i schował go z powrotem do kieszeni. Jeszcze do niedawna - do poprzedniego roku, do Bitwy o Nar Shaddaa - przypuszczał, że Bria powróciła, kajając się i płaszcząc, na Ilezję, do swoich zniewolonych towarzyszek i towarzyszy niedoli. Nie wyobrażał sobie, żeby mogła żyć bez codziennej porcji Uniesienia.

Potem niespodziewanie zobaczył ją, wykwintnie ubraną i kunsztownie uczesaną, na Coruscant, w luksusowej rezydencji moffa Sarna Shilda. Nazywała mężczyznę swoim „słoneczkiem” i wszystko wskazywało na to, że została jego konkubina. Od tamtej pory Han ze wszystkich sił starał się nią gardzić. Ani przez chwilę nie wierzył, że Bria mogłaby pokochać dostojnika Imperium. Wiedział przecież, kogo darzy tym uczuciem. Kiedy go zobaczyła, zbladła, jakby ujrzała ducha. Miomo iż bardzo szybko przyszła do siebie, Han widział to... nadal widział to w jej oczach.

Wkrótce potem, po Bitwie o Nar Shaddaa, moff Shild popełnił samobójstwo. Wi-deodzienniki trąbiły o tym ze wszystkimi szczegółami. Na wideoreportażach z uroczystości pogrzebowej (które Han oglądał wiele razy) nie można było jednak wypatrzyć twarzy Briei Tharen.

A teraz... dowiedziałem się, że była jakąś agentką albo przywódczynią Rebeliantów - pomyślał ponuro. Im dłużej jednak o tym myślał, tym bardziej był ciekaw, czy właśnie w tej roli Bria znalazła się w apartamencie moffa Shilda. Czy możliwe, że już wówczas działała jako agentka wywiadu? Czy możliwe, że przebywając w towarzystwie moffa, szpiegowała go i wypytywała o plany Imperium?

To miało nawet sporo sensu. Han nie był tym zachwycony, ale doszedł do wniosku, że odzyskałby trochę szacunku dla Briei, gdyby się okazało, iż sypiała z moffem, żeby wyciągnąć z niego cenne informacje, niż gdyby rzeczywiście była kimś, na kogo wyglądała - zepsuta do szpiku kości, luksusową... damą do towarzystwa.

Zastanawiał się, co się z nią stało po śmierci moffa Shilda. Z pewnością odwiedzała kolejne planety i pomagała bojownikom podziemnych ruchów oporu jeszcze lepiej się organizować.

A poza tym... Han słyszał - mniej więcej przed rokiem - że grupa ludzi, należących do jakiejś komórki ruchu oporu, dokonała napaści na Ilezję. Zaatakowała trzecią kolonię i oswobodziła ponad stu niewolników. Czy możliwe, że Bria Tharen była zamieszana także w to przedsięwzięcie?

Z opowiadań Katarry i innych Wookiech wynikało, że Bria jest kimś w rodzaju świętej wojowniczkii, która narażając życie, sprowadzała z Korelii transporty broni i amunicji. Dawała tym dowód niezwyklej odwagi... tym bardziej, że Kashyyyk był planetą podbitą przez Imperium.

Han doskonale pamiętał, jak bardzo Bria poczuła się zdradzona, kiedy uświadomiła sobie, że głoszona przez kapłanów z Ilezji religia jest w rzeczywistości zlepkiem fałszywych idei i poglądów, które służyły do niewolenia umysłów. Nie wiedział, czy była

wówczas bardziej wściekła, przygnębiona czy rozgoryczona. Nie mogła znieść myśli, że w ciągu sekundy przestała być jednym z pielgrzymów i przeistoczyła się w niewolnicę. Czy możliwe, że przeżyła z tą okropną świadomością kilka długich lat, a później postanowiła zemścić się na władcach Ilezji i ich imperialnych mocodawcach?

Odkąd rozstał się z Brią, Han nie mógł narzekać na brak damskiego towarzystwa. W żadnym razie. Ostatnie dwa lata, które spędził na księżycu Nar Shaddaa, on i Salla Zend stanowili nierozłączną parę. Salla była ognistą, ekscytującą kobietą. Umiała świetnie pilotować gwiazdne statki, znała się na mechanice i uchodziła za pierwszorzędną przemytniczkę. Mieli ze sobą wiele wspólnego, a jedna z najważniejszych cech, jaka charakteryzowała ich związek - rzecz jasna, dopóki trwało - polegała na tym, że każde interesowało się tylko tym, żeby wesoło spędzić czas i dobrze się zabawić.

Znajomość z Sallą była dla niego pewną stałą w życiu, ale też specjalnie mu go też nie utrudniała. Nigdy bowiem sobie niczego nie obiecywali. Wystarczało im to, że mogą spędzać czas w swoim towarzystwie.

Han często się zastanawiał, czy kocha Sallę... albo czy ona kocha jego. Lubił ją, chciał się o nią troszczyć i zrobiłby dla niej prawie wszystko... ale kochać? Nigdy nie darzył Salli - ani żadnej innej kobiety, jeżeli już o tym mowa - tak płomiennym uczuciem, jak kiedyś Brie Tharen.

Byłby wtedy dzieciakiem - przypomniał sobie. - Niedoświadczonym, beztróskim dzieciakiem. Nie miałeś pojęcia, co to miłość, dopóki sam nie straciłeś głowy. Teraz jesteś trochę starszy i o całe niebo mądrzejszy...

Siedząc w kącie mieszkania Attichitcuka i rozmyślając, Han nawet nie zauważył, że nagle stanęła przed nim Kallabow. Siostra Chewiego, która dotąd krzątała się po mieszkaniu, roznosząc tace z jedzeniem dla weselnym gości, oparła dłonie na biodrach i spiorunowała go spojrzeniem. Później gestem nakazała mu, żeby wstał, i ryknęła, nie kryjąc oburzenia. Han posłusznie zerwał się na równe nogi.

- Ależ skąd! - zaprotestował. - Wcale się nie ukrywam. Nie chciałem tylko nikomu przeszkadzać. Czy wszystko już gotowe?

Kallabow pokiwała głową na znak, że Han musiał się pospieszyć.

Podążając za Kallabow, Korelianin wyszedł z domu na skąpaną w słonecznym blasku leśną ulicę, obok której szeleściły i szumiały liście wroshyrów. Wkrótce przyłączył się do niego Jarik. Chłopak starał się nie oddalać od Hana. Nie rozumiał języka Wookiech i jeżeli nie przebywał w towarzystwie „kuzyna”, mógł rozmawiać jedynie z Ralrą.

- Czy to już? - zapytał po chwili.

- Wszystko na to wskazuje, chłopcze - odparł Solo. - Chwile wolności Chewiego są policzone.

Kallabow usłyszała, co powiedziała, i odwróciła głowę. Spojrzała na Hana jadowicie i wydała głośne, pogardliwe „huuuuummm-mppppppfiFfffff!”, które nie wymagało tłumaczenia. Han zachichotał.

- Powinniśmy uważać, co mówimy, chłopcze - mruknął cicho. - Kallabow mogłaby jednym palcem połamać nam kości.

Samica Wookiech powiodła ich splecioną z cieńszych gałęzi leśną ścieżką, szeroką jak ulica. Oddalając się od centralnej części miasta, zapuszczali się w dzielnice mieszkalne. Han domyślał się, że Maila mieszka w drzewnym domu - zapewne wybrała to miejsce, ponieważ miała blisko do pracy.

I rzeczywiście, po kilku minutach wszyscy troje skręcili w odnogę szlaku, a po chwili w następną.

- Ciekawe, dokąd nas prowadzi? - zastanawiał się na głos Jarik. Chłopak sprawiał wrażenie zaniepokojonego. - Zgubiłem się - oświadczył w pewnej chwili. - Gdyby nas teraz tu zostawiła, nie miałbym pojęcia, jak wrócić do Rwookrrorro. A ty?

Han kiwnął głową.

- Przypomnij mi kiedyś, chłopcze, żebyś podszkolił cię w sztuce nawigacji i odnajdywania powrotnej drogi - powiedział poważnie. - Mam nadzieję, że wkrótce dotrzemy na miejsce - dodał po chwili. - W przeciwnym razie zmęczę się tak bardzo, że nie będę miał siły się bawić.

Kallabow skręciła w następną jeszcze węższą odnogę. Wkrótce potem Han i Jarik ujrzeli przed sobą dużą grupę Wookiech i jednocześnie ścieżka nagle się skończyła.

Konar wroshyra, na którym stali, został jakoś odpiłowany albo oderwany, a następnie ostrożnie opuszczony, tak by spoczął w rozwidleniu niżej położonych grubszych konarów. Ponieważ pod jego ciężarem ugięły się korony sąsiednich drzew, można było odnieść wrażenie, że spogląda się na ogromną zieloną dolinę. Widok zapierał dech w piersi. Korony drzew, łagodnie kołyszące się w rytm podmuchów wiatru, przypominały żdźbła traw, falujące jak powierzchnia oceanu. Po zachodniej stronie doliny wznosiły się stopniowo, niczym pagórki. Padające z góry złociste promienie słońca przywodziły na myśl ogniste strzały. W górze, wysoko nad głowami, raz po raz przelatywały stada niewielkich ptaków.

Han odwrócił się do Kallabow.

- Hej... - powiedział. - Piękny widok!

Samica kiwnęła głową i wyjaśniła, że znajdują się w miejscu uważanym przez Wookiech za święte. Spoglądając z tego punktu na lesistą dolinę, mieszkańcy Kashyyyku mogli w pełni docenić i podziwiać piękno własnego świata.

Dopiero teraz mogła rozpocząć się ceremonia zaślubin. Han wiedział, że Wookie nie potrzebowali kapłanów ani urzędników, j Wystarczyło, że złożyli przysięgę w obecności świadków. Korelianin podszedł do Chewiego i stanął u jego boku. Ponieważ zauważył, że przyjaciel wygląda na zdenerwowanego, uśmiechnął się do niego uspokajająco i wyciągnął rękę, żeby rozwichryć długą sierść na czubku jego głowy.

- Odpreż się, kolego - powiedział. - Żenisz się ze wspaniałą kobietą.

Chewbacca odparł, że sam o tym doskonale wie... obawia się tylko, czy nie zapomni słów przysięgi!

Kilka chwil stali na samym końcu drzewnego szlaku, otoczeni tłumem Wookiech, którzy odgradzali ich od ścieżki wiodącej do Rwookrrorro. W pewnej chwili tubylcy rozstąpili się i utworzyli szpaler. Han i Chewie ujrzeli Mallatobuck.

Młodą samicę od stóp do głów okrywał srebrzystoszary woal. Tkanina była tak delikatna i zwiewna, że prawie przezroczysta. Zdawało się, że Mallatobuck jest otoczona

roziskrzonym siłowym polem. Woal wykonano z tkaniny o tak cienkich, przezroczystych włóknach, że przypominała mgiełkę. Han widział całkiem wyraźnie błękitne oczy przyszłej panny młodej.

Śluchał uważnie, jak Chewbacca i Maila wypowiadają słowa małżeńskiej przysięgi. Tak, kochają się bardziej niż jakiegokolwiek inne istoty. Tak, szanują honor i dobre imię drogiej sercu osoby tak samo jak własne. Tak, ślubują dochować wierności. Tak, śmierć może ich rozłączyć, ale nie zdoła zniszczyć ich miłości.

Oboje oświadczyli, że są pełni życiomocy. Dzięki niej ich związek będzie silny... przetrwa próbę czasu. Dzięki niej oboje staną się całością. Życiomoc będzie im towarzyszyła zawsze... aż do śmierci.

Korelianina ogarnęły podniosły nastrój i niezwykła powaga. Przez chwilę nawet odczuwał coś w rodzaju zazdrości. Poczłł niemal fizyczny ból, widząc miłość, która płonęła w oczach Mallatobuck. Nikt nigdy nie darzył go takim uczuciem... może z wyjątkiem Dewlanny - pomyślał, wspominając wdowę Wookie która wychowywała go, kiedy był dzieckiem.

Bria... Kiedyś uważał, że Bria kocha go do szaleństwa. Cóż, jeżeli tak, to okazała mu swą miłość w nader dziwny sposób.

Ocknął się z zamyślenia w samą porę, aby ujrzeć, że Chewie unosi woal Maili, a potem przyciąga ją do siebie. Oboje uścisknęli się i zetknęli policzkami. Kilka chwil delikatnie ocierali się twarzami. Nagle Chewbacca triumfująco zaryczał, a potem uniósł Mallę nad głowę, jakby była dzieckiem, a nie dorosłą samicą, zaledwie ' trochę niższą niż on sam.

Uczestniczący w ceremonii Wookie zaczęli ryczeć, wyć, zawodzić i pohukiwać.

- No cóż - odezwał się Jarik, spoglądając na Hana. - To chyba wszystko, prawda?

Ceremonia zaślubin wcale jednak nie dobiegła końca. Wręcz przeciwnie, dopiero się rozkręcała. Młodą parę uroczyście poprowadzono do ustawionych na wierzchołkach drzew wielkich stołów, które ugiwały się pod ciężarem najróżniejszych przysmaków. Han i Jarik, przechadzając się między stołami, próbowali raz tej, to znów innej potrawy. Musieli zachowywać ostrożność, ponieważ Wookie mieli zwyczaj jadać większość mięs na surowo. A nawet, kiedy jakaś potrawa sprawiała wrażenie gotowanej, nie zawsze musiała smakować ludziom. Korelianin dobrze wiedział, że Wookie uwielbiają jeść potrawy bardzo ostro przyprawione... czasami tak pikantne i gorące, że mogły poparzyć ludzki przełyk.

Miał jednak pewną wprawę w rozpoznawaniu potraw Wookiech i pokazywał Jarikowi, które można jeść bez obaw. Pierwszą z nich okazał się bulion z xachibka... pływało w nim mnóstwo kawałków mięsa, trochę ziół i niewiele przypraw. Drugą, jaką znalazł, był „koktajl” z vrortika - przekładaniec z różnych mięs i liści wroshyry, uprzednio trzymany wiele tygodni w stężonym syropie z grakkynowego nektaru. Trochę później Han trafił na pasztet z factryna, mrożonego gornnara, krążki chyntucka i smażoną klakkninę...

Gospodarze przyjęcia podali również sałatki i podpłomyki, a także ciasta z leśnym miodem i smakowite mieszaniny mrożonych leśnych owoców, których nazw Han nawet nie usiłował się domyślić.

Korelianin ostrzegł Janka, żeby nawet nie próbował roznoszonych trunków. Z własnego bolesnego doświadczenia pamiętał, jaką moc mają napoje alkoholowe Wookiech. A tu widział ich co niemiara: accaragm, cortyg, garmorl, grakkyn i thikkiińską brandy, żeby wymienić tylko najważniejsze.

- Posłuchaj mojej rady, chłopcze - powiedział, zwracając się do młodzieńca. - Wookie umieją pędzić mocne trunki, które człowieka potrafią zwalić z nóg w ciągu kilku minut. Jeżeli chodzi o mnie, zamierzam zadowolić się mieszaniną wina gorimm i gralinyńskiego soku.

- Przecież gralinyński sok piją tylko dzieci - zaprotestował Jarik. - A to drugie...

- To jaar - przerwał mu Solo. - Słodzone mleko alcoari i wyciąg z winojagód. Za słodkie jak na mój gust, ale tobie może smakować.

Jarik popatrzył tęsknie na pękatą butlę wypełnioną mocną thikkiińską brandy. Han podążył za jego spojrzeniem i pokręcił głową.

- Chłopcze - powiedział. - Nawet o tym nie myśl. Nie zamierzam się z tobą cackać, jeżeli zaczniesz wymiotować jak zatrute szczenię mulacka.

Młodzieniec wykrzywił się, ale później sięgnął po kieliszek winagorimm.

- Niech ci będzie - powiedział z rezygnacją. - Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz.

Han uśmiechnął się i stuknął swoim kieliszkiem o kieliszek Jarika.

- Możesz mi zaufać.

Kilka minut później Jarik gdzieś się oddalił. Han został sam. Trzymał talerz z opiekanymi żeberkami trakkrrrnowymi i przyprawioną na ostro sałatką, udekorowaną ziarnami rillrrnna. Nagle stanął przed nim Wookie o ciemnobrązowej sierści, którego twarz wydała się Hanowi dziwnie znajoma. Solo był jednak pewien, że nigdy go nie widział. Kilka chwil nieznanemu Wookie tylko mu się przyglądał, potem zaczął mówić.

Z wrażenia Han omal nie upuścił talerza z jedzeniem.

- Jesteś synem Dewlannamapii? - zwołał. - Coś takiego! - Pospiesznie postawił talerz na blacie najbliższego stołu, pochwyił Wookiego w objęcia i serdecznie go uściaskał. - Hej, kolego, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię poznałem! Jak się nazywasz?

Wookie, odwzajemniając uścisk, przedstawił się jako Utchakkaloch. Han wypuścił go z objęć i cofnął się krok, żeby mu się lepiej przyjrzeć. Przekonał się, że coś dziwnego dzieje się z jego oczami, i nawet musiał kilka razy szybko zamrużyć. Chakk (Wookie poprosił, żeby właśnie tak go nazywać) również sprawiał wrażenie wzruszonego. Powiedział Hanowi, że już dawno chciał się z nim zobaczyć - po części dlatego, że chciał usłyszeć, jak zginęła jego matka.

Han przelknął ślinę.

- Chakku, twoja matka zginęła jak bohaterka - powiedział. - Gdyby nie ona, nie rozmawiałbym teraz z tobą. Była odważna, jak prawdziwy Wookie. Zginęła, walcząc jak wojownicza. Postrzelił ją i zabił niejaki Garris Shrike, ale... sam później także oddał życie.

Chakk chciał wiedzieć, czy to Han zabił Shrike'a, żeby pomścić śmierć jego matki.

- Właściwie nie - odrzekł Solo. - Ktoś inny dopadł go wcześniej. Przed śmiercią męczył się i cierpiał. Postrzeliłem go.

Chakk gardłowym pomrukiem wyraził aprobatę. Ponieważ Hana wychowała jego matka, uważał go za przybranego brata. Dewlanna - która latała wówczas na „Farcia-rzu”, opowiedziała synowi i innym członkom rodziny mnóstwo historii o małym chłopcu, który uwielbiał jej chleb wastril i bardzo chciał zostać pilotem gwiazdnych statków.

- No cóż, Chakku - odezwał się Han. - Twoja matka tego nie dożyła, ale stałem się pilotem. A moim najlepszym przyjacielem jest nie kto inny, tylko Wookie.

Syn Dewlanny rubasznie parsknął i oświadczył zdumionemu Korelianinowi, że on i Chewbacca są bardzo dalekimi krewnymi. Trzy pokolenia wcześniej jakiś kuzyn Chakka wyprowadził się do Rwookrro, gdzie pojął za żonę siostrzenicę ciotki Chewbaccy. Han zamrugał.

- To rzeczywiście daleki krewny - powiedział. - No cóż. Uhm... doskonale. W takim razie jesteście wszyscy jedną wielką rodziną.

Zaprowadził Chakka do pana młodego. Dowiedziawszy się, że Han jest przybranim bratem jego rozmówcy, Chewbacca głośnym rykiem wyraził radość i entuzjastycznie poklepał Chakka po plecach.

Uczta przeciągnęła się do późnych godzin nocy. Wookie tańczyli, śpiewali i grali na starych drewnianych instrumentach, które przekazywano z pokolenia na pokolenie. Han i Jarik uczestniczyli w zabawie, aż wreszcie - wstawieni i zmęczeni - po prostu ułożyli się pod jednym z ogromnych stołów i zasnęli.

Kiedy Han ocknął się następnego ranka, stwierdził, że uroczystość zaślubin dobiegła końca. Chewie i Mailla udali się do lasu, żeby spędzić we dwoje swój miodowy miesiąc. Han się zasmucił. Za kilka dni spodziewał się zakończyć rozmowy z Ralrrą, i - kiedy w ładowniach „Sokoła” znajdą się nowe towary - odlecieć z Kashyyyku. Nie zobaczy się zatem z Chewbacca, żeby powiedzieć mu „do widzenia”.

Pomyślał jednak, że nie powinien wymagać, aby ktoś, kto spędza noc poślubną z wybranką serca, mógł pamiętać o swoim najlepszym drużbie. Mimo to nie odzyskał dobrego humoru. Postanowił, że już niedługo znów wylądować na Kashyyyku. Może wówczas będzie miał okazję pożegnać się z wiernym przyjacielem?

Hutt Durga czekał niecierpliwie, nie opuszczając jednak swojego gabinetu. Nie miał zamiaru ruszać się z planety Nal Hutta. Kiedy zobaczył, że zaczyna się przed nim tworzyć holograficzny wizerunek Myka Bidlora, podpełzł trochę bliżej. Wytrzeszczył wylupiające oczy i rzucił gwałtownie:

- Wiesz coś nowego na temat wyników autopsji? Zidentyfikowałaś tę substancję?

- Wasza Ekscelencjo - zaczął naukowiec - ta substancja występuje bardzo rzadko. Z początku nie potrafiliśmy ani jej zidentyfikować, ani stwierdzić, jakie wywołuje skutki. - Specjalista w dziedzinie medycyny sądowej sprawiał wrażenie niewyspanego i przemęczonego, jakby rzeczywiście, jak twierdził, pracował dnie i noce. - Przeprowadziliśmy jednak wiele testów i wreszcie odkryliśmy jej tajemnicę. Teraz jesteśmy już pewni. Tak, to trucizna. Pochodzi z Malkii.

- Truciciele Malkici! - wykrzyknął przywódca klanu Besadii. - Oczywiście! Skrytobójcy, używający egzotycznych i bardzo trudnych do zidentyfikowania trucizn... A

któż inny mógłby posłużyć się substancją, która położyła kres życiu Hutta? Moich ziomków niełatwo uśmiercić...

- Wiem o tym, Wasza Ekscelencjo - odparł Myk Bidlor. - A jeżeli chodzi o tę substancję... jest tak rzadko spotykana, że nie zdołaliśmy się dowiedzieć, jak się nazywa. Uchodzi za szczytowe osiągnięcie w dziedzinie trucizn. Ponieważ nie znaleźliśmy jej nazwy, ochrzcziliśmy ją X-1.

- Ta trucizna, X-1, nie występuje nigdzie na planecie Nal Hutta? - zapytał Durga, pragnąc nabrać absolutnej pewności. - To nie mógł być nieszczęśliwy wypadek?

- Nie, Wasza Ekscelencjo - odparł specjalista. - Ktoś musiał podać ją lordowi Arukowi.

- Podać? W jaki sposób?

- Nie jesteśmy pewni, Wasza Ekscelencjo, ale wszystko wskazuje na to, że w jedzeniu.

- Ktoś podał mojemu ojcu zatrute jedzenie, które go zabiło - powtórzył lord Hurtów lodowatym, ale spokojnym tonem, mimo iż kipiał z wściekłości. - I ten ktoś mi za to zapłaci... zapłaci... zapłaci...

- Uhm... to niezupełnie tak wyglądało, Wasza Ekscelencjo. - Specjalista od medycyny sądowej nerwowo przesunął językiem po spieczonych wargach. - Sposób nie był taki... oczywisty. Prawdę mówiąc, gdyby nie chodziło o lorda Aruka, uznałbym go za całkiem... pomysłowy.

A coś tak pomysłowego mógł wymyślić tylko inny Hutt - pomyślał Durga. Spiorunował starszego naukowca spojrzeniem.

- Co masz na myśli?

- To bardzo niebezpieczna substancja. Podana w dużej ilości, powoduje natychmiastową śmierć, Wasza Ekscelencjo - wyjaśnił naukowiec. - W małych dawkach nie jest jednak zabójcza. Odkłada się w komórkach mózgu, wskutek czego powoduje stopniowe upośledzenie procesów myślowych. X-1 jest również silnym narkotykiem. Kiedy ofiara przyzwyczaja się do spożywania coraz większych dawek trucizny, jej organizm się uzależnia, a wówczas śmierć może spowodować nagle wstrzymanie podawania. Przedtem jednak występują objawy, które mi opisywano: bóle, drgawki i utrata świadomości. - Specjalista zaczerpnął głęboki haust powietrza. - I właśnie tak zginął ojciec Waszej Ekscelencji. Nie stracił życia dlatego, że w komórkach jego mózgu odkładała się X-1. Umarł, ponieważ ktoś przestał mu ją podawać.

- Ile czasu - spytał młody przywódca klanu, wymawiając słowa dobitnie, z krótkimi przerwami. - Ile czasu... ten ktoś... musiał... podawać... truciznę... mojemu ojcu... żeby mógł się... od niej uzależnić?

- Zapewne kilka miesięcy, lordzie Durgo, choć nie jestem tego pewien. Co najmniej kilka tygodni. Na przyzwyczajenie organizmu potrzeba czasu. - Myk Bidlor zawałał się, ale potem zebrał się w sobie i ciągnął: - Lordzie Durgo, nasze dochodzenie wykazało również, że substancja X-1 jest niezwykle kosztowna. Wytwarza się ją z pręcików roślin rosnących tylko na jednej planecie w całej galaktyce. Nikt nie wie dokładnie, gdzie. Tę tajemnicę znają wyłącznie Truciciele Malkici. Skrytobójcy składają jednak przysięgę, że nikomu jej nie wyjawia. Pewne jest zatem tylko jedno. Na kupno ilo-

ści, która wystarczyłaby do zabicia ojca Waszej Ekscelencji, mogła pozwolić sobie jedynie osoba bardzo bogata. Osoba... albo grupa osób.

Lord Durga się zamyślił.

- Rozumiem - odezwał się po chwili. - Proszę kontynuować badania, Bidlor. Mam nadzieję, że zdołają rzucić więcej światła na tę tajemnicę. I proszę o wszystkim informować mnie na bieżąco. Zamierzam się dowiedzieć, gdzie znajduje się owa planeta.

Bidlor zgiął się w niskim ukłonie. Sprawiał wrażenie zdenerwowanego, a może zaniepokojonego.

- Oczywiście, Wasza Ekscelencjo - zaczął. - Tylko że... Lordzie Durgo, nasze badania też są dosyć kosztowne.

- Cena nie gra żadnej roli! - prychnął pogardliwie lord klanu Besadii. - Muszę się tego dowiedzieć i zapłacę, ile trzeba, żeby poznać całą prawdę! Dowiem się, skąd pochodzi X-1... i dowiem się, kto podawał ją ojcu! Bogactwa klanu są moimi bogactwami! Rozumiesz to, Bidlor?

Naukowiec zgiął się w jeszcze głębszym ukłonie.

- Naturalnie, Wasza Ekscelencjo - odrzekł z wyraźną ulgą. - Będziemy kontynuowali nasze testy.

- Dopilnuj tego osobiście, Bidlor - warknął groźnie Durga.

Przerwał połączenie i kipiąc z wściekłości, popęzł najpierw w jeden, a potem w drugi kąt gabinetu. Wiedziałem! - myślał ponuro. - Aruka ktoś zamordował! Od samego początku to podejrzewałem. Ktoś na tyle bogaty, żeby zakupić dużą ilość X-1. Musiał należeć do klanu Desilijic... może Jiliac. a może Jabba. Dowiem się, kto za to odpowiada, a potem zabiję go własnymi rękami! Przysięgam na pamięć mego otrutego ojca! Zemszczę się straszliwie...

Następne dziesięć dni Durga spędził, na przesłuchiwanie wszystkich członków pałacowej służby. Nie miał litości dla nikogo... a zwłaszcza dla kuchcików i kucharzy. Kilku nie wytrzymało męczarni i wyzionęło ducha w trakcie przesłuchiwania. Lord Durga nie wydobył z nich jednak niczego. Nie zdołał się dowiedzieć, czy któryś dosypywał truciznę do jedzenia, jakie podawano Arakowi.

Młody lord Huttów, osobiście prowadząc śledztwo, zaniedbywał inne obowiązki. Pewnego dnia, kiedy przesłuchania dobiegły końca, a androidy sprzątające właśnie wynosiły bezwładne zwłoki samicy rasy t'landa Til, która pracowała jako młodsza urzędniczka w pionie administracyjnym klanu Besadii, Durge odwiedził jego

rywal Zier.

Starszy Hurt spojrzął pogardliwie na wynoszone przez androidy wielkie, czworonożne cielsko.

- Który to już trup? - zapytał, nawet nie usiłując ukryć sarkazmu w głosie.

Durga spiorunował go spojrzeniem. Ucieszyłby się, gdyby mógł posadzić drugiego lorda klanu Besadii o spowodowanie śmierci swego ojca, ale Zier miał alibi. Dłuższy czas spędził na księżycu Nar Hekka, gdzie zajmował się interesami klanu. Został wezwany do powrotu zaledwie przed kilkoma miesiącami, kiedy Arak już nie żył. Po jego powrocie Durga nakazał, żeby dokładnie sprawdzono, gdzie Zier przebywał, co robił i z

kim się kontaktował. Młodszy lord Huttów nie zdołał jednak wykrzyć żadnego związku między śmiercią Aruka a działaniami Ziera.

Przede wszystkim jednak starszy Hutt - mimo iż uchodził za zamożnego - nie mógł sobie pozwolić na zakup większej ilości X-1. Lord Durga stwierdził także, iż jego rywal nie podejmował ostatnio podejrzenie dużych sum ze swych kont bankowych.

- Czwartym - mruknął ze złością. - Nie są tak wytrzymali jak my, kuzynie. Nic dziwnego, że przedstawiciele innych ras boją się nas i nam służą. Stoją o wiele niżej, zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym.

Zier westchnął.

- Muszę przyznać, że będę tęsknił za tym Twi'lekiem, twoim szefem kuchni - powiedział z zadumą. - Potrafił przyrządzać doskonałe filety z larw mulblattów w sosie z krwi fregonów.

Znów westchnął.

Durga wydał z niesmakiem wielkie usta.

- Kucharza można łatwo zmienić - rzucił zwięźle.

Zier kiwnął ogromną głową.

- Czy nie przyszło ci do głowy, drogi kuzynie - zapytał - że ten twój specjalista od medycyny sądowej może się mylić?

- On i jego ludzie są najlepsi w swoim fachu - oświadczył Durga. - Nikt nigdy nie miał lepszych referencji. Dokonali wielu ekspertyz na zlecenie najwyższej postawionych wojskowych doradców samego Imperatora... nie wyłączając gubernatora Tarkina.

Zier ponownie kiwnął głową.

- To dobra rekomendacja - przyznał. - Nikt, kto zawiódł gubernatora, nie uszedł jeszcze z życiem.

- Tak mówią - zauważył niezobowiązująco młodszy lord Huttów.

- Mimo to, kuzynie... - nie dawał za wygraną starszy Hutt - czy możliwe, że twoi specjaliści znaleźli dowody morderstwa, ponieważ kazales im je znaleźć, a oni nie śmieli sprzeciwić się

twojej woli?

Durga kilka chwil zastanawiał się nad taką ewentualnością.

- Raczej nie - odezwał się w końcu. - Znaleźli niepodważalny dowód. Osobiście zapoznałem się z ich raportami.

- Wyniki laboratoryjnych badań można sfalszować, kuzynie - przypomniał Zier. - Ta obsesja kosztowała cię mnóstwo kredytów. Naukowcy wyciągają od klanu Besadii całkiem spore sumy. Może zrobią wszystko, byle tylko strumień kredytów płynął bez końca.

Durga odwrócił się do krewniaka.

- Jestem pewien, kuzynie - zaczął - że moi specjaliści nie sfalszowali wyników badań. A jeżeli chodzi o koszty... Aruk był przywódcą klanu Besadii. Czy nie powinniśmy wyjaśnić, co właściwie się wydarzyło? Nie powinniśmy rozwiązać zagadki jego śmierci? Jeżeli tego nie zrobimy, inni dojdą do wniosku, że jesteśmy słabi. Pomyślą, że można nas bezkarnie mordować.

Spiczasty jęzor Ziera powoli przesunął się po dolnej wardze. Starszy Hutt pogryzął się w zadumie.

- Możliwe, że masz rację, kuzynie - przyznał w końcu. - Mimo to... Nie będzie dobrze, jeśli zdobędziesz opinię beztroskiego marnotrawcy. Proponuję, żebyś płacił swoim naukowcom z własnej kasy, a nie z funduszy klanu Besadii. Jeżeli przyznasz mi rację, nie powiem więcej ani słowa. Jeżeli nie... no cóż, już niedługo czeka nas spotkanie członków klanu. Ja zaś, jako jeden z sumiennych przywódców, po prostu muszę zgłosić uwagi, które będą miał do twojego raportu finansowego.

Durga spiorunował kuzyna gniewnym spojrzeniem. Zier nie pozostał dłużny.

- Aha, kuzynie, jeszcze jedna sprawa - ciągnął, jakby nic nie zauważył. - Jeżeli spotka mnie jakiegokolwiek nieszczęście albo przydarzy się wypadek, twój los będzie przesądzony. Ukryłem kopie raportu finansowego w miejscach, o których nigdy się nie dowiesz. A zatem, gdybym zginął, a nawet zmarł pozornie z przyczyn naturalnych, moi podwładni wyciągną je i przedstawią na spotkaniu - razem z moim komentarzem.

Młodszy Hutt z trudem powstrzymywał chęć wezwania strażników, którym kazałby zastrzelić Ziera. Wiedział jednak, że zabić Hutta jest niezwykle trudno, a śmierć jeszcze jednego rywala mogłaby sprawić, że przeciwko niemu obrócą się wszyscy pozostali lordowie klanu.

Nabrał powietrza.

- Może masz rację, kuzynie - odezwał się w końcu obojętnym tonem. - Od tej chwili będę finansował śledztwo z własnej kasy.

- To dobrze - odparł Zier. - Aha, jeszcze jedno... kuzynie. Ponieważ twój ojciec nie żyje, muszę udzielić ci pewnej rady. Rady popartej wieloletnim doświadczeniem.

Gdyby młodszy lord Huttów miał zęby, zgrzytnąłby nimi z wściekłości.

- Słucham - powiedział, kiedy się opanował.

- Chodź o Czarne Słońce, Durgo - ciągnął starszy Hutt, jakby nie widział reakcji kuzyna. - Wszyscy wiedzą, że skorzystałeś z ich pomocy, żeby umocnić swoją władzę. Ostrzegam cię, żebyś nigdy więcej tego nie robił. Nie można wykorzystywać potęgi Czarnego Słońca do własnych celów, a potem liczyć na to, że nie poniesie się żadnych konsekwencji. Ich usługi bywają bardzo... kosztowne.

- Za swoje „usługi” - jak je nazywasz, kuzynie - otrzymali stosowną zapłatę - wycedził Durga przez zaciśnięte wargi. - Nie jestem taki głupi, za jakiego mnie uważasz.

- To dobrze - powtórzył beznamiętnie Zier. - Cieszę się, że to słyszę. Muszę przyznać, drogi kuzynie, że jednak trochę martwiłem się o ciebie. Każdy Hutt, który dla kaprysu pozbywa się tak dobrego kucharza, wydaje mi się podejrzany.

Mimo iż kipiał z wściekłości, Durga odwrócił się i wijąc się jak wąż, wypełził z pokoju. Miał zamiar znaleźć jakiegoś członka pałacowej służby, którego jeszcze nie przesłuchał.

Hutt Jabba i jego ciotka przebywali w ogromnej sali audiencyjnej pałacu Jiliac na planecie Nal Hutta. Młody lord z niesmakiem obserwował, jak dziecko ciotki pełźnie z mozołem to w jedną, to znów w inną stronę wielkiej sali. Niemowlę mogło już spędzać prawie godzinę poza torbą matki. Na tym etapie rozwoju przypominało bardziej pulch-

nego pędraka albo larwę owada niż Hutta. Ręce dopiero zaczynały wyrastać z tułowia; palce miały się utworzyć, kiedy mały Hutt na dobre opuści matczyną torbę. Jediną cechą, upodabniającą go do dorosłego osobnika, były wylupiaste, przecięte pionowymi szczelinami oczy.

Dzieci Huttów rodziły się prawie bezrozumne, bezbronne i bezradne. Dopóki nie ukończyły stu lat, nie odpowiadały nawet za własne czyny. W ciągu stu lat traktowano je jak niemowlęta, to znaczy opiekowano się nimi, karmiono je... i właściwie po za tym nic więcej.

Jabba przyglądał się, jak potomek Jiliac wije się po wypolerowanej kamiennej posadzce. Żałował, że nie może wrócić na księżyc Nar Shaddaa. Stamtąd mógłby o wiele skuteczniej prowadzić interesy przemysłowego imperium klanu Desilijic. Dopóki przebywał na planecie Nal Hutta, nie był w stanie wszystkiego dopilnować. Kilkakrotnie proponował ciotce, żeby oboje polecili na Księżyc Przemysłowników, ale za każdym razem Jiliac stanowczo odmawiała. Twierdziła, że zanieczyszczone powietrze może zaszkodzić dziecku.

Jabba tracił więc mnóstwo czasu, latając wciąż na księżyc i z powrotem. Nie mógł też wybrać się na Tatooine, przez co cierpiały jego interesy na tej planecie. Co prawda, pilnujący ich Ephant Mon - Chevin - radził sobie całkiem nieźle, ale Jabba wolałby wszystkiego doglądać osobiście.

W przeszłości Jabba i Mon przeżyli razem wiele niebezpiecznych przygód. Dzięki temu szkaradny osobnik z planety Vinsoth stał się jedyną osobą w całym wszechświecie, której młody Hutt ufał bez zastrzeżeń. Z jakichś powodów (nawet sam Jabba nie miał pojęcia, dlaczego) Ephant Mon dochowywał mu wierności. Młody lord klanu Desilijic dobrze wiedział, że Chevin nie zgadzał się go zdradzić nawet za cenę fortuny. Nie miała znaczenia suma, jaką mu proponowano. Ephant Mon pozostawał lojalny...

Jiliac doceniał tę cechę charakteru przyjaciela. Odwdzięczał się, dokonując tylko sporadycznych kontroli prowadzonych przez niego ksiąg rachunkowych. Po tylu latach nie spodziewał się, żeby Mon mógł go zawieść albo zdradzić... Mimo to musiał być przygotowany na każdą ewentualność.

- Ciociu - zaczął ostrożnie. - Zapoznałem się z ostatnim raportem, który wykradł nasz szpieg, pracujący w pionie księgowości klanu Besadii. Ich zyski przedstawiają się imponująco. Nie zmniejszyła ich nawet zakończona zwycięstwem Durgi walka o panowanie nad całym klanem. Co miesiąc zwiększają przerób przyprawy. Niemal co tydzień na Ilezji lądują transportowce z pielgrzymami. To przynębiające i burzające.

Jiliac obróciła wielką głowę i popatrzyła na bratanka.

- Durga poczyna sobie śmieiej niż mogłam się spodziewać, Jabbo - powiedziała. - Nie przypuszczałam, że zdoła umocnić swoją władzę. Zakładałam, że do tej pory w klanie Besadii zapanuje taki chaos, iż bez trudu przejmie nad nim kontrolę. Tymczasem, mimo iż Durga ma nadal kilku przeciwników, najbardziej elokwentni rywale nie żyją, a nikt spośród pozostałych nie domaga się jego obalenia ani ustąpienia.

Jabba zamrugął i zdumiony, popatrzył na ciotkę. W jego serce zaczęła wstępować nowa nadzieja. Te słowa zabrzmiały, jakby wygłosiła je dobrze znana Jiliac... Jiliac sprzed dnia, w którym została matką!

- Czy wiesz może, dlaczego nie żyją, ciociu? - zapytał.
 - Ponieważ Durga był tak głupi, że wezwał na pomoc Czarne Słońce - odparła Jiliac. - Nagła śmierć wszystkich jego rywali nie mogła być efektem knowań innego Hutta. Jedynie Czarne Słońce dysponuje takimi środkami i sposobami. Tylko księżę Xizor mógł pozwolić sobie, żeby w ciągu zaledwie kilku dni zabić wszystkich.

Jabbe ogarniało coraz większe podniecenie. Czyżby naprawdę budziła się z tego macierzyńskiego ogłupienia? - zastanawiał się w duchu.

- Z Xizorem niewątpliwie trzeba się liczyć - przyznał cierpko. - To właśnie dlatego od czasu do czasu wyświadczam mu drobne uprzejmości. Zapewne pamięta, że ma wobec mnie dług wdzięczności. Wolę mieć go po swojej stronie... na wypadek, gdybym jego musiał prosić o przysługę. Już raz potrzebowałem jego wsparcia, na Tatooine. Pomógł mi i nie chciał nic w zamian.

Przysłuchując się słowom bratanka, Jiliac powoli kiwała wielką głową. Zapewne nauczyła się tego gestu od ludzi.

- Jabbo, chyba wiesz, co o tym wszystkim sądzę - rzekła w końcu. - Dobrze znasz moje zdanie. Mówiłam ci to zresztą nieraz. Konszachty z Xizorem jeszcze nigdy nikomu nie wyszły na dobre. Lepiej trzymaj się od niego jak najdalej. Nie próbuj prowadzić żadnych interesów z Czarnym Słońcem. Jeżeli uchylisz drzwi, by porozmawiać z Xizorem, ani się obejrzyysz, a staniesz się jego wasalem.

- Jestem ostrożny, ciociu - uspokoił ją Jabba. - Możesz być tego pewna. Nigdy nie postąpiłbym tak, jak Durga.

- To dobrze - mruknęła Jiliac. - Już wkrótce młody głupiec przekona się, że nie potrafi zamknąć drzwi, które tak niebacznie otworzył. Jeżeli zdecyduje się przez nie przejść... przestanie być panem samego siebie.

- Czy powinniśmy sobie życzyć, ciociu, żeby właśnie na to się zdecydował? - zapytał z nadzieją Jabba.

Jiliac zmrużyła wylupiaste oczy.

- Nie bądź śmieszny, bratanku - parsknęła. - Nie zamierzam zadzierać z Xizorem. Wszystko wskazuje na to, że przywódca Czarnego Słońca skupia całą uwagę na interesach klanu Besadii. Ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że gdyby miał okazję, równie ochoczo przejąłby kontrolę nad interesami naszego klanu.

Jabba westchnął. Ciotka miała rację. Gdyby mógł, Xizor przejąłby kontrolę nad całą planetą Nal Hutta.

- A jeżeli mówimy o klanie Besadii, ciociu - powiedział. - Co sądzisz o zyskach, o których ci wspominałem? Co możemy zrobić, żeby pokrzyżować ich plany? W tej chwili mają na Ilezji dziewięć kolonii. Przygotowują się, żeby założyć jeszcze jedną na Nyrvonie, drugiej nadającej się do zasiedlenia planecie systemu.

Jiliac się zastanawiała.

- Może najwyższy czas, żeby znów zrobić użytek z Teroenzy - rzekła po chwili. - Najprawdopodobniej Durga nie ma pojęcia, że arcykapłan odpowiada za śmierć Aruka.

- W jaki sposób chciałybyś go wykorzystać?

- Jeszcze nie wiem... - zaczęła Jiliac. - Może powinniśmy zachęcić go, żeby wydał oświadczenie, w którym uniezależnia się od władzy Durgi? Jeżeli obie strony przystą-

pią do walki, ucierpią na tym zarówno interesy, jak i zyski klanu Besadii. Wówczas wkroczymy do gry, żeby pozbierać to, co jeszcze zostanie.

- Znakomicie, ciociu! - Jabba był zachwycony, że oto jego ciotka jest znów tą samą, dobrze znaną, podstępna i przebiegła starą wiedźmą. - Teraz chciałbym tylko, żebyś rzuciła okiem na ten raport i powiedziała, co możemy zrobić, aby ograniczyć wydatki...

- Ummmhhhhh!

Jabba urwał, gdyż Jiliac wydała gardłowy, przepojony matczyną miłością pomruk. Niemowlę właśnie podpełzło do cielska ciotki. Wyciągnęło kikuty rąk i kierując na Jiliac wylupiaste oczy, otworzyło szeroko wielkie usta i rozkazująco cmoknęło.

Jabba przewrócił oczami. Niewiele brakowało, a jego gałki oczne wypadłyby z oczodołów i rozbryzły się na posadzce. Jestem świadkiem, jak marnuje się jeden z najwspanialszych przestępczych umysłów tego tysiąclecia - pomyślał ponuro.

Przyglądał się, jak Jiliac podnosi malca i ostrożnie wkłada go do torby. Zmierzył niemowlę spojrzeniem, w którym płonęło coś bardzo podobnego do nienawiści.

Następne kilka dni Han spędził w towarzystwie bojowników podziemnego ruchu oporu Kashyyyka. Pragnął dobić targu, ale chciał uzyskać jak najlepszą cenę za przemycane belty do kusz. Kiedy wreszcie zakończył pertraktacje, wrócił na pokład „Sokoła” i z pomocą Jarika zaczął wnosić eksplodujące belty z ukrytych pod płytami pokładu skrytek. Wokół skrzynek krzżeli się Katarra, Kichiir i Motamba. Otwierając je, zachwycali się jak dzieci. Radośnie wykrzykiwali, zupełnie jakby cieszyli się nowymi zabawkami.

W tym czasie inni bojownicy ruchu oporu wnosili na pokład „Sokoła” elementy pancerzy szturmowców. Kiedy skończyli załadunek, Han miał w ładowniach ponad czterdzieści kompletnych pancerzy i dziesięć hełmów. Gdyby sprzedał wszystko po cenie, która akurat obowiązywała na rynku, zarobiłby dwa razy tyle, ile wydał na tę wyprawę. Zupełnie przyzwoity zysk! - ucieszył się w duchu.

Kiedy on i Jarik skończyli upychać elementy pancerzy w ładowniach - oraz wszędzie tam, gdzie nie przeszkadzały - zapadła już noc. Han postanowił, że zaczeka do rana i dopiero wówczas opuści drzewną grotę. Obaj członkowie załogi „Sokoła” wiedzieli, że czeka ich lot między drzewami, pionowo ku niebu. Pożegnali więc gospodarzy i podnieśli rampę, a potem wyciągnęli się na rozłożonych fotelach pilotów, by choć trochę się zdrzemnąć.

Następnego dnia jednak, jeszcze zanim wzeszło słońce, obudził Hana donośny - i jakże znajomy - ryk Wookiego. Korelianin otworzył oczy i zeskoczył z fotela. Kiedy wybiegał na korytarz, omal nie przewrócił się o rozspanego Jarika. Zszedł na płytę lądowiska. ..

- Chewie!

Ucieszył się bardzo na widok ogromnego futrzaka i nawet się nie skrzywił, kiedy rosty Wookiee pochwycił go w objęcia, uniósł w powietrze i obrócił przynajmniej kilka razy, a na koniec rozwichrzył jego włosy, aż stanęły dęba. Cały czas nie przestawał skarżyć się i narzekać. Co właściwie Han sobie myśli, że chce zostawić go na

Kashyyyku? Czy nie powinien mieć więcej rozumu? A zresztą, czego innego można się spodziewać po człowieku?

Kiedy w końcu rozżalony Wookie postawił go na płycie lądowiska i wypuścił z objąć, Han popatrzył na przyjaciela, zdezorientowany.

- Hmmm? - zapytał, wciąż jeszcze trochę oszołomiony. - Co to znaczy, że chciałem zostawić cię na Kashyyyku? - zapytał. - Przecież odlatuję na księżyc Nar Shaddaa, kolego, a na wszelki wypadek, gdybyś tego nie zauważył, przypominam ci, że jesteś teraz żonaty. Twoje miejsce, Chewie, jest tu, na Kashyyyku, u boku Maili.

Chewbacca pokręcił głową. Nie przestawał wyć, ryczeć i lamentować.

- Dług życia? - powtórzył zdumiony Solo. - Posłuchaj, kolego. Wiem, że przysięgałeś spłacić ten dług, ale nie dajmy się zwariować! Jesteś teraz żonaty i powinieneś dotrzymać towarzystwa żonie, a nie włączyć się ze mną po szlakach całej galaktyki! Koniec z zabawą w chowanego z okrętami Imperium.

Chewbacca już otwierał usta, żeby zaprotestować, ale nagle za plecami Hana rozległ się pełen oburzenia ryk. Korelianin odruchowo podskoczył i uchylił się jak przed spodziewanym ciosem. Wielka, kosmata dłoń schwyciła go za ramię, a później szarpnęła i obróciła, jakby nie ważył więcej niż świstek flimsiplastu. Była to Mallatobuck. Żona Chewiego obnażyła kły i zmrużyła błękitne oczy. Sprawiała wrażenie bardzo, bardzo rozniewanej. Han uniósł ręce, cofnął się o krok i oparł o włochaty tors przyjaciela.

- Hej, Mallo - powiedział. - Czemu się tak złościysz?

W odpowiedzi Mallatobuck jeszcze raz zaryczała, a potem zasypała Hana gradem gniewnych słów. Ach, ci ludzie! Dlaczego nie znają ani nie szanują zwyczajów Wookiech? Dlaczego mają za nic ich honor? Jak Han śmiał myśleć, że Chewie nie spłaci długu życia? Chyba nie istnieje większa zniewaga, jakiej mógł dopuścić się względem Wookiego! Jej mąż musi troszczyć się o swój honor! Jest odważnym wojownikiem i dzielnym myśliwym, i ilekroć składa przysięgę, zawsze jej dotrzymuje! Szczególnie kiedy przysięga dotyczy długu życia!

Maila była nie na żarty rozniewana. Han uniósł ręce jeszcze wyżej i nawet wzruszył ramionami. Nie potrafił wykrztusić z siebie ani słowa. Odwrócił głowę i błagalnie popatrzył na przyjaciela. W końcu Chewie zlitował się nad Korelianinem. Obszedł Hana i stanął między nim a żoną, a potem w kilku krótkich warknięciach wyjaśnił jej, że przyjaciel w żadnym razie nie zamierzał go obrazić. Jego słowa wynikały z dobrych intencji i niewiedzy, a nie złej woli.

W końcu Maila dała się udobruchać - to znaczy przestała przeraźliwie ryczeć i tylko gardlowo pomrukiwała. Han obdarzył ją niepewnym, przepraszającym uśmiechem.

- Hej, Mallo, nie chciałem cię urazić - zaczął. - Wiem, że Chewie to najszlachetniejszy i najlepszy z Wookiech. Jest dobrym kompanem... odważnym, mądrym, sprytnym i tak dalej. Po prostu nie wiedziałem, że dług życia ma dla Wookiech tak wielkie znaczenie.

Odwrócił się do przyjaciela.

- No dobrze, zabierasz się z nami, kolego. W takim razie przygotujmy się do lotu. Pożegnaj się teraz ze swoją małżonką.

Chewbacca ujął Mallatobuck pod rękę i odeszli razem na bok, a Han i Jarik wrócili na pokład „Sokoła” i zajęli się testowaniem sprawności wszystkich urządzeń i podzespołów. Kilka chwil później usłyszeli huk zamykanej rampy i do sterowni wślizgnął się Chewie. Nie mówiąc ani słowa, opadł na fotel drugiego pilota. Han spojrzął na przyjaciela.

- Nie martw się, kolego - zaczął cicho. - Przysięgam ci, że tu wrócimy... i to niedługo. Przekonałem się, że z Katarra i jej towarzyszami z ruchu oporu da się robić całkiem niezłe interesy. Zanim twoi ziomkowie wymyślą, jak pokonać Imperium i oswobodzić Kashyyyk, muszą zdobyć sporo broni i jeszcze więcej amunicji. A ja mam zamiar im w tym pomóc.

Chwilę później z interkomu wydobył się głos Jarika. Młodzieniec pełnił obowiązki strzelca obsługującego sterburtowe działko. -I niezłe zarobić! Han wybuchnął śmiechem.

- Ta-a - przyznał. - Oczywiście! Chewie... przygotuj się! Star... tu... je... my!

Włączył repulsory i „Sokół” powoli oderwał się od płyty lądowiska. Han uruchomił silniczki manewrowe i frachtowiec obrócił się wokół pionowej osi, a potem statecznie popłynął w powietrzu ku wlotowi drzewnej jaskini. Chwilę czy dwie wisiał nieruchomo, a później Han poderwał go tak szybko, że przyspieszenie wgniotło załogę w siedzenia foteli, a żołądki zaciążyły im niczym ołów. Przelatując między konarami gigantycznych wroshyrów jak w pionowym tunelu, statek unosił się coraz wyżej. W końcu pozostawił pod sobą korony najwyższych drzew i wzbił się w złocisto-różowawe niebo. Oślepiające promienie słońca skąpały świat w dole ognisto-żółtym blaskiem.

Quarr-tellerra - pomyślał Solo. - Wojownicza o włosach barwy słońca. Kobieta, którą kiedyś znał i kochał... miała na imię Bria. Co teraz robi? Czy w ogóle jeszcze o nim pamięta?

Kilka minut później Kashyyyk przemienił się w szybko malejącą zielonkawą kulę, która z każdą chwilą zostawała coraz dalej za rufą. Niebo przed dziobem ściemniało, a potem przybrało czarną barwę. W iluminatorach rozblęły gwiazdy...

Boba Fett przebywał na planecie Teth -jednym z wielu światów należących do Odległych Rubieży. Siedział w tanim wynajętym mieszkaniu i przesłuchiwał nagranie, którego dokonano podczas spotkania Bria Tharen z przedstawicielami tethańskich Rebeliantów. Najślynniejszy łowca nagród galaktyki dysponował wieloma środkami i sposobami - nie wyłączając sieci szpiegów, której pozazdrościć mógł mu rząd niejednej planety. Ponieważ od czasu do czasu przyjmował zlecenia od imperialnych mocodawców, miał także dostęp do ich tajnych komunikatów, raportów oraz innych źródeł informacji. Przywódcy Rebelii mogli tylko marzyć o tym, by do nich dotrzeć.

Mimo iż Bria Tharen była oficerem rebelianckiego wywiadu, nagrody za jej schwytanie nie wyznaczyło Imperium. Nie, Imperium nigdy nie wydałoby tak dużej sumy. Osoba, której udało się pochwycić tę kobietę całą i zdrową miała otrzymać nagrodę w oszałamiającej wysokości pięćdziesięciu tysięcy kredytów.

Nagrodę tę wyznaczył Hutt Aruk, stary przywódca klanu Besadii z planety Nal Hutta. Kiedy zmarł, jego następca i syn uznał za słuszne respektować wolę ojca. Obie-

cał nawet, że wypłaci premię za schwytanie i dostarczenie Brii Tharen na planetę Nal Hutta w ciągu trzech miesięcy.

Boba Fett poszukiwał więc Brii Tharen - z krótkimi przerwami na wykonywanie innych zleceń - od ponad roku. Kobieta wiele podróżowała, ale zawsze w przebraniu, cele zaś tych wypraw otoczone były wielką tajemnicą. Schwytanie jej okazało się prawie niemożliwe. Zerwała wszystkie kontakty z rodziną... prawdopodobnie nie chciała narażać nikogo na represje, gdyby wpadła w łapy oprawców Imperium. Ilekroć przylatywała na rodzinną Korelię, często zmieniała miejsca pobytu. Otoczona licznym oddziałem uzbrojonych strażników, w tajemnicy odwiedzała sekretne bazy i kryjówki Rebeliantów.

Nietrudno było zrozumieć, dlaczego postępowała tak ostrożnie. Rebelianci musieli dbać o własne bezpieczeństwo. Żyli z dnia na dzień... w ciągłej obawie, że w każdej chwili może nastąpić zmasowany atak imperialnych szturmowców. Rozmieszczenie rebelianckich baz stanowiło zatem najściślej strzeżoną tajemnicę, a zresztą sami Rebelianci bardzo często przenosili je gdzie indziej. Wskutek tego samotny łowca nagród - bez względu na to, jak sprytny, przebiegły i dobrze wyposażony - miał nikłe szanse przedostania się na teren bazy, a potem zaskoczenia kobiety i ujęcia jej, nie zabijając przy tym ani nie raniąc.

Gdyby lordowie klanu Besadii zadowolili się śmiercią Brii, Boba Fett miałby ułatwione zadanie. Był prawie pewien, że zdołałby przedostać się do bazy Rebeliantów i nie przejmując się strażnikami, uciszyć kobietę raz na zawsze. Pochwycenie Rebeliantki tak, żeby nic się jej nie stało, stanowiło jednak o wiele większy problem.

Zaledwie kilka dni wcześniej Boba Fett dowiedział się od jednego ze swoich szpiegów, że na Teth ma się odbyć spotkanie przedstawicieli tamtejszego ruchu oporu. Łowca nagród postanowił zaryzykować. Miał przeczucie, że Bria Tharen także weźmie udział w tym zebraniu. Nie marnując ani chwili, wszedł na pokład „Niewolnika 1” i przed dwoma dniami wylądował na planecie Teth. Ryzyko się opłaciło. Bria wylądowała następnego dnia po południu.

W ciągu tego dnia Boba Fett zdołał się dowiedzieć, gdzie najczęściej zbierają się przedstawiciele tethańskiego ruchu oporu - spotykali się oni w zaadaptowanych do tego celu piwnicach i od dawna nie używanych kanałach burzowych, które biegły pod powierzchnią gruntu w dzielnicy portowej największego miasta na planecie. Burzowcem i szybami wentylacyjnymi łowca nagród przedostał się na teren bazy. Bardzo szybko odnalazł pomieszczenie, gdzie przechowywano różne automaty. Wyjął kilka miniaturowych nadajników sygnałów akustycznych i przytwierdził je do korpusów małych robotów sprzątających. Wiedział, że automaty mają dostęp do wszystkich pokoiów, piwnic i korytarzy. Zazwyczaj toczyły się z jednego pomieszczenia do drugiego i pochłaniały na swojej drodze wszystko, co ich miniaturowe skanery identyfikowały jako „śmiecie”.

Później Boba Fett wrócił do wynajętego mieszkania. Następnego dnia od samego rana starał się odebrać sygnały z zainstalowanych nadajników. Dopiero wieczorem mógł stwierdzić, że jednak trud się opłacił. Bria Tharen spotkała się z dwójgim najwyższych stopniem przywódców tethańskich Rebeliantów. Miniaturowy robot sprząta-

jący, kierując się nieskomplikowanym, standardowym programem, błyskawicznie umknął im sprzed nóg, kiedy wszyscy weszli do niewielkiej sali. Potoczył się w jakiś kąt i nie zwracając na siebie niczyjej uwagi, spokojnie czekał, aż wyjdą, żeby móc skończyć swe zadanie.

Boba Fett nie pojmował, że ktoś może zbuntować się przeciwko prawowitej władzy. Uważał, że wszyscy organizatorzy powstań, buntów i rebelii zasługują na to, żeby spędzić resztę życia za kratkami. Rządy Imperium oznaczały porządek, a porządek Boba Fett cenił nade wszystko. Bojownicy tethańskiego ruchu oporu nie stanowili wyjątku. Byli po prostu jeszcze jedną zgrają wykolejonych idealistów, którzy pragnęli, żeby w galaktyce zapanowały chaos, anarchia i bezprawie...

Nie zdejmując z głowy hełmu z miniaturowymi słuchawkami, łowca nagród zmrużył oczy. Ogarniały go coraz większy niesmak i oburzenie. Przywódczynią tethańskich Rebeliantów okazała się pani komandor Winfrid Dagore. Przybyła na spotkanie w towarzystwie osobistego doradcy, porucznika Paloba Godalniego. Oboje cierpliwie słuchali wywodów Brii Tharen. Korelianka usiłowała ich przekonać, że działające na różnych światach grupki ruchu oporu powinny się porozumieć i zawiązać Sojusz Rebeliantów. Oświadczyła, że pomysł utworzenia takiej organizacji zaczyna spotykać się z coraz większym zrozumieniem ze strony bardzo wysoko postawionych osobistości.

Miało tego dowodzić potajemne spotkanie, w którym uczestniczyła jedna z najbardziej poważanych senatorek, Mon Mothma z planety Chandrila. Rozmawiała ona z przełożonymi Brii Tharen, przywódcami koreliańskich Rebeliantów. Senatorka oświadczyła, że masakry, jakich ostatnio dokonało Imperium na Ghormanie, Devaronie oraz Rampie Jeden i Rampie Dwa, są aktami bezprecedensowego barbarzyństwa, a Imperator jest albo szalony, albo zdeprawowany do szpiku kości. Wszystkie inteligentne istoty dobrej woli powinny więc połączyć siły, żeby go obalić.

Wygłaszając przemówienie Bria Tharen sprawiała wrażenie bardzo pewnej siebie. Jej dźwięczny głos lekko drżał z emocji. Było jasne, że robi wszystko, by jej misja zakończyła się powodzeniem.

Kiedy przestała mówić, Winfrid Dagore chrząknęła. Miała chropawy, zmęczony głos, najwyraźniej nie była już młoda.

- Pani komandor Tharen, solidaryzujemy się z twoimi braćmi i siostrami z Korelii, Alderaana i wszystkich innych zbuntowanych światów. Odległe Rubieże dzieli jednak bardzo duża odległość od światów Jądra galaktyki. Nawet gdybyśmy zawarli przymierze ze wszystkimi innymi grupami Rebeliantów, niewiele moglibyśmy zrobić, by im pomóc. My nie widzimy problemu w tak czarnych barwach. Może dlatego, że Imperator właściwie nie zwraca na nas uwagi. Co prawda, napadamy na jego transportowce i łupimy towary, a także przeciwstawiamy się Imperium na wiele innych sposobów, ale cenimy niezależność. Nie chcielibyśmy wiązać się z jakąś większą grupą.

- Pani komandor Dagore, taki izolacjonizm jest najlepszą gwarancją, że następną masakrę Imperium urządzi na twoim świecie - oświadczyła Tharen lodowatym tonem. - Wspomnicie moje słowa, kiedy i na Teth popełnione zostanie podobne barbarzyństwo. Wcześniej czy później oprawcy Imperium przypomną sobie o waszej planecie.

- Może tak... a może nie - odparła tethańska Rebeliantka. -A nawet, jeśli sobie przypomną pani komandor Tharen, bardzo wątpię, żeby zdołali zdziałać więcej niż do tej pory.

Jakieś krzesło zatrzeszczało i zaszeleściło czyjeś ubranie. Boba Fett domyślił się, że ktoś niespokojnie się poruszył. Chwilę później znów odezwała się Korelianka.

- Pani komandor Dagore, masz do dyspozycji gwiazdne statki. Masz żołnierzy. Broń. Amunicję. Twój świat dzieli od Sektora Wspólnego duża odległość, ale i tak Teth znajduje się bliżej niż jakakolwiek inna planeta. Możesz nam pomóc. Możesz nawiązać łączność z handlarzami z Sektora Wspólnego i zakupić od nich jeszcze więcej broni i amunicji. Możesz kazać, żeby przetransportowano je na Teth, a potem wysłano innym grupom Rebeliantów. Teth znajduje się tak daleko od światów Jądra galaktyki, ale nie sądzę, że nie możesz nam w niczym pomóc.

- Pani komandor Tharen, broń kosztuje - odezwał się porucznik Godalhi. - Skąd zdobędziemy kredyty na jej zakup?

- No cóż, z pewnością bylibyśmy wdzięczni, gdyby Tethanie zebrali kilka milionów na ten cel - odparła trochę oschle Korelianka. Oczekwała chwilę, żeby ucichły zaprawione goryczą śmiechy, a potem ciągnęła: - My jednak także nie próżnujemy. Staraliśmy się znaleźć rozwiązanie. Finansowanie grup ruchu oporu pochłania bardzo duże sumy. Znamy jednak wielu obywateli, którzy może nie mają dość odwagi albo możliwości przyłączenia się do Rebeliantów, ale chętnie przekazują nam zaoszczędzone sumy. Mogę wspomnieć, że do ich grona należy kilku huttańskich lordów. Oni także doszli do wniosku, że powinni wesprzeć Rebelię pod względem finansowym... rzecz jasna, tak, żeby nikt nic nie wiedział.

Coś takiego... - zdziwił się w duchu Fett. Nie miał o tym pojęcia, ale jeżeli się głębiej zastanowić... Huttowie znani byli z tego, że w każdym konflikcie opowiadali się i po jednej, i po drugiej stronie... ale przede wszystkim dbali o własne interesy. Jeżeli rysowała się przed nimi perspektywa zdobycia kredytów albo władzy, trzymali stronę tego, kogo powinni.

- Rzeczywiście, nie mamy daleko do rejonu przestworzy, który opanowali Huttowie - przyznała niechętnie Dagore. Ton jej głosu wskazywał, że Tethanka się zamysliła. - Może moglibyśmy nawiązać kontakt z innymi lordami Huttów i zapytać, czy nie zgodzą się pomóc?

- Pomóc? - Bria Tharen wybuchnęła śmiechem. - Huttowie i pomoc? Niektórzy mogli wyłożyć kredyty i kilku już to uczyniło. Możesz być jednak pewna, że tych kierowali się wyłącznie troską o własne interesy. Huttowie są sprytni i przebiegli... czasami jednak ich cele pokrywają się z naszymi. To właśnie wtedy zgadzają się dawać nam pieniądze. Zazwyczaj nawet nie usiłujemy odgadnąć, jaką korzyść mogą odnieść z tego, że wspierają nas swoimi „darowiznami”.

- Zapewne lepiej nie łamać sobie nad tym głowy - odezwał się porucznik Godalhi. - Mimo to, pani komandor Tharen, może rzeczywiście moglibyśmy w tej sytuacji bardziej przysłużyć się wspólnej sprawie. Nasz nowy imperialny moff sprawia wrażenie o wiele mniej... czujnego niż poprzedni. Uchodzi nam płazem więcej niż kiedyś, za czasów panowania Sarra Shilda.

- To zupełnie inna sprawa - stwierdziła Korelianka. - Bardzo uważnie przyglądamy się wszystkim poczynaniom Yrefa Orgege'a. Większość rozkazów i posunięć moffa świadczy o takiej głupocie i ignorancji, że czasami zastanawiamy się, czy jednak trochę gamorreńskiej krwi nie płynie w jego żyłach.

Uczestnicy zebrania wybuchnęli beztrudnym śmiechem.

- Orgege jest arogancki i głupi - ciągnęła Bria. - Zarzeka się, że nie popełni błędów swojego poprzednika. Zamierza osobiście sprawować nadzór nad wszelkimi działaniami żołnierzy. Dzięki temu wojska Imperium nie stanowią na Odległych Rubieżach tak dużego zagrożenia, jak do tej pory. Ilekroć dowódcy imperialnych oddziałów chcą przeprowadzić jakąś akcję, muszą ustalać z nowym moffem wszystkie szczegóły. Jego rozkazy paralizują ich ruchy, pani komandor Dagore.

- Wiemy o tym - stwierdziła Tethanka. - Czego od nas oczekujesz?

- Nasilcie ataki na imperialne transportowce. Częściej atakujcie ich bazy. Napaść na składy broni i amunicji... nie tylko na Teth, ale także na innych światach Odległych Rubieży. Musimy zdobyć jak najwięcej broni. Zanim dowódcy atakowanych baz zdołają się porozumieć z nowym moffem, żeby wysłuchać jego rozkazów, twoi ludzie zdążą umknąć.

Dagore pogrążyła się w zadumie.

- Myślę, pani komandor, że tyle możemy ci obiecać - rzekła w końcu. - A jeżeli chodzi o pozostałe kwestie... musimy się naradzić i zastanowić.

- Proszę porozumieć się ze swoimi ludźmi jeszcze dzisiaj -oznajmiła Bria. - Jutro rano odlatuje.

Boba Fett zamienił się w słuch. W duchu błagał Koreliankę, żeby wyjawiała swoje plany. Usłyszał jednak tylko skrzywienie krzesła i szelest ubrań. Zorientował się, że przywódcy Rebeliantów opuszczają pomieszczenie.

Następnego dnia o świcie udał się do stołecznego kosmoportu i polecił swoim szpiegom, by uważnie obserwowali wszystkie pozostałe. Żadnemu nie udało się jednak ujrzeć Brii Tharen. Widocznie ktoś potajemnie wprowadził ją na pokład jednego z rebelianckich frachtowców.

Boba Fett uświadomił sobie, że poniósł porażkę. Zawiedziony i zniechęcony, przypomniał sobie jednak, że najważniejszą cechą charakteru każdego łowcy musi być cierpliwość. Postanowił, że wymyśli jakiś sposób, aby napomknąć funkcjonariuszom odpowiednich służb Imperium o zdradzie, jakiej dopuściła się Mon Mothma. Nie powinien także zapomnieć o planach Rebeliantów, związanych ze światami Odległych Rubieży. Rzecz jasna, nikt nie może się dowiedzieć, kto jest autorem owych informacji. Wielu oficerów Imperium gardziło łowcami nagród. Nazywali ich „szumowinami galaktyki”... albo jeszcze gorzej. Fett żałował, że właściwie nie udało mu się zdobyć żadnych konkretnych informacji. Jego relacja wydałaby się wówczas bardziej wiarygodna. Jaka szkoda, że Rebelianci nie omawiali planów najbliższej akcji!

Boba Fett nie mógł jednak dopuścić, by wyprawa okazała się stratą czasu. Od Gil-dii dowiedział się, że na Teth może zdobyć nagrodę za czyjaś inną głowę. Na razie nikt nie podjął tego zlecenia. Ofiarą miał paść wiodący żywot pustelnika bogaty przedsię-

biorca, który mieszkał w dobrze strzeżonej i rzekomo bezpiecznej rezydencji w tethańskich górach.

Przedsiębiorca mógł się zapewne nie obawiać zwykłych łowców nagród, ale Boba Fett był klasą sam dla siebie. Ofiara wiodła tak regularny tryb życia, iż zaplanowanie akcji okazało się śmiesznie proste. Mężczyzna był niewolnikiem przyzwyczajęń i nawyków. Ponieważ list gończy pozwalał na użycie dezintegrującej broni, łowca nagród nie musiał nawet przejmować się strażnikami. Zleceniodawca zgodził się wypłacić nagrodę, nawet gdyby ofiara straciła życie.

Boba Fett wspiął się na rosące w pobliżu rezydencji drzewo laakwal. W rozwidleniu konarów znalazł świetny punkt obserwacyjny, który mógł bez trudu zasłonić maskującym polem. Wiedział, że zdoła zabić ofiarę i uciec, zanim strażnicy albo funkcjonariusze służb bezpieczeństwa zorientują się, skąd strzelano. Wiedział także, że nie będzie musiał strzelać dwa razy...

ROZDZIAŁ

5

Z KRAŃCA NA KRANIEC GALAKTYKI

W ciągu następnych pięciu miesięcy Han Solo i jego pierwszy oficer wspięli się na sam szczyt przemytniczej sławy. Korelianin jakimś cudem nie przepuścił wszystkich pieniędzy, które wygrał tamtego pamiętnego dnia w wielkim turnieju sabaka. Zachował przynajmniej tyle, żeby mieć za co dokonać wszystkich wymarzonych ulepszeń i modyfikacji „Sokoła Millenium”.

Poprosił niejakiego Shuga Ninksa - mistrza techników i mechaników - by pozwolił wprowadzić frachtowiec do swojej Gwiezdnej Stajni. Legendarny hangar był dobrze znany wszystkim mieszkańcom koreliańskiego sektora księżycy Nar Shaddaa. Wnętrze przypominało gigantyczną pieczarę, w której handlarze, przemytnicy i piraci zajmowali się swoimi statkami. Nieustannie je remontowali, przerabiali i modyfikowali, by wycisnąć wszystko, do czego były zdolne systemy uzbrojenia i jednostki napędowe. Im prędzej ktoś dostarczał zamówione towary, tym prędzej mógł wystartować w następną podróż. W życiu przemytników szybkość oznaczała większe zarobki.

Prawie wszystkich przeróbek „Sokoła” dokonali - własnymi rękoma - Han, Jarik i Chewbacca. Czasami korzystali z pomocy Salli Zend, która cieszyła się opinią wybitnej znawczyni problemów technicznych. Od czasu do czasu wspierał ich także Shug, niekwestionowany mistrz mechaników.

Kiedy w końcu Han umieścił w wybranych miejscach płyty wojskowego pancerza, odetchnął z ulgą. Teraz żaden przypadkowy strzał nie unicestwi „Sokoła”. Tak Han stracił „Brie”, swój poprzedni statek. Mógł się teraz zająć jednostkami napędowymi i systemami uzbrojenia. Pod dziobem zainstalował dodatkowe lekkie działko laserowe i zmienił rozmieszczenie czterolufowych działek; jedno znajdowało się teraz na górze, a drugie na dole. Później, korzystając z pomocy Salli, dodał na dziobie dwie wyrzutnie rakiet z głowicami udarowymi. Obie zainstalował między wystającymi fragmentami kadłuba.

Kiedy Salla zajmował się płytami pancerza i uzbrojeniem „Sokoła”, Han, Shug i Jarik pracowali przy silnikach i innych podzespołach. Frachtowiec był wyposażony w potężną, wojskową jednostkę napędu nadświetlnego; mimo to Han i Shug tak długo

regulowali i udoskonalali oba silniki - napędu nadświetlnego i konwencjonalnego - aż udało się im wycisnąć z nich wszystkie rezerwy mocy. Dzięki temu każda następna wyprawa przemytnicza Hana mogła zajmować mniej cennego czasu.

Korelianin zainstalował także nowy zestaw sensorów oraz systemy zakłócające ich działanie. Niestety, pierwsza próba działania nowych urządzeń nie wypadła najpomyślniej. Kiedy Han włączył generator zakłócających sygnałów, wytwarzane impulsy okazały się tak silne, że dezorganizowały funkcjonowanie pokładowych podzespołów. Zakłóciły systemy łączności, a nawet uniemożliwiły porozumiewanie się przez interkom. Niemiła przygoda wydarzyła się w najmniej fortunnej chwili... kiedy „Sokół”, usiłując ująć pościgowi imperialnej fregaty, opadał jak kamień, przyciągany przez siłę grawitacji dużej planety. Frachtowiec wniknął już w górne warstwy atmosfery, a Han i Chewie nie wiedzieli, co się dzieje. Mogli tylko w osłupieniu wpatrywać się w tarcze przyrządów i mierników. Ocaliło ich tylko to, że sygnał nowego generatora zakłócających sygnałów okazał się naprawdę bardzo silny. Zanim „Sokół” zdążył spłonąć w warstwach atmosfery, przepaliły się bezpieczniki i urządzenie odmówiło posłuszeństwa.

W końcu nadszedł dzień, kiedy Han popatrzył na swój statek z nieskrywaną dumą i satysfakcją. Później odwrócił się i pochwylił w objęcia Ninksa.

- Shugu, wierny druho, jesteś naprawdę królem wszystkich mechaników! - powiedział. - Nie znam w całej galaktyce nikogo, kto tak dobrze znałby tajniki jednostek napędu nadświetlnego. Teraz mój „Sokół” mruczy jak togoriański kociak. Dzięki tobie udało nam się zwiększyć prędkość o kolejne dwa procenty.

Ninx uśmiechnął się do Korelianina, ale pokręcił głową.

- Dzięki, Hanie, za ciepłe słowa, ale chyba nie masz racji. Mówiono mi, że gdzieś w Sektorze Wspólnym żyje gość o imieniu Doc. Podobno dokonuje prawdziwych cudów. Powiadają, że potrafi, trzymając jedną rękę za plecami, drugą tak wyregulować silnik, że słucha twoich rozkazów jak żywa istota. Jeżeli chcesz wycisnąć ze swojej jednostki napędowej jeszcze więcej mocy, powinieneś polecieć tam i spróbować go odszukać.

Han słuchał w milczeniu, ale nie krył zdumienia. Postanowił zapamiętać tę informację. Miał przeczucie, że kiedyś mu się przyda. A poza tym, zawsze chciał wybrać się do Sektora Wspólnego. Teraz miał jeszcze jeden powód więcej, żeby tam polecieć.

- Dzięki, stary kumplu - powiedział. - Jeżeli kiedykolwiek odwiedzę tamte strony, postaram się skontaktować z tym Docem.

- Z tego, co mi mówiono na ten temat, wiem, że z Docem nie można się skontaktować. On sam skontaktuje się z tobą... rzecz jasna, jeżeli dojdzie do wniosku, że to dobry pomysł. Możesz zapytać o niego Arly'ego Brona. Spędził w Sektorze Wspólnym sporo czasu.

- Dzięki za informacje - odrzekł Solo.

Dobrze znał Arly'ego Brona - podobnie jak chyba wszyscy przemytnicy, którzy kiedykolwiek odwiedzili koreliański sektor księżycy Nar Shaddaa. Bron, krzepki i krępy starzejący się przemytnik, był dobronoduszny, choć sływał też z ciętego języka. Uwiel-

biał drażnić głupców, ale jeżeli zachodziła potrzeba, potrafił niewiarygodnie szybko dobywać broni. Fakt, że przeżył tyle lat, najlepiej świadczył o szybkości i celności jego strzałów. Latał starym, poobijanym i rozklekotanym frachtowcem „Podwójne Echo”.

Teraz, kiedy Han dysponował najszybszym i (stosunkowo) niezawodnym „Sokołem Millennium”, mógł podjąć się najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych zleceń. Nadal pracował dla Hutta Jabby - w gruncie rzeczy rzeczywistego przywódcy kajidica klanu Besadii - od czasu do czasu jednak przyjmował zadania od innych mocodawców. Wkrótce potem Korelianin i jego wierny druho Wookie, który zawsze towarzyszył mu w wyprawach stali się sławni nie tylko w koreliańskim sektorze, ale chyba na całym księżycu Nar Shaddaa. Pobili rekord szybkości przelotu trasą na Kessel. Ich frachtowiec był tak szybki, że pilot potrafił zataczać kręgi wokół ścigających go imperialnych patrolowców.

Han nigdy w życiu nie czuł się szczęśliwszy. Miał szybki statek i trzech wspaniałych kumpli. Przyjaźnił się także z ponętą i ognistą przemytniczką Sallą Zend, a w kieszeniach miał sporo kredytów.

Pieniądze, co prawda, miały nadal brzydki zwyczaj prześlizgiwać się między jego palcami - choć Han starał się zatrzymać je w kieszeniach - ale przemytnik zbytnio się tym nie przejmował. Cóż z tego, że uwielbiał je wydawać? Cóż z tego, że lubił żyć jak arystokrata, uprawiać hazard i kupować kosztowne przedmioty? Zawsze przecież mógł zarobić jeszcze więcej!

Osobistego szczęścia Hana nie mąciły żadne troski ani kłopoty, ale na horyzoncie zaczynały się gromadzić ciemne chmury. Imperator wciąż umacniał swoją władzę i opanowywał coraz więcej światów galaktyki. Ostatnio zaczął się interesować nawet Odległymi Rubieżami. Jego wojska dokonały masakry na usytuowanej w sektorze Atrivisa planecie Mantooine, a Rebelianci, którzy zajęli tamtejszą imperialną bazę, zostali wybici do ostatniego.

Masakra na Mantooine nie była jedyną, jakiej dokonali żołnierze Imperatora. Widocznie otrzymali rozkazy, aby dać nauczkę wszystkim, którzy nie chcieli podporządkować się jego woli. Jeżeli przemytnicy zamierzali dostarczyć zamówioną broń i amunicję, musieli być coraz czujniejsi i przezorniejsi. Kiedy Han leciał pierwszy raz w życiu trasą na Kessel, za niesłychane uchodziło zobaczenie plamki imperialnego patrolowca na ekranie pokładowego skanera. Teraz zaś za rzecz niezwykle uważano, jeżeli na ekranie nie pojawiały się takie plamki. Pragnąc zdobyć fundusze na utrzymanie armii, Imperator Palpatine nakładał na obywateli podbitych światów wciąż nowe podatki. Wielu musiało zaciągać kredyty albo brać pożyczki, których potem nie byli w stanie spłacić. Nastaly bardzo ciężkie czasy. Szary obywatel Imperium mógł mówić o prawdziwym szczęściu, jeżeli miał za co wyżywić siebie i rodzinę.

(Rzecz jasna, Han i jego przyjaciele nie płacili podatków. Żaden imperialny poborca nie odważył się postawić stopy na Księżycu Przemysłowców. Zbieranie opłat od żyjących tu podejrzanych osobników było zajęciem niebezpiecznym i z góry skazanym na niepowodzenie. Ilekroć nadchodziła pora zbierania podatków, imperialni urzędnicy woleli przelatywać obok, jakby nie widzieli księżycy).

Kiedy w przeszłości Han oglądał informacyjne holowideogramy, nie przywiązywał większej wagi do informacji o potyczkach wojsk Imperium z najróżniejszymi ugrupowaniami Rebeliantów. Teraz jednak, wiedząc że Bria może mieć coś wspólnego z ruchem oporu, chłonał wszystkie wieści, jakie tylko mógł znaleźć na ten temat. Palpatine musi być szalony - myślał nie raz. - Jego taktyka wywołuje wszędzie sprzeciw i oburzenie. Masakry, morderstwa, uprowadzenia obywateli w samym środku nocy, tajemnicze zaginięcia... To musi doprowadzić do powstania. Jeżeli postępuje się z ludźmi w taki sposób, nie można się spodziewać, że pozostaną lojalni.

Zaczynali się buntować nawet członkowie imperialnego Senatu. Znana senator, Mon Mothma, musiała ukrywać się albo uciekać, gdyż Imperator wydał rozkaz aresztowania jej pod zarzutem zdrady. Mon Mothma cieszyła się pośród senatorów powszechnym poważaniem, a despotyczna decyzja Palpatine'a spotkała się na rodzinnej planecie senatorki, Chandrili, z oburzeniem, które doprowadziło do zamieszek. Demonstracje trwały dzień czy dwa, po czym zostały brutalnie stłumione. Doszło do kolejnej masakry obywateli Imperium.

Coraz większe zagrożenie, jakie stanowiło Imperium dla dobrobytu i osobistych swobód mieszkańców podbitych światów, miało jeszcze jeden poważny skutek... przynajmniej z punktu widzenia Hana Solo. Coraz więcej sponiewieranych i pozbawionych środków na utrzymanie ludzie zrywało z dotychczasowym trybem życia i odlatywało na Ilezję, żeby stać się pielgrzymami... a raczej niewolnikami.

Wielu pielgrzymów przybywało z Sullusty, Bothuwui i Korelii. To właśnie obywatele tych planet, którzy czynnie protestowali przeciwko zbyt wysokim podatkom, najbardziej ucierpieli w wyniku bezlitosnych represji. Któregoś dnia Han, wracając z kolejnej przemytniczej wyprawy, wylądował na księżycu Nar Shaddaa i dowiedział się czegoś, co wprawilo go w osłupienie. Ze zdumieniem przekonał się, że podczas jego nieobecności pierwszy raz w historii Księżyca Przemysłowców kapłani rasy flanda Til zorganizowali seanse religijnego odrodzenia. Wielu Korelian, zamieszkujących swój sektor księżyca Nar Shaddaa, spakowało cały dobytek. Ustawili się w kolejkę i cierpliwie czekali, aby dostać się na pokład gwiazdowego statku. Statku, który miał przetransportować ich na planetę, gdzie rzekomo będą mogli rozpocząć nowe życie... na pokład na Ilezję.

Kiedy Han się o tym dowiedział wskoczył do wagonika pojazdu, który dowiózł go do punktu załadunkowego. Wsiadł i popodbiegł w kierunku długiej kolejki udęczonych, niedożywionych i niewyspanych Korelian - z rezygnacją oczekujących, kiedy będą mogli wejść na pokład transportowca.

- Ludzie, co wy wyprawiacie? - zawołał. - Ilezja to pułapka! Nie słyszeliście, co mówią na jej temat? Najpierw zrobią wam pranie mózgu, a potem przemienia w niewolników! Zgnijecie, do końca życia harując na Kessel w kopalniach przyprawy! Opamiętajcie się! Nie lećcie tam!

Jakaś starsza kobieta obrzuciła go niechętnym, podejrzliwym spojrzeniem.

- Zamknij się, młodzieńcze - burknęła. - Lecimy tam, gdzie będzie nam lepiej. Ilezjańscy kapłani obiecują, że się o nas zatroszczą. Pobłogosławiają nas i zaczniemy życie

od nowa... Mam już dość wiązania końca z końcem. Przez to przekłete Imperium uczciwym ludziom nie wystarcza nawet na jedzenie...

Han próbował ostrzec inną grupę koreliańskich emigrantów, przyjęto go z takimi samymi uwagami i przekleństwami. W końcu zrezygnował i odszedł na bok. Czuł się tak bezsilny, że miał ochotę zawyc jak Wookie. Sfrustrowany Chewbacca rzeczywiście zaryczał.

- Chewie, żeby ich powstrzymać, musiałbym wyciągnąć Master, nastawić go na ogłuszanie i wszystkich porazić - powiedział Han z goryczą.

- Hrrrrrrnnnnnnnnn - zgodził się z nim Wookie.

Han próbował przekonać chociaż niektórych młodszych emigrantów. Posunął się nawet do tego, że jednemu czy dwóm zaproponował pracę. Nikt jednak nie chciał go wysłuchać. Wkrótce potem Han zrezygnował, tym razem na dobre. Już raz spotkał się z czymś podobnym... na Aefao, odległej planecie, usytuowanej na przeciwległym końcu galaktyki niż księżyc Nar Shaddaa. Tam także kapłani rasy flanda Til organizowali seanse religijnego odrodzenia, a Han usiłował ostrzec mieszkańców czekających w kolejce na odlot transportowca. Przekonał się jednak, że nie potrafi rozwiązać wywołanych przez Uniesienie marzeń o lepszym życiu. Przypominał sobie, że wtedy wysłuchało go tylko kilkoro niewysokich, pomarańczowoskórych i człekokształtnych Aefan. Na pokład pilotowanego przez misjonarzy rasy flanda Til ilezjańskiego statku wsiadła ponad setka mieszkańców planety.

Han przyglądał się, jak kolejka powoli się przesuwająca. Obserwował chwilę czy dwie jak wciąż nowi Kordianie, powłócząc nogami, znikali w ładowni czekającego transportowca.

- Niektórzy ludzie są zbyt głupi, żeby żyć, Chewie - oznajmił, kręcąc głową.

[Albo zbyt zdesperowani] zgodził się z nim Wookie.

- Ta-a. No cóż, to jeszcze jedna nauczka. Jeżeli będę nadstawiał karku, ktoś może mi odrąbać głowę - odezwał się Han, nie kryjąc goryczy. Później odwrócił się plecami do swoich ziomeków i ruszył w stronę czekającego wagonika. - Następnym razem, kolego, kiedy spróbuję zrobić coś równie głupiego, masz mnie klepnąć tak mocno, żebym oprzytomniał. Po tylu latach powinienem być mądrzejszy...

Wookie obiecał i obaj spieszenie wsiadli do kabiny pojazdu.

Chociaż jego nieproporcjonalnie małe ręce zajęte były pilnowaniem interesów klanu Besadii, Hurt Durga nie przestawał poszukiwać morderców ojca. Osobiście prowadził przesłuchania, podczas których straciło życie sześcioro członków pałacowej służby. Mimo to lord nie zdołał wyciągnąć z nich nic, co miałyby jakkolwiek związek ze śmiercią Aruka.

Jeżeli jednak służący byli niewinni, jakim cudem trucizna dostała się do jego organizmu? Durga odbył jeszcze jedną rozmowę z Mykiem Bidlorem. Znawcą problemów medycyny sądowej potwierdził, że ślady trucizny X-1 wykryto także w przewodzie pokarmowym zmarłego lorda klanu Besadii. Oznaczało to, że Aruk rzeczywiście został otruty.

Durga przerwał połączenie. Musiał zebrać myśli. Zaczął przemierzać pałacowe komnaty, korytarze i krużganki. Miał przy tym tak groźną minę, że służący - zdenerwowani i przerażeni, czego chyba nikt nie mógł mieć im za złe - schodzili z jego drogi. Zaszywali się w najciemniejszych zakamarkach, jakby bali się złego ducha... albo zjawy ze świata wiecznych ciemności.

Tymczasem młody lord klanu Besadii usiłował przypomnieć sobie ostatnie chwile życia ojca. Rozpamiętywał po kolei najdrobniejsze szczegóły, jeden po drugim. Wszystko, co Aruk jadł, pochodziło z pałacowej spiżarni i kuchni. Każdą potrawę przyrządzało grono kucharskich mistrzów - między innymi ten, który zmarł w trakcie przesłuchania. Durga starał się zapamiętać, żeby jak najszybciej zatrudnić na jego miejsce dwóch nowych...

Kazał przeszukać wszystkie kuchnie i pokoje kucharzy. Posługując się najczulszymi skanerami, zbadał pomieszczenia pałacowych służących. Szukał jakichkolwiek - choćby najslabszych - śladów substancji X-1. Daremnie. Jedyne ślady znalazł w osobistym gabinecie ojca - w pobliżu miejsca, gdzie zazwyczaj stały jego repulsorowe sanie. Siad okazał się jednak tak nikły, że Durga nie mógł mieć żadnej pewności, czy rzeczywiście natrafił na coś niezwykłego.

Zmarszczył brwi i pograżył się w zadumie. Porodowe znamię na jego twarzy wykrzywiło się, upodabniając ją do maski demona. Coś nie dawało mu spokoju. Coś kryło się w zakamarkach pamięci. Walczyło, żeby wyrwać się na swobodę. Zmagało się, wyginało, wiło...

Wilo! Wilo! Naladrzewne żaby, które zazwyczaj wiły się jak jaszczurki!

Nagle pamięć podsunęła Durdze postać Aruka. Jasno i wyraźnie jak nigdy, młody Hurt przypomniał sobie, jak ojciec, czkając potężnie, sięgnął do akwarium i wyjmował stamtąd jeszcze jedną żywą naladrzewną żabę. Aż do tej chwili Durga nie przypuszczał, by trucizna mogła przedostać się do organizmu ojca razem z żywym stworzeniem. Uważał za oczywiste, że zanim Aruk zjadłby zatrutą żabę, stworzenie dawno by nie żyło.

A może organizmy żyjących na drzewach nala żab były niewrażliwe na działanie trucizny X-1? Możliwe, że ktoś szpikował stworzenia coraz większymi ilościami substancji, która wcale im nie szkodziła?

Aruk uwielbiał naladrzewne żaby. Jadał je każdego dnia; czasami nawet po kilkanaście sztuk.

- Osman! - ryknął Durga - Leć po skaner! Przynies go do gabinetu Aruka!

Chevin pojawił się na sekundę, by potwierdzić, że usłyszał polecenie. Potem zniknął. Durga odwrócił się i, wijąc się jak umiał najszybciej, skierował do sanktuarium zmarłego ojca.

Dotarł tam zaledwie sekundę czy dwie przed zdyszonym służącym, który trzymał najczulszy skaner, jaki udało mu się znaleźć. Durga wyszarpnęła urządzenie z jego rąk i jak pocisk wpadł do gabinetu. Od jakiego miejsca powinienem zacząć poszukiwania? - pomyślał, rozglądając się po komnacie.

Tak! Tam! - przypomniał sobie, po czym skoczył do kąta, gdzie stał zakurzony i zapomniany, podobny do akwarium stary pojemnik w kształcie kuli. Aruk zazwyczaj

trzymał w nim żywe stworzenia... jego ulubione przysmaki i przekąski. W ciągu kilku ostatnich miesięcy życia tymi przysmakami były przeważnie naladrzewne żaby!

Durga skierował wylot skanera do środka pojemnika i przycisnął guzik.

Chwilę później znał odpowiedź. Odłożone na wewnętrznych ściankach akwarium mineralne osady zawierały spore ilości substancji X-1!

Doprowadzony do wściekłości Durga ryknął, aż zadrżały wszystkie meble. Chcąc wylądować złość, roztrzaskał akwarium jednym potężnym ciosem ogona i zaczął miazdżyć cielskimi wszystkimi meblami, które stanęły na jego drodze. W końcu, zmęczony i zdyszany, opanował emocje. Potoczył spojrzeniem po szczątkach, które jeszcze niedawno były ulubionymi meblami ojca.

Teroenza - pomyślał. - Naladrzewne żaby przysyłał mu Teroenza.

W pierwszej chwili chciał lecieć na Ilezję, żeby osobiście zgnieść t'landę Tila na krwawą miazgę. Sekundę później uprzytomnił sobie jednak, że brudzenie rąk i ogona krwią tak godnej pogardy istoty byłoby poniżej jego godności. A poza tym, nie mógł, ot, tak, po prostu, zabić arcykapłana. Teroenza doskonale spełniał funkcje duchowego przywódcy pielgrzymów i Durdze trudno byłoby znaleźć kogoś na jego miejsce. Co więcej, gdyby kazał zamordować Teroenzę, pozostałe istoty rasy flanda Til na Ilezji mogłyby się zbuntować. Przestaliby udawać kapłanów i nie zgodziliby się dostarczać pielgrzymom codziennej porcji Uniesienia. Teroenza cieszył się dobrą opinią i był lubiany przez podwładnych. Uchodził także za zręcznego administratora. To dzięki niemu klan Besadii mógł ciągnąć z ileżańskich przetwórci przyprawy coraz większe zyski.

Zanim mu cokolwiek zrobię - pomyślał Durga - muszę znaleźć kogoś, kto mógłby go zastąpić.

Po dalszym namyśle doszedł do wniosku, że właściwie nie dysponuje niepodważalnymi dowodami przeciwko Teroenzie. Istniało - co prawda, bardzo nikle - prawdopodobieństwo, że arcykapłan jest niewinny. Durga oświadczył, że chce, aby go informowano, na co Teroenza wydaje pieniądze; wiedział więc, że z kont bankowych arcykapłana nie zniknęły duże ilości kredytów. T'landa Til nie mógł kupić trucizny... o ile nie uczynił tego potajemnie. A zresztą, nawet wtedy nie byłoby go stać na zakup tak dużej ilości substancji X-1.

Chyba żeby sprzedał tę ohydłą kolekcję... - pomyślał Durga. W następnej chwili jednak uświadomił sobie, że Teroenza tego nie uczynił. Lord Huttów bardzo uważnie czytał manifesty okrętowe wszystkich statków przylatujących i odlatujących z Ilezji; wiedział zatem, że w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy Teroenza nie tylko niczego nie sprzedał, ale nawet kupił nowe okazy.

Przywódcą klanu Besadii postanowił, że jeszcze w tym tygodniu zacznie szkolić nowego t'landę Tila. Nie przerwie jednak śledztwa, dopóki nie skończy przygotowywać nowego arcykapłana do sprawowania obowiązków duchowego przywódcy ileżańskich pielgrzymów. Dopiero później skontaktuje się z jakimś łowcą i wyznaczy sowitą nagrodę za zdobycie rogu Teroenzy. Wyobraził sobie, jak unosi się na repulsorach i wiesza róg arcykapłana na ścianie osobistego gabinetu... tuż obok holograficznego portretu Aruka.

Najprawdopodobniej nie tylko Teroenza zasłużył na śmierć -pomyślał ponuro. - Ktoś przecież musiał łapać naladrzewne żaby. Ktoś szpikował je trucizną. Ktoś wnosił je do ładowni transportowców... Durga doszedł do wniosku, że zanim wyznaczy nagrodę, powinien zbadać wszystkie okoliczności śmierci ojca.

Oczywiście, prawdziwym mordercą jest osoba, która uknuła spisek i kupiła tak duże ilości trucizny X-1. Główną podejrzaną była Jiliac. Miała dość kredytów. Miała motyw.

Już wcześniej Durga zaczął szukać związku między Jiliac a Trucicielami Malkitami. Teraz musi tylko odkryć jej powiązania z Teroenza.

Z pewnością coś takiego istniało. Jeżeli Durga poszuka, musi znaleźć dowody spisku. Jakieś notatki albo rejestry. Manifesty okrętowe, przelewy kredytów, wyciągi z kont, rachunki czy faktury... Gdzieś musi kryć się dowód, dzięki któremu uzyska pewność, że Teroenza i Jiliac uknuli plan otrucia Aruka. Durga poprzysiął sobie, że nie spocznie, dopóki wszystkiego się nie dowie.

Wiedział, że poszukiwania zajmą dużo czasu i pochłoną wiele kredytów. Wiedział również, niestety, że koszty prowadzenia śledztwa musi pokryć z własnej kasy. Nie mógł narażać na szwank z takim trudem zdobytej pozycji przywódcy klanu Besadii. Nie mógł wydawać tak dużych sum z kasy kajidica na - jak by to z pewnością określono - osobistą zemstę.

Już teraz Zier i inni malkontenci uważnie obserwowali wszystkie jego ruchy. Bez wątpienia wykorzystają nieuzasadnione wydatki jako pretekst do pozbawienia go władzy.

Nie, musiał płacić za wszystko sam... choć przez to bardzo szybko stopnieje stan jego konta.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie posłużyć się Czarnym Słońcem. Gdyby szepnął słówko księciu Xizorowi, miałby do własnej dyspozycji wszystkie środki tej przestępczej organizacji. Umożliwiłby jednak Czarnemu Słońcu przejęcie kontroli nad operacjami klanu Besadii... a może nawet nad całą planetą Nal Hutta.

Durga pokręcił głową. Nie mógł aż tak ryzykować. Nie chciał skończyć jako jeden z poruczników Xizora. Czyż nie był wolnym i niezależnym Huttem? Nie dopuści, żeby jakiś książę Falleenów rozkazywał mu, co ma robić.

Opuścił zrujnowany gabinet Aruka i udał się do swojego. Na ekranie leżącego na biurku komputerowego notatnika przeczytał, że tego dnia czeka go mnóstwo pracy. Nie mógł pozwolić, żeby przez jego śledztwo ucierpiały interesy klanu Besadii. Musiał zatem prowadzić dochodzenie w nocy, kiedy większość Huttów udawała się na spoczynek.

Nie mogąc się pozbyć ponurych myśli, Durga sięgnął po komputerowy notatnik i zaczął wystukiwać na klawiaturze rozkazy, dzięki którym mógł żywić nadzieję, że zdoła uzyskać więcej informacji.

Wiedział, kim są mordercy Aruka. Wiedział, jak go zabili i dlaczego. Musiał teraz uzyskać dowód, który pozwoli mu oskarżyć Jiliac. Oskarżyć i domagać się osobistej satysfakcji. Honor wymagał, żeby zażądał krwi w zamian za przelaną krew ojca.

Przebierając drobnymi placami po klawiaturze komputerowego notatnika, nie zwrócił uwagi, że z kąta szerokich ust wysunął mu się zielonkawy czubek języka. Starał się skupić myśli, skoncentrować...

Teroenza kroczył powoli korytarzem ilezjańskiego centrum administracyjnego. Nie spieszył się, chociaż szedł na spotkanie z Kibbickiem. Przed dwudziestoma minutami huttański „zwierzchnik” polecił arcykapłanowi, żeby do niego zajrzał, ale Teroenza był zajęty. Kiedyś nie odważyłby się tak długo zwlekać, ale sytuacja na Ilezji ulegała zmianie... stopniowej, ale radykalnej zmianie.

On, Teroenza, przygotowywał się do przejścia władzy. Ten idiota Kibbick był po prostu zbyt głupi, by to zauważyć.

Każdego dnia arcykapłan układał nowe plany. Fortyfikował osady i werbował dodatkowych żołnierzy. Otrzymał zresztą na to zgodę Durgi. Tyle że zamiast gamorreńskich strażników - silnych, ale głupszych nawet od Kibbicka - zatrudnił zaprawionych w bojach, doświadczonych najemników. Musiał zapłacić im więcej niż Gamorreanom, ale przynajmniej mógł być pewien, że nie zawiodą go podczas walki.

Teroenza uświadamiał sobie, że wcześniej czy później nie uniknie otwartego konfliktu... Nadejdzie taki dzień, kiedy wypowie posłuszeństwo „zwierzchnikom” z planety Nal Hutta. A ponieważ przywódcy klanu Besadii z pewnością nie przełkną spokojnie takiej zniewagi, Teroenza musiał się przygotować. Nie wątpił jednak, że jeżeli osobiście poprowadzi swoich żołnierzy do walki, nikt i nic nie zdoła wydrzeć mu zwycięstwa!

Arcykapłan starał się także sprowadzić na Ilezję towarzyszek życia mieszkających tu kapłanów rasy t'landa Til. Jego partnerka, Tilenna, miała przylecieć na pokładzie pierwszego wahadłowca. Ten idiota Kibbick jakiś czas niczego nie dostrzeże. Różnice między osobnikami przeciwnych płci zauważały tylko istoty rasy t'landa Til. Jeżeli nie liczyć rogu, który wyrastał tylko z głów samców, istoty innych ras nie dostrzegały najmniejszych różnic. Teroenza liczył na to, że żaden Hutt - a już z pewnością Kibbick - nie zwróci uwagi na ten drobny szczegół.

Arcykapłan pragnął także wzmocnić obronę planety przed spodziewanymi atakami nieproszonych gości. Zamierzał osiągnąć swój cel, nawet gdyby musiał sprzedać część kolekcji. Cena stacjonarnego turbolaseru wprawiła go w zaskoczenie. Otrząsnął się jednak szybko i pomyślał, że może Jiliac zechce dać mu kredyty, których tak bardzo potrzebował. Tylko on, Teroenza, wiedział, że Huttanka maczała palce w zamordowaniu Aruka. Był pewien, że Jiliac opowie się po jego stronie.

Kiedy dotarł do komnaty audiencyjnej Kibbicka, zawahał się i stanął przed portalem. Poświęcił chwilę czy dwie, żeby nadać rysom twarzy wyraz służalczej pokory. Nie chciał, żeby huttański lord uświadomił sobie, iż nim gardzi. A przynajmniej jeszcze nie w tej chwili.

Ale już wkrótce to...

Już wkrótce to się zmieni - pomyślał Teroenza. - Graj nadal swoją rolę. Spokojnie słuchaj, jakie bzdury wygaduje. Zgadza się ze wszystkim, co mówi. Pochlebiam mu. Już

wkrótce nie będziesz musiał się nim przejmować. Jeszcze tylko kilka miesięcy. Cierpliwości. Już niedługo skończy się znoszenie jego głupoty. Już niedługo. ...

Kiedy Han skończył przerabiać i modyfikować „Sokoła Millennium”, natychmiast założył się z Sallą Zend o to, które z nich dwojga ma szybszy statek. Dawniej, kiedy Korelianin latał mniejszą i bardziej zawodną „Brią”, nie mógł nawet marzyć o tym, żeby pokonać jej szybkiego „Śmigacza Rubieży”. Teraz jednak...

Ilekróć zdarzało się, że oboje musieli lecieć trasą na Kessel, by dostarczyć komus jakieś towary, ścigali się - mimo iż ten rejon przestworzy uchodził za wyjątkowo niebezpieczny. Dostarczali przyprawę albo inne nielegalnie przedmioty do systemu Stennessa, a trasa na Kessel była najkrótszym szlakiem wiodącym do celu.

Czasem wygrywał Han... a czasami szybsza okazywała się Salla. Oba statki osiągały właściwie taką samą prędkość i nigdy nie dało się przewidzieć, które zwycięży. Żadne jednak nie lubiło przegrywać i już wkrótce przyjacielska rywalizacja przerodziła się w coś poważniejszego... do czego oboje przywiązywali coraz większą wagę i co przypominało coraz bardziej zażartą walkę. Oboje zaczęli szarżować... coraz bardziej ryzykowali! Celowała w tym zwłaszcza Salla. Uchodziła za doświadczoną nawigatorkę i zawsze sama pilotowała statek. Chętnie się, iż tak świetnie opanowała sztukę pilotażu, że potrafi wycisnąć z silników nawet resztkę mocy.

Pewnego ranka Han i Salla opuścili mieszkanie przemytniczki. Na pożegnanie uściskali się i pocałowali, a potem umówili się, że spotkają się na Kamsulu - jednej z siedmiu zamieszkałych planet systemu Stennessa. Jednak zanim Han odszedł, zerknął na przyjaciółkę z łobuzerskim uśmiechem.

- Przegrywający stawia obiad? - zapytał.

Salla także się uśmiechnęła.

- Zamierzam ci zrobić na złość. Zamówię najdroższe i najbardziej wyszukane potrawy, Hanie - odrzekła.

Korelianin roześmiał się i pomachał na pożegnanie. Później oboje udali się do swoich statków.

Na Kessel dotarli bez problemów. Han przyleciał jakiś kwadrans wcześniej, ale miał kłopoty z załadunkiem towaru. Jeden z transportujących towar podnośników miał awarię, wskutek czego napełnianie ładowni trwało trochę dłużej niż zazwyczaj. Zanim załadunek „Sokoła” dobiegł końca, Han przyglądał się, jak Salla ryzykownie sadza „Śmigacza Rubieży” na sąsiednim lądowisku. Kiedy startował, przekonał się, że jego przewaga nad Sallą stopniała do marnych pięciu minut.

Leciał, mając u boku Chewiego jako drugiego pilota. Jarik, który i teraz pełnił obowiązki artylerzysty, siedział w wieżyczce górnego działka. Coraz częściej w przestworzach wokół Kessel spotykało się imperialne patrolowce, a Han nie zamierzał głupio ryzykować.

Wlatując na początek szlaku, pstryknął przełącznikiem interkomu.

- Miej oczy szeroko otwarte, chłopcze - powiedział do Jarika.

- Nie pozwól, żeby zaskoczył nas jakiś imperialny ptaszek.

- Jasne, Hanie - usłyszał w odpowiedzi. - Spokojna głowa. Możesz nadal wpatrywać się w ekrany. Jeżeli jakiś się pojawi, zdmuchnę go, zanim zorientuje się, co mu się przytrafiło.

Pierwszą przeszkodą od chwili startu z Kessel miała być Otchłań - zdradziecki, w przybliżeniu sferyczny rejon przestworzy, pełen czarnych dziur, neutronowych gwiazd i rozrzuconych tu i ówdzie samotnych dużych słońc. Oglądany z dużej odległości, przypominał na nocnym niebie Kessel rozmyty, mieniący się niczym mgławica, wielobarwny owal. Kiedy statek się zbliżał, Otchłań przybierała kształt idealnej sfery. Jarzyła się blaskiem słońc, chmur i pasm zjonizowanych gazów. Cząsteczki gazów i pyły, przyciągane grawitacją to tej, to znów innej czarnej dziury, wpadały w szczęki Otchłani. Same dziury wyglądały jak wciąż powiększające swe rozmiary kręgi.

Na tle ciemniejszych - czyli jarzących się słabszym blaskiem

- rejonów Otchłani sprawiały wrażenie białych, czujnych oczu. W zależności od tego, jakim kursem przelatywał „Sokół”, oczy te były zmrużone, półprzymknięte albo nawet szeroko otwarte. Pośrodku każdego „oka” widniała mała, idealnie okrągła, czarna „żrenica”. To właśnie ona wysysała nie tylko gwiazdny pył i chmury gazów, ale nawet światło.

Zupełnie jak w nocy, w dżungli na Ilezi - pomyślał Solo. - Czarna jak smoła noc, pełna czuwających drapieżników...

Przelatywanie obok Otchłani z normalną prędkością podświetlona było niezwykle ryzykowne, ale ten, kto mijał ją bez ograniczenia prędkości, mógł liczyć tylko na swoje szczęście. Han zerknął na ekrany skanerów i przekonał się, że Salla zmniejszyła dzielącą ich odległość. Stopniowo przyspieszał, aż w końcu stwierdził, że leci szybciej niż kiedykolwiek odważył się na tej ciężkiej trasie.

- Teraz nas nie dogoni - powiedział do Chewiego. - Zamierzam lecieć tak szybko, dopóki nie dotrzemy w okolice Jamy, a wówczas zdobędziemy taką przewagę, że wykonamy skok do nadprzestrzeni, co najmniej dwadzieścia minut wcześniej niż „Śmigacz Rubieży”.

„Jama” nazywano zdradziecki pas asteroid, otulony gazowym ramieniem pobliskiej mgławicy. To właśnie ze względu na Jamę - i Otchłań - trasa na Kessel cieszyła się opinią takiej trudnej i niebezpiecznej. Kiedy Chewie usłyszał słowa Hana, zrobił nieszczęśliwą minę, i jęknął.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Han, nie kryjąc oburzenia. - Mam pozwolić, żeby nas wyprzedziła? - Przelatując obok pierwszej gromady czarnych dziur, wyciągnął ręce i ukrytymi w rękawiczkach palcami skorygował położenie kilku przełączników. Chmury i pyły z pobliskich gwiazd, wciągane przez powiększające swe rozmiary paszcze czarnych dziur, unosiły się przed dziobem „Sokoła” niczym świetliste, wielobarwne welony. - Oszałałeś? Nie zamierzam stawiać jej obiadu! Wręcz przeciwnie, chcę zamówić poledwicę nerfową z opiekanyim ogonem ładneka i różne inne frykasy... i ani mi w głowie za to płacić!

Poważnie zaniepokojony Chewie rzucił okiem na wyświetlacz prędkościomierza. Przeciagle zaręczał, zgłaszając inną propozycję.

- Ty chcesz postawić nam obojgu obiad, jeżeli zwolnię? - Han obdarzył drugiego pilota zdumionym spojrzeniem. - Hej, kolego, odkąd się ożeniłeś, zrobiłeś się okropnie miękki. Pozwól, że sam się wszystkim zajmę. „Sokół” da sobie radę. Tym razem nikt nie odbierze nam zwycięstwa!

Nie skończył jeszcze mówić, gdy pokładowe przyrządy zarejestrowały dziwny sygnał, który pochodził niewątpliwie z czujników beztrzesko przyspieszającego „Śmigacza Rubieży”. Otworzył szerzej oczy i jakby nie wierząc w to co widzi, z wysiłkiem przekłnął ślinę.

- O, nie... - szepnął. - Sallo, czyś ty oszalała? Dziewczyno, nie rób tego!

Chwilę później podobny z kształtu do mynocka „Śmigacz Rubieży” wydłużył się, a potem wyskoczył z normalnych przestworzy i zniknął. Chewie zawył.

- Sallo! - wrzasnął Han, ale było za późno. - Ty wariatko! Nikt ci nie powiedział, że mikroskok w sąsiedztwie Otchłani to samobójstwo?

Chewbaca sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Han przyspieszył jeszcze bardziej. Gorączkowo sprawdzał wskazania sensorów w nadziei, że uda mu się odnaleźć „Śmigacza Rubieży”.

- Gdzie ona się podziała? - wykrzyknął w pewnej chwili. - A to wariatka! Co się z nią stało?

Upłynęło dziesięć, potem piętnaście minut. „Sokół” leciał coraz szybciej, ale nie przekraczał granicy Otchłani. Han zastanawiał się, czy i on nie powinien dokonać mikroskoku, ale nie miał pojęcia, dokąd poleciała przemytniczka. Wiedział tylko jedno: z pewnością nie zdecydowała się na skok z jednego krańca otchłani na drugi. Gigantyczne grawitacyjne studnie czarnych dziur wytrąciłyby ją z nadprzestrzeni niemal natychmiast po wnikięciu - i najprawdopodobniej cisnęły do środka otaczającego samą dziurę sferycznego obszaru, skąd nie mogą się wyrwać nawet fale elektromagnetyczne.

Nie, Han był pewien, że Salla dokonała skoku wiodącego wzdłuż granicy Otchłani. Możliwe, że wybrała taką trajektorię, aby wyłonić się w sąsiedztwie Jamy.

Nagle Chewie zaskowyczał. Wyciągnął kosmaty palec i pokazał ekrany skanerów.

- To ona! - potwierdził Han, nie przestając śledzić wysyłanych przez „Śmigacza Rubieży” sygnałów.

Statek Salli leciał dalej, ale wcale nie kierował się w stronę Jamy, tylko...

- Och, nie... - szepnął Han, czując, że zalewa go fala przerażenia. - Chewie, coś musiało jej się nie udać. Nie leci tam, dokąd powinna. - Jeszcze raz sprawdził wskazania wszystkich mierników. - Wyskoczyła z nadprzestrzeni w obszarze silnego oddziaływania magnetycznego pola tamtej gwiazdy neutronowej przed dziobem!

„Śmigacz Rubieży” już nie leciał po linii prostej. Znalazł się w odległości tysiąca kilometrów od najbliższej neutronowej gwiazdy. Oddziaływanie magnetycznego pola sprawiało, że trajektoria lotu przypominała spiralę. Sensory „Sokoła” pokazywały, jak strugi śmiertelności plazmy otaczają nieustannie powiększający się krąg, w którego środku znajdowała się gwiazda neutronowa.

- Zapewne siły grawitacji albo magnetyczne pola uszkodziły nawigacyjny komputer i dlatego „Śmigacz Rubieży” wyskoczył z nadprzestrzeni nie tam, gdzie chciała... - domyślił się Solo. Nabrał powierza. Miał wrażenie, że gigantyczna, niewidzialna dłoń

ściska go za gardło. Z trudem mógł oddychać. - Och, Chewie... - szepnął, spoglądając na przyjaciela. - Już po niej...

W ciągu najbliższych kilku minut statek Salli powinien dotrzeć do apastronu, czyli punktu orbity najbardziej oddalonego od resztek wypalonej gwiazdy. „Śmigacz Rubieży” osiągnie wówczas najmniejszą prędkość, ale gnany siłą bezwładności, polecą dalej. Zaledwie kilka minut później grawitacja zmieni trajektorię lotu. Zamiast lecieć prosto, statek Salli zacznie krążyć, i opadając po spirali, zniknie w czeluści czarnej dziury. Przedtem jednak przetnie pasmo śmiertelności plazmy, a wówczas promieniowanie osiągnie takie natężenie, że w ciągu zaledwie kilku sekund uśmierci każdy żywy organizm na pokładzie.

Nim upłynęła sekunda, przez głowę Hana przemknęły setki obrazów urodziwej przemytniczki. Oto Salla uśmiecha się do niego rano, kiedy budzi się ze snu. Salla, ubrana w szalową wieczorową suknię, zabiera go na kolację do kasyna. Salla, nie przejmując się plamami smaru na twarzy, naprawia jednostkę napędu nad-światłowego tak sprawnie i szybko, jak ktoś inny przyrządza śniadanie... tyle że Salla nigdy nie nauczyła się gotować...

- Chewie - szepnął ochryple Han. - Musimy ją stamtąd wyciągnąć.

Chewbaca spojrział na niego ze zdumieniem. Wyciągnął kosmaty palec w kierunku przyrządów i zarzytał.

- Wiem, wiem - odparł Solo. - „Śmigacz Rubieży” zaraz wleci w tamtą smugę plazmy. Jeżeli się zbliżymy, ryzykujemy, że i nasz komputer odmówi posłuszeństwa. Wówczas z „Sokołem” stanie się to samo, co ze statkiem Salli. Ale... wiesz co, Chewie? Nie możemy jej tak zostawić. Musimy chociaż spróbować.

Rosły Wookie zmrużył błękitne oczy i głośnym rykiem przyznał mu rację. Salla była ich przyjaciółką. Nie mogli opuścić jej w potrzebie.

Han zaczął gorączkowo wpisywać do pamięci nawigacyjnego komputera zestaw nowych współrzędnych trajektorii lotu. Równocześnie włączył komunikator „Sokoła” i wybrał inną częstotliwość.

- Sallo? Sallo? Mówi Han. Kochanie, słyszysz mnie? Lecimy na ratunek. Spróbujemy cię stamtąd wyciągnąć. Tylko... musisz zrobić to, co ci powiem. Sallo? Odezwij się! Odbiór.

Zanim na ekranie komputera pojawiły się współrzędne możliwych wektorów podejścia, spróbował połączyć się jeszcze dwukrotnie. Wiedział, że magnetyczne pola, chmury zjonizowanych gazów i wstęgi plazmy mogą zakłócić, a nawet uniemożliwić łączność. Liczył jednak na to, że dzięki potężnym antenom i zestawom sensorów sygnał komunikatora „Sokoła” zdoła przebić się przez zakłócenia.

- Chewie, powiedz Jarikowi, żeby wskakiwał do próżniowego kombinezonu - odezwał się po chwili. - Niech weźmie magnetyczny chwytak i ręczną wciągarkę i czeka obok włazu służby. Powiem Salli, żeby opuściła statek. Wówczas podlecimy najbliżej, jak się da, zrównamy się z nią i wciągniemy do środka.

Chewie obrzucił przyjaciela sceptycznym spojrzeniem.

- Nie patrz tak na mnie! - spiorunował go Solo. - Nie mówiłem, że to będzie proste! Komputer nawigacyjny musi wybrać taki wektor podejścia, żebyśmy nie wpadli w

zasięg magnetycznego pola tego pióropusza plazmy. Nie siedź tak i nie wymieniaj całej listy rzeczy, które mogą nam w tym przeszkodzić! Zabieraj się stąd i powiedz Jarikowi, żeby się przygotował!

Chewbacca zerwał się z fotela drugiego pilota i najszybciej, jak umiał, wybiegł ze sterowni.

Han odwrócił się i ponownie pstryknął włącznikiem komunikatora.

- Sallo... Sallo, tu „Sokół”. Odezwij się, jeżeli mnie słyszysz.

Zastanawiał się, czy nagły powrót „Śmigacza Rubieży” do normalnych przestworzy nie szarpnął statkiem z taką siłą, że Salla leżała teraz rozciągnięta na kontrolnym pulpicie albo płytach pokładu. Nieprzytomna albo... martwa.

- Hej, dziecinko, odezwij się do mnie! To ja, Han. Słyszysz mnie?

Raz po raz ponawiając próby nawiązania łączności, kierował „Sokoła” ku punktowi apastronu. W pewnej chwili pomyślał, że magnetyczne pole neutronowej gwiazdy musiało mieć takie natężenie, że kiedy Salla wyskoczyła z nadprzestrzeni, zniszczyło wszystkie włączone albo działające urządzenia i podzespoły. Z pewnością uszkodzeniu uległa również jedyna kapsuła ratunkowa, jaką miała przemytniczka na pokładzie „Śmigacza Rubieży”. Zapewne urządzenia kapsuły także były włączone... utrzymywane w stanie pogotowia na wypadek, gdyby musiała być natychmiast wystrzelona.

Tymczasem statek Salli nadal leciał z tą samą prędkością, którą nadała mu kobieta, zanim zdecydowała się na skok do nadprzestrzeni. Teraz jednak nie mogła zmienić ani szybkości, ani trajektorii lotu. Ponieważ „Śmigacz Rubieży” miał uszkodzone silniki, nie mogła pokonać siły ciężenia, która wciągała frachtowiec do paszczy czarnej dziury. Była skazana na lot po spirali i zataczanie po powierzchni grawitacyjnego leja coraz ciaśniejszych kręgów. W końcu, wcześniej czy później, „Śmigacz Rubieży” zetknie się z powierzchnią sfery, z której wnętrza już się nie wynurzy. Jego los był przesądzony...

Jednak co najmniej piętnaście minut przed tym, zanim statek ulegnie zniszczeniu, Salla zginie. Straci życie w chwili, gdy „Śmigacz” przeleci przez pasmo plazmy...

Nie dopuszczę do tego - postanowił Han z ponurą determinacją.

- Sallo? Sallo? Czy mnie słyszysz? - nie dawał za wygraną. - Odezwij się! Sallo!

W końcu spomiędzy trzasków i szumów dobiegł go słaby głos przemytniczki:

- Hanie... „Śmigacz”... silniki nie działają... stos nie... baterie straciły moc... nie mogę... już po mnie, kochanie... Trzymaj się jak najdalej...

Han dosadnie zaklął.

- Nie! - ryknął do mikrofonu. - Sallo, posłuchaj! Zrób dokładnie to, co ci powiem! To prawda, że „Śmigacz Rubieży” jest skazany na zagładę, ale ty możesz się uratować, Sallo! Masz tylko kilka minut, by opuścić pokład statku! Czy kiedy wyskakiwałaś z nadprzestrzeni, twoja kapsuła ratunkowa była przygotowana do wystrzelenia?

- ...potwierdzam, Hanie... kapsuła do niczego... nie mogę wystrzelić...

A zatem stało się to, czego się obawiał. Kapsuła ratunkowa nie nadawała się do użycia. Jej obwody elektroniczne stopiły się albo spaliły.

Han przesunął językiem po spierzchniętych wargach.

- Mimo to... możesz się uratować, Sallo - ciągnął, wyraźnie i powoli wymawiając każde słowo. - Lecimy do ciebie! Musisz tylko przedostać się do rufowej śluzi i wsko-

czyć w próżniowy kombinezon. Weź ze sobą oba pakiety napędowe, słyszysz mnie? Kiedy pierwszy się wyczerpie, włączysz drugi. Od razu na pełną moc! Spróbujemy się zrównać z tobą, ale musisz nam pomóc. Postaraj się oddalić od „Śmigacza Rubieży” na największą odległość, na jaką zdołasz!

- Nic z tego... nie uda... skoczyć?

- Ta-a, do diabła, masz skoczyć! - Han dokonał poprawki kursu. - Będziemy tam za osiem minut. Chcę, żebyś oddaliła się od „Śmigacza” pełną mocą! Powinnaś lecieć kursem... - Przeniósł spojrzenie na ekran nawigacyjnego komputera i pospieszenie przeczytał zestaw współrzędnych. - Czy mnie rozumiałeś?

- Ale... „Śmigacz Rubieży”... - usłyszał w odpowiedzi.

- Niech diabli porwą „Śmigacza Rubieży”! - krzyknął. - To tylko statek, kupa złomu! Kupisz sobie następny. Nie marnuj czasu, Sallo. Masz tylko trzy minuty, żeby wbić się w ten kombinezon. Ocknij się, dziewczyno! Biegnij na rufę!

Przerwał połączenie, by w następnej sekundzie pstryknąć przełącznikiem interkomu. Wybrał częstotliwość aparatury kombinezonu Janka.

- Jariku, jesteś gotów? - zapytał. - Czekasz obok śluzi z magnetycznym chwytakiem i wciągarką?

- Potwierdzam, Hanie - odparł młodzieniec. - Powiedz mi tylko, kiedy znajdzie się na tyle blisko, że będę mógł nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Przez szybę hełmu trudno cokolwiek zobaczyć.

- Uprzedzę cię, chłopcze - obiecał rzeczowo Korelianin. - Podaję ci współrzędne dla chwytaka. - Przeczytał zestaw liczb, a potem - na wszelki wypadek - powtórzył. - Najważniejsze jest wyczucie czasu, więc postaraj się nie spóźnić. Jeżeli przegapisz właściwą chwilę, otrzymamy się o skraj magnetycznego pola, a wtedy czeka nas taki sam los, jak „Śmigacza Rubieży”. Krótko mówiąc, chłopcze, mamy tylko jedną szansę, żeby pochwycić ją i uciec. Zrozumiałeś?

- Zrozumiałem, Hanie - odparł bardzo poważnie Jarik.

Kierując „Sokoła” ku punktowi przestworzy, w którym zamierzał przechwycić przemytniczkę, Han zastanawiał się, czy pakiety napędowe jej kombinezonu okażą się wystarczająco silne, by Salla oddaliła się od skazanego na zagładę statku na odpowiednią odległość. Nie zamierzał ryzykować, a obawiał się, że mógłby zderzyć się ze „Śmigaczem Rubieży”. „Sokół Millennium” był frachtowcem i w zasadzie nie nadawał się do wykonywania karkołomnych ewolucji. Co prawda, Han nabrał takiej wprawy w pilotowaniu, że potrafił wykonywać najbardziej nieprawdopodobne manewry. Obawiał się jednak, czy potrafi zbliżyć się do samotnej istoty ludzkiej, odzianej w próżniowy kombinezon, na tak małą odległość, żeby pochwycić ją i wciągnąć na pokład, a zarazem nie wpaść w obszar oddziaływania magnetycznego pola plazmy. Manewr był tak ryzykowny, że Han wolałby nie martwić się jeszcze i o to, czy przypadkiem jego „Sokół” nie roztrzaska się o burtę „Śmigacza Rubieży”.

Upewnił się, że jego zmodyfikowany frachtowiec leci prawidłowym kursem. Chwilę później sprawdził to ponownie. Musiał precyzyjnie przeprowadzić manewr. Wiedział, że nie będzie miał drugiej okazji. Powinien znaleźć się jak najbliżej, zanim Salla zbliży się do wstęgi niosącej śmierć plazmy. Przez krótką jak mgnienie oka chwili-

łę wyobrażał sobie, co zrobi, jeżeli wciągnie na pokład „Sokoła” tylko zwęglone przez promieniowanie zwłoki. Siłą woli zmusił się, by skupić całą uwagę na pilotowaniu statku. Pomyślał, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie usiłował wykonać trudniejszego i bardziej brzemiennego w skutki manewru...

Kilka minut później, spływając potem, zaczął wprowadzać poprawki kursu. Zwolnił... po chwili jeszcze bardziej zwolnił... a po sekundzie czy dwóch znów zmniejszył prędkość. Nie ośmielił się wszakże całkowicie zastopować. Obawiał się, że wówczas siła bezwładności mogłaby wepchnąć go w obszar działania magnetycznego pola...

Nie odrywał spojrzenia od ekranów sensorów. „Śmigacz Rubieży” dryfował zaledwie w odległości pięćdziesięciu kilometrów. „Sokół” powoli zbliżał się do niego.

- Jariku - odezwał się Han w pewnej chwili. - Nawiązałem kontakt wzrokowy ze „Śmigaczem Rubieży”. Przygotuj się.

- Zrozumiałem - usłyszał w odpowiedzi. - Jestem gotów.

Czy Salla zdołała ewakuować się w porę? - zastanawiał się Solo. Próbował nawiązać z nią łączność, ale nadaremnie. Nie usłyszał odpowiedzi, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Istniało całkiem spore prawdopodobieństwo, że nadajnik komunikatora jej kombinezonu ma taką małą moc iż sygnał nie może się przedrzeć przez zakłócenia.

Tymczasem skazany na zagładę frachtowiec Salli nie przestawał rosnąć i na ekranach skanerów, i w iluminatorach „Sokoła”. Han zwolnił jeszcze bardziej. Bał się nawet mrugnąć. Gdzie się podziewa? - myślał, starając się walczyć z ogarniającą go rozpaczą. - Czy miała dość odwagi, by wyskoczyć?

Doskonale wiedział, że nie może posądzać Salli o brak odwagi. Tyle że propozycja wyskoczenia ze śluzu statku i poszybowania w przestworza, na pewną - zdawałoby się - śmierć, mogła nawet najodważniejszego człowieka wprawić w przerażenie. Han przygryzł wargę. Wyobraził sobie, jak Salla wyskakuje z rufowej śluzu w mrok przestworzy, a po sekundzie czy dwóch włącza silnik pierwszego pakietu napędowego. I chociaż Han spędził sporo czasu, odziany w próżniowy kombinezon, nigdy tego nie polubił. Nie cierpiał unosić się nieruchomo w przestworzach, kiedy wiedział, że wokół, we wszystkich kierunkach, rozciąga się zimna, nieprzyjazna czarna pustka. Z pewnością zaś nigdy nie próbował, korzystając z pakietów napędowych, przelecieć nawet jednego, a tym bardziej wielu kilometrów. Nie był pewien, czy sam znalazłby tyle odwagi, żeby zrobić to, czego żądał od Salli...

Tyle że zanim Salla została przemytniczką, pracowała jako technik w jednym z przedsiębiorstw transportowych. Han liczył na to, że nie zapomniła, jak trzeba się zachowywać, jeżeli ktoś jest ubrany w próżniowy kombinezon.

Popatrzył na symbole wyświetlane na tablicy nawigacyjnej. Ujrzał neutronową gwiazdę i okrążającego ją „Śmigacza Rubieży”. Na schemacie widniała także spirala przypuszczalnego kursu statku. Właśnie w tej chwili frachtowiec Salli osiągał apastron. Plamka oznaczająca „Sokoła” szybko się zbliżała. Oba statki dzieliło zaledwie trzydzieści kilometrów...

A tuż obok nich, zaznaczony jadowitą zielenią, rozciągał się pióropusz śmiertelnej plazmy. Otaczająca go mgiełka magnetycznego pola mieniła się złowieszczym fioletem.

Han przełknął ślinę. Jak blisko - pomyślał, przerażony.

Zmniejszył odległość do dwudziestu kilometrów. Uniósł głowę i za iluminatorem zobaczył podobny do mynocka kadłub „Śmigacza Rubieży”.

Gdzie też może być? - zastanawiał się, na ułamek sekundy przenosząc spojrzenie na nawigacyjną planszę. - Gdzież, u licha...

- Jest! - krzyknął nagle. - Janku, widzę ją na schemacie! Nie nawiązałem kontaktu wzrokowego, ale bądź czujny!

Dokonał kilku drobnych korekt kursu, żeby osiągnąć dokładnie taką samą trajektorię lotu. Salla zbliżała się teraz coraz szybciej... na tyle szybko, żeby lecieć po linii prostej, ale nie aż tak szybko, by ryzykować, iż utraci kontrolę nad pakietami i zacznie koziółkować. Han musiał przyznać, że przemytniczką ma ogromne doświadczenie.

- Jestem gotów, Hanie - odezwał się młodzieniec.

Chwilę później mruknął coś do siebie... czyżby słowa modlitwy? Han był zbyt zajęty czym innym, żeby zapytać. Odwrócił się do mikrofonu pokładowego interkomu.

- Chewie, jesteś gotów? - zapytał. - Wziąłeś medyczny pakiet?

- Hrrnnnnngggghhh!

Han przyglądał się świetlistej plamce, ale od czasu do czasu zerkał w stronę bakburty. Nagle...

- Widzę ją! - wykrzyknął. - Nawiązałem kontakt wzrokowy! Jariku, kiedy ci powiem, wystrzelisz chwytak magnetyczny!

Policzył w myślach od dziesięciu do zera, starając się zachowywać odstępów sekundowe. Trzy... dwie... jedna...

- Ognia!

Upłynęła pełna napięcia sekunda...

- Mam ją! - zawołał Jarik. - Włączam wciągarkę!

- Chewie, słyszysz ją?

Chewbacca zaryczał. Nie, jeszcze nie słyszał Salli, ale obiecał, że da znać, jeżeli przemytniczką powie choćby słowo.

- Jariku! Jariku, czy nic się jej nie stało?

- Macha do mnie, Hanie! - odparł radośnie młodzieniec. A chwilę później: - W porządku, Hanie, mam ją na pokładzie! Zamykam teraz kłapę śluzu!

W następnej sekundzie z głośnika interkomu wydobył się ryk Wookiego.

- Cieszę się - stwierdził z ulgą Solo. - A teraz zabieramy się stąd... i to szybko!

Zmienił kurs i przyspieszył, żeby pokonać siłę przyciągania neutronowej gwiazdy. W ostatniej chwili rzucił okiem na planszę „Śmigacza Rubieży” przelatując przez strumień plazmy, nabierając jeszcze większej prędkości. Niewiele brakowało - pomyślał, już odprężony.

- Jak ona się czuje? - zapytał Chewiego przez interkom. - Meldujcie, co tam u was słychać, chłopaki!

Po chwili usłyszał głos Salli... zachrypnięty, ale nietrudny do rozpoznania.

- Jestem cała i zdrowa, Hanie. Tylko rozcięłam sobie głowę. Chewie już opatruje ranę.

Han zachichotał.

- Nie zapominaj, że raz czy dwa, kiedy nie wiedziałem, jak wybrnąć z beznadziejnej sytuacji, ty także ocalałaś moją skórę. Nie pamiętasz, jak usiłowali nas oskubać ci goście z Nessie? Gdybyś nie zauważyła tych fałszywych kart, straciłbym majątek.

Nagle szczupłym ciałem Salli zaczęły wstrząsać gwałtowne dreszcze. Zaszczekała zębami.

- N... nnnie p... hóbuj b... bbyć ddla mmm... nie mmiły, Hhhannnie - wyjąkała kobieta, usiłując się opanować. - Ccc...o ssie zze mmą dzie... dzieje?

Han pogłaskał ją po włosach.

- Obniżenie poziomu adrenaliny, Sallo - powiedział. - Zawsze tak się dzieje po wygranej bitwie. Trzęsiesz się i czujesz strasznie głupio, bo przecież jesteś już bezpieczna.

Salla z wysiłkiem kiwnęła głową.

- Zzzrobi... łam z sie... bie idio... tkę - wyjąkała.

- Ale jesteś żywą idiotką - przypomniał Solo. - Tylko to się liczy.

Salla uśmiechnęła się z przymusem.

ROZDZIAŁ

6

POŻEGNANIE Z KSIĘŻYCEM NAR SHADDAA

W ciągu następnego tygodnia Salla Zend była zgaszona, smutna i małowólna - tak cicha, że Han zaczął się niepokoić. Nigdy jeszcze nie widział, żeby jego przyjaciółka zachowywała się tak powściągliwie. Odmówiła kilka razy, kiedy zaproponował jej, żeby poleciała z nim i Chewiem trasą na Kessel. Tymczasem Korelianin wcale nie żartował, gdy oznajmił, że przydałoby mu się jej pomoc. Jarik poznał niedawno w koreańskim sektorze księżycy Nar Shaddaa jakąś dziewczynę i teraz spędzał w jej towarzystwie każdą wolną chwilę. Zaczął także pracować w Gwiezdnej Stajni Shuga. Mistrz mechaników otrzymał od przywódców klanu Desilijic polecenie zmodernizowania jednostek napędu nadświetlnego kilkunastu gwiazdnych statków, należących do przemytników. Miał pełne ręce roboty i przyjmował do pracy wszystkich, którzy znali się na rzeczy.

Zatrudnił również Sallę Zend. Młoda przemytniczka przychodziła do Stajni Shuga każdego ranka i także pomagała modernizować silniki napędu nadświetlnego gwiazdnych frachtowców. Jednak za każdym razem, kiedy Han wracał do domu, czekała na niego, uśmiechnięta, by powitać go i ucałować. Traktowała go jakby... trochę inaczej... niż do tej pory. Spoglądała na niego tak dziwnie, jakby... go oceniała. Korelianin zaczął się czuć nieswojo.

Najbardziej denerwujące było jednak to, że poprosiła go, aby nauczył ją gotować. Han, który dorastał pod opieką Dewlanny, uważał się za całkiem niezłego kucharza, ale ilekroć miał przyrządzić posiłek tylko dla siebie, nie zwracał sobie głowy pitraszeniem. Ponieważ jednak prawie wszystkie wieczory spędzał teraz w towarzystwie Salli, przyzwyczał się przygotowywać posiłki i dla siebie, i dla niej.

Niespodziewanie jednak przemytniczka zapragnęła, żeby nauczył ją przyrządzać potrawy. Han przeczuwał, że nie wyniknie z tego nic dobrego. Nie mógł określić, dlaczego poczuł się zaniepokojony - mimo wszystko, umiejętność gotowania to nic strasznego, prawda? - ale w jego głowie rozdzwijały się dzwonki alarmowe.

Zaczął od najprostszych rzeczy... śniadania, zupy, gulaszu i tak dalej. Później przeszedł do bardziej skomplikowanych potraw. Uczyl Sallę, jak przygotowywać go-

towane zrazy traladonowe z tuberami, siekane i podsmażane korzenie imushowe w gorącym sosie czy podplomyki Wookiech glazurowane leśnym miodem.

Przemytniczka słuchała go bardzo uważnie. Do wszystkiego przywiązywała dużą wagę. Traktowała naukę przyrządzania potraw z taką samą powagą jak rozbieranie, naprawianie i składanie uszkodzonych matryc motywatorów. Była tak przejęta, sumienna i gorliwa, że już wkrótce zaniepokojenie Hana przerodziło się w przerażenie.

Korelianin zastanawiał się, czy nie zapytać, o co chodzi, ale nie chciał okazać się wścibski. Salla straciła gwiazdny statek. To chyba jedyny powód - pomyślał - że zachowuje się tak niezwykle.

Pewnego popołudnia podała pierwszy obiad, który w całości przyrządziła sama, i czekała teraz co Han powie. Kiedy Korelianin w końcu przełknął ostatnie kęsy lekko przypalonego ogona z ladneka i ciągnącego się jak guma sufletu z korzenia bagiennej moczarki, uniósł głowę i obdarzył przemytniczkę promiennym uśmiechem.

- To było coś wspaniałego, Sallo - powiedział. - Palce lizać. Niedługo staniesz się prawdziwym kuchmistrem!

- Naprawdę? - Salla była bardzo zadowolona.

- Jasne - skłamał Han. W rzeczywistości jego przyjaciółka miała przed sobą jeszcze bardzo długą drogę.

- Hanie... - odezwała się po chwili. - Chciałabym ci coś powiedzieć. Coś naprawdę ważnego.

O, o..., - pomyślał Solo. - Zaraz się zaczniesz. Poczuję, że ogarnia go przerażenie.

- Co takiego? - zapytał.

- No cóż, musisz wiedzieć, że poczyniłam pewne przygotowania - zaczęła przemytniczka. - Wszystko nie będzie kosztowało aż tyle, ile myślałam - może dlatego, że wynajęcie sali okazało się bardzo tanie. Trochę zaoszczędziłam, a jeżeli dodamy to, co zostało ci z wygranej w turnieju sabaka, powinniśmy sobie poradzić. Rozmawiałam już z szefem hurtowni artykułów żywnościowych i...

- Sallo, o czym ty właściwie mówisz? - przerwał jej kompletnie zdezorientowany Han.

- O naszym ślubie - odrzekła przemytniczka. - Zastanawiam się nad tym, odkąd powiedziałaś, że nie poradzisz sobie beze mnie, i doszłam do przekonania, że miałeś rację. Nie poradzimy sobie jedno bez drugiego. Najwyższy czas, Hanie, żebyśmy ustalikowali się i zaczęli wieść normalne życie. We dwoje. Ty i ja. Jak Roa i Lwyll. Pamiętasz, jakie mieli huczne wesele? Możemy urządzić takie samo. Wydaje mi się, że na to zasłużyliśmy. Zaprosimy wszystkich przyjaciół...

Han wpatrywał się w nią, jakby nie rozumiał, co mówi. Był zbyt oszołomiony, żeby coś powiedzieć. W pewnej chwili o mało nie krzyknął: „Czyż ty oszalała?!” Potem jednak zreflektował się i powoli policzył w myślach do dziesięciu. Zastanawiał się, czy Salla nie powinna odwiedzić lekarza. Podczas wypadku zraniła się w głowę... Coraz bardziej zaniepokojony, w końcu znalazł w sobie tyle odwagi, by powiedzieć:

- Ummm... Sallo, nie mam czegoś takiego jeszcze w swoich kartach...

Przemytniczka zachichotała.

- Wiedziałaś, że to powiesz, Hanie! - rzekła. - Ach, ci mężczyźni! Nigdy nie powiedzą, co czują. Nie pamiętasz, jak mówiłeś, że trochę zazdrościsz, że Roa i Chewie ustatkowali się i założyli rodziny?

Han naprawdę powiedział kiedyś coś takiego, ale był absolutnie pewien, że nie wyrażał zgody, aby ktokolwiek interpretował jego słowa w taki sposób. Pokręcił głową.

- Sallo, kochanie, powinniśmy to przedyskutować - oświadczył trochę bardziej stanowczym tonem. - Mam nadzieję, że nikomu o tym nie wspomniałaś, prawda? Nie poczyniłaś żadnych przygotowań?

- No cóż... - rzekła kobieta. - Powiedziałam tylko kilku osobom. Wiedzą o tym Shug, Mąko, Lando i Jarik. Aha, i wpłaciłam zaliczkę za wynajęcie sali.

Mąko! Han jęknął w duchu. Jego przyjaciół z czasów, kiedy obaj studiowali w Akademii, ubawi się setnie, rozgłaszając nowinę po całym księżycu Nar Shaddaa... Jariku, dlaczego nie ostrzegłeś mnie, co się święci? - pomyślał ponuro. Chwilę później uświadomił sobie, że młodzieniec zdawał się zadurzony po uszy w poznanej niedawno dziewczynie. Prawdopodobnie w ogóle nie dotarło do niego, co mówiła przemytniczka.

- Sallo - powiedział. - To do ciebie niepodobne. Nigdy nie składaliśmy sobie żadnych obietnic. Do niczego się nie zobowiązaliśmy. To znaczy... może, pewnego dnia... ale...

Kobieta spojrzała na niego z wyrozumiałym uśmiechem. Han poczuł się jak pędzony do rzeźni traladon. Przemytniczka właściwie go nie słuchała. Rozpaczliwie zastanawiając się, jak delikatnie powiedzieć jej, co czuje, Han wyciągnął rękę i ujął dłoń przyjaciółki, spoczywającą na blacie stołu.

- Sallo, kochanie... - zaczął ostrożnie. - Nigdy przedtem żadne z nas nawet nie wypowiedziało słowa „kocham”. A teraz... Usiłujesz powiedzieć mi, że kochasz mnie tak bardzo, iż chcesz spędzić ze mną resztę życia?

W jej bursztynowych oczach pojawił się błysk... tak krótki, że Han z trudem go zauważył. Później Salla kiwnęła głową.

- Wiem, czego pragnę, Hanie - powiedziała. - Ty i ja, razem do końca życia. Dostarczę nadstawiania karku, by dostarczyć kolejny transport tej przeklętej przyprawy. Zrobimy jak Roa i Lwyll. Zaczniemy razem nowe życie. Uczciwe życie. Koniec z przemycaniem towarów. Może nawet pewnego dnia będziemy mieli dzieci.

- To wszystko bardzo piękne, ale czy mnie kochasz? - nie dawał za wygraną Korelianin, nie odrywając spojrzenia od jej oczu.

- Oczywiście, Hanie - odrzekła Salla. - Jasne, że cię kocham. Przecież wiesz.

Nie, wcale nie jestem tego pewien - pomyślał cynicznie Solo. Przypomniał sobie tamten błysk, który na ułamek sekundy ujrzał w jej oczach. Wiedział, że Salla go lubi, troszczy się o niego, przepada za nim... Ale czy kocha?

- Tak czy owak, Hanie, przekonasz się, że to słuszną decyzją - ciągnęła przemytniczka. - Nasz ślub będzie wspaniały jak żaden. A potem urządzimy huczne wesele.

Uwadze Hana nie uszedł fakt, iż Salla nie zapytała jego, czy ją kocha. Widocznie nie chce znać odpowiedzi - uświadomił sobie w tej samej chwili.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powinien stwierdzić: „Sallo, nie kocham cię i nie chcę się z tobą ożenić”. Później doszedł do wniosku, że nie potrafi się na to zdobyć.

Nie chciał sprawiać Salli przykrości ani z nią zrywać. Gdyby to powiedział, z pewnością osiągnąłby i jedno, i drugie.

Doszedł do wniosku, że ponieważ Salla już się wygadała, nic się nie stanie, jeżeli porozmawia o tym z Chewiem i może także z Landem. Liczył na to, że któryś poradzi mu, jak odmówić Salli, aby nie stracić jej przyjacieli.

Han chciał, żeby Salla pozostała jego przyjaciółką, ale nie zamierzał się z nią żenić. A już na pewno nie teraz, kiedy znalazł się u szczytu powodzenia i przemycniczej sławy i kiedy miał do dyspozycji „Sokoła” - własny, bardzo szybki gwiazdny statek. Musiał jeszcze odwiedzić wiele miejsc, załatwić wiele interesów, przetransportować wiele nielegalnych towarów i zaznać w życiu wielu uciech i przyjemności... a gdyby się ożenił, musiałby z tego wszystkiego zrezygnować. Małżeństwo kojarzyło mu się z podporządkowaniem Imperium i wykonywaniem do końca życia jakiejś nudnej urzędniczej pracy. Korelianin nie mógłby czuć się bardziej przerażony, gdyby pewnego dnia obudził się i przekonał, że ktoś skazał go na pracę w kopalniach przyprawy na Kessel.

Następnego dnia zastał Chewiego w ich wynajętym mieszkaniu, i postanowił poważnie z nim porozmawiać. Podczas gdy ZeeZee dreptał w kółko, podnosił z podłogi różne przedmioty, oglądał je i chwilę później odkładał na to samo miejsce, Han opowiedział przyjacielowi całą historię. Wookie raz po raz warczał, wył i kręcił głową.

- Więc mówisz, że postępowanie Salli przypomina ci zachowanie Wynni? - zachnął się w pewnej chwili Solo. - Wynni nie może się doczekać chwili, kiedy porwie cię w ramiona i uwiedzie, kolego. Tymczasem Salla pragnie czegoś innego. Chce, żebym się z nią ożenił.

Chewbacca głośnym rykiem uzupełnił poprzednią wypowiedź. Salla wydawała mu się podobna do Wynni, ponieważ nie zapytała, czy Han zechce się z nią ożenić. Przyjmowała za pewnik, że tego pragnie. Wookie podkreślił, że w małżeństwie partnerzy mają prawo do własnego zdania. Czasami jedna strona może spełnić życzenie drugiej, ale żadna nie powinna zakładać, że wie, co dla obojga jest najlepsze, ani podejmować decyzji dotyczących wspólnego życia.

Han zmarszczył brwi.

- Ta-a, chyba wiem, o co ci chodzi - mruknął. - Salla o nic nie pyta... zupełnie jakby uznała za pewne, że chcę się z nią ożenić. - Pokręcił głową. - Dziś wybrała się na poszukiwania ślubnej sukni. Oświadczyła, że skoro jestem Korelianinem, chciałaby wyglądać w dniu ślubu jak prawdziwa Korelianka. A to oznacza, że musi mieć zieloną suknię.

Chewie pokręcił głową i wygłosił długi monolog. Jego zdaniem czasami istoty płci żeńskiej różnych ras traktują samców jak trofea, które muszą zdobyć. Jego siostra, Kallabow, zachowała się podobnie, kiedy postanowiła, że zawrze związek z Mahraccorem. Chewie oświadczył jednak, że Kallabow była rozsądniejsza niż Salla. Po prostu dała Mahraccorowi mnóstwo szans, żeby przyszedł małżonek uświadomił sobie, iż ją kocha, a kiedy to nastąpiło, taktownie nakłoniła go do oświadczeń. Chewie nie omieszkał podkreślić, że oboje są teraz bardzo szczęśliwi.

- No cóż, jeżeli chodzi o mnie, kolego, nic takiego się nie zdarzy - zapewnił go cierpko Solo. - Wiesz, Chewie, zaczyna mnie to doprowadzać do szału. Salla nie

przejmuje się moim zdaniem. Ona nawet nie zamierza dowiedzieć się, co ja sądzę na ten temat. Nie powinna tak postępować, jeżeli chce, żebym zakochał się w niej i pragnął z nią ożenić.

Głośnym rykiem Chewie przyznał mu rację.

Następnego wieczora Han spotkał Landa w zasnutym dymem barze jednego z największych kasyn na księżycu Nar Shaddaa. Kiedy powiedział mu o swoim kłopotcie, młody hazardzista pokręcił głową.

- Hanie, Hanie... - powiedział. - Salla traktuje tę sprawę śmiertelnie poważnie. Kiedy mi o tym powiedziała, wybuchnąłem śmiechem - ponieważ cię dobrze znam, kolego - a wtedy omal mnie nie znokautowała.

- Dobrze wiem, że traktuje to poważnie - przyznał posępnie Solo. - Niech to licha, Lando! Nie chcę się z nią żenić! Nie chcę żenić się z nikim! Może nigdy się nie ożenię! Podoba mi się moje życie! Lubię robić, co chcę, kiedy chcę i z kim mam ochotę! Jestem urodzonym samotnikiem!

- Spokojnie, kolego - ostrzegł go Lando i dopiero wtedy Han uświadomił sobie, że prawie wykrzyczał ostatnie słowa. Rozejrzał się po zadymionej sali i przekonał, że właściciele baru patrzą na niego z niepokojem. Pospiesznie upił łyk alderańskiego piwa.

- Próbowałeś jej powiedzieć, co sądzisz o tej propozycji? - zapytał Calrissian.

- Ta-a. I to kilka razy - odparł Solo. - Zbyła mnie machnięciem ręki. Powiedziałem jej: „Sallo, to nie jest dobry pomysł”, „Muszę mieć trochę więcej czasu, by się nad tym zastanowić”, a nawet „Sallo, jeszcze w tej chwili nie interesuje mnie małżeństwo”, ale wszystko na nic.

- Co ona na to?

- Nie przywiązuje do tego żadnej wagi. Usiłuje mnie przekonać, że nie mam racji. Mówi na przykład: „Nie martw się, Hanie, mężczyźni zawsze reagują w taki sposób” albo „Przedślubne wątpliwości to coś absolutnie normalnego”.

Lando westchnął tak ciężko i głęboko, że jego wąsy zafalowały.

- Trudna sprawa, kolego - powiedział. - Wygląda na to, że Salla doszła do wniosku, iż wychodząc za ciebie zwróci swoje życie na właściwe tory. Sam rozumiesz... Straciła gwiazdny statek, ale robi, co może, żeby zdobyć męża.

- Chce, żebym zerwał z przemycaniem towarów i odleciał z księżycu Nar Shaddaa - poskarżył się Solo. - Mówi, że będziemy żyli jak Roa i Lwyll. Zaczniemy nowe życie. Koniec z przemycaniem towarów. Zajmiemy się czymś innym.

Lando się wzdygnął.

- Uczciwą pracą? - Nie ukrywał przerażenia. - To coś potwornego!

Wszystko wskazywało na to, że młody hazardzista tylko trochę żartuje.

Han dopił piwo i otarł usta grzbietem dłoni.

- Lando, co mam robić? - zapytał. - Nie zamierzam się z nią ożenić, możesz być pewien! Ale muszę się liczyć z jej uczuciami. Nie mogę odmówić zbyt stanowczo, bo okaże się parszywym draniem.

- Czuję, że nie pójdzie ci łatwo - odrzekł Calrissian. - Jeżeli Salla rzeczywiście tak się zachowuje, doprasza się, żeby ktoś utarł jej nosa. Tylko że... Hanie, nie możesz z tym zwlekać. Salla oświadczyła, że bierzecie ślub w przyszłym tygodniu.

Solo podskoczył jak użądłony.
 - W przyszłym tygodniu? - powtórzył, nie wierząc własnym uszom. - O, nie... Lando, nie ma mowy!

- Musisz jej to powiedzieć, Hanie.
 - Nie zechce mnie wysłuchać!
 - A co innego możesz zrobić?

Rysy twarzy Hana stężały, jakby Korelianin nagle się zdecydował.
 - Odlecieć stąd, jeżeli chcesz wiedzieć. Oto, co mogę zrobić - powiedział. - Od dawna zamierzałem spędzić trochę czasu w Sektorze Wspólnym, a ostatnio chciałem polecieć, żeby odszukać tam mistrza techników, niejakiego Doca. Wygląda na to, że najwyższy czas wybrać się w tamte strony.
 - Sektor Wspólny to kawał drogi stąd - zauważył Calrissian.
 - Ta-a - przyznał Solo. - A Salla nie ma statku, więc nie będzie mogła mnie tam ścigać. Być może moje zniknięcie uświadomi jej, co sędzę o tej propozycji... skoro nie zdołały uczynić tego moje słowa. I wiesz, co, Lando? Odlatuję jutro. Z samego rana.
 - Tak szybko? - Lando sprawiał wrażenie oszołomionego. - Po co ten pośpiech?
 - A dlaczego miałbym tu tkwić? - odpowiedział pytaniem Korelianin. - Wystartuję jutro i polecę do Jabby, by oznajmić mu, że jakiś czas mnie nie będzie i nie wiem, kiedy wrócę. A poza tym... - Westchnął. - Trochę żal mi Salli. Nie chcę, żeby wydawała kredyty na wesele, które się nie odbędzie. Im szybciej odlecę, tym mniej wyda.
 - Wściekniesz się - stwierdził Lando.
 - Wiem - przyznał niechętnie Han. - Żałuję, że muszę tak postąpić. Tylko że Salla nie powinna traktować mnie, jakbym był przedmiotem. Jest uparta i wcale nie szanuje mojego zdania. Nie robiłbym tego, gdyby tylko istniało jakiekolwiek inne rozwiązanie! Bez względu na to, co powiem albo zrobię, zranię ją.
 - Mógłbyś ustąpić i zgodzić się na to małżeństwo - oznajmił Lando, porozumiewawczo mrużąc oko.
 Han pokręcił głową.
 - Prędzej pocałowałbym Jabbę.
 Calrissian wybuchnął śmiechem. Trząśniętym głosem powiedział: - Omal nie spadł ze stołka.
 - Nie zamierzam rezygnować z wolności - oświadczył ponuro Han. - Salla jakoś się z tym pogodzi. Jasne; z początku będzie wściekła. Zapewne już nigdy się do mnie nie odezwie. Przykro mi z tego powodu... ale nie na tyle przykro, żebym miał kłaść głowę w pętlę. Prędzej się zdecyduję na mikroskok na przeciwległy kraniec Otchłani.
 Lando wzruszył ramionami i wyciągnął rękę.
 - Będę za tobą tęsknił, kolego.
 - To leć z nami - zaproponował Korelianin, potrząsając ręką przyjaciela. - Chyba ciemno i mnie bardzo przyda się twoja pomoc.
 - A co z Jarikiem?
 Han machnął lekceważąco ręką.
 - Chłopak nie poleci - powiedział. - Jestem tego prawie pewien. Shug płaci mu więcej niż ja mógłbym sobie pozwolić, a w dodatku Jarik oszalał na punkcie tej dziew-

czyni. Nie widzi poza nią świata. Nie, mowy nie ma, żeby zgodził się polecieć na tak długą wyprawę.
 - To prawda - przyznał Lando. - Pierwsza miłość... czyż to nie urocze?
 Han przewrócił oczami, po czym obaj wybuchnęli śmiechem.
 - A zatem... lecisz z nami? - zapytał w końcu Solo.
 - Nie mogę - odparł Calrissian. - Ostatnio spędzam mnóstwo czasu w hangarze. Odkąd odleciał Roa, rozglądam się za nadzorcą. Ostatni był okropnym oszustem.
 - Wspaniale - mruknął Han, kręcąc głową. - No cóż, ja również będę za tobą tęsknił, Lando. Uważaj na siebie, kolego.
 - Ty też miej oczy szeroko otwarte - pożegnał go ciemnoskóry hazardzista.

Han spędził ostatnią noc w towarzystwie Salli. Młoda przemytniczka była pochłonięta swymi planami. Chyba nawet nie zauważyła, że Han jest dziwnie milczący i przygnębiony.

Gdy kładli się spać, Korelianin spojrzał na nią i powiedział:
 - Jaka szkoda, że nie zechciałaś chociaż raz zapytać mnie o zdanie. Nie sędzę, Sallu, żebym był dla ciebie dobrym mężem.

Kobieta się roześmiała.
 - Wszyscy mężczyźni tak uważają przed ślubem, Hanie - odrzekła. - Pamiętasz, co powiedział Roa? Twierdził, że nigdy się nie ożeni, a po ślubie czuł się szczęśliwy jak nigdy. Tak zwykle bywa z mężczyznami.

- Ale nie ze mną - oświadczył Solo, ale Salla znów tylko się roześmiała.
 Następnego ranka Han wrócił do swojego mieszkania i rozkazał ZeeZee, żeby zapakował do starego plecaka jego garderobę (nie trwało to długo, jako że Han nigdy nie miał wielu ubrań).

Później, już w towarzystwie Chewiego, udał się na lądowisko mieszczące się na dachu jednego z wysokich budynków, gdzie zostawił „Sokoła Millennium”.

Jarik zjawił się w samą porę, żeby ich pożegnać. Okazało się, że Han wyjawiał swoje plany tylko jemu i Calrissianowi. Kiedy Korelianin ścisnął jego dłoń, młodzieniec wykrzyknął:

- Jaka szkoda, że nie mogę z wami polecieć! Wzbogać się i wracaj szybko, Hanie! Chewie, uważaj na niego, dobrze?

Han objął Jarika i żartobliwie nim potrząsnął. Wookie rozwichrzył jego włosy z takim rozmachem, że młodzieniec jęknął.

- Ty także uważaj na siebie, chłopcze - odezwał się Solo. - Nie dopuść, żeby Zee-Zee doprowadzał cię do szału. Aha, i jeszcze coś. Baw się i miło spędzaj czas, ale pamiętaj o jednym. Jeżeli ja uważam, że jestem zbyt młody, żeby się ożenić, ty z pewnością masz na to mnóstwo czasu!

Jarik wybuchnął śmiechem.
 - Będę o tym pamiętał, Hanie - obiecał.

Kilka minut później, kiedy księżyc Nar Shaddaa został za rufą „Sokoła”, Han uruchomił rejestrator hologramów i przełączył go na nadawanie. Podał nazwisko oraz

współrzędne Salli i polecił centrali łączności holograficznej, żeby zaczekano z przekazaniem wiadomości około dwóch godzin. Do tej pory powinien być już daleko.

Kiedy urządzenie zasygnalizowało gotowość, Han chrząknął i przełknął ślinę.

- Cześć, Sallo - powiedział do obiektywu. - Przepraszam, że sprawiam ci zawód, ale kiedy otrzymasz tę wiadomość, Chewie i ja będziemy daleko. Staralem ci się to jakoś wytłumaczyć, ale nie chciałaś mnie wysłuchać.

Zawahał się i nabrał powietrza.

- Sallo, uważam cię za wspaniałą kobietę, ale jeszcze nie jestem gotów, by się zeń... z tobą czy kimkolwiek innym. Nie wmawiaj sobie, że to twoja wina, dobrze? Dostałem do wniosku, że powinniśmy spędzić trochę czasu z daleka od siebie. Któregoś dnia powrócę. Spróbuj się na mnie nie gniewać. Robię tylko to, co muszę. Uważaj na siebie, Sallo, i pożegnaj ode mnie Shuga i Mąka.

Chciał wyłączyć rejestrator, ale kiedy usłyszał natarczywy ryk Wookiego, dodał pośpiesznie:

- Aha, Chewie także mówi ci „do widzenia”. Trzymaj się, Sallo. Życzę ci wiele szczęścia.

Wyciągnął rękę i wcisnął klawisz nadawania, po czym opadł bezwładnie na siedzenie fotela.

- Fiu! - odetchnął z ulgą. - To trudniejsze niż dziesięć lotów na Kessel.

Chewbacca zgodził się z nim, że życiowe problemy nigdy nie są łatwe.

Han kiwnął głową.

- No dobrze, kolego - powiedział. - A jeżeli mówimy o małżeństwach... Pomyślałem, że zanim polecimy do Sektora Wspólnego, ty i Mallatobuck powinniście spędzić drugi miodowy miesiąc. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, obieramy kurs na Kashyyyk.

W błękitnych oczach Chewiego zapaliły się błyski radości. Han wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- A poza tym, mamy pełne ładownie wybuchających bełtów, którymi tak zachwycał się Katarra - dodał Solo. - Wymienimy broń na baryłki thikkiańskiej brandy. Dostaniemy za nie w Sektorze Wspólnym całkiem niezłą cenę. Zgadzasz się, żebyśmy po drodze do Sektora wpadli na Kashyyyk?

Chewie wyraził aprobatę rykiem tak głośnym, że Hanowi aż zadzwoniło w uszach.

Kilka minut później „Sokół” przemienił się w smugę światła. Lecąc przez nadprzestrzeń, rozpoczął pierwszy etap długiej podróży.

ROZDZIAŁ

7

SPRAWIEDLIWOŚĆ HUTTOW I ZEMSTA REBELIANTÓW

- Ciociu - odezwał się Hutt Jabba, spoglądając na ekran komputerowego notatnika. - Jeżeli nadal będziemy ponosić takie straty, klan Desilijic zbankrutuje za czterdzieści cztery lata.

Jabba i Jiliac przebywali w pałacu przywódczyni klanu Desilijic - rezydencji wzniesionej na jednej z wysp planety Nal Hutta. Huttanka wymachiwała przed swym dzieckiem jaskrawymi wstążkami z askajiańskiego jedwabiu. Oczywiście, niemowlę nie mogło pochwycić różnokolorowych pasków materiału. Wciąż jeszcze nie miało dłoni, aczkolwiek w ciągu ostatnich trzech miesięcy kikuty rąk trochę się wydłużyły. Dziecko Jiliac mogło teraz spędzać poza matczyną torbą dwie albo nawet trzy godziny bez przerwy... co doprowadzało Jabbę do rozpacz. Ciotka poświęcała mu całą uwagę tylko wówczas, kiedy niemowlę spało w jej kieszeni.

Gdy przywódczyni klanu Desilijic przestała bawić się z dzieckiem, odwróciła wielką głowę i spojrzała na niego z niejakim zdziwieniem.

- Doprawdy? - zapytała, marszcząc wielkie czoło. - Tak szybko? Nie sądziłam, że to możliwe. Mimo to... pomyśl tylko, Jabbo. Czterdzieści cztery lata. Musimy odwrócić tendencję spadkową. Z którymi raportami się zapoznałeś?

- Ze wszystkimi, ciociu - odrzekł młody lord Huttów. - Spędziłem prawie cały poprzedni tydzień, starając się ocenić sytuację finansową naszego klanu.

- I dokąd wędrują wszystkie nasze kredyty?

- Przeglądając rachunki i faktury, znalazłem jedną, wystawioną przez Gwiezdną Stajnię Shuga Ninksa - oznajmił Jabba, po czym przycisnął guzik, żeby wyświetlić na ekranie żądany dokument. - Unowocześnienie jednostek napędu konwencjonalnego i nadświetlnego wszystkich statków kosztowało nas dokładnie pięćdziesiąt pięć tysięcy kredytów.

- Wydaje mi się, że to przesada - odezwała się Jiliac. - Czy unowocześnienie wszystkich naszych frachtowców było naprawdę konieczne?

Jabba westchnął tak głośno i rozpaczliwie, że kropelki zielonej śliny z jego ust rozprysnęły się przed nim na posadzce.

- Shug Ninx to nieoceniony skarb, ciociu - powiedział. - Prawdziwy mistrz mechaników. A cena nie jest wcale wygórowana. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy trzy nasze gwiazdne statki zostały przechwycone przez imperialne patrolowce, a czwarty porwali korsarze. Jednostki napędu podświetlnego naszych frachtowców były mało wydajne i przestarzałe. Nasi kapitanowie nawet nie mogli marzyć o tym, żeby uciec przed celnikami czy strażnikami Imperium. Silniki napędu nadświetlnego także nie zliczały się do najnowocześniejszych ani najszybszych. Prawdę mówiąc, nasze gwiazdne statki latały tak wolno, że odbiorcy towarów zaczęli się uskarżać iż zbyt długo czekają na realizację zamówień! A zatem, tak, unowocześnienie wszystkich frachtowców było konieczne, ciociu. Nie mogliśmy pozwolić sobie na utratę kolejnych statków.

- Ach, tak, teraz sobie przypominam - oznajmiła Jiliac, ale ton jej głosu dowodził, że nadal nie ma pojęcia, o co chodzi. - No cóż, bratanuku, co konieczne, to konieczne. Jestem pewna, że sam najlepiej wiesz, co robić.

Wiem, że powinienem osobiście dbać o interesy klanu, a nie odpowiadać za wszystko przed kimś, kogo to nie obchodzi - pomyślał zniechęcony Jabba.

- Dobrze, że mamy to za sobą - powiedział. - Unowocześnione frachtowce zaczną teraz transportować więcej przyprawy. Szybciej dostarczą ją odbiorcom. Dzięki temu już wkrótce zaczniemy odzyskiwać zainwestowane sumy. Oby tylko lordowie klanu Besadii zechcieli utrzymać jeszcze jakiś czas nową cenę przetworzonej przyprawy! W ciągu ostatnich trzech miesięcy podnosili ją trzy razy!

Jiliac wybuchnęła gromkim śmiechem, który poniósł się echem po ogromnej, prawie pozbawionej mebli sali. (Odkąd przywódczyni klanu Desilijic urodziła dziecko, odprowadziła większość lizusów i pochlebców. Obawiała się, że któryś mógłby porwać jej maleństwo i zażądać okupu. Ostatnio do okazałej komnaty tronowej mieli prawo wchodzić tylko najbardziej zaufani służący i lokaje. Zupełnie inaczej działo się w poprzednim okresie, kiedy Jiliac była bezdzietną istotą płci męskiej. Oczywiście, jej bratanek nie zmienił swoich przyzwyczajzeń. Nadal lubił, kiedy otaczał go tłum rozbawionych gości. Ilekroć przebywał w swoim pałacu na planecie Nal Hutta albo na Tatooine, szukał rozrywki w słuchaniu krzykliwej muzyki i oglądaniu piasów roznegliżowanych tancererek). W końcu Jiliac przestała się śmiać i zawołała:

- Bratanuku, możesz być pewien, że lordowie klanu Besadii bardzo szybko podwyższą cenę jeszcze bardziej! Ich najnowsza strategia polega na zmniejszaniu ilości przyprawy na czarnym rynku, dzięki czemu mogą dyktować za nią coraz wyższe ceny. Prosta ekonomika. Muszę przyznać, że bardzo skuteczna.

- Wiem - przyznał markotnie Jabba. - Ale muszą poczynać sobie bardzo ostrożnie, ciociu. Jeżeli ustalą zbyt wysoką cenę, zaczną rywalizować z imperialnymi rynkami przyprawy. A to może zwrócić na nich uwagę Imperium. Nie byłiby tym zachwyceni.

Imperator wydał dekret, na mocy którego wszelkie przyprawy, a zwłaszcza drogocenny błyszczystym, stanowiły wyłączną własność Imperium. Rozprowadzana legalnymi - to znaczy imperialnymi - kanałami przyprawa była jednak tak droga, że na kupno nie mógł pozwolić sobie nikt oprócz największych bogaczy. To właśnie dzięki temu

prosperowali przemycnicy, którzy mieli własnych pokątnych dostawców... i na Kessel, i na innych słynących ze złóż przyprawy planetach.

- Właściwie nie mieliśmy wyboru, ciociu - ciągnął młody Hutt. - Musieliśmy unowocześnić wszystkie statki. Nasi odbiorcy zaczęli grozić, że jeżeli nie skrócimy terminów dostaw, zwrócą się bezpośrednio do klanu Besadii.

- Lordowie klanu Besadii nie dysponują flotą przemycniczych statków, które mogłyby równać się z naszymi - zauważyła Huttanka.

- W tej chwili nie - zgodził się Jabba. - Nasi szpiedzy donieśli jednak, że niedawno Durga kupił kilka nowych jednostek. Co więcej, wdał się w pertraktacje, żeby nabyć następne. Zamierza stworzyć flotę o klasę lepszą niż nasza. Jestem pewien, że planuje przejęcie kontroli nad transportem przyprawy. Nie możemy do tego dopuścić, ciociu.

- Zgadzam się z tobą, bratanuku - odrzekła Jiliac, znów wymachując kolorowymi wstążeczkami. - Jak uważasz, co powinniśmy zrobić?

- Zatrudnijmy jeszcze więcej pilotów - odparł Jabba. - Równie dobrych jak Solo.

- Naprawdę odleciał? - zapytała obojętnie Jiliac, głaszcząc dziecko po głowie.

Młody lord Hurtów przewrócił wylupiastymi oczami i wyciągnął rękę do miski, gdzie trzymał młode karnowiańskie węgorze. Wyjął jednego i włożył do ust, nie przejmując się, że stworzenie rozpaczliwie wije się i piszczy. W tej samej chwili niemowlę Jiliac spojrzało na Jabbę i zaczęło się krztusić zielonkawobrazową papką. Z kącika ust pociekła cienka strużka. Zdjęty obrzydzeniem, Jabba przełknął ślinę i pospiesznie odwrócił głowę.

- Solo odleciał przed kilkoma miesiącami, ciociu - powiedział. - Słyszałem, że wyprawił się do Sektora Wspólnego. Boleśnie odczuwamy jego nieobecność... - Machnął w powietrzu komputerowym notatnikiem. - Solo był najlepszy. Czasami mam wrażenie, że za nim tęsknię.

Zdegustowana Jiliac odwróciła głowę i obrzuciła bratanek zdumionym spojrzeniem.

- Jabbo, przecież to człowiek! - wybuchnęła. - Do tego samiec. Co ci się stało? Czyżby zmienił ci się gust? Myślałam, że masz słabość do skąpo odzianych młodych, pięknych tancererek. Nie potrafię wyobrazić sobie Hana Solo, płaszającego przed twoim tronem w towarzystwie tego wielkiego włochoatego małpoluda, Wookiego.

Jabba zarechotał, usiłując sobie to wyobrazić.

- Ho-ho, ciociu! Nie, moja słabość do Hana Solo wynika jedynie z faktu, że pomaga nam zarabiać pieniądze... i to wielkie pieniądze. Skąd, Solo z pewnością nie dopuściłby, żeby ktoś wszedł na pokład jego frachtowca, zajął jego towar i oskarżył go o przemyt. Solo jest mądry, sprytny i przedsiębiorczy... jak na człowieka, oczywiście.

- Tu, na Odległych Rubieżach, Imperium zaczyna coraz bardziej dawać się we znaki - poskarżyła się Jiliac. - Niedawno urządziło masakrę istot ludzkich na planecie... na planecie...

- Mantooine w sektorze Atrivis - podpowiedział Jabba. - Niedawno doszło zresztą do kolejnej masakry, ciociu. Przed dwoma tygodniami mieszkańcy planety Tyshapahl zorganizowali pokojową demonstrację przeciwko Imperium i nałożonym przez nie podatkom. Moff tego sektora porozumiał się z dowódcą pobliskiego imperialnego garni-

zону i wysłał tam flotę okrętów. Jednostki Imperium unosiły się nieruchomo na repulsorach nad głowami demonstrantów, a w tym czasie dowódcy-wzywali ludzi, żeby się rozeszli. Nie usłuchali, więc rozkazał kapitanom jednostek, by włączyli silniki. Prawie wszyscy demonstranci spłoneli. Jiliac pokręciła ogromną głową.

- Żołnierze Palpatine'a mogliby nauczyć się od nas subtelności, bratanku - powiedziała. - Cóż za strata! Cóż za marnotrawstwo! Powinni raczej wylądować i zapędzić ludzi do ładowni, żeby sprzedać na jakimś targu niewolników. W taki sposób Imperium pozbyłoby się malkontentów, a przy okazji zarobiło sporo kredytów.

- Palpatine powinien zaprosić cię, ciociu, do Imperialnego Centrum, i uczynić swoją doradczynią - oznajmił na poły żartobliwie Jabba. W następnej chwili jednak uświadomił sobie, że osiągnąłby o wiele więcej, gdyby nie musiał każdego dnia zdawać Jiliac sprawozdania z tego, co zrobił, robi i zamierza zrobić.

Spojrzał w dół, gdzie dziecko ciotki wilo się po podłodze. Spiorunował je spojrzeniem. Mały Hurt coś zabalgotał, a potem czknął i zwymiotował.

Ohyda! - pomyślał Jabba, z odrazą odskakując od kałuży cuchnącej cieczy, rozlewającej się przed nim na posadzce.

Jiliac wezwała robota sprząającego, po czym pochyliła się i otarła usta malca.

- Nawet w żartach nie proponuj mi czegoś takiego, Jabbo - powiedziała surowo. - Przecież wiesz, jak Imperator traktuje każdego, kto nie jest człowiekiem. Nawet nie uważa Hurtów za istoty obdarzone większą inteligencją niż ludzie!

- To prawda - przyznał młody lord. - Jest okropnie krótkowzroczny. Ale to nasz władca i - czy chcemy, czy nie - musimy się z tym pogodzić. Na razie mamy zapewnioną ochronę przed wścibskimi poborcami Imperium albo szpiegami. Co prawda, kosztowało nas to niemało, ale się opłaciło.

- Masz słuszość - oświadczyła Huttanka. - Po bitwie o księżyc Nar Shaddaa Imperator zostawił nas w spokoju tylko dlatego, że nasza Rada dobrowolnie zgodziła się podwoić sumy, które płacimy tytułem podatków. Nal Hutta jest co najmniej pięćdziesięciokrotnie bogatsza niż większość innych planet i dlatego możemy liczyć na pewną pobłażliwość i ochronę. Nie wspominam nawet o łapówkach, które z tego samego powodu płacimy nowemu moffowi, niektórym senatorom i starszym oficerom.

Robot sprząający uporał się z kałużą i posadzka na nowo zaśnieżona lustrzanym blaskiem. Huttowie mieli zwyczaj skrupulatnie sprząać podłogi i - jeżeli były pokryte dywanami - starannie je froterować. Zmniejszali w ten sposób opory tarcia, dzięki czemu mogli szybciej się poruszać.

- Powiadają, że ta zbuntowana senatorka, Mon Mothma, zdołała w końcu namówić przywódców trzech dużych ugrupowań ruchu oporu do zawiązania czegoś w rodzaju sojuszu czy przymierza - oznajmił Jabba. - Podobno wszyscy podpisali dokument i nazwali go „Traktatem Koreliańskim”. Możliwe, że już niedługo będziemy świadkami powstania albo rebelii, która rozprzestrzeni się jak zaraza. I wiesz co, ciociu? - Młody Hurt machnął w powietrzu komputerowym notatnikiem. - Jeżeli dojdzie do wojny, nasze zyski się zwiększą. Kto wie, może nawet szybciej zdołamy powetować sobie straty?

- Ci tak zwani Rebelianci nie mają szansy w walce z potęgą Imperium - parsknęła Jiliac. - My zaś okazalibyśmy się głupcami, gdybyśmy opowiedzieli się po którejkolwiek stronie.

- Och, ciociu, wcale tego nie proponowałem - zastrzegł pospiesznie Jabba, zgorzszony podejrzeniem ciotki. - Podejrzewam tylko, że już niedługo będziemy mogli osiągać zyski, pomagając to jednej, to znów drugiej stronie. Rzecz jasna, nie może być nawet mowy o trwałych sojuszach czy przymierzach.

- Lepiej trzymać się jak najdalej od galaktycznej polityki, bratanku - ostrzegła przywódczyni klanu Desilijic. - Jeszcze kiedyś przypomnisz sobie moje słowa.

Podniosła maleństwo z podłogi i, mrużąc, zaczęła je kołysać. Doskonały sposób, żeby znów zwymiotowało - pomyślał cynicznie Jabba.

I rzeczywiście, niemowlę właśnie to zrobiło. Na szczęście automat sprząający nie zdążył jeszcze wytoczyć się z sali.

- Ciociu... - odezwał się niepewnie młody lord Hurtów. - Czasy stają się coraz bardziej... skomplikowane. Może byłoby lepiej, gdybyś każdego ranka posyłała maleństwo do komunalnego żłobka? Dziecko może spędzać poza twoją kieszenią coraz więcej czasu. Zresztą w żłobkach nie brakuje zastępczych matek, które mogłyby trzymać je w swoich torbach.

Jiliac się wyprostowała. Jej ogon zadrżał z przerażenia. Na twarzy odmalowało się oburzenie.

- Bratanku! - syknęła Huttanka, piorunując Jabbę spojrzeniem. - Jestem zdumiona, że w ogóle proponujesz mi coś takiego! Może za rok będę skłonna się nad tym zastanowić, ale teraz? Moje maleństwo musi ciągle przebywać ze swoją mamą!

- To była tylko propozycja - oświadczył Jabba tak pokornym i pojednawczym tonem, na jaki tylko potrafił się zdobyć. - Wiesz przecież, że musimy poprawić sytuację finansową naszego klanu. Zyski powinny przynajmniej osiągnąć poziom sprzed ataku moffa Shilda na księżyc Nar Shaddaa. A to wymaga mnóstwa pracy i zajmie sporo czasu. Wiesz także, że poświęcam temu celowi każdą wolną chwilę.

- Ho-HO! - huknęła Jiliac. - Już zapomniłeś, czym zajmowałeś się poprzedniego dnia, bratanku? Spędziłeś kilka godzin w sali tronowej, gdzie przyglądałeś się, jak młoda półnaga tancerka podskakuje w rytm wrzaskliwej muzyki twego nowego wrzaskliwego zespołu!

- Jakim cudem zdołałaś... - zaczął oburzony Jabba. Nagle urwał. I cóż z tego, że postanowił kilka godzin odpocząć i przeznaczył ten czas na rozrywkę? Otoczony wianuszkami robotów-urzędników, harował przecież od samego świtu. Badając rejestry, notatki i archiwa, zapoznawał się z sytuacją finansową klanu Desilijic. Doprowadzał wszystko do porządku i przygotował szczegółowy raport o skutkach ostatnich podwyżek cen, jakie zarządzili lordowie klanu Besadii.

- Mam swoje sposoby, bratanku - odparła cierpko Jiliac. - Oczywiście, nie winię cię, że trochę czasu przeznaczasz na zabawy. Jeżeli będziesz cały czas pracował, wypalisz się albo wpadniesz w rutynę. Jednak w zamian za to domagam się, żebyś respektował moje prawo do spędzania czasu z dzieckiem.

- Ależ oczywiście, ciociu. Oczywiście. Nie ma sprawy - zapewnił Jabba, choć aż kipiał z wściekłości. Pospiesznie zmienił temat rozmowy. - Uważam, że ktoś powinien pociągnąć do odpowiedzialności lordów klanu Besadii za wzrost cen przyprawy. Może udałoby się podburzyć przeciwko nim lordów innych klanów?

- Co chcesz przez to osiągnąć? - zainteresowała się przywódczyni klanu Desilijic.

- Może oficjalne potępienie, a może nawet nałożenie kary? Słyszałem, że lordowie innych klanów również narzekają na podwyżkę ceny przyprawy. Tak czy owak, uważam, że warto przynajmniej spróbować. Ciociu, czy mogłabyś poprosić, żeby Wielka Rada Hurtów zwołała zebranie przywódców kajidiców?

Jiliac kiwnęła głową. Widocznie i ona uznała, że powinna dążyć do zgody.

- Oczywiście, Jabbo - odrzekła. - Poproszę, żeby zwołali zebranie jeszcze w tym tygodniu.

Huttanka dotrzymała słowa. Trzy dni później Jabba w towarzystwie osobistych strażników, wijąc się, wstępował w progi ogromnej sali zebrań Wielkiej Rady. Zanim przedstawiciele albo przywódcy przestępczych organizacji - znanych pod nazwą kajidiców - mogli wejść do komnaty obrad, zostali przeszukani i prześwietleni, by sprawdzić czy nie mają broni. Podobnie potraktowano strażników. Huttowie słynęli z tego, że nie mieli zaufania do nikogo... nawet do swoich ziomków.

Jabba zajął miejsce w sektorze klanu Desilijic i poprosił pozostałych członków swojej delegacji, żeby pozwolili mu przemawiać. Jako zastępcą Jiliac miał do tego prawo, więc wszyscy wyrazili zgodę. Paru uczyniło to nawet z prawdziwą ulgą. Jabba zauważył, że w zebraniu uczestniczą także przedstawiciele jego ojca, Zorby. Nie utrzymywali bliskich stosunków, ale kiedy młody lord uświadomił sobie, że klan Desilijic jest dobrze reprezentowany, poczuł się trochę pewniej. Wyglądało na to, że i pozostałe klany potraktowały prośbę Jiliac z należytą powagą.

Kiedy miejsca zajęli ostatni przywódcy i członkowie kajidiców, o ciszę poprosił niedawno mianowany główny sekretarz Wielkiej Rady, Hutt o imieniu Grejic.

- Drodzy goście, przywódcy, przedstawiciele, członkowie, towarzysze i bracia - zagaił uroczystym tonem. - Zaprosiłem dzisiaj wszystkich, żeby przedyskutować problem, z jakim zwrócili się do mnie przedstawiciele klanu Desilijic. Poproszę teraz o zabranie głosu Jabbe, przedstawiciela tego klanu.

Wyginając i prostując wielkie cielsko, Jabba popętl przed podium sekretarza Grejica i uniósł rękę na znak, że jest gotów. Ponieważ pozostali Huttowie nie przestali szeptać ani wymieniać uwag, uniósł potężny ogon i z głośnym PLASK! opuszczył go na kamienną posadzkę.

Natychmiast zapadła głucha cisza.

- Koledzy Huttowie, zabieram dzisiaj głos, aby poinformować was, że zamierzam oskarżyć część kajidica klanu Besadii o działanie na szkodę pozostałych klanów. W ciągu ostatniego roku poczynania lordów tego klanu dawały się nam coraz bardziej we znaki. Zaczęło się od ataku na księżyc Nar Shaddaa. W wyniku napaści wojsk moffa Shilda ucierpiały wszystkie klany... wszystkie z wyjątkiem klanu Besadii. Utraciliśmy statki, pilotów, towary, a nawet część ochronnego pola - nie wspominając o tym, jakie straty ponieśliśmy przez to, że nie udało się nam zawrzeć wielu transakcji handlowych.

Zanik fragmentu ochronnego pola sprawił, że o powierzchnię księżyca Nar Shaddaa roztrzaskał się „Rozjemca”. Kilka kwartałów domów uległo zniszczeniu. Uprzątnięcie rumowisk i odbudowa trwają do dzisiaj. A kto za to płaci? Każdy klan stracił nieruchomości i kredyty... każdy oprócz klanu Besadii! I tylko ten klan - który nie doznał żadnych strat finansowych ani materialnych i mógł pozwolić sobie na wydanie sporych sum - nie wyłożył ani kredytu! Wszyscy ucierpieliśmy i ponieśliśmy ofiary. .. wszyscy z wyjątkiem klanu Besadii!

Przerwał i powiódł spojrzeniem po zebranych Huttach. Po wielkiej sali przetoczył się szmer rozmów. Potem Jabba obrócił głowę w stronę sektora klanu Besadii i przekonał się, że lord Durga nie raczył pofatygować się na zebranie. Powierzył reprezentowanie interesów klanu lordowi Zierowi i kilku młodszym stopniem członkom swojego kajidica.

- A czym się zajmowali lordowie klanu Besadii, kiedy groźba zawisła nad planetą Nal Hutta? - podjął po chwili. - Handlowali niewolnikami... sprzedawali ich temu samemu Imperium, które atakowało ich rodzinny świat! Wszystkie klany złożyły się i zebrały niewiarygodnie wielką sumę, którą wręczono admirałowi Greelankowskiemu tytułem łapówki. Nieco później okazało się, że tylko dzięki temu nie obłożył naszego świata niszczycielskim embargiem. W zbiorce kredytów uczestniczyły wszystkie klany... to znaczy -wszystkie, tylko nie klan Besadii!

Pomruk i szmer, jakie po jego słowach przetoczył się po wielkiej sali, były tym razem o wiele głośniejsze niż poprzednio. Wielu Hurtów kiwało głowami, jakby chcieli w ten sposób przyznać mu rację. Jabba czuł się dumny, że idzie mu tak gładko. Pomyślał, że jest na najlepszej drodze, aby stać się krasomówcą. Zapewne lepiej nie poradziłyby sobie nawet Jiliac, uznawana przez wszystkich za mistrzynię elokwencji. Prawdę mówiąc, Jabba ucieszył się w duchu, że nie przyszła na zebranie. Prawdopodobnie była zbyt zajęta opieką nad dzieckiem. Nie znała tak dobrze, jak on, wszystkich szczegółów, a poza tym, ostatnio nie interesowała się problemami klanu równie żywo, jak poprzednio..,

- A w ciągu kilku miesięcy po bitwie, koledzy Huttowie, jak zachowywali się lordowie klanu Besadii? - ciągnął, wodząc spojrzeniem po przedstawicielach kajidiców. - Pomogli nam w odbudowie? Zaproponowali, że zwrócą pozostałym klanom część sumy, jaką te wyłożyły, by przekupić admirała? Przysłali chociaż jedną ekipę niewolników, którzy zajęliby się uprzątnięciem gruzów? - Stopniowo coraz bardziej podnosił głos, aż w końcu wykrzyknął: - Nie! Koledzy Huttowie, zamiast tego lordowie klanu Besadii podnieśli cenę swojej przyprawy do poziomu wykluczającego osiągnięcie zysków przez pozostałe kajidice! Najgorsze jednak, że zdecydowali się na ten krok w najmniej odpowiedniej chwili, kiedy wszyscy znaleźliśmy się w trudnej sytuacji finansowej. Niektórzy z was mogą stwierdzić, że jeśli chce się osiągać jak największe zyski, właśnie tak należy prowadzić interesy... ja mówię jednak: Nie! Lordowie klanu Besadii chcą przejąć kontrolę nad naszymi kajidicami! Pragną wyeliminować nas z gry. Dążą do tego, żeby na planecie Nal Hutta nie pozostał żaden klan... żaden - z wyjątkiem klanu Besadii!

Głos Jabby huczał jak grom. Pragnąc podkreślić wagę swoich słów, młody lord kilka razy głośno plasnął ogonem o posadzkę. Echo dźwięków długo odbijało się od ścian wielkiej sali.

- Oskarżam lordów klanu Besadii i domagam się, żeby oficjalnie uznano ich za winnych! Domagam się, żeby Wielka Rada zarządziła w tej sprawie głosowanie - teraz, w tej chwili - a jeżeli szanowni delegaci uznają, że klan Besadii zawinił, powinien ponieść konsekwencje. Proponuję, żeby rozdzielić zasądzoną sumę między tych, których interesy poniosły uszczerbek! Żądam tego w imieniu wszystkich Hurtów całej galaktyki!

W sali obrad rozpoczęło się prawdziwe piekło. Nie kryjąc oburzenia, Huttowie przekrzykiwali się i walili ogonami o posadzkę. Niektórzy otoczyli sektor klanu Besadii i wymachując groźnie ogonami, wykrzykiwali pogróżki, przekleństwa i zniewagi.

Zrozpaczony Zier powiódł spojrzeniem po pozostałych Hurtach, ale nie zobaczył ani jednej przyjaznej twarzy. Uniósł ręce i zaczął coś krzyczeć, jego głos utonął jednak w gwarze gniewnych okrzyków.

W końcu zebrani uspokoiли się i zgiełk zaczął z wolna cichnąć. Pragnąc uciszyć zgromadzonych delegatów, przewodniczący Grejic kilka razy klasnął ogonem o kamienne podium. W sali zapanował spokój.

- Przypominam wszystkim zebranym, że lord Zier jest oficjalnym przedstawicielem klanu Besadii i ma prawo odpowiedzieć na oskarżenie - oznajmił Grejic. - Jak na nie zareagujesz, lordzie Zier? - zapytał, zwróciwszy wielką głowę w stronę delegata.

Zier odchrząknął, co zabrzmiało jak złowieszczy pomruk, po czym przełknął ślinę.

- Koledzy Huttowie, jak możecie oskarżać nasz klan o coś takiego? Dążenie do osiągnięcia zysków to czyn godny pochwały, a nie nagany! W wyniku ataku na księżyc Nar Shaddaa Jabba i Jiliac ponieśli największe straty, a teraz, pragnąc je sobie powetować, usiłują przeciągnąć was na swoją stronę i podburzyć do wystąpienia przeciwko naszemu klanowi. Tymczasem prawda wygląda tak, że klan Besadii nie uczynił nic złego! Nie zrobiliśmy nic...

- Właśnie, nic nie zrobiliście! - przerywając Zierowi, huknął lord klanu Trinviii. - Nie kiwnęliście nawet palcem! To lordowie klanu Desilijic zaproponowali rozwiązanie, które ocaliło nasze skóry! Wy tylko ciągnęliście zyski i bogaciliście się naszym kosztem!

Zier pokręcił głową.

- My tylko...

- Jesteśmy Hurtami! - zagrzmiął przywódca innego kajidicca. - Jesteśmy dumni z tego, że bogacimy się kosztem istot innych ras! Chlubimy się, ilekroć osiągamy jak największe zyski. Ale nie wyzyskujemy istot naszej rasy. Nie doprowadzamy ich do bankructwa! Rywalizacja - tak... ruina finansowanie!

W sali obrad ponownie zapanował chaos. W powietrzu krzyżowały się okrzyki, groźby, przekleństwa i zniewagi. Raz po raz rozlegały się podobne do strzałów plaśnięcia ogonów o kamienną posadzkę.

Grejic musiał wiele razy uderzyć ogonem o posadzkę podium, zanim w sali obrad zapanowała względna cisza.

- Wydaje mi się, że najwyższy czas zarządzić głosowanie - powiedział. - Wzywam przedstawicieli wszystkich kajidiców, żeby wypowiedzieli się w głosowaniu, czy klan Besadii powinien zostać oficjalnie uznany za winny i ukarany, czy też nie. Proszę głosować tak lub nie... w tej chwili.

Przywódcy i przedstawiciele kajidiców przycisnęli odpowiednie guziki na pulpach.

Kilka chwil później Grejic uniósł rękę.

- Głosy zostały policzone - oznajmił uroczystym tonem. - Ogłaszam wynik głosowania. Czterdzieści siedem głosów za, jeden przeciwko obwinieniu i ukaraniu klanu Besadii.

W sali zabrzmiał chór radosnych okrzyków.

- Lordzie Zier z klanu Be...

- Chwileczkę! - rozległ się głos, który Jabba rozpoznał bez trudu. Obrócił się jak uządłony i ujrzał Jiliac, która pełzła ku niemu samym środkiem wielkiej sali. - Chwileczkę, jeszcze ja nie głosowałam!

- W imieniu waszego kajidica, lady Jiliac, głosował twój zastępca, lord Jabba - odezwał się Grejic. - Czy chcesz, żebym zarządził powtórne głosowanie?

W głosie przewodniczącego Rady dało się słyszeć szacunek, ale także całkiem wyraźne zniecierpliwienie.

- Ponowne głosowanie? - powtórzył Jabba, spoglądając na ciotkę, jakby nie wierzył własnym uszom. Kilka chwil oboje mierzyli się spojrzeniami. Potem Jiliac pokręciła głową.

- Mój bratanek jest moim prawowitym zastępcą, lordzie Grejic - rzekła. - Nie zamierzałam składać wniosku o powtórzenie głosowania.

Jabba wypuścił powietrze z płuc... bardzo powoli. Przez chwilę myślał, że Jiliac zechce zakwestionować jego zdanie i wobec wszystkich podkopie jego autorytet. I tak wielu Hurtów mierzyło go podejrzliwymi spojrzeniami. Z pewnością zastanawiali się, dlaczego Jabba głosował, skoro Jiliac nie zamierzała popierać go bez zastrzeżeń.

Tymczasem przywódczyni klanu Desilijic spoczęła obok bratanka - chociaż Jabba wolałby, żeby trzymała się od niego jak najdalej. Kwestionując jego osąd w obecności pozostałych członków delegacji własnego klanu, pośrednio oskarżyła go o nieudolność. Młody lord westchnął w duchu. Ileż by dał, gdyby mógł prowadzić interesy klanu sam - bez potrzeby wysłuchiwanie czyichkolwiek uwag - do tego nie do końca przemyślanych.

- Lordzie Zier z klanu Besadii - podjął przewodniczący Grejic dokładnie w tym samym miejscu, w którym przerwała mu Jiliac. - Wolą Rady zostajesz wykluczony z tego gremium, dopóki twój klan nie zapłaci odszkodowania w wysokości miliona kredytów. Suma ta zostanie sprawiedliwie rozdzielona między wszystkie pozostałe kajidice. Proponuję, żebyś w przyszłości nie usiłował traktować przedstawicieli naszej rasy tak, jak traktujesz inne istoty - to znaczy jak naiwniaków, których możesz do woli oskubywać, wyzyskiwać, ośmieszać i poniżać.

Główny sekretarz machnął ręką w stronę starszego oficera i strażników, stojących w pobliżu drzwi wejściowych.

- Dowódco straży! - rozkazał władczym tonem. - Proszę dopilnować, żeby delegaci klanu Besadii opuścili salę.

Przyglądając się, jak Zier i pozostali przedstawiciele klanu pełzną w stronę drzwi, Jabba uświadomił sobie, że starają się sprawiać wrażenie dumnych i pewnych siebie. Nadaremnie. Z każdą chwilą szeptu i pomruki pozostałych Hurtów przybierały na sile, aż w końcu przerodziły się w harmider okrzyków, pohukiwań, przekleństw, wyzwisk i pogrózek.

Jabba uśmiechnął się w duchu. Dobra robota - pomyślał, zadowolony z siebie. - Naprawdę niezła...

Bria Tharen szła szybko korytarzem swego okrętu dowodzenia, korwety „Zemsta”. Zamierzała dokonać przeglądu oddziałów, które przygotowywały się do ataku na „Kajdany Heloty” - statek transportujący niewolników. Na myśl o czekającej ją bitwie czuła zniecierpliwienie i podniecenie, ale nie dawała tego poznać po sobie. Jej szmaragdowo-błękitne oczy pozostawały zimne jak bryłki lodu.

Koreliańska Rebeliantka analizowała w myślach szczegóły planu. Zastanawiała się, czy niczego nie przeoczyła. Czy na pewno uwzględniła wszystkie możliwości? Czy nie zapomniała przygotować awaryjnego rozwiązania - na wypadek, gdyby coś nie potoczyło się po jej myśli? Wiedziała, że cała operacja powinna pójść gładko, ale - mimo wszystko - „Kajdany Heloty” były silnie uzbrojonym okrętem... nie mogła lekceważyć siły ognia tej koreliańskiej korwety.

„Zemsta” miała mniej więcej takie same rozmiary. Bria nie mogła przewidzieć wyniku starcia. Jej okręt - wyprodukowana przez Republic Sienar Systems korweta klasy Maruder - był smukłą, prawie dwustumetrową jednostką o wdzięcznych, opływowych kształtach, zdolną do walki i w przestworzach, i w warstwach atmosfery. Władze Sektora Wspólnego często wykorzystywały okręty tego typu jako patrolowce. Dowódcy koreliańskiego ruchu oporu, korzystając z usług pośredników, odkupiły tę korwetę od Władz Sektora, i oddały Brii Tharen jako okręt dowodzenia.

Jeden z podwładnych pani komandor Brii pracował na pokładzie orbitującej wokół Ilezji gwiazdnej stacji. To właśnie on przed kilkoma dniami dał znać Rebeliantce, że ilezjańscy kapłani zamierzają pozbyć się grupy niewolników. Z otrzymanej informacji wynikało, że istoty rasy flanda Til planują przetransportowania do kopalń na Kessel prawie dwustu niedożywionych i uzależnionych od Uniesienia nieszczęśników.

Z początku Bria chciała osobiście poprowadzić do ataku pierwszą grupę abordażową. Wiedziała, że żołnierze lecący trzema szturmowymi wahadłowcami wezmą udział w najbardziej zaciętej walce i obezwładnią najwięcej przeciwników. Bria, która miała do wyrównania kilka własnych rachunków, szczególną niechęcią darzyła właśnie „Kajdany Heloty”. Kiedy przed jakimiś dziesięcioma laty uciekła z Ilezji w towarzystwie Hana Solo i dwojga jego togoriańskich przyjaciół, Muuurgha i Mrrov, omal nie została pochwycona przez kapitana tego transportowca.

Westchnęła. Wiedziała, że kiedy wyśle podwładnych do pierwszego szturmu, musi pozostać na stanowisku dowodzenia. Tylko stąd mogła koordynować poczynania swo-

ich ludzi, określać punkty szczególnie silnego oporu i wyznaczać miejsca, które powinny zaatakować druga grupa szturmowa.

Przypomniała sobie, że oto, dowodząc własnym okrętem, z rozkazu przywódców koreliańskiego ruchu oporu weźmie udział już w piątej poważnej akcji bojowej. Cieszyła się na myśl o tym, że już wkrótce rzuci się w wir walki. W ciągu ostatnich ośmiu lat służby w koreliańskim ruchu oporu, wykonywała - i to bardzo dobrze - wszystkie rozkazy. Nie znosiła jednak, kiedy polecano jej udawać kogoś innego i szpiegować. Nie przepadała również za pełnieniem obowiązków oficera „łącznikowego”. Kiedy musiała, wykonywała i takie rozkazy, ale zawsze później starała się szybko o tych zadaniach zapominać. Z utęsknieniem wyczekiwała chwili, kiedy znów będzie mogła stanąć oko w oko z prawdziwym przeciwnikiem.

Udział w tej akcji zawdzięczała wstawiennictwu Mon Mothmy. Zbuntowana imperialna senatorka cieszyła się wszędzie wielkim poważaniem. Miała także wpływy, że w końcu zdołała przekonać przywódców indywidualnych grup ruchu oporu o konieczności przyłączenia się do Sojuszu Rebeliantów. Mon Mothma poradziła sobie z tym zadaniem o wiele lepiej niż Bria. Poświęcając cały czas tej jednej sprawie, nieustannie latała z planety na planetę, organizując spotkania z przedstawicielami podziemnych grup albo komórek. Zaledwie miesiąc upłynął, odkąd Bria i dowódca ruchu oporu jej planety uroczyście podpisali umowę, zwaną teraz „Traktatem Koreliańskim”.

Opinia publiczna uważała, że do zawarcia tego traktatu doprowadziła Mon Mothma. I chociaż nikt nie wątpił, że naprawdę miała w tym duży udział, Bria podejrzewała, iż zbuntowana senatorka nie poradziłaby sobie bez pomocy innych osób. Korelianka słyszała, że umowa nie została podpisana, gdyby nie poparcie i pomoc, jakich potajemnie zechciał udzielić jej koreliański senator Garm Bel Iblis. Pozostałymi - oprócz Korelii - sygnatariuszami traktatu były Alderaan i rodzinna planeta Mon Mothmy, Chandrila.

Podróżując od jednego systemu do drugiego i odwiedzając wiele światów, Mon Mothma spotykała się z przywódcami grup ruchu oporu wszędzie, gdzie te już istniały, i powoływała do życia nowe tam, gdzie ich jeszcze nie było. Sympatia i sława, jakimi cieszyła się jeszcze w czasach, kiedy była imperialną senatorką czasami ułatwiały, a czasami utrudniały jej zadanie. Z jednej strony umożliwiały dostęp do ważnych osób, szlachetnie urodzonych władców i najważniejszych przedsiębiorców; z drugiej jednak budziły nieufność i obawy. Przywódcy niektórych ugrupowań Rebeliantów nie zawsze chcieli z nią współpracować. Niektórzy podejrzewali, że Mon Mothma może być imperialnym szpiegiem, wysłanym przez Palpatinę, by wystawić na próbę ich lojalność.

Zbuntowana senatorka wielokrotnie musiała uciekać, by uniknąć śmierci - czy to z rąk żołnierzy Imperium, czy też podejrzliwych przywódców ruchu oporu. Bria spotkała się pierwszy raz z Mon Mothma wkrótce po tym, gdy senatorka została oskarżona przez Imperatora o zdradę stanu. Rozmowa z nią wywarła na Brii ogromne wrażenie. Koreliańska pani komandor podziwiała - nawet zachwycała się - nie tylko skromnością, opanowaniem i wybitną inteligencją Mon Mothmy, ale także jej niespotykanym zdecydowaniem i przekonaniem o słuszności sprawy, której poświęciła życie.

Szczególnie zapadła jej w pamięć chwila, kiedy Mon Mothma uściśliła jej dłoń i oświadczyła, że to właśnie ona, Bria Tharen, zalicza się do grona osób, które odegrały kluczową rolę w nakłonieniu Baila Organy do zmiany stanowiska w sprawie zachowania neutralności przez Alderaan. Wicekról był teraz przekonany o potrzebie obalenia rządów Imperium drogą zbrojnego powstania. Niestety, wciąż jeszcze napotykał silny opór ze strony członków własnego rządu. Na razie wszelkie próby zainstalowania na powierzchni planety systemów uzbrojenia czy obrony nie przynosiły spodziewanych rezultatów.

Traktat Koreliański uchodził za fundament Sojuszu Rebeliantów, o którego stworzenie tak usilnie zabiegała Bria Tharen i inni Korelianie. Indywidualne ugrupowania powstańców miały zachować prawie całą dotychczasową niezależność, ale - przynajmniej w teorii - naczelne dowództwo i decyzje w sprawach strategicznych spoczywały teraz w rękach Mon Mothmy. Niedawno stworzony Sojusz nie miał jeszcze okazji wypróbowania swoich sił w żadnej bitwie. Bria żywiła nadzieję, że ten stan szybko ulegnie zmianie.

Skręciła w boczny korytarz „Zemsty” i natknęła się na oficera medycznego. Daino Hyx miał opiekować się uwolnionymi więźniami. Był niskim, brodatym mężczyzną i miał chyba najciemniejsze błękitne oczy, jakie Bria kiedykolwiek widziała. Nieśmiało uśmiech zjednywał mu przychylność większości ludzi, którzy mieli okazję z nim rozmawiać. Hyx pracował kiedyś jako naukowiec na jednej z najbardziej cenionych alderaańskich akademii. Studiował medycynę i psychologię, a specjalizował się w leczeniu rozmaitych uzależnień. Odkąd mniej więcej przed sześcioma miesiącami przyłączył się do koreliańskiego ruchu oporu, postanowił poświęcić się uzdrawianiu ilezjańskich pielgrzymów.

Bria była przeświadczona, że pośród przemęczonych, niedożywionych i uzależnionych od Uniesienia niewolników znajduje się wielu sfrustrowanych idealistów, których stać na to, by oddać życie w imię słusznej sprawy. Pamiętała, że przed niespełna dwoma laty brała udział w pierwszym ataku na Ilezję. W tym czasie szesnastu uwolnionych pielgrzymów - zagłodzonych niewolników - stało się pierwszorzędnymi żołnierzami i wykwalifikowanymi robotnikami. I jedni, i drudzy byli teraz pełnymi poświęcenia członkami koreliańskiego ruchu oporu. Następnym dziesięciu odznaczono - pośmiertnie - medalami za odwagę.

Rozmawiając z przywódcami koreliańskich Rebeliantów, Bria oznajmiła, że Ilezja z tysiącami harujących tam niewolników ma szansę stać się nieocenionym skarbem. Może odgrywać rolę punktu werbunkowego, w którym zniewoleni pielgrzymi będą się zmieniać w rebelianckich rekrutów - pod warunkiem, że ktoś wymyśli sposób na uniezależnienie ich od Uniesienia. Bria Tharen zdołała podźwignąć się z nałogu i zostać wartościową współpracowniczką koreliańskiego podziemia; kosztowało ją to jednak sporo trudu i zajęło prawie trzy lata. Próbowwała w tym czasie wszystkiego - od medytacji po leki - i znalazła w sobie dość siły dopiero wówczas, kiedy uświadomiła sobie, komu zawdzięcza swoje położenie. Postanowiła poświęcić resztę życia walce o zniesienie niewolnictwa i obalenie Imperium, które tolerowało ten haniebną procedurę.

Nikt nie mógł jednak poświęcić aż trzech lat na rehabilitację pielgrzymów i wyrwanie nieszczęśników ze szponów zgubnego nałogu. Trzeba było więc znaleźć sposób, żeby wyleczyć ich w ciągu tygodni albo miesięcy - a nie lat.

To właśnie dlatego w wyprawie uczestniczył Daino Hyx. Lekarz dokładnie zapoznał się ze wszystkimi - fizycznymi, umysłowymi i emocjonalnymi - skutkami nałogu. Wyprawił się nawet na planetę Nal Hutta, żeby spotkać się z kilkoma samcami rasy t'landa Til i zbadać, jak uzależniają ludzi od Uniesienia. Kuracja Daina polegała na zastosowaniu kombinacji różnych środków - począwszy od lekarstw niwelujących wpływ narkotyku, a skończywszy na interaktywnej i grupowej terapii odwykowej.

Jeżeli wszystko potoczy się zgodnie z planem, Hyx będzie miał pierwszą okazję, by wypróbować skuteczność swojej nowej terapii.

Lekarz spojrzał na Brie.

- Denerwuje się pani? - zapytał.

Pani komandor obdarzyła go nikłym uśmiechem.

- Czy to się rzuca w oczy?

- Nie - odparł Hyx. - Jestem pewien, że większość ludzi niczego by nie zauważyła. Ja jednak nie zaliczam się do większości. Poznałem panią dosyć dobrze w czasie leczenia, kiedy pracowałem nad nową terapią. Proszę także nie zapominać, że moim zadaniem jest ocena stanu umysłowego i emocjonalnego istot ludzkich.

- To prawda - przyznała Bria. - Tak, czuję się trochę zdenerwowana. Planujemy coś więcej niż przechwycenie niewielkiego patrolowca celników czy napaść na samotną placówkę Imperium. Tym razem zamierzamy wystąpić przeciwko istotom, do których należałam - ciałem i duszą. Zawsze się tego trochę obawiałam. Boję się, że kiedy znów zetknę się ze zniewolonymi pielgrzymami, może powrócić jakaś część objawów mojego uzależnienia.

Hyx pokiwał głową.

- Kierują panią emocje, nie tylko chęć wypełnienia zadania - powiedział. - Nic dziwnego, że trochę się pani denerwuje.

Bria spojrzała na lekarza podejrzliwie.

- Nie powstrzyma mnie pan od wykonania zadania, Hyx - rzekła stanowczo.

- Wiem - odparł mężczyzna. - Słyszałem, że oddział Czerwona Ręka osiągnął stan pełnej gotowości bojowej. Obserwowałem pani żołnierzy i mogę się domyślać, że skoczą za panią w głąb czarnej dziury, a nawet, jeżeli będzie trzeba, przelecą na drugą stronę.

Bria się roześmiała.

- Nic nie wiem na ten temat - oznajmiła. - Sądzę jednak, że gdybym była tak szalona, aby polecieć w okolice czarnej dziury, moi ludzie okazaliby się na tyle rozsądni, żeby trzymać się od niej jak najdalej. Wiem też, że jeśli wydam taki rozkaz, podwładni polecą za mną do samego Imperialnego Pałacu Palpatine'a.

- Nie przeżyłaby tam pani długo - zauważył cierpko Hyx.

Bria uśmiechnęła się, ale w jej oczach nie pojawiła się ani odrobina ciepła.

- Mimo to przez pewien czas mielibyśmy zabawę. Warto zaryzykować życie, żeby zastrzelić Palpatine'a.

- Kiedy wysyła pani do akcji pierwszą grupę?
Bria zerknęła na miniaturowy chronopierścionek.

- Czekamy na sygnał od mojego podwładnego, pracownika ilezjańskiej gwiazdnej stacji. Powie nam, kiedy „Kajdany Heloty” oderwą się od płyty lądowiska. Dopiero wtedy wykonamy mikro-skok i znajdziemy się na pozycji. Chcemy przechwycić transportowiec, zanim zdąży opuścić system Ilezji.

- To ma sens.

Bria skręciła w prawy korytarz i stanęła przed drzwiami szybu turbowindy.

- Zjeżdżam teraz do hangaru, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku - oznajmiła. - Chcę odprawić żołnierzy, którzy będą wchodzić na pokłady szturmowych wahadłowców. Chce pan mi towarzyszyć?

- Bardzo chętnie.

Zjechali turbowindą do hangaru. Na lądowisku wrzało jak w ulu. Wokół statków krzątały się technicy, którzy pragnęli ostatni raz upewnić się, że niczego nie przeoczyli. Sprawdzali systemy zasilania i uzbrojenia i kończyli przygotowania do odlotu. W pewnej chwili Bria dostrzegł jeden z żołnierzy. Włożył do ust dwa palce, gwizdnął przeraźliwie i zawołał:

- Dowódca na lądowisku!

Bria podeszła do porucznika Jace'a Paola, który nadzorował ostatnie przygotowania do akcji.

- Proszę zebrać swoich ludzi - poleciła.

Na rozkaz młodszego oficera jego żołnierze sprawnie ustawili się w szeregu. Na pokładzie każdego wahadłowca miał lecieć jeden oddział, złożony z dziesięciu ludzi. Każda grupa szturmowa składała się z trzech wahadłowców. Zadanie pierwszej grupy polegało na przechwyceniu i wdarciu się na pokład „Kajdan Heloty” oraz na przełamaniu obrony dozorców niewolników. Druga grupa miała wesprzeć pierwszą i pomóc jej zakończyć akcję.

Bria ruszyła powoli wzdłuż szeregu żołnierzy. Sprawdziała nie tylko stan umundurowania i broni... spoglądała również na twarze. W pewnej chwili stanęła przed młodzieńcem, którego oczy pałały nie tylko żądzą walki. Zwróciła uwagę na zarumienione policzki i zaczerwieniony nos. Zmarszczyła brwi.

- Kapralu Burrid... - zaczęła. Młodzieniec wyprężył się jak struna.

- Tak jest, pani komandor!

Bria wyciągnęła rękę i dotknęła policzka młodzieńca, a potem położyła dłoń na czole.

- Ty nie lecisz, Burrid - oświadczyła. - Masz przynajmniej stan podgorączkowy. Sk'kot Burrid zasalutował.

- Z całym szacunkiem, pani komandor - powiedział. - Czuję się doskonale!

- Akurat - rzekła Korelianka. - A ja jestem samicą rasy Wookie, którą Imperator wzięł na swoją konkubinę. Hyx?

Oficer medyczny wyjął próbnik z przypiętej do pasa małej torby i przytknął czujnik do twarzy młodego żołnierza.

- Trzydzieści siedem i trzy, pani komandor - oznajmił chwilę potem. - Liczba białych ciałek wskazuje na infekcję. Prawdopodobnie zakaźną.

- Zgłoszcie się do androida medycznego, kapralu - rozkazała Bria.

Zawiedziony młodzieniec otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale w porę przypomniał sobie, kim jest, i usłuchał. Wykonał przepisowy w tył zwrot i odszedł. Jego miejsce zajął bez słowa inny żołnierz z grupy rezerwowej.

Kiedy Bria zakończyła inspekcję, stanęła przed szeregiem i zwróciła się do podwładnych:

- Żołnierze! Czekamy teraz na sygnał, po którym dokonamy mikroskoku. Pierwsi polecą piloci myśliwców typu Y. Ich zadaniem jest pozbawienie nieprzyjacielskiej jednostki ochronnych pól siłowych. Reszta należy do was. Wasze wahadłowce przycumują do włazów śluz i wtedy wdrzecie się na pokład. Jeżeli okaże się, że nieprzyjacielska korweta nie ma śluz, musicie wykonać w burtach otwory. Na pokładach dwóch szturmowych wahadłowców polecą specjalnie wyszkolone grupy saperów. Jeżeli nie będzie innego wyjścia, wykonają otwory w kadłubie na wysokości maszynowni.

Przerwała i powiodła spojrzeniem po wyprężonych na baczność ludziach.

- Pamiętajcie, że spotkacie się z niewolnikami... - podjęła po chwili milczenia. - Z ludźmi zapewne przerażonymi i zdezorientowanymi, którzy będą wam przeszkadzać i najprawdopodobniej cierpieć głód Uniesienia. Niektórzy mogą was zaatakować. Nie ryzykujcie niepotrzebnie, ale też nie wyrządzcie im nic złego. Jeżeli zmuszą was do użycia broni, stawcie blastery na ogłuszanie. Czy to jasne?

W odpowiedzi usłyszała chór potakujących pomruków.

- Jakież pytania?

Nikt nie miał pytań. Żołnierze zostali poinformowani o wszystkim przez dowódcę grupy i dowódców plutonów, a poza tym wielokrotnie przećwiczyli każdy szczegół akcji.

Bria skinęła głową.

- Czerwona Ręka ma najbardziej odpowiedzialne i ambitne zadanie - powiedziała. - Jeżeli zakończy się powodzeniem, możecie liczyć na udział w następnych akcjach. A zatem... musicie wyrzucić na dowództwie sektora jak najlepsze wrażenie. Rozumiecie?

Tym razem wszyscy głośno przytaknęli.

Bria odwróciła się, żeby zamienić słowo z dowódcami plutonów, ale nagle usłyszała cichy pisk miniaturowego komunikatora. Włączyła urządzenie.

- Tak? - zapytała.

- Pani komandor, właśnie otrzymaliśmy oczekiwany sygnał. „Kajdany Heloty” wystartowały z lądowiska ilezjańskiej stacji gwiazdnej.

Bria kiwnęła głową, a później odwróciła się do dowódców plutonów.

- Pierwsza grupa szturmowa, zajmować miejsca i startować - rozkazała. - Druga grupa szturmowa... czekać w pogotowiu!

Płyta lądowiska rozbrzmiała echem tupotu ciężkich butów biegnących ludzi. Bria zaczekała, aż hałas ucichnie i pierwszych trzydziestu żołnierzy zniknie we włazach trzech szturmowych wahadłowców.

Przełączyła komunikator na zastrzeżoną częstotliwość, z której tylko ona miała prawo korzystać.

- Uwaga, „Szkarłatna Furio” - powiedziała. - Mówi dowódca Czerwonej Ręki.

- Słucham cię, Czerwona Ręko.

- Przygotować jednostki do wykonania mikroskoku za trzy minuty - rzekła. - „Zemsta” ruszy chwilę po was.

- Zrozumiałem, dowódco Czerwonej Ręki - usłyszała w odpowiedzi. - Przygotujemy się do wykonania mikroskoku.

Bria i Daino Hyx pospiesznie wrócili do kabiny turbowindy, wjechali na wyższy poziom i pobiegli na mostek. Wchodząc, Bria pochwyciła spojrzenie kapitana. Opadła na fotel ustawiony przed pulpitem taktycznego ekranu. Mogła stąd obserwować wszystko, co dzieje się w przestworzach.

- Kapitanie Bjalin - powiedziała. - Dziesięć sekund po tym, jak zniknie w nadprzestrzeni ostatni myśliwiec typu Y, proszę także rozpocząć manewr mikroskoku.

- Tak jest, pani komandor - odparł służbiście Bjalin.

Tedris Bjalin był wysokim mężczyzną, który, choć prawdopodobnie nie ukończył jeszcze trzydziestu lat, zaczynał już łysieć. Przyłączył się do koreliańskich Rebeliantów dopiero niedawno. Po tym, jak stracił wszystkich członków rodziny w wyniku masakry, która wyrządziłi żołnierze Imperium na planecie Tyshapahl. Przedtem służył w Imperialnej Marynarce w stopniu porucznika. Przeszedł gruntowne szkolenie, które teraz bardzo mu się przydało. Szybko awansował, był zdolnym oficerem i przyzwoitym człowiekiem. Kiedyś zwierzył się Brii, że myślał o zdezerterowaniu z Imperialnej Marynarki, jeszcze zanim usłyszał o śmierci żony i dzieci. Wiadomość o masakrze tylko przyspieszyła jego decyzję.

Zaciskając kciuki i nieświadomie wstrzymując oddech, Bria przyglądała się, jak myśliwce typu Y - para za parą - znikają w nadprzestrzeni. Kilka chwil później widoczne w iluminatorach punkciki gwiazd przemieniły się w świetliste smugi. „Zemsta” także dokonała mikroskoku.

W chwili, w której wróciła do normalnych przestworzy, otworzyły się wielkie wrota i z hangarów wyłoniła się pierwsza trójka szturmowych wahadłowców. Lecąc z połową maksymalnej prędkości, kierowała się ku „Kajdanom Heloty”. Podążała w ślad za sześcioma maszynami typu Y, które pędziły całą mocą silników.

Bria z satysfakcją obserwowała, jak pierwsza para rebelianckich maszyn zbliża się do koreliańskiej korwety. Piloci, mierząc w śródkręcie i rufę, wystrzelili po dwie torpedy protonowe. Nie chcieli wyrywać dziur w kadłubie. Zamierzali tylko pozabawić nieprzyjacielski statek ochronnych pól, ale zbytnio go nie uszkodzić. Bria chciała opanować „Kajdany” w jak najlepszym stanie, żeby -po dokonaniu niezbędnych napraw, remontów i przeróbek - można było wcielić okręt do rebelianckiej floty. To właśnie dlatego na pokładzie jednego ze szturmowych wahadłowców drugiej grupy lecieli członkowie specjalnej grupy: technicy informatycy i inżynierowie mechanicy, a także kilkuosobowa ekipa kontrolno-remontowa.

Bria nie miała nic przeciwko temu, gdyby załoga „Kajdan Heloty” poddała się bez walki albo nie była do niej przygotowana. Nie spodziewała się jednak, że będzie

miała tyle szczęścia. Nie zdziwiła się więc, kiedy stwierdziła, że korweta leci z włączonymi polami siłowymi. Artylerzyści zauważyli zbliżające się ku niej myśliwce typu Y i powitali je błyskawicami laserowych strażów. Piloci zwinnych maszyn bez trudu uniknęli trafień. W tym czasie „Zemsta” pozostawała poza zasięgiem ognia „Kajdan”.

Bria nie odrywała spojrzenia od iluminatora. Cztery wystrzelone z rebelianckich maszyn torpedy protonowe dotarły do celu. Ujrzała cztery oślepiąco jaskrawe białobłękitne błyski i domyśliła się, że torpedy zetknęły się z polami siłowymi. Część kadłuba transportowca pokryła się podobną do pajęczyny siecią błękitnych wyładowań, ale pociski nie wyrządziły kadłubowi żadnej szkody. Ujrzawszy to, piloci dwóch pierwszych maszyn typu Y zatoczyli szerokie łuki w przeciwnie strony i zajęli miejsca w szyku za ostatnimi myśliwcami - na wypadek, gdyby musieli jeszcze raz ruszyć do ataku.

Tymczasem artylerzyści „Kajdan Heloty”, którzy nie przestawali zasypywać rebelianckich napastników seriami laserowych strażów, w pewnej chwili musnęli kadłub jednej z maszyn, lecącej na samym końcu szyku. Trafienie nie wyglądało poważnie, ale Bria zrozumiała, że ten myśliwiec typu Y nie weźmie już udziału w dalszej akcji.

Planując przechwycenie transportowca, zakładała, że zlikwidowanie siłowych pól „Kajdan” będzie wymagało użycia czterech torped. Do kadłuba atakowanego statku zbliżała się właśnie druga para rebelianckich maszyn. Pierwszy pilot strzelił.

Tym razem błękitnobiałe błyskawice opłatały cały kadłub. Nagle pojawił się błysk i pola zanikły. Część energii strzału zdołała przedrzeć się do kadłuba. Na płycie poszycia pojawiła się ciemna smuga.

- Doskonale! - wykrzyknęła Bria, wyciągając komunikator. Wystukała na klawiaturze inną częstotliwość i nawiązała łączność z dowódcą eskadry myśliwców typu Y.

- „Szkarłatna Furio”, świetna robota! - odezwała się, gdy uzyskała połączenie. - Pola zanikły! Zrób teraz użytek z jonowych dział i dokończ dzieła! Niech twoi ludzie uważają! Nie możemy pozwolić sobie, żeby ktoś jeszcze został trafiony!

- Zrozumiałem, dowódco Czerwonej Ręki - usłyszała w odpowiedzi. - Bierzemy na cel zestawy sensorów i płyt z ogniwami słonecznymi. Przystępujemy do ataku.

Piloci myśliwców typu Y skierowali lufy jonowych działek ku wybranym celom i zaczęli zasypywać „Kajdany Heloty” seriami strażów. Trafienia nie mogły przebić płyt poszycia kadłuba. Miały jedynie zakłócić łączność i obezwładnić wszystkie zasilane energią elektryczną urządzenia pokładowe - a przede wszystkim jednostki napędowe, komputery celownicze i skupione na mostku systemy dowodzenia. Bria wiedziała, że zanim „Kajdany” wznowią lot, wszystkie pokładowe urządzenia i podsystemy trzeba będzie uruchomić na nowo.

Artylerzyści „Kajdan Heloty”, wskazując komputerom celowniczym wciąż nowe cele, nie przestawali wysyłać ku napastnikom śmiertelnych błyskawic. Ich działa były jednak zbyt wielkie i ciężkie, żeby mogli trafić szybkie i zwinne myśliwce typu Y, toteż rebelianccy piloci bez trudu unikali trafienia.

Kilka minut później systemy elektroniczne „Kajdan” zostały obezwładnione i transportowiec przemienił się w bezradnie dryfujący w przestworzach wrak. Ujrzawszy, że pierwsza grupa szturmowych wahadłowców dociera do celu, Bria zerknęła na chronopierścionek. Doskonale - pomyślała. - Ani minuty opóźnienia.

Wstrzymując oddech, obserwowała, jak pierwsza jednostka cumuje do kłapy włązu wielkiej dziobowej śluzy... tej samej, przez którą dozorczy wprowadzali na pokład niewolników. Pozostałe dwa wahadłowce przylgnęły do obu burt na wysokości śródokręcia. Chwilę później grupy saperów przystąpiły do wycinania otworów w kadłubie.

Na mostek „Zemsty” zaczęły napływać meldunki od dowódców grup szturmowych.

- Dowódco Czerwonej Ręki, tu oddział pierwszy. Jesteśmy w służbie towarowej, dziobowa ładownia, pokład czwarty. Natrafiliśmy na silny opór. Kiedy wdarliśmy się na pokład, dozorczy wyprowadzali niewolników. Kilkoro zostawili. Pielgrzymi - podobnie jak my - ukrywają się za pojemnikami z towarami. W tej chwili trwa wymiana ognia. Zamierzamy się przedrzeć do szybu, który wiedzie do wieżyczek turbolaserów, ale najpierw musimy przełamać opór obrońców.

- Dowódco Czerwonej Ręki, zgłasza się oddział drugi - usłyszała po chwili. - Saperzy wykonali otwór na wysokości pokładu czwartego, przed przedziałem maszynowni, i w tej chwili mocują przenośną śluzę. Za chwilę moi ludzie przejdą przez nią...

- Dowódco Czerwonej Ręki, pancierz tej sekcji sterburtowej części kadłuba sprawia nam trochę kłopotów... uwaga, przygotować się... - A jakąś minutę później. - Dowódco Czerwonej Ręki, jesteśmy w środku!

Próbując ocenić, jak pierwsza grupa szturmowa radzi sobie z opanowywaniem kolejnych sekcji, Bria zastanawiała się, kiedy powinna wysłać drugą. Oba oddziały, które wdarły się przez otwory w burtach kadłuba, praktycznie bez oporu zajmowały kolejne pomieszczenia. Pierwszy oddział jednak wciąż jeszcze pozostawał w sekcji dziobowej; próbując przedostać się do szybów turbowind, napotkał silny opór ze strony dozorców niewolników. Bria nie dziwiła się, że handlarze walczą tak zaciekle. Sława Czerwonej Ręki, zataczała coraz szersze kręgi. Bez wątplenia załoga „Kajdan” zauważyła ociekające krwią dłonie, wymalowane na dziobach szturmowych wahadłowców.

Korelianka wstała i podeszła do kapitana swojego okrętu.

- Tedris, przejmiesz dowództwo do czasu, aż wrócę z drugą grupą - powiedziała. - Bądź gotów do wysłania posiłków, jeżeli je wezwę, ale nie wcześniej. Czy piloci myśliwców typu Y zajęli się patrolowaniem okolicy?

- Tak jest, pani komandor - odparł mężczyzna. - Jeżeli ktoś będzie chciał nam przeszkodzić, dowiemy się o tym przynajmniej kwadrans wcześniej. Oczywiście, piloci pozostają w pogotowiu na wypadek, gdyby handlarze niewolników zdążyli wysłać sygnał alarmowy, zanim zaczęliśmy zagłuszać sygnały ich komunikatorów.

- Dobra robota, panie kapitanie.

Bjalin kiwnął głową, lecz nie zasalutował. Dyscyplina na pokładach okrętów floty Rebeliantów była o wiele mniej formalna i surowa niż w Imperialnej Marynarce. Bria męczyła się dwa tygodnie, zanim Bjalin odzwyczaił się od salutowania, ilekroć zwracał się do kogoś wyższego stopniem.

- Życzę szczęścia, pani komandor - odpowiedział.

- Dziękuję - odparła Korelianka. - Z pewnością się przyda. Moi ludzie wyparli nieprzyjaciół z dziobowej ładowni, ale dozorczy mieli mnóstwo czasu na wzmocnienie obrony. Idę o zakład, że zabarykadowali się na mostku i obsadzili wszystkie wiodące

doń korytarze. W tej chwili zapewne starają się naprawić komunikatory i silniki. Chyba będą musiały... coś wymyślić.

Bjalin się uśmiechnął.

- Słynie pani z dobrych pomysłów - zauważył.

Dziesięć minut później wahadłowiec Brii przycumował do przenośnej śluzy. Żołnierze grupy rezerwowej wkroczyli do akcji. Biegli teraz za nią korytarzem pokładu trzeciego z karabinami blasterowymi przygotowanymi do strzału.

Niesamowity rubinowy blask zasilanych przez baterie awaryjne lampek stwarzał wrażenie, że pozbawiony napędu statek jest opuszczony. Bria wiedziała jednak, że to złudzenie. Z oddali dobiegały stłumione jęki niewolników. Korelianka domyślała się, że nieszczęśnicy przebywają - zamknięci i stłoczeni - w którejś z ładowni na pokładzie czwartym. Miała nadzieję, że żaden z dozorców nie wpadł na barbarzyński pomysł, by wystawić zdezorientowanych ludzi na ogień blasterów jej żołnierzy - w nadziei, że zdoła powstrzymać albo chociaż opóźnić atak. Raz zdarzyło się już coś podobnego... do tej pory po nocach dręczyły ją koszmary. Widziała w nich blade, przerażone twarze bezbronných niewolników, słyszała odgłosy strzałów, jęki ranionych ludzi, głuchy stuk upadających ciał, skwierczenie mięsa trafionego blasterową błyskawicą...

Powiodła swój oddział w kierunku dziobu, gdzie znajdowała się kabina nadzorcy poganiaczy niewolników. Wiedziała, że tuż nad nią znajduje się mostek, i na tym fakcie oparła plan ataku.

Wyciągnęła komunikator.

- Ekipa techniczna... jak wam idzie? - zapytała.

- Pani komandor, kadłub nie odniósł poważniejszych uszkodzeń - usłyszała w odpowiedzi. - Piloci myśliwców typu Y spisali się na medal. W tej chwili zajmujemy się naprawami.

- A co z urządzeniami elektrycznymi i komputerami?

- Z tym będzie trudniej. Nie możemy ich uruchomić, dopóki nie opanujemy mostka. Nie chcemy, żeby nieprzyjaciele odzyskali kontrolę nad okrętem.

- Zapewne bardzo im na tym zależy - zauważyła Bria. - Czy zdołacie im to unieвозмоżliwić?

- Chyba tak, pani komandor.

- Dobrze - rzekła Korelianka. - Sprawdzajcie urządzenia, podzespoły i jednostki napędowe. Nie uruchamiajcie ich jednak, dopóki nie wydam rozkazu.

- Rozumiemy, pani komandor.

Biegąc w stronę kabiny głównego nadzorcy, Bria i jej ludzie napotkali tylko jedną grupę obrońców. Składała się z ośmiu albo dziewięciu dozorców i jednego przerażonego niewolnika, którego uzbrowili i, grożąc śmiercią, zmusili do współpracy. Wszyscy kryli się za prowizoryczną barykadą, pospiesznie wzniesioną pośrodku korytarza.

Bria gestem nakazała żołnierzom, żeby wycofali się za zakręt korytarza, a potem szeptem powiedziała:

- Posłuchajcie, żołnierze. Za chwilę otworzymy ogień, a w tym czasie ty, Larens - zwróciła się do szczupłego, niskiego i bardzo zwinnego Rebelianta - dopełniesz i

rzucisz granat ogłuszający. Postaraj się trafić w sam środek tego gniazda węży. Zrozumiałeś?

- Tak jest, pani komandor - odparł żołnierz.

Uklęknął na płytach pokładu i wyjął granat ogłuszający, a potem chwycił go w zęby i przygotował się do wykonania zadania.

- Policzę do trzech - oznajmiła Bria. - Jeden... dwa... trzy!

Wszyscy wypadli zza zakrętu korytarza i zaczęli zasypywać obrońców barykady seriami strzałów z blastera. Celowali wysoko, by nie trafić szybko czołgającego się Larensa.

W ograniczonej przestrzeni ze świstem pomknęły smugi błyskawic. W pewnej chwili Bria zauważyła za barykadą czyjąś rękę z wytatuowanym sztyletem. Wymierzyła i strzeliła. Ręka (a prawdopodobnie i jej właściciel) zniknęli w tylnej części barykady.

Przypomniała sobie, co czuła, kiedy pierwszy raz strzelała z blastera. Jej pamięć natychmiast podsunęła wizerunek Hana Solo. Bria szybko usunęła go z myśli. Nie mogła zaprzętać sobie głowy wspomnieniami... musiała skupić całą uwagę na wykonaniu zadania.

Kilka sekund później rozległ się ogłuszający huk. Obrońcy przestali strzelać. Bria gestem nakazała żołnierzom, by szli za nią.

- Pamiętajcie - rzekła. - Pielgrzymi noszą brązowe kombinezony!

Podbiegła do barykady i spojrzała na leżących dozorców. Trzech nie żyło. Jeden z nich miał urwaną rękę. Ogłuszony pielgrzym leżał, ale dawał oznaki życia.

Bria stała chwilę, jakby napawała się widokiem zniszczenia. Czuła, jak w jej piersi wzbiera nienawiść. Sześciu dozorców niewolników pozostało przy życiu... zorientowała się, że na ten widok chyba podświadomie drgnął jej palec na spuście blasterowego karabinu.

- Pani komandor, czy ktoś ma ich pilnować? - zapytał Larens, spoglądając w jej oczy. Dopiero od niedawna wchodził w skład Czerwonej Ręki. Kilku bardziej doświadczonych kolegów zerknęło na niego ze zniecierpliwieniem.

- To robaki, Larens - odparła Korelianka. - Nie będziemy ich pilnowali. Po prostu upewnimy się, że nie narobią nam już żadnych kłopotów. Mecht... ty i Seaan dogonicie nas, kiedy tu skończycie. Aha, i wciągnijcie tego pielgrzyma do jakiejś kabiny. Kiedy się ocknie, nie powinien znaleźć się w samym środku akcji.

Mecht kiwnął głową. Był mężczyzną w średnim wieku i dobrze wiedział, co to znaczy być niewolnikiem... aczkolwiek pojмали go żołnierze Imperium, a nie kapłani z Ilejji.

- Za chwilę do was dołączymy, pani komandor - powiedział. - To nie potrwa długo.

Larens otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale widocznie się rozmyślił. Bria gestem dała znak żołnierzom, żeby podążali za nią.

Pięć minut później wszyscy znaleźli się przed drzwiami kabiny głównego nadzorcy niewolników. Kiedy weszli do środka, Bria starała się nie patrzeć na rozrzucone po

kątach pomieszczenia „zabawki”, za pomocą których dowódca umiał sobie życie, dręcząc nieszczęśników. Stała na samym środku kabiny i pokazała na sufit.

- Żołnierze, mostek jest dokładnie nad nami! - powiedziała. Chwilę później przeniosła spojrzenie na jednego z dowódców oddziałów. - Dowódco Jeden, przeprowadźcie na korytarzu drugiego pokładu pozorowany atak, żeby odwrócić ich uwagę.

Dowódca oddziału kiwnął głową.

- Rozkaz, pani komandor - powiedział.

- Zaczekaj na mój sygnał - rzekła Bria.

- Rozkaz, pani komandor - powtórzył mężczyzna i wyszedł z kabiny na czele swych ludzi.

Bria odwróciła się do pozostałych żołnierzy.

- Oddziały piąty i szósty, zaatakujecie mostek.

Kilku rekrutów, którzy zapewne pierwszy raz brali udział w tak poważnej akcji, popatrzyło po sobie, nie wiedząc, co o tym sądzić. Jak mogli zaatakować mostek, skoro znajdowali się pod nim?

- Gdzie jest Joaa'n? - zapytała Korelianka.

Z szeregu żołnierzy wystąpiła krępa kobieta. Jej twarzy prawie nie było widać spod wielkiego hełmu.

- Jestem, pani komandor.

- Joaa'n, weź jedną ze swoich niszczycielskich zabawek i pomóż nam dostać się na górę.

- Rozkaz, pani komandor.

Trzy minuty później specjalistka od ładunków wybuchowych zeskoczyła ze stołka, spojrzała na Brie i skierowała kciuki ku sufitowi.

- Gotowe, pani komandor - zameldowała. - Przymocowałam tam mały detonator. Powinien wyrwać w sklepieniu miłą, okrągłą dziurę.

Bria obdarzyła ją ciepłym uśmiechem.

- Doskonale. - Wyciągnęła komunikator. - Oddział drugi? - Zaczekała, aż zgłosi się dowódca, po czym rozkazała: - Rozpocznijcie atakować mostek.

Zgromadzeni w kabinie głównego nadzorcy niewolników Rebelianci usłyszeli dobiegające z góry stłumione odgłosy strzałów z blastera.

- Renno? - Bria kiwnęła głową w kierunku innej krępej, umięśnionej kobiety. - Masz wprawna rękę. Przygotuj kilka granatów ogłuszających i wrzuć je przez otwór w suficie, żeby ogłuszyć jak najwięcej tych gadzin. - Powiodła spojrzeniem po pozostałych ludziach. - Żołnierze, kiedy Renna wrzuci granaty przez dziurę, wchodzimy do akcji. Pamiętajcie tylko, że znajdziecie się na mostku. Uważajcie, do czego strzelacie. Jeżeli zniszczycie jakieś ważne urządzenia, ludzie z ekipy technicznej nie odezwą się do was przez cały miesiąc. Zrozumielście?

W odpowiedzi usłyszała chór stłumionych chichotów.

- Gotowe - odezwała się Joaa'n. - Ustawiłam zapalniki. Odejdźcie teraz pod ściany i zasłońcie oczy. Macie trzydzieści sekund.

Żołnierze Brii skupili się pod ścianami kabiny. Niektórzy ukryli się za meblami. Kilkoro założyło ochronne okulary; inni po prostu zamknęli oczy i osłonili je dłońmi. Bria, Joaa'n i Renna stanęły za ciężkim ozdobnym parawanem.

Kilka chwil później rozległ się cichy syk, a tuż po nim stłumiony huk. Na podłogę kabiny spadło coś ciężkiego i potoczyło się w kąt pomieszczenia. Bria poczuła woń dymu. Popatrzyła na Joaa'n i kiwnęła głową.

- Dobra robota - powiedziała.

Specjalistka od ładunków wybuchowych i Renna już spieszyły na środek kabiny. Renna wrzuciła przez otwór w suficie trzy granaty ogłuszające. Starła się wrzucić każdy gdzie indziej. Odgłosy trzech eksplozji i okrzyki bólu uświadomiły wszystkim, że granaty spełniły swoje zadanie.

Podsadzona przez Joaa'n Renna zniknęła w otworze. Chwilę potem z góry dało się słyszeć odgłosy strzałów z blasterów.

Bria pobiegła na środek kabiny. Podskoczyła i zacisnęła palce na krawędziach otworu w suficie. Nie zwracając uwagi na to, że ktoś z dołu bezceremonialnie - ale skutecznie - pochwycił ją w pól i podsadził, podciągnęła się i wskoczyła na mostek.

Stwierdziła, że obrońcy - ogłuszeni, zabici albo ranni - leżą w kilku miejscach na podłodze. Zauważyła też, że kilku zamoczonych dozorców niewolników, zataczając się i potykając, usiłuje wymknąć się przez drzwi na korytarz. Dostrzegła rosnącego Rodianina i powaliła obcą istotę jednym blasterowym strzałem w sam środek zielonych pleców. Inny handlarz niewolników, Bothanin, odwrócił się i uniósł broń. Widocznie jednak zasobnik energii jego blastera był bliski wyczerpania. Z lufy wydostał się tylko nikły promyk. Na wszelki wypadek Bria kucnęła, a potem nawet przetoczyła się po płytach pokładu. Kiedy zerwał się na równe nogi, wyciągnęła z kabury pistolet i strzeliła w twarz istoty. Oprawca stał akurat obok konsoly nawigacyjnego komputera i Korelianka nie chciała ryzykować - w obawie, że niosący o wiele większą energię strzał z blasterowego karabinu mógłby uszkodzić ważne urządzenie.

Walka dobiegła końca. Na mostku zapadła głucha cisza... którą od czasu do czasu przerywały jęki rannych ludzi. Bria potoczyła spojrzeniem po swoich żołnierzach. Sześcioro odniosło rany... jeden nawet dosyć ciężkie. Istniało duże prawdopodobieństwo, że nie przeżyje. Korelianka rozkazała, żeby specjalna grupa medyczna jak najszybciej przetransportowała wszystkich rannych na pokład „Zemsty”.

Kilka minut później otrzymała od dawna oczekiwany meldunek od dowódcy ekipy technicznej. On i jego ludzie byli gotowi do ponownego uruchomienia podzespołów statku. Bria zamieniła się w słuch i napięła mięśnie. Po kilku długich jak cała wieczność chwilach usłyszała wreszcie charakterystyczny skowyt. Rubinowe lampki awaryjne, dotychczas oświetlające cały mostek, zgasły, a zapaliły się normalne światła. Do życia obudziły się ekrany taktycznych monitorów. Cicho zamruczał nawigacyjny komputer.

Bria poleciła swoim ludziom, żeby zajęli się pozostałymi przy życiu dozorcami niewolników, a sama włączyła komunikator i podążyła do kabiny turbowindy.

- Hyx? - zapytała. - Jesteś tam?

- Tak, pani komandor - odparł oficer medyczny. - Jestem na pokładzie „Zemsty”. Moi ludzie zajmują się rannymi. Przetransportowali ich do izby chorych. Ranni zapewne przeżyją... z wyjątkiem Caronila. Biedak zmarł z upływu krwi. Bardzo mi przykro. Automaty medyczne i ja robiliśmy wszystko, co naszej mocy, ale...

Bria przełknęła ślinę.

- Wiem - powiedziała. - Mnie także jest przykro, Hyx. Czy na „Zemście” nadal pana potrzebują?

- Właściwie nie - odparł oficer medyczny. - Androidy radzą sobie doskonale. Panują nad sytuacją. Zaraz wchodzę na pokład wahadłowca i lecę do pani.

- To dobrze. Chciałabym, żeby jak najszybciej zjawił się pan na pokładzie „Kajdan”. Proszę od razu skierować się do ładowni na pokładzie czwartym. To właśnie tam przetrzymywani są niewolnicy i tam chcę się z panem spotkać.

Przerwała połączenie i zjechała dwa poziomy niżej, a później ruszyła korytarzem w stronę rufy. Zbliżyła się do drzwi zamkniętej ładowni, kiedy usłyszała dobiegający zza pleców tupot ciężkich butów. Płynnym ruchem wyszarpnęła z kabury pistolet, odwróciła się i - na wszelki wypadek - odskoczyła na bok. Ujrzała uzbrojoną w blaster poganiaczkę niewolników albo strażniczkę, która jakimś cudem nie została pochwycona przez jej ludzi.

Oczy kobiety jarzyły się nienaturalnym blaskiem, źrenice były rozszerzone, a długie, tłuste włosy okalały twarz niczym aureola.

- Nie ruszaj się, bo cię zabiję! - krzyknęła strażniczka, ściskając rękojeść blastera obiema drżącymi dłońmi.

Bria znieruchomiała. Dlaczego tak się trzęsie? - pomyślała. - Czyżby tak bardzo się mnie bała? To możliwe... ale chyba nie tylko o to chodzi.

- Rzuć pistolet! - krzyknęła kobieta. - Inaczej już po tobie!

- Nie sądzę - odparła spokojnie Bria, ale na wszelki wypadek rozluźniła mięśnie prawej ręki i pozwoliła, aby lufa pistoletu skierowała się ku płytom pokładu. - Jeżeli mnie zabijesz, nie przydam ci się jako zakładniczka.

Strażniczka zmarszczyła brwi, jakby starała się pojąć, co mają oznaczać słowa Brii. W końcu chyba doszła do przekonania, że może je zlekceważyć.

- Chcę dostać wahadłowiec! - zawołała. - Wahadłowiec i grupę niewolników! Możesz zatrzymać sobie wszystkich pozostałych. Chcę tylko dostać swoją dolę...

- Mowy nie ma - odparła spokojnie Bria, wyraźnie akcentując każde słowo. - Nie jestem handlarzką niewolników. Przyleciałam tu, żeby ich uwolnić.

W pierwszej chwili kobieta chyba jej nie zrozumiała. Dopiero po kilku sekundach wyraz jej twarzy uległ zmianie.

- Naprawdę nie zamierzasz ich sprzedawać? - zapytała sceptycznym tonem, jakby wciąż jeszcze nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- Nie - odparła Bria - Ani mi to w głowie. Mam zamiar wszystkim zwrócić wolność.

- Zwrócić im wolność? - powtórzyła kobieta. Bria równie dobrze mogła mówić po huttańsku. Strażniczka nadal nic nie rozumiała. - Warci są po kilka tysięcy kredytów. Przynajmniej niektórzy.

- Nic mnie to nie obchodzi - oświadczyła Bria lodowatym tonem... tak stanowczo i chłodno, jak umiała.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Dlaczego nie? - zapytała.

- Ponieważ uważam handel niewolnikami za jeden z najpodlejszych procederów, jakie wymyślono - odparła Korelianka. - Marnujesz czas, podła gadzino. Możesz zabić mnie albo pozwolić odejść, ale nie zmusisz do zmiany zdania.

Strażniczka umilkła i, zbита z tropu, zaczęła się zastanawiać nad tym, co usłyszała. Bria uświadomiła sobie, że jej rozmówczyni musi znajdować się pod wpływem działania bardzo silnego środka pobudzającego... najprawdopodobniej carsunum. Kobieta wyraźnie się trzęsła. Lufa jej blastera zataczała w powietrzu to większe, to mniejsze kręgi. Bria zmrużyła oczy. Nie przestawała obserwować, jak blaster stopniowo opada w kierunku płyt pokładu... W końcu poddana działaniu narkotyku kobieta chyba zrezygnowała z dalszych prób zrozumienia osoby, która podejmowała się czegoś z czego nie zamierzała odnieść żadnych korzyści dla siebie. Rozluźniła mięśnie i omal nie wypuściła broni.

W tej samej sekundzie Bria uniosła gotowy do strzału pistolet. Wymierzyła w strażniczkę, ale kiedy ujrzała, że kobieta składa się do strzału, odskoczyła pod samą ścianę. Jej przeciwniczka strzeliła, chybiając. Ciałem poganiaczki niewolników nie przestawały wstrząsać coraz silniejsze dreszcze. Laserowa błyskawica nawet nie musnęła Korelianki. Bria wymierzyła i przycisnęła guzik spustowy. Trafiła ślaniającą się na nogach kobietę w środek piersi. Strażniczka krzyknęła i runęła na wznak na płyty pokładu.

Kiedy Bria ujrzała, że blaster wypadł z jej dłoni podeszła do niej i kopnięciem odrzuciła broń w przeciwny kraniec korytarza. Spojrzała z góry na leżącą strażniczkę. W jej klatce piersiowej ziała wielka dymiąca dziura. Kobieta z trudem oddychała. Bria przyłożyła wylot lufy pistoletu do jej skroni.

- Chcesz? - zapytała.

Jej przeciwniczka powoli pokręciła głową. Kilka razy próbowała, zanim zdołała znaleźć właściwe słowa:

- N... nie - wyrzęziła. - Ja... chcę... chcę... żyć.

Bria wzruszyła ramionami.

- Nie mam nic przeciwko temu - oświadczyła. - Ale zostało ci najwyżej pięć minut życia.

Nie wypuszczając pistoletu, odwróciła się i podążyła w stronę zamkniętej ładowni.

Musiała posłużyć się bronią, żeby stopić zamek. Usłyszała dobiegające ze środka paniczne okrzyki. Otworzyła drzwi.

Kiedy przekraczała próg, w jej nozdrza uderzył trudny do opisu fetor setek ciał ludzi i obcych istot. Poraził ją niczym cios obuchem; wytoczył się ze środka jak coś niemal materialnego, namacalnego.

Bria powiodła spojrzeniem po tłumie jęczących, zawodzących i płaczących pielgrzymów, którzy, usiłując oddalić się od niej, zbili się w jeszcze ciaśniejszą gromadę.

Niektórzy wyciągali ku niej cienkie, podobne do szponów ręce i usiłując przekrzywić wszystkich pozostałych, błagali:

- Chcemy kapłana! Musimy mieć kapłana! Sprowadź do nas kapłana! Chcemy do domu!

Pani komandor poczuła, że zbiera się jej na mdłości. Z trudem się opanowała. Ja też mogłam tak wyglądać - pomyślała. - Jakieś dziesięć lat wcześniej i ja mogłam się tak skomleć. I skomlałabym, gdyby nie Han Solo.

Nagle usłyszała dobiegający zza pleców odgłos kroków. Sprężyła się i odwróciła, unosząc pistolet. Chwilę później rozluźniła się, kiedy ujrzała Daina Hyksa. Oficer medyczny uniósł brwi i zapytał:

- Trochę zdenerwowana, pani komandor? Bria zmusiła się do uśmiechu.

- Może odrobinę - przyznała.

- Czy to ma coś wspólnego z tą zabitą kobietą na korytarzu? -nie dawał za wygraną medyk.

- Nie - odparła Bria, chowając pistolet do kabury. Z niesmakiem uświadomiła sobie, że teraz ona drży. - Już raczej z nimi. -Kiwnęła głową w stronę udreńczonych niewolników. - Należą teraz do pana, Hyx. Będzie pan miał pełne ręce roboty.

Oficer medyczny kiwnął głową. Obserwował przyszłych pacjentów z zawodowym zainteresowaniem, ale i z troską, właściwą dobrym lekarzom.

- Jak szybko „Kajdany” będą gotowe do spotkania z transportowcem? - zapytał.

Bria spojrzała na chronometr.

- Zakładałam, że opanowanie statku i przywrócenie sprawności wszystkich podzespołów zajmie mniej więcej trzydzieści pięć minut - rzekła. - Uplęło trzydzieści dziewięć. W każdej chwili spodziewam się...

Rozległ się pisk komunikatora. Bria uśmiechnęła się i włączyła urządzenie.

- Tu dowódca Czerwonej Ręki - powiedziała.

- Pani komandor, mówi Jace Paol. Opanowaliśmy wszystkie pomieszczenia statku. Ekipa techniczna melduje, że „Kajdany” są sprawne i gotowe do skoku w nadprzestrzeń. Czy mam wpisywać współrzędne punktu spotkania?

- Zrozumiałam, Jace - odparła Korelianka. - Skontaktuję się z kapitanem „Zemsty”. Proszę powiedzieć porucznikowi Hetharowi, że może odlatywać. „Oswobodzieciel” jest już gotów do przejścia pielgrzymów.

- Zrozumiałem i wykonuję, pani komandor.

Bria wystukała na klawiaturze komunikatora inną częstotliwość.

- Kapitanie Bjalin, tu dowódca Czerwonej Ręki - powiedziała. - Opanowaliśmy „Kajdany Heloty” razem z ładunkiem. Proszę przygotować się do spotkania z „Oswobodzicielem” w wyznaczonym punkcie przestworzy.

- Zrozumiałem, dowódco Czerwonej Ręki. Spotkamy się tam z panią. Aha... jeszcze jedno.

- Tak, panie Bjalin?

- Gratuluję szybkiego i sprawnego przeprowadzenia akcji.

- Dziękuję - rzekła Bria, po czym przerwała połączenie.

Dwa miesiące później Bria, składając jedną z rzadkich wizyt na Korelii, weszła szybko do gabinetu dowódcy koreliańskich Rebeliantów. Pianat Torbul - niski, ciemnowłosy mężczyzna o pełnych wyrazu ciemnych oczach, na jej widok uniósł głowę, ale nie wstał zza biurka.

- Witam w domu - powiedział. - Spóźniłaś się. Oczekiwałem, że zameldujesz się dwa dni temu.

- Przepraszam pana - odezwała się Bria skruszonym tonem. - Lecząc tu, odebrałam pilne wołanie o ratunek i musiałam pomóc w uwolnieniu „Dumy Rubieży” spod opieki kilku imperialnych patrolowców. „Zemsta” została trafiona, wskutek czego uszkodzeniu uległa jednostka napędu podświetlnego. Naprawa zajęła nam całą standardową dobę.

- Wiem o tym - oznajmił dowódca. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, którego czarowi rzadko kto umiał się oprzeć. - Otrzymaliśmy raport „Dumy”. Nie bądź taka skromna, Tharen.

Bria także się uśmiechnęła. Zachęcona zapraszającym gestem mężczyzny, usiadła naprzeciwko niego po drugiej stronie biurka.

- Mój raport także pan otrzymał? - zapytała.

- Otrzymałem - przytaknął Torbul. - Wygląda na to, że twój przyjaciel Hyx poczynił znaczne postępy w leczeniu pielgrzymów, których uwolniłaś z ładowni „Kajdan Heloty”. Wielu z nich wróciło do normalnego życia. Gratuluję. Twoja wiara w niego oraz nowa terapia przynosi owoce.

Bria kiwnęła głową. W jej oczach pojawiły się dziwne błyski.

- Przywrócenie tych ludzi do normalnego życia wiele dla mnie znaczy - rzekła. - Ich rodziny nie posiadają się ze szczęścia. Nieszczęśnicy znów będą mogli żyć jak normalni ludzie... w godności i spokoju...

- Rzecz jasna, chyba że zechcą się do nas przyłączyć - przerwał jej mężczyzna. - Kilkoro spośród tych, którzy najszybciej odzyskali siły i zdrowie, już zgłosiło się do nas z taką propozycją. Dopiero za kilka miesięcy zupełnie odzyskają siły. Wygląda na to, że niedożywienie jest ważnym elementem prania mózgu, któremu poddają ich kapłani na Ilezji.

Bria kiwnęła głową.

- Pamiętam, że cały czas krwawiły mi dziąsła - powiedziała.

- Nim zniknęła większość objawów, minęły dwa miesiące. Musiałam przestawić się na zupełnie inną, przyzwoitą dietę.

Mężczyzna zerknął na ekran komputerowego notatnika.

- „Cajdany Heloty” już niedługo opuszczą stocznię, przygotowane do walki o słuszną sprawę - powiedział, mrużąc oko. - Przyda się nam ten okręt, Tharen. Jesteśmy wdzięczni że go dla nas zdobyłaś. A jeżeli już o tym mowa... Może chciałabyś nadać mu nowe imię?

Bria zastanawiała się chwilę.

- Bardzo chętnie - odrzekła w końcu. - Proszę go nazwać: „Emancypator”.

- Doskonała nazwa - ucieszył się Torbul. - A zatem, od tej chwili nazywa się „Emancypator”.

Wyłączył komputerowy notatnik i oparłszy łokcie o blat biurka, pochylił się ku kobiecie.

- Brio... - zaczął cicho. - Teraz, kiedy załatwiliśmy wszystkie oficjalne sprawy, muszę powiedzieć ci, że jestem trochę zaniepokojony niektórymi fragmentami twojego ostatniego raportu.

Oczy Korelianki rozszerzyły się ze zdumienia. - Ależ, panie...

- Och, nie zrozum mnie źle, Tharen - przerwał jej dowódca.

- Jesteś doświadczonym żołnierzem i zdolną przywódczynią. Nikt temu nie przeczy. Tylko... przypomnij sobie przydomek, jaki nadali ci handlarze niewolników, a twoi ludzie tak chętnie podchwycili. Czerwona Ręka. Symbol bezwzględności. Przeczytaj uważnie raport z przechwycenia „Kajdan Heloty”, jaki mi złożyłaś. Żadnych jeńców. Ani jednego. Bria napięła mięśnie.

- To byli poganiacze i handlarze niewolników - odparła równie cicho. - Doskonale wiedzieli, jak traktuje się ich w cywilizowanym świecie. Stawiali zacięty opór. Walczyli do upadłego. Żaden nie chciał się poddać. Wszyscy zginęli.

- Rozumiem... - odezwał się po chwili namysłu Torbul. Długo, bardzo długo patrzył w oczy kobiety, ale to on pierwszy zrezygnował i odwrócił głowę.

Zapadła niezręczna cisza. Dowódca Rebeliantów przerwał ją chrząknięciem.

- Sytuacja na Odległych Rubieżach staje się coraz bardziej napięta - odezwał się w końcu. - Tamtejsi Rebelianci są bardzo słabi. Mają niewielu ludzi. Chciałbym, żeby Czerwona Ręka spędziła tam trochę czasu i jeżeli okaże się konieczne, służyła pomocą miejscowym powstańcom.

- Tak jest, proszę pana - odparła bez entuzjazmu Bria. - Mam jeszcze jedną sprawę...

- Tak?

- Chyba wiem, gdzie możemy znaleźć wielu nowych rekrutów.

- Gdzie? - zainteresował się Korelianin.

- No cóż, dotychczas nasza skuteczność w leczeniu ilezjańskich pielgrzymów z nalogu nie przekraczała pięćdziesięciu procent, prawda? - zaczęła Bria. - Pamięta pan? Złożyłam raport na ten temat.

Mężczyzna kiwnął głową.

- Jeżeli zastosujemy nową terapię Daina, osiągniemy o wiele lepsze rezultaty. Jeżeli wykorzystamy ją do leczenia pielgrzymów, których zabraliśmy z Bazy Greny, jej skuteczność może wynieść więcej niż dziewięćdziesiąt procent.

- To bardzo ciekawe - przyznał mężczyzna. - Tylko co to ma wspólnego z werbunkiem nowych rekrutów?

Bria pochyliła się nad blatem biurka i wbiła szmaragdowo-błękitne spojrzenie w ciemne oczy dowódcy Rebeliantów.

- Proszę pana... - zaczęła. - Na Ilezji przebywa w tej chwili ponad osiem tysięcy pielgrzymów.

Mężczyzna się wyprostował.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Tharen? - zapytał.

- Proszę mi pomóc... - W głosie Korelianki zabrzmiała błagalna nuta. - Proszę przydzielić mi stary transportowiec wojska, kilka dodatkowych gwiazdnych krążowników i kilka oddziałów żołnierzy. Zaatakuję planetę. Zakończę proceder handlu niewolnikami. Opanujemy wszystkie kolonie, uwolnimy więzionych tam nieszczęśników. Będziemy mieli setki nowych rekrutów.

- To wielka niewiadoma - oznajmił wyższy stopniem oficer.

- Wiem, proszę pana. Uważam jednak, że warto podjąć to ryzyko.

- Brakuje nam żołnierzy - odezwał się po chwili namysłu dowódca rebeliantów. - Na całej Korellii nie znajdzie się tylu członków ruchu oporu, ilu potrzeba, żeby zaatakować planetę!

- Każdego dnia przylatują nowi ochotnicy z Alderaana - przypomniała Bria. Było to zgodne z prawdą. - Pośród ilezjańskich pielgrzymów jest wielu Bothan i Sullustan. Te dwie planety także mogą przysłać statki i żołnierzy. A co z Chandriłą, która także przystąpiła do nowego Sojuszu Rebeliantów? Jej przedstawiciele przysięgali, że pomogą nam w potrzebie!

- Rekruci... - powtórzył z namysłem mężczyzna. - Brzmi zachęcająco.

Bria pokiwała energicznie głową.

- Proszę pana, to się może udać - powiedziała. - Uwolnimy wszystkich nieszczęśników. Przy okazji zabierzemy i sprzedamy na wolnym rynku towary, które znajdziemy w magazynach. Proszę tylko pomyśleć, ile turbolaserów czy protonowych torped będzie pan mógł kupić za kredyty, jakie dostaniemy za przyprawę! Kiedy zaś opróżnimy składy, zbombardujemy wszystko, nie wyłączając przetwórci. Ilezja i jej haniebny proceder staną się przeszłością!

Bria uświadomiła sobie, że dała się ponieść, ale była tak podniecona, że nie dbała o to. Stwierdziła jednak, że dłonie jej drżą, i na wszelki wypadek chwyciła brzeg biurka. Nie chciała, żeby przełożony to zauważył.

- Nie sądzę, żeby dowódcy ruchu oporu zechcieli brać się za handel przyprawą, aby zdobyć kredyty na finansowanie Rebelii - stwierdził sceptycznie Torbul.

- A zatem, z całym szacunkiem, niech pan im nie mówi, skąd wzięły się te kredyty! - Na twarzy Korelianki pojawił się drapieżny uśmiech. - I pan, i ja dobrze wiemy, że nie zechcą zaglądać darowanemu traladonowi w zęby. Przyjmą kredyty i zaczną je wydawać. Potrzebujemy więcej broni, zapasów leków, mundurów, amunicji... sam pan najlepiej wie, czego jeszcze.

- To prawda - przyznał po chwili namysłu mężczyzna. - Organizowanie ruchu oporu to kosztowne przedsięwzięcie.

- Proszę to przemyśleć - rzekła z naciskiem Bria. - Wiem już, jak Czerwona Ręka mogłaby przeprowadzić tę akcję z powodzeniem. Kiedy Ilezja przestanie ściągać najodważniejszych i najbardziej przedsiębiorczych Korelian, większość z nich przyłączy się do Rebeliantów. Młodzi ludzie, niezadowoleni z dotychczasowego trybu życia i przeciwni płaceniu ogromnych podatków, z pewnością nie zechcą siedzieć z założonymi rękami. Zaczną rozglądać się za okazją. To właśnie na takich ludziach najbardziej nam zależy.

- To wszystko prawda - oznajmił Korelianin. - A jednak... Czy wzięłaś pod uwagę wszystkie trudności? Czy uwzględniłaś zagrożenie, jakie może stanowić ilezjańska atmosfera? Dwa i pół roku wcześniej udało ci się uwolnić z ilezjańskich kolonii stu pielgrzymów. ... ale podczas przelotu przez tę piekielną atmosferę straciliśmy jeden statek. To dlatego tamtejsi kapłani nie muszą instalować żadnych systemów obronnych. Najlepszą ochronę stanowią szalejące w warstwach atmosfery zdradzieckie huragany i burze.

Na wspomnienie tamtej tragedii rysy twarzy Brii stężały.

- Ostrzegałam ich, ale... - zaczęła i urwała. - Podmuchał wicher po prostu pochwycił ich statek... - dodała po chwili.

- Tharen... to nie była twoja wina - powiedział Torbul. - Ale powinniśmy się liczyć z podobnymi niespodziankami. Ci z dowództwa z pewnością zechcą nam o tym przypomnieć.

Korelianka kiwnęła głową.

- Myślę o tym, proszę pana - rzekła cicho. - Musi istnieć jakiś sposób przedarcia się przez tę atmosferę. Może powinniśmy zdobyć lepszych pilotów? Nasi ludzie są pełni entuzjazmu, ale... prawdę mówiąc, nie mają dużego doświadczenia. Musimy szybko szkolić nowych, a do tego potrzeba czasu i wykwalifikowanych nauczycieli...

- To prawda - przyznał dowódca Rebeliantów. - Nasze symulatory też pozostawiają wiele do życzenia. Zanim piloci ukończą szkolenie, muszą nabrać większej wprawy.

Bria wstała i pochyliła się nad blatem biurka.

- Proszę pana... - zaczęła - na razie chciałabym tylko uzyskać obietnicę, że zastanowi się pan nad moją propozycją. Wiem, że dałabym sobie radę. Już teraz mam kilka pomysłów, skąd wziąć środki na finansowanie wyprawy. Proszę przynajmniej to przemyśleć, zgoda?

Mężczyzna obdarzył ją przeciągłym, zamyślnym spojrzeniem.

- Zgoda, Tharen - odezwał się w końcu. - Obiecuję, że się nad tym zastanowię.

- Dziękuję panu.

INTERLUDIUM 1

SEKTOR WSPÓLNY

Ubrany tylko w spodnie, Han Solo wyszedł z sypialni małego mieszkańca Jessy. Stapał ostrożnie, boso, żeby nie narobić hałasu. Mieszkanie znajdowało się na terenie kierowanej przez ojca Jessy, Doca, technicznej bazy przemytników. Baza wyglądała schludnie, lecz odpychająco i ponuro. Mimo to mieszkania Doca i Jessy były zaskakująco dobrzeumeblowane i przytulne.

Han ziewnął i podrapał się po głowie. Jeszcze bardziej rozwichrzył włosy, które i tak od dawna domagały się grzebienia. Kiedy znalazł się w salonie, rzucił się na elegancki tapczan, aż jęknęły sprężyny. Sięgnął po sterownik i włączył wielki, luksusowy zestaw wizyjny.

Właśnie nadawano oficjalne wiadomości i komunikaty Władz Sektora Wspólnego. Han wpatrywał się w ekran z cynicznym uśmiechem. Z każdym dniem Władze postępowały coraz ostrzej. Niedługo sięgną po środki represji, z jakich dotąd korzystało tylko Imperium...

Na szczęście „Sokół Millenium” osiągnął szczyt swoich możliwości. Zanim Doc został schwytany i przetransportowany do więzienia na Krańcu Gwiazd, zdążył jeszcze bardziej unowocześnić jednostkę napędu nadświetlnego. Frachtowiec wyciągał teraz zero koma pięć powyżej prędkości światła. Powinienem bez trudu uciec wszystkim jednostkom, jakie zechce za mną wysłać Imperium - pomyślał Solo. - Albo Władze Sektora Wspólnego, jeżeli już o tym mowa.

Pragnąc zachęcić Hana, żeby wyruszył na poszukiwania jej ojca, Jessa zainstalowała na kadłubie „Sokoła” nowy zestaw sensorów i paraboliczną antenę w miejsce urządzeń, które uległy uszkodzeniu podczas walki ze statkiem rządowym Władz Sektora.

Potem, już po uwolnieniu Doca, wdzięczna Jessa jeszcze bardziej zmodernizowała podzespoły „Sokoła”. Zainstalowała najnowszy system śledzenia i naprawiła wszystkie uszkodzenia kadłuba, jakie frachtowiec typu YT-1300 odniósł do tej pory. Han zastanawiał się nawet, czy nie pokryć pancerza nową warstwą lakieru -tak, by statek sprawiał wrażenie niedawno wypuszczonego ze stoczni - ale po namyśle zrezygnował. Doszedł do przekonania, że skuteczniej wywiedzie nieprzyjaciół w pole, jeżeli „Sokół” będzie przypominał pokiereszowaną kupę złomu.

Z pewnością nikt się nie może spodziewać, że grat, który na pierwszy rzut oka wygląda jak niechlujna, rozpadająca się balia, ma na pokładzie jednostkę napędu nadświetlnego taką, jak okręty Imperialnej Marynarki... tylko lepszą, bo udoskonaloną przez najlepszego technika całej galaktyki. Kapitanowi żadnego imperialnego patrolowca nie przyjdzie nawet do głowy, że ścigany statek może dysponować zestawami najczulszych, najnowszych skanerów, najdoskonalszym systemem zakłócania łączności

i wieloma innymi urządzeniami oraz podzespołami, którymi Han, nie skąpiąc kredytów, obdarzył swoją ukochaną zabawkę.

Jessa wciąż jeszcze spała w sąsiednim pokoju. Han wyciągnął się na tapczanie i położył boscie stopy na blacie stołu. Pomyślał o Jessie. Kiedy leciał do Sektora Wspólnego, nie przypuszczał, że spotka go taka niespodzianka. On i Jessa spędzili razem wiele miłych chwil...

Któregoś dnia wybrali się „Sokołem” do jednego z najbardziej szykownych, ekstrawaganckich i najdroższych kasyn sąsiedniego sektora, gdzie odziani w eleganckie stroje, grali wiele godzin. Później Jessa udała się do fryzjera i kazała ułożyć złociste włosy w wymyślne pukle, a niektóre pasma ufarbować na czerwono. Kupiła także niezwykle śmiałą szkarłatną obcisłą suknię, która bardzo efektownie uwypuklała kształty jej ciała... Han był zachwycony i dumny, że może przebywać w towarzystwie Jessy i wiele razy zapewniał ją, iż jest najpiękniejszą kobietą, jaka tego wieczora odwiedziła kasyno.

Gdy na ekranie odbiornika przestały ukazywać się informacje Władz Sektora Wspólnego, pojawiły się krótkie komunikaty Imperium. Oddziały Palpatine'a stłumiły jeszcze jedno powstanie na kolejnej planecie... Han skrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego. Znow to samo - pomyślał. - Ta sama stara historia. Zastanawiał się, co może teraz zrobić Salla. Ciekawe, czy nadal jest na niego wściekła? Domyślał się, że tak. Jak to dobrze, że nie przyleciała do Sektora Wspólnego i nie widziała go w towarzystwie Jessy. Była okropną zazdrośnicą. Umiała radzić sobie w życiu, ale Han mógł powiedzieć to samo o Jess. Był głęboko wdzięczny losowi za to, że obie kobiety najpewniej nigdy się nie spotkają.

Zastanawiając się nad tym, jak też może sobie radzić Salla, nie mógł nie pomyśleć, co słychać u Landa, Jarika, Shuga i Mąka. Przypomniawsobiesobie Jabbę i poczuł nawet coś w rodzaju sympatii i nostalgii. Założyłby się, że lord Hurtów miał duże trudności ze znalezieniem równie dobrego pilota. Han podejrzewał, że gdyby kiedykolwiek wrócił do opanowanego przez Imperium rejonu galaktyki, Jabba powitałby go z otwartymi ramionami... Na samą myśl o tym, że mógłby znaleźć się w ramionach Hutta, poczuł obrzydzenie.

Na ekranie odbiornika obrazów pojawił się następny krótki komunikat Imperium. Palpatine wydał oświadczenie, że wszelki opór Rebeliantów w rejonie Odległych Rubieży został stłumiony. Jasne - pomyślał Solo. - Akurat. Tamte okolice musiały przysparzać wojskom Imperium coraz więcej kłopotów...

Zastanawiał się, czy przypadkiem Bria nie jest w to zamieszana. Możliwe, że to ona nęka i atakuje imperialne garnizony... A może znow zajęła się szpiegowaniem?

Han westchnął ciężko. Właśnie uświadomił sobie, że zaczyna tęsknić za księżycem Nar Shaddaa. Sektor Wspólny był miłym i wesołym miejscem, gdzie mógł zabić się i zarobić mnóstwo kredytów, ale... no cóż, nie czuł się tu jak w domu.

Przez głowę przemknęła mu myśl, by zakończyć wszystkie operacje w Sektorze Wspólnym - nawet gdyby miało to wiązać się ze stratami - i wrócić do sektorów opanowanych przez Imperium. A jeżeli nie, chyba najwyższy czas wyruszyć w drogę i poszukać w Sektorze Wspólnym innego miejsca, w którym dzieją się ciekawe rzeczy (to

znaczy - gdzie można coś zarobić). Obiecywał wprawdzie Jessie, że pomoże jej i Dowski w walce z Władzami Sektora Wspólnego; wiedział jednak, że oznacza to nadstawianie własnego karku. A poza tym - właściwie nie był jej nic winien. Przecież uwolnił z więzienia jej ojca, prawda? Czy nie ryzykował że przyplaci to życiem? Cichy głos sumienia przypominał mu jednak, że w rzeczywistości wyruszył na tę wyprawę, by uwolnić Chewiego. Nie mógł przecież dopuścić, żeby wierny druh zgnił w więzieniu Władz Sektora.

A jednak... Mimo iż na razie wszystko układało się jak najlepiej, Han domyślał się, że taka sielanka nie może trwać wiecznie. Na razie on i Jessa czuli się świetnie w swoim towarzystwie. Na razie miło spędzali czas we dwoje. Może więc, zanim zdecyduje się na coś innego, powinien poczekać jeszcze miesiąc... albo dwa... albo trzy....

- Hanie? - usłyszał zaspany głos, dobiegający z sypialni.

- Jestem w salonie, kochanie! - odpowiedział. - Oglądam wideowiadomości.

Pstryknął wyłącznikiem sterownika, a potem wstał i udał się do mikroskopijnej kuchni. Pomyślał, że przyrządzi Jessie filiżankę importowanej stymoherbaty, za którą tak przepadała. A potem zanieśie tacę do sypialni...

ROZDZIAŁ

8

KRÓLOWA IMPERIUM

Boba Fett stał w kolejce i cierpliwie czekał, żeby wejść na pokład luksusowego statku pasażerskiego „Królowa Imperium”. Statek zdążył na Velgę Jeden, ale lądował po drodze w kilku innych miejscach. Liniowiec wyglądał dokładnie tak samo, jak inna należąca do Haj Shipping Linę jednostka, „Gwiazda Imperium” -a przynajmniej wydawał się równie ogromny i okazały.

Boba Fett zamierzał rozpocząć podróż z orbitalnej platformy cumowniczej, ale ponieważ taki sam zamiar powzięło prawie tysiąc innych podróżnych, w każdej kolejce czekało po kilkaset inteligentnych istot. Widząc, jak powoli posuwają się kolejki Boba, wzruszył ramionami. Zanim będzie mógł wnieść ciężki podręczny neseser do swojej kabiny, upłynie co najmniej dziesięć minut, a może nawet cały kwadrans.

W pewnej chwili czekająca przed nim istota postąpiła kilka kroków do przodu. Łowca nagród pchnął stopą neseser i znów zajął miejsce obok swego bagażu. Kilka sekund zastanawiał się, co by się stało, gdyby nagle przestał udawać, że jest Anomidem, i objawił się pozostałym pasażerom jako Boba Fett, zakuty w mandaloriańską zbroję słynny łowca nagród.

Już dawno stwierdził, że jego zajęcie wymaga przebieżanek. Najczęściej wcielał się w Anomida, gdyż tradycyjne stroje istot tej rasy nie odsłaniały ani kawałka ciała. Smukłe humanoidalne istoty zamieszkiwały system Yablari. Zazwyczaj nosiły obszerne ubrania, które okrywały ich od sześciopalczastych stóp po ukryte pod kapturami głowy. Na dłonie wkładały rękawice, a na twarze - wyposażone w aparaty głosowe maski, tak więc rzadko kto miał okazję oglądać ich białawą, opalizującą skórę. Anomidowie mieli szarawe cienkie włosy, uszy w kształcie liści i ogromne, srebrzysto-błękitne oczy.

Rzecz jasna, Boba Fett nosił pod maską Anomida własną maskę - aczkolwiek ta, którą zamówił, pragnąc wyglądać jak obca istota, prawie niczym nie różniła się od maski mieszkańca Yablari. Sporządzona przez najlepszych rzemieślników, wiernie powtarzała każdy ruch mięśni twarzy. Nawet srebrzysto-błękitne „oczy” wykonano w taki sposób, aby łowca nagród mógł widzieć wszystko prawie tak samo ostro i wyraźnie, jakby nie nosił na twarzy maski Anomida.

Mimo to czuł się nieswojo. Ponieważ nie miał zbroi i nie mógł korzystać ze wzmacniaczy zmysłów, odnosił niesamowite wrażenie, że jest nagi. Najbardziej doskwierał mu brak makrolornetki, sensorów ruchu, dźwięku oraz podczerwieni, a także wielu innych urządzeń, których sygnały mógł oglądać wewnątrz hełmu. Nosząc tylko szaty Anomida - płaszcz z kapturem, rękawice i maskę - czuł się bezbronny jak nowo narodzone dziecko.

Wiedział jednak, że nie może zrezygnować z przebrania. Gdyby spróbował wejść na pokład „Królowej” jako Boba Fett, wywołałby panikę. Prawdopodobnie członkowie załogi i pasażerowie do-szliby do przekonania, że to któryś z nich jest przyszlą ofiarą.

Mężczyzna już dawno zauważył, że wszyscy mieli coś na sumieniu. Każda inteligentna istota kiedyś zrobiła coś, co - w jej mniemaniu - mogło okazać się wystarczającym powodem, by wyznaczono nagrodę za jej głowę. A ten, który kiedyś nazywał się Jaster Mareel i był Wędrownym Protektorem, a potem przemienił się w Bobę Fetta, najślynniejszego i najbardziej bezwzględne go łowcę nagród w całej galaktyce, od wielu lat obserwował uważnie reakcje ludzi. Uganiając się za ofiarami po różnych planetach, miał po temu okazji co niemiara.

Wciąż pamiętał, jak zmienił się wyraz twarzy pewnej matki trzymającej niemowlę. Kiedy kobieta go ujrzała, w jej oczach odmalowało się przerażenie. Przytuliła dziecko do piersi, jakby sądziła, że łowca nagród zechce wyrwać maleństwo z jej rąk i zaciągnąć oboje na miejsce kaźni. Nieszczęśnicy, których mijał, wpadali w panikę. Najczęściej klękali przed nim albo kładli się na podłódze. Z błagalnym wyrazem twarzy wyznawali ciężkie przewinienia (przeważnie wymagowane) i prosili go o zmiłowanie. Gdy odchodził, nie zwróciwszy na nich uwagi, wstawali i odczuwali zarazem oburzenie i ulgę. Przeważnie żalowali, że bez potrzeby poniżyli się i wyznali od dawna skrywane tajemnice...

Stojąca przed nim istota znów przeszła kilka kroków bliżej wejścia. Boba Fett raczej z obowiązku niż z potrzeby powiódł spojrzeniem po innych pasażerach. Prawdę mówiąc, nie spodziewał się, że ujrzy swą ofiarę. Wiedział, że Bria Tharen weszła na pokład luksusowego liniowca na poprzednim przystanku, kiedy „Królowa” wylądowała na Korelii. Istniało małe prawdopodobieństwo, że kobieta zechce opuścić pokład na krótki czas, niezbędny, aby mogli wejść wszyscy, którzy chcieli rozpocząć podróż z platformy Gindine.

Poprzednia próba pochwylenia Brii Tharen zakończyła się niepowodzeniem. Korelianka leciała wtedy także „Królową”. Podróżowała pod przybranym nazwiskiem i weszła na pokład dosłownie kilka minut przed odlotem. Mimo iż armator „Królowej” - Haj Shipping Linę - pozostawał lojalny wobec Imperium, krążyły pogłoski, że potajemnie oddaje drobne przysługi także Sojuszowi Rebeliantów. Zapewne dlatego kobiecie udało się wsiąść w ostatniej chwili przed startem.

Teraz także Bria Tharen podróżowała pod przybranym nazwiskiem, aczkolwiek innym niż poprzednio. Tym razem podała, że nazywa się Bria Lawal i jest gwiazdką kabaretową oraz piosenkarką. Oświadczyła, że ma występować w Jaskini Hazardu - jednym z największych kasyn na księżycu Nar Shaddaa.

Boba Fett korzystał z wielu źródeł informacji w różnych miejscach galaktyki. Ponieważ od czasu do czasu zdarzało mu się przyjmować zlecenia od dostojników Imperium, uzyskał dostęp do niektórych słabiej strzeżonych imperialnych archiwów i baz danych. Korzystał z serwisów informacyjnych różnych agencji; miał także do dyspozycji bazy danych Gildii.

Wszystkie systemy gromadzenia i wyszukiwania informacji zaprogramował w taki sposób, aby dawały mu szybko znać, ilekroć wykryją pojawienie się nazwiska albo cech fizycznych poszukiwanych osób. Różnym osobom nadał różne priorytety. Nie zdziwił się więc, kiedy pewnego ranka zauważył na ekranie monitora słowa „Bria Lawal” - razem z krótką informacją, że kobieta o tym imieniu i nazwisku weszła na pokład „Królowej Imperium”, nim liniowiec odleciał z Korelii. Łowca nagród pospiesznie sprawdził dane oraz cechy fizyczne. Istniało ponad siedemdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że Bria Lawal jest Brią Tharen - panią komandor korelińskiego ruchu oporu.

Pragnąc się upewnić, musiał zobaczyć tę kobietę na własne oczy... a zatem cierpliwie stał w kolejce istot, które zamierzały wejść na pokład ogromnego liniowca.

„Królowa Imperium” miała dwa kilometry długości i mogła zabrać pięć tysięcy pasażerów. Na pokładzie znajdowały się prawie wszystkie atrakcje, o jakich tylko zamarzyły inteligentne istoty różnych ras i z różnych planet: kryte baseny i pływalnie z mineralizowaną wodą, sale treningowe i kasyna, a także pomieszczenia o zerowej sile grawitacji i luksusowe sklepy, gdzie zamożni turyści mogli wydać mnóstwo kredytów.

Boba Fett znów pchnął stopą ciężki neseser i przeszedł kilka kroków, żeby się z nim zrównać. W zakamuflowanych przegrodach ukrył elementy madaloriańskiej zbroi oraz kilka starannie dobranych i przygotowanych sztuk broni. Boczne ścianki nesesera wzmocniono duriniowymi wkładkami, nie przepuszczającymi promieni skanerów. W zewnętrznej warstwie wykładziny umieszczono mikrominiaturowe nadajniki. Ich zadanie polegało na generowaniu fałszywych obrazów, tak by na ekranach monitorów skanerów ukazywały się wizerunki nieszkodliwych przedmiotów osobistego użytku.

Kiedy Fett dotarł w końcu do biurka urzędnika, okazał dokument identyfikacyjny, bilet i czeki kredytowe. Przedstawiciel armatora sprawdził, czy ma rezerwację, a potem zaproponował, że zawoła bagażowego androida. Starając się zachowywać jak najuprzejmiej, Fett odmówił. Z ukrytego wewnątrz maski aparatu głosowego rozległ się chrapliwy głos, trochę przypominający dźwięki, które wydaje pilowany metal.

Porozumiewając się ze sobą, Anomidowie nie mówili, ale wymieniali uwagi za pomocą wymyślnych i bardzo pięknych gestów. Słynęli z uczynności i towarzyskości. Boba Fett miał nadzieję, że na pokładzie „Królowej” nie spotka innych Anomidów. Musiałby wtedy oświadczyć, że jest chory, i pozostać w kabinie. Nie potrafił porozumiewać się za pomocą anomidzkich gestów.

Wkrótce przekonał się, że na pokładzie liniowca nie podróżuje ani jeden mieszkaniec Yablari.

Starannie zamknął drzwi kabiny, a później schował neseser. Przedtem jednak włączył urządzenie chroniące bagaż przed kradzieżą. Każdy, kto na swoje nieszczęście spróbuje otworzyć albo wynieść neseser z kabiny, straci palce... albo nawet rękę.

Z harmonogramu lotu wynikało, że po drodze na Velgę Jeden „Królowa” wylądzuje w kilku miejscach. Część planowanej trasy lotu wiodła jednak przez najbardziej niebezpieczne okolice imperialnych przestworzy... między innymi przez obszar opanowany przez Huttów. Jednym z przystanków miał być nawet księżyc Nar Hetta. Wprawdzie nie cieszył się on opinią rajskiego zakątka, ale uchodził za oazę spokoju w porównaniu z planetą Nal Hutta czy księżycem Nar Shaddaa. Fett podejrzewał, że Bria zdecydowała się na podróż liniowcem, ponieważ był to największy i zapewne najbezpieczniejszy ze środków transportu. Ostatnio ataki piratów coraz bardziej dawały się wszystkim we znaki.

W ciągu następných trzech dni Boba Fett, przebrany za Anomida, przechadzał się po korytarzach, salonach i pokładach. Starał się jednak z nikim nie rozmawiać ani nie zawierać żadnych znajomości. Już pierwszego dnia ujrzał Brie Tharen, a potem dyskretnie ją śledził, aby przekonać się, gdzie znajduje się jej kabina. Kobieta dzieliła luksusowy apartament z trzema mężczyznami. Dwaj starsi sprawiali wrażenie oficerów koreliańskiego ruchu oporu. Trzeci natomiast, trzydziestokilkuletnim wyglądał na zabijakę - doświadczonego żołnierza i zręcznego wojownika. Z pewnością pełnił obowiązki osobistego strażnika trojga funkcjonariuszy Sojuszu Rebeliantów.

Wszyscy mężczyźni - podobnie jak Bria Tharen - nosili cywilne ubrania. Kobieta rzadko opuszczała apartament sama. Zazwyczaj towarzyszyło jej kilku adoratorów, ale Fett zauważył, że Korelianka - mimo iż rozmawiała z nimi albo flirtowała - żadnego nie zaprosiła do swojej kabiny. Czasami grywała w sabaka, ale ani razu nie wygrała ani nie przegrała przesadnie dużej sumy. Od czasu do czasu odwiedzała luksusowe sklepy - nigdy jednak nie kupiła w nich nic kosztownego.

Fett postanowił, że na razie będzie ją tylko obserwował. Musiał bardzo starannie zaplanować całą akcję...

Lando Calrissian uwielbiał podróżować na pokładach luksusowych liniowców, a odkąd przegrał do Hana „Sokoła Millenium”, starał się nie robić nic innego. Odkąd Han i Vuffi Raa pokazali mu kilka sztuczek, nie bez racji uważał się za niezłego pilota. Mógł polecieć każdym używanym statkiem, zaparkowanym na swojej części lądowiska, ale nie miał na to ochoty. Wyglądało na to, że ciemnoskóry hazardzista nie przestaje rozglądać się za okazją, żeby kupić coś lepszego, stosowniejszego.

Jego wymarzona jednostka powinna mieć bardziej luksusowe wyposażenie niż funkcjonalny, ale mało komfortowy „Sokół”. Musi jednak być równie szybka i dobrze uzbrojona. Lando chciał kupić - możliwie tanio - jakiś gwiazdny jacht. Na razie jednak szczęście mu nie dopisywało.

A poza tym - na pokładach prywatnych statków nie było kasyn. Lando przepadał za kasynami. Starając się powiększyć zasoby płynnej gotówki, w ciągu ostatniego roku spędzał w nich mnóstwo czasu. Podczas wielkiego turnieju sabaka poniósł duże straty, ale od tamtej chwili zdołał pomnożyć otrzymane od Hana Solo półtora tysiąca kredytów co najmniej pięciokrotnie. Rzecz jasna, zwrócił przyjacielowi „pożyczoną” sumę kilka miesięcy przed odlotem Hana do Sektora Wspólnego.

Lando najchętniej przemierzał szlaki galaktyki na pokładach „Królowej Imperium” i jej bliźniaczki, „Gwiazdy Imperium”. Choć nie były tak szybkie jak niektóre nowocześniejsze jednostki, jednak nikt nie mógł mieć wątpliwości, że ich właściciele - Haj Shipping Linę - wiedzieli, jak budował pasażerskie liniowce. Najważniejsze jednak, że i „Królowa”, i „Gwiazda”, były duże, co ze względu na coraz częstsze ataki piratów, stanowiło cenną zaletę.

Tym razem, wracając do domu, Lando wybrał „Królową”. Pomyślał, że wysiadzie na księżycu Nar Hekka, skąd bez problemu doleci systemowym wahadłowcem na księżyc Nar Shaddaa. Tego wieczora miał na sobie najbardziej szykowny i najmodniejszy strój: czerwoną koszulę haftowaną w czarne wzory, obcisłe czarne spodnie oraz szkarłatno-czarną pelerynę, która układała się miękko na plecach i przy każdym ruchu mieniła się i lśniła. Ponieważ rankiem tego dnia hazardzista złożył wizytę u fryzjera, jego włosy były modnie uczesane, a wąsy starannie przystrzyżone. Czarne miękkie buty rzucały dyskretne błyski, jakby chciały podkreślić fakt, iż wykonano je z prawdziwej skóry numatrańskich węży. Calrissian wyglądał zabójczo... nie mógł nie zauważyć pełnych podziwu spojrzeń, jakim wodziły za nim niektóre bywalczynie barów, klubów i salonów.

Kiedy wygrał w kasynie „Królowej” całkiem sporą sumę w sabaka, udał się do najwytworniejszego nocnego klubu, Salonu Gwiazdowego Wiatru. Zajął miejsce przy wolnym stoliku i upewnił się, że torebka z kredytami spoczywa bezpiecznie ukryta w niewidocznej kieszeni, wszytej po wewnętrznej stronie koszuli. Podróżując na pokładzie „Królowej”, wygrał mniej więcej czterokrotną wartość biletu pierwszej klasy. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby zawsze osiągnąć takie zyski.

Ileokroć siadał do gier hazardowych - które traktował zawsze bardzo poważnie - zachowywał wstrzemięźliwość. Rzadko zamawiał jakiegokolwiek trunki. Teraz jednak, odprężony, powoli sączył tarkieniański koktajl zwany Nocnym Kwiatem i częstował się solonymi orzeszkami. Przekonał się, że zespół muzyczny Gwiazdowego Wiatru jest całkiem do rzeczy. Muzycy grali na przemian to stare przeboje, to znów nowoczesne, modne utwory. Wielu gości klubu wirowało na parkiecie. Lando powiódł spojrzeniem po sali - w nadziei, że tego wieczora nocny klub odwiedziło więcej niż zazwyczaj samotnych, urodziwych kobiet. Zastanawiał się, czy zobaczy taką, która wyrwie na nim na tyle silne wrażenie, że spróbuje zaprosić ją do tańca.

Wkrótce przyłapał się na tym, że raz po raz zerka na kobietę siedzącą w towarzystwie nie jednego, ale dwóch mężczyzn. Była istotą ludzką... i to zdumiewająco piękną. W długie, złocistorude włosy wpięła kilka ozdobionych szafirami grzebyków. Lando nie mógł oderwać oczu od jej figury i twarzy. Nie potrafiłby powiedzieć, czy jest emocjonalnie związana z którymś z towarzyszących jej mężczyzn. Zajmowała krzesło między nimi i uśmiechała się to do jednego, to do drugiego. Raz po raz pochylała głowę i słuchała, co jeden albo drugi szepcze jej do ucha. Im dłużej jednak Lando ją obserwował, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że żaden nie jest szczególnie bliski jej sercu. Co prawda, kobieta uśmiechała się do nich, ale jej spojrzenia mówiły, iż traktuje obu bardziej jak... kolegów niż... wybranków serca. Czasami, skłaniając głowę ku któ-

remuś, ocierała się ramieniem o jego ramię, ale nawet wówczas ów gest nie znamionował trwałej zażyłości.

Lando dopił trunku i chciał wstać, żeby podejść do tamtego stolika i poprosić urodziwą nieznajomą do tańca. W tej samej chwili jednak znakomity zespół muzyków z Rughii, Umjing Baab i jego Swingujące Trio, skończył grać kolejną wiązkę modnych utworów. W zespole grały tylko trzy istoty, ale ponieważ każdy Rughianin miał piętnaście giętkich macek i umiał grać na co najmniej dziesięciu instrumentach równocześnie, publiczność odnosiła wrażenie, że słucha symfonicznej orkiestry. Spoglądając na Umjinga Baaba i jego dwóch towarzyszy, widziało się tylko płataninę trzymających instrumenty długich kończyn. Czasami tylko zza poruszających się jak w transie macek wycierało któreś spośród wielu oczu to jednego, to znów innego muzyka.

Zespół mógł się pochwalić bardzo różnorodnym repertuarem. Muzycy umieli grać właściwie wszystko... począwszy od staroświeckich, chwytających za serce standardów i przebojów, a skończywszy na jazgotliwych, nowoczesnych utworach. Kiedy przebrzmiały ostatnie takty przerobionej wersji „Księżycowego nastroju”, hazardzista nagrodził muzyków uprzejmymi, ale zdawkowymi oklaskami. Nie wstał jednak od stołu. Lider zespołu, Umjing Baab, odłożył na bok obój z Kloo, wyplątał górne kończyny z nalamogiu i, kołysząc się z boku na bok niczym smagane wichrem wiotkie gałęzie, pochłapał do mikrofonu. Jego głos miał sztuczne brzmienie... nie było w tym nic dziwnego, gdyż został przetworzony przez elektroniczny syntetyzator. Rughianie porozumiewali się ze sobą za pomocą dźwięków o tak dużej częstotliwości, że nie odbierały ich uszy istot ludzkich. Przemawiając, istota poruszała fioletowo-różowymi, połyskującymi i giętkimi górnymi kończynami. Raz po raz odbijały się od nich błyski światła reflektorów.

- Dobry wieczór, dżentelistory - zaczęła, szeroko się uśmiechając. - Dzisiaj mamy pośród nas honorowego gościa... gwiazda, którą może zdołamy namówić, by zechciała zaszczyścić nas pokazem swoich umiejętności! Szanowni goście, powitajmy... lady Brię Lawal!

Nie okazując większego entuzjazmu, Lando złożył dłonie do oklasków. Dopiero kiedy uświadomił sobie, że lider zespołu muzyków ma na myśli piękną nieznajomą, zaczął klaskać energiczniej. Uśmiechając się i rumieniąc, kobieta na chwilę wstała, żeby się uklonić. Później jednak, widocznie zachęcona nie ustającymi brawami, zgarnęła fałdy dolnej części długiej błękitnej sukni (w odcieniu, który podkreślał barwę jej włosów) i weszła po schodkach na podium dla zespołu.

Kilka chwil półgłosem rozmawiała z Umjingiem Baabem, a potem podeszła do mikrofonu. Kiedy rozległy się pierwsze dźwięki perkusji, zaczęła wystukiwać rytm stopą obutą w modny, ozdobiony kryształami pantofelek. Uśmiechnęła się niepewnie. Zespół zaczął powoli grać przeróbkę liczącego co najmniej rok przeboju „Mgliste wspomnienia”.

Bria Lawal zaczęła śpiewać. Lando, który słyszał w życiu wiele piosenek, stwierdził, że kobieta ma przed sobą jeszcze bardzo długą drogę. Nie umiała chwycić oddechu we właściwych chwilach i nie wyciągnęła kilku wyższych tonów. Najważniejsze jednak, że nie fałszowała. Miała miły i silny głos... lekko ochrypły, ale ujmujący

kontrałt. Obserwując, jak sobie radzi, jak porusza się i uśmiecha, hazardzista był skłonny wybaczyć jej brak zawodowego doświadczenia. Po kilku chwilach doszedł do przekonania, że Bria Lawal podbiła serca wszystkich człekokształtnych istot płci męskiej obecnych w tej sali.

Śpiewała o utraconej miłości, o czułości i smutku, o blednących z każdym dniem mglistych wspomnieniach...

Kiedy kobieta skończyła, oczarowany jej śpiewem Lando zaczął klaskać równie entuzjastycznie i głośno, jak pozostali goście klubu. Uśmiechając się skromnie i rumieniąc, piosenkarka ukloniła się kilka razy. Potem pozwoliła, żeby Umjing Baab, który niemal upadł przed nią na kolana, wstał i odprowadził ją do stolika. Kiedy usiadła na swoim miejscu, lider zespołu dołączył do dwójki pozostałych na scenie muzyków.

Chwilę później Swingujące Trio zagrało następny przebój. Lando odsunął krzesło i niepewnie wstał od stołu, a potem podszedł do stolika piosenkarki. Stał przed nią... ułamek sekundy wcześniej niż zamożny alderański bankier, którego niedawno - grając w sabaka - uwolnił od nadmiaru niepotrzebnych kredytów.

Zgiął się w ukłonie i obdarzył kobietę najbardziej szarmanckim ze swych uśmiechów.

- Czy mogę prosić? - zapytał, wyciągając ku niej zgiętą w łokciu prawą rękę.

Kobieta wahała się kilka sekund. Spojrzała najpierw na jednego, a potem na drugiego mężczyznę. W końcu lekko wzruszyła ramionami.

- Z przyjemnością - powiedziała, wstając od stolika. Lando zaprowadził ją na parkiet. Kobieta powiodła spojrzeniem po tańczących gościach. Zmarszczyła brwi, jakby coś wprawiło ją w zakłopotanie. - O rety - oznajmiła. - Chyba nie wiem, jak to się tańczy.

Hazardzista nie mógł uwierzyć własnym uszom. Margengaiślizg był w modzie od co najmniej pięciu sezonów.

- To proste - powiedział. Położył dłoń na jej ramieniu i splótł palce drugiej ręki z palcami jej dłoni. - Z przyjemnością ci pokażę.

Kobieta nie od razu chwyciła, o co chodzi. Kilka razy gubiła krok; raz nawet nadepnęła na stopę Calrissiana. Wkrótce jednak -zapewne dzięki doświadczeniu ciemnoskórego mężczyzny - zaczęła nabierać coraz większej wprawy. Lando przekonał się, że taniec sprawia jej dużą radość. Była jego wzrostu, stanowili dobraną parę. Z każdą chwilą kierowało się na nich coraz więcej pełnych podziwu spojrzeń siedzących przy stolikach gości.

- Doskonale sobie radzisz - odezwał się w pewnej chwili Lando. - Masz talent.

- Nie tańczyłam od wielu lat - wyznała jego partnerka.

Z trudem chwytła oddech, ponieważ muzycy kończyli właśnie grać szybki kawałek. Potem Calrissian zawirował w rytm boxnovy, którą tańczyło się na trzy takty. Zorientował się, że Bria Lawal, chociaż trochę wyszła z wprawy, musiała kiedyś wirować w rytm takiego tańca.

- Jesteś doskonała - zapewnił ją gorąco. - A ja jestem najszczęśliwszym mężczyzną na pokładzie „Królowej”.

Kobieta obdarzyła go czarującym uśmiechem. Zarumieniła się jednak jeszcze bardziej... może z wysiłku, a może z radości.

- Pochlebca - powiedziała.

Lando ułożył rysy twarzy w wyraz urażonej niewinności.

- Kto, ja? - zapytał z udawaną powagą. - Nie wiem, czy słyszałaś, lady Brio, ale złożyłem przysięgę, że będę zawsze mówił prawdę. Bria... cóż to za urocze imię. Jesteś Korelianką, prawda?

- Tak - odrzekła, ale Lando wyczuł, że nagle napięła mięśnie. Obdarzyła partnera podejrzliwym spojrzeniem. - Dlaczego o to pytasz?

- Już kiedyś słyszałem takie imię - odparł beztrąsko Calrissian. - Czy wiele kobiet je nosi na twoim świecie?

- Nie - rzekła Korelianką. - Prawdę mówiąc, wymyślił je mój ojciec. Połączył pierwsze dwie litery imion moich babek, Bruseli i Iaphageny. Nie chciał, żebym była skazana na noszenie któregośkolwiek, ale pragnął uhonorować obie.

- Sprytne - przyznał hazardzista. - Z pewnością był bardzo mądry i rozważny.

Jego partnerka się roześmiała, ale w jej rozbawieniu kryło się także trochę smutku.

- To prawda - rzekła. - Właśnie taki był mój ojciec. Lando - zmieniła nagle temat rozmowy. - Zaskoczyłeś mnie, kiedy powiedziałaś, że już kiedyś spotkałeś inną Brie. Dotychczas uważałam, że tylko ja się tak nazywam.

- Prawdopodobnie masz rację - odparł Calrissian. - Tamta Bria, którą znałem, była nazwą gwiazdowego statku. Mój przyjaciel Han pożyczył ode mnie skonstruowany przez Sorosub statek klasy Starmite i nazwał go „Bria”.

Kobieta zgubiła rytm ale bardzo szybko się opanowała.

- Han? - zapytała. - To dziwne. Znałam kiedyś Korelianina o imieniu Han. Czy twój przyjaciel jest Korelianinem?

Lando kiwnął głową, a potem wykonał na parkiecie kilka piruetów. Kiedy skończył, powiedział:

- Han Solo i ja znamy się od dawna. Chyba nie chcesz powiedzieć, że i ty go znasz, prawda?

Kobieta się roześmiała.

- Owszem - powiedziała. - To musi być ta sama osoba. Ma brązowe włosy, piwne i trochę zielone oczy, jest odrobinę wyższy niż ty i ma bardzo ujmujący, chociaż trochę łobuzerski uśmiech.

- Coś takiego! - unosząc brwi, zdziwił się Lando. - Naprawdę znasz go nie gorzej niż ja! Ten gość umie zjednywać sobie ludzi, prawda?

Spojrzał na Brie, której twarz pokryła się pąsem. Chwilę później kobieta odwróciła głowę, jakby chciała skupić całą uwagę na krokach tanecznych. Kiedy znów na niego popatrzyła, w jej opanowanym spojrzeniu kryło się lekkie rozbawienie.

- Stanowi część mojej przeszłości, podobnie jak wielu innych mężczyzn - rzekła. - Z pewnością i ty masz jakieś tajemnice. Nie mam racji?

Lando, który już uświadomił sobie, że poruszył drażliwy temat, z przyjemnością skorzystał z okazji, by skierować rozmowę na inne tory.

- Możesz być tego pewna - odparł, także się uśmiechając.

Zatańczyli jeszcze kilka razy. Hazardzista coraz swobodniej czuł się w towarzystwie Brie. W pewnej chwili zerknął na jej stolik i przekonał się, że dwaj towarzyszący jej dotąd mężczyźni wyszli z klubu.

- Kim są ci dwaj goście, którzy siedzieli z tobą przy stoliku?

Jego partnerka wzruszyła ramionami.

- Partnerami handlowymi - oznajmiła obojętnym tonem. - Feldron jest moim agentem, a Renkov dyrektorem firmy.

- Rozumiem - odparł Lando, ciesząc się w duchu. Dopiero teraz mógł być pewien, że kobieta nie traktuje poważnie tych znajomości. .. i że żadnego z mężczyzn nie darzy głębszym uczuciem. - A zatem... nie miałabyś ochoty czegoś się napić? - zapytał. - Gdzieś indziej, gdzie moglibyśmy... porozmawiać na osobności?

Korelianka obrzuciła go taksującym spojrzeniem, a potem skinęła głową i delikatnie uwolniła się z jego ramion.

- Z przyjemnością - odrzekła. - Bardzo chętnie. Moglibyśmy pogawędzić... o wspólnych znajomych.

Lando ujął jej dłoń i złożył na niej szarmancki pocałunek.

- Lubię gawędzić o wspólnych znajomych - powiedział.

- A zatem, spotkajmy się w moim apartamencie, numer sto dwanaście - rzekła Korelianka. - Powiedzmy... za trzydzieści minut.

- Trzydzieści minut - powtórzył jak echo Calrissian. - Będę wszystkie liczył niecierpliwie.

Bria spojrzała na niego z ciepłym uśmiechem, w którym kryło się tyle samo smutku, ile zadowolenia, po czym odwróciła się i zostawiła Landa stojącego na skraju parkietu. Hazardzista przyglądał się, jak kobieta odchodzi... obserwował ją z wyraźną przyjemnością. Kiedy przechodziła przez drzwi, otarła się o stojącego tam Anomida. Obca istota - wyraźnie zdruzona - słuchała muzyki i przyglądała się tańczącym gościom. Chwilę potem zresztą i ona odwróciła się i zniknęła na korytarzu.

Lando uśmiechnął się do siebie. A teraz - bukiet kwiatów i butelka najlepszego wina, jaką można znaleźć na pokładzie tego statku - pomyślał. - Trzydzieści minut... może już tylko dwadzieścia dziewięć?

Spiesząc do swojego apartamentu, Bria powtarzała sobie, że musi się uspokoić. Była tak podniecona, że nie mogła się opanować. Już niedługo dowie się, co słyhać u Hana! Lando Calrissian najwyraźniej jest dla niego kimś więcej niż przypadkowym znajomym. Bria prawie biegiem dopadła drzwi z numerem sto dwanaście. Oto ktoś, kto zna go bardzo dobrze - myślała. - Ktoś, kto wreszcie powie mi, gdzie przebywa Han i jak się miewa...

Kiedy stanęła przed drzwiami, pomyślała, że może w tej chwili Han jest na księżycu Nar Shaddaa, dokąd i ona się udaje. Czy możliwe, że zanim upłynie następne czterdzieści osiem standardowych godzin, ujrzy go na własne oczy? Na myśl o tym poczuła, że drży... że ogarnia ją jeszcze większe podniecenie. Nie mogła się doczekać. Jak się zachowa, kiedy po prawie dziesięciu latach znów znajdzie się blisko niego?

Otwierając drzwi apartamentu, nie zauważyła nawet, że jej dłonie drżą. Tak bardzo była zamyślona i pochłonięta wspomnieniami, że nie zwracała uwagi na nic innego. Nic nie uprzedziło jej o tym, co się wydarzy. W jednej sekundzie otwierała drzwi, a w następnej poczuła, że jakaś siła pochwyciła ją i zaczęła przeciągać przez próg, a potem cisnęła w kąt salonu z takim impetem, że Bria straciła dech.

Jej pantofelki poślizgły się na wypolerowanej podłodze. Zanim jednak upadła, coś ukuło ją w kark.

Miała najwyżej sekundę, aby uświadomić sobie, że ktoś wstrzyknął jej porcję usypiającego narkotyku. Upadając, zdołała jednak odwrócić głowę. W drzwiach apartamentu stała dziwaczna obca istota... chyba jakiś Anomid. Chciała ostrzec przyjaciół, ale z jej gardła wydobył się tylko cichy okrzyk. W następnym ułamku sekundy wszystko wokół niej zaczęło zacierać się, rozmazywać, blednąć...

Ciemnieć...

Aż pogrążyło się w nicości i mroku.

Boba Fett obserwował, jak kobieta traci przytomność i osuwa się na podłogę. Szybko zamknął drzwi na korytarz i ruszył ku niej... gdy z sypialni po prawej stronie salonu wyskoczyli dwaj towarzyszący kobiecie starszawi mężczyźni.

Boba Fett wyciągnął rękę ku starszemu i napiął mięśnie dłoni. Z miniaturowej wyrzutni wystrzeliła wypełniona śmiertcionośną substancją (a nie środkiem obezwładniającym, którym uspił kobietę) mała strzałka. Trafiła w gardło Rebelianta. Mężczyzna wydał zduszony charkot. Zanim runął na podłogę, już nie żył.

Drugi natychmiast rzucił się na łowcę. Boba Fett zdarł z siebie i odrzucił na bok pelerynę. Stał i przyglądał się, jak mężczyzna z głośnym okrzykiem rzuca się do ataku.

Możliwe, że przywódca koreliańskiego ruchu oporu nieźle radził sobie z planowaniem bitew, ale nie znał się na walce wręcz z doświadczonym przeciwnikiem. Łowca nagród bez trudu zablokował pierwszy cios przedramieniem, a potem drugą dłonią wymierzył silne uderzenie, które zmiażdżyło tchawicę nieszczęsnego Rebelianta.

Odskoczył i jakąś minutę, nie okazując żadnych uczuć, przyglądał się, jak mężczyzna umiera.

Kiedy Korelianin skonał, łowca nagród pochylił się, żeby odciągnąć zwłoki obu mężczyzn w kąt salonu, a potem przykryć je jakąś narzutą albo prześcieradłem. Zapewne bardziej zależało mu na tym, aby po salonie nie rozchodził się fetor odchodów, niż na oszczędzaniu komukolwiek nieprzyjemnego widoku.

Boba Fett miał na głowie dwie maski i nie widział dobrze, co się dzieje po bokach. Nie zdążył założyć mandaloriańskiego hełmu. Chociaż nie mógł posłużyć się specjalnymi sensorami, nagle uświadomił sobie, że zagraża mu niebezpieczeństwo. Błyskawicznie wyprostował się i uskoczył w bok... dzięki temu uniknął ciosu przeciwnika. Rebeliancki strażnik pojawił się cicho jak duch i wykorzystując doświadczenie, którego brakowało dwóm starszym mężczyznom, usiłował zaskoczyć łowcę nagród i pozbawić życia.

Boba Fett odskoczył jeszcze dalej. Zerwał ciężkie okrycie, upodabniające go do Anomida, i rzucił w twarz strażnika. Jego przeciwnik nie dał się jednak zaskoczyć. Bły-

skawicznie uniósł rękę, odrzucił płaszcz na bok i ruszył do ataku. Miał najwyżej trzydzieści dwa lub trzydzieści trzy lata. Ubrany tylko w krótkie spodenki, bosy skradał się ku łowcy nagród. Kiedy starsi mężczyźni walczyli i umierali, zapewne spał albo drzemał w innej sypialni.

Fett natychmiast zrozumiał, że ma do czynienia z groźniejszym przeciwnikiem. Ten mężczyzna był doświadczonym wojownikiem... umiał posługiwać się dłońmi i stopami jak bronią. Włączył wibroostrze, które trzymał w prawej dłoni. Wszystko wskazywało na to, że wiedział, do czego służy. Łowca nagród się uśmiechnął - mimo iż nadal ukrywał twarz pod dwiema maskami. Lubił stawiać czoło wyzwaniom. Uwielbiał walczyć z kimś, kto wiedział, na czym polega prawdziwa walka. Boba Fett miał w wyrzutni jeszcze jedną strzałkę, ale postanowił jej nie używać. Nie zaszkodzi trochę poćwiczyć, żeby nabrać jeszcze większej wprawy. Już dawno nie miał okazji mierzyć się z nikim w walce wręcz. Ostatnio nie spotykał godnych siebie przeciwników.

Tymczasem przeciwnik przestał się skradać i teraz skakał przed nim jak w tańcu. Nie odrywając spojrzenia od oczu łowcy, uniósł wibroostrze, jakby gotów wypatroszyć intruza. Fett pozwolił, żeby strażnik podszedł jeszcze bliżej, a potem - w ostatniej sekundzie - skoczył jak umiał najwyżej. Poszybował łukiem niczym tancerz w pomieszczeniu o zerowej sile grawitacji. Przelatując nad głową Korelianina, wymierzył silny cios w miejsce za jego prawym uchem.

Rebeliancki żołnierz uchylił się w ostatnim ułamku sekundy i cios, który miał pozbawić go przytomności, tylko go zamroczył. Mężczyzna zachwiał się, ale potrząsnął głową. Zdumiewająco szybko ocknął się, odwrócił i rzucił do ataku.

Boba Fett czekał cierpliwie, gotów mu usłużyć. Obaj zaczęły krążyć wokół siebie. Raz po raz, wymachując rękami, uskakiwali to w jedną, to znów w drugą stronę. Zachowując się jakby parodiowali taneczne ruchy Landa Calrissiana i Brii Tharen.

W pewnej chwili strażnik rzucił się na przeciwnika. Boba Fett czekał i uskoczył dopiero w ostatniej sekundzie. Zadał kolejny cios, od którego Korelianin aż stęknął. Łowca nagród wymierzył uderzenie czubkiem obutej stopy... trafił przeciwnika w nogę za kolanem. Mężczyzna zachwiał się, ale nie stracił równowagi. Pierwszy raz Fett ujrzał jednak w jego oczach błysk trwogi. Zapewne strażnik uświadomił sobie, że toczy walkę z przeciwnikiem o kilka klas lepszym niż on. Mimo to zacisnął zęby, pokonał ból i rzucił się do dalszej walki. Oto przeciwnik - pomyślał Fett - który wypełnia swe obowiązki za wszelką cenę. Imponująca postawa. Godna pochwały. W nagrodę zginiesz szybko i bezbolesną śmiercią.

Pierwszy raz w trakcie tej walki łowca nagród zaatakował. Jak poprzednio, wyciągnął błyskawicznie nogę, ale tym razem ze zdumiewającą siłą trafił mężczyznę w nadgarstek dłoni, w której tamten trzymał wibroostrze. Wytracona z bezwładnych palców broń poszybowała do góry. Tymczasem Boba Fett zawirował jak baletnica. Kolejnym ciosem trafił przeciwnika za drugim kolanem. Korelianin się zachwiał... jego nogi nie mogły dłużej utrzymać ciężaru ciała. Wymachując rękami, usiłował odzyskać równowagę, ale było za późno. Boba Fett doskoczył do niego i objął w uścisku tak silnym i bezlitosnym, jakby miał dłonie z durastali. Raptownie szarpnął głowę strażnika w bok i z niejakim rozczarowaniem przekonał się, że pozbawił go życia.

Kiedy przeciwnik zwiotczał i osunął się na podłogę, łowca nagród zaciągnął go w kąć salonu, a potem umieścił obok niego zwłoki obu starszych mężczyzn. Narzucił na wszystkie ciała prześcieradło, ściągnięte z jakiegoś łóżka. Kończąc ponurą pracę, zauważył, że Bria Tharen zaczyna dawać pierwsze oznaki życia.

Bria ocknęła się i stwierdziła, że jest związana tak fachowo, iż w pierwszej chwili nawet nie próbowała się uwolnić. Przekonała się, że jest sama. Siedziała na puszystym dywanie, oparta plecami o jeden z miękko wyściełanych foteli. W jej głowie huczało jak w ulu; czuła też dokuczliwe pragnienie. Nieraz bywała w opałach - najczęściej podczas walki - ale jeszcze nigdy nie znalazła się w tak beznadziejnej sytuacji. Nikt nigdy nie pochwylił jej tak ani nie obezwładnił. Kobieta zastanawiała się, kto mógł ją tak skrepować... i dlaczego.

To musiał być ten Anomid - przypomniawszy sobie. Jeszcze nigdy nie miała do czynienia z istotami tej rasy. Dlaczego jedna z nich chce ją skrzywdzić? A może ów Anomid był łowcą nagród? Jedynie takie wytłumaczenie miało odrobinę sensu...

Korelianka przesunęła językiem po wargach i kilka razy głęboko odetchnęła. Zaczepnęła spory haust powietrza. Pragnęła wydać krzyk, który dałoby się usłyszeć nawet przez zamknięte drzwi jej apartamentu. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na dwie rzeczy. Pierwszą były nieruchome ciała swoich trzech towarzyszy. .. przykryte prześcieradłem i ułożone tak, by nie zauważył ich nikt, kto wejdzie do salonu. Ujrzała też dźwiękową gąbkę... Niewielkie urządzenie spoczywało obok niej na podłodze. Zielona lampka mrugała, co dowodziło, że jest włączone. Skutecznie stłumiłoby jej okrzyki. Bria zamknęła usta i oczy. Zrezygnowana, znów oparła głowę o fotel. Wspaniale - pomyślała. - Bez względu na to, kim jest mój prześladowca, pomyślał o wszystkim.

Kim mógł być? Z pewnością doświadczonym wojownikiem. Rozprawił się nie tylko z Darnovem i Feltranem, ale także z Treeską, który - jak Bria wiedziała - niemal do perfekcji opanował sztukę walki wręcz. Co więcej, pokonanie wszystkich trzech zajęło mu tylko kilka chwil. Korelianka spojrzała na ścienny chronometr i uświadomiła sobie, że była nieprzytomna najwyżej dziesięć minut!

Rozpaczliwie zastanawiając się nad możliwościami ratunku, zauważyła, że otwierają się drzwi jej apartamentu. Do salonu wszedł Anomid z dużym, podróżnym neseserem. Z ledwo słyszalnym stukiem postawił go na podłodze. Ujrawszy, że jego ofiara oprzytomniała, skierował się do łazienki, po czym wrócił, trzymając szklankę z wodą. Uklęknął obok niej i obrócił pokrętko intensywności tłumienia dźwięków gąbki, żeby Bria mogła słyszeć jego głos.

- Ten środek usypiający wywołuje okropne pragnienie - powiedział rzeczowo. - W szklance jest czysta woda. Nie zamierzam zrobić ci nic złego. Nie dostanę swojej nagrody jeżeli coś ci się stanie.

Wyciągnął ku niej rękę ze szklanką i Bria, dręczona pragnieniem, zbliżyła do niej usta. W ostatniej sekundzie jednak się zawahała. Nie odważyła się upić ani łyka. Może to imperialny łowca nagród albo agent - pomyślała. - Co zrobię, jeżeli w wodzie został rozpuszczony narkotyk, po którym wyśpię wszystko, co wiem o podziemnym ru-

chu oporu? Mimo iż doskwierało jej coraz dokuczliwsze pragnienie, a w ustach i gardle było sucho jak na pustyni albo w piekle, pokręciła głową.

- Dziękuję za dobre chęci - odrzekła. - Nie jestem spragniona.

- Oczywiście, że jesteś - stwierdził obojętnie Anomid. - Nie zamierzam wyciągać od ciebie żadnych żalonych rebelianckich tajemnic. - Zsunął z twarzy maskę z aparatem głosowym i wypił kilka łyków. - Może to cię przekona - powiedział, jeszcze raz podsuwając szklankę. - To tylko czysta woda.

Bria zamruwała, ale nie potrafiła dłużej walczyć z pragnieniem. Wdzięczna, że Anomid nie odrywa szklanki od jej warg, wypila całą resztę jej zawartości. Istota znów nasunęła na twarz maskę z aparatem głosowym. Korelianka oparła się plecami o fotel i zapytała:

- Nie jesteś Anomidem, prawda? Anomidowie nie potrafią mówić bez aparatów głosowych. Kim jesteś? Łowcą nagród w przebraniu?

Anomid skierował na nią wielkie, srebrzysto-błękitne, pozbawione wyrazu oczy.

- Jesteś spostrzegawcza, Brio Tharen - odezwał się w końcu. - Cieszy mnie twoje zachowanie. Histeryzowanie wyczerpuje i nie przynosi żadnych korzyści. Zapewne obito ci się o uszy imię i nazwisko, które przybrałem. Jestem Boba Fett.

Boba Fett! - pomyślała Korelianka. Odchyliła głowę, a jej oczy rozszerzyły się z przerażenia. Ogarnął ją strach, który czuła zawsze ilekroć ktoś wymieniał nazwisko łowcy nagród. Przylapała się na tym, że pierwszy raz od czasów dzieciństwa zmówiła w myślach krótką modlitwę.

Kiedy się opanowała, przesunęła językiem po spieczonych wargach.

- Boba Fett... - powiedziała. - Słyszałam o tobie. Nie sądziłam jednak, że zechcesz zawracać sobie głowę polowaniem na ofiary, które wskaże ci Imperium. Nie chciała-bym marnować czasu za tak śmieszny sumę.

Łowca nagród kiwnął głową.

- To prawda - przyznał. - Nagroda, jaką wyznaczył klan Besadii, jest stukrotnie wyższa.

- Teroenza... - szepnęła Bria. - To nie może być nikt inny. Ale ostatnio chcieli zapłacić za mnie pięćdziesiąt, a nie sto tysięcy.

- Po tym, jak napadłaś na „Kajdany Heloty”, podwoili stawkę.

Bria spróbowała się uśmiechnąć.

- Jak to miło cieszyć się taką popularnością - rzekła. - „Kajdany Heloty” były transportowcem niewolników. Musiałam ich uwolnić. Nie żałuję tego, co zrobiłam.

- To dobrze - odparł Fett. - Nasza krótka znajomość powinna być tak przyjemna, jak to możliwe. Chcesz napić się jeszcze trochę wody?

Bria kiwnęła głową i łowca nagród ponownie napełnił szklankę. Tym razem Korelianka wypila jej zawartość bez zachęcania. Usiłowała przypomnieć sobie, czego uczono ją na wypadek, gdyby została pochwycona przez nieprzyjaciół. Co powinna powiedzieć? Co zrobić? Nie miała munduru, a zatem nie mogła skorzystać z żadnego środka, który skróciłby jej cierpienia. A poza tym... znajdowali się bardzo daleko od Ilezji i planety Nal Hutta. Zanim tam dotrą, wiele może się wydarzyć. Licząc na to, że może nadarzy się jakaś okazja ucieczki, postanowiła uzbroić się w cierpliwość. Musiała jed-

nak nakłonić Fetta do mówienia. Z otrzymanych instrukcji, wynikało, że im częściej porywacze traktują ofiary jak ludzi, a nie przedmioty, tym bardziej troszczą się o ich los i starają się nie uprzykrzać im życia. Mogą zapomnieć o ostrożności, a wtedy...

Bria uświadomiła sobie jednak, że ten porywacz nigdy nie pozwoli sobie na nieostrożność. Nie mogła na to liczyć. Nie mogła opierać na tym planów. Ale nie miała nic innego do roboty, prawda?

- Wiesz - odezwała się tonem grzecznościowej rozmowy. -Wiele o tobie słyszałam. Zawsze zastanawiałam się, czy wszystko, co mówią, jest choćby w połowie prawdą.

- Na przykład?

- Podobno masz własny kodeks honorowy. Jesteś doświadczonym łowcą nagród, lecz nie dręczycielem. Zadawanie bólu nie sprawia ci przyjemności.

- To prawda - przyznał Fett. - Mam własny kodeks honorowy.

- Co sądzisz o Imperium? - zapytała Bria. Zauważyła, że Boba Fett wciąga do salonu duży neser. Postawił go na podłodze. Przez ułamek sekundy widziała w środku jego słynny hełm.

- Uważam, że Imperium - mimo iż niemoralne i skorumpowane - nadal jest prawowitą władzą - odparł łowca nagród. -Przestrzegam jego praw.

- Niemoralne i skorumpowane? - powtórzyła Bria, przekrzywiając głowę. - Pod jakim względem?

- Pod kilkoma.

- Wymień chociaż jeden.

Mężczyzna odwrócił się i popatrzył na nią. Korelianka pomyślała, że każe jej być cicho, ale po chwili powiedział:

- Handel niewolnikami. To niemoralny i korumpujący proceder. Poniżający dla wszystkich, którzy mają z nim do czynienia.

- Doprawdy? - wykrzyknęła ucieszona Bria. - A zatem zgadzamy się w pewnych kwestiach. Ja także potępiam handel niewolnikami.

- Wiem.

- Wiesz zatem, że Teroenza czy ktokolwiek inny, kto kieruje w tej chwili klanem Besadii, zamierza poddać mnie torturom, a potem zabić w obrzydliwy sposób?

- Tak. Ze szkodą dla ciebie; z korzyścią dla mnie.

Bria popatrzyła na niego błagalnie.

- Skoro tak dobrze mnie znasz - zaczęła - pewnie wiesz, że mam ojca, prawda?

-Tak.

- Może więc. Wiem, że moja prośba wyda ci się niezwykła, ale w tych okolicznościach... może mógłbyś...

Bria urwała. Coraz wyraźniej uświadamiała sobie, że tym razem wpadła na dobre. Znalazła się w sytuacji, z której się nie wyplacze.

-Tak?

Korelianka głęboko odetchnęła.

- Nie widziałam ojca od wielu lat - podjęła po chwili. - Zawsze byliśmy sobie bardzo bliscy. Moja matka i bracia... no cóż, nigdy nie znaczyli dla mnie wiele, ale ojciec...

- Bria wzruszyła ramionami. - Chyba wiesz, co mam na myśli. Kiedy przyłączyłam się do ruchu oporu, zrozumiałam, że nie mogę się z nim widywać. To byłoby zbyt niebezpieczne... i dla mnie, i dla niego. Wymyśliłam jednak sposób - bezpieczny sposób - porozumiewania się z nim na odległość. Od czasu do czasu przekazuję mu wiadomość, że wciąż żyję. Korzystając z różnych kanałów, kilka razy w roku przesyłam mu jedną i tę samą informację: „Bria miewa się dobrze”. Tylko tyle.

- Mów dalej. - Rzekł beznamiętnym tonem łowca nagród.

- No cóż... Nie chcę, żeby niepotrzebnie czekał, aż nadejdzie kolejna wiadomość ode mnie. Czy nie mógłbyś... poinformować go, że zginęłam? To znaczy dla mnie bardzo dużo. Więcej niż możesz sobie wyobrazić. Mój ojciec jest porządnym, prawomyślnym człowiekiem. Regularnie płaci podatki, cieszy się powszechnym szacunkiem i tak dalej. A zatem... podam ci nazwisko i miejsce. Czy możesz mu przesłać wiadomość: „Bria nie żyje”? Nic więcej.

Ku zdumieniu Korelianki Boba Fett kiwnął głową.

- Zrobię to - powiedział. - Jak się...

Urwał, gdyż w salonie rozległ się melodyjny kurant. Bria drgnęła, a łowca nagród zerwał się na nogi... jednym płynnym ruchem, jak polujące zwierzę.

Kurant rozległ się ponownie. Z korytarza dał się słyszeć męski głos, trochę stłumiony przez działanie dźwiękowej gąbki:

- Brio? Hej, to ja, Lando!

- Calrissian - odezwał się cicho Fett. Pochylił się i ustawił pokrętko intensywności tłumienia dźwięków gąbki na maksimum. Potem podszedł do drzwi i wystukał na klawiaturze odpowiednią kombinację. Kiedy ujrzał, że drzwi zaczynają się otwierać, stanął tak, by go zasłoniły.

- Lando, nie wchodź! - zawołała Bria, ale dźwiękowa gąbka pochłonęła jej okrzyk. Zamiast wypełnić cały salon, głos zabrzmiał nie głośniejsz niż szept.

Trzymając w jednej dłoni bukiet kwiatów, a w drugiej butelkę wyśmienitego wina, Lando dziarsko przestąpił próg apartamentu Bria Lawal.

- Przepraszam za kilkuminutowe spóźnienie - oznajmił na powitanie. - Kwaciarnia była zamknięta i musiałem...

Nagle urwał, zdezorientowany i zaskoczony. Jego oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Zauważył Bria, siedzącą na podłodze i opartą o fotel, a także dziwny wzgórek w kącie, przykryty białym prześcieradłem. Kiedy uświadomił sobie, że popełnił wielki błąd, zaczął się wycofywać.

Za jego plecami z cichym szmerem zamknęły się drzwi apartamentu.

- Co się dzieje? - zawołał, ale usłyszał tylko słabe echo swego głosu. Pochwycił spojrzenie Bria. Kobieta wskazywała mu coś za jego plecami. Odwrócił się i zobaczył Anomida. Istota stała nieruchomo obok drzwi, mierząc go czujnym spojrzeniem.

- Cieszę się, że cię znów widzę, Calrissian - odezwał się Anomid. - Masz szczęście. Nigdy nie mieszam interesów z przyjemnościami.

- Co, u... - zaczął Lando. W tej samej chwili dostrzegł zawartość stojącego na podłodze nesera. Jego ciemne oczy znów się rozszerzyły. - Fett... - dokończył po chwili.

- Tak - odparł łowca nagród. - Mam nadzieję, że to było ostatnie słowo, jakie usłyszałem z twoich ust, Calrissian. Nie przyszedłem tu po ciebie. Nie przeszkadzaj mi, a może pozwolę ci żyć. Może nawet mi się przydasz.

Lando doskonale wiedział, że opór na nic się nie zda. Posłusznie odłożył na blat stołu bukiet kwiatów i odstawił butelkę wina. Kilka chwil później, równie starannie skrepowany i oparty o sofę, siedział na podłodze kilka metrów od Brii Tharen.

Boba Fett wbił spojrzenie w Koreliankę.

- Jutro, kiedy przycumujemy do platformy na księżycu Nar Hekka, oboje zejdziemy z pokładu „Królowej”. Będziemy szli bardzo blisko siebie. Moja broń nie będzie rzucała się w oczy i nie zostanie wykryta przez czujniki skanerów. Masz iść cały czas u mojego prawego boku. Nie wolno ci powiedzieć ani słowa. Zrozumiałas?

Korelianka kiwnęła głową.

- Tak. A co stanie się z Landem? - zapytała.

W jej głosie zabrzmiał niepokój, który nie uszedł uwadze Calrissiana. Hazardzista spojrział na towarzyszkę niedoli z wdzięcznością.

- Życie Calrissiana jest w twoich rękach, Brii Tharen - burknął łowca nagród. - Jeżeli dasz mi słowo, że nikogo nie ostrzeżesz, pozostawię go w tej kabinie. Związane go i zakneblowanego, ale żywego.

Bria uniosła brwi.

- Nie obawiasz się, że cię okłamie?

- Ależ skąd! - powiedział Fett lekko kpiącym tonem. - Cenisz życie niewinnych istot wyżej niż własne. Znam się na ludzkich charakterach. Na wszelki wypadek jednak, żeby niepotrzebnie nie ryzykować... zanim opuścimy pokład „Królowej”, przywiążę do Calrissiana zdalnie sterowany detonator. Jeżeli sprawisz mi jakiegokolwiek trudności, sprzątające roboty będą zdrapywały jego szczątki ze ścian i sufitu.

Lando z wysiłkiem przełknął ślinę.

Bria zerknęła na śniadoliczego hazardzistę i uśmiechnęła się uspokajająco.

- Miałaś rację, jeżeli chodzi o mnie - powiedziała, zwracając się do Fetta. - Daję słowo, że nie będziesz miał ze mną żadnych kłopotów.

- To dobrze - odparł łowca nagród. - W takim razie...

Urwał. We wszystkich pomieszczeniach „Królowej Imperium” rozległo się głośnie zawrozczenie syren alarmowych. Lando usiadł prosto. Otworzył szerzej oczy.

Piętnaście sekund później cała „Królowa”... się zatrzęsała. Trudno byłoby inaczej to określić. Liniowiec zakotył się jak boja na powierzchni wzburzonego oceanu. Żołądek Landa zaczął wyprawiać dzikie harce. Mimo iż siedział oparty o sofę, Calrissian osunął się na bok. Popatrzył na Brię, która z trudem zachowywała równowagę. Sądząc z wyrazu jej twarzy, siłą woli powstrzymywała się, by nie zwymiotować.

- Co... się dzieje? - zapytała, z trudem chwytając powietrze.

Lando przypomniał sobie w porę, że Boba Fett nakazał mu milczenie, i nie odezwał się ani słowem.

- Wskoczyliśmy z nadprzestrzeni - oznajmił spokojnie łowca nagród. - Widocznie systemy bezpieczeństwa wykryły nagły wzrost siły ciężenia i automatycznie wprowadziły statek do normalnych przestworzy.

Lando w duchu pochwalił Fetta za bystrość umysłu i szybką orientację. Opierając się na łokciu, usiadł prosto. Nie było to łatwe, jako że miał ręce związane za plecami.

- Co się stało? - zdziwiła się Korelianka. - Usterka jednostki napędowej?

- Możliwe - odparł Boba Fett. - Ale najpewniej zostaliśmy zaatakowani. Imperialny krążownik klasy Interdyktor mógłby wyrwać z nadprzestrzeni nawet taki duży liniowiec.

- Dlaczego dowódcy imperialnej marynarki chcieliby atakować pasażerski statek? - zapytała Rebeliantka.

Lando pomyślał o tym samym i także nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Bria zmarszczyła brwi. Skupiła się, jakby chciała odgadnąć przyczynę wibracji, jakie nagle ogarnęły chyba całą „Królową”.

- Miałaś rację, kiedy mówiłeś o ataku - odezwała się w pewnej chwili. - Zostaliśmy pochyceni przez promień ściągający.

Boba Fett pchnął neseser za ozdobny parawan, ustawiony w pobliżu jednej ze ścian. Kilka sekund później Lando usłyszał cichy szelest ubrań.

Hazardzista pochwyił spojrzenie Brii i ułożył wargi w słowa:

- Zaufaj mi, lady Brii. Biegnij za mną, jeżeli nadarzy się okazja.

Musiał powtarzać kilka razy, zanim kobieta go zrozumiała. W końcu kiwnęła głową i uśmiechnęła się niepewnie.

Kilka minut później zza parawanu wyłonił się łowca nagród. Miał na sobie mandatoriańską zbroję. W dłoni trzymał karabin blasterowy. Mimo iż Lando nie mógł dostrzec innej broni, wiedział z doświadczenia, że Boba Fett jest zamaskowanym chodzącym arsenałem. Tymczasem łowca nagród podszedł do Brii i przeciął więzy, krepujące w kostkach jej nogi. Chwilę później to samo uczynił z więzami Landa.

- Oboje pójdziecie teraz ze mną - rozkazał. - Aha... Carlissian... pamiętaj, co mówiłem. Nie jesteś dla mnie wart złamanego kredytu. Lady Tharen... jeżeli spróbujesz jakiegóż sztuczki, Carlissian zginie. Jasne?

- Tak - odparła cicho Korelianka.

Lando kiwnął głową, a potem, mimo iż Boba Fett nie rozwiązał jego rąk, bez niczyjej pomocy zerwał się na równe nogi. Łowca nagród uśmiechnął się kpiąco i udając że zachowuje się jak dżentelmen, pomógł wstać Brii. Kobieta potknęła się, ale szybko odzyskała równowagę. Kilka razy zgięła i rozprostowała najpierw jedną a potem drugą stopę. Zapewne chciała pozbyć się dokuczliwego mrowienia.

Fett podniósł i wyłączył dźwiękową gąbkę, a potem wsunął urządzenie do kieszeni spodni. Ponieważ gąbka nie tłumila już dźwięków, Lando usłyszał dobiegające z korytarza odgłosy blasterowych strzałów, czyjeś okrzyki i tupot butów. Z głośnika interkomu zabrzmiał władczy głos:

- Uwaga, pasażerowie. Zachowajcie spokój i pozostańcie w kabinach. Na pokład wdarli się intruzi, ale załoga panuje nad sytuacją i stara się pokrzyżować ich plany. Będziemy informowali was na bieżąco o rozwoju sytuacji. Prosimy o zachowanie spokoju. Uwaga, pasażerowie...

Akurat - pomyślał hazardzista. - Już widzę, jak panują nad sytuacją. Wyobrażam sobie, co mogą zrobić, aby pokrzyżować te plany.

Popatrzył na Brie. W odpowiedzi kobieta ledwo zauważalnie kiwnęła głową. Kiedy wszyscy troje stanęli przed drzwiami, Boba Fett gestem dał znak Calrissianowi.

- Otwórz.

Na korytarzu panował istny chaos. Musieli czekać kilka chwil, aż przepłył fale ogarniętych paniką pasażerów. Wszyscy krzyczeli. Większość była ubrana w piżamy albo nocne koszule. Kiedy zniknęli w przeciwnym krańcu korytarza, Boba Fett zerknął na małe urządzenie, które dotąd ukrywał wewnątrz lewej dłoni.

- Skręćcie w prawo - rozkazał obojętnym tonem.

Lando i Bria usłuchali. Ciemnoskóry mężczyzna przekonał się, że skrupowanie rąk na plecach czyni chodzenie zdumiewająco trudnym. Ledwo mógł utrzymać równowagę.

Kilkakrotnie musieli przystawać. Czasami nawet kryli się we wnękach drzwi kabin, żeby przepuścić kolejne fale rozhisteryzowanych, krzyżących pasażerów. W miarę jak pokonywali odległość dzielącą ich od pokładu kapsuł ratunkowych, odgłosy blasterowych strzałów wydawały się coraz głośniejsze.

W końcu opuścili sektor z kabinami pasażerów i korzystając z różnych klatek schodowych, które wskazywał Fett, wspięli się kilka poziomów wyżej. Zorientowali się już, że najbardziej zacieęte walki toczą się w pobliżu platform cumowniczych. Z każdą chwilą odgłosy bitwy nasilały się, zbliżały. Kiedy uciekinierzy znaleźli się w sektorze lądowisk wahadłowców, ujrzeli leżące w różnych miejscach korytarza nieruchome ciała. Większość miała na sobie mundury członków załogi. Zginęło także kilku pasażerów, ale nikt z zabitych nie był ubrany w mundur imperialnego żołnierza ani pancierz szturmowca. Przeskakując nad ciałami zabitych ludzi, Bria zerknęła na Landa. Hazardzista zdumiał się, że kobieta umie zachować zimną krew i spokój. Większość inteligentnych istot, widząc tyle trupów, wpadłaby w panikę, zaczęła histeryzować albo walczyła z napadami nudności.

Lando wytężył wzrok, usiłując wypatrzeć chociaż jednego napastnika. Nie widział żadnego. Przesunął językiem po suchych wargach. Mimo iż miał ręce związane za plecami, musiał coś zrobić, zanim wszyscy troje wejdą na pokład wahadłowca. Kiedy znajdą się w środku, nie będzie miał żadnej szansy. Zerknął ukradkiem na towarzyszkę niedoli. Zastanawiał się, czy jeżeli zdecyduje się podjąć próbę ucieczki, może liczyć na pomoc z jej strony.

Chwilę czy dwie dziwił się, dlaczego ta piękna młoda kobieta - nie mogła mieć przecież więcej niż dwadzieścia pięć lat - zwróciła na siebie uwagę Boby Fetta. Z pewnością nie była osobą, za którą się podawała. Potwierdzały to zresztą jego dotychczasowe obserwacje. Większość obywateli, stając oko w oko z budzącym największą groźbę łowcą nagród w galaktyce, zmieniała się w roztrzęsione bryłki protoplazmy. Jej zachowanie dowodziło jednak, że Bria Tharen jest kimś niezwykłym...

Przeszli przez próg drzwi wiodących na lądowisko wahadłowców i dopiero tam natknęli się na grupę napastników. Lando stanął jak wryty. Korelianka także. Oboje nie mogli uwierzyć własnym oczom. Spoglądali na dwunastu czy trzynastu niechlujnie wyglądających osobników. Wszyscy byli odziani w obszarpane i źle dopasowane ubra-

nia w krzykliwych kolorach, na których widok Carlissianowi zebrało się na mdłości. Większość nosiła tandetne, pretensjonalne pierścienie, kolczyki, naszyjniki albo inne ozdoby.

- Piraci! - szepnęła Bria.

Nagle wszystkie elementy łamigłówki wskoczyły na swoje miejsca. Lando rozumiał już, co przytrafiło się „Królowej Imperium”. Widział kiedyś, jak inni rabusie stosują tę samą sztuczkę. Piraci przyciągnęli w pobliże trasy lotu statku sporą asteroidę, dzięki czemu zmusili liniowca do wyskoczenia z nadprzestrzeni. Siła ciężenia ciała niebieskiego okazała się tak duża, że zadziałały grawitacyjne bezpieczniki jednostki napędu nadświetlnego „Królowej” i statek znalazł się w normalnych przestworzach. Inteligentny i zuchwały plan - pomyślał Calrissian - ale piraci musieli mieć bardzo duże statki. Duże statki i śmiałego herszta. Pierwszy raz od początku tej przygody Lando poczuł, że w jego serce zaczyna wstępować otucha. Domyślał się, kim może być ich przywódca. Chyba nikt inny nie odważyłby się zaatakować tak dużego liniowca...

- Wycofać się! - krzyknął Fett. Jego więźniowie usłuchali. Odwrócili się i znaleźli znów na korytarzu. Ponaglani przez łowcę, zaczęli biec. Lando potykał się raz po raz. Wiedział wprawdzie, że chodzenie z rękami związanymi za plecami nie jest łatwe, ale nie wyobrażał sobie, że bieganie może okazać się o wiele trudniejsze. W każdej chwili mógł rozciągnąć się jak długi. Obawiał się, że kiedy upadnie, Boba Fett zastrzeli go z zimną krwią... po prostu za niezdarność.

Mimo to oboje biegli dalej, chociaż zataczali się od jednej do drugiej ściany korytarza. Kiedy dotarli do zakrętu, Lando ujrzął w oddali grupę innych równie pstrokato odzianych osób.

- Stać! - warknął Boba Fett. Jego głos, zniekształcony przez aparaturę maski, zabrzmiał wyjątkowo chrapliwie i nieprzyjemnie.

Spojrzawszy za siebie, łowca nagród szybko wpełznął Brie do wnęki na drzwi jakiegoś pomieszczenia, a potem szarpnął za ramię Landa i ustawił hazardzistę tak, żeby własnym ciałem osłaniał Koreliankę.

- Nie ruszaj się stąd, Calrissian - syknął, po czym wyszedł na środek korytarza i stanął nieruchomo, zwrócony twarzą do drugiej grupy napastników.

Chwilę potem rozległ się tupot butów i równocześnie w obu krańcach korytarza pojawiły się biegnące ku sobie grupy piratów. Boba Fett sprawdził broń i napiął mięśnie. Z iloma naraz chce się zmierzyć? - zastanawiał się Lando. - Z dwudziestoma pięcioma? Może trzydziestoma?

Tymczasem biegnący piraci na widok zakutego w mandaloriańską zbroję łowcy nagród zwolnili, a potem, nie wiedząc, co robić, zbili się w gromadę. Lando wcale się nie zdziwił. Nawet jeżeli wziąć pod uwagę, że mieli liczebną przewagę, żaden nie chciał być pierwszym, który zginie z ręki Boby Fetta. Łowca nagród najpewniej zabije wielu, zanim pozostali go pokonają.

- Co się tu dzieje? - Zza pleców drugiej grupy piratów rozległ się nagle silny, władczy, dobrze znany alt. Lando odetchnął z ulgą. - Boba Fett! Na ciemności wszystkich piekieł Baraba, a co ty tutaj robisz?

- Pracuję na kolejną nagrodę - odparł łowca. - Nie zamierzam wchodzić ci w drogę, pani kapitan Renthal. Chcę tylko zaprowadzić swoich więźniów na pokład wahadłowca i odlecieć.

Lando nabrał głęboki haust powietrza.

- Dreo! - zawołał. - To ja, Lando! Hej, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że...

Urwał, stęknął i wypuścił resztę powietrza, kiedy Boba Fett doskoczył do niego i z całej siły wbił kolbę blasterowego karabinu w splot słoneczny. Hazardzista zakrzuszył się i upadł.

Piraci zaczęli się powoli rozstępować. W końcu utworzyli przejście, w którym po chwili ukazała się Drea Renthal, ich przywódczyni i niedawna sympatia Landa Calrissiana. Była wysoka i silnie zbudowana, miała mniej więcej czterdzieści pięć lat, włosy modnie ufarbowane w złote i srebrne pasma, jasną skórę i najzimniejsze szare oczy, jakie Lando kiedykolwiek widział. Jak prawie wszyscy inni piraci, nosiła krzykliwy i ekstrawagancki strój: pończochy w jaskrawoczerwone pasy, plisowaną z jednej strony purpurową spódnicę, różową jedwabną bluzkę oraz opancerzoną kamizelkę. Krótkie, sterczące we wszystkie strony włosy częściowo zakrywał jadownicie zielony beret z długim, zawiadacko sterczącym pomarańczowym piórem.

Tymczasem Lando, skręcając się z bólu, uczynił wysiłek, żeby stanąć. Chciał pomachać Drei na powitanie, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że ręce ma skrępowane za plecami. A poza tym - obawiał się, że Boba Fett mógłby go zastrzelić.

Renthal spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Lando, nigdy mi nie mówiłeś, że ktoś wyznaczył nagrodę za twoją głowę - powiedziała.

Prawdę mówiąc, hazardzista wiedział o kilku takich nagrodach, ale nałożono je gdzie indziej, nie na obszarze opanowanym przez Imperium.

- Nikt nie wyznaczył za mnie nagrody, Dreo - wychrypiął, z trudem chwytając powietrze. - Tylko... miałem nieszczęście znaleźć się w niewłaściwym miejscu... w nieodpowiedniej chwili.

Renthal przeniosła spojrzenie na łowcę nagród.

- Fett, czy to prawda? - zapytała. - Nikt nie wyznaczył nagrody za Calrissiana?

Zakuty w mandaloriańską zbroję mężczyzna zawahał się, zanim odpowiedział.

- Prawda - odparł rzeczowo. - Mam z Calrissianem dawne porachunki, ale... to sprawa osobista.

Drea Renthal milczała kilka chwil, jakby się nad czymś zastanawiała.

- W takim razie, Fett, powinieneś go uwolnić - odezwała się w końcu. - Widzisz... Lando jest dla mnie kimś ważnym. Jeżeli go nie wypuścisz, mogę spędzić kilka bezsennych nocy. Powiem ci, co zrobimy. Ty go uwolnisz, a ja udostępnię ci wahadłowiec i pozwolę odlecieć.

Boba Fett kiwnął głową.

- Zgoda - powiedział. Nie odwracając głowy, dodał: - Calrissian... możesz odejść. Któregoś dnia może znów się spotkamy.

Lando poczuł, że Bria odsuwa się od niego... wciska się w kąt wnęki i robi miejsce, żeby mógł wyjść. Rzecz jasna, hazardzista o niczym bardziej nie marzył. Chciał

znaleźć się tam, gdzie będzie bezpieczny... jak najdalej od okrutnego Boby Fetta. Mimo to powiedział:

- Nie, Dreo. Nie zostawię lady Lawal. Nie możesz pozwolić, żeby Fett z nią odleciał.

Nieczęsto się zdarzało, że Boba Fett czuł się zaskoczony, ale oświadczenie Calrissiana sprawiło go w zdumienie... niemal osłupienie. Nie przypuszczał, że hazardzista okaże się kimś więcej niż tylko rozpieszczonym, wystrojonym bawidamkiem i zwyczajnym tchórzem. Popatrzył na niego. Zastanawiał się, czy przypadkiem ciemnoskóry mężczyzna nie nawdychał się gazu tibanna albo nie żartuje. Ujrzał jednak malujące się na jego twarzy zdecydowanie i doszedł do wniosku, że Calrissian mówi poważnie. Nie odejdzie bez tej kobiety.

Łowca nagród przeniósł spojrzenie na Dreę Renthal. Był ciekaw, ile znaczy dla niej hazardzista. Od razu zorientował się, że kobieta nadal darzy uczuciem śniadoliciego gogusia. Nie wątpił jednak, że umie trzeźwo myśleć i oceniać szanse. Jeżeli ktoś nie jest zarazem pragmatykiem i osobą bezlitosną, nie zostaje hersztem piratów i dowódcą największej floty najemników w tym rejonie galaktyki. Drea Renthal zapewne zdecydowała się pozostawić Calrissiana własnemu losowi... tym bardziej, że mężczyzna, stając w obronie innej kobiety, mógł poważnie zranić jej uczucia.

Tymczasem przywódczyni piratów nie odrywała spojrzenia od twarzy Calrissiana. W końcu westchnęła i powiedziała:

- Lando, kochanie... Jesteś przystojnym mężczyzną i świetnym tancerzem, ale w tej chwili naprawdę wystawiasz mnie na próbę. Dlaczego miałabym się przejmować losem tej wywłoki? To twoja najnowsza sympatia?

- Nie, Dreo - zapewnił ją hazardzista. - Nic nas nie łączy. Daję słowo. Tylko że Bria jest dziewczyną Hana Solo. A Han Solo jest człowiekiem, który podczas Bitwy o księżyc Nar Shaddaa ryzykował życie, żeby uratować twoje myśliwce typu Y i „Pięć Renthal” od zniszczenia przez straty artylerzystów „Rozjemcy”. Wygląda na to, że masz wobec niego dług wdzięczności.

Jeszcze raz Boba Fett poczuł, że ogarnia go zdumienie. Bria Tharen i Han Solo? To musi być jakaś stara historia! Fett śledził kobietę od ponad roku i w tym okresie Bria ani razu nie skontaktowała się z tym przemysłowcem.

Renthal zamrugnęła.

- Bria? - zapytała. - Nazywa się Bria? Jak statek Hana? Czy to ta sama Bria?

Calrissian kiwnął głową.

- Tak - odparł. - To ta sama Bria.

Drea Renthal skrzywiła się i zakłęła.

- Lando... - rzekła. - Uwielbiasz komplikować mi życie, prawda? I uważasz, kotku, że powinnam zdjąć ten kłopot z twojej głowy? Niech będzie... masz rację. Dług to dług. - Sięgnęła pod opancerzoną kamizelkę i wyjęła stamtąd pękatą sakiewkę. - Klejnoty i czekki kredytowe, Fett - oznajmiła. - Wszystko warte ponad pięćdziesiąt tysięcy kredytów. Wypuść oboje, to zgodzę się, byś odleciał. Nie chcemy z tobą walczyć... ale nie pozwolę ci ich zabrać, to pewne.

Boba Fett objął spojrzeniem najpierw jedną, a potem drugą grupę piratów. Zastanawiał się, czy zdoła przedrzeć się na lądowisko. Obie grupy liczyły trzydziestu dwóch zaprawionych w walkach ludzi; miały więc pełne ręce roboty. Możliwe, że ocali go mandaloriańska zbroja. Możliwe też, że umożliwi mu ucieczkę. Nie mógł jednak nie zauważyć, że Bria Tharen ubrana była tylko w wieczorową suknię bez ramiączek. Gdyby więc doszło do strzelaniny, kobieta mogłaby odnieść rany albo nawet zginąć. Wówczas nie otrzymałby za nią ani kredytu. Tymczasem zlecenie opiewało na dostarczenie jej całej i zdrowej.

Jeszcze jakiś czas Boba Fett wpatrywał się w uzbrojonych po zęby piratów, po czym przeniósł spojrzenie na Brie Tharen. Doświadczył dziwnego uczucia, które chwilę potem - z jakimś zakłopotaniem i zdumieniem - zidentyfikował jako ulgę. Pomyślał, że Bria Tharen nie umrze ani tego dnia, ani następnego. Nie wyzionie ducha w męczarniach, podczas gdy zdeprawowany arcykapłan z Ilezji będzie krztusił się z radości i zacierał nieproporcjonalnie małe dłonie.

Głęboko odetchnął.

- Wyznaczono za nią nagrodę w wysokości stu tysięcy kredytów - odparł oschle.

- Coś podobnego! - Renthäl spojrzała na Korelianę. - Kochanie, co takiego, na miłość wszystkich nocnych demonów Kashyyyku, zbroiłaś? Niech będzie, Fett, ty krwiopijco! - Odwróciła się do podwładnych, otworzyła sakiewkę i, trzymając ją w obu dłoniach, wyciągnęła ku oddziałowi piratów. - Do roboty, panowie! - rozkazała. - Już w tej chwili chcę dostać swoją połowę wszystkiego, co zdobędziemy, łupiąc „Królową”. Wkładajcie to do środka.

Cieszyła się takim szacunkiem, że prawie nikt nie narzekał. Piraci poszperali w kieszeniach i wyciągnęli własne woreczki. Nim upłynęła minuta, sakiewka Renthäl wypełniła się aż po sam brzeg.

Kobieta zamknęła ją, a potem odwróciła się i rzuciła łowcy nagród. Boba Fett chwycił ciężki worek w locie, a potem zważył na dłoni... i pogodził się z tym, co nieuniknione. Doszedł do przekonania, że przywódczyni piratów zapłaciła za jego ofiarę większy okup niż obiecywał lord klanu Besadii.

Mężczyzna odwrócił się do Landa i lekko kiwnął głową.

- Jeszcze kiedyś się zobaczymy, Calrissian - powiedział obojętnym tonem.

Ciemnoskóry mężczyzna wyszczerzył zęby w ponurym uśmiechu.

- Cieszę się na samą myśl.

Boba Fett kiwnął głową w kierunku w kierunku Korelianki.

- Kiedy indziej, proszę pani.

Bria się wyprostowała. Łowca nagród nie mógł nie zwrócić uwagi, że już zdążyła się opanować.

- Mam nadzieję, że nie - powiedziała. - Odtąd będę lepiej się pilnowała.

Mężczyzna obrócił się w stronę Renthäl. Odgiętym kciukiem wskazał piratów stojących za jego plecami.

- O ile pamiętam, lądowisko wahadłowców znajduje się tam - powiedział.

- Zgadza się - oznajmiła Drea. - Panowie, zechciejcie przepuścić pana Fetta. Niech nikt mu nie przeszkadza. Nie zamierzamy przysparzać mu kłopotów, prawda?

Piraci rozstąpili się i pozwolili łowcy nagród przejść.

Zachowując spokój, Boba Fett odwrócił się i z dumnie uniesioną głową ruszył szerokim przejściem między rabusiami. Taki sam szeroki korytarz utworzyli piraci strzegący lądowiska wahadłowców. Łowca nagród wybrał statek i wspiał się po rampie, zasiadł za sterami i wykonał niezbędne procedury przedstartowe. W końcu zgłosił gotowość do odlotu i cierpliwie czekał, aż rozsuna się wielkie skrzydła wrót hangaru. Chwilę później przecinał mroczną pustkę przestworzy.

Odlatywał sam...

Jej sytuacja ulegała tak szybko zmianie, że Bria poczuła coś w rodzaju zawrotu głowy. Jeszcze niedawno, zrezygnowana, godziła się z tym, że ma umrzeć, a wkrótce miała się znaleźć, cała i zdrowa, na pokładzie flagowego statku przywódczyni piratów, „Czujnej Renthäl”. „Czujna” była ogromnym okrętem, dwukrotnie większym niż należąca do Brii korweta klasy Maruder. Drea Renthäl wyremontowała uszkodzony podczas Bitwy o księżyc Nar Shaddaa imperialny krążownik klasy Karrak. Oprócz niego miała korelianską korwetę i eskadry myśliwców typu Y; dysponowała więc naprawdę silną flotą.

- Domyśliłem się, że napadła na nas banda Drei - odezwał się Lando do Brii. Oboje lecieli wahadłowcem, eskortowani przez kilku piratów. W tym czasie pozostali kończyli łupić „Królową Imperium”. - Widziałem tę sztuczkę z asteroidą. Jedyne Dree stać na to, by zaatakować wielki pasażerski liniowiec.

Bria popatrzyła na hazardzistę.

- Lando... - zaczęła. - Jestem ci bardzo wdzięczna. Ująłeś się za mną, chociaż nie musiałeś. To wymagało wielkiej odwagi.

Śniadolicy mężczyzna spojrział na nią czule i uśmiechnął się szarmancko.

- A cóż innego mógłbym zrobić? - zapytał. - Jesteś zbyt piękna, żeby miał cię spotkać los, jaki zamierzał zgotować ci Boba Fett.

Korelianka się roześmiała.

- Prawdę mówiąc, nie przejmowałam się tym, co mógł zgotować mi Fett - wyznała. - Martwiłam się, co mnie spotka, kiedy przekaże mnie tym, którzy wyznaczyli nagrodę. To paskudna zgraja. W porównaniu z nimi Fett wydaje się erudytą i dżentelmenem.

Nagle ocknęła się i wskazała kciukiem za siebie, gdzie w przybliżeniu mogła teraz unosić się „Królowa”.

- Co stanie się z pasażerami? - zapytała. - Czy przypadkiem Renthäl nie jest... - zawahała się. - ..handlarką niewolników?

Lando pokręcił głową.

- Drea? Nic podobnego. Napadła na statek, licząc na to, że się szybko wzbogaci. Uważa, że handel niewolnikami jest zbyt męczący i czasochłonny. Zamierza złupić „Królową”, ograbić pasażerów z kosztowności i może kilku porwać dla okupu. Kiedy otrzyma pieniądze, uwolni wszystkich, nie czyniąc im żadnej krzywdy. Umie trzeźwo myśleć i dbać o własne interesy. Rzecz jasna, nie jest aniołem. Nie miej złudzeń. Jeżeli wymaga tego sytuacja, potrafi być bezlitosna. Ale na pewno nie handluje niewolnikami.

Bria zmierzyła go pełnym powątpiewania spojrzeniem. Lando ujął ją za rękę.

- Zaufaj mi, lady Brio - powiedział. - Nie zamierzam cię okłamywać. Dopiero wtedy Korelianka kiwnęła głową. Uspokoila się i odprężyla.

- Ufam ci, Lando - odrzekła. - Jak mogłabym ci nie ufać po tym, co dla mnie zrobiłeś. Ująłeś się za mną i wyrwałeś mnie z rąk najgroźniejszego łowcy nagród w całej galaktyce. Nie mogę uwierzyć, że się na to odważyłeś.

Lando uśmiechnął się z przymusem i pokręcił głową.

- Czasami sam siebie zaskakuję - wyznał ponuro.

- Czy Drea Renthal zabierze nas na księżyc Nar Shaddaa? - zainteresowała się przywódczyni ruchu oporu. A może tylko pragnęła zmienić temat rozmowy?

- O, tak! - przyznał Lando. - Wybierasz się do Jaskini Hazardu, prawda?

Kobieta się zawahała. Zerknęła na niego podejrzliwie i dopiero po dłuższej chwili odpowiedziała:

- No cóż... prawdę mówiąc, chodzi o coś innego. Zamierzałam polecieć wahadłowcem na planetę Nal Hutta. Muszę wziąć udział w bardzo ważnym spotkaniu.

Lando uniósł brwi.

- Po co, na wszystkie czarne dziury galaktyki - zapytał - taka piękna kobieta miałaby odwiedzać takich cuchnących gangsterów jak Huttowie?

Bria zmusiła się do uśmiechu.

- No cóż...

Lando czekał cierpliwie, aż Korelianka zechce powiedzieć coś więcej, ale kiedy cisza się przeciągała, postanowił ją przerwać.

- Brio... - zaczął cicho. - Naprawdę możesz mieć do mnie zaufanie. Chciałbym zostać twoim przyjacielem.

Kobieta głęboko odetchnęła.

- Umówiłam się na spotkanie z Huttem o imieniu Jiliac - powiedziała. - Straciłam mnóstwo czasu, zanim uzyskałam jego zgodę na tę rozmowę, ale w końcu mi się to udało. Zamierzam złożyć mu... pewną propozycję. Przypuszczam, że uda się nam ubić dobry interes.

Lando zmarszczył brwi.

- Rzeczywiście, musisz lecieć wahadłowcem na planetę Nal Hutta - przyznał po chwili. - Jiliac został niedawno szczęśliwą mamą. O ile mi wiadomo, od czasu urodzenia dziecka nie odwiedził ani razu księżyc Nar Shaddaa. Bria kiwnęła głową.

- Polecę, dokąd trzeba, i porozmawiam, z kim okaże się konieczne - rzekła, spoglądając na Calrissiana. - Domyślam się, że Han Solo nadal mieszka na księżycu Nar Shaddaa?

Nie potrafiła ukryć nadziei, którą wyraźnie było słychać w jej głosie.

Lando pokręcił głową.

- Obawiam się, że się spóźniłaś - odrzekł współczująco. - Uplłynął prawie rok, odkąd wyniósł się do Sektora Wspólnego. Od tamtej pory nikt go nie widział. Ja także nie mam pojęcia, czy wróci.

Bria przygryzła wargę.

- Ach, tak... - powiedziała. Milczała sekundę czy dwie, po czym uniosła głowę i dodała: - No cóż, czasami tak bywa. I tak nie jestem pewna, czy zechciałby się ze mną spotkać.

Lando się uśmiechnął.

- Nie wyobrażam sobie, żeby jakiś mężczyzna nie chciał się z tobą zobaczyć - powiedział. - Osobiście uważam, że Han był głupcem, skoro pozwolił ci odejść.

Bria zachichotała - mimo iż wcale nie było jej do śmiechu.

- Jestem pewna, że Han miałby na ten temat inne zdanie - rzekła.

W tej samej chwili wahadłowiec piratów przeleciał przez wrota hangaru i miękko jak piórko osiadł na płycie lądowiska „Czujnej Renthal”. Bria zgarnęła fałdy wieczorowej sukni i wstała z fotela. Zachowując powagę Lando podał jej rękę i poprowadził do wyjścia.

- A przy okazji - powiedział. - Jak to się stało, na wszystkie gwiazdy galaktyki, że za tę piękną główkę wyznaczono tak wysoką nagrodę?

Bria pokręciła głową.

- To bardzo długa historia, Lando - stwierdziła ponuro. - Bardzo, bardzo długa.

Hazardzista kiwnął głową.

- Niewątpliwie... - odparł. - Skoro jednak Drea potrzebuje jeszcze kilku godzin, żeby skończyć pładrowanie ładowni „Królowej”, chyba nie mamy nic innego do roboty...

- No cóż - zastrzegła się Korelianka. - Niewiele wolno mi wyjawić...

Lando obdarzył ją czarującym uśmiechem.

- Dlaczego nie jestem tym zaskoczony? - zapytał z udawanym zdziwieniem. - Posłuchaj... Poszukam butelki czegoś dobrego, a ty powiesz mi, co możesz. Umowa stoi?

Bria wybuchnęła śmiechem.

- Stoi - powiedziała.

INTERLUDIUM 2

GDZIEŚ MIĘDZY SEKTOREM WSPÓLNYM A HEGEMONIĄ TION

Han Solo budził się powoli. Promienie słońca raziły jego przekrwione oczy. Odnosił wrażenie, że pod powiekami czuje ziarenka piasku. W jego głowie huczało jak w ulu i dudniło jak w źle wyregulowanej jednostce napędowej. W ustach pozostał osad czegoś, co smakowało jak zatechła karma dla banthów. Han jęknął i zamknął oczy. Pragnąc osłonić je przed ostrym blaskiem słońca, obrócił się na brzuch.

Kilka minut później zdołał usiąść na łóżku. Objął głowę dłońmi i zaczął się zastanawiać, co tym razem - na wszystkie mgławice galaktyki - podkusiło go, żeby poprzedniego wieczora wydawać takie przyjęcie. Jedno z wielu, jakie od pewnego czasu urządzał prawie codziennie.

Jak przez mgłę przypominał sobie, że bardzo miło spędzał czas... bawił się doskonale. Czując, że cały świat wiruje jak w obłądnym tańcu, poszperał w plecaku i wyciągnął popularny, powszechnie dostępny środek przeciwko bólom głowy. Nie przejmując się, że nie ma czym popić, połknął dwie tabletki. Kilka następnych minut siedział nieruchomo z zamkniętymi oczami, aż lekarstwo zaczęło działać i ból trochę osłabł.

Dopiero wtedy otworzył oczy i rozejrzał się po kiepsko oświetlonym pomieszczeniu. Zobaczył zaśmiecające podłogę resztki jedzenia, opróżnione butelki, brudne szklanki i kieliszki... Poprzedniego wieczora musiał się nieźle bawić. Zaraz, zaraz... Jak miała na imię ta dziewczyna? Nie pamiętał.

Nie wątpił jednak, że oboje czuli się świetnie w swoim towarzystwie.

Od kilku tygodni wiódł wystawne życie - dzięki kredytom, które otrzymał od płatnika z okrętu espowców. Miał jednak niejasne wrażenie, że obecnie dysponuje niewielką sumą. O wiele niższą niż ta, jaką posiadał jeszcze przed kilkoma tygodniami, gdy pożegnał się z Fiollą.

Pomyślał o niej i poczuł smutek na myśl o tym, że go opuściła. Nadal chciałby spędzać czas w jej towarzystwie. Kiedy oświadczył, że zamierza wynieść się z Sektora Wspólnego, zarezerwowała bilet na wahadłowiec którym chciała polecieć do domu. Twierdziła, że powinna wrócić do pracy. Cieszyła się na myśl o awansie, na jaki z pewnością jej zdaniem - zasługuje za odkrycie i wytropienie szajki handlarzy niewolników.

Od tamtej pory Han i Chewie odwiedzili co najmniej pięć światów. Na każdym lądowali i starali się zarobić trochę kredytów. Czując że jego oczy łzawią, Han spojrział na promienie słońca, wpadające do hotelowego pokoju pod zaciągniętymi zasłonami. Oświetlały biały materiał jasnopomarańczowym blaskiem. Jak, u licha, nazywa się ta planeta?

Nawet gdyby ktoś chciał mu dać worek kredytów nie potrafiłby sobie przypomnieć.

Zeskoczył z łóżka i skierował się do łazienki. Ból głowy wprawdzie mijał, ale zaczynał mu doskwierać coraz większy głód. Han wszedł pod prysznic i oparł się o wyłożoną kafelkami ścianę. Odkręcił kran i pozwolił, żeby na ciele rozpryskiwały się strumyczki gorącej wody...

Pomyślał o domu. Jak się wszyscy miewają? Może jednak powinien, dopóki jeszcze ma trochę kredytów, powrócić na księżyc Nar Shaddaa?

Był ciekaw, co słychać u przyjaciół, Jarika, Mąka... i, rzecz jasna, Landa. Jak mu się teraz powodzi? Czy znalazł sobie nowy statek, którym latał jak kiedyś „Sokołem”?

I co porabia Bria?

Westchnął. Może kiedyś, gdy powróci w opanowany przez Imperium rejon przestworzy, spróbuje skontaktować się z Brią.

Akurat - pomyślał ponuro. - Nie sprawi mu to najmniejszego kłopotu. Wystarczy przecież odnaleźć tajną bazę koreliańskiego ruchu oporu, a potem wpaść na chwilę i zapytać, czy przypadkiem nie mógłbym się zobaczyć z dawną przyjaciółką... Prawdopodobnie trafi mnie między oczy jaskrawa, miła blasterowa błyskawica...

Poczuł się trochę lepiej i zakręcił wodę, a potem wyszedł spod prysznica, by się wytrzeć i ubrać. Postanowił, że coś zje, a potem uda na lądowisko, gdzie czekał „Sokół”... i Chewie. Doszedł do wniosku, że najwyższa pora wynieść się z tej przeklętej planety... bez względu na to, jak się ona nazywa...

ROZDZIAŁ

9

PROPOZYCJE I ODMOWY

Jabba siedział w prywatnej komnacie audiencyjnej pałacu Jiliac na planecie Nal Hutta. Spoczywając w niedbałej pozie u boku ciotki, przysłuchiwał się i przyglądał, jak Bria Tharen składa swoją propozycję. Musiał przyznać, że kobieta przedstawia swój punkt widzenia całkiem niezłe... oczywiście, jak na człowieka.

- Dostojna i czcigodna Jiliac... - Bria wyciągnęła ku niej obie ręce. - Pomyśl tylko, jaka to okazja dla twojego klanu. Jeżeli klan Desilijic zgodzi się sfinansować zakup amunicji i paliwa dla statków naszej grupy, koreliański ruch oporu dopilnuje, żeby Ile-zja przestała być cierniem w twoim boku. Czy nie chciałabyś upokorzyć i poniżyć lordów klanu Besadii? I to za tak śmiesznie niską cenę! My zapewniamy żołnierzy, broń i statki...

- Ale zamierzacie zabrać przyprawę, którą znajdziecie w ilezjańskich magazynach - przerwała po huttańsku Jiliac. Stojący w komnacie audiencyjnej protokolarny android typu K8LR - własność Jabby i Jiliac - natychmiast przetłumaczył na basie słowa przywódczyni Hurtów. Kiedy Jiliac pochylała się, żeby spiorunować spojrzeniem panią komandor Rebeliantów, repulsorowe sanie lekko się zakołysały. - Tymczasem wszystko, co my zyskamy, można oceniać wyłącznie w kategoriach negatywnych. Gdybyśmy mieli zawrzeć z tobą umowę, chcielibyśmy uzyskać coś konkretnego...

Bria Tharen pokręciła głową.

- My ponosimy całe ryzyko i my zabieramy przyprawę, Wasza Ekscelencjo - rzekła stanowczo. - Organizowanie ruchu oporu to kosztowne przedsięwzięcie. Nie możemy likwidować waszych wrogów, nie zyskując nic dla siebie.

Jabba musiał w duchu przyznać jej rację. Dlaczego Jiliac tak się upierała?

Przemówił... pierwszy raz podczas tej audiencji. Nie chcąc tracić czasu na tłumaczenie, postanowił od razu przejść na basie. Znał ten język, ale rzadko się nim posługiwał.

- Chciałbym upewnić się, pani komandor - zaczął - co właściwie pani proponuje i czego od nas oczekuje.

Bria odwróciła się ku niemu i lekko kiwnęła głową.

- Oczywiście, Wasza Ekscelencjo.

- Po pierwsze - zaczął Jabba, odginając palec - klan Desilijic zapewni ci kredyty, za które nabędziesz amunicję i paliwo dla swoich statków, żeby zaatakować Ile-zję. Po drugie, klan Desilijic zobowiązuje się usunąć kapłanów rasy flanda Til, zanim rozpocznie się atak... czy dobrze cię zrozumiałem?

- Tak, Wasza Ekscelencjo - odrzekła Korelianka.

- Dlaczego chcesz, żebyśmy to zrobili? - wtrąciła się pospiesznie Jiliac. - Jeżeli rzeczywiście dysponujesz znacznymi siłami, wyeliminowanie kilku nędznych istot rasy flanda Til nie powinno sprawić wam kłopotów, prawda?

- O wiele łatwiej będzie nam zapanować nad pielgrzymami, jeżeli kapłani wcześniej zginą - wyjaśniła Rebeliantka. - Wa z kajidic, który dysponuje takimi możliwościami i środkami, powinien rozprawić się z nimi bez trudu. Na całej Ile-zji przebywa nie więcej niż trzydziestu kapłanów... a przynajmniej tak uważają agenci naszego wywiadu. To oznacza trzech, a najwyżej czterech w każdej kolonii. Istnieje jeszcze jeden powód. Nie chcemy, żeby nasi żołnierze musieli zmagać się z wytwarzanymi przez kapłanów emocjonalnymi uniesieniami. Wolimy, żeby skupili się wyłącznie na walce.

- Rozumiem - odezwał się Jabba. - Po trzecie... w zamian za kredyty i obietnicę wyeliminowania kapłanów przed atakiem wasi ludzie wylądują i zniszczą przedsiębiorstwa klanu Besadii. Wyszadzą w powietrze przetwornice i magazyny klanu Besadii oraz dopilnują, żeby nie pozostało nic, co jego lordowie mogliby wykorzystać podczas odbudowy.

- Zgadza się, Wasza Ekscelencjo - oświadczyła Bria. - Ponosimy całe ryzyko. Oczywiście, kiedy będziemy odlatywali, zabierzemy pielgrzymów i znalezione w magazynach przyprawę.

- Rozumiem - powtórzył Jabba. - Twoja propozycja, pani komandor, zasługuje na uwagę. My...

- Nie! - Jiliac prychnęła z niesmakiem i lekceważąco machnęła ręką. - Dziewczy-no, dość już usłyszeliśmy od ciebie. Dziękujemy ci, ale...

- Ciociu! - wtrącił się oburzony Jabba, ale kiedy zdumiona Jiliac urwała i spojrzała na niego groźnie, przeszedł na huttański i dokończył o wiele ciszej: - Czy mógłbym porozmawiać z tobą w cztery oczy?

Przywódczyni klanu Desilijic sapnęła z irytacji, ale kiwnęła głową.

- Niech będzie, bratanku - rzekła władcym tonem.

Kiedy android protokolarny typu K8LR wyprowadził kobietę z komnaty audiencyjnej i oświadczył jej, że musi poczekać na odpowiedź, Jabba stwierdził:

- Ciociu, to niezwykle korzystna propozycja. Nie możemy jej odrzucić. Gdybyśmy chcieli opłacić najemników, żeby zniszczyli fabryki i magazyny, kosztowałoby nas to o wiele drożej. Musielibyśmy wydać kilka razy tyle... - pospiesznie dokonał w myślach kilku obliczeń - co najmniej pięciokrotnie więcej. Powinniśmy skorzystać z jej oferty.

Jiliac spojrzała na bratanka z wyraźną pogardą.

- Jabbo, czy ty niczego się nie nauczysz? - zapytała. - Już zapomniawsz, co ci tłumaczyłam? Klan Desilijic nie może opowiedzieć się w tej wojnie po niczyjej stronie!

Czy naprawdę chcesz, żebyśmy przyłączyli się do Rebeliantów? Stanęli po stronie buntowników? Taka polityka doprowadzi nas do katastrofy!

Jabba głęboko odetchnął i wyrecytował w myślach - bardzo powoli - wszystkie litery huttańskiego alfabetu.

- Ciociu - odezwał się w końcu. - Ani mi przez głowę nie przeszło, żeby opowiadać się po stronie Rebeliantów. Uważam jednak, że powinniśmy wykorzystać ich, by osiągnąć własne korzyści. Ta istota ludzka i jej propozycja to zrzucenie losu! Bria Tharen idealnie się nadaje, aby poprowadzić to przedsięwzięcie.

- Dlaczego tak uważasz? - zainteresowała się Jiliac. Zamrugnęła ale nie przestała spoglądać na bratanka.

Doprowadzony do rozpaczy lord Hurtów z głośnym UFF! wypuścił resztę powietrza.

- Pomyśl ciociu! Pamiętasz kim były dwie istoty ludzkie, które przed wielu laty zabiły Zawala i uciekły z Ilezji? Pamiętasz? Kiedy Han Solo zaczął pracować dla nas, przeprowadziłem w tej sprawie własne dochodzenie.

Jiliac zmarszczyła brwi.

-Nie...

- No cóż. Ja pamiętam. Han Solo umknął z Ilezji na pokładzie porwanego statku, w którego ładowniach znajdowała się większość osobistych skarbów arcykapłana. Odleciał w towarzystwie ulubionej niewolnicy Teroenzy, niejakiej Brii Tharen, ciociu. To ta sama kobieta! Nie cierpi ani Ilezji, ani Teroenzy. Zapewne żywi do niego głęboką nienawiść. Nie spocznie, dopóki nie osiągnie celu. Zrobi wszystko, by położyć kres przetwarzaniu przyprawy i handlowi niewolnikami.

Jiliac nie przestawała marszczyć brwi, jakby się nad czymś zastanawiała.

- I co z tego, bratanku, jeżeli nawet ma do wyrównania kilka osobistych porachunków? - zapytała. - Założmy, że zdoła je wyrównać. Jaką może to nam przynieść korzyść?

- Nic nie ucieszy cię chyba bardziej niż zniszczenie tych przeklętych fabryk przyprawy! Pomyśl tylko! Klan Besadii ostatecznie poniżony i pozbawiony głównego źródła dochodów! Druga taka okazja nieprędko się nadarzy!

Jiliac zakołysała się w przód i w tył na masywnym brzuchu. Uniosła głowę i zwróciła wyłupiaste oczy ku sufitowi. Zapewne wyobrażała sobie, jak wszystko się odbędzie.

- Nie - odezwała się w końcu. - To niedobry plan.

- To dobry plan, ciociu - starał się ją przekonać Jabba. - Wymaga tylko dopracowania kilku szczegółów. Z pewnością się powiedzie. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Z całym szacunkiem, ciociu, ale chyba nie przeżyłabyś tej sprawy.

- Czyżby? - Jiliac wyprostowała się na całą wysokość i popatrzyła z góry na krewniaka. - Bratanku, to ty nie przeżyłabyś wszystkiego. Starałam się, jak mogłam, żeby w ciągu ostatnich lat nie porównywałeś z twoim lekkomyślnym ojcem. Już zapomniałeś? Usiłując realizować swoje nieprzemysłane i zwariowane plany, Zorba omal nie doprowadził klanu Desilijic do bankructwa. Potem zaś okazał się tak głupi, by osiąść na planecie Zip... kolonii karnej, o której chyba wszyscy zapomnieli. Mimo to...

Jabba nie znośli, kiedy przypomniano mu o Zorbie i jego rozrzutności.

- Ciociu, dobrze wiesz, że w niczym nie przypominał ojca! - burknął szorstko. - Szanuję cię, ale uważam, że ostatnio nie poświęcasz sprawom naszego klanu tyle czasu, ile powinnaś. Zmiękałś i zobojeźniałaś, a twój osąd nie jest już tak bystry, jak kiedyś. Musimy rozprawić się z klanem Besadii jak najszybciej, gdyż inaczej grozi nam ruina. Co masz właściwie do zarzucenia tej propozycji?

Jiliac czknęła. W opadającym kąciku jej ust pojawiło się trochę zielonkawej flegmy.

- Zbyt ryzykowna, zbyt wiele niewiadomych - oznajmiła. - Istoty ludzkie nie są na tyle inteligentne, żebyśmy mogli dokładnie przewidzieć, jak się zachowają. Kto wie, czy nie wezmą naszych kredytów, a potem nie zdradzą nas i nie przejdą na stronę klanu Besadii?

- Rebelianci są za bardzo przekonani o słuszności własnej sprawy - odparł spokojnie Jabba. - Masz rację, ciociu. Nie rozumiesz istot ludzkich. Ludzie pani komandor Tharen naprawdę są na tyle zdecydowani i głupi, że zaryzykują życie, byle tylko uwolnić tych żalosnych niewolników. Istoty ludzkie już takie są. A zwłaszcza ta istota ludzka.

- Chcesz powiedzieć, że ty je rozumiesz? - parsknęła Huttanka. - Niby skąd, bratanku, wzięła się twoja znajomość ich charakterów? Może stąd, że obserwujesz, jak skąpo odziane podrygują w rytm krzykliwej muzyki?

Jabba poczuł, że zaczyna go ogarniać coraz większe rozdrażnienie.

- Znam je lepiej niż ty, ciociu! - burknął. - I wiem, że nie możemy pozwolić sobie na odrzucenie tak korzystnej propozycji!

- A zatem uważasz, że powinniśmy wyrazić zgodę, aby żołnierze koreliańskiego ruchu oporu zabili trzydziestu kapłanów rasy t'landa Til - powiedziała ze złowieszczym spokojem Jiliac. - Czy pomyślałeś, co się stanie, jeżeli ta wiadomość rozniesie się po planecie Nal Hutta? Pozostałe istoty rasy flanda Til będą miały nam to za złe. Podniosą wrzask. Nie darują nam tego. Uważamy ich za krewniaków, bratanku. Tymczasem ludzie nic dla nas nie znaczą!

Młody Hurt musiał w duchu przyznać, że o tym nie pomyślał. Kilka chwil milczał, zastanawiając się, jak rozwiązać ten problem.

- Nadal uważam, że dałoby się to jakoś załatwić - odezwał się w końcu. - W przeszłości nieraz uchodziło nam płazem zabijanie wielu istot naraz.

- A poza tym - ciągnęła posepnie Jiliac, jakby nie usłyszała jego słów - nie chcę, żeby ktokolwiek kładł kres operacjom na Ilezji. Chcę tylko przejąć nad nimi kontrolę. Co z tego, że pogńębimy klan Besadii, skoro przetwórnice przyprawy ulegną zniszczeniu?

- Możemy zbudować inne fabryki - zauważył Jabba. - Koszty z pewnością okażą się niższe niż gdybyśmy nadal mieli tolerować obecną sytuację! Nie możemy dopuścić, żeby klan Besadii gromadził przyprawę w magazynach i bez końca podnosił cenę!

Jiliac pokręciła głową.

- To ja jestem przywódczynią klanu i moja odpowiedź brzmi: nie - rzekła. - To ostateczna decyzja, bratanku.

Jabba otworzył usta, jakby chciał jeszcze coś wytłumaczyć albo zaprotestować. Jiliac uciszyła go władcym machnięciem ręki. Głośnym okrzykiem dała znać, żeby wezwano androida protokolarnego oraz panią komandor Rebeliantów. K8LR usłużnie wprowadził młodą kobietę do komnaty. Nie przestawał głośno wychwalać jej odwagi.

Jiliac rzuciła Jabbie zirytowane spojrzenie, po czym przeniosła wzrok na Koreliankę i głośno chrząknęła.

- A zatem, dziewczyno, jak mówiłam poprzednio, zanim mi przerwano... - spojrzała znacząco na bratanka - doceniamy twoją propozycję, ale nasza odpowiedź brzmi: nie. Klan Desilijic nie może ryzykować, zawierając przymierza z ruchem oporu.

Jabba zauważył, że na twarzy Brii Tharen odmalowało się rozczarowanie. Kobieta westchnęła i pochyliła plecy.

- No cóż, Wasza Ekscelencjo - rzekła. Sięgnęła do kieszeni polowego kombinezonu i wyciągnęła stamtąd jakiś przedmiot. - Jeżeli kiedyś Wasza Ekscelencja zmieni zdanie, można będzie mnie znaleźć...

Jiliac machnięciem ręki dała znak, że nie weźmie elektronicznej wizytówki. Chwilę później spiorunowała spojrzeniem bratanka, który wyciągnął rękę i wyjął cienką płytkę z dłoni kobiety. Trzymając wizytówkę, popatrzył na Koreliankę.

- Ja ją wezmę - powiedział. - Do zobaczenia, pani komandor.

- Dziękuję, że Wasze Ekscelencje zechciały poświęcić mi tyle czasu - rzekła Bria, nisko się kłaniając.

Jabba obserwował, jak kobieta odwraca się i odchodzi. Przyłapał się na myśli, że wspaniale prezentowałyby się w kostiumie tancerki. Wyobrażał sobie, jak uroczo wyglądałyby jej złocistorude włosy, opadające na obnażone ramiona... całkiem niezłe umięśnione ramiona. Kobieta była zwinna i wysoka. Doskonale nadawałaby się tancerkę!

Jabba westchnął.

- Bratanku - odezwała się Jiliac. - Nie życzę sobie, żebyś kiedykolwiek ośmielił się podważać mój autorytet, jak uczyniłeś to w obecności tej dziewczyny. Nigdy nie zapominaj, że ilekroć my, członkowie klanu Desilijic, rozmawiamy o interesach z istotami stojącymi na niższym szczeblu rozwoju, musimy zawsze mówić jednym głosem. Nie możemy dopuścić, żeby na światło dzienne wychodziły jakiegokolwiek animozje, różnice czy podziały.

Jabba nie ufał sobie na tyle, aby odpowiedzieć. Czuł się rozgoryczony i wściekły, że ciotka nie usłuchała jego rady. Powinna była skorzystać z propozycji, z którą przyleciała do nich Bria Tharen. Druga taka okazja nigdy się nie nadarzy.

Gdybym to ja był przywódcą klanu Desilijic - pomyślał ponuro - nie musiałbym się liczyć z żadnymi paranoidalnymi, konserwatywnymi poglądami. Jeżeli chce się osiągać naprawdę duże zyski, czasami trzeba ryzykować. Przez to macierzyństwo zgłupiała i zmiękła...

Dopiero w tej chwili uświadomił sobie - pierwszy raz - że gdyby Jiliac przestała być przywódczynią klanu, jej następcą zostałaby on, Jabba Desilijic Tiure. Nie musiałby wówczas przed nikim odpowiadać.

Leżał nieruchomo u boku ciotki. Tylko lekkie drganie ogona dowodziło, że się nad czymś głęboko zastanawia. W pewnej chwili zerknął na ciotkę. Powierzchnia torby na jej brzuchu zafalowała. Chwilę później wysunęło się stamtąd dziecko.

- Małe słoneczko mamusi! - wykrzyknęła Jiliac. - Jabbo, spójrz! Z każdym dniem staje się coraz większy!

Zaczęła mruczeć i gruchać do maleństwa. Jabba skrzywił się, czknął i odwrócił głowę. Jak najszybciej umiał, wypełził z komnaty. Odnosił wrażenie, że ani chwili dłużej nie znieśie widoku ciotki ani dziecka.

Bria Tharen sięgnęła po kieliszek wina. Powoli, smakując trunek, upiła łyk, a potem odstawiała kieliszek i uśmiechnęła się do towarzyszącego jej mężczyzny.

- To coś wspaniałego, Lando - powiedziała. - Jestem ci naprawdę bardzo wdzięczna. Nawet nie masz pojęcia, od jak dawna nie spędziłam spokojnego wieczora, podczas którego mogłabym odprężyć się i zapomnieć o wszystkim.

Lando Calrissian kiwnął głową. Wcześniej tego samego dnia Bria przyleciała wahadłowcem na księżyc Nar Shaddaa i oświadczyła, że jej spotkanie z przywódcami klanu Desilijic zakończyło się całkowitym niepowodzeniem. Pragnąc ją pocieszyć, hazardzista obiecał, że wieczorem zaprosi ją na połudwiec z nerfa do Jaskini Hazardu, jednego z najwytworniejszych kasyn-hotelu Księżyca Przemysłowców. Bria założyła luźną turkusową suknię, która doskonale harmonizowała z barwą jej oczu. Lando zaś - na pamiątkę „wspólnie spędzonych chwil”, jak powiedział - miał na sobie te same, co na „Królowej”, czerwono-czarne szaty.

- Od jak dawna? - powtórzył, powoli obracając w palcach własny kieliszek. - No cóż... domyślam się, że dowódca oddziału Rebeliantów ma sporo obowiązków. Niemal tyle, co towarzysza życia moffa sektora.

Bria otworzyła szeroko oczy, ale za chwilę je zmrużyła.

- Skąd to wiesz? - zapytała, wyraźnie zaskoczona. - Nigdy ci o tym nie mówiłam...

- Nie zapominaj, że księżyc Nar Shaddaa jest kryminalnym ośrodkiem całej galaktyki - odparł z uśmiechem hazardzista. - Pewien sprzedawca informacji miał wobec mnie dług wdzięczności, a ja któregoś dnia zażądałem, by go spłacić. Jesteś panią komandor koreliańskiego ruchu oporu i nazywasz się Bria Tharen, prawda?

Korelianka zacisnęła wargi i lekko kiwnęła głową.

- Hej, odpręż się - odezwał się Lando. Wyciągnął rękę i delikatnie dotknął grzbietu jej dłoni. - Czy nie powiedziałem ci, że możesz mi zaufać? Możesz. Wcale nie kocham Imperium. Gdybym nie był takim skończonym tchórzem, przyłączyłbym się do Rebeliantów. Znam wiele tajemnic i umiem ich dochować.

Korelianka uśmiechnęła się z przymusem.

- Możesz myśleć o sobie, co chcesz, Lando, ale z pewnością nie jesteś tchórzem - odrzekła. - Nie może być tchórzem ktoś, kto sprzeciwił się Bobie Fettowi. Powinieneś się przyłączyć do ruchu oporu. Jesteś świetnym pilotem; jesteś sprytny i mądry. Bardzo szybko awansowałbyś na oficera.

Zawahała się i chwilę później dodała, tym razem poważniejszym tonem:

- A jeżeli chodzi o moffa Sarna Shilda... mogę powiedzieć tylko tyle, że czasami pozory strasznie mylą. Wykonywałam rozkaz dowódcy ruchu oporu, ale byłam tylko przyjaciółką i doradczynią moffa... chociaż Shild bardzo się starał, aby wszyscy sądzili, że łączy nas coś więcej.

- Ale także go szpiegowałaś.

- Zbierałam o nim różne informacje. To mniej dosadne określenie.

Lando zachichotał.

- A zatem, dokąd się wybierasz jutro, kiedy odlecieś z księżycyca Nar Shaddaa? - zapytał.

- Dołączę do swojego oddziału i zajmę się wykonywaniem kolejnych rozkazów... bez względu na to, czego mogą dotyczyć - odparła Bria. - Niestety, nie powróci ze mną dwóch starszych oficerów i jeden doskonały zawodowy żołnierz... - Zasepiła się na wspomnienie tego co się stało. - Wszystkich trzech zabił Fett... tak szybko i łatwo, jak ty albo ja rozdeptujemy owada.

- Właśnie dlatego uważa się go za najgroźniejszego łowcę nagród w galaktyce - przypomniał Calrissian.

- To prawda... - Bria upiła następny łyk wina. - Fett jest prawdziwą jednoosobową armią. Jaka szkoda, że opowiedział się po stronie Imperium. Tak bardzo przydałby się nam podczas walki!

Lando obdarzył ją zamyślnym spojrzeniem.

- Tak bardzo ci na tym zależy? - zapytał. - Na obaleniu Imperium, prawda?

Kobieta kiwnęła głową.

- To sens mojego życia - przyznała szczerze. - Oddam wszystko, byle urzeczywistnić to marzenie.

Lando sięgnął po podplotyk, polał go leśnym miodem z Kashyyyku, ugryzł kęs i popatrzył na rozmówczynię.

- Poświęciłaś wiele lat tej idei - stwierdził. - A kiedy Bria Tharen będzie miała szansę wieść normalne życie? Kiedy powiesz po prostu: dosyć? Czy nie chciałabyś mieć domu, rodziny... dzieci?

Korelianka uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Czy wiesz, że ostatnią osobą, która mnie o to pytała, był Han Solo?

- Doprawdy? - zdziwił się Lando. - Zapewne wówczas, kiedy oboje przebywaliście na Ilezji? To musiało być strasznie dawno, prawda?

- Tak. To wspaniałe, że wreszcie dowiedziałam się, co u niego słyhać. Czy wiesz, Lando, że za kilka miesięcy upłynie dokładnie dziesięć lat, odkąd go poznałam? Nie do wiary... Gdzie się podziały te wszystkie lata?

- Powędrowały tam, dokąd zawsze zdąża czas - zażartował Calrissian. - Pośrodku galaktyki znajduje się gigantyczna czarna dziura, która wsysa wszystkie sekundy, minuty, godziny, dni i lata. Nie wiedziałas?

Bria wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się ponuro.

- Przyjmuję to wyjaśnienie - powiedziała. - Muszę je zapamiętać.

Lando nalał jej jeszcze trochę wina.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie - przypomniał. - Kiedy Bria Tharen zamierza zacząć normalne życie?

Korelianka zwróciła ku niemu pałające, szmaragdowo-błękitne oczy.

- Kiedy Imperium upadnie i Palpatine zginie - oznajmiła. - Dopiero wtedy pomyślę, by się ustatkować. Któregoś dnia... z pewnością będę miała dziecko. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Chyba nie zapomniałam, jak się sprząta i gotuje. Moja matka bardzo się starała, żebym była materiałem na „dobrą żonę”. Udzieliła mi wielu cennych rad i wskazówek, jak wypełniać „kobiece obowiązki”.

Lando wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. - Nie ucieszyłaby jej wiadomość, że zostałaś Rebeliantką. Noszącą połowy mundur, uzbrojoną po zęby...

Bria uśmiechnęła się ponuro i przewróciła oczami.

- Biedna mama! - westchnęła. - Jak to dobrze, że nie może mnie widzieć! Zemdlaby z przerażenia!

W tej samej chwili robot-kelner przyniósł zamówione potrawy i oboje z rozkoszą wbili zęby w smakowite mięso.

- Lando, to jest wspaniałe! - oznajmiła kobieta. - Niech się schowają wszystkie wojskowe racje.

Hazardzista się uśmiechnął.

- Jeszcze jeden powód, dla którego nie mógłbym przyłączyć się do Rebeliantów - powiedział. - Przepadam za dobrą kuchnią. Chyba nie mógłbym ciągle jeść racji polowych.

Bria kiwnęła głową.

- Nawet nie wiesz, jak szybko byś się do nich przyzwyczaił - rzekła. - Wystarczy trochę praktyki...

- Nie zamierzam praktykować - odparł beztrąsko Calrissian. - Jak mógłbym zrezygnować z tego wszystkiego?

Machnął ręką, pokazując elegancko urządzone wnętrze restauracji i widoczną za drzwiami rzęsiście oświetloną salę kasyna. Bria pokiwała głową.

- Nie umiem sobie wyobrazić Landa Calrissiana w rebelianckim mundurze - powiedziała.

- Nie przerobionym przez dobrego krawca - dodał hazardzista.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

- Czy kiedykolwiek brałeś udział w walce? - zapytała go poważnym tonem Korelianka.

- O, tak - odparł Lando. - Jestem całkiem niezłym strzelcem i chyba dobrym pilotem. Uczestniczyłem w kilku potyczkach i w Bitwie o księżyc Nar Shaddaa. Han, Salla i ja znaleźliśmy się w największym ogniu walki.

- Opowiedz mi o tym - poprosiła kobka. - Nie mogę uwierzyć, że przemysłnicy - chyba nie mniej uparci i niezależni niż ci, których znałam - potrafili połączyć siły i sprzymierzyć się, żeby stawić czoło imperialnej flocie.

Lando zawsze z niemalym zapałem opowiadał sympatycznym słuchaczkom o sobie i własnych przygodach. Teraz też postanowił nie pomijać żadnych szczegółów. Opisał Bria, jak przemysłnicy połączyli siły z flotą piratów pod dowództwem Drei Ren-

thał, co pozwoliło im zniszczyć wiele imperialnych myśliwców i kilka dużych jednostek liniowych. Korelianka słuchała w napięciu i tylko od czasu do czasu zadawała jakieś pytanie. Interesowała się nawet szczegółami natury taktycznej i strategicznej.

W końcu Lando umilkł. Oboje skończyli jeść zamówiony deser. Bria zaczęła, aż robot-kelner sprzątnie ze stołu. Usiadła wygodniej na krześle i powiedziała:

- Co za historia! Muszę przyznać, że odwaga i doświadczenie przemytników warły na mnie bardzo duże wrażenie. Zapewne są doskonałymi pilotami, prawda?

- Muszą nimi być, jeżeli chcą umknąć imperialnym celnikom - przyznał Calrissian.
- Przemycnicy potrafią niemal wszystko: latać między asteroidami, przemykać między mgławicami, stawiać czoło gwiazdnym nawałnicom i lądować na każdej powierzchni. Dobrego przemytnika nie odstraszą żadne przeciwności. Kiedyś widziałem, jak jeden, zmagając się z wahaniem natężenia grawitacyjnych pól, osadza frachtowiec na powierzchni asteroidy niewiele większej niż jego statek. Zaburzenia sił przyciągania, turbulencje warstw atmosfery, burze piaskowe, śnieżne nawałnice, huragany, tajfuny... Poradzają sobie ze wszystkim.

Bria nie odrywała spojrzenia od jego twarzy.

- Oczywiście... - odezwała się, kiedy Lando skończył - przemytnicy to najbardziej doświadczeni piloci galaktyki... Co więcej, są także dobrymi wojownikami.

Lando machnął ręką.

- Oczywiście - odparł. - Nie może być inaczej. Muszą w każdej chwili być gotowi do walki. Nie wiedzą, kiedy i skąd wyskoczy imperialny patrolowiec i artylerzyści zaczęną zasypywać ich seriami strzałów. Rzecz jasna, podczas Bitwy o księżyc Nar Shaddaa walczyli w obronie własnych domów i majątków. W każdej innej sytuacji zażądałby zapłaty za swoje usługi.

Bria zamrugła, jakby nagle jakaś myśl wpadła jej do głowy.

- Chcesz powiedzieć... Czy uważasz, że ktoś mógłby im zapłacić, żeby wzięli udział w wojskowej operacji?

Lando wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie? - odparł beztrąsko. - Większość przemytników niczym się nie różni od korsarzy. Za obietnicę wysokiego wynagrodzenia, zgodzą się bez wahania.

Bria się zamyśliła. Zaczęła uderzać starannie utrzymanymi paznokciami w dolną wargę. Lando wpatrzył się w jej dłonie.

- Hej... - powiedział cicho. Pochylił się, ujął dłoń kobiety, delikatnie przyciągnął do siebie i zaczął ją oglądać. - Co ci się stało, Brio? - zapytał.

Korelianka zaczerpnęła głęboki haust powietrza.

- Chodzi ci o te blizny? - spytała. - To pamiątka z okresu, kiedy pracowałam w ileżajskich przetwórnich przyprawy. Zazwyczaj, ilekroć spotkam się z kimś na gruncie towarzyskim, pudruję je albo pokrywam specjalnym kremem, ale wszystkie moje kosmetyki zostały w kabinie „Królowej”. Pamiętasz?

- Drea obiecywała mi, że odeśle twoje rzeczy - oznajmił hazardzista. - Podałem jej numer twojego apartamentu. - Uniósł głowę i popatrzył na kobietę z zakłopotaniem. - Bardzo przepraszam, że w ogóle o to pytałem. Czuję się paskudnie. Po prostu... no cóż,

zależy mi na tobie. Kiedy je zobaczyłem, poczułem ból. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, ile wycierpiał na Ilezji.

Bria poklepała go po dłoni.

- Wiem. To miło z twojej strony, Lando, że tak się o mnie troszczysz. Ale nie tylko moim losem powinienes się przejmować. Na Ilezji codziennie umierają ludzie. Inni harują bez końca... głodzeni, oszukiwani, opuszczeni... Hazardzista kiwnął głową.

- Han kiedyś mi o tym opowiadał. On także buntował się przeciw temu, co się tam wyprawia. Ale nie możemy nic na to poradzić, prawda?

Rebeliantka rzuciła mu płomienne spojrzenie.

- Nie, Lando - rzekła stanowczo. - Przysięgam sobie, że póki żyję, nie zrezygnuję z prób uwolnienia tych nieszczęśników. Któregoś dnia położę kres piekłu, jakie przeżywają na Ilezji. Któregoś dnia skończę z tym haniebnym procederem. - Wyszczrzyła zęby w tak zawziętym, dzikim uśmiechu, który przypominał hazardzistę dawno nie widzianego przyjaciela. - Jak mawiał Han: Zaufaj mi - dokończyła.

Lando zachichotał.

- Twój uśmiech uświadomił mi, że czasem jesteś do niego bardzo podobna.

- Han odegrał w moim życiu bardzo ważną rolę - przyznała Bria. - Okazał się dla mnie kimś w rodzaju... wzorca. Wiele mnie nauczył. Dzięki niemu stałam się silna, odważna i niezależna. Może mi nie uwierzysz, ale kiedyś byłam okropnym mazgajem.

Lando pokręcił głową.

- Nie wierzę.

Bria spuściła głowę i spojrzała na swoje blizny. Na tle opalonej skóry dłoni i przedramienia całkiem wyraźnie rysowały się białe, krzyżujące się nitki, podobne trochę do pajęczyny.

- Han także nie mógł znieść ich widoku - mruknęła, chyba bardziej do siebie niż Calrissiana.

Kilka chwil Lando mierzył ją spojrzeniem.

- Tylko on się liczy, prawda? - zapytał cicho. - Nadal go kochasz?

Bria nabrała powietrza i spojrzała na niego. W jej oczach odmalowała się powaga.

- Tak. Tylko on się liczy - powtórzyła jak echo.

Lando otworzył odrobinę szerzej oczy.

- Czy to znaczy... - zaczął - tylko on? Nie było nikogo innego?

Korelianka kiwnęła głową.

- Och, miałam kilka propozycji - przyznała beztrąsko. - Postanowiłam jednak, że poświęcę życie walce z Imperium. A poza tym... prawdę mówiąc, w porównaniu z Hanem wszyscy inni wydawali mi się tacy... bezbarwni.

Lando zachichotał, chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Dopiero teraz uświadomił sobie, że mimo jego najszczęśliwszych pragnień i starań serce Brii pozostanie wierne Hanowi... najprawdopodobniej na zawsze.

- No cóż, przynajmniej kiedy w końcu powróci z Sektora Wspólnego, nie dostanę od niego po nosie za to, że odbiłem mu dziewczynę - powiedział, uśmiechając się i mrużąc oko. - Wygląda na to, że powinienem skupić uwagę na pozytywnych aspektach swojej sytuacji.

Korelianka spojrzała na niego i także się uśmiechnęła. Uniosła kieliszek z winem i oznajmiła:

- Proponuję wznieść toast. Za zdrowie mężczyzny, którego nadal kocham. Za zdrowie Hana Solo.

Lando uniósł swój puchar i z cichym brzęknięciem zetknął z kieliszkiem kobiety.

- Za zdrowie Hana - powtórzył. - Najszczęśliwszego gościa całej galaktyki.

I N T E R L U D I U M 3

KASHYYYK - W DRODZE POWROTNEJ Z SEKTORA WSPÓLNEGO

Han Solo przebywał na Kashyyyku. Stał pośrodku salonu Mallatobuck i przyglądał się, jak jego najlepszy przyjaciel delikatnie kotysze na rękach swojego małego synka.

Wracając z Sektoru Wspólnego, zaledwie przed godziną wylądowali na rodzinnej planecie Wookiego. „Sokół” spoczywał bezpiecznie ukryty na tajnym lądowisku w kornarze gigantycznego wroshyra. Tym razem, na prośbę Hana, mieszkańcy Rwookrrorro przygotowali splecione z pędów winorośli drabinki, po których Korelianin, przechodząc z jednego drzewa na drugie, mógł dostać się do centrum miasta. Wiedząc już, czym jest quulaar, grzecznie, ale stanowczo oświadczył, że za nic w świecie nie zgodzi się wejść do środka.

Kiedy postawił stopę na płycie lądowiska, od razu zauważył, że dzieje się coś dziwnego. Wszyscy Wookie, których spotykał, spoglądali na Chewiego, a potem tajemniczo się uśmiechali i porozumiewawczo trącali jeden drugiego pod żebro. Chewbacca chyba niczego nie zauważył. Niecierpliwie czekał chwili w której zobaczy niedawno poślubioną piękną żonę. Mimo wszystko, nie widział się z nią od ponad roku...

Maila powitała go trzymając w objęciach okryte kocem zawiniątko. Chewbacca zamarł bez ruchu i dopiero po sekundzie czy dwóch na jego kudłatej twarzy zagościł nieprawdopodobnie szeroki uśmiech.

Han klepnął przyjaciela po plecach z siłą, której pozazdrościć mógł mu niejeden Wookie.

- Hej, gratuluję ci, Chewie! - wykrzyknął. - Zostałeś tatusiem!

Po kilku minutach podziwiania dziecka (nawet Han musiał przyznać, że jest wyjątkowo urocze) powędrował do kuchni Maili, żeby Chewie mógł spędzić chociaż trochę czasu sam na sam z żoną. Poszperał w chłodziarce i w końcu znalazł coś, co nadało się do jedzenia. Jak to dobrze - pomyślał - że Mallatobuck kazała mi się czuć w jej mieszkaniu jak u siebie w domu.

Siedział teraz w salonie i słuchał, jak Chewie i Maila, pogrążeni w rozmowie, zastanawiają się nad imieniem dla dziecka. Chwilę później wrócił myślami do przegód, które razem przeżyli w Sektorze Wspólnym i Hegemonii Tion. Nie wracał stamtąd bogaty... doszedł jednak do wniosku, że nie ma czego żałować. I tak powodziło mu się nienajgorzej.

A poza tym - poznał kilka niezwykłych osób. Niektóre były szlachetne i dobre; inne zaś - wręcz przeciwnie. Oczywiście, do tej pierwszej kategorii mógł zaliczyć kilka urodziwych dam... Jesse, Fiollę... i Hasti.

Han uśmiechnął się na wspomnienie młodej kobiety, która pomogła mu odnaleźć skarbiec Xima Despoty.

Na swojej drodze natknął się również na kilku osobników spod ciemnej gwiazdy. Jedni usiłowali tylko pozbawić go kredytów, inni jednak chcieli go zdmuchnąć jak płomień świecy. Było ich, prawdę mówiąc, co niemiara... Ploovo Dwa-Na-Jeden, Hirken, Zlarb, Magg, Spray... i Gallandro. Ten ostatni, Gallandro, był ze wszystkich chyba najgorszy. Ciekawe, co by się stało, gdyby dysponując taką samą bronią stanął do pojedynku z Boba Fettem? Zapewne wyciągnąłby swoją szybciej niż osławiony łowca nagród, ale mandaloriańska zbroja Fetta mogłaby ocalić mu życie...

Han nie potrafił rozstrzygnąć, który z nich odniósłby zwycięstwo. Zresztą, te rozważania i tak pozbawione były sensu. Przecież Gallandro, zamieniony w kupkę popiołu i zwęglonej tkanki, stracił życie na planecie Dellalt, w pieczarze ze „skarbem” Xima Despoty.

To zabawne, że spotkał także Roę i Badure'a. Musi pamiętać, żeby przekazać Mace pozdrowienia od tego drugiego.

Rozmyślając o niedawnych przygodach, Han przyłapał się na tym, że zastanawia się, co mogą teraz robić Bollux i Błękitny Max. Uświadomił sobie, że tęskni za nimi. Nigdy nie podejrzewał, że automaty mogą mieć taką osobowość. Żywił nadzieję, że Skynx obchodzi się z nimi, jak należy...

Korelianin musnął palcami niedawno zagojoną ranę na podbródku... ślad po cięciu nożem. Nie miał czasu, żeby się nią prawidłowo zająć i rana zrosła się sama... choć pozostała widoczna blizna. Może powinien ją usunąć...

Czy to nie Lando powiedział mu kiedyś, że kobiety nie potrafią się oprzeć urokowi hultajów i łobuzów? Właśnie dlatego hazardzista zapuścił wąsy. Twierdził, że nadają mu dziarski, zawadiacki wygląd. Han doszedł do wniosku, że na razie nie powinien pozbywać się blizny. Stanowiła przynajmniej doskonały temat rozmowy... albo mogła stanowić. Wyobraził sobie, jak odwiedzając niektóre ulubione lokale na księżycu Nar Shaddaa, opowiada o swoich przygodach jakiejś pięknej, zafascynowanej jego osobą damie...

Następnym przystankiem będzie księżyc Nar Shaddaa - postanowił. - Ciekawe, czy Jabba bardzo za mną tęsknił?

ROZDZIAŁ

10

CO MA WISIEĆ...

- Precz mi stąd! - Durga Besadii Tai przewrócił wylupiastymi oczami i zamasztyłym gestem nakazał małemu ubezjańskiemu wygrywaczowi kurantów, żeby wyniósł się z sali tronowej. - Dosyć!

Wysokie, piskliwe i nierytmiczne dźwięki koily wprawdzie uszy, ale nie pomagały lordowi Huttów skupić się ani wzbudzić w sobie hartu ducha, koniecznego do realizacji tego, co chciał zrobić.

Minęło wiele frustrujących miesięcy; upłynęło jeszcze więcej bezowocnych godzin... ale żaden trop nie przybliżył go do uzyskania jednoznacznej odpowiedzi na dręczące go pytanie: kto odpowiada za zamordowanie ojca? Durga natknął się na mur równie gruby, szczelny i gładki jak metalowe tafle, które właśnie w tej chwili opadały z sufitu, aby uniemożliwić podsłuchiwanie. Kiedy zetknęły się z podłogą, Durga podszedł do komunikatora, po czym wykrzywił się ponuro i wystukał polecenie wytworzenia ekranującego pola. Nie chciał, żeby ktokolwiek dowiedział się, co chce zrobić. Ani Zier, ani majordom Osman... Durga nie ufał nikomu.

Poświęcił mnóstwo czasu. Napracował się, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Wszystko na próżno. Nadal nie mógł wykryć niczego, co pozwoliłoby mu oskarżyć o zamordowanie Aruka jakiegoś członka klanu Desilijic albo Teroenzy. Nie znalazł żadnego dowodu na to, że ilezjański arcykapłan pozostawał z nimi w zмовie.

W końcu Durga uznał, że naszedł czas. Uświadomił sobie jednak, że coś kwaśnego przelewa mu się w żołądku. Rozkurczył ciało, żeby chociaż odrobinę zmniejszyć napięcie. Koniec ogona skręcał się i drgał, co u Huttów było odpowiednikiem nerwowego przechadzania się po pomieszczeniu. Jeżeli zachowam ostrożność, może nie wpakuje głowy w pętlę - mruknął do siebie. - Choć i tak cena, jaką przyjdzie mi zapłacić, z pewnością okaże się wysoka... bardzo wysoka. Ale nie wytrzymam dłużej tej przekłetej niepewności...

Zaczekał, aż ekranujące pole osiągnie pełne napięcie i otoczy go migotliwą mgiełką. Teraz mógł się czuć bezpieczny. Mimo to -na wszelki wypadek - jeszcze raz upewnił się, że nikt nie może zobaczyć go ani podsłuchać. Dopiero wtedy włączył ko-

munikator na nadawanie, wybrał najbezpieczniejszy kanał i wysłał sygnał. Może nie zastanę Xizora - pomyślał. Podświadomie tego właśnie się spodziewał.

Jego życzenie nie miało się spełnić. Po kolei zgłaszali się różni podwładni księcia - jeden bardziej służalczy od drugiego - aż Durga zaczął podejrzewać, że ktoś bawi się z nim w chowanego. W końcu jednak mgielka zakłóceń zaczęła rzędnąć i ukazała się świetlista postać księcia Falleenów. Kiedy Xizor rozpoznał rozmówcę, ciemnozielona barwa jego skóry załśniła odrobinę jaśniejszym blaskiem. Uśmiechnął się uprzejmie .. czyżby w jego uśmiechu widać było samozadowolenie? Nie bądź paranoikiem - skarcił siebie w myślach Durga.

Teraz, kiedy w końcu się zdecydował, pragnął jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Kiwnął masywną głową przywódcy Czarnego Słońca.

- Książę Xizor - powiedział. - Witam Waszą Wysokość.

Xizor uśmiechnął się jeszcze szerzej, a jego oczy - który dzięki przenikającym hologram promieniom światła błyszczały bardziej złowieszczym blaskiem niż zazwyczaj - zwróciły się Hutta.

- Ach, witam cię, lordzie Durgo, drogi przyjacielu - odezwał się Falleen. - Nie widzieliśmy się od tyłu miesiący... co najmniej od standardowego roku, a może jeszcze dłużej, prawda? Czy dobrze się czujesz? Nic ci nie dolega? Muszę przyznać, że zacząłem martwić się o ciebie. Czemu zawdzięczam zaszczyt rozmowy z tobą?

Durga zebrał się w sobie.

- Czuję się doskonale, Wasza Wysokość. Nic mi nie dolega - zaczął ostrożnie. - Nadal jednak nie dysponuję niepodważalnym dowodem, który pozwoliłby mi odnaleźć mordercę ojca. Zastanawiałem się nad propozycją Waszej Wysokości, dotyczącą pomocy w znalezieniu zabójcy Aruka. Zajęło mi to trochę czasu, ale doszedłem do przekonania, że powinienem z niej skorzystać. Chciałbym więc prosić Waszą Wysokość o wydanie polecenia swoim wywiadowcom i szpiegom, żeby przeprowadzili dochodzenie i albo potwierdzili, albo rozproszyli moje obawy. Nie mogę żyć dłużej w takiej niepewności.

- Rozumiem... - odparł Xizor. - Muszę przyznać, lordzie Durgo, że jestem zaskoczony. Nie spodziewałem się, że zechcesz przyjąć moją propozycję. Przypuszczałem, że tradycja rodzinna nakazuje ci, abyś sam odnalazł sprawcę.

- Próbowałem - oznajmił Durga. Z każdą chwilą czuł się coraz bardziej nieswojo. Zaczynał podejrzewać, że Xizor z niego drwi. Nie cierpiał tego. - Wasza Wysokość... Kiedyś powiedziałeś mi, że w tej sprawie mogę liczyć na pomoc Czarnego Słońca. Chciałbym teraz skorzystać z twojej propozycji... rzecz jasna, jeżeli cena nie okaże się zbyt wygórowana - zastrzegł się szybko.

Xizor kiwnął głową i wysłał rozmówcy wyrozumiały, uspokajający uśmiech.

- Lordzie Durgo... - zaczął. - Nie masz się czego obawiać. Moja organizacja jest do twojej dyspozycji.

- Muszę dowiedzieć się, kto zamordował Aruka - oświadczył lord Huttów. - Zapłacę, ile Wasza Wysokość zażąda... w rozsądnych granicach.

Xizor nagle spowaźniał. Wyprostował się na całą wysokość.

- Lordzie Durgo, źle mnie zrozumiałeś. Krzywdzisz mnie swoimi podejrzeniami. W zamian za pomoc nie chcę od ciebie żadnych kredytów. Pragnę tylko, żebyś okazał mi swoją przyjaźń.

Hurt wpatrywał się w migotliwy wizerunek przywódcy Czarnego Słońca. Usiłował odgadnąć, co naprawdę kryje się za słowami księcia Falleenów.

- Wasza Wysokość zechce mi wybaczyć - odezwał się w końcu. - Podejrzewam jednak, że chodzi o coś więcej.

Xizor westchnął.

- Ach, drogi przyjacielu, chyba nic nie jest takie proste, jak się wydaje, prawda? Rzeczywiście, chciałbym otrzymać coś od ciebie w zamian za przysługę. Jako przywódca klanu Besadii znasz rozmieszczenie systemów obronnych planety Nal Hutta. Chciałbym mieć szczegółowy opis samych systemów, schemat rozmieszczenia stanowisk artylerii i generatorów pól ochronnych, a także dane dotyczące mocy, siły rażenia, zasięgu i natężenia pola.

Książę Falleenów się uśmiechnął. Tym razem w jego uśmiechu całkiem wyraźnie dało się wyczytać kpinę.

Durga skulił się, jakby chciał uniknąć ciosu. W następnej sekundzie jednak się opanował. Siłą woli zmusił się, żeby na jego twarzy nie odmalowało się osłupienie ani przerażenie. Systemy obronne planety Nal Hutta? - pomyślał. - Dlaczego chce znać rozmieszczenie turbolaserów i generatorów? Niemożliwe, by Czarne Słońce przygotowywało się do ataku... a może jednak...?

Może to tylko test. Xizor raczej niczego nie knuje... Choć Durga nie mógł mieć absolutnej pewności. Wyobraził sobie wielką równinę przed swoim pałacem, ograniczoną w oddali wijącą się wstęgą rzeki. Ujrzał w myślach srebrzystą tarczę księżycy Nar Shaddaa, świecącą nad samym horyzontem na wieczornym niebie. Miałby z tego wszystkiego zrezygnować? Pomyślał o najgorszym scenariuszu... kiedy planeta Nal Hutta przestanie być domem klanu Besadii. Doszedł do przekonania, że jego klan jakoś poradzi sobie bez wspaniałego klejnotu, który przodkowie zdobyli przed wieloma pokoleniami. Będzie miał jeszcze system Ilezji...

A co z pozostałymi obywatelami planety Nal Hutta? Co z Hurtami, którzy nie mieli szczęścia należeć do klanu Besadii? No cóż - pomyślał Durga - i tak powoli stają się naszymi nieprzyjaciółmi. Musiał jeszcze wziąć pod uwagę drobny problem oficjalnego potępienia i związanej z nim kary w wysokości miliona kredytów...

Durga zerknął na podobiznę dostojnego, starego Aruka, ukrytą w niszy na podwyższeniu w sali tronowej. Podjął decyzję. Przeniósł spojrzenie na hologram księcia Falleenów.

- Wasza Wysokość otrzyma te informacje - oznajmił. - Zrobię to, ale muszę wiedzieć, kto zabił mojego ojca.

Xizor powoli kiwnął głową.

- Kiedy otrzymamy te informacje, lordzie Durgo, zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby ci pomóc - powiedział. - Do zobaczenia, drogi przyjacielu.

Hutt pochylał głowę w najuprzejmiejszym ukłonie, na jaki potrafił się zdobyć. Po-tem przerwał połączenie. Jego żołądek wyprawiał dzikie harce. Durga zastanawiał się, czy postępuje słusznie. Miał przeczucie, że to wszystko źle się skończy.

Xizor odwrócił się od konsoly komunikatora i popatrzył na Guri. W kącikach je-go kształtnych ust błąkał się autentyczny uśmiech.

- To okazało się o wiele łatwiejsze niż przypuszczałem - powiedział z dumą. - Klin został wbity głęboko. Już niedługo Durga i klan Besadii odłączą się od pozostałych Hurtów. Ciekaw jestem, dlaczego oślizgłe serce Durgi kazało mu zdradzić wszystkich pobratymców w zamian za rozkosz wywarcia zemsty.

Pogodna jak zawsze replikantka odwzajemniła jego spojrzenie.

- Mój książę - zaczęła - cierpliwość, jaką okazywałeś tym Hurtom, w końcu przyniosła owoce. Pomogło nam także to, że klan Besadii został tak surowo ukarany przez przywódców kajidiców innych klanów.

- To prawda - przyznał Falleen. Złączył dłonie i zaczął delikatnie postukiwać dłu-gimi paznokciami. - Durga nie pała teraz miłością do innych Huttów. Wątpię zresztą, by kiedykolwiek ich lubił. Rozpacz i ból po śmierci ojca, a także pragnienie zemsty... to wszystko stanie się dla nas najlepszym kluczem do zdobycia rejonu przestworzy należącego do Huttów. Pomogą nam w tym również przywódcy klanu Desilijic. Wykorzy-stamy ich nawyk stosowania prostych rozwiązań do złożonych problemów. Guri, zdo-byłaś dowód, którego szuka Durga, prawda?

Replikantka nie zmieniła wyrazu twarzy.

- Oczywiście, mój książę - rzekła. - To zasługa obywatela Greena. Nie tylko po-mógł nam go uzyskać, ale także skierował prowadzone przez patologów z Instytutu Medycyny Sądowej śledztwo na boczne tory. Obywatel Green jest bardzo kompetentną istotą ludzką, książę.

Xizor kiwnął głową. Jego związane w koński ogon włosy opadły na plecy.

- Kiedy Durga przekaze ci te informacje, odczekaj dwieście standardowych go-dzin, żeby wyglądało, że przeprowadziliśmy własne dochodzenie, a potem przekaz wszystkie materiały samemu Durdze - rozkazał. - Kiedy Hutt się z nimi zapozna, z pewnością wystąpi przeciwko klanowi Desilijic. Pozostań z nim, Guri. Jeżeli okaże się to konieczne, pomóż mu zemścić się na Jiliac. Pamiętaj jednak, żeby żadna krzywda nie stała się Jabbie. Jabba przydał mi się w przeszłości i spodziewam się, że także w przy-szłości odda mi usługi. Podobnie rzecz się ma z Teroenzą. On także gra rolę w naszych planach. Nie może mu się stać nic złego. Rozumiesz?

- Rozumiem - odparła Guri. - Stanie się, jak sobie życzysz, mój książę.

Zwinnie i szybko odwróciła się i wyszła z komnaty.

Xizor odprowadził ją spojrzeniem. Nie mógł wyjść z podziwu. Zapłacił za nią dziewięć milionów kredytów, ale było warto. Nie żałował ani jednego wydanego decy-kredyta. Mając Guri u boku, był gotów rzucić wyzwanie wszystkim Hurtom...

A potem? Kto wie, może któregoś dnia rzuci wyzwanie samemu Imperatorowi?

Kiedy Han Solo powrócił z Sektora Wspólnego, powitali go serdecznie wszyscy znajomi i przyjaciele - wszyscy z wyjątkiem Salli Zend i Landa. Ciemnoskóry hazardzista wyprawił się dokądś z Dreą Renthal. Nikt nie miał pojęcia, dokąd ani na jak dłu-go; wszystko wskazywało jednak na to, że jego nieobecność na księżycu Nar Shaddaa potrwa kilka dni, a może nawet dłużej.

Jeżeli zaś chodzi o Sallę... Prawdę mówiąc, Han nie oczekiwał, że oboje będą za-chowywali się, jakby nic się nie stało. Nie przypuszczał jednak, aby kobieta zechciała traktować go jak powietrze. Tymczasem... Raz czy dwa zobaczył ją z dużej odległości w gwiazdnej stajni Shuga, ale za każdym razem, gdy Salla dostrzegła jego albo Chewbacę, odwracała się i znikła za najbliższym przepierzeniem.

Od przyjaciół dowiedział się, że podczas jego nieobecności zachowywała się, jak-by nic się nie stało. Widywano ją w towarzystwie innych mężczyzn, ale żadnego z tych związków nie określano mianem „poważnego”. Podobno pewien czas współpracowała z Landem, ale i w tym przypadku ich znajomość miała zapewne charakter wyłącznie zawodowy.

Jarik zerwał z dziewczyną i znów stał się sobą. Wyglądało na to, że z powrotu prawowitych właścicieli do domu był zadowolony nawet ZeeZee, zdezelowany andro-id.

Kiedy kilka dni później Lando powrócił, Han udał się do mieszkania przyjaciela. Wymienili uścisk dłoni, kilka razy klepnęli się po plecach i nawet się uściskali. Potem hazardzista odszedł kilka kroków, żeby lepiej przyjrzeć się przyjacielowi.

- Wyglądasz doskonale - powiedział. - Tylko twoim włosom przydałaby się wizyta u fryzjera.

- Moim włosom zawsze przydałaby się wizyta u fryzjera - odparł Han z poważną miną. - To dlatego, że zbyt wiele czasu spędzam w towarzystwie Wookiech. A wiesz, jak to z nimi... Jeżeli powiesz któremuś, że jest zarośnięty, uzna to za komplement.

Lando wybuchnął śmiechem.

- Nic się nie zmieniłeś - powiedział. - Hej, wpadnijmy do Złocistego Globu. Ja stawiam!

Po kilku minutach siedzieli w zacisznej niszy z wysokimi kuflami piwa w dło-niach.

- Opowiadaj - zaczął Lando. - Chcę wiedzieć wszystko - gdzie byłeś i co widzia-łeś... i jak dorobiłeś się tej blizny.

Han opisał zwieźle, co przeżył w Sektorze Wspólnym. Kiedy skończył, dopijali trzeci kufel piwa. Lando pokręcił głową.

- To przypomina trochę moje przygody w okolicach Środka - oznajmił. - Jeden złoczyńca po drugim. Czasami wygrywasz fortunę, czasami przegrywasz... a czasami jej nie znajdujesz. Tak już bywa. A przy okazji, jak się sprawował mój statek?

Han upił spory łyk alderaańskiego piwa, a potem otarł usta grzbietem dłoni.

- Twój statek? - roześmiał się, jakby od dawna oczekiwał takiego pytania. - „So-kół” jeszcze nigdy nie był w tak dobrym stanie. Jeżeli naprawdę chcesz wiedzieć, wy-ciąga teraz zero koma pięć powyżej prędkości światła.

Lando otworzył szerzej ciemne oczy.

- Żartujesz!
- Wcale a wcale - odrzekł Solo. - Spotkałem w Sektorze Wspólnym gościa, który potrafi sprawić, że wirniki jednostek napędu nad-światelnego nie tylko obracają się jak szalone, ale jeszcze wydają ci dwa decykredyty reszty. Doc jest prawdziwym mistrzem, kolego.

- Musisz kiedyś zabrać mnie do niego - oznajmił Lando. Wciąż jeszcze nie mógł wyjść z podziwu.

- No, dobrze - powiedział Han. - Powiedz teraz, co się z tobą działo.

Lando pokrzepił się potężnym łykiem piwa.

- Hanie - zaczął. - Rzeczywiście muszę ci coś powiedzieć. Przed kilkoma tygodniami widziałem się z Brią.

Han usiadł prosto.

- Brią? - zapytał, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Brią Tharen? Jakim cudem? Kiedy?

- To długa historia - odparł hazardzista, niewinnie się uśmiechając.

- A zatem, bierz się do roboty i zacznij ją opowiadać - burknął Han, chmurząc się i napinając mięśnie.

- Kolego, ta kobieta to naprawdę urocza dama - powiedział Lando, po czym westchnął.

Jakby pchnięty sprężyną, Han zerwał się z krzesła i chwycił przyjaciela za kołnierz haftowanej koszuli.

- Hej! - zawołał ciemnoskóry hazardzista, z trudem chwytając powietrze. - Między nami do niczego nie doszło! Raz czy dwa zaprosiłem ją do tańca, to wszystko!

- Zaprosiłeś ją do tańca? - Han puścił koszulę przyjaciela i usiadł zakłopotany. - Aha...

- Spokojnie, Hanie. Nie gorączkuj się tak - odrzekł Lando. - Ile lat upłynęło, odkąd ostatni raz widziałeś tę kobietę?

- Przepraszam, kolego - odparł Han. - Rzeczywiście, chyba trochę mnie poniosło. Kiedyś wiele dla mnie znaczyła.

Lando znów się uśmiechnął... tym razem jednak jakby trochę ostrożniej.

- No cóż, ona nadal interesuje się tobą - powiedział. - I to bardzo.

- Lando... - przypomniał zniecierpliwiony Solo. - Ta historia. Miałeś mi ją opowiedzieć. Zacznij wreszcie.

- Niech będzie - odparł Calrissian.

Opowiedział przyjacielowi o wszystkim, co przeżył podróżując „Królową Imperium”. Kiedy doszedł do wydarzeń na korytarzu niedaleko lądowiska dla wahadłowców, uświadomił sobie, że Han, pochylony nad blatem stołu, dosłownie chłonie każde jego słowo.

W końcu opowieść dobiegła końca. Han usiadł prosto i pokręcił głową.

- Co za historia - przyznał. - Hej, Lando, już drugi raz postawiłeś się Bobie Fettowi. Niewielu odważyłoby się na coś takiego.

Hazardzista wzruszył ramionami. Tym razem sprawiał wrażenie całkowicie poważnego.

- Nie znoszę łowców nagród - oznajmił. - Nigdy ich nie znosiłem. Nie wydałbym w ich łapy najgorszego wroga. Uważam, że łowcy nagród nie są lepsi od handlarzy niewolników.

Han kiwnął głową, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jakie to szczęście, kolego, że Drea ma do ciebie słabość - powiedział.

- Prawdę mówiąc, zdecydowała się dopiero wówczas, kiedy uświadomiłem jej, że ma wobec ciebie dług wdzięczności - zauważył Calrissian.

- No cóż, będą musiał jakoś dać jej znać, że teraz ja mam wobec niej dług wdzięczności - rzekł Solo. - Mam nadzieję, że kiedy niedawno zabrałeś ją na wycieczkę, nie nudziła się w twoim towarzystwie.

- Oczywiście, że nie - zachnął się z udawanym oburzeniem hazardzista. - To jedyna rzecz w życiu, na której naprawdę się znam: jak zapewnić damom dobrą rozrywkę.

- A zatem... kiedy Bria powiedziała ci, że nadal się mną interesuje? - zapytał Solo, jakby nagle sobie o czymś przypomniał. - Mówiłeś, że Boba Fett zabronił ci się odzywać.

- Och, zobaczyłem się z nią jeszcze raz - przyznał Lando. - Tym razem tu, na księżycu Nar Shaddaa.

Han spiorunował go spojrzeniem.

- Doprawdy?

- Ta-a - oznajmił beztrzesko hazardzista. - Uspokój się, przyjacielu! Zaprosiłem ją tylko na obiad. Była bardzo przygnębiona. Jabba i Jiliac nie zgodzili się przyjąć jej propozycji. O ile wiem, starała się ich namówić na sfinansowanie ataku Rebeliantów na Ilezję. Ktoś musiał ją pocieszyć. - Lando westchnął. - Cały czas mówiła tylko o tobie. Coś okropnego.

Han uświadomił sobie, że - chyba mimowolnie - zaczyna się uśmiechać.

- Ta-a? - zapytał, dokładając starań, żeby jego głos zabrzmiał beztrzesko. - Naprawdę?

Lando spojrzał na niego z udaną groźbą.

- Tak. Calutki wieczór - odparł. - Zapewne tylko Xendar wie, dlaczego, ale nie interesowała się nikim ani niczym innym.

- Myślałem o tym, żeby kiedyś się z nią skontaktować - przyznał Solo. - Po tym jednak, jak ujrzałem ją u Sarna Shilda... No cóż, teraz wiem, że wykonywała tylko rozkaz wodza ruchu oporu. Przypuszczam jednak, że dobra agentka nie zawaha się przed niczym, byle tylko wyciągnąć upragnione informacje...

- Zapytałem ją o to - przerwał mu Calrissian. - Shild starał się, by wszyscy myśleli, że jest jego konkubina, ale nią nie była. A z tego, co mówiono mi o rym gościu, wynika, że miał naprawdę bardzo dziwny gust, jeżeli chodzi o... osoby, z którymi się zadawał.

- Hmm... - mruknął Han. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał. - Więc powiadasz, że mówiła o mnie, hmm? Nadal jej na mnie zależy?

- Owszem - potwierdził Calrissian. - Jeszcze nigdy nie widziałem takiego nadętego zarozumialca. - Zaśmiał się krótko i dopił resztę piwa. - Powiedziałem ci, kolego. To było coś okropnego.

Han spojrział na niego z wyrozumiałym uśmiechem.
- No cóż... - zaczął. - Dziękuję. Jestem twoim dłużnikiem, Lando... Za to, że ją ocaliłeś.

- Powinieneś sam z nią pogadać - oświadczył hazardzista. - O ile wiesz, jak to zrobić.

- Może kiedyś pogadam - odparł Han, nagle poważniejąc. - Lando, obawiam się, że mam dla ciebie przykrą wiadomość.

- Tak?

- Chodzi o Mąka Spince'a. Kiedy przebywał w sektorze Ottegi, miał bardzo nieprzyjemne spotkanie z tymi bandytami, NaQoitami. Ktoś go znalazł umierającego, i przetransportował na księżyc Nar Shaddaa. W tej chwili Mąko przebywa w sektorze koreliańskim, w ośrodku rehabilitacyjnym szpitala. Shug powiedział mi, że Mąko jest sparaliżowany. Najprawdopodobniej już nigdy nie będzie chodził.

Lando pokręcił głową. Na jego śniadej twarzy odmalowało się przerażenie.

- Hej... to okropne! - powiedział. - Chyba wolałbym zginąć niż do końca życia...

Han kiwnął głową. On także miał ponurą minę.

- Ja także - powiedział. - Tak myślałem... Czy przypadkiem nie chciałbyś go odwiedzić? Jeżeli chodzi o mnie, chyba powinienem. Ja i Mąko znamy się od bardzo dawna. Tylko że... wolałbym nie odwiedzać go sam, rozumiesz? Mówiąc szczerze, gdybyśmy poszli do niego obaj, może byłoby nam łatwiej go pocieszyć?

Lando wzruszył ramionami.

- Zważywszy na okoliczności, to może okazać się bardzo trudne - odrzekł cicho. - Oczywiście, pójdę z tobą. Przynajmniej tyle możemy dla niego zrobić. Mąko jest przecież jednym z nas.

- Dziękuję.

Następnego dnia obaj przyjaciele udali się do ośrodka rehabilitacyjnego miejscowego szpitala. Han rzadko odwiedzał to miejsce i może dlatego czuł się wyjątkowo nieswojo. Powiedział androidowi-strażnikowi w recepcji, kogo chce odwiedzić, i uyskał od niego numer pokoju. Obaj mężczyźni zawahali się jednak, kiedy stanęli przed drzwiami.

- Lando... - szepnął Han. - Nie jestem pewien, czy sobie z tym poradzę. Wolałbym uciekać przed dziesięcioma imperialnymi patrolowcami...

- Wiem - zgodził się z nim Calrissian - Czuję się tak samo. Przypuszczam jednak, że czułbym się o wiele gorzej, gdybym teraz wrócił do domu i nie odwiedził Mąka.

Han kiwnął głową.

- Ja też.

Nabrał powietrza i przestąpił próg pokoju.

Mąko Spince leżał na specjalnym łożu. W powietrzu unosiła się ledwo wyczuwalna woń płynu bacta. Rany na twarzy mężczyzny już się zabiłiżyły, ale Han zdołał się zorientować, że Mąko przeżył straszne chwile. Bandyci NaQoitowie słynęli z okrucieństwa.

Długie do ramion włosy Spince'a spoczywały na białej poduszce. Kiedy ostatnio Han je widział, były czarne, chociaż przyprószone siwizną. Teraz, cienkie i proste, mia-

ły barwę ołowiu. Mąko miał zamknięte oczy, ale Han zorientował się, że mężczyzna nie śpi. W końcu się zdecydował.

Korelianin zawahał się. Nie wiedział, od czego zacząć.

- Hej, Mąko! - odezwał się głośno i wesoło. - To ja, Han! Wróciłem z Sektora Wspólnego. Jest ze mną także Lando.

Mąko otworzył wyblakłe, podobne do bryłek lodu oczy. Popatrzył na mężczyzn obojętnie, jakby ich widział pierwszy raz w życiu. Nie odezwał się ani słowem... mimo iż Han wiedział, że mógłby. Prawa ręka mężczyzny była zdeformowana; zapewne Mąko stracił także władzę w nogach, ale z pewnością mógł myśleć i mówić.

- Hej, Mąko - odezwał się Lando. - Cieszymy się, że żyjesz. Przykro nam, że miałeś taką nieprzyjemną przygodę w systemie Ottegi... uhhmm...

Han postanowił pospieszyć mu z pomocą. Doszedł do wniosku, że zniesie wszystko... z wyjątkiem przeciągającego się milczenia.

- Ta-a, ci bandyci NaQoitowie to parszywi dranie. Uhhmm... wiemy, że miałeś z nimi ciężką przeprawę... to wszystko prawda... ale... uhm... hej, głowa do góry, kolego! Nie martw się. Ja i pozostali... urządzimy dla ciebie zbiórkę, wiesz? Zbierzemy tyle, żeby wystarczyło na repulsorowe krzesło. Będiesz poruszał się na nim szybciej niż my! Lekarze mówią, że już wkrótce cię stąd wypuszczą...

W końcu i Han umilkł. Nie miał pojęcia, co mówi się w takich sytuacjach. Zakłopotany, odwrócił głowę do Landa i uniósł pytająco brwi. Mąko cały czas nie poruszył się ani nie odezwał.

- Uhm, tak - podjął Lando. Za wszelką cenę starał się podtrzymać rozmowę. - Posłuchaj, Mąko... czy czegoś potrzebujesz? Powiedz tylko, a my to załatwimy. Prawda, Hanie?

- Jasne - odparł Solo. - Gorączkowo zastanawiał się, czym jeszcze mógłby pocieszyć ранego przyjaciela. Nie potrafił jednak nic wymyślić. - Uhm... Mąko? - zapytał w końcu. - Hej, kolego...

Spince jednak nie zmienił obojętnego wyrazu twarzy. W końcu, bardzo powoli, zamknął oczy i odwrócił głowę w przeciwną stronę. Chyba nie mógł dosadniej dać im do zrozumienia, czego chce. „Odejdźcie”.

Han westchnął, wzruszył ramionami i popatrzył na śniadolice-go hazardzistę.

Obaj odwrócili się i wyszli z pokoju, zostawiając Mąka Spince sam na sam z głu- chą ciszą.

W siedzibie kajidica klanu Desilijic na księżycu Nar Shaddaa czekało Hana o wiele cieplejsze przyjęcie. Majordom Jiliac - istota ludzka płci żeńskiej o imieniu Dielo - uśmiechnęła się szeroko na jego widok tak szeroko jak jeszcze nigdy przedtem.

- Kapitanie Solo! - wykrzyknęła. - Tak się cieszę, że pan powrócił! Jabba polecił mi, żebym pana natychmiast wprowadziła!

Korelianin, przyzwyczajony, że ilekroć pragnie się zobaczyć z Jabbą, zawsze musi czekać, uznał to za dobry znak.

W pozbawionej mebli ogromnej komnacie audiencyjnej ujrzał tylko Jabbę. Rozkładając szeroko małe rączki, lord Hurtów zaczął pospiesznie pełznąć w jego kierunku.

- Hanie, mój chłopcze! - wykrzyknął. - Wspaniale, że znów cię widzę. Nie było cię stanowczo zbyt długo!

Przerazająco długą sekundę Han myślał, że Jabba naprawdę chce go porwać w objęcia i uściskać. Starając się nie marszczyć nosa, szybko się cofnął. Doszedł do wniosku, że musi się od nowa przyzwyczajać do smrodu Hurtów...

- Hej, Jabbo... Wasza Wysokość - zaczął. - Jak to miło wiedzieć, że się jest potrzebnym.

- Daj spokój z tą „Waszą Wysokością”, Hanie! - zahuczał Jabba. Jak zwykle, mówił po huttańsku. Wiedział, że Han dobrze go rozumie. - Przecież jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, prawda? Nie musimy się bawić w takie formalności!

Lord klanu Desilijic wprost ociekał uprzejmością. Korelianin tylko z trudem powstrzymał się, by nie wybuchnąć gromkim śmiechem. Interesy ostatnio idą bardzo kiepsko - pomyślał. - Zapewne nie mógł się doczekać, kiedy wrócę.

- Jak sobie życzysz, Jabbo - odparł. - A zatem, jak ci leci?

- Ach, te interesy... - westchnął Hurt. - Nie układają się... najlepiej. Klan Besadii, niech ich zaraza, stara się zbudować flotę własnych transportowców. A poza tym, niestety, robi się coraz gęściej od patrolowców Imperium. Gnębiamy nas imperialni celnicy i piraci. Cierpią na tym transporty przyprawy.

- Jak zwykle, klan Besadii dręczy was jak cierń w zadku, prawda? - domyślił się Solo.

Jabba zatrząsał się ze śmiechu. W ogromnej, pustej komnacie jego rechot poniósł się głośnie echem, ale nawet dla niewprawnego ucha Hana śmiech Jabby zabrzmiał trochę sztucznie.

- Hanie, musimy walczyć z klanem Besadii - oznajmił lord Hurtów, kiedy trochę się uspokoił. - Kłopot w tym, że nie mam pomysłu, w jaki sposób.

Korelianin popatrzył na Jabbę.

- Słyszałem, że koreliański ruch oporu zwracał się do klanu Desilijic z prośbą o pomoc w przeprowadzeniu ataku na Ilezję - odparł.

O dziwo, Jabba nie okazał zdziwienia. Zapewne wiedział, że i Han dysponuje własnymi źródłami informacji. Kiwnął masywną głową.

- Przyszła z tym do nas twoja rodaczka - przyznał. - Niejaka Bria Tharen.

- Nie widziałem się z nią od dziesięciu lat - zastrzegł się Solo. - Podobno jest teraz przywódczynią Rebeliantów.

- To prawda - odparł Jabba. - Muszę przyznać, że byłem bardzo zainteresowany jej propozycją. Moja ciotka nie zgodziła się poprzeć bojowników koreliańskiego ruchu oporu, więc szukam innych sposobów złamania potęgi klanu Besadii. Musimy położyć kres temu, co wyprawiają. Kierują do magazynów najlepszą przyprawę. Chcą podbić cenę i dlatego ograniczają ilości wysyłane na rynek. Nasi wywiadowcy meldują, że ich magazyny są przepelnione. Podobno klan Besadii buduje nowe składki.

Han pokręcił głową.

- To niedobrze - powiedział. - A Jiliac? Jak się miewa? A jej dziecko?

Jabba się skrzywił.

- Moja ciotka miewa się dobrze. Dziecko jest zdrowe. Rozwijają się i wciąż rośnie.

- Skąd zatem ta kwaśna mina? - zainteresował się Korelianin.

- Przypuszczam, Hanie, że gorliwość, z jaką Jiliac wywiązuje się z macierzyńskich obowiązków, jest godna najwyższej pochwały - zaczął Jabba. - Ale za to ja muszę teraz brać na własne barki o wiele większe ciężary. Cierpią na tym moje interesy na Tatooine. Coraz więcej energii poświęcam na załatwianie wszystkich spraw klanu Desilijic. - Lord Hurtów ciężko westchnął. - Hanie, drogi chłopcze, możesz mi wierzyć, ostatnio z coraz większym trudem znajduję czas na rozwiązywanie wszystkich problemów.

- Ta-a, chyba wiem, Jabbo, jak się czujesz - stwierdził Han, niespokojnie przestępując z nogi na nogę.

Hurt, którego uwadze nic nie uchodziło tego dnia, zauważył niepokój Korelianina.

- Co ci jest, Hanie? - zapytał.

Solo wzruszył ramionami.

- Nic takiego - odparł. - Czasami tylko żałuję, że w tej komnacie nie ma chociaż jednego najzwyklejszego krzesła. Rozmawiając z tobą, muszę cały czas stać, a to bardzo źle wpływa na moje stopy. - Zawahał się. - Czy nie miałbyś mi za złe, gdybym kontynuował tę rozmowę, siedząc na podłodze?

- Ho, HO! - zagrział Jabba. - Często myślałem, drogi chłopcze, jakież to musi być trudne i niewygodne. Zastanawiałem się, jak też ludzie mogą powierzać cały ciężar ciała stopom. Mam jednak dla ciebie, Hanie, coś lepszego niż podłoga. - Odwrócił się niezwykłe szybko i zwinnie, wyciągnął ogon i kilka razy zachęcająco uderzył nim o posadzkę. - Siadaj, chłopcze.

Han uświadomił sobie, że spotyka go wielki zaszczyt. W myślach rozkazał nosowi, by nie protestował. Podszedł do Hutty i usiadł na jego ogonie jak na pniu zwalonego drzewa. Mimo iż odrażający fetor drażnił jego nozdrza bardziej niż kiedykolwiek, uprzejmie się uśmiechnął.

- Moje stopy są ci wdzięczne, Jabbo - powiedział.

Hurt zarechotał tak głośnie, że Han zaczął się obawiać, czy przypadkiem nie popękają mu bębenki.

- Ho, HO, HO! Hanie, mój chłopcze, bawisz mnie prawie tak samo, jak jedna z moich tancerek!

- Dziękuję za komplement - odezwał się przez zaciśnięte zęby Solo.

Zastanawiał się, kiedy będzie mógł wstać i wyjść bez obawy, że urazi Jabbę. Tymczasem Hurt zwinął wielkie cielsko w kłębek, tak by mógł widzieć twarz rozmówcy.

- A zatem - ciągnął Korelianin - co sądzisz o pani komandor Tharen?

- Wydaje mi się, że - jak na istotę ludzką - jest wyjątkowo inteligentna i kompetentna - oznajmił Jabba. - I chociaż Jiliac nie zgodziła się przyjąć jej propozycji, ja uznałem ją za godną uwagi.

- Jak powiedziałem, nie widziałem się z nią od wielu lat - przypomniał Solo. - Jak wygląda?

Jabba zarechotał i przesunął jęzorem po wargach.

- W każdej chwili zatrudniłbym ją jako tancerkę, chłopcze.

Han wykrzywił się, jakby połknął coś kwaśnego. Przedtem jednak upewnił się, że Hutt tego nie zauważy.

- Uhm, ta-a... - mruknął. - No cóż, Jabbo, ona mogłaby mieć w tej sprawie odmienne zdanie. Nikt nie zostaje dowódcą tylko za ładny wygląd.

Jabba oprzytomniał.

- Wywarła na mnie duże wrażenie - przyznał. - Uważam, że jej plan ma szansę powodzenia.

- Co właściwie wam zaproponowała? - zainteresował się Solo.

Jabba powtórzył zwięźle, na czym polegał plan koreliańskiego ruchu oporu. Han wzruszył ramionami.

- Przez atmosferę przedrą się tylko najlepsi piloci - zauważył. - Zastanawiam się, jak Bria zamierza dać sobie radę z tym problemem.

- Nie wiem - odparł Jabba. - Powiedz mi coś, Hanie. Kiedy przebywałeś na Ilezi, mniej więcej ilu strażników pilnowało każdego osiedla?

- Od stu do kilkuset - odparł Solo. - Zależnie od liczby niewolników zatrudnionych w przetwórnich przyprawy. Przeważnie Gamorreanie, Jabbo. Wiem, że wy, Huttowie, lubicie ich, ponieważ są silni i bez szemrania wykonują wszystkie rozkazy. Spójrz jednak prawdzie w oczy. Mają żalosne uzbrojenie. Nie liczą się jako siła bojowa. A poza tym, większość samców myśli tylko o tym, żeby zwrócić zabytkową broń przeciwko pobratymcom z innego klanu. Czasami, walcząc ze wspólnym wrogiem, starają się wyrównywać własne porachunki. Co prawda, lochy są o wiele bardziej zdyscyplinowane, mądrzejsze i sprytniejsze, ale się nie zgadzają, by pracować jak najemniczki.

- Uważasz więc, drogi chłopcze, że dobrze uzbrojeni i zdyscyplinowani Rebelianci nie będą mieli kłopotów z opanowaniem tych kolonii? - zapytał Jabba.

Han pokręcił głową.

- Zdobędą je bez trudu, Jabbo.

Lord Hurtów zamrugał wylupiastymi oczami.

- Hmmmm... - zaczął z namysłem. - Hanie, mój chłopcze, jak zwykle okazałeś się nieoceniony. Mam gotowy do wysyłki transport przyprawy, która nie może się doczekać, kiedy trafi do odbiorców. Czy ty i twój frachtowiec zechcecie dla mnie pracować?

Han zorientował się, że pytanie Hutta oznacza grzeczną odprawę. Natychmiast skorzystał z okazji i zerwał się na równe nogi. Poczul, że spodnie ma ubrudzone lepką, cuchnącą mazią. Wspaniale - pomyślał. - Chyba powinienem spisać tę parę na straty. Nigdy nie zdołam wywabić tego smrodu...

- Oczywiście, że tak - odparł. - Chewie i ja jesteśmy gotowi. A „Sokół” jest szybszy niż kiedykolwiek.

- To dobrze, mój chłopcze, to bardzo dobrze - zagrzmiał Jabba. - Jeszcze tego wieczora przyślę do ciebie kogoś, kto wyjaśni ci wszystko, co masz wiedzieć. Hanie... cieszę się, że wróciłeś.

Han wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Jabbo, nawet nie masz pojęcia, jak ja się z tego cieszę...

Zdezorientowany Hutt Kibbick nie przestawał wpatrywać się w holograficzny wizerunek Durgi.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał. - Skąd wiesz, że ilezjańscy kapłani rasy flanda Til sprowadzili swoje samice?

Lord Durga, przywódca klanu Besadii, spiorunował go spojrzeniem.

- Kibbick, nie zauważyłbyś niczego, nawet gdyby samica rasy flanda Til usiadła na twoim ogonie! - powiedział. - Kapłani bardzo starannie zatarli wszystkie ślady. Dopiero przed tygodniem zorientowałem się, że samice zniknęły. Czy rozumiesz, co to oznacza?

Kibbick zaczął intensywnie myśleć.

- To oznacza, że odtąd kapłani rasy flanda Til będą szczęśliwsi? - zaryzykował w końcu. - Bardziej zadowoleni z życia?

Doprowadzony do rozpaczy Durga zamachał krótkimi rękoma i głośno jęknął.

- Oczywiście, że będą szczęśliwsi! - krzyknął. - Tylko co to oznacza dla nas? Dla klanu Besadii! Chociaż raz w życiu, Kibbick, wysil mózgowicę!

Jego krewniak pograżył się w zadumie.

- Czy to oznacza, że odtąd musimy dostarczać im więcej żywności? - zapytał po chwili.

- Nie! - wrzasnął Durga. - Kibbick, ty idioto! - Lord Hurtów był tak wściekły, że krzycząc, pluł kropelkami śliny, od których w trójwymiarowym hologramie tworzyły się niewielkie „dziury”. - To oznacza, że straciłmy najważniejszą kartę przetargową, za pomocą której mogliśmy utrzymywać kapłanów rasy flanda Til w ryzach, mój upośledzony kuzynie! Teraz zaś, kiedy już nie trzymamy ich samic na planecie Nal Hutta, Teroenza i jego kapłani mogą wypowiedzieć posłuszeństwo klanowi Besadii. Mogą oświadczyć, że uniezależniają się od nas i zrywają wszelkie kontakty z Nal Hutta! Właśnie takie mogą być konsekwencje twojej nieuwagi!

Kibbick się wyprostował.

- Wujek Arak nigdy się tak do mnie nie odzywał - oznajmił, nie kryjąc oburzenia. - Zawsze zwracał się do mnie bardzo uprzejmie. Był lepszym przywódcą niż ty kiedykolwiek będziesz, kuzynie.

Durga uczynił wysiłek, by się opanować.

- Wybacz mi szorstkie słowa, kuzynie - powiedział, starając się nie wybuchnąć. - Jestem ostatnio... trochę... przepracowany. Spodziewam się bardzo ważnej wiadomości w sprawie zgonu ojca.

- Aha. - Kibbick zastanawiał się, czy nie powinien dłużej drażyć tego tematu, ale pojednawczy ton głosu Durgi sprawił mu taką ulgę, że postanowił zmienić temat. - No cóż, kuzynie, rozumiem, że znalazłeś się w trudnej sytuacji. Co powinniśmy zrobić?

- Wydasz rozkaz, żeby wszystkie samice rasy flanda Til sprowadzono do kolonii pierwszej i odesłano z powrotem na planetę Nal Hutta. Dopilnuj tego osobiście, Kibbick. Masz na własne oczy zobaczyć, jak wchodzi po rampie na pokład transportowca i odlatują. Chcę też, żebyś powierzył je opiece najlepszemu, najbardziej zaufanego pilota. Aha, i nie zapomnij o strażnikach. Samicom powinien towarzyszyć oddział Gamorrean, żeby nie przysparzały kłopotów w czasie podróży.

Kibbick zaczął się zastanawiać.

- Ale... - odezwał się po chwili. - Teroenza nie będzie tym zachwycony. Jestem pewien, że pozostali kapłani także się nie ucieszą.

- Wiem o tym - odparł Durga. - Pamiętaj jednak, że to kapłani rasy flanda Til pracują dla nas, a nie my dla nich. To my wydajemy im rozkazy.

- To prawda - stwierdził Kibbick.

Odkąd osiągnął wiek dojrzały, był wychowywany w przekonaniu, że Huttowie są najinteligentniejszą rasą w całej galaktyce. Mimo to nie potrafił wyobrazić sobie, że rozkazuje komuś takiemu jak Teroenza. Przebiegły i sprytny arcykapłan zawsze sam wydawał polecenia strażnikom. Ilekroć Kibbick pragnął coś załatwić, musiał tylko porozumieć się z Teroenza, a arcykapłan doprowadzał sprawę do końca - szybko i skutecznie.

Co się stanie, jeżeli tym razem go nie usłucha? Kibbick ujrzał w myślach, jak Teroenza odmawia zgody na odesłanie swojej samicy na planetę Nal Hutta. Co wówczas on, lord Hurtów, powinien zrobić?

- Tylko... kuzynie... - zaczął ostrożnie. - Co mam zrobić, jeżeli się nie zgodzi?

W jego głosie zabrzmiała płacziwa nuta.

- Wówczas musisz wezwać strażników i rozkazać im, by zamknęli go w areszcie do czasu, aż sam się z nim rozprawię - oświadczył Durga. - Strażnicy usłuchają twojego rozkazu, Kibbick... prawda?

- Oczywiście - zachnął się oburzony lord Hurtów... mimo iż w głębi ducha zastanawiał się, czy na pewno usłuchaliby go wszyscy.

- To dobrze. To mi się podoba - pochwalił go przywódca klanu Besadii. - Pamiętaj, Kibbick... Jesteś Huttem. Władcą wszechświata. Mam rację?

- Oczywiście - odparł Kibbick bardziej stanowczym tonem. Wyprostował się i dodał: - Jestem przecież takim samym Huttem jak ty, kuzynie.

Durga się skrzywił.

- Nie trać więc ducha - rzekł zachęcająco. - Nie wolno ci także marnować czasu. Musisz szybko odzyskać władzę. Jeżeli nie zaczniesz działać, sytuacja wymknie się spod kontroli. Możliwe, że Teroenza zamierza wypowiedzieć posłuszeństwo klanowi Besadii. Obawiam się, że zechce wzniecić bunt. Czy brałeś pod uwagę taką ewentualność?

Kibbick zamrugał ze zdumienia.

- Bunt? - powtórzył niepewnie. - Prawdziwy bunt? Wybuchną walki... dojdzie do strzelaniny?

- Dokładnie to miałem na myśli - zapewnił go Durga. - A kto wtedy pierwszy straci życie?

- Przywódca - odparł Hurt czując, że myśli tłuką się w jego głowie jak oszalale.

- Właśnie. Bardzo dobrze. Rozumiesz teraz, dlaczego musisz umocnić swoją władzę, zanim Teroenza ukończy realizację swoich planów? Dopóki jeszcze jesteś jego mocodawcą?

Kibbick uświadomił sobie, że może grozić mu poważne niebezpieczeństwo. Postanowił pójść za radą Durgi i odebrać arcykapłanowi władzę.

- Zrobię to - rzekł stanowczo. - Powiem mu, co ma zrobić, i dopilnuję, żeby mnie usłuchał. Tak zrobię. Jeżeli okaże się nieposłuszny i odmówi, wezwę strażników i każę go aresztować.

- To rozumiem! - oznajmił radośnie Durga. - To się nazywa prawdziwy duch Huttów! Nareszcie zachowujesz się jak członek klanu Besadii! Skontaktuj się ze mną, kiedy tylko samice rasy t'landa Til znajdą się na pokładzie. Upewnij się, że odlatują z Ilezi!

- Z przyjemnością kuzynie - odpowiedział Kibbick, po czym przerwał połączenie.

Obiecał sobie, że przystąpi do działania bez chwili zwłoki... zanim utraci przekonanie o wyższości Huttów nad wszystkimi inteligentnymi istotami. Postanowił nie zwracać sobie głowy repulsorowymi saniami. Odwrócił się i najszybciej, jak umiał, wypełził na korytarz administracyjnego ośrodka kolonii pierwszej. Skierował się prosto do gabinetu Teroenzy. Nie tracąc czasu na włączanie przycisku otwierającego drzwi, po prostu wypchnął je impetem ciała.

Utrzymywany przez roboczą uprząż Teroenza pochylał się nad komputerowym notatnikiem. Usłyszał trzask i zdumiony uniósł głowę. Przyglądał się, jak Hutt, śmiejąc się i podrygując, sunie ku niemu po podłodze.

- Kibbick! - wykrzyknął. - Co się stało?

- Jestem lord Kibbick dla ciebie, arcykapłanie! - warknął Hutt. - Musimy pogadać. Właśnie skończyłem rozmawiać z moim kuzynem, lordem Durgą. Powiedział mi, że ty i twoi kapłani potajemnie sprowadziliście na Ilezję swoje samice! Durga był bardzo zdenerwowany!

- Samice? - Teroenza zamrugał, jakby nie miał pojęcia, o co może chodzić Hurtowi. - Jakim cudem mógł tak pomyśleć... Wasza Ekscelencjo?

- Nie próbuj ze mną żadnych sztuczek - ostrzegł go Kibbick. - Samice rasy flanda Til przyleciały na Ilezję i Durga dobrze o tym wie. Samice muszą natychmiast wrócić na planetę Nal Hutta. Najszybszym transportowcem. Wezwij strażników, aby sprowadzili je tu, do kolonii pierwszej, skąd odlecą na planetę Nal Hutta. Wszystkie muszą opuścić Ilezję. Natychmiast. Na co czekasz? Zabieraj się do pracy!

Teroenza wyprostował się i powierzył cały ciężar ciała rzemieniom uprząży. Zamyslił się, ale nie wykonał innego ruchu. Nie odezwał się ani słowem.

- Słyszałeś, co powiedziałem, arcykapłanie? - Kibbick wprost kipiał słusznym gniewem. Wyprostował się na całą wysokość. - Wydaj rozkaz, gdyż w przeciwnym razie to ja wezwę strażników!

Powoli, nie spiesząc się, arcykapłan wyplątał się z pasów uprząży. Kibbick odczłapał z ulgą, aczkolwiek niczego po sobie nie okazał. Zauważył jednak, że Teroenza wcale nie kieruje się do nadajnika interkomu.

- Pospiesz się! - zagrmiał. - Bo wezwę strażników, by zamknęli cię w areszcie i sam sprowadzę tu samice!

- Nie - odparł cicho i spokojnie arcykapłan.

- Nie... co?

W głosie Kibbicka zabrzmiało niedowierzanie i zaskoczenie. Jeszcze nigdy nie widział, by ktokolwiek ośmielił się nie wykonać rozkazu wydanego przez lorda Hurtów.

- Nie - powtórzył równie cicho Teroenza. - Nie zrobię tego. Mam dość przyjmowania poleceń od idioty. Żegnaj, Kibbick.

- Jak śmiesz! - wybuchnął Hutt. - Każę cię stracić!... Żegnaj? - Kibbick sprawiał wrażenie zupełnie oszołomionego. - Co to ma znaczyć? Chcesz powiedzieć, że rezygnujesz? Odchodzisz?

- Nie, nie odchodzę - odezwał się półgosem Teroenza. - To ty odchodzisz.

Napiął mięśnie potężnych ud i zaczął wymachiwać cienkim, podobnym do bicia ogonem. Nagle pochylał głowę i z głośnym rykiem rzucił się na osłupiałego Kibbicka.

Lord Hurtów był tak zaskoczony, że nawet nie pomyślał o tym, by uskoczyć. W następnej sekundzie poczuł, że róg Teroenzy wbija się w jego pierś. Mniej więcej metrowej długości róg nie kończył się bardzo ostrym szpicem, ale impet ataku arcykapłana wystarczył, żeby zagłębił się prawie cały w cielsko Hutta.

Kibbick poczuł straszliwy ból! Przerażony, zaskowyczał i zaczął okładać Teroenzę małymi piąstkami. Starał się machnąć ogonem i zmiażdżyć napastnika, ale gabinet arcykapłana był za mały.

Jak przez mgłę uświadomił sobie, że ręce istoty z całej siły napierają na jego masywny tors. Chwilę później poczuł szarpnięcie i zobaczył, że z jego ciała wysuwa się zakrwawiony i ociekający posoką koniec rogu.

Dążąc z uporem do wytkniętego celu, Teroenza zaczął się cofać.

Krzyszcząc się i kaszłąc, Kibbick także starał się wycofać. Poczuł jednak, że jego ogon styka się ze ścianą. Usiłował odwrócić się i uciec.

Tymczasem arcykapłan ponownie wbił róg w jego ciało.

I jeszcze raz...

I jeszcze...

Z otworów w piersi Hutta płynęły strumyczki krwi. Na szczęście, żadna rana nie była sama w sobie na tyle groźna, żeby Kibbick musiał obawiać się o życie. Wszystkie ważniejsze organy ciała Hutta kryły się niezwykle głęboko... Fakt ten przydawał zresztą pewnej wiarygodności przastaremu przesądowi, jakoby Huttowie byli odporni na strzały Masterów. Nie byli... ale blasterowa błyskawica, która uśmierciłaby natychmiast mniej odporną istotę, na ogół nie docierała na tyle głęboko, aby uszkodzić jakiegokolwiek ważny organ ciała Hutta. Dawało to istocie dość czasu na zmiażdżenie napastnika, zanim ten zdołał złożyć się do następnego strzału.

Kibbick usiłował krzyknąć albo wezwać kogoś na ratunek, ale z jego gardła wydobył się tylko głośny bulgot. Zrozumiał, że jakiś cios musiał przebić płuco. Tknięty nagłą myślą, obrócił się w stronę interkomu. Gdyby tylko mógł zawołać na pomoc strażników...

Kolejny raz w jego ciało wbił się róg Teroenzy. Tym razem cios okazał się tak silny, a mięśnie Hutta tak zwiotczały, że Kibbick stracił równowagę i przewrócił się na bok. Był bezradny; zdany tylko na łaskę napastnika.

Stopniowo tracił ostrość spojrzenia. Mimo to mógł dostrzec, co Teroenza wyjmuje z szuflady biurka. Blaster.

Lord Hurtów uczynił wysiłek, żeby wstać. Chciał stawić czoło podstępnemu arcykapłanowi; może wezwać kogoś na pomoc. Był jednak zbyt słaby. Ból ogarniał go coraz silniejszą falą. Odnosił wrażenie, że się ściemnia. Ciemność unosiła się nad nim; starała się go pochłonać. Kibbick usiłował z nią walczyć, ale nadaremnie. Po chwili pogрузił się w niej jak w czarnej wodzie.

Działając z chłodną precyzją, Teroenza uniósł blaster. Starannie wymierzył, po czym zaczął powiększać i maskować rany konającego Kibbicka. Strzelał i strzelał, dopóki masywne ciało nie przemieniło się w przerażającą bryłę zwęglonego mięsa... wiele minut po tym, kiedy znieruchomiało po ostatnich drgawkach i konwulsjach.

Dopiero wtedy zwolnił przycisk spustowy. Oddychał z wysiłkiem.

- Idiota... - mruknął w swoim języku.

Odwrócił się i skierował do łazienki, żeby zmyć z rogu posokę zamordowanego Hutta.

Splukując resztki krwi, zastanawiał się, jak najlepiej wybrnąć z sytuacji. Rzecz jasna, o wszystkim oskarży terrorystów, którzy przypuścili niespodziewany atak na Ileżję. Oświadczy, że za śmierć Kibbicka odpowiada Bria Tharen i grupa jej Rebeliantów. Nikt nie ośmieli się podać jego słów w wątpliwość. Musi tylko uśmiercić pełniących służbę tego dnia strażników. Ogłosi później, że wszyscy byli przekupieni i działali w zbrodzie ze skrytobójcami...

Na szczęście, poprzedniego dnia pomyślnie ukończył negocjacje w sprawie ceny kupowanego turbolaser. Będzie mógł teraz logicznie uzasadnić konieczność tego zakupu. Oświadczy, że turbolaser jest mu potrzebny do obrony kolonii przed spodziewanymi następnymi atakami. Ustawi go na dziedzińcu...

Wiedział, że musi zdobyć jeszcze więcej broni i zatrudnić więcej strażników. Może powinien porozumieć się w tej sprawie z Jiliac?

Nie! Pokręcił masywną głową, aż z długiego rogu prysnęły we wszystkie strony kropelki wody. Miał dość zadawania się z Hurtami. Skończył z nimi... raz na zawsze! Odtąd on, Teroenza, sam będzie sprawował władzę na Ileżji! Już wkrótce... już niedługo... dowiedzą się o tym wszyscy. Potrzeba jeszcze kilku tygodni, żeby mógł przygotować się do przejścia władzy. Rzecz jasna, przestanie płacić haracz klanowi Besadii, a zaoszczędzone kredyty wyda na zakup broni.

Zadowolony, że udało mu się ułożyć taki sprytny plan, Teroenza, arcykapłan Ileżji, ominął górę zwęglonego mięsa, która jeszcze niedawno była Hurtem. Wyszedł na korytarz i zaczął się rozglądać. Szukał pełniących tego dnia służbę strażników, żeby ich zabić.

ROZDZIAŁ

11

WALKA NA ŚMIERĆ I ŻYCIE

Hurt Durga wpatrywał się w ekran komputerowego notesu. Nie posiadał się z radości. Nareszcie! Czarne Słońce - za pośrednictwem Guri, osobistej asystentki księcia Xizora - właśnie przekazało mu przekonujące dowody. Wynikało z nich, że Jiliac - najprawdopodobniej wspólny z bratankiem, lordem Jabba- uknuła podły spisek, mający na celu zamordowanie Aruka... i że wykonawcą był Teroenza.

Dowody miały przeważnie postać dokumentów - faktur i potwierdzeń dostawy różnych towarów. Niezbicie dowodziły, że Jiliac kontaktowała się z Trucicielami Malkitami. Suma, którą przywódczyni klanu Desilijic wydała na zakup tak dużej ilości substancji X-1, doprowadziłaby do bankructwa średniej wielkości kolonii. Jiliac rozkazała też, żeby truciznę wysłano bezpośrednio Teroenzie.

Z innych dokumentów wynikało, że Jiliac nabyła także i ofiarowała arcykapłanowi wiele wartościowych przedmiotów. Durga wiedział, że Teroenza włączył je do swojej kolekcji.

Po to, abym się nie zorientował, że mu zapłaciła - pomyślał lord klanu Besadii. - Durga zwrócił uwagę, że większość tych przedmiotów jest nie tylko cenna, ale poszukiwana przez kolekcjonerów różnych staroci. Jeśli więc kiedykolwiek Teroenza zechce je sprzedać na czarnym rynku antyków, bez trudu uzyska całkiem spore sumy.

Durga stwierdził, że arcykapłan ostatnio właśnie tak postąpił. Najciekawsze jednak, że za kredyty uzyskane ze sprzedaży kilku przedmiotów zdecydował się kupić używany turbolaser. Niewątpliwie zamierza wykorzystać go do obrony Ilezji - pomyślał Durga. - Laser może mu się przydać bardzo szybko - kiedy tylko zdecyduje się ogłosić niepodległość planety...

Kierując się pierwszym impulsem, zamierzał rozkazać, żeby Teroenzę - zakutego w kajdany - sprowadzono na planetę Nal Hutta. Uświadomił sobie jednak, jakie miałyby to konsekwencje. Bez wątplenia sacredoci, czyli niżsi stopniem kapłani rasy flanda Til, staną w obronie Teroenzy, który cieszył się wśród nich dużą popularnością... zwłaszcza ostatnio, odkąd zdołał sprowadzić na Ilezję ich samice.

Jeśli każe zakuć Teroenzę w kajdany i przetransportować na planetę Nal Hutta, sacredoci mogą się zbuntować. Zapewne nie zechcą dostarczać pielgrzymom codziennej

dawki Uniesienia. Z kolei pielgrzymi, pozbawieni ulubionego narkotyku, porzucą pracę... a może nawet zaczną się zamieszki? Tak czy owak, utrata poparcia kapłanów okazałaby się katastrofalna dla interesów klanu Besadii.

Z głębokim żalem Durga uświadomił sobie, że zanim zemści się na Teroenzie, powinien się przygotować. Musi znaleźć innego Hutta, który mógłby sprawować funkcję nadzorca kapłanów, a także innego - równie popularnego i charyzmatycznego - t'landę Tila, żeby pełnił obowiązki nowego arcykapłana. Rzecz jasna, następca Teroenzy natychmiast obieca premię wszystkim kapłanom rasy flanda Til, którzy okażą mu poparcie. Po dłuższym namyśle Durga doszedł także do wniosku, że chyba lepiej pozostawić towarzyszek życia kapłanów na Ilezji... przynajmniej na razie.

Wszystkie przygotowania nie powinny potrwać dłużej niż tydzień. Trzeba oczywiście zachować je w tajemnicy. Dopóki na Ilezji nie wyląduje statek klanu Besadii z nowym arcykapłanem na pokładzie, Teroenza nie powinien się zorientować, że jego dni są policzone. Klan nie może ryzykować wybuchu powstania na Ilezji.

Durga wiedział, że trzeba działać wyjątkowo ostrożnie... tak, by do ostatniej chwili Teroenza o niczym się nie dowiedział. Musi także - na wypadek, gdyby Kibbick kazał wtargnąć arcykapłana do więzienia -jakoś wytłumaczyć kapłanom fakt zniknięcia przywódcy. Może wystarczy, jeżeli powie, że Teroenza jest poważnie chory i jakiś czas musi wypoczywać?

Czy zdoła zmusić samiec Teroenzy, Tilenę, żeby zechciała zastąpić arcykapłana i odgrywać rolę prawej ręki klanu Besadii? W zamian za co? Obietnicę pozostawienia przy życiu? Sowiłą nagrodę?

Durga doszedł do wniosku, że to możliwe. Istoty rasy flanda Til miały wyjątkowo dobrze rozwinięty zmysł praktyczny...

Może ktoś zdoła jeszcze zmusić Teroenzę do posłuszeństwa... Choć z pewnością nie Kibbick. Jego kuzyn nie miał dość hartu ducha i najprawdopodobniej Durga musiałby zająć się wszystkim sam. Może warto byłoby wysłać Ziera, żeby poparł Kibbicka autorytetem klanu Besadii?

Lord Huttów zastanawiał się, jak Kibbick poradził sobie poprzedniego dnia w rozmowie z Teroenza. Kuzyn nie skontaktował się z nim, jak obiecywał, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Kibbick miał wyjątkowo krótką pamięć. Bardzo często zapominał o składanych obietnicach.

Nagle uwagę Durgi przykuła mrugająca lampka. Odbiornik komunikatora sygnalizował, że właśnie pojawiła się nowa wiadomość. Lord Huttów włączył urządzenie. Ze zdziwieniem obserwował, jak w powietrzu tworzy się świetlisty wizerunek Teroenzy - zupełnie jakby myśli Durgi zmusiły istotę rasy flanda Til do wykonania czarodziejskiej sztuczki.

Arcykapłan skłonił się nisko przed przywódcą klanu Besadii, ale mimo to Durga zauważył w jego wylupiastych oczach błysk... samozadowolenia, a może skrywanej radości?

- Wasza Ekscelencjo, lordzie Durgo - odezwał się uroczystym tonem Teroenza. - Obawiam się, że jestem zwiastunem bardzo smutnej wiadomości. Bardzo proszę, niech Wasza Ekscelencja nie upada na duchu.

Hutt spiorunował spojrzeniem świetlisty wizerunek arcykapłana.

- Tak? - zapytał.

- Wczesnym rankiem, kilka chwil po wschodzie słońca, miał miejsce niespodziewany atak terrorystów - ciągnął Teroenza, w dramatycznym geście rozkładając krótkie ręce. - Napadła na nas Bria Tharen i grupa bojowników koreliańskiego ruchu oporu. Nazywają siebie Czerwoną Ręką. Strzelając na oślep we wszystkie strony, wdarli się do ośrodka administracyjnego naszej kolonii. Z ubolewaniem muszę oznajmić, że kuzyn Waszej Ekscelencji, lord Kibbick, został trafiony kilkoma strzałami i stracił życie.

- Kibbick nie żyje?

Durga naprawdę był zaskoczony. Co prawda, nie spodziewał się, że krewniak zdoła wydrzeć z rak Teroenzy władzę nad Ilezją, ale nie podejrzewał też, że zginie.

A ściślej mówiąc, zostanie zamordowany.

Durga natychmiast się domyślił, że wymyślona przez Teroenzę bajeczka jest wietrutnym kłamstwem. Bria Tharen nie mogła zaatakować Ilezji. Szpiedzy klanu Besadii donieśli mu niedawno, że kobieta i jej Czerwona Ręka znajdują się w tej chwili bardzo daleko, w przeciwnym krańcu Odległych Rubieży, gdzie zaledwie poprzedniego dnia zaatakowali imperialny garnizon. Żaden statek we wszechświecie nie mógłby dotrzeć stamtąd na Ilezję w tak krótkim czasie.

A zatem, Teroenza go okłamywał... ale nie wiedział, że Durga się tego domyśla. Lord Hurtów zastanawiał się, jak najlepiej wykorzystać tę przewagę. Na razie zasłonił dłonią oczy i pochylał głowę. Miał nadzieję, że przekonująco zademonstrował smutek, którego wcale nie odczuwał. Kibbick był patentowanym idiotą. Na wieść o jego śmierci chyba cały wszechświat powinien odetchnąć z wielką ulgą.

Tylko że Teroenza, mordując go, przypieczętował wyrok własnej śmierci - pomyślał Durga. - Kiedy tylko wyląduję na Ilezji w towarzystwie jego następcy, będzie żywym trupem.

Udając jeszcze większy smutek, półgłosem udzielił arcykapłanowi szczegółowych wskazówek dotyczących sposobu przetransportowania zwłok kuzyna na planetę Nal Hutta.

- Wnioskuje z tego - zakończył - że powinniście się mieć jeszcze bardziej na baczności. Pomożemy wam. Przyślemy posiłki. Nie wolno dopuścić, żeby Rebelianci napadali bezkarnie na nasze kolonie.

Teroenza zgiął się znów w ukłonie.

- Zgadzam się, Wasza Ekscelencjo - odparł. - I dziękuję za obietnicę przysłania posiłków.

- W tych okolicznościach przynajmniej tyle możemy zrobić - oświadczył Durga. Starał się, żeby z jego głosu nie przebijała nuta sarkazmu. - Czy wytrzymacie kilka dni bez huttańskiego zwierzchnika?

- Wytrzymamy - odrzekł arcykapłan. - Uczynię wszystko, co w mojej mocy, żeby fabryki działały równie sprawnie jak dotychczas.

- Dziękuję ci, Teroenzo - mruknął Durga, po czym wyłączył urządzenie.

Następnie wydał Zierowi instrukcje, jak ma znaleźć następcę Teroenzy. Na szczęście, Zier był kompetentnym administratorem. Bez szemrania wykonywał wszystkie polecenia.

Dopiero wtedy Hutt mógł odwrócić się do osoby, która, spokojnie czekając, cały czas stała obok drzwi jego gabinetu. Nie okazując ani śladu zniecierpliwienia, przysłuchiwała się wszystkiemu, co mówił.

- Zechciej mi wybaczyć, lady Guri - powiedział, pochylając głowę w stronę urodziwej młodej kobiety - O mało o tobie nie zapomniałem. Większość istot ludzkich nie ma tyle cierpliwości. Kiedy muszą czekać, niepokoją się i przestępują z nogi na nogę.

Guri także kiwnęła głową.

- Ukończyłam specjalne szkolenie, Wasza Ekscelencjo - odrzekła. - Księżę Xizor także nie znosi, kiedy jego podwładni okazują zniecierpliwienie.

- Nie dziwię się - przyznał Durga. - Jak widzisz, zapoznałem się ze wszystkimi dokumentami, jakie mi przekazałaś, i znalazłem w nich potwierdzenie swoich domysłów. Widziałas też, że w tej chwili nie mogą zemścić się na Teroenzie. Muszę zaczekać, aż nadejdzie bardziej... odpowiednia... chwila. Zamierzam jednak natychmiast skontaktować się z Jiliac i - powołując się na Stare Prawo - wyzwać ją na pojedynek.

- Stare Prawo?

- Obecnie rzadko kto się na nie powołuje, ale to zbiór prastarych huttańskich obyczajów - wyjaśnił Durga. - Według jednego z nich, jeżeli przywódca klanu ma bardzo ważny powód, może wyzwać innego przywódcę na pojedynek, którego wynik nie rodzi żadnych skutków prawnych. Uważa się, że ten, kto zwycięży, miał rację.

- Rozumiem, Wasza Ekscelencjo - rzekła Guri. - Księżę Xizor uprzedził mnie, że właśnie tak zareagujesz... jak przystało na uczciwego i szlachetnego Hutta. Polecił mi, żebym ci towarzyszyła i zrobiła wszystko, co w mojej mocy, abyś zdołał wymierzyć sprawiedliwość.

Durga skierował na nią wylupiające oczy. Zastanawiał się, jakim cudem krucha istota ludzka płci żeńskiej mogłaby pokonać w walce dorosłego Hutta albo hordę strażników klanu Desilijic.

- Pełniłabyś obowiązki mojej osobistej strażniczki? - zapytał. - Ależ...

Guri lekko się uśmiechnęła.

- Jestem przecież osobistą strażniczką księcia Xizora, Wasza Ekscelencjo - przypomniała. - Zapewniam cię, że potrafię powstrzymać strażników Jiliac.

Durga chciał coś powiedzieć, ale w porę się zreflektował. Może sprawiła to jej postawa, a może pewność siebie, jaka przebijała z tonu jej głosu. Lord Hurtów pamiętał, że Guri pełniła obowiązki głównej doradczynie Xizora. Możliwe zatem, że była także wprawną skrytobójczynią. Musiała mieć jakieś szczególne umiejętności, których nie widać na pierwszy rzut oka. Z pewnością zachowywała się jak osoba kompetentna i doświadczona.

- Zgadzam się, lady Guri - powiedział. - A teraz lećmy. Nie traćmy czasu.

Weszli na pokład osobistego wahadłowca przywódcy klanu Besadii. Nie musieli nawet wznosić się na orbitę. Podróż do enklawy klanu Desilijic zajęła im niespełna godzinę.

Wylądowali na wyspie, na której wznosił się Pałac Zimowy Jiliac i gdzie obecnie mieszkali wszyscy członkowie klanu Desilijic. Durga sięgnął po spore pudło podążając obok Guri, skierował się do głównej bramy.

- Durga Besadii Tai z wizytą do Jiliac Desilijic Tiron - oznajmił. - Chcę złożyć dar i proszę o prywatną audiencję.

Strażnicy prześwietlili Hutta i istotę ludzką specjalnymi promieniami, aby upewnić się, że żadne nie jest uzbrojone. Dopiero wtedy porozumieli się z kimś i pozwolili gościom wejść do środka. Durga i Guri zostali powitani przez majordoma, Rodianina o imieniu Dorzo. Istota zaprowadziła ich do ogromnej, niemal pozbawionej mebli komnaty audiencyjnej. Kiedy wszyscy troje stanęli na progu, Rodianin odszedł na bok, skłonił się nisko i oznajmił:

- Lord Durga z klanu Besadii.

Na przeciwległym końcu wielkiej komnaty Durga ujrzał Jiliac pochylając się nad komputerowym notatnikiem. Na myśl o tym, że już niedługo zmierzy się z morderczynią ojca, poczuł narastającą wściekłość. Zatrząśł się, a w jego wylupiastych oczach zapłonęła żądza mordu.

Tymczasem Jiliac świadomie kazała obojgu czekać prawie dziesięć minut. Durga starał się naśladować Guri, która cały ten czas nie uczyniła najmniejszego ruchu. Lord Hurtów doszedł do wniosku, że stoi obok najbardziej niezwykłej istoty ludzkiej, jaką kiedykolwiek widział.

W końcu Huttanka kiwnęła głową na Dorza. Wówczas major-dom odwrócił się do gości, skłonił przed nimi i powiedział:

- Jej Najdostojniejsza Ekscelencja, przywódczyni klanu Desilijic i opiekunka wszystkich sprawiedliwych, zechce teraz was przyjąć.

Durga ruszył ku Jiliac. Zachowując milczenie i powagę, Guri kroczyła u jego boku. Kiedy oboje stanęli przed ogromną Huttanką, Jiliac nie odezwała się ani słowem. Ponieważ zaś byli gośćmi, zgodnie z tradycją Durga nie mógł pierwszy przerwać panującej ciszy. Uzbroił się więc w cierpliwość i czekał.

W końcu Jiliac drgnęła i obróciła ku niemu wielką głowę.

- Pozdrowienia dla klanu Besadii - rzekła władcym tonem. - Widzę, że przyniosłeś dar. Postąpiłeś roztropnie. Możesz teraz go złożyć.

Durga kiwnął głową na Guri. Młoda kobieta podeszła do przywódczyni klanu Desilijic i złożyła przed nią pakunek. Jiliac pochylili się nad nim, aż zakolysały się jej repulsorowe sanie.

Młodszy Hurt gestem wskazał paczkę.

- Oto dar odpowiedni dla Waszej Ekscelencji - oznajmił uroczystym tonem. - Oznaka czci, jaką okazuje ci klan Besadii, a zarazem przejaw troski o twoją przyszłość, o Jiliac.

- Zaraz się o tym przekonamy - zagrzmiała Huttanka.

Rozdarła opakowanie i wyjęła z pudła wielkie i bardzo kosztowne dzieło sztuki - pośmiertną maskę, wykonaną przez wyspiarzy z odległej planety Langoona. Tamtejsi mieszkańcy własnoręcznie rzeźbili takie maski, a potem ozdabiali je półszlachetnymi

kamieniami. Kiedy maski były gotowe, inkrustowali je srebrem, złotem i platyną, a nawet opalizującymi kawałkami muszli z tropikalnych mórz swojej planety.

Jiliac kilkakrotnie obróciła maskę w krótkich palcach. W pierwszej chwili Durga pomyślał, że Huttanka nie rozumiała znaczenia jego daru. Zerknął na Guri. Jak poprzednio ustalili, młoda kobieta bez słowa odwróciła się i ruszyła do wyjścia z komnaty. Miała czekać przed drzwiami i nie dopuścić, żeby ktokolwiek mu przeszkodził.

Durga przeniósł spojrzenie na Jiliac. Właśnie otwierał usta, aby oświecić ją, co oznacza podarunek, ale jej ogromne cielsko zaczęło drzeć z wściekłości.

Huttanka spiorunowała gościa spojrzeniem pełnym nienawiści.

- Pośmiertna maska z planety Langoona! - ryknęła nagle, aż zadrzały ściany. - I ty masz czelność nazywać ją odpowiednim darem?

Wykonała zamasyzty gest krótką ręką i podrzuciła dzieło sztuki w powietrze, a kiedy opadało, machnęła ogonem i trafiła je z taką siłą, że przeleciało przez całą szerokość audiencyjnej komnaty. Uderzyło o przeciwległą ścianę, roztrzaskało się i w tysiącu kawałków spadło na podłogę.

- Jak najbardziej odpowiednią, Jiliac. - Durga nie dał się zastraszyć. Szybko wyrecytował słowa uświęconego tradycją wyzwania: - Tego dnia, ja, Durga Besadii Tai, dowiedziałem się, że zamordowałaś mojego ojca Aruka. Powołując się na Stare Prawo, wyzywam cię na pojedynek. Przygotuj się na spotkanie ze śmiercią.

Rozwścieczona Jiliac głośno ryknęła i jednym szybkim ruchem zsunęła się z repulsorowych sani.

- To ty przygotowujesz się na spotkanie ze śmiercią, parwieniuszu! - zagrzmiała, po czym obróciła się i machnęła potężnym ogonem.

Durga uchylił się, ale nie dość szybko. Koniec ogona Huttanki trafił go w plecy. Rozciął skórę i wypchnął z płuc niemal całe powietrze. Durga jednak bardzo szybko odzyskał równowagę. Zebrał się w sobie, skoczył ku Jiliac i napiąwszy mięśnie, z całej siły zderzył się z nią torsem.

Jiliac była prawie dwukrotnie większa i cięższa. Osiągnęła wiek średni i zaczynała tyć. Mimo to Durga miał nad nią pewną przewagę: jako młodszy, mógł się szybciej poruszać. Wiedział jednak, że jeśli chociaż raz Jiliac trafi go z całej siły, pojedynek zakończy się jego śmiercią.

Rycząc jak dwa prehistoryczne potwory, oboje raz po raz wymierzali potężne ciosy. Czasami zderzali się, ale częściej uskakiwali. Wymachując mocarnymi ogonami, co chwila szczepiali się i próbowali objąć małymi rękami. Miażdżyli wszystko, co stało na ich drodze.

Rodianin Dorzo, który widocznie wyczuł, na co się zanoszą, już dawno wzięli nogi za pas i wyniósł się z komnaty. Z pewnością doszedł do całkiem logicznego wniosku, że powinien trzymać się jak najdalej.

Zabić... zabić... ZABIĆ-ZABIĆ-ZABIĆ!... - kołatało się i krzyczało coś w mózgu Durgi. Każda część ciała trzęsła się z wściekłości. W pewnej chwili Jiliac smagnęła go ogonem i niemal pozbawiła równowagi. W następnej sekundzie skoczyła, aby przygwoździć go do podłogi. Młodszy i zwinniejszy Hutt jednak zdołał się wywinąć. Od-

pełznął na bok najszybciej, jak potrafił, dzięki czemu nie zmiądzzył go opasły brzuch huttańskiej matrony.

Chwilę później sam wymierzył ogonem cios, który trafił Jiliac w bok głowy. Hut-tanka zatoczyła się i zachwiała, ale nie upadła. Niemal natychmiast odzyskała równowagę i rzuciła się do ataku. Machnęła ogonem... lecz chybiła. Ogon plasnął o posadzkę z taką siłą, że zatrzęsała się cała komnata.

Z początku, atakując bezczelnego młokosa, przeklinała go i wyzywała. Po kilku minutach umilkła. Zapewne zorientowała się, że marnuje siły, gdyż tylko coraz głośniejszą sapła. Zapewne uświadomiła sobie, że siedzący tryb życia, jaki ostatnio wiodła, coraz bardziej daje się jej we znaki.

Jeśli tylko wytrzymam dłużej niż ona... - pomyślał Durga. Doszedł jednak do przekonania, że ma niewielkie szanse...

Han Solo siedział w towarzystwie Chewiego w komnacie Jabby i przeglądał manifesty okrętowe statków, które udawały się na Kessel po transport przyprawy. W pewnej chwili wszyscy usłyszeli donośny huk. Chwilę później rozległ się ryk, a po nim cała seria głośniejszych trzasków i stłumionych łomotów. Zdumieni, spojrzeli po sobie.

- Zapewne moja ciotka ma kolejny napad złego humoru - domyślił się Jabba.

Prawie dziesięć lat wcześniej Han miał okazję doświadczyć osławionego ataku gniewu Jiliac, więc uwierzył bez trudu. Właśnie zamierzał wrócić do pracy, kiedy usłyszał dwa głośne ryki - jeden tuż po drugim. Niewątpliwie wydarły się z gardeł dwojga Hurtów.

Zaniepokojony Jabba wyprostował się na całą wysokość.

- Chodźmy! - rozkazał.

Han i Chewie zerwali się na równe nogi. Biegli obok Jabby, który wskazywał drogę do komnaty audiencyjnej ciotki. Zdumieli się, jak szybko potrafią poruszać się Huttowie, o ile mają bardzo ważny powód.

Kiedy stanęli przed drzwiami ogromnej komnaty, drogę zastąpiła im młoda, zdumiewająco piękna jasnowłosa kobieta. Han zerknął ponad jej ramieniem i dostrzegł Jiliac, walczącą na śmierć i życie z innym Hurtem, młodszym od niej i o wiele mniejszym. Jej przeciwnik miał paskudne porodowe znamie, które szpeciło jego oko i część twarzy. Obie istoty, gniewnie rycząc, raz po raz napinały mięśnie i zderzały się masywnymi torsami.

Młoda kobieta, ujrawszy biegnących ku niej Hana, Chewiego i Jabbę, pokręciła głową. Wyciągnęła rękę, żeby ich powstrzymać.

- Nie - powiedziała. - Nie przeszkadzajcie. Powołując się na Stare Prawo, lord Durga wyzwał lady Jiliac na pojedynek. To pojedynek dwojga przywódców klanów.

Ku bezgranicznemu zdumieniu Hana Jabba nie zmiądzzył kobiety jednym ciosem ogona i nie pospieszył ciotce na ratunek. Zamiast tego pochylił głowę w geście, który u Huttów oznaczał coś w rodzaju ukłonu.

- Zapewne jesteś Guri - powiedział.

- Tak, Wasza Ekszelencjo - odrzekła replikantka.

W tej samej chwili w korytarzu dał się słyszeć tupot stóp biegnących strażników. Po chwili ukazało się pięciu czy sześciu Gamorrean. Wszyscy trzymali włączone piki mocy.

Jabba odwrócił się, by zastąpić im drogę. Uśmiechnął się, kiedy ujrzał, że zdeorientowani i zdumieni Gamorreanie zaczęli głupkowato mrugać oczami.

- Moja ciotka ma napad złego humoru - oświadczył. - Nie jesteście potrzebni.

Dowódca oddziału nie pozbył się jeszcze wszystkich wątpliwości, ale Jabba się nie poruszył. Gamorreanin nie mógł zobaczyć, co się dzieje. Zawahał się. Podobny do ryja pysk drzał, jakby istota rwała się do walki.

- Powiedziałem: Nie jesteście potrzebni! - zagrzmiał Jabba, zamaszystymi gestami małych rąk dając strażnikom znak, by odeszli. Pomrukując i pochrząkując, Gamorreanie odwrócili się i zniknęli za najbliższym zakrętem korytarza.

Han zerknął w głąb komnaty audiencyjnej. Jiliac zadała przeciwnikowi potężny cios ogromnym ogonem. Młody Hurt z trudem zdołał uskoczyć. Korelianin popatrzył na Jabbę.

- Nie zamierzasz ich powstrzymać? - zapytał, nie kryjąc zdumienia.

Jabba przeniósł spojrzenie na niego i zamrugał. Przebiegle zmrużył wielkie, wyłupiaste oczy.

- Durga jest przywódcą klanu Besadii - powiedział. - Bez względu na to, które z nich wygra, prawdziwym zwycięzcą będę ja.

- Ale... - zająknął się Solo. - Myślałem... myślałem, że lubisz swoją ciotkę.

Jabba popatrzył na niego jak na upośledzone umysłowo gamorrekańskie niemowlę.

- Oczywiście, że ją lubię, chłopcze - odrzekł łagodnie. - Ale tu chodzi o interesy.

Han kiwnął głową i popatrzył na Chewbacę. Wzruszył ramionami.

- Jasne - mruknął. - Interesy.

- Aha, jeszcze jedno, Hanie - odezwał się Jabba. - Tak?

Lord Huttów machnął małą ręką.

- To nie jest odpowiednie miejsce dla istot ludzkich, drogi chłopcze - powiedział. - Zaczekaj na mnie w moim pałacu, dobrze? Niedługo tam przyjdę.

Nieodpowiednie miejsce dla ludzi? - chciał zapytać Solo. - A ona?

Popatrzył na urodziwą młodą kobietę, która w tej samej chwili odwzajemniła jego spojrzenie. Han wpatrywał się w jej oczy całą sekundę. Uświadomił sobie, że z tą Guri, jak nazwał ją Jabba, coś jest nie tak, jak powinno. Kobieta była ucieleśnieniem piękna, ale wszystkie zmysły ostrzegały Hana, że powinien trzymać się od niej jak najdalej... i mieć się przed nią na baczności. Gdyby kazano mu ją objąć i przytulić, wolałby raczej uściskać jadowego węża.

- Uhm, tak - powiedział w końcu. - Zobaczymy się później, Jabbo. Chodźmy, Chewie.

Han i Wookie odwrócili się i odeszli. Nie obejrzel się ani razu.

Durga powoli opadał z sił. Zaczynał poddawać się rozpaczce. Mimo iż starał się zmęczyć Jiliac i pozbawić ją sił, Huttanka walczyła nadal z tą samą ponurą determinacją.

cja. Była o wiele silniejsza i większa niż on. Gdyby trafiła go chociaż jednym naprawdę silnym ciosem, jego ciało przemieniłoby się w krwawą miazgę.

Chyba setny raz zderzyli się torsami - z taką siłą, że Durga jęknął z bólu. Miał wrażenie, że chyba każdy centymetr kwadratowy jego ciała jest poobijany i posiniaczony. Czuł się jak ciasto -nieustannie ugniatane, ubijane i wałkowane na cienki placek.

Zmagając się ze sobą, oboje raz czy dwa okrążyli ogromną komnatę. Najlepiej świadczyły o tym strzaskane ozdoby i liczne dziury w ścianach. W pewnej chwili zbliżyli się do repulsorowych sań Jiliac, które nadal unosiły się w powietrzu. Huttanka nie spodziewanie odepchnęła Durgę, odwróciła się i, pełną najszybciej, jak umiała, puściła się ku platformie. Wijąc się po śliskiej posadzce, sapała, chrząkała i dyszała.

Durga rzucił się w pogoń. Lżejszy i szybszy, dogonił przeciwniczkę bez trudu. Natychmiast zrozumiał, że Jiliac zamierza wskoczyć na platformę, żeby wykorzystać ją w charakterze tarana. A jeśli on do tego dopuści, przegra walkę!

Wyprzedził Jiliac i rzucił się do mechanizmów sterowniczych, ale sekundę później zachłysnął się powietrzem i odskoczył. W porę się zorientował, że przywódczyni klanu Desilijic machnęła ogonem pod unoszącymi się w powietrzu saniami. Starła się trafić w jego głowę.

Durga zareagował niemal podświadomie. Przewrócił się i, chociaż kosztowało go to sporo wysiłku, przeturlał się po podłodze. W następnej sekundzie jednak wsparł się na rękach, uniósł ogon i machnął nim nad głowę. Mierzył starannie, tak, by końcem trafić w przycisk wyłączający sanie. Jego starania zakończyły się powodzeniem. Ciężka platforma runęła na podłogę.

Upadła niczym ciężki kamień na ogon Jiliac i przygwoździła go na dobre do posadzki.

Huttanka zaskrzeczała i skręciła się z bólu. Wijąc się po podłodze, usiłowała uwolnić ogon z pułapki. Durga doszedł do wniosku, że przeciwniczka nie da rady się wyswobodzić. Cofnął się, żeby wziąć zamach, a potem uniósł ogon i z całej siły opuszcł na masywną głowę samicy.

Przywódczyni klanu Desilijic zawyla z bólu.

Durga smagnął japo głowie drugi raz, a potem następny. Uderzył jeszcze raz...

Dopiero jednak piąty cios sprawił, że Jiliac straciła przytomność i osunęła się na podłogę. Giń! - pomyślał Durga, jeszcze raz smagając ociekające posoką wielkie cielsko.

- Giń! - ryknął w pewnej chwili na całe gardło. - GIŃ!

Nie potrafiły powiedzieć, kiedy Jiliac umarła. Nagle uświadomił sobie, że zaciekle miażdży ogonem zakrwawioną, bezkształtną miazgę z pustymi oczodołami. Z półotwartych ust wystawał nieruchomy, oślizgły jęzor.

Durga opanował się z wysiłkiem. Rozejrzał się po wielkiej audiencyjnej komnacie. Ujrzał obok drzwi Guri i Jabbę. A zatem -pomyślał z ulgą- skrytobójczym księcia Xizora udało się powstrzymać i Jabbę, i strażników. Z całą pewnością Guri nie była zwykłą młodą kobietą.

Poruszając się powoli, jakby przybyło mu kilkaset lat, lord Huttów wpelzł na platformę Jiliac. Odszukał odpowiedni guzik i uruchomił urządzenie. Odczuwał zbyt wiel-

kie zmęczenie, żeby pełznąć przez całą długość sali. Nawet nie poczuł, kiedy repulsorowe sanie wzniosły się nad podłogę. Zostało mu jeszcze tyle świadomości i siły, żeby skierować je ku drzwiom sali.

Zostawiając zmasakrowane zwłoki Huttanki na posadzce, uniósł sanie jeszcze trochę wyżej i pozęgłował w stronę wyjścia.

Kiedy dopłynął tam, unieruchomił sanie, by popatrzeć na Jabbę. Nawet gdyby nie był tak bardzo wyczerpany stoczonym pojedynkiem, miałby z nim bardzo trudną sprawę. Jabba dorównywał mu wzrostem i może dysponował podobną siłą... Wyniku ich walki z pewnością nie można by z góry przesądzić. Gdyby jednak stanął z nim do walki teraz... nie miałby absolutnie żadnej szansy.

Guri podeszła do niego i okazując szacunek, zgięła się w ukłonie.

- Gratuluję Waszej Ekscelencji zwycięstwa - powiedziała.

Durga obrócił głowę i obdarzył ją zamyślnym spojrzeniem.

- Guri... - zaczął, aczkolwiek wypowiedzenie słów przychodziło mu z wielkim trudem. - Jesteś... skrytobójczynią księcia Xi-zora... mam rację?

- Służę swojemu panu najlepiej, jak potrafię - odparła wymijająco młoda kobieta, ani na chwilę nie tracąc pewności siebie.

- Czy potrafiłabyś zabić Hutta? - zainteresował się lord klanu Besadii.

- Z całą pewnością - odrzekła replikantka.

- W takim razie... zabij Jabbę - rozkazał Durga.

Guri ledwo zauważalnie pokręciła głową.

- Nie, Wasza Ekscelencjo - rzekła cicho, lecz stanowczo. - Otrzymałam polecenie, żeby pomóc ci zemścić się na Jiliac. Dopiąłeś swego. Twoja misja zakończyła się powodzeniem. Moja także. Teraz oboje stąd odejdziemy.

Durga odwrócił się i wykonał ruch, jakby chciał zsunąć się z repulsorowych sań i rzucić na Jabbę. W następnej chwili jednak stanęła między nimi asystentka księcia Xizora. Natychmiast pojął, co chce mu dać do zrozumienia.

- Teraz oboje stąd odejdziemy - powtórzyła nieco głośniejszym i bardziej stanowczym głosem.

Jabba usunął się na bok, żeby mogli przejść. Guri, zwinnie i szybko, wskoczyła na repulsorową platformę. Nagle na korytarzu ponownie rozległ się tupot stóp biegnących osób. Durga dostrzegł strażników, ale Jabba uniósł rękę i władczy gestem rozkazał im, żeby odeszli.

- Już raz was odprawiłem! - oznajmił gniewnym tonem. - Nie macie tu nic do roboty!

Tym razem strażnicy usłuchali go bez szemrania. Jabba odwrócił się i spojrział w oczy Guri.

- Nie chciałem, byś ich zabijała - powiedział. - Zazwyczaj są przydatni.

Replikantka tylko kiwnęła głową, po czym uruchomiła sanie. Durga spojrział groźnie na Jabbę, ale opuściły go resztki sił. Zwiotczał i osunął się na platformę. Czuł się tak wyczerpany walką, że nawet nie potrafił się cieszyć z odniesionego zwycięstwa.

Zachowując zbyteczną ostrożność, Jabba powoli zbliżył się do zmasakrowanych zwłok ciotki. Nadal nie mógł uwierzyć, że Jiliac nie żyje. Wiedział, że będzie za nią

kęsknił. Ale tu, jak powiedział Hanowi Solo, chodziło tylko o interesy. Liczyło się dobro klanu Desilijic... i - rzecz jasna - jego własne.

Na widok zniekształconej, zmiażdżonej głowy Jiliac poczuł, że zbiera mu się na mdłości. Pomyślał, że jeszcze długo nie weźmie nic do ust.

Stał nieruchomo, zastanawiając się, co robić. O czym powinien najpierw pomyśleć... teraz, kiedy nareszcie został niekwestionowanym przywódcą klanu Desilijic. Prawdopodobnie zostanie wezwany na posiedzenie Wielkiej Rady Huttów. Gdy oznajmi, że to była - zgodna ze Starym Prawem - walka przywódcy jednego klanu z przywódcą drugiego, zapewne nikt nie zgłosi zastrzeżeń ani nie będzie żywił żadnych wątpliwości.

A gdyby nawet ktoś go zapytał, oświadczy, że Jiliac rzeczywiście uknuła spisek, mający na celu otrucie Aruka...

Nagle zmasakrowane zwłoki Jiliac drgnęły.

Zaskoczony Jabba także podskoczył i nie mogąc uwierzyć własnym oczom, wyprostował się gwałtownie. Powraca do życia? - pomyślał. - To niemożliwe! Ależ byłaby wściekła! Nie, to chyba... Zorientował się, że serce w jego piersi wali jak młotem. O co tu chodzi? Ciotka nie żyje. Na pewno... A jednak...

Masywne zwłoki drgnęły drugi raz, a potem nawet się poruszyły. Jabba stał jak skamieniały. Z kieszeni na brzuchu Jiliac wyslizgnęło się dziecko. Lord Huttów odechnął z ulgą. Powinieniem był się domyślić - pomyślał. Zawstydział się, że dał wiarę bezsensownym przesądom.

Tymczasem podobne do robaka małe stworzenie, wijąc się po podłodze i coś gulgocząc, zaczęło pełznąć w jego stronę.

Jabba spiorunował je spojrzeniem. Nie wątpił, że - bez względu na okoliczności - zostanie mianowany przywódcą klanu Desilijic. Ale - na wszelki wypadek chyba najlepiej od razu doprowadzić całą sprawę do końca...

Powoli, ale zdecydowanie ruszył ku bezradnemu potomkowi ciotki...

Następnego dnia Durga czuł się tak odretwiały i obolały, że z trudem mógł się poruszać. Mimo to, kiedy nawiązał z nim łączność Teroenza, aby oznajmić, że - zgodnie z poleceniem lorda klanu Besadii - zwłoki Kibbicka zostały wysłane do domu, postanowił niczego po sobie nie pokazywać.

- Wasza Ekscelencjo - odezwał się arcykapłan. - Pozwoliłem sobie zatrudnić jeszcze kilku strażników. Rzecz jasna, na własny koszt. Mam nadzieję, że klan Besadii zwróci mi poniesione wydatki. Nie możemy siedzieć z założonymi rękami i czekać na następny atak tych bezczelnych Rebeliantów.

- Rozumiem - oznajmił Durga. - Postaramy się przysłać więcej strażników.

- Dziękuję, Wasza Ekscelencjo.

Kiedy arcykapłan skończył, lord klanu Besadii przerwał połączenie. Odwrócił się do Guri, która właśnie zamierzała się z nim pożegnać.

- Teroenza robi ostatnie przygotowania - stwierdził. - Już niedługo będzie gotów uniezależnić się od klanu Besadii.

Replikantka kiwnęła głową.

- Sądzę, że masz rację, lordzie Durgo - powiedziała.

- Podejrzewam, że ileżjańscy strażnicy opowiedzą się po stronie Teroenzy - ciągnął przywódca klanu Besadii. - Muszę wymyślić sposób, żeby arcykapłan pozostał mi wierny do czasu, aż znajdę kogoś, kto będzie mógł go zastąpić. Mam jeszcze jedną prośbę do twojego władcy, księcia Xizora.

- Tak, lordzie Durgo?

- Proszę go o pomoc wojskową - oświadczył Durga. - Jeżeli zgodzi się wysłać swoich żołnierzy na Ilezzę, ułatwi moje zadanie. Zdołam wówczas poskromić i sacredotów, i pielgrzymów. Słyszałem, że księżę dysponuje kilkoma oddziałami świetnie wyszkolonych najemników. Jeżeli na Ilezzji wyląduje silna, dobrze uzbrojona grupa, strażnicy Teroenzy nie ośmielą się stawić jej czoła. - Choć w każdej części posiniaczonego i poranionego ciała odczuwał dotkliwy ból, odwrócił głowę i spojrzał w oczy kobiety. - Czy poprosisz go o to, Guri? Wyjaśnisz moją sytuację?

- Zrobię to - odparła replikantka. - Mimo to musisz wiedzieć, lordzie Durgo, że Jego Wysokość rzadko wysyła wojsko, jeżeli w grę nie wchodzi obrona jego interesów.

- Wiem o tym - przyznał pokornie Durga. Cierpiał na myśl o tym, co za chwilę miał powiedzieć, ale doszedł do wniosku, że lepsze to, niż gdyby miał wszystko stracić. - Powiedz księciu, że w zamian za jego poparcie obiecuję mu pewien procent z tegorocznych zysków z operacji na Ilezzji.

Guri kiwnęła głową.

- Przedstawię mu twoją propozycję, lordzie Durgo - obiecała. - Już niedługo Jego Wysokość skontaktuje się z tobą. - Lekko kiwnęła głową. - A teraz... odejść, Wasza Ekscelencjo.

Durga kiwnął głową - na tyle, na ile pozwalały mu obolałe mięśnie szyi.

- Żegnaj, Guri.

- Żegnaj, lordzie Durgo.

Bria Tharen pracowała w osobistym gabinecie na pokładzie swojej korwety klasy Maruder, „Zemsty”, gdy ukazał się przed nią miniaturowy hologram zastępcy - porucznika Jace'a Paola.

- Pani komandor - odezwał się mężczyzna. - Nadeszła pilna wiadomość. Jest adresowana do pani, a przesłano ją wyjątkowo bezpiecznym kanałem łączności. Co więcej, użyto pani osobistego kodu.

- Z dowództwa? - domyśliła się Korelianka.

- Nie, pani komandor - odparł Paol. - To transmisja prywatna.

Zdumiona kobieta uniosła brwi.

- Doprawdy? - zapytała. Tylko niewiele osób znało jej osobisty kod. Kilkoro funkcjonariuszy wywiadu - na przykład Barid Mesoriaan i jeden czy dwóch jego podwładnych - ale żaden nie kontaktowałby się z nią w tak bezpośredni sposób. - No cóż, przełącz ją do mojego gabinetu.

Chwilę później nad komunikatorem utworzył się inny mały wizerunek.

Zdumiona Bria nie mogła uwierzyć własnym oczom. Hutt? Jedynym Hurtem, którego zapoznała z osobistym kodem, był Jabba. A zatem, to musiał być on... chociaż

wszyscy Huttowie, zwłaszcza jeżeli pojawiali się przed nią w postaci małego, rozmytego hologramu, byli podobni do siebie jak krople wody.

- Jabba? - zapytała. - Czy to Wasza Ekscelencja?

- Tak, to ja, pani komandor Tharen - odparła istota.

- No cóż... bardzo dobrze... Czemu zawdzięczam ten zaszczyt i przyjemność?

Przywódca klanu Hurtów lekko kiwnął głową.

- Pani komandor Tharen, bardzo proszę, żeby natychmiast przyleciała pani na planetę Nal Hutta. Moja ciotka straciła życie w wyniku... nieszczęśliwego zbiegu okoliczności. Zostałem przywódcą klanu Desilijic. Musimy porozmawiać.

Bria zamarła i wstrzymała oddech. Zaledwie przed miesiącem wyprawiła się na planetę Nal Hutta, żeby przedstawić swoją propozycję. A teraz... Jiliac nie żyła?

Nawet nie chciała wiedzieć, co jej się stało. Kiwnęła głową.

- Przylecę natychmiast, Wasza Ekscelencjo - obiecała. - Domyślam się, że pragnąłbyś wznowić negocjacje w sprawie naszej... wyprawy na Ilezję?

- Tak - przyznał Jabba. - Zamierzam zająć się istotami rasy t'landa Til. Niedawno wysłałem na Ilezję kilku moich podwładnych. Najwyższy czas położyć kres tyranii klanu Besadii.

Bria kiwnęła głową.

- Będę za dwa dni - przyrzekła i przerwała połączenie.

ROZDZIAŁ

12

LÓD...

Od śmierci Jiliac upłynęło pięć dni. Han Solo i Chewbacca wyprawili się do ulubionej tawerny Hana w koreliańskim sektorze księżyca Nar Shaddaa. W Błękitnym Świetle nie podawano żadnych potraw, tylko trunki. Sam lokal był niewiele większy od sporej dziury w murze, ale Han lubił to miejsce... może dlatego, że na ścianach wisiały hologramy przedstawiające słynne budowle, pomniki i zabytki Korelii, a gospodarz sprowadzał - chyba specjalnie dla Hana - jego ulubioną markę alderańskiego piwa.

Barman i zarazem właściciel, niejaki Mich Flenn, był starzejącym się Korelianinem. Dopóki nie zarobił dość kredytów, żeby kupić lokal, parał się przemycaaniem towarów. Han z przyjemnością słuchał jego opowiadań o dawnych dobrych czasach - aczkolwiek do wszystkiego, co mówił stary dziwak, podchodził z odrobiną nieufności. Kto słyszał o inteligentnych istotach, które potrafiły wyskakiwać na dziesięć metrów w powietrze, a potem wykonywać salta w locie albo wypuszczać z czubków palców błękitne, śmiertelne błyskawice?

Han i Chewie spędzali w tawernie prawie wszystkie wieczory. Tego dnia także stali obok siebie przy barze i, sącząc ulubione trunki, słuchali kolejnej nieprawdopodobnej opowieści Micha Flenna. W pewnej chwili Solo uświadomił sobie, że ktoś jeszcze wszedł do tawerny i stanął obok niego. Nie odwrócił jednak głowy, żeby zerknąć na przybysza.

Tym razem opowiadanie barmana okazało się dłuższe i bardziej nieprawdopodobne niż kiedykolwiek. Stary gaduła opowiadał o inteligentnym drzewie, które było kiedyś potężnym czarownikiem. Mówił też o rasie wojowniczych istot, które pragnąc stać się idealnymi żołnierzami, przelały esencję własnych umysłów do pamięci bojowych automatów.

Kiedy stary gaduła skończył mówić, Han pokręcił głową.

- Michu, to było fantastyczne - powiedział. - Powinieneś spisać wszystkie historie, a potem sprzedać producentom rozrywkowych holofilmów. Oni ciągle szukają czegoś niesamowitego, by rozerwać publiczność.

Chewie zaryczał, gorąco popierając propozycję przyjaciela.

Mich wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem zajął się starannym wycieraniem jakiejś szklanki. W pewnej chwili odwrócił głowę i popatrzył na nowego gościa.

- A co dla pani, piękna damo? - zapytał.

Han odruchowo zerknął w bok, żeby zobaczyć, do kogo zwraca się barman. Zdumiony, zamarł bez ruchu.

Bria!

Z początku pomyślał, że się pomylił. Może to ktoś podobny do Brii? Później jednak usłyszał jej głos - niski, lekko ochryply -głos, który tak dobrze pamiętał.

- Poproszę tylko odrobinę wody vishay.

Powoli odwrócił głowę i ich spojrzenia się spotkały. Han czuł, że jego serce wali jak młot. Był jednak pewien, że w jego twarzy nie drgnął nawet mięsień. Nie na darmo tyle lat grywał w sabaka. Potrafił panować nad wyrazem twarzy.

Kobieta chwilę się wahała.

- Cześć, Hanie - odezwała się w końcu.

Han przesunął językiem po suchych wargach.

- Witaj, Brio - odparł cicho. Chwilę wpatrywał się w nią, a potem, kiedy Chewie się poruszył, nagle przypomniał sobie, że powinien go przedstawić. - A to jest Chewbacca, mój partner i przyjaciel.

- Pozdrawiam cię, Chewbacca - rzekła Bria, starannie wymawiając słowa. - Jestem zaszczycona, że mogę cię poznać.

Całkiem niezłe władała mową Wookiech. Z pewnością nauczyła się tego od Ralracheena - domyślił się Solo.

Odpowiadając na pozdrowienie, zaskoczony Wookie cicho zawył. Było jasne, że zastanawia się, o co tu chodzi.

- Uhm... - odezwał się niepewnie Han. - Dawno się nie widzieliśmy.

Bria kiwnęła poważnie głową. Nie zareagowała na wyświechtany eufemizm.

- Chciałam się z tobą zobaczyć - oznajmiła. - Czy moglibyśmy gdzieś usiąść i porozmawiać?

Han uświadomił sobie, że targają nim sprzeczne uczucia. Jakaś cząstka umysłu nakazywała mu porwać ją w ramiona i całować do utraty tchu. Inna żądała, żeby potrząsnął nią i wyrzucił z siebie wszystkie nagromadzone w ciągu tych lat urazy, żale i oskarżenia. Jeszcze inna mówiła, że postąpi najrozsądniej, jeżeli po prostu odwróci się i odejdzie bez słowa. Dowiedzie, że ta kobieta nic dla niego nie znaczy... absolutnie nic.

Z niejakim zdziwieniem stwierdził jednak, że kiwa głową.

- Jasne - odparł krótko.

Wyciągał rękę po kufel, ale poczuł, że Chewie kładzie dłoń na jego ramieniu. Wokle mruknął cicho.

Han popatrzył na partnera pełen wdzięczności za okazany takt. Rzeczywiście, powinien porozmawiać z Brią w cztery oczy.

- Dobrze, kolego - odrzekł cicho. - Zobaczymy się później w domu.

Chewie kiwnął głową w kierunku Brii i wyszedł z Błękitnego Światła. Han wziął kufel z piwem i ruszył ku kiepsko oświetlonej niszy wykutej w przeciwległej ścianie tawerny.

Gdy Bria podchodziła do stolika i siadała naprzeciwko niego, pierwszy raz miał okazję dobrze jej się przyjrzeć. Korelianka nosiła brązowy, połowy mundur wojskowego kroju, ale Han nie zauważył na nim żadnych odznak ani naszywek. Surowy, poważny wygląd podkreślały także jej włosy - zaczesane do góry i upięte z tyłu głowy. Czy Bria krótko je obcięła, czy może tylko upięła w kok tak mały, że go nie widział?

Nie nosiła żadnych ozdób ani biżuterii. U boku miała podniszczony od częstego używania pistolet typu BlasTech DL-18 (Han wołał nieco większy i cięższy model BlasTech DL-44). Broń spoczywała nisko na prawym biodrze, w kaburze przywiązanej u dołu do nogawki spodni. Han uświadomił sobie, że i on miał zwyczaj mocować kaburę w taki sposób. Zauważył, że pas z bronią zawiera również kilka zapasowych zasobników energii. Bria schowała w skórzanej pochwie wibroostrze. Niewielka wypukłość cholewki buta mogła dowodzić, że kobieta i tak ukryła jakąś sztukę broni.

Usiadła przy stole i spoglądała na Hana, jakby go oceniała. Tymczasem Solo nie miał pojęcia, co powiedzieć. Patrzył tylko na nią ale nie odezwał się ani słowem. Nie mógł uwierzyć, że to rzeczywiście Bria - a nie jakieś przywidzenie, sen... albo senny koszmars.

Bria także wpatrywała się w niego. Zapewne chciała przypomnieć sobie rysy jego twarzy. W pewnej chwili zaczęła coś mówić, ale zająknęła się i urwała. Nabrała głęboki haust powietrza i zaczęła od nowa:

- Przetrzaszam... - powiedziała. - Za to, że cię przestraszyłam. Powinam coś powiedzieć, ale mam w głowie zupełną pustkę. Chyba nie wiem, od czego zacząć.

- Przyszłaś tu, żeby spotkać się ze mną? - zapytał Solo.

- Tak. Kiedy miesiąc temu rozmawiałam z twoim przyjacielem, powiedział mi, że to jeden z twoich ulubionych lokali. Zaryzykowałam... i przyszłam. Miałam nadzieję, że cię tu zastanę.

- Przyleciałaś na księżyc Nar Shaddaa w sprawach służbowych?

- Tak. Zatrzymałam się w jednym z pokoi nad Odpoczynkiem Przemysłowca - Uśmiechnęła się ponuro. - Jest jeszcze bardziej obskurny niż tamten, gdzie spotkaliśmy się tamtej nocy na Coruscant.

Odrętwiały umysł Hana powoli budził się do życia. Korelianiec czuł zbierający gniew. Przypomniał sobie tamten obskurny hotelik na Coruscant i jedyną noc, którą on i Bria spędzili razem. Pamiętał, że zasnął... i obudził się następnego ranka sam jak palec.

Na wpół świadomie wyciągnął rękę i z całej siły chwycił nadgarstek kobiety. Kiedy dotknął jej ręki dziwny dreszcz przeniknął jego ciało. Czuł pod palcami delikatne kości... i odnosił wrażenie, że gdyby trochę mocniej zacisnął palce, mógłby je łatwo zmiażdżyć. Zaczynał ogarniać go taki gniew, że niemal miał chęć spróbować.

- Dlaczego? - wyrzucił z siebie w końcu. - Dlaczego, Brio? Wydaje ci się, że możesz - ot tak, jak gdyby nigdy nic, po dziesięciu latach - po prostu do mnie powrócić? Masz tupet, dziewczyno!

Bria chwilę spoglądała na niego. W końcu zmrużyła oczy.

- Puść mnie, Hanie - rzekła cicho.

- Nie! - odparł przez zaciśnięte zęby Solo. - Tym razem nie pozwolę ci odejść, dopóki nie odpowiesz na moje pytania!

Właściwie nie zorientował się, co zrobiła. Może uciekła się do jakiejś wojskowej sztuczki... Wykręciła rękę i nacisnęła jakiś nerw... i w następnej sekundzie jej dłoń była wolna, a Han czuł pulsujący ból. Spojrzał na własną rękę i otworzył szerzej oczy. Chwilę później przeniósł spojrzenie na twarz kobiety.

- Zmieniłaś się - powiedział. - Naprawdę się zmieniłaś.

Nie wiedział, czy to ma być zarzut, czy komplement.

- Musiałam się zmienić, Hanie - odparła stanowczo Bria. - Albo umrzeć. I nie martw się. Tym razem nie zostawię cię bez słowa. Muszę z tobą porozmawiać. Właśnie po to przyleciałam. Jeżeli zechcesz mnie wysłuchać.

Han kiwnął głową... niechętnie, jakby wbrew sobie.

- Niech będzie - powiedział. - Zamieniam się w słuch.

- Przede wszystkim pozwól, że cię przeproszę. Bardzo żałuję, że cię wtedy opuściłam. Żałuję wielu rzeczy, ale chyba tego najbardziej. Przepraszam, że odeszłam bez pożegnania... Musiałam. W przeciwnym razie nie zostałabyś przyjęty do Akademii.

- Nie na wiele to się zdało - mruknął Han z goryczą. - Wyleciałem z niej niespełna rok po tym, jak otrzymałem oficcerski patent. Nie tylko wyleciałem, ale wpisano mnie na czarną listę.

- Za uratowanie niewolnika Wookiego - przypomniała Bria, ciepło się uśmiechając. Na widok tego uśmiechu Han poczuł drżenie serca. - Nawet nie masz pojęcia, Hanie, jaka byłam z ciebie dumna, kiedy się o tym dowiedziałam.

Han pragnął odpowiedzieć jej takim samym uśmiechem, ale nie zdołał jeszcze opanować gniewu. Zorientował się, że mówi:

- Nie zależy mi na tym, siostrzo, żebyś była ze mnie dumna. Nic ci nie zawdzięczam. Wszystko, co zrobiłem, co osiągnąłem i kim się stałem, to wyłącznie moja zasługa.

Przekonał się, że drwiny sprawiły jej wyraźną przykrość. Na policzkach kobiety pojawiły się rumieńce, a w oczach zamigotały dziwne błyski. Przez chwilę mogło się wydawać, że powstrzymuje łzy. Później się opanowała. Na jej twarzy znów nie malowały się żadne emocje.

- Wiem - rzekła cicho. - Mimo to byłam z ciebie dumna.

- Słyszałem, że ty także polubiłaś Wookiech - powiedział Han z tak czytelną urazą w głosie, że kobieta aż się wyprostowała. -A przynajmniej tak twierdzą Katarra i Ralra.

- Też tam byłeś? - zapytała. - Na Kashyyyku? - Obdarzyła go uśmiechem. - Pomałałam tam organizować ruch oporu.

- Ta-a, słyszałem - odparł cierpko Solo. - Dowiedziałem się, że jesteś jakąś funkcjonariuszką koreliańskich Rebeliantów.

- Jestem jednym z dowódców - oznajmiła z naciskiem kobieta.

Han spojrzął na nią z ukosa.

- No cóż, to powinno wyrzucić na mnie spore wrażenie, prawda? - zakpił. - A kiedyś byłaś tylko wystraszoną dziewczynką która nie umiała strzelać z Mastera. Przebyłaś naprawdę długą drogę, Brio.

- Robiłam tylko to, do czego zmuszały mnie okoliczności - rzekła kobieta. - W ruchu oporu szybko się awansuje. Powinieneś się zastanowić, Hanie. Może chciałbyś się do nas przyłączyć?

Powiedziała to beztrzęsio, kpiącym tonem, ale coś w jej głosie uświadomiło Hanowi, że nie żartuje.

- Nie, siostrzo, uprzejmie dziękuję - odparł Solo. - Nieraz oglądałem imperialnych żołnierzy z bliska. Stoczyłem z nimi niejedną walkę. Rebelianci nigdy ich nie pokonają. Bria wzruszyła ramionami.

- A jednak zamierzamy spróbować - rzekła. - W przeciwnym razie Imperator pokłnie nas żywcem. Jest ucieleśnieniem zła, Hanie. Twierdzę, że to on zorganizował atak na księżyc Nar Shaddaa. Chciał w ten sposób pozbyć się Sarna Shilda.

- Ach, ta-a? - zadrwił Han. - Starego, poczciwego Sarna Shilda? Kiedyś to był „kochany” Shild, prawda? Oboje stanowiliście taką piękną parę.

Bria skrzywiła się, słysząc sarkazm w jego głosie.

- Wyjaśniałam to już Calrissianowi - powiedziała. - Było zupełnie inaczej.

- Ale wyglądało paskudnie, Brio - zapewnił ją Solo. - To nie był jeden z moich najszcześniejszych dni, możesz być pewna. Kiedy przyglądałam się, jak gruchacie...

Bria zacisnęła wargi.

- Wykonywałam rozkazy - odrzekła, spoglądając w jego oczy. - Dobrze wiem, jak to wyglądało, ale Shildowi nie zależało na tym, żebym została jego konkubina. Robiłam jednak dla ruchu oporu także inne rzeczy, które nie bardzo mi się podobały... i zrobię je jeszcze raz, jeżeli będę musiała. Bez względu na konsekwencje i okoliczności.

Han zastanowił się nad tym, co mu powiedziała.

- Naprawdę uważasz, że inwazja na opanowany przez Huttów rejon przestworzy została zaplanowana przez samego Imperatora? - zapytał w końcu. - Przecież wykonawcą był Shild! Jak to możliwe?

- Byłam wtedy z Shildem, Hanie - odrzekła Bria. - Uwierz mi, działo się z nim wówczas coś dziwnego. Zaszła w nim jakaś niesamowita zmiana. To było coś strasznego. Zanim upłynął miesiąc, Hanie, Shild stał się zupełnie innym człowiekiem. Nagle - ni stąd, ni zowąd - zaczął układać plany napaści na przestworza Huttów. Później oświadczył nawet, że najwyższy czas obalić samego Imperatora.

Han pokręcił głową.

- To szaleństwo.

- Wiem - przyznała Bria. - Nie mogę sobie tego wytłumaczyć. Chyba że... - Zahała się. - Jeśli ci powiem, pomyślisz, że zwariowałam.

- O co chodzi? - zainteresował się Solo. - Mów.

Korelianka głęboko odetchnęła.

- Powiadają że Palpatine ma... niezwykle umiejętności - zaczęła cicho. - Podobno potrafi wpływać na ludzi. Łamie ich wolę, wpływa na umysły...

- Czyta w myślach? - podpowiedział Han.

- Nie mam pojęcia - przyznała kobieta. - Może. Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale to jedyne wyjaśnienie, które - mim zdaniem - ma chociaż trochę sensu. Shild cieszył się popularnością ale był ambitny i przekupny. Stanowił zagrożenie dla kogoś, komu zależało na umocnieniu własnej władzy. A zatem Imperator po prostu... zachęcił Shilda do działania. Podsycił jego ambicję i nakłonił, żeby napadając na księżyc Nar Shaddaa, sam siebie unicestwił.

Han zmarszczył brwi.

- A co z Greelanksem? - zapytał w końcu. - Jaką rolę w tym planie miał odegrać admirał? I kto go zabił? Spodziewałem się, że ktoś zechce mnie obarczyć winą za jego śmierć, ale widocznie sprawa została zatuszowana. Nigdy nie słyszałem w wiadomościach żadnej wzmianki na ten temat.

Z trudem opanował nerwowe wzdrygnięcie. Przypomnił sobie, jak stał, zamknięty w pokoju przylegającym do gabinetu admirała Greelanksa, i słuchał odgłosów... niesamowitych, nienaturalnych, złowieszczych... czyjegoś sapania albo ciężkiego oddechu.

Bria pochyliła się nad blatem stołu. Zanim Han uświadomił sobie, co robi, uczynił to samo. Kobieta ściszyła głos do szeptu, tak by nie usłyszał jej nikt oprócz rozmówcy.

- Mówią że to był... Vader. Han także ściszył głos.

- Vader? - szepnął. - Darth Vader? Bria kiwnęła głową.

- Darth Vader - powtórzyła. - Podobno jest prawą ręką Imperatora. On... - Zawahała się, szukając odpowiedniego określenia. - ...zmusza ludzi do wykonywania swoich rozkazów.

Han wyprostował się. Słyszał o tym człowieku, ale nigdy się z nim nie spotkał.

- Hmmm - powiedział. - No cóż, cieszę się, że ciebie nie próbował do niczego zmusić.

Bria pokiwała głową.

- Nieco później koreliańscy wywiadowcy dowiedzieli się, że admirał Greelanx otrzymał imperialny rozkaz, żeby za wszelką cenę atak na księżyc Nar Shaddaa zakończył się niepowodzeniem. Łapówka Hurtów to zupełny przypadek. Domyślam się, że wszystko starannie obmyślano. Od samego początku celem ataku było zdyskredytowanie i wyeliminowanie Shilda. A przy okazji - zadanie ciosu klanowi Desilijic oraz przemytnikom. Przypomnij sobie, że klan Besadii, który dostarczył Imperium tylu niewolników, właściwie nie poniósł żadnych strat materialnych.

Han musiał zastanowić się kilka chwil nad tym, co usłyszał.

- To zakrawa na szaleństwo, ale od czasu do czasu słyszy się różne historie o Imperatorze - przyznał w końcu. - Straszne historie. Nigdy przedtem nie dawałem im wiary. Zawsze uważałem, że ludzie histeryzują. - Roześmiał się krótko, nerwowo, po czym upił łyk piwa. - Okropne historie... okropne, jeżeli prawdziwe.

Bria wzruszyła ramionami.

- Prawdopodobnie żadne z nas nigdy się tego nie dowie - oznajmiła ponuro. - Tak czy owak, teraz to zamierzchła przeszłość. Ale nie o tym chciałam z tobą porozmawiać, Hanie. Zamierzałam...

Urwała, kiedy do tawerny weszło kilku przemytników. Mężczyźni zamówili coś do picia i zajęli sąsiednią niszę. Han powiódł spojrzeniem po niewielkiej sali.

- Zaczyna się robić tłoczno - zauważył. - Nie pora się stąd wynosić?

Kobieta kiwnęła głową. Wyszli na ulicę i, nie odzywając się, ruszyli szybko chodnikiem. Po chwili skręcili w węższą i mniej uczęszczaną przecznicę. Płyty permabetonu były tu zniszczone i może dlatego ulicę wybierało mniej przechodniów. Han spojrzał na Brie.

- Zaczęłaś o czymś mówić - przypomniał. Odwzajemniła jego spojrzenie.

- Hanie, chciałabym prosić cię o pomoc.

Solo przypomniał sobie rozmowę z Jabba.

- Chodzi o atak na Ilejżę?

Kobieta kiwnęła głową i uśmiechnęła się.

- Szybki jak zawsze - stwierdziła. - Tak. Jabba finansuje całe przedsięwzięcie.

Zamierzamy opanować całą planetę, Hanie.

Tym razem Korelianin wzruszył ramionami.

- To nie mój problem, siostró - odparł szorstko. - Ja też się zmieniłem. Nie jestem filantropem. Interesuje mnie tylko to, co przynosi zyski. I nie zamierzam nadstawiać karku dla nikogo.

Bria kiwnęła głową.

- Słyszałam. Nie proszę, żebyś był dobroczyńcą. Możesz na tym zarobić... całkiem sporą sumę. Większą niż za przemycenie stu transportów przyprawy.

- Czego właściwie ode mnie oczekujesz?

Han uświadomił sobie, że gniew, który chyba zdążył już trochę opaść, narasta w nim na nowo. Nie miał pojęcia, dlaczego. Czy przez to, co właśnie powiedziała? Wolałby chyba, gdyby Bria rzeczywiście poprosiła go o pomoc w imię starych, dobrych czasów... albo czegoś w tym rodzaju. Tymczasem to, co mu proponowała, po prostu nie miało sensu.

- Sojusz Rebeliantów jest jeszcze bardzo młody, Hanie - ciągnęła Korelianka. - Nasi ludzie umieją dochowywać wierności. Nie brakuje im odwagi. Większość z nich jednak to nowicjusze. Z kolei moi żołnierze z Czerwonej Ręki dysponują dużym doświadczeniem, ale sami nie zdołają wykonać tak poważnego zadania.

Zdumiony i zaniepokojony Han spojrzał prosto w jej oczy.

- Oddział Czerwona Ręka? - zapytał z niedowierzaniem. - Ty jesteś dowódcą Czerwonej Ręki?

Bria kiwnęła głową.

- To dobry oddział, Hanie - rzekła. - Braliśmy udział w niejednej akcji.

- Słyszałem o was - przyznał Solo. - Bez litości zabijacie handlarzy niewolników.

Korelianka wzruszyła ramionami. Nie uznała za słuszne komentować tej uwagi.

- Jak mówiłam, pragnę prosić cię o pomoc. Brak nam doświadczonych pilotów, którzy przeprowadzą okręty przez ilejżańską atmosferę. Może nawet wesprą nas w trakcie walki, chociaż sam widziałeś, jaką siłą bojową stanowią tamtejsi obrońcy. To zgraja Gamorrean i innych obiboków. Nierzadko zdarza im się zasnąć podczas służby. Pokonamy ich na pewno. Ale najpierw musimy przelecieć przez tę przeklętą atmosferę. Straciliśmy w niej już jeden nasz okręt. Nie możemy pozwolić sobie na utratę następ-

nego. Han kiwnął głową. Nie dawał po sobie poznać, że kipi z gniewu. Postanowił, zanim wybuchnie, że chciałby usłyszeć absolutnie wszystko... do samego końca.

- To prawda, atmosfera jest bardzo niebezpieczna i czasami płata brzydkie figle - odezwał się po chwili. - Ale przemytnicy potrafią radzić sobie w trudniejszych sytuacjach. A zatem... potrzebujesz pilotów, żeby poprowadzili rebelianckie okręty i może wsparli twoje oddziały w walce. Co proponujesz w zamian?

- Przyprawę, Hanie - rzekła Bria. - Przetworzoną przyprawę. Z pewnością słyszałeś, że ostatnio klan Besadii kieruje coraz więcej przyprawy do magazynów. Próbuje wywindować cenę. Składy są przepelnione. Podzielimy się z wami tym, co w nich znajdziemy. Najlepszym andrisem, ryblem, carsunum i, oczywiście, błyszczostymem.

Han kiwnął głową.

- Zamieniam się w słuch - powiedział. - Mów dalej...

Korelianka spojrzała na niego.

- A jeżeli chodzi o mnie i o ciebie... - zaczęła - pozostaje jeszcze skarbiec Teroenzy. Wyobraź sobie tylko, ile skarbów zebrał w ciągu tych dziesięciu lat. Antyki o wartości setek tysięcy kredytów... Wszystko, co tam zgromadził, jest warte chyba milion... kto wie, może nawet dwa miliony. Pomyśl o tym, Hanie.

- Ilu będziesz miała żołnierzy?

- Nie jestem jeszcze pewna. Muszę się porozumieć z dowódcą tego sektora. Zwróciliśmy się z prośbą o wsparcie do wszystkich ugrupowań ruchu oporu, a zwłaszcza do Bothan i Sullustan. Wielu więźniów na Ilezji to Sullustanie i Bothanie.

- A ty zamierzasz im zwrócić wolność...

- Zabierzemy ich razem z naszą częścią przyprawy, Hanie. A zanim odlecimy, zamienimy fabryki i magazyny w kupę gruzów.

Han się zamyślił.

- A co z kapłanami? - zapytał w końcu. - Mogą zrobić użytek z Uniesienia. To potężna broń. Sam widziałem kiedyś, jak zwałała z nóg niczego nie spodziewających się ludzi.

Bria kiwnęła głową.

- O kapłanów zatroszczy się Jabba. Obiecał, że zanim wylądujemy, każe ich wymordować.

Han spojrzał na nią. Ogarniała go coraz większa wściekłość. Jak śmie? - pomyślał.

- Wraca jak gdyby nigdy nic i ma czelność prosić mnie, żebym pomógł jej w zemście?

- Musicie wszystko idealnie zsynchronizować - zauważył po dłuższej chwili.

- Oczywiście - przyznała kobieta. - To będzie największa operacja wojskowa młodego Sojuszu Rebeliantów. Liczymy na to, że uwolnieni więźniowie dołączą do nas i staną się rekrutami. Zabierzemy też przyprawę. Rewolucja kosztuje... i to sporo.

- Ambitny plan - mruknął oschle Solo. - Jeżeli chcecie popełnić samobójstwo, dlaczego nie napadniecie od razu na Coruscant?

- Ten plan ma szansę powodzenia - sprzeciwiła się Korelianka. - Ilezja nie jest wcale tak dobrze strzeżona, jak ci się wydaje. Sam wiesz o tym najlepiej, Hanie. Obrońcy stawiają opór, ale moi żołnierze uporają się z nimi bez trudu. Dopóki nie opanujemy kolonii, twoi ludzie mogą trzymać się z daleka. A zresztą, Rebelianci naborą do-

świadczenia w walce. Jeżeli nasza wyprawa zakończy się sukcesem, damy przykład innym światom. Może zechcą przyłączyć się do Sojuszu. Jedynie zjednoczeni pokonamy Imperium.

Han popatrzył na nią.

- I właśnie dlatego postanowiłaś ze mną porozmawiać - zaczął. - Chcesz, żebym skontaktował się z przemytnikami i namówił ich, aby przyłączyli się do twoich Rebeliantów.

- Lando powiedział, że ty i Mako Spince jesteście jedynymi ludźmi, których usłuchają - odrzekła kobieta. - Ciebie znam. Spince^ nie. To wszystko.

Han nie mógł już dłużej udawać obojętności. Spiorunował ją spojrzeniem.

- Sądziłaś więc, że możesz mnie porzucić i dziesięć lat ignorować, a potem wrócić i kazać narażać życie przyjaciół, żebyś mogła się zemścić? - zapytał. - Nie ufam ci, Brio. To prawda, słyszałem o Czerwonej Ręce. Wiem jednak, że nie jesteś tą samą kobietą, którą kiedyś znałem.

- Zmieniłam się, Hanie - przyznała Bria, patrząc prosto w jego oczy. - To prawda. Ty także się zmieniłeś.

- Lando powiedział, że nadal zależy ci na mnie - ciągnął coraz bardziej wzburzony Han. - Przypuszczam, że go okłamałaś. Już wtedy zamierzałaś mnie wykorzystać. Tymczasem prawda wygląda tak, że nie obchodzę cię ani ja, ani to, co razem przeżyliśmy. Interesuje cię tylko twoja rewolucja. Nie zważasz na to, kogo i co podepczesz, byle osiągnąć swój cel. - Prychnął pogardliwie. - A jeżeli chodzi o te bajeczki na temat Sarna Shilda... dobre sobie. Czy naprawdę przypuszczasz, że uwierzę, aby taki mężczyzna zadawał się z tobą, gdybyś nie była... nie była...

Zakończył zdanie słowem, oznaczającym w mowie Rodian najniższej kategorii ladczyce.

Ostępiała Bria otworzyła usta. Nieświadomym gestem sięgnęła po blaster. Han napiął mięśnie, gotów także dobyć broni, ale ujrzał, że w jej oczach ukazują się łzy.

- Jak możesz? - zachnęła się kobieta.

- Ostatnio mogę bardzo wiele, siostró - burknął Solo. - I mam zwyczaj mówić, co myślę. Zwracając się z tym do mnie, dowiodłaś, że jesteś zepsuta do szpiku kości. Już nie nabierzesz mnie na śliczną buzię. Nie ujmiesz mnie za serce. Ja także się zmieniłem. Przede wszystkim zmadrzałem... na tyle, żeby przejrzeć cię na wylot.

- Doskonale - odparła Bria, starając się nie rozplakać. Kilka razy zamrugnęła. - Odwracasz się plecami i do mnie, i do fortuny. Nie uważam tego za mądre, Hanie. Nazwałabym to szczytem głupoty. A pomyśl, że jakiś handlarz przyprawy mógłby uczyć mnie zasad moralności, jest po prostu śmieszny.

- Jestem przemytnikiem! - krzyknął Korelianin. - My, przemytnicy, mamy swoją moralność!

- Tak, transportujecie przyprawę dla Huttów! - Bria także podniosła głos. - Ty i Jabba! Dobrana z was para!

Świadomość, że Bria porównała go z Hurtami, przepełniła puchar goryczy. Korelianin odwrócił się i odszedł.

- Świetnie! - zawołała Bria. - Jeżeli chcesz wiedzieć, idę poprosić o to samo Spince'a. Mąko nie może być tak bezdennie głupi!

O niczym nie wiedziała. W przeciwnym razie nie powiedziałyby tego. Han wybuchnął gorzkim śmiechem. Nie oglądając się, odskrzyknął:

- Życzę miłej zabawy! Może uda ci się nakłonić go, żeby się odezwał. Żegnaj, Brio!

Zwolna cichł odgłos jego podkutych butów na płytach permabetonu. Han wiedział, że kobieta nadal stoi tam, gdzie ją pozostawił. Spogląda w ślad za nim; może jeszcze ma nadzieję... Na myśl o tym, od razu poczuł się dużo lepiej.

Prawdę mówiąc, czuł się naprawdę doskonale...

Durga włączył holoprojektor komunikatora i obserwował, jak kształtuje się przed nim świetlisty wizerunek Xizora.

- Guri wyjaśniła mi, na czym polega twój problem - odezwał się książę. - Wysyłam na Ilezję dwie kompanie najemników pod dowództwem samego Willuma Kamarana. To kompetentny i zdolny dowódca. Jego oddział Nova pomoże ci utrzymać w ryzach Teroenzę, dopóki się z nim nie rozprawisz. A to powinno nastąpić jak najszybciej, przyjacielu.

- Dziękuję, Wasza Wysokość - odrzekł lord Hurtów. - Zapewne Guri ci powiedziała, że pragnąc odwdziżyć się za twoją pomoc, chciałbym podzielić się z tobą tegorocznymi zyskami z operacji na Ilezji. Piętnaście procent.

Kąciki ust księcia Falleenów opadły. Xizor ze smutkiem pokręcił głową.

- Durgo, Durgo... - powiedział. - Myślałem, że mnie szanujesz. Trzydzieści procent przez najbliższe dwa lata.

Ostupały Durga wybałuszył już i tak wylupiające oczy. Nie mógł uwierzyć własnym uszom. Gorzej, niż mógłbym się spodziewać - pomyślał.

- Wasza Wysokość, jeśli się na to zgodzę, zostaną usunięty ze stanowiska przywódcy klanu Besadii!

- Jeżeli się nie zgodzisz i to szybko - stwierdził Xizor - moje wojsko nie wyląduje na Ilezji, a wówczas stracisz i planetę, i pozycję przywódcy.

- Dwadzieścia procent, w jeden rok - zaproponował lord Huttów. Odnosił wrażenie, że to ustępstwo sprawia mu fizyczny ból. - Proszę pamiętać, Wasza Wysokość, że twoje wojsko będzie tam potrzebne tylko przez bardzo krótki czas.

- Trzydzieści procent, dwa lata - powtórzył stanowczo przywódca Czarnego Słońca. - Nie mam zwyczaju wdawać się w negocjacje.

Durga nabrał powietrza. Znów zaczynały mu dokuczać wszystkie rany i obrażenia odniesione podczas pojedynku z Jiliac.

- Zgadzam się - odparł cicho.

Książę uśmiechnął się uprzejmie.

- To doskonale. Najemnicy udadzą się na Ilezję tak szybko, jak to możliwe. Robienie interesów z tobą sprawia mi wielką radość, drogi przyjacielu.

Lord Durga musiał przywołać na pomoc całą siłę woli, żeby także uśmiechnąć się i odpowiedzieć:

- Cała przyjemność po mojej stronie, Wasza Wysokość. Bardzo dziękuję.

Przerwał połączenie. Ogarnięty rozpaczą i przerażeniem, zwiotczał i osunął się na posadzkę. Wyobraził sobie, co na to wszystko powiedziałyby Arak. Jestem zgubiony - pomyślał. - Osaczony. Mogę tylko szukać najlepszego wyjścia z tej sytuacji...

Han nie spał dobrze tej nocy. Rozmyślał o Brii i jej propozycji - a raczej myśli eksplodowały w jego głowie niczym zderzające się asteroidy. Przecież nie mogę jej zaufać... mogę? Nie chcę jej znać... a może jednak...?

Kiedy w końcu się zdrzemnął, śnił o górach błyszczostymu, które na jego oczach przemieniały się w stopy kredytów. Skakał po tych stosach, tarzał się po nich, krzyczał z radości... W pewnej chwili obok pojawiła się Bria. Pochwyił ją za rękę i oboje zaczęli tarzać się i całować... A tymczasem kredytów wciąż przybywało. Było ich coraz więcej, więcej, więcej... więcej niż mógłby sobie wyobrazić.

Nagle drgnął i oprzytomniał. Uświadomił sobie, że leży na łóżku. Podłożył dłonie pod głowę i mimo ciemności wbił wzrok w sufit.

Może powinienem przyjąć jej propozycję - pomyślał. - To może być moja wielka szansa dorobienia się tak zawrotnej fortuny. Mógłbym wycofać się z interesu... spakować manatki i przejść na zasłużoną emeryturę. Zaszyłbym się w jakimś cichym zakątku Sektora Wspólnego i przestał przejmować, czy Imperium rozpadnie się samo, czy też ktoś je pokona...

Leżał bezsenne jeszcze kilka godzin. Raz po raz obracał się z boku na bok, wciąż na nowo układał i ubijał poduszkę pod głową. W końcu zwlókł się z łóżka i poszedł do łazienki, gdzie wziął natrysk, a potem założył czyste ubranie. Rzecz jasna, nie zapomniał o uczesaniu włosów. Uśmiechając się do siebie, zauważył, że fryzura już dawno przeszła stadium, w którym „przydałaby się jej wizyta u fryzjera”. Teraz ktoś mógłby na jego widok zapytać: „Chyba nie chcesz, żeby wzięto cię za kuzyna Wookiego?”

Sięgnął po buty i najciszej, jak mógł, na palcach podreptał w stronę wyjścia. Nie chciał obudzić ani Chewiego, ani śpiącego na tapczanie Janka. Sięgając ręką do klamki, boleśnie uderzył wielkim palcem prawej nogi w twardy metal. W tej samej chwili usłyszał żalony, elektronicznie syntetyzowany jęk protestu.

ZeeZee! Han upuścił buty i głośno zaklął. Zaczął uciszać przedpotopowego androida, który raz po raz jąkając się, usiłował go przeprosić.

- Zamknij się wreszcie! - syknął Han, otwierając drzwi i niemal zatraskując za sobą. Sekundę później otworzył je, żeby zabrać buty, a potem zamknął je ponownie - tym razem o wiele ciszej niż poprzednio.

Odpoczynek Przemytnika mieścił się na samej granicy koreliańskiego sektora księżycy Nar Shaddaa. Gdy Han tam dotarł, było jeszcze ciemno. Ponieważ hotelik był zamknięty, musiał obudzić nocnego wartownika. W pewnej chwili uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, pod jakim nazwiskiem wynajęła pokój Bria. Zaledwie jednak zaczął ją opisywać, znudzony mężczyzna wyraźnie się ożywił.

- Ach, ona - powiedział, przesuwając językiem po wargach. - Spodziewa się twojej wizyty, kolego?

- Powiedzmy, że się z niej ucieszy - odparł Han, popychając po blacie kantoru żeton kredytowy.

- Jasne, oczywiście - uśmiechnął się wartownik. - Pokój siedem A.

Han musiał skorzystać z zabytkowej turbowindy. Wsiadł z kabiny i znalazł się na kiepsko oświetlonym i obrzydliwie cuchnącym korytarzu. Odnalazł drzwi pokoju Brii i zapukał. Chwilę później usłyszał jej głos - donośny i wyraźny, jakby od dawna nie spała:

- Kto tam?

- To ja, Brii. Han - odparł półgłosem.

Zapadła długa cisza. Dopiero po kilkunastu sekundach rozległo się szczęknięcie zamka i drzwi się uchyliły.

- Unieś ręce nad głowę i wejdź - usłyszał dobiegający z ciemności głos kobiety.

Pchnął stopą drzwi i wszedł z uniesionymi rękami. Dopiero jednak kiedy drzwi zatrzasnęły się za jego plecami, w pokoju zapaliło się światło. Nie opuszczając rąk, Han odwrócił się i ujrzał Brii. Stała obok drzwi w nocnej koszuli, stanowczo dla niej za krótkiej. Trzymała wymierzony w Hana blaster.

- Czego ode mnie chcesz? - zapytała oschłym, nieprzyjaznym tonem.

Han z trudem powstrzymywał się, by nie patrzeć na jej długie, smukłe, obnażone nogi.

-Uhm... -zaczął.-Chciałem tylko porozmawiać. Ja... uhm... zastanawiałem się nad twoją propozycją.

- Czyżby? Coś takiego! - Nie zmieniła tonu głosu, ale przynajmniej obniżyła luźną Mastera. Ujrzawszy to, Han także opuścił ręce. - No dobrze, daj mi minutę.

Schwyciła ubranie i skoczyła do łazienki. Pojawiła się dokładnie po minucie... kompletnie ubrana, nie wyłączając butów. Han kiwnął głową, pokazując cholewkę prawego buta.

- Co tam ukryłaś? - zapytał.

- Mały blaster - odrzekła. Na jej twarzy pojawił się drapieżny uśmiech. - Naprawdę zgrabny... damski model.

- Rozumiem - powiedział Solo. Usiadł na skraju niezaścielonego łóżka. Było jeszcze ciepłe. Tymczasem Brii rozparła się na jedynym krześle. - Staralaś się skontaktować z Makiem? - zapytał. - Po tym, jak się rozstaliśmy...

- Dopytywałam się o niego - przyznała kobieta, krzywiąc twarz. - Zrozumiałam, dlaczego tak się śmiałaś, kiedy odchodziłaś.

- Ta-a - mruknął Han. - Paskudna historia. Że też właśnie jemu musiało się to przydarzyć. Nie mam pojęcia, co teraz poczniesz... - Chrzęknął. - Tak czy owak, nie przyszedłem tu, żeby rozmawiać na temat Mąka. Zastanowiłem się nad twoją propozycją i doszedłem do przekonania, że może zbyt szybko się pospieszyłem. Spójrzmy prawdzie w oczy... Wciąż nie mogę ci wybaczyć, że wtedy tak mnie zostawiłaś. Zapewne musiałem wyrzucić z siebie całą urazę.

Zawahał się i urwał. Kobieta go nie ponaglała. Bez słowa wpatrywała się w niego. Jej twarz okalały drugie, rozwichrzone włosy. Han ucieszył się, że jednak nie całkiem je obcięła. Pewnie przedtem upięła je w mały kok.

W końcu Brii machnęła ręką.

- Mów dalej - powiedziała.

- A zatem... uhm... - podjął Han. - No cóż. Może palnąłem głupstwo. Nie przemyślałem swej decyzji. Zresztą nie pierwszy raz... - przyznał ze skruchą.

Korelianka otworzyła szerzej oczy.

- Nie... - zakpiła. - Chyba nie mówisz poważnie!

Han postanowił zignorować jej sarkazm.

- Tak czy owak... to już się nie powtórzy - obiecał. - Przyjmuję twoją propozycję. Przedstawię ją innym przemytnikom i pomogę wyszkolić twoich pilotów, żeby wiedzieli, jak sobie mają radzić z ilezjańską atmosferą. Założę się, że uda mi się namówić także kilku korsarzy. Powinni się zgodzić w zamian za to, co mi proponowałaś. Pięćdziesiąt procent wartości tego, co znajdziemy w skarbcu Teroenzy, albo siedemdziesiąt pięć tysięcy kredytów ze sprzedanej przyprawy... zależnie od tego, która suma okaże się większa. Brii pogrążyła się w zadumie.

- Obiecujesz, że będziesz zachowywał się przyzwoicie? - zapytała.

- Ta-a - odparł Solo. - Zawsze jestem miły dla partnerów w interesach. Bo właśnie tak traktuję twoją propozycję. Jako... ofertę handlową, nic więcej.

Brii kiwnęła głową.

- Zgoda - rzekła. Pochyliła się ku niemu i wyciągnęła prawą rękę. - Zwyczajny interes.

Han odwzajemnił uścisk jej dłoni. Pomyślał, że niejedynemu mężczyźnie mógłby pozazdrościć jej siły.

- Umowa stoi.

R O Z D Z I A Ł

13

...I OGIEN

Durga włączył komunikator i wystukał skomplikowany kod, który przed wielu laty dostał od ojca. Zastanawiał się, czy kod jest nadal aktualny. To miała być naprawdę bardzo ważna rozmowa...

Dopiero po kilku minutach uzyskał połączenie. Obraz nie był wyraźny. Raz po raz pojawiały się na nim zakłócenia. Durga pomyślał, że jego rozmówca znajduje się bardzo daleko od Odległych Rubieży.

W końcu hologram się ukształtował. Wizerunek najsłynniejszego łowcy nagród w całej galaktyce. Drżał, a brzegi sprawiały wrażenie rozmytych. Mimo to mechanicznie przefiltrowany głos brzmiał całkiem wyraźnie.

-Tak?

- Boba Fett? To ja, Durga, lord klanu Besadii - odezwał się Hutt. - Przesyłam pozdrowienia.

- Witaj, Durgo. - W obojętnym tonie głosu łowcy nagród nie wyczuwało się żadnych emocji... żadnego zainteresowania, zdumienia czy ożywienia. Niczego. - Jestem bardzo daleko. O co chodzi?

- Chciałbym, żebyś przyjął zlecenie o najwyższym priorytecie - powiedział Durga. - Sytuacja jest bardzo delikatna, może nawet wybuchowa. Właśnie z tego powodu zwracam się do ciebie. Dobrze wiem, że wykonasz wszystko dokładnie według planu. Tym razem nie może być żadnych pomyłek ani błędów. Potrzebuję najlepszego fachowca.

Boba Fett lekko przekrzywił głowę.

- Jesteś gotów zapłacić dodatkowo za priorytetowe zlecenie?

- zapytał. - Jeżeli odłożę na bok wykonywanie wszystkich innych zleceń i skupię całą uwagę na twoim, muszę mieć pewność, że nie poniosę żadnych strat finansowych.

- Tak, tak. Jestem gotów - odparł pośpiesznie lord Hurtów. -Zlecenie dotyczy arcykapłana Ilezji, niejakiego Teroenzy. To istota rasy flanda Til. Zapłacę za jego głowę dwieście tysięcy kredytów.

- Nie wystarczy. Trzysta tysięcy - oświadczył łowca nagród.

- Jeśli tyle mi zapłacisz, rzucę wszystko i natychmiast przybędę do Odległych Rubieży.

Durga zawahał się, ale po sekundzie czy dwóch kiwnął masywną głową.

- Bardzo dobrze. Najważniejsza jest synchronizacja - powiedział. - Chciałbym, żebyś zabił Teroenzę i przesłał mi jego róg jako dowód wykonania zlecenia. Musisz jednak poczekać, aż odleczę z planety Nal Hutta, a do wylądowania na powierzchni księżycy Nar Shaddaa pozostanie mi dokładnie pięć godzin. Powinieneś zlikwidować Teroenzę w taki sposób, żeby w ciągu następnych kilku godzin nie dowiedział się o tym żaden z kapłanów rasy flanda Til. W przeciwnym razie kapłani mogą wzniecić powstanie. Zrozumiałeś?

- Potwierdzam. Mam skontaktować się z tobą i dokonać synchronizacji. Upewnię się, że ani jedna istota rasy flanda Til nie dowie się o jego śmierci.

- Dokładnie.

Durga wyrecytował dane identyfikacyjne swojego statku, a Boba Fett upewnił go, że je odebrał.

- Chciałbym przypomnieć ci warunki, na jakich podejmuję się wykonania zadań o najwyższym priorytecie - odezwał się łowca nagród. - Skupiam całą uwagę na osiągnięciu celu, który mi wskazałeś. Dopóki nie dostarczę rogu arcykapłana Teroenzy, nie biorę innych zleceń. A nagroda wynosi trzysta tysięcy.

- Dokładnie - powtórzył Durga.

- Fett przerywa połączenie.

Rozmyty holograficzny wizerunek zakutego w zbroję łowcy nagród zamigotał i zniknął.

Durga głęboko odetchnął, po czym przełączył komunikator na lokalną częstotliwość. Wystukał kod Ziera. Jego porucznik powiadomił go, że ograniczył liczbę prawdopodobnych następców Teroenzy do trzech istot rasy flanda Til. Durga zamierzał przesłuchać wszystkie osobiście, żeby wybrać spośród nich nowego arcykapłana Ilezji.

Czekając na połączenie, pograżył się w zadumie. Wyobrażał sobie, jaką radość sprawi mu trzymanie w małych rękach zakrwawionego rogu Teroenzy. Może nawet każe go oprawić i powiesi na ścianie w swoim gabinecie...

W ciągu następnych dwóch dni Bria Tharen i Han Solo odwiedzili wiele miejsc na księżycu Nar Shaddaa. Namawiali przemytników, żeby zgodzili się pełnić obowiązki przewodników rebelianckich pilotów, zaś korsarzy - aby wsparli atak na Ilezję. Podkreślali, jak łatwo mogą się tam wzbogacić i jaką fortunę zdobędą po sprzedaniu zmagazynowanej przez klan Besadii przemytników.

Oboje starali się zachowywać, jakby ich współpraca nie wykraczała poza ramy „zwyczajnego interesu”. Bria wyczuwała jednak, że udawanie przychodzi Hanowi z coraz większym trudem. Ona także czuła się coraz bardziej nieswojo.

Han opowiedział jej, co robił w ciągu tych dziesięciu lat. Bria opisała, w jaki sposób trafiła do ruchu oporu. Odkąd zostawiła go na Coruscant, odwiedziła wiele innych światów. Latając z planety na planetę, usiłowała pokonać głód Uniesienia.

- Prawdę mówiąc, dwukrotnie kupowałam bilet i stawałam w kolejkach do lecących na Ilezję wahadłowców - przyznała. - I za każdym razem, kiedy miałam wejść na pokład, uświadamiałam sobie, że nie mogę. Wychodziłam z kolejki, opuszczałam kompoport... i mdlałam.

W końcu, kiedy wróciła na Korelię, poznała grupę osób, które pomogły jej zwyciężyć uzależnienie, a nawet wytłumaczyły, dlaczego czuje się taka samotna, zrezygnowana i zawiedziona.

- Kilka miesięcy zagłębiałam w głąb własnej duszy - powiedziała. - Musiałam się dowiedzieć, dlaczego chciałam wyrządzić sobie krzywdę. Po długim czasie uświadomiłam sobie, że chociaż moja matka nienawidziła mnie, ponieważ nie poszłam drogą, którą dla mnie wybrała, wcale nie musiałam odczuwać do siebie wstrętu. Niepotrzebnie robiłam sobie wyrzuty sumienia - w nadziei, że może to ją jakoś udobrucha.

Han, który pamiętał matkę Brii, spojrział na kobietę ze współczuciem.

- Ja także czułem się oszukany przez życie. Nigdy nie dowiedziałem się, kim byli moi rodzice - odparł. - Czułem się tak... dopóki nie poznałem twojej matki. Czasami w życiu spotykają cię gorsze rzeczy, Brii, niż brak rodziny.

Korelianka się roześmiała... krótko, jakby z przymusem.

- Masz rację, Hanie - powiedziała.

Jej propozycją zainteresowało się wielu przemytników i korsarzy. Prawie wszyscy zgodzili się uczestniczyć w wyprawie. Nabrali zaufania, kiedy się dowiedzieli, że całe przedsięwzięcie finansuje Hutt Jabba. Lord klanu Desilijic także zachęcał do udziału wszystkich pilotów, którzy transportowali jego przyprawę. Wielu kapitanów frachtowców, pracujących dla niego na stałe albo dorywczo, zgodziło się zostać przewodnikami pilotów rebelianckich statków.

Tymczasem młody Sojusz Rebeliantów gromadził w przestworzach wciąż nowe jednostki. Ich kapitanowie i załogi byli informowani o szczegółach akcji, a także przechodzili niezbędne przeszkolenie. Kiedy Han i Bria uznali, że zwerbowali już dość przemytników i pilotów - tak, by na każdą grupę szturmowych wahadłowców ruchu oporu przypadał przynajmniej jeden - polecili „Sokołem Millenium” w głąb przestworzy na spotkanie z kapitanami rebelianckich statków. Miejsce zostało wybrane bardzo starannie... z daleka od uczęszczanych szlaków handlowych, ale zarazem tak blisko Ilezji, by można ją było osiągnąć jednym krótkim skokiem przez nadprzestrzeń.

Bria nie ukrywała, że jest zachwycona „Sokołem”, a zwłaszcza jego szybkością, zwrotnością i uzbrojeniem. Oprawdając ją po pomieszczeniach frachtowca, Han z dumą pokazywał wszystkie zmiany, modyfikacje i usprawnienia. Pragnąc jeszcze lepiej przygotować statek do tej akcji, w końcu zdołał namówić Shuga i Chewiego, żeby pomogli mu zainstalować jedno działko w spodniej części kadłuba. Od dawna pragnął je tam zamontować, a ponieważ frachtowiec miał uczestniczyć w ataku na naziemne cele, nowa broń mogła bardzo się przydać.

Kiedy „Sokół” wleciał do hangaru „Zemsty” i osiadł na płycie lądowiska, Bria uśmiechnęła się do Hana.

- Pokazałeś mi swój statek - rzekła. - Teraz ja oprowadzę cię po swoim.

Han także się roześmiał. Oboje nie czuli się tak beztrzesko od dnia w którym znów się spotkali.

- Wspaniały okręt - przyznał, podziwiając szlachetne, opływowe kształty korwety klasy Maruder, wyraźnie widoczne na tle usianych punkcikami gwiazd przestworzy.

Wylądowali i zeszli po rampie. Czekał na nich sam kapitan „Zemsty”, Tedris Bjalin. Han popatrzył na mężczyznę z prawdziwym zdumieniem.

- Tedris! - wykrzyknął, nie odrywając spojrzenia od wysokiego, łysiejącego wojskowego, odzianego w mundur Rebeliantów. - Skąd, na galaktykę, się tu wzięłeś?

Bria spojrzała najpierw na jednego, a potem na drugiego.

- Znacie się? - zapytała.

- Oczywiście - odparł Solo, energicznie potrząsając ręką mężczyzny i klepiąc go po plecach. - Tedris i ja ukończyliśmy studia w tej samej grupie w Akademii.

- To długa historia - odezwał się Bjalin. - Po tym, co powiedziałaś mi na pokładzie „Przeznaczenia”, zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście Marynarka staje się nie mniej skorumpowana niż Imperium. A później... - Przez szczupłą twarz mężczyzny przebiegł dziwny skurcz. - Hanie, pochodzę z Tyshapahlu. Pamiętasz?

Han nie pamiętał. Dłuższy czas wpatrywał się w twarz dobrego przyjaciela, aż wreszcie zrozumiał.

- Och... Tedrisie... - powiedział. - Strasznie mi przykro. Czy twoja rodzina...

Znał kilkoro jego krewnych. Spotkał się z nimi w czasie ceremonii wręczania dyplomów.

- Wszyscy zginęli podczas tamtej masakry - oznajmił ponuro mężczyzna. - Nie mogłem później znaleźć sobie miejsca na planecie. Wiedziałem, że muszę walczyć... najlepiej jak umiem.

Solo kiwnął głową.

Bria oprowadziła Hana po okręcie. Dopiero wtedy ujrzał inną jej twarz... oblicze pani komandor ruchu oporu. Han, były wojskowy, zachwycał się sprawnością i zdyscyplinowaniem podwładnych. Żołnierze z Czerwonej Ręki szanowali i uwielbiali swoją przywódczynię. Wielu spośród nich było kiedyś niewolnikami. Domyślał się, że oddadzą życie, byle tylko uwolnić towarzyszy niedoli.

Później Bria przedstawiła Hana kilku innym przywódcom Rebeliantów. Wszyscy wzięli udział w pięciu czy sześciu naradach przed planowaną akcją. Ustalono, że Bothanie zatroszczą się o bezpieczeństwo. Podziękowano Sullustanom za przysłanie dziesięciu okrętów i stu żołnierzy. W ciągu tych wszystkich lat, odkąd Han i Bria opuścili Ilezję, mieszkańcy Sullusty stracili na tej planecie wielu obywateli.

Wiele okrętów wysłali przywódcy korelińskiego ruchu oporu, kilka - wicekról Alderaanu. Żołnierze przybywający na pokładach tych ostatnich mieli pełnić jedynie funkcje pomocnicze; służyć w charakterze sanitariuszy, pilotów czy łącznościowców. Kilka okrętów przysłał również ruch oporu z Chandrili.

- Z trudem udało mi się przekonać Sojusz, że ta propozycja ma szansę powodzenia - zwierzyła się kiedyś Bria Hanowi. - Jednak dopiero teraz widzę całą brutalną prawdę: moi żołnierze nie mają doświadczenia w walce. Na szczęście, przekonałam dowództwo,

że atak na Ilezję może to zmienić. Jeżeli zamierzamy wystąpić zbrojnie przeciwko oddziałom Imperatora, nasi ludzie muszą nauczyć się walczyć.

Do udziału w ataku zobowiązano kapitanów wszystkich statków z Odległych Rubieży. Przyglądając się ciągle rosnącej w siłę flocie, Han przyznał, że Rebelianci mają szansę. W końcu zajął się udzielaniem rad i wskazówek pilotom rebelianckich szturmowych wahadłowców, które miały przedzierać się przez ilezjańską atmosferę.

Podczas pierwszego takiego spotkania natknął się na jeszcze jednego przyjaciela z dawnych czasów.

- Jalus! - wykrzyknął na widok wchodzącego do sali odpraw małego Sullustanina o obwisłych łańdżach policzkowych. - A co ty tu robisz, na wszystkie czarne dziury?

Jalus Nebl wskazał swój obszarpany i wielokrotnie łatany rebeliancki mundur.

- Jak ci się podoba? - zapiszczał. - „Ilezjański Sen” jest teraz „Snem Wolności”. Od kilku lat pozostaję w służbie Rebelii.

Han przedstawił Sullustaninowi Brie. Korelianka mogła w końcu podziękować odważnemu pilotowi, który uwolnił ich z pokładu „Kajdan Heloty”. Wszyscy troje zaczęli wspominać dawne przygody, a zwłaszcza śmiałą ucieczkę z planety rządzonej przez handlarzy niewolników. Jalus Nebl i Han nie mogli wyjść z podziwu, kiedy się dowiedzieli, że Czerwonej Ręce udało się opanować „Kajdany Heloty” - obecnie służące Rebeliantom jako „Emancypator”.

Wyremontowany „Emancypator” również brał udział w tej wyprawie. Miał transportować kilka rebelianckich wahadłowców szturmowych, a także kierowany przez innego przywódcę ruchu oporu rezerwowy oddział wojska.

Przyglądając się spotkaniom Hana z dowódcami oddziałów Rebeliantów, Bria uświadomiła sobie, że nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Wyglądało na to, że i Han cieszy się z okazji powrotu do surowego, żołnierskiego trybu życia. Jadał posiłki w okrętowej mesie i często żartował z żołnierzami albo prowadził z nimi długie rozmowy. Wszyscy cenili sobie jego wiedzę i doświadczenie - a kiedy dowiedzieli się, że był imperialnym oficerem, nabrali jeszcze większego szacunku... zwłaszcza gdy Tedris Bjalin opowiedział im o niektórych zwariowanych przygodach słynnego Spryciarza.

Korelianka przyłapała się na snuciu marzeń, aby Han zrozumiał, że jego miejsce jest po stronie Rebeliantów... i u jej boku. Ilekroć przebywali razem, nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że po wielu latach wróciła do domu. Mimo to starała się udawać, że łączą ich jedynie interesy.

I cały czas zastanawiała się, co właściwie Han o niej myśli.

Pod koniec drugiego dnia, wypełnionego oczekiwaniem w pustce przestworzy, aż zbiorą się wszystkie okręty rebelianckiej floty, Bria otrzymała wiadomość, że powinna spotkać się z potencjalnymi sojusznikami ruchu oporu planety Ord Mantel. Han zaproponował, że zabierze ją tam „Sokołem”. Chciał się pochwalić szybkością swego statku. Jednak, kiedy pierwszy raz spróbował dokonać skoku w nadprzestrzeń, kapryśny „Sokół” ani myślał go usłuchać. Niestety, nie pomogły dwa kopniaki wymierzone szafie sterowniczej. Han musiał sięgnąć po hydroklucz i poświęcić kilkanaście minut na naprawę. Dopiero wtedy udało mu się zmusić statek do współpracy.

Kiedy w końcu znaleźli się w nadprzestrzeni, Bria usiadła na fotelu drugiego pilota. Podziwiając zimną krew i opanowanie Hana, przyglądała się, jak pilotuje frachtowiec.

- To wspaniały statek, Hanie - odezwała się po chwili. - Wiesz, widziałam, jak go wygrywałeś.

Zdumiony Korelianiec odwrócił ku niej głowę.

- Co takiego? - zapytał. - Byłaś tam?

Bria wyjaśniła mu, co robiła na Bepinie w trakcie trwania wielkiego turnieju sabaka.

- Trzymałam za ciebie kciuki - oznajmiła. - A kiedy wygrałeś, chciałam...

Przypomniała sobie, co wówczas chciała, i umilkła zarumieniona.

- Co chciałaś? - przynaglił Han, w napięciu spoglądając w jej oczy.

- Och... żałowałam, że nie mogę na chwilę wypaść z roli i pogratulować ci zwycięstwa - dokończyła. - A przy okazji - co zrobiłeś tej Barabelce, że była na ciebie taka wściekła?

Han popatrzył na nią. Skrzywił się, a potem wybuchnął gromkim śmiechem.

- Poznałaś Shallamar? - zapytał.

- Nie zostałyśmy sobie przedstawione - odparła poważnie Korelianka. - Tak się jednak złożyło, że stałam obok niej, gdy odpadła z turnieju. Obie przyglądałyśmy się końcowej fazie walki. Muszę ci powiedzieć, że to zwariowana gadzina.

Han zachichotał. Opowiedział, jak on i Shallamar wpadli na siebie jakieś pięć lat wcześniej na Devaronie.

- Oświadczyła, że odgryzie mi głowę - zakończył. - I spełniłaby groźbę, gdyby nie Chewie.

- Na Devaronie? - powtórzyła kobieta. - Ach, tak. Pamiętam...

Umilkła, kiedy pochwyciła spojrzenie Hana. Przygryzła wargę, jakby nie mogła znieść ognia płonącego w jego oczach.

- A zatem, to byłaś ty... - odezwał się po chwili Han. - Tamtego dnia na Ilezji, podczas odrodzenia. A już wydawało mi się, że mam halucynacje. Później przez wiele miesięcy nie zaglądałem do kieliszka.

Bria kiwnęła głową.

- Tak, to byłam ja, Hanie - przyznała cicho. - Nie mogłam dopuścić, żebyś mnie zdemaskował.

- Jaki rozkaz wykonywałaś?

Tym razem wytrzymała siłę jego spojrzenia.

- Miałam zabić Veratila... istotę rasy flanda Til. Przez ciebie mi się nie udało. O ile mi wiadomo, Veratil nadal żyje. Najprawdopodobniej jednak jego dni są policzone.

Han spoglądał na nią. Dłuższy czas się nie odzywał.

- Dla ruchu oporu poważysz się na wszystko - zauważył. - Prawda?

Bria czuła się nieswojo. Nie podobało się jego spojrzenie.

- Przestań tak się we mnie wpatrywać, Hanie! - krzyknęła w końcu. - To dranie. Zasługują, żeby ktoś ich zabił.

Han powoli, jakby z namysłem, kiwnął głową.

- Ta-a, chyba tak - powiedział. - Ale to... dość przerażające. Nie uważasz?

Bria obdarzyła go wymuszonym uśmiechem.

- Czasami sama siebie przerażam - przyznała cicho.

Kiedy Korelianka przyleciała na planetę Ord Mantel, spotkała się z przywódcami ruchu oporu. Wyjaśniła im, jakie są cele wyprawy i dlaczego tak bardzo jej zależy, aby zakończyła się powodzeniem. Ucieszyła się, a nawet była zachwycona, kiedy przedstawiciele miejscowego podziemia obiecali, że natychmiast wyślą trzy okręty i stu żołnierzy, a także personel pomocniczy i medyczny.

W końcu Han i Bria zaczęli przygotowywać się do odlotu. Właśnie chcieli wejść po rampie na pokład „Sokoła”, aby polecieć w głąb przestworzy na spotkanie z okrętami rebelianckiej floty, kiedy do Korelianki podszedł jeden z młodszych oficerów. Wręczył jej arkusik flimsiplastu, a potem bez słowa zasalutował i odszedł. Bria chwilę zapoznawała się z treścią notatki. Później uniosła głowę i spojrzała na Hana. Z wysiłkiem się uśmiechnęła.

- Dowództwo otrzymało informację z Togorii - oznajmiła. - Niewielka grupa togoriańskich Rebeliantów także chciałaby wziąć udział w naszej wyprawie. Prosimy, żebyśmy ich zabrali, gdy będziemy wracać.

Han także się uśmiechnął... powoli, jakby zaczynał domyślać się, o co chodzi.

- Muuurgh i Mrrov? - zapytał.

- Nie wiadomo. Ale pewnie i oni należą do tej grupy - odparła kobieta. - Co ty na to?

- Jasne - odparł Korelianin. Nie odwzajemnił jednak jej spojrzenia. - To urocza planeta. Nie mam nic przeciwko temu, żeby znów ją odwiedzić.

Bria także odwróciła głowę i spojrzała w bok. To właśnie tam, na togoriańskiej plaży, ona i Han pierwszy raz stali się sobie tak bliscy. To rzeczywiście urocza planeta - pomyślała. - A przy tym pełna wspomnień... naszych wspólnych wspomnień.

W drodze na Togorię niewiele ze sobą rozmawiali. Bria była tak zdenerwowana, że jej żołądek skręcał się z bólu. Zastanawiała się, co może czuć w tej chwili Han...

Han osadził „Sokoła” na lądowisku graniczącym z Caross, największym miastem na Togorii. Upewnił się, że wszystkie urządzenia funkcjonują prawidłowo. Uzupełnił zapis w dzienniku pokładowym i opuścił rampę. Gdy wraz z Brią stanęli w otworze wjazdu, ujrzeli zdążającą ku nim grupę Togorian. Hanowi wydało się, że poznaje jednego z nich: wysokiego, porośniętego czarną sierścią samca o białych bokobrodach i torsie. Towarzyszyła mu niższa samica, której sierść miała rudo-białe zabarwienie.

Bria wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu.

- Muuurgh i Mrrov! - wykrzyknęła.

Han i Bria zbiegli po rampie, ale zaledwie zdążyli stanąć na płycie lądowiska, zostali pochwyceni w objęcia i uściskani z taką siłą, że ich stopy oderwały się od powierzchni gruntu.

- Muuurgh! - zawołał Solo. Tak się ucieszył z widoku dobrego przyjaciela, że przebijając nogami w powietrzu, zaczął okładać pięściami tors podobnej do wielkiego kota istoty. - Jak ci się powodzi, kolego?

- Witaj... Hanie. - Głos Muuurgha załamywał się ze wzruszenia. Mieszkańcy tej planety, a szczególnie Togorianie płci męskiej, bardzo łatwo poddawali się emocjom. - Hanie Solo... Muuurgh bardzo szczęśliwy widzieć znów Han Solo. Zbyt długo go nie widzieć!

Ty zbyt długo zaniedbywać swój basie - pomyślał rozbawiony Korelianin. Co prawda, Muuurgh nigdy nie mówił płynnie tym językiem, ale po tylu latach kaleczył go bardziej niż kiedykolwiek.

- Hej, Muuurghu! Mrrov! - wykrzyknął. - Ja także się cieszę, że znów was widzę!

Kiedy ceremonia powitalna dobiegła końca, Mrrov wyjaśniła, że grupa Togorian, którzy w ciągu tych lat mieli nieszczęście trafić na Ilezję i szczęście z niej powrócić, także pragnęła wziąć udział w wyprawie.

- Sześciu naszych pobratymiec, Hanie - rzekła Togorianka. - Niektórzy to były niewolniki, a inni tylko cudem uniknąć ich losu. Chcieć wam pomóc, żeby już nigdy nie trafić na Ilezja żaden Togorianin.

Han kiwnął głową.

- No cóż, możemy startować, kiedy tylko zechcecie - odparł.

Muuurgh pokręcił głową.

- Nie wcześniej niż jutro, Hanie - powiedział. - Mosgoth Sarraha zaatakowany w locie przez ogromnego liphona. Chyba złamane skrzydło. Sarrah wypożyczyć mosgotha, przysłać wiadomość, przyleci jutro. Dzisiaj Han i Bria nasi honorowi goście, tak?

Han spojrzał na Brie i wzruszył ramionami.

- Uhm, jasne - odrzekł niepewnie.

Kobieta nie odwzajemniła jego spojrzenia.

- Doskonale... - odparła, ale chyba bez większego przekonania.

Popołudnie spędzili w towarzystwie togoriańskich przyjaciół. Opowiedzieli im, co robili w ciągu tych dziesięciu lat, kiedy się nie widzieli. Muuurgh" i Mrrov sprawiali wrażenie szczęśliwej pary... mimo iż - zgodnie z uświęconym tradycją togoriańskim obyczajem - spędzali w swoim towarzystwie jedynie miesiąc w roku. Dochowali się dwójki kociąt - płci żeńskiej - i, nie ukrywając dumy, przedstawili córki swoim przyjaciołom. Młodsza miała zaledwie rok czy dwa i była naprawdę śliczna. Bawiąc się z obiema w pięknych ogrodach, Han i Bria spędzili w ich towarzystwie kilka długich godzin.

Wieczorem natomiast zasiedli do kolacji z ich rodzicami oraz kilkoma innymi Togorianami. Kosztując wykwinnych potraw i szącąc najlepsze wina, przysłuchiwali się, jak togoriańscy gawędziarze opowiadają o ich ucieczce z Ilezji. Han wprost nie wierzył własnym uszom. W ciągu ostatniego dziesięciolecia jego wyczyny tak długo i skutecznie „upiększono”, aż wyrósł w opowiadaniach na prawdziwego bohatera. Nie wiedział, czy powinien się śmiać, czy protestować.

Z umiarem kosztował mocnych togoriańskich trunków. Zauważył, że Bria prosi tylko o wodę.

- Nie mogę pić alkoholu, Hanie - odparła, kiedy ją o to zagadnął. - Obawiam się, że za bardzo bym go polubiła. Muszę zachować ostrożność... Nałogowcy łatwo się uzależniają od kolejnych używek.

Han podziwiał ją za to i nie omieszkał jej tego powiedzieć.

Kiedy przyjęcie dobiegło końca, Muuurgh i Mrrov zaprowadzili ludzi do najwykwintniejszego apartamentu gościnnego i wyszli, życząc dobrej nocy.

Han i Bria zostali sami. Stojąc w dwóch przeciwległych krańcach wielkiego salonu, dłuższy czas milczeli, wpatrzni w siebie. W końcu Han zerknął na drzwi wiodące do jedynej sypialni.

- Uhm... - zaczął niepewnie. - Muuurgh i Mrrov chyba sądzą, że nadal jesteśmy parą.

- Chyba tak - przyznała Bria. Nie wytrzymała jednak siły jego spojrzenia.

- No cóż, domyślam się, że będę spał w salonie na dywanie -oznajmił Solo.

- Hej - sprzeciwiła się Bria. - Nawykłam do niewygód żołnierskiego życia. Nieraz spałam w różnych dołach. Czasami nawet bez koca. Nie musisz traktować mnie jak damy, Hanie. - Uśmiechnęła się i wyjęła monetę decykredytową. - Wiesz, co? Rzucimy ją i zobaczymy, które z nas zajmie łóżko.

Han wyszczerzył zęby w najbardziej czarującym ze wszystkich uśmiechów.

- Zgoda, skarbie - powiedział. - Niech rozstrzygnie los.

Bria spojrzała na niego. Tym razem nie odwróciła głowy.

- O rety - westchnęła w końcu. Jej głos brzmiał, jakby przebiegła cztery albo pięć kilometrów.

Han także poczuł, że zaczyna mu brakować tchu w piersi.

- O rety... co się stało? - zapytał, postępując krok w stronę kobiety.

Bria uśmiechnęła się do niego... niepewnie, jakby z przymusem.

- Odkąd dorosłeś, galaktyka przestała być dla kobiet bezpiecznym miejscem - odrzekła. - Zrozumiałeś, czego może dokonać twój łobuzerski uśmiech... mam rację?

Prawdę mówiąc, Han wiedział coś niecoś na ten temat... podobnie jak kilka kobiet, których imiona mógł wymienić. Postąpił jeszcze krok czy dwa w stronę Brie i, autentycznie rozbawiony, cicho zachichotał.

- Hej... - powiedział. - Czasami jest skuteczniejszy niż Master.

Bria wyglądała na tak zdenerwowaną, że Han zastanawiał się, czy nie czmychnie do sypialni. Nie poruszyła się jednak, kiedy postąpił jeszcze krok ku niej. Popatrzył na jej rękę. Trzęsła się lekko.

- Nie rzucisz tej monety? - zapytał cicho.

Bria kiwnęła głową. Głęboko odetchnęła i opanowała drżenie dłoni.

- Jasne - odrzekła. - Co wybierasz?

- Jesteś pewna, że to rzetelna moneta? - zapytał Han, postępując jeszcze krok bliżej.

- Hej! - zaprotestowała. - To prawdziwy decykredyt!

Udając, że jest oburzona, wyciągnęła rękę i pokazała krawiec. Obróciła go w palcach, aby udowodnić, że nie zamierza oszukiwać. Na awersie widniała głowa Imperatora, a na rewersie symbol Imperium.

Han zrobił jeszcze krok w kierunku Brie. Gdyby wyciągnął rękę, mógłby teraz dotknąć jej dłoni.

- W porządku - oznajmił. - Wybieram... głowę - dodał cicho.

Bria z wysiłkiem przełknęła ślinę. Podrzuciła monetę w powietrze, ale ponieważ jej ręce znów zaczęły drżeć, nawet nie usiłowała jej pochwycić. Han złapał krawiec bez trudu. Nie sprawdzając, co wypadło, wyciągnął dłoń ku Brie i oznajmił półgłosem:

- Jeżeli głowa, śpijmy na łóżku... Jeżeli symbol, na dywanie.

- Ale... umawialiśmy się... - zająknęła się Korelianka. - Umilkła i zadrżała chyba bardziej niż poprzednio. - Umawialiśmy się, że łączy nas... tylko interes.

Han odrzucił monetę za siebie, a potem skoczył i porwał Brie w ramiona. Pocałował ją tak zapalczywie, jakby chciał wreszcie uwolnić wszystkie uczucia, które tłamsił w sercu w ciągu ostatnich kilku dni... i przez długie lata. Całował jej usta, czoło, oczy, włosy, uszy... i znów usta. W końcu, kiedy unióś głowę, żeby nabrać powietrza, szepnął:

- Posłuchaj... niech diabli porwą naszą umowę. Co ty na to?

- Zgadza się - szepnęła Bria. Teraz ona zaczęła go całować. Zarzuciła mu rękę na szyję i przytuliła się do niego najmocniej jak umiała.

Pod ścianą, na plecionej macie, leżała zapomniana moneta decykredytową. Połyskiwała niewyraźnie w ciemnościach nadchodzącej nocy...

Następnego ranka Han otworzył oczy i natychmiast się uśmiechnął. Szybko wstał i wyszedł na mały balkon, z którego rozciągał się widok na piękny togoriański ogród. Zaciągnął się głęboko świeżym, rześkim powietrzem i wsłuchał w świergot małych latających jaszczurek. Przypominał sobie, że przed wielu laty - tamtej nocy, którą spędził z Brią na togoriańskiej plaży -jedna taka jaszczurka wylądowała na jej palcu.

Żałował, że nie zdążył teraz wybrać się na tę plażę...

Hej - pomyślał - kiedy ta awantura z Ileją wreszcie się skończy, będziemy mieli czasu co niemiara... i tyle kredytów, ile tylko zechcemy. Wrócimy na tę plażę. A potem może polecimy do Sektora Wspólnego i zajmiemy się robieniem interesów. Mając „Sokoła”, mogę przecież polecieć, dokąd zechcę, i robić to, na co przyjdzie mi ochota...

Zastanawiał się, czy Bria zgodzi się porzucić dla niego ruch oporu. Po tym, co stało się w nocy, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Rozumieli się tak dobrze, że chyba nie istniał żaden powód, by musieli przebywać z daleka od siebie...

Usłyszał dobiegający zza pleców odgłos cichych kroków, ale nie odwrócił głowy. Podziwiając ogród, upajał się oszałamiającą wonią togoriańskich drzewokwiatów. Nagle objęły go silne ramiona. Na plecach poczuł dotyk włosów Brie.

- Hej... - odezwała się cicho kobieta. - Dzień dobry.

- Chyba nie mógłby być lepszy - odparł równie cicho. - Najlepszy od bardzo, bardzo dawna. Od dziesięciu lat, jak mi się wydaje.

- Czy powiedziałaś ci tej nocy, że cię kocham? - mruknęła Bria, całując go w kark. - Twoim włosom przydałaby się wizyta u fryzjera...

- Kilkakrotnie - oznajmił Solo. - Mimo to, jeżeli chcesz, możesz to jeszcze raz powtórzyć.

- Kocham cię...
- Zabrzmiało całkiem nieźle - przyznał Han. - Niemniej przydałoby ci się trochę więcej wprawy. Może spróbuj jeszcze raz...
- Bria się roześmiała.
- Zaczyna ci się przewracać w głowie, Hanie...
- Korelianin zachichotał... a potem odwrócił się i przytulił kobietę.
- Wiesz, na pokładzie „Sokoła” poleci z nami tylu roślących Togorian, że - kto wie - może całą drogę powrotną będziesz musiała przesiadzić na moich kolanach?
- Jakoś to zniosę - odparła Bria z udawaną powagą.

Jak na Togorianina Sarrah był wyjątkowo niski. Miał zaledwie dwa metry wzrostu. Mimo to sprawiał wrażenie bardzo sprawnego. Mięśnie pod jego lśniąca czarna sierścią* przeżyły się niczym naoliwione postronki.

Wracając do miejsca, w którym gromadziły się okręty rebelianckiej floty, Han postanowił wpaść na księżyc Nar Shaddaa, żeby zabrać Jarika i Chewiego. Zastanawiał się, czy Wookie i Muuurgh się polubią. Kiedy przedstawił rosnącego Chewiego jeszcze wyższemu Togorianinowi, ujrzał rzadki widok: Chewiego zadzierającego głowę i spoglądającego w górę na wyższą od siebie istotę. Muuurgh także popatrzył na Wookiego, jakby go oceniał, a potem powiedział:

- Pozdrowienia dla przyjaciela Hana Solo. Powiedzieć mi, że ty jego kosmaty brat. Chewie cicho zaryczał, a Han przetłumaczył jego słowa:
- Chewbacca także pozdrawia Togorianina. Jest zachwycony, że może poznać kosmatego brata z przeszłości, słynnego myśliwego Muuurgha.

Obie istoty mierzyły się chwilę czy dwie poważnymi spojrzeniami. Później spojrzały na Hana. Korelianin popatrzył najpierw na Chewiego, a chwilę potem na Muuurgha. Chyba się polubili.

- Wiecie, co, chłopaki? - zapytał. - Macie wiele wspólnego.
 - Rzeczywiście - zaryczał Wookie. - Mamy ciebie.
 - Każdy przyjaciel Hana Solo jest przyjacielem Muuurgha - oznajmił Togorianin.
- Kiedy Han usłyszał melodyjny kurant, podszedł do drzwi wejściowych. Otworzył i zobaczył Landa. Młody hazardzista chyba pierwszy raz w życiu nie był ubrany zgodnie z wymogami najnowszej mody. Nosił zniszczony polowy kombinezon i ciężkie buty. Był uzbrojony w blaster i blasterowy karabin.

- Hej! - powitał go zdumiony Solo. - Wybierasz się na jakąś wojnę?
- Właśnie dowiedziałem się o twojej wycieczce na Ilezję - odezwał się Calrissian. - Zabierz mnie ze sobą. Mógłbym polecić „Sokołem”.

Han popatrzył na przyjaciela z jeszcze większym zdumieniem.

- Kolego, to nie gra w sabaka - powiedział. - Nie spodziewamy się, by gamorreanscy strażnicy na Ilezji stawili silny opór, ale z pewnością dojdzie do niejednej strzelaniny.

Ciemnoskóry mężczyzna kiwnął głową.

- Jestem całkiem niezłym strzelcem, Hanie - powiedział. - Zaoszczędziłem tyle kredytów, że prawie stać mnie na nowy statek... śliczny mały jacht, na który od jakie-

goś czasu mam oko. Liczę na to, że kiedy w końcu zdobędziemy te magazyny z przyprawą, trochę mi odpalisz... Tak czy owak, zamierzam wystawić na szwank swoją ceną skórę. Jeżeli zdobędę chociaż dziesięć tysięcy kredytów, ta mała ślicznotka będzie moja...

Han wzruszył ramionami.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparł. - Witaj na pokładzie.

Podczas drogi powrotnej do punktu zbornego - która nie trwała, na szczęście, zbyt długo - w pomieszczeniach „Sokoła” było naprawdę tłoczno.

Kiedy frachtowiec wyskoczył z nadprzestrzeni, okazało się, że na miejsce zbiórki zdołały dotrzeć niemal wszystkie okręty Rebeliantów, a także większość statków przemytników. Bria i pozostali dowódcy ruchu oporu zwołali kilka odpraw, aby każdy uczestnik akcji dowiedział się, jaką rolę odgrywa w planowanym ataku. Każdej grupie szturmowych wahadłowców miały towarzyszyć co najmniej trzy albo cztery statki przemytników. Ich piloci mieli wskazywać drogę przez warstwy atmosfery. Ponieważ na Ilezji znajdowało się dziewięć kolonii niewolników, Rebelianci utworzyli tyle samo oddziałów szturmowych. Na czele każdego stanął dowódca ruchu oporu dysponujący, podobnie jak Bria, dużym doświadczeniem.

Korelianka podjęła się wykonania najtrudniejszego zadania, jakim było opanowanie kolonii pierwszej. To właśnie tam mieściły się największe magazyny przyprawy. To tam harowało najwięcej pielgrzymów i tam spodziewano się ze strony obrońców najsilniejszego oporu. Bria nie wątpiła jednak ani przez chwilę, że jej Czerwona Ręka wykona powierzone zadanie.

Zwłaszcza że u jej boku miał lecieć Han Solo. Korelianin zdążył się zaprzyjaźnić z Jacem Paolem, Dainem Hyksem i pozostałymi oficerami. Zastanawiał się, czy podwładni Bria uświadamiają sobie, że jego i Koreliankę łączy teraz bardzo silne uczucie.

Lada chwila miało rozpocząć się mordowanie ilezjańskich kapłanów, a Rebelianci mieli przystąpić do głównego ataku następnego dnia rano (rzecz jasna, zgodnie ze standardowym czasem pokładowym, który nie miał nic wspólnego z porami dnia i nocy na Ilezji). To właśnie o tej porze pielgrzymi odczuwali najsilniejszy głód Uniesienia, a zatem powinni wysłuchać rozkazów kogokolwiek, kto obieca im, że ją dostarczy...

W pewnej chwili, kiedy Han i Bria siedzieli w mesie „Zemsty” i jedli kolację, Korelianin zerknął na ekran monitora śledzącego sytuację w sąsiedztwie korwety. Na ekranie widać było mnóstwo statków. Nagle pojawił się jeszcze jeden... którego kształt wydał się Hanowi znajomy. Znał go z czasów dzieciństwa.

Przestał jeść i pospiesznie przełknął, co miał w ustach, a potem odwrócił się do Korelianki i wskazał ekran monitora.

- Brio! - wykrzyknął. - Spójrz na tego wielkiego starego Liberatora!

Kobieta odwzajemniła jego spojrzenie. Wyszczrzyła zęby w szerokim uśmiechu.

- Wydaje ci się znajomy, prawda?

Mężczyzna kiwnął głową.

- Przysiągłbym, że to stary „Farciarz”! Statek, na którym dorastałem!

Teraz Bria pokiwała głową.

- To jest „Farciarz” - powiedziała. - Chciałam zrobić ci niespodziankę. Koreliański ruch oporu kupił go przed kilku laty za cenę złomu. Wyremontowaliśmy go i przekształciliśmy w transporter wojska i nazwaliśmy „Oswobodziciel”.

Han słyszał, że po śmierci Garrisa Shrike'a stary statek został opuszczony. Spoglądając na unoszącą się w przestworzach jednostkę, poczuł, że coś ściska go za gardło. Ucieszył się, że stary transportowiec klasy Liberator jest wciąż na chodzie.

- Zamierzasz wykorzystać go do przetransportowania pielgrzymów w bezpieczne miejsce, prawda? - zapytał.

- I to wielu - zgodziła się z nim Bria. - Twój stary statek ocali życie setek niewolników.

Han kiwnął głową i dokończył jeść kolację. Nie odrywał jednak spojrzenia od wielkiego, sędziwego transportowca. Czuł, że zalewa go fala wspomnień... szczególnie o Dewlannie.

Ponieważ na pokładzie „Sokoła” znajdowało się zaledwie kilka połowych łóżek, na których można było się przespać, Han postanowił, że spędzi tę noc w kabinie Brii. Leżeli przytuleni do siebie dłuższy czas i nic nie mówili. Każde dobrze wiedziało, że następnego dnia czeka ich walka.

A podczas walki... często ginęli ludzie.

- Kiedy ten dzień dobiegnie końca - szepnął w pewnej chwili Solo - zostaniemy na zawsze razem. Nikt i nic nas nie rozłączy. Obiecujesz?

- Obiecuję - odparła szeptem Bria. - Zawsze razem. Han westchnął i rozluźnił mięśnie.

- W porządku - powiedział. - Aha.. Brio?

-Tak?

- Uważaj na siebie, kochanie.

Słyszając brzmienie jej głosu, zorientował się, że się uśmiechnęła.

- Będę uważała, Hanie - rzekła. - Ty także nie ryzykuj. Dobrze?

- Jasne.

Kilka godzin później Brie wyrwał z niespokojnego snu cichy kurant pokładowego interkomu. Korelianka natychmiast się ocknęła. Narzuciła szlafrok i przeszła na palcach do niewielkiego gabinetu. Pełniący służbę oficer łącznościowy zameldował, że właśnie otrzymała wiadomość.

- Przełącz tutaj - poleciła Bria, niecierpliwym gestem odgarniając z twarzy kosmyk włosów.

Chwilę później wpatrywała się w twarz swojego dowódcy, Pianata Torbula. Na widok oficera wyprężyła się jak struna.

- Słucham?

- Brio... chciałem tylko życzyć ci wiele szczęścia podczas walki - odezwał się Korelianiec. - A także powiedzieć...

Zawahał się i nie dokończył zdania.

- Tak? - przynagliła go kobieta. - Co chciał pan mi powiedzieć?

- Nie mogę wdawać się w szczegóły - podjął po chwili mężczyzna. - Nasz wywiad melduje jednak, że Imperium przygotowuje coś... wielkiego. Naprawdę ogromnego. Coś co mogłoby pokonać cały Sojusz Rebeliantów w jednej, najwyżej dwóch bitwach.

Wstrząśnięta Bria nie odpowiedziała od razu. Kilka chwil wpatrywała się w twarz dowódcy.

- Potężna tajna flota? - domyśliła się w końcu.

- Nie mogę ci powiedzieć - przypomniał Torbul. - Ale to coś jeszcze większego i groźniejszego.

Bria nie potrafiła wyobrazić sobie, o co chodzi dowódcy. Już dawno jednak przywykła do rozmów, w których mówiło się tylko to, co druga strona musiała wiedzieć. Kiwnęła głową.

- No dobrze - rzekła. - Co to ma wspólnego z naszą wyprawą na Ilezję?

- Jeżeli chcemy stawić temu czoło i marzyć o sukcesie, musimy rzucić do walki wszystko, co mamy - oznajmił Korelianiec. - Wszystkie możliwe siły i środki... i wszystkie kredyty, jakie uda się nam zgromadzić. Przedtem twoja wyprawa miała duże znaczenie... teraz zaś może zdecydować o istnieniu Sojuszu. Zabierz wszystko, co zdołasz, Brio. Broń, przyprawę, skarby... absolutnie wszystko.

- Proszę pana... od początku taki miałam zamiar - powiedziała Korelianka, czując, że jej serce zaczyna walić jak młot.

- Wiem - odparł Torbul. - Myślałem tylko... że powinnaś to wiedzieć. Wysyłamy na Ralltiir kilka grup funkcjonariuszy wywiadu, żeby dowiedzieli się czegoś więcej. Muszą mieć mnóstwo kredytów na łapówki, zakup sprzętu wywiadowczego i tak dalej... Sama najlepiej wiesz, na czym polega ich praca.

- Oczywiście - potwierdziła Bria. - Nie zawiodę pańskiego zaufania.

- Wiem, że nie - odrzekł mężczyzna. - Może nie powinienem był się z tobą kontaktować... I tak żyjesz w ciągłym napięciu. Uważałem jednak, że powinnaś o tym wiedzieć.

- Cieszę się, że pan mi to powiedział - oznajmiła kobieta. -I dziękuję.

Torbul zasalutował i przerwał połączenie. Bria usiadła wygodniej na obrotowym krześle. Zastanawiała się, czy powinna wrócić do łóżka, czy też może rozpocząć ten dzień wcześniej niż planowała.

Usłyszała dobiegający z sypialni głos Hana... niewyraźny, jakby mężczyzna dopiero się obudził.

- Brio? Co się stało?

- Nic, wszystko w porządku, Hanie - odpowiedziała. - Za chwilę wrócę.

Wstała z krzesła i zaczęła powoli spacerować po gabinecie. Przypomniała sobie, co powiedział jej Han, kiedy zasypiali. Będą razem... zawsze. Tak, będziemy zawsze razem - pomyślała. - Już nigdy się nie rozstaniemy. Będziemy troszczyli się o siebie podczas walki; będziemy wspólnie toczyli następne bitwy i wspólnie pokonamy Imperium. A gdybyśmy, krocząc ku temu celowi, musieli coś poświęcić... zrobimy to bez wahania.

Kiedy Han się dowie o skarbie i kredytach, z pewnością ją zrozumie. Udawał bezdusznego najemnika, ale w głębi serca wcale taki nie był. Bria nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości...

Uspokojona i ostatecznie przekonana, zawróciła i skierowała się ku drzwiom sypialni...

Kończył się dzień w ilezjańskiej kolonii piątej. Rubinowa tarcza słońca powoli opadała coraz niżej. Krwistoczerwone promienie przedzierały się przez tysiące szczelin w gęstniejących chmurach niczym ogniste strzały. Na plaży wzburzonego Morza Nadziei stało kilkuset odzianych w długie płaszcze i odwróconych plecami do morza pielgrzymów. Ich sylwetki rzucały bardzo długie cienie.

Pohtarza, główny sacredota kolonii, uniósł brzydką głowę i powiódł spojrzeniem po zgromadzonych niewolnikach. Wielki róg przesunął się powoli najpierw w prawo, a chwilę potem w lewo. Ogromne wylupiate oczy, otoczone pomarszczoną szarą skórą, świeciły w promieniach zachodzącego słońca rączym rozżarzone węgle. Sprawiały wrażenie nabiegłych, niemal tryskających posoką. Po chwili kapłan uniósł małe ręce i rozpoczął ceremonię.

- Jedność jest Wszystkim - zaintonował nosowym, burkliwym tonem, charakterystycznym dla istot rasy flanda Til.

Odpowiedział mu niezborny chór pięciu setek głosów:

- Jedność jest Wszystkim...

Dokładnie o tej samej porze w kolonii czwartej, w innym miejscu planety, minęła właśnie północ. Po ciemnym, pozbawionym blasku księżycy niebie powoli płynęły mroczne, czarne chmury. Raz po raz przesłaniały gwiazdy, dzięki czemu noc wydawała się jeszcze ciemniejsza. Nagle o mur okalający kwatery kapłanów coś cicho zachrobotało, jakby o kamienie otarł się chitynowy pancerz. Przerażone ilezjańskie robaki w popłochu rozbiegły się we wszystkie strony.

Noy Waggla - istota płci żeńskiej niewiele większa od robaka - wspięła się po gładkim permabetonie i dotarła do okna. Znieruchomiła na krótko, żeby wygryźć dziurę w metalowej siatce. Zanim weszła do środka, przykucnęła na parapecie.

Z ciemności z głębi pomieszczenia, dobiegało chrapanie i posapywanie kapłanów, których przyszła zabić. Wiedziała, że Jabba zapłaci jej bardzo dużo... tyle, że może pewnego dnia zdoła wrócić do swoich pobratymców. W niewielkim pomieszczeniu spało kilku oplatanych dziwną uprzężą ogromnych flanda Tilów. W powietrzu unosiła się dusząca woń piżma. Hyallpijka przeszła przez wygryziony otwór. Kiedy znalazła się na posadzce sypialni, ostrożnie podpełzła do najbliższej splecionej ze skórzanymi pasów uprząży i znieruchomiła na wysokości wielkiej głowy. Cofnęła się, gdy flanda Til poruszył się niespokojnie we śnie. Odprężyła się jednak, kiedy kapłan znów zachrapał. Podpełzła jeszcze trochę bliżej.

To będzie dziecinnie łatwe - pomyślała. - Łatwiejsze niż się spodziewałam. Chwycała przymocowany do pleców flakon i mackami wyciągnęła korek. Jabba osobiście upewnił się, że trucizna jest zabójcza. Wystarczyło wylać kroplę substancji zwanej srejptanem na dolną wargę sacredota, żeby w ciągu kilku sekund - cicho i bez walki -

uśmiercić nawet największego t'landę Tila. Wciągnawszy kilka tylnych odnóży, Waggla ruszyła w stronę ust kapłana.

- Wszystko jest Jednością - zaintonował Pohtarza.

- Wszystko jest Jednością - powtórzyli jak echo pielgrzymi.

Whiphid Aiaks Fwa, łowca nagród i skrytobójca, czekał niecierpliwie. Stał na korytarzu wiodącym do podziemnych łaźni na terenie kolonii siódmej. Udając pielgrzymka, spędził w niej kilka nudnych tygodni. Starał się niczym nie wyróżniać z tłumu innych niewolników... choć instynkt nieprzerwanie szeptał mu, żeby jak najszybciej stąd umykać. Miał upolować odrażających muphrida i odlecieć. Opuchnięty jednak przykazał mu surowo, aby wykonał zadanie właśnie tej nocy, a Fwa bardzo chciał otrzymać nagrodę w pełnej wysokości.

Z ciemności w dole napłynęły głosy istot rasy flanda Til. Chwilę potem Fwa usłyszał charakterystyczne szuranie ich stóp po posadzce. Skrytobójca uniósł trochę wyżej dwa małe blastery, które zdołał przemycić do baraków pielgrzymów. Oba zasobniki energii były naładowane do granic możliwości.

Whiphid napiął mięśnie i pomyślał o kredytach, które już wkrótce miały stać się jego własnością. Traktował je bardziej jak dar, a nie zapłatę za wykonaną usługę. Tu, w kolonii siódmej, chyba nikt nie przywiązywał żadnej wagi do przepisów bezpieczeństwa.

Kiedy Fwa ujrzał, że się zbliżają, wcisnął się w zagłębienie nierównej, chropowatej ściany. Jak się spodziewał, korytarzem nadchodziły ofiary - trzy dorodne samce sacredoci. Wrażliwe nozdrza łowcy wyczuwały już ich woń... fetor ciała, napływający z coraz mniejszej odległości.

Z każdą chwilą widział kapłanów coraz lepiej. Byli blisko, bardzo blisko, coraz bliżej...

Przeraźliwie zaryczał i wyskoczył z zagłębienia. Uniósł blastery jeszcze wyżej. Mierz w oczy! - przypomniał sobie, oddając pierwszą salwę.

- W służbie Wszystkiego każdy dozna Uniesienia.

- ...każdy dozna Uniesienia.

Korelianin Tuga SalPivo, pechowy włóczęga gwiazdny, który imał się w życiu chyba każdego fachu, znieruchomił na skraju ilezjańskiej dżungli. Odwrócił się i popatrzył tam, skąd przyszedł. Budził się nowy dzień, ale w panującym półmroku zabudowania kolonii ósmej wyglądały jak ciemnoszare plamy. Do wschodu słońca brakowało godziny. SalPivo uśmiechnął się do siebie i grzbietem dłoni otarł z czoła kropelki potu. Kiedy opuszczał rękę, wyczuł charakterystyczny zapach rozpuszczonego w winnym occie proszku vommu. Nie mógł doczekać się, kiedy zobaczy błysk eksplozji...

Panowała niemal idealna cisza. Ucichły piski, trzaski i szmery, jakie zazwyczaj dochodziły nocą z głębin dżungli. Zamarł nawet wiatr.

Korelianin czekał cierpliwie. Zmusił się, by nawet nie mrugać. W pewnej chwili zobaczył jaskrawo-pomarańczowy płomień, który wydobywał się z sypialni istot rasy flanda Til. Sekundę czy dwie czekał na grzmot wybuchu. To chyba nie dzieje się naprawdę - zdążył się jeszcze zdziwić.

Później przetoczył się nad nim trzask i huk tak donośny, że SalPivo omal nie upadł. Po kilku następnych chwilach usłyszał okrzyki i jęki pozostałych przy życiu mieszkańców kolonii. Dobra robota - pomyślał, krztusząc się ze śmiechu. - Zanim ugaszą ten pożar, zdążę wrócić na Poyttę...

- Poświęcamy się, żeby osiągnąć Wszystko. Służymy Jedności.

- ...służymy Jedności.

Rodianin Sniquux wciągnął powietrze w wilgotne nozdrza. Kilkakrotnie zmarszczył skórę przypominającego ryj pyska. Południe już minęło, ale padające z ukosa promienie słońca wciąż jeszcze oświetlały przestronny dziedziniec. W gorącym, suchym powietrzu unosiły się nieruchomo drobinki kurzu. Zachowując jak najdalej posuniętą ostrożność, Sniquux zamocował ostatnią nitkę pojedynczego, ale bardzo wytrzymałego włókna w taki sposób, żeby wisiała naprężona w poprzek przejścia na teren fabryki. Kolonia dziewiąta znajdowała się w stadium organizacji, ale główna hala przetwórci i baraki pielgrzymów zostały prawie ukończone, tak że można było rozpocząć pracę. W barakach mieszkało prawie trzystu niewolników, spośród których większość zajmowała się dotąd wznoszeniem budowli. Rodianin przyleciał tu z ostatnią grupą. Przydało mu się doświadczenie, jakie zdobył, pracując na wielu innych placach budów w charakterze rzemieślnika permabetoniarza.

Nadchodzili! Sniquux odsunął się od prawie niewidocznej nici, a potem przeczołgał się pod nią... starając się nie dotknąć naprężonego włókna. Kiedy dotarł na korytarz, skręcił i wszedł na pierwsze piętro. Stał na balkonie, skąd mógł obserwować wszystko, co dzieje się na dziedzińcu kolonii. Z poobiedniego spaceru wracało sześć istot rasy flanda Til: trzech samców i trzy samice. Wszyscy sześcioro skierowali się do jadalni, gdzie zazwyczaj spożywali kolację. Istotom towarzyszyła grupa gamorreńskich strażników. W promieniach słońca błyszczwały brzeszczoty ich toporów. Sniquux uśmiechnął się do własnych myśli, a potem wyjął z niewielkiej kieszeni zdalny sterownik promienika dźwięków. Zważył na dłoni mały przedmiot o idealnie gładkich ścianach.

Nie musiałem się do nich nawet zbliżać - pomyślał zachwycony. - Uwielbiam takie zadania. Jak to dobrze, że nie muszę nadstawiać mego delikatnego karku.

Obrócił tarczę sterownika na maksymalne natężenie dźwięku, zastrzygł uszami i przycisnął włącznik urządzenia.

W następnej sekundzie z przeciwnego krańca dziedzińca doleciało ponure, złowieszcze wycie. Dźwięk był tak donośny, że Sniquux aż się wzdrygnął. Mimo iż wszyscy słyszeli tylko nagranie, chyba bez trudu rozpoznali ryk straszliwego thoty - najgroźniejszego drapieznika i nieprzejednanego wroga kapłanów z ich dawno zaginionego rodzinnego świata, Varla.

Przerażone istoty rasy flanda Til wpadły w panikę i zamarły bez ruchu. Starając się zlokalizować źródło dźwięków, kilka sekund rzucały na wszystkie strony spojrzenia wybałuszonych oczu. Przełożony sacredotów, niejaki Tarrz, stanął na tylnych kończynach i obracając się w prawo i w lewo, usiłował powstrzymać pozostałych. Było jednak za późno. Ogarnięte lękiem wielkie stworzenia rozbiegły się po dziedzińcu, roztrącając gamorreńskich strażników i tratując wszystko na swej drodze. Dopiero po chwili, kiedy trochę oprzytomniały rzuciły się ku przejściom w okalającym dziedziniec murze... otworom, w których Sniquux zastawił pułapki. Ujrawszy to, Tarrz zrezygnował. Podając się panice, skoczył do najbliższego wyjścia.

Tymczasem Sniquux, który zawsze z przyjemnością patrzył na rozlew krwi, zwilżył językiem gęsto unerwione wargi. Przyglądał się, jak pojedyncze włókna rozcinają ciała kapłanów na dwie części... szybciej i równiej niż najdoskonalsze ostrza. Szczególnie spodobała mu się śmierć Tarrza. Przełożony kapłanów zdołał przebiec przez otwór w murze, ale w następnym ułamku sekundy górna połowa jego torsu potoczyła się po ziemi. Oczom Rodianina ukazały się ciemnobrązowe wnętrzności i ułożone blisko siebie organy wewnętrzne. Trysnęła posoka i w następnej sekundzie istota, brocząc ciemnoczerwoną krwią, runęła na ziemię. W okamgnieniu zginęły w ten sposób wszystkie stworzenia. Wokół ich poćwiartowanych ciał zbierały się kałuże szybko krzepnącej krwi. Na dziedzińcu zostało tylko kilku przerażonych i zdezorientowanych Gamorrean, który bezskutecznie starali się zrozumieć, co właściwie przydarzyło się ich mocodawcom.

Może dostanę awans - pomyślał Sniquux. - Jabba i tak bardzo mnie lubi... muszę tylko być wierny i bez szemrania wykonywać wszystkie rozkazy...

- Przygotujcie się na błogosławieństwo Uniesienia!

Pohtarza zbliżył się do pielgrzymów. Stojący po jego bokach kapłani uczynili to samo. Ujrawszy to, niewolnicy złamali szyki i rzucili się ku sacredotom. Wyciągając i unosząc ręce, tratowali jedni drugich i wnosili błagalne, pełne oczekiwania okrzyki. Pohtarza powiódł spojrzeniem po twarzach, na których malowała się nadzieja. Zaczął wypełniać worek szyjny, kiedy nagle coś przyciągnęło jego uwagę. W jego stronę przeciskał się jakiś człekokształtny pielgrzym. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że zamiast zwykłej niewolniczej czapki miał na głowie ciemny kaptur.

Pohtarza wpatrywał się weń jak urzeczony. Kaptur był pusty w środku. Niewolnik podszedł już blisko i kapłan mógł być tego pewien. Kiedy dziwna bezgłowa istota wystąpiła przed pierwszy szereg napierających niewolników, kaptur opadł, a spomiędzy fałd płaszcza ukazał się mały blaster. Pohtarza poczuł, że ogarnia go niejasne przecucie niebezpieczeństwa, a potem przerażenie. Cofnął się kilka kroków, i zderzył z jednym z braci. Kaptur opadł na ziemię. Chwilę potem Pohtarza spojrział w wylot lufy Mastera, który chyba unosił się w powietrzu. Kapłan rasy flanda Til nie potrafił się skupić. Usiłował zebrać myśli, ale w jego mózgu zaświtała tylko jedna: Och... To Aar'aa. To tylko Aar'aa...

W następnej sekundzie z powietrza spadła oślepiająca jasność...

Zaledwie kilka minut później w kolonii pierwszej - najstarszej i największej na Ilezji - zbliżało się południe. Teroenza siedział w wypełnionej szlamem płytkiej niecce. Wyglądał niczym wyrzucony na brzeg morza whaladon. Zamknął oczy i prawie się nie poruszał. Wydarzenia poprzedniego dnia go zniechęciły i zdenerwowały.

Durga, niech go pochłoną wszystkie czarne dziury, zdołał jakimś cudem przejrzeć jego plany. Arcykapłan Ilezji otworzył oczy i ujrzał widok, który wprawił go w jeszcze większe przygnębienie. Oto na lądowisku, za ociekającymi szlamem Veratilem, Tilenną i pozostałymi istotami rasy flanda Til, stało mrowie lśniących, zgrabnych i złowieszczych gwiazdnych statków oddziału Nova. Wokół nich krzątały się małe grupy silnie uzbrojonych po zęby inteligentnych istot w mundurach najemników.

Jak Durga mógł poznać moje plany? - zastanawiał się Teroenza. - Może nie doceniłem tego Hutta? Może nowy przywódca klanu Besadii jest mądrzejszy i sprytniejszy niż przypuszczałem? Zapewne popełniłem błąd, zabijając Kibbicka w tak bezczelny sposób.

Najgorsze ze wszystkiego było wszakże to, że Teroenza nie miał pojęcia, co wie młody lord Hurtów. A może przysłanie oddziału Nova stanowiło tylko jego odpowiedź na obłudną prośbę arcykapłana o wzmocnienie obrony Ilezji? Możliwe, że Durga nic nie podejrzewa. Nie domyśla się, że śmierć Kibbicka nie była dziełem przypadku ani wynikiem zbiegu nieszczęśliwych okoliczności.

Teroenza uspokoił się i odprężył. Doszedł do przekonania, że to możliwe. Gdyby jego przypuszczenia okazały się słuszne, powinien uzbroić się w cierpliwość i czekać. Z pewnością obecność najemników na Ilezji nie potrwa długo. Już wkrótce lordowie klanu Besadii zrozumieją, że nie ma sensu płacić żołnierzom oddziału Nova za bezczynność. Muszę tylko zaczekać - pomyślał arcykapłan. - Stać mnie na to. Tak czy owak, nie mam innego wyjścia.

Do niecki ze szlamem powoli zbliżał się dowódca oddziału Nova - niski, krępy i mocno zbudowany mężczyzna, który nazywał się Willum Kamaran i bez wątpienia pochodził ze świata o dużej sile ciężenia. Oficer ostrożnie stawiał stopy, by nie ubłocić lśniących czarnych butów. Rzucił Teroenzie oburzone spojrzenie i gestem dał znak, żeby flanda Til podszedł do niego. Arcykapłan uznał, że dopóki nie dowie się czegoś więcej, powinien chociaż udawać, iż jest skłonny do współpracy. Dźwignął się na nogi, otrząsnął ze szlamu, i ruszył ku zniecierpliwionemu mężczyźnie.

Nagle, bez uprzedzenia, jak grom z jasnego nieba, w kałużę szlamu przed Teroenzą trafiła skwiercząca błyskawica. Z głośnym sykiem zgasła, ale opryskała go kroplami błota. Zdezorientowany arcykapłan znieruchomiał. Co się dzieje? - pomyślał przerażony.

Odwrócił głowę i zobaczył, że z dzungli wybiegły trzy istoty odziane w maskujące kombinezony. Trzymały blasterowe karabiny i raz po raz strzelały. Gamorreanie, którzy mieli strzec dziedzińca, zginęli, zapewne trafieni pierwszymi błyskawicami.

Pczu. Pczu. Pczu.

Zewsząd niosły się dźwięki strzałów z blastera. Teroenzą rzucił się do ucieczki. Usiłował skręcić w biegu, ale poślizgnął się i runął na kolana w błoto.

Czy to żołnierze z oddziału Nova? - pomyślał, starając się nie histeryzować. - Czyżby Durga rozkazał im, by nas zastrzelili? Kątem oka zauważył, że Kamaran także strzela... ale nie do flanda Til. Do napastników. Chwilę później dołączyło do niego kilku najemników. Oni także odpowiedzieli ogniem na strzały wrogów. Na Var! - pomyślał ucieszony arcykapłan. - Starają się nas chronić!

Nie mógł się ukryć. Nie miał dokąd uciec. Ogarnięty paniką, zamarł bez ruchu. Zauważył, że Veratil także leży nieruchomo. Tam, gdzie znajdowało się kiedyś jego oko, widniała teraz dymiąca dziura. Tilenna pogrzyżyła się jeszcze głębiej w szlamie i chyba nie potrafiła się wynurzyć. Sparalizowana z przerażenia, mogła tylko młócić szlam wszystkimi kończynami. Arcykapłan uświadomił sobie nagle, że to koniec. Śmierć jest tylko kwestią czasu. Chcąc opanować eksplodujące w jego sercu przerażenie, nabrał głęboki haust powietrza. Później zanurzył się głębiej w szlamie. Postanowił udawać martwego.

Po kilku chwilach odgłosy blasterowych strzałów ucichły tak nagle, jak przedtem się odezwały. Udało się! - pomyślał Teroenzą. Wynurzył wielką głowę i otworzył oczy. Napastnicy leżeli nieżywi. Arcykapłan podźwignął się z błota i potoczył spojrzeniem po dziedzińcu.

Tilenna!

Leżała do połowy zanurzona w szlamie, ale miała usta pod powierzchnią błota. Nie oddychała. Nie mogła. Teroenzą odgadł prawdę, jeszcze zanim podszedł do samicy. Ujął ogromną głowę i wyciągnął ze szlamu, a potem - przywołując na pomoc całą siłę mięśni rąk - przytulił ją do torsu. Szukał choćby iskierki życia... ale samica nie żyła.

Kamaran został trafiony w rękę, a na jego brązowym mundurze widniały ciemno-brunatne smugi. Pomiędzy żołnierzami błąkał się Ganar Tos, majordom Teroenzy. Kiedy przekonał się, że arcykapłan żyje, na chwilę przystanął na skraju niecki z mułem, a potem bez wahania ruszył dalej.

- Mój pan, Teroenzą! - pisnął cicho. Jego skrzekliwy głos przypominał rechotanie żaby. - To coś potwornego! Na całej planecie skrytobójcy mordują naszych kapłanów! Otrzymałem meldunki z kolonii drugiej, trzeciej, piątej i dziewiątej. Pozasystemowa łączność została przerwana! Och, panie! Lord Veratil... lady Tilenna! Panie, co teraz zrobimy? - Nie umiając opanować rozpacz, niski mężczyzna dramatycznym gestem załamał ręce. - Mój panie, to już koniec! Nie będzie Uniesienia. Co teraz poczniemy?

Teroenzą parsknął pogardliwie i postarał się zebrać myśli. Czyżby miała to być sprawka Durgi? Nie, to niemożliwe. Lordowie klanu Besadii chcieli, aby istoty flanda Til żyły. Od tego zależały zyski kajidica. A zatem - kto odpowiadał za atak? I co on, Teroenzą, powinien teraz zrobić?

ROZDZIAŁ

14

BITWA O ILEZJĘ

Zachowując największą ostrożność, Jalus Nebl wprowadził statek w górne warstwy ilezjańskiej atmosfery. Wypatrywał burz i utrzymywał ciągłą łączność z pilotami podążających za nim rebelianckich szturmowych wahadłowców. Leciał na czele szyku i doskonale zdawał sobie sprawę z ciężkiej na nim odpowiedzialności.

- Wahadłowiec trzy - odezwał się w pewnej chwili. Jego piskliwy basie pozostał wiele do życzenia. Zbliżył usta do mikrofonu komunikatora. - Uwaga. Zboczyłeś z kursu na sterburcie. W twoją stronę zmierza burza numer trzysta jedenaście. Wylądowania atmosferyczne zjonizują cząsteczki powietrza, co zakłóci działanie twoich instrumentów. Zwiększ prędkość i dołącz do szyku.

- Tu wahadłowiec trzy - usłyszał w odpowiedzi. - Zrozumieliśmy i wykonujemy „Śnie Wolności”.

W miarę, jak statki opadały coraz niżej, ciemne chmury zdawały się gęstnieć z sekundy na sekundę. Raz po raz kadłub „Snu” smagały podmuchy wiatru. Wkrótce za iluminatorami zapanowały ciemności. Wszyscy kierowali się ku słońcu, ale powinni wylądować, zanim zaczną się rozwidniać.

Sullustański pilot sprawdził wskazania pokładowych przyrządów.

- Zwrzeć szyk - rozkazał. - Uwaga, wszyscy piloci. Zwrzeć szyk.

Chwilę potem zobaczył światła pozycyjne sterburtowego skrzydłowego, które zaraz przesłoniły chmury. Porywy wichury stawały się coraz gwałtowniejsze, a chmury zgęstniały tak bardzo, że Nebl przestał unosić głowę, by spojrzeć w iluminator. Leciał dalej, kierując się wyłącznie wskazaniami pokładowych instrumentów. W pewnej chwili obok jego statku przemknęła przecinana zygzakami błyskawic deszczowo-gradowa chmura. Kabinę „Snu” rozjaśniały upiorne, błękitne błyski. Spoglądając na wyświetlacze taktycznych wskaźników, Sullustanin leciał dalej... wskazywał drogę pozostałym.

Ostatni raz Nebl przebiegał się przez warstwy ilezjańskiej atmosfery przed dziesięciu laty. Z zadowoleniem zauważył jednak, że dawne umiejętności szybko do niego wracają. Leciał na czele pierwszej grupy rebelianckich gwiazdnych statków, która miała opanować kolonię 1 na Ilezji. Drugą połowę jednostek prowadził pilotujący „Sokoła

Millenium” Han Solo. Poprzedniego dnia Korelianin zaprosił swojego sullustańskiego przyjaciela na pokład frachtowca i oprowadził go po wszystkich pomieszczeniach. Nebl ubawił się, kiedy ujrzał, jak człowieka rozpira radość i duma. Później siedzieli w sterowni, rozmawiali i wspominali dawne czasy.

Nagle Nebl ujrzał, że w ich stronę pędzi następna groźna burza. Ostrzegł pilotów szturmowych wahadłowców, a potem zanurkował... co kilka chwil upewniając się, że nie zboczył z wyznaczonego kursu. Miał wylądować dokładnie pośrodku głównego dziedzińca kolonii pierwszej. Transportował grupę rebelianckich żołnierzy, którzy otrzymali rozkaz opanowania przetwórci andrisu.

Usłyszał meldunek na temat rozwoju sytuacji, który ktoś składał znajdującemu się na pokładzie „Oswobodziciela” głównemu dowódcy operacji. Oddziały Rebeliantów zakończyły pomyślnie szturm na ilezjańską stację orbitalną. Napotkały ze strony obrońców opór silniejszy niż się spodziewano, ale w końcu zdołały opanować atakowany obiekt.

Starając się coraz bardziej obniżyć pułap lotu, Nebl nie przerywał łączności z pozostałymi pilotami. Wyszukiwał coraz to nowe obszary burzowe i wskazywał je innym, by mniej doświadczeni koledzy nie popełnili żadnych błędów. Plan zakładał, że Rebelianci, którzy polecą za statkiem Nebla i będą się kierowali jego wskazówkami, zdołają skupić całą uwagę na pilotowaniu, a nie nawigacji.

Cała grupa minęła rejon, w którym chmury miały największą gęstość i szalały najgroźniejsze burze. Kolonia pierwsza wciąż jeszcze kryła się w ciemnościach. Po jakiejś godzinie miało nad nią wzejść słońce. Nagle Nebl zauważył, że lecący najdalej na prawym skrzydle szyku wahadłowiec zostaje w tyle. Natychmiast nawiązał łączność z jego pilotem.

- Szturmowy wahadłowiec sześć, zostajesz z tyłu. Co się stało?

- Kłopoty ze stabilizatorem. - W głosie młodego mężczyzny wyczuwało się napięcie i niepokój. - Naprawia go drugi pilot.

- Uwaga, szyk. Ograniczyć prędkość - rozkazał Sullustanin. - Nie możemy dopuścić, żeby szóstka się odłączyła.

Pozostali piloci posłusznie zwolnili. Chwilę później z odbiornika komunikatora wydobył się głos Hana.

- Hej, Nebl... Co się dzieje? Dlaczego zwolniliście?

Sullustanin wyjaśnił, na czym polega problem.

- No cóż, nie będziemy was wyprzedzać - oznajmił Korelianin. - My też ograniczamy prędkość.

„Sokół” i wszystkie lecące za nim wahadłowce zwolniły, żeby pilotowany przez Nebla „Sen” mógł nadal lecieć na czele grupy.

Kiedy jednostki Rebeliantów przebiły podstawę chmur, okazało się, że lecą w zwartym szyku. Po minucie oczom wszystkich ukazały się w dole światelka kolonii pierwszej. Nebl leciał cały czas pierwszy. Drugi pilot wahadłowca sześć usunął awarię stabilizatora swojej maszyny i Sullustanin mógł znów poświęcić całą uwagę na wskazywaniu drogi Rebeliantom. Pozostałe wahadłowce leciały w zwartym szyku za

„Snem” i szóstką. Wszyscy zanurkowali i skierowali się ku wyznaczonym punktom lądowania.

Nebel nie zdążył zareagować. W jednej sekundzie wszystko przebiegało zgodnie z planem, a on kierował „Sen Wolności” ku centralnemu punktowi głównego dziedzińca, a w następnej usłyszał ostrzegawcze beczenie alarmowych syren. Spojrzał w dół... i zdętywał. Jego statek został namierzony przez ciężki turbolaser!

Co takiego? - pomyślał z niedowierzaniem. - Skąd...

Eksplozja rozerwała jego statek na strzępy. Biedny Nebel nawet nie miał czasu uświadomić sobie, że został trafiony.

Ostępiały Han Solo przyglądał się, jak „Sen Wolności” i szturmowy wahadłowiec sześć, trafione dwoma potężnymi strzałami ze stacjonarnego turbolaser, zamieniają się w kule ognie i znikają. Chwilę później artylerzyści rozpoczęli ostrzał. Piloci dwóch pierwszych szturmowych wahadłowców wykonali rozpaczliwe manewry wymijające. Niestety, ich jednostki dostały się w obszar silnej turbulencji. Krótkie, grube skrzydła obu gwiazdnych maszyn szczyły się ze sobą. Wahadłowce stanęły w płomieniach i koziółkując w locie, zanurkowały w kierunku dżungli. W miejscu, gdzie zderzyły się z powierzchnią gruntu, ciemności ilezjańskiej nocy rozjaśnił jaskrawo-pomarańczowy błysk eksplozji.

Han zamarł ze zgrozy. Turbolaser! - pomyślał. - Skąd się tu wziął turbolaser? Pośpiesznie sprawdził współrzędne trajektorii lotu „Sokoła” i innych jednostek swojej grupy, po czym zaczął wykonywać manewr wymijający. Równocześnie włączył komunikator i krzyknął:

- Grupa jeden i dwa... zmiana kursu! Brio, skieruj swoje jednostki do awaryjnych miejsc lądowania! Zmieńcie kurs! Tam na dole mają potężny turbolaser! Upolowali Nebła!

Nie czekając na odpowiedź, obrócił „Sokoła” tak, że frachtowiec leciał pionowo, a potem zmienił współrzędne wektora podchodzenia do lądowania. Nie uczynił tego ani sekundę za wcześnie. Ku jego statkowi popłynęła zielona struga śmiercionośnej energii, która otarła się o spód kadłuba. Na kontrolnym pulpicie rozjarzyły się alarmowe lampki. Han zrozumiał, że strzał uszkodził mechanizmy umożliwiające wysuwanie i chowanie niedawno zainstalowanego wciągane go blastera. Energia świetlnej wiązki przemknęła tak blisko kadłuba, że zniszczeniu uległy czujniki mierzące odległość od powierzchni gruntu. Han zaklął; w tej samej chwili Chewie zawył. Korelianin usłyszał okrzyki Janka, który cały czas siedział w wieżyczce dolnego działka. Chłopak musiał oglądać naprawę oszalałymi oczami - i przerażający - widok.

Wiązka energii przemknęła stanowczo zbyt blisko, żeby mógł się zaniepokoić!

Han zatoczył ciasny łuk i przyspieszył, żeby jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem nieprzyjacielskich strzałów. Na szczęście żaden szturmowy wahadłowiec jego grupy nie został trafiony.

Awaryjne punkty lądowania znajdowały się na plaży, ponad dwa kilometry od dziedzińca kolonii pierwszej. Han naprowadził „Sokoła” nad wyznaczone miejsce, a potem - najdelikatniej, jak umiał - osadził frachtowiec na twardym, dobrze ubitym pia-

sku niedaleko falochronu. Kiedy zakończył manewr lądowania, siedział jakiś czas nieruchomo i głęboko oddychał. Za iluminatorem było zupełnie ciemno. Zostawił włączone światła pozycyjne - na wypadek, gdyby któryś z pozostałych pilotów przez pomyłkę zapragnął wylądować dokładnie w tym samym miejscu.

Wiedział, że po prawej stronie, patrząc ze sterowni, wznoszą się wydmy - a za nimi znajdują bagnista równina i kolonia pierwsza. Po lewej powinien mieć Zomę Gawongę - co po huttańsku znaczy Zachodni Ocean. Przed dziobem i za rufą frachtowca ciągnęła się plaża, na której lądowały wciąż nowe wahadłowce.

Pozwolił, żeby Chewie zakończył sprawdzanie pokładowych urządzeń i podzespołów, a potem włączył komunikator.

- Wahadłowiec jeden, tu „Sokół”. Brio, tu Han. Odezwij się, wahadłowiec jeden.

Usłyszał trzaski zakłóceń, a po chwili głos kobiety. Odetchnął z ulgą. W pewnej chwili, kiedy wykonywał rozpaczliwy manewr, stracił kontakt wzrokowy z resztą grupy. Wydawało mu się, że wahadłowiec 1 uniknął trafienia, ale dopiero teraz mógł być tego pewien.

- Hanie, tu Bria. Słyszę cię doskonale. Wahadłowiec jeden właśnie osiada na awaryjnym lądowisku. Poślę swoich żołnierzy do ataku. Przejdziemy przez wydmy. Mój oddział przetnie dżunglę i opanuje dziedziniec.

- Idę z tobą - zaproponował Han. - Nie ruszaj się nigdzie beze mnie.

- Zrozumiałam, „Sokole” - odezwała się Koreliananka. Później umilkła, jakby się zawahała. - Hanie... - podjęła po chwili. - Musimy opanować budynek administracyjny. Czy możesz wysłać tam Togorian?

Han zrozumiał, że Bria ma na myśli skarbiec. Od dawna planowała, że to Muuurgh, który znał rozkład pomieszczeń i świetnie czuł się w dżungli, na czele grupy swoich ziomków przypuści szturm na budynek administracyjny. Teraz jednak musi pokonać o wiele większą odległość...

- Masz rację - przyznał. - Zaraz się tym zajmę.

Udał się do świetlicy, gdzie podróżowali Togorianie. Podobne do wielkich kotów istoty rozpinały pasy, sprawdzały energetyczne zasobniki broni albo wymieniały uwagi na temat ostatniego, nieco zwariowanego odcinka drogi. Kiedy ujrzały wchodzącego Hana, zasypały go pytaniami o przyczynę niezwykłych, przyprawiających o mdłości ewolucji. Korelianin wyjaśnił, co się działo, a potem oznajmił Muuurghowi, Mrrov, Sarrahowi i pozostałym Togorianom, że wylądowali o wiele dalej od celu niż się spodziewano.

- Nasze zadanie stało się trudniejsze - zakończył. - Czeka was mniej więcej dwukilometrowy spacer przez dżunglę.

Muuurgh wstał... ostrożnie, żeby nie zawadzić głową o sufit zatłoczonej do granic możliwości świetlicy „Sokoła”.

- Nie martwić się, Han - odrzekł. - Muuurgh poprowadzić droga przez dżunglę do budynku administracyjnego. Muuurgh polować kiedyś w dżungla wokół kolonii jedna. Muuurgh doskonale zapamiętał terena.

Han wyjął ze schowka w ścianie reagujące na podczerwień gogle oraz lekki hełm, a potem skinął na Chewbacę. Podążając za Togorianami, obaj zeszli po rampie. Solo

założył gogle i obserwował, jak jaskrawożółte sylwetki wielkich kotów kierują się ku wydmie. Kiedy zsunął gogle, otoczyły go niemal nieprzeniknione ciemności. Togorianie zniknęli... roztopili się w mroku niczym cienie. Korelianin zaciągnął się głęboko świeżym, chłodnym powietrzem. Wraz z zapachem ilezjańskiego oceanu zaczynały napływać wspomnienia.

- Chewie - powiedział. - Bądź czujny. Ta planeta może się okazać prawdziwą pułapką. Dobrze chociaż, że nie pada. - Uniósł rękę i poklepał gogle. - Chcesz parę dla siebie, kolego?

Chewbacca pokręcił głową. Wzrok Wookiech był o wiele czulszy i lepszy niż ludzkie oczy. Pomimo ciemności, Chewie widział wszystko doskonale i nie potrzebował gogli.

Nagle Han usłyszał za plecami jakiś hałas. Kiedy odwrócił się, ujrzał schodzących po rampie Landa i Jarika. Podobnie jak Han, obaj trzymali ciężkie blasterowe karabiny, a na głowach mieli lekkie hełmy i gogle. Stanęli u stóp pochylni i przyglądali się, jak obok szturmowych wahadłowców ustawiają się w szeregach oddziały żołnierzy. W powietrzu unosiło się już tylko kilka statków. Większość pomyślnie wylądowała.

- Wolnego - odezwał się Solo. - Jak myślicie, chłopaki, dokąd się wybieracie?

- Tam, gdzie będzie się coś działo - odparł Jarik. - Nie zamierzam przegapić takiej okazji.

Młodzieniec ścisnął blasterowy karabin. Ledwo mógł ustać w miejscu. Zapewne nie mógł się doczekać, kiedy weźmie udział w pierwszej prawdziwej walce na lądzie.

Han planował, że Jarik zostanie na pokładzie „Sokoła”. Nie chciał narażać chłopca na niebezpieczeństwo.

- Chwileczkę - zaczął. - Togorianie odeszli, żeby zdobyć budynek administracyjny. Ja i Chewie musimy pomóc Brii. Jeżeli i wy weźmiecie udział w walce, kto zostanie i będzie strzegł „Sokoła”?

- Podnieś rampę i uruchom system bezpieczeństwa - doradził Jarik. - Nikt nie dostrzeże się na pokład, dopóki go nie wpuścisz.

Lando wyciągnął rękę i zamasztył gestem omiół plażę, na której właśnie lądowały ostatnie wahadłowce Rebeliantów i frachtowce przemytników.

- Naprawdę przypuszczasz, że Bria nie pozostawiła nikogo na straży swoich statków? - zapytał.

Korelianin rzucił mu gniewne spojrzenie. Hazardzista widocznie usłyszał sobie, że palnął głupstwo, gdyż natychmiast umilkł.

Ze statków zaczęli wysypywać się przemytnicy. Kilku kapitanów nie kryło niezadowolonia. Kiedy Han ujrzał, że biegną ku niemu Kaj Nedmak oraz Aarly Bron, zebrał się w sobie, i przygotował na najgorsze. Po drodze dołączyło do nich kilku innych przemytników, których nie znał.

- Solo, co ty sobie wyobrażasz? - wybuchnął Bron, kiedy stanął przed Hanem. - Wystawiłeś nas na strzałę z turbolaser! Omal nie spaliłem silników!

Korelianin wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Hej, to nie moja wina! - odparł urażonym tonem. - Nic o tym nie wiedziałem! Sam też omal się nie usmażyłem!

Chwilę później podeszła do nich Bria. Towarzyszył jej zastępca, Jace Paol.

- To nie jest wina Hana - potwierdziła, omiatając spojrzeniem grupę niezadowolonych przemytników. - Muszę pogadać z tymi Bothanami. Mieli przeprowadzić wywiad przed wyprawą. Powinni byli zauważyć ten turbolaser... chyba że działo zainstalowano całkiem niedawno.

Z tłumu rozeźlonych kapitanów dobiegło kilka gniewnych pomruków. Bria uniosła rękę w uspokajającym geście.

- Nie martwcie się. Dostaniecie, co się wam należy - powiedziała stanowczym, nawykłym do wydawania rozkazów tonem. - Pozostaniecie tu, na plaży, i zaczekacie, aż opanujemy teren kolonii. Rzecz jasna, może się do nas przyłączyć każdy, kto lubi walczyć.

Większość kapitanów pokręciła głowami i odeszła. Kilku jednak postanowiło towarzyszyć Rebeliantom - zapewne w nadziei, że zdobędą dla siebie najlepszą przyprawę, jaką znajdą w magazynach. Han popatrzył na Brię.

- Chewie i ja idziemy z tobą - oznajmił stanowczym tonem.

Jace Paol odwrócił się do Korelianki.

- Pani komandor, proszę o zgodę na unieszkodliwienie turbolaseru. W pobliżu magazynów mają wylądować później następne wahadłowce. To niemożliwe, dopóki to działo rozpyła w locie nasze statki na atomy.

Bria kiwnęła głową.

- Udzielał zgody, poruczniku. Proszę zabrać także ekipę saperów. Unieszkodliwicie ten laser, a jeżeli nie zdołacie go zdemontować i zabrać, wysadzicie w powietrze.

- Rozkaz pani komandor.

- Nazywam się Jarik Solo - odezwał się nagle młodzieniec, zwracając się do Paola.

- Proszę wziąć mnie ze sobą, panie poruczniku. Ten laser omal nie osmalił mi tyłka. Chciałbym być przy tym, kiedy będziecie go atakowali.

Mężczyzna spojrzał na chłopaka.

- Witaj na pokładzie, chłopcze - odparł z uśmiechem.

Han popatrzył w oczy Landa i kiwnął głową w stronę Jarika. Hazardzista widocznie zrozumiał, o co chodzi, gdyż westchnął i podszedł do Paola.

- Proszę i mnie zabrać, panie poruczniku - rzekł cicho. - Nazywam się Lando Calrissian.

- Witaj w moim oddziale, Calrissian.

Han pomachał przyjaciółom na pożegnanie. Potem przyglądał się, jak Bria udziela ostatnich wskazówek żołnierzom, którzy mieli pozostać na plaży i strzec wahadłowców.

Kiedy Korelianka wydała swoim ludziom rozkaz wymarszu, Han i Chewie dołączyli do nich. Nagle rozległ się cichy świergot kieszonkowego komunikatora. Bria wyjęła urządzenie i nastawiła pokrętkę siły głosu na maksimum, żeby lepiej słyszeć. Han rozpoznał głos pozostającego na pokładzie „Oswobodziciela” dowódcy wyprawy, Blevona.

- Tęcza Jeden 1 do wszystkich oddziałów. Otrzymujemy wiele meldunków, z których wynika, że obrońcy stawiają silniejszy opór niż się spodziewano. Uważajcie na siebie.

Bria spojrzała najpierw na Hana, a potem na chronometr.

- Wszystkie oddziały wylądowały - oznajmiła. - Mamy jednak opóźnienie.

Ściszyła komunikator, tak że głosy składających meldunki dowódców stały się niewiele głośniejsze niż pomruki. Później przyspieszyła, a potem nawet zaczęła biec. Jej żołnierze zrobili to samo.

Han miał kłopoty z goglami. Potrzebował trochę czasu, by się do nich przyzwyczaić. Najpierw, jeszcze na plaży, omal się nie przewrócił o jakiś przedmiot wyrzucony przez fale. Potem zaplątał się w kępę ciemnej wydmowej trawy i usiłując się uwolnić, dotkliwie podrapał się i poranił. Ujrzawszy to, Chewbacca podbiegł i bezceremonialnie uniósł go w powietrze, po czym postawił na ziemi kilka metrów dalej. Czując, że rany zaczynają piec, Han ostrzegł tych, którzy biegli za nim.

Ileż to czasu upłynęło od tamtych dni - pomyślał, ściskając mocniej ciężki karabin typu A280. Chwilę potem skręcił i pobiegł za Brią w górę wydmy. Musiał uważać, gdzie stawia stopy, gdyż piasek stał się sypki i łatwo mógł się osunąć. Kiedy ostatnio szedł przez taki piasek... Wzdrygnął się na wspomnienie czegoś, o czym wolałby zapomnieć.

Korelianka pierwsza dotarła w pobliże wierzchołka wydmy. Zanim przeszła na drugą stronę, padła i umówionymi gestami zaczęła dawać znaki żołnierzom, aby zachowali ostrożność. Han nie spodziewał się, by ktokolwiek powitał ich strzałami - mimo wszystko, znajdowali się jeszcze dosyć daleko od zabudowań kolonii - uznał jednak, że skoro szykuje się do walki, nadmiar ostrożności nie zaszkodzi. Runął na piasek i rozpląszczył się na brzuchu, a potem poczołgał się ku wierzchołkowi. Zorientował się, że biegnący za nim Chewie poszedł w jego ślady. Poczul, że za rozpięty kołnierz koszuli wpadły ziarenka piasku. Skóra zaczęła świerzbić, ale Korelianiec nie miał czasu, żeby się podrapać.

Ostatnie pół metra, jakie pozostało do wierzchołka, Han, Wookie i Bria czołgali się obok siebie... ale gdy wychylili głowy, ktoś omal ich nie odstrzelił. Raz po raz w wydmy trafiały błyskawice blasterowych strzałów. Topiąc ziarenka piasku, przemieniały je w gorące drobiny szkła, które cięły naskórek niczym złośliwe owady.

Chewie zawył. Wszyscy trzej zanurkowali i rozpląszczyli się pod wierzchołkiem wydmy. Leżeli tak, dopóki strzały nie umilkły. Korelianka wyjęła skaner i spojrzała na Hana. Jej oglądana przez gogle twarz wyglądała jak otoczony zielonym tłem żółtawy owal z białymi ustami. Mimo iż Bria także nosiła gogle, Han zdołał zauważyć, że pani komandor Rebeliantów marszczy czoło.

- Hanie... - odezwała się po chwili, kierując wylot skanera przed siebie. - Widzę co najmniej dwadzieścia źródeł ciepła... czekają, żebyśmy się wychylili. Nie mam pojęcia, kim są, ale to z całą pewnością nie Gamorreanie.

Korelianiec odwzajemnił jej spojrzenie.

- Najpierw turbolaser - zaczął oskarżycielskim tonem. - Teraz ci goście...

- Tak... - Bria włączyła komunikator i wybrała odpowiednią częstotliwość. - Tęczo Jeden, tu Czerwona Jedyńka. Zanim wylądowaliśmy, powitały nas strzały z turbolaserów. Zmuszono nas do zmiany miejsca lądowania. Ponieśliśmy niewielkie straty. Obrońcy zniszczyli cztery statki: trzy wahadłowce i jednego przyjaciela. - Han wiedział, że - zgodnie z ustalonym kodem - „przyjaciel” oznaczał statek przemytnika albo korsarza. - Obrońcy stawiają silny opór, ale nie przerywamy ataku.

Chwilę później Solo usłyszał głos dowódcy akcji.

- Tęcza Jeden rozumie, Czerwona Jedyńko. Czy potrzebujecie Białego Jeden?

Blevon pytał, czy Bria chce, żeby wysłał na pomoc rezerwy z pokładu „Oswobodziciela”.

Korelianka włączyła nadajnik komunikatora.

- Zaprzeczam, Tęczo Jeden - odrzekła. - Rezerwy nie mogą lądować, dopóki nie rozprawimy się z turbolaserem. Już się tym zajmujemy. Czerwona Jedyńka przerywa połączenie.

- Tęcza Jeden zrozumiała, - odparł Blevon. W głośniku komunikatora coś trzasnęło i zapadła cisza.

Bria przełączyła urządzenie na inną, lokalną częstotliwość.

- Jace? - zapytała. - Tu Bria. Zaryzykowałeś i rzuciłeś okiem za tę wydmy?

- Zaryzykowałem - stwierdził ponuro jej zastępca. - Kim właściwie są ci goście?

- Nie mamy pojęcia - odrzekła Korelianka. - Wiemy tylko, że to zawodowcy. Przejnijcie lukiem dżunglę, a potem spróbujcie pokonać mokradła i podejść do nich od północy. My zbliżymy się od południa. Może zdołamy wziąć ich w dwa ognie.

- Zrozumiałem - potwierdził Paol. - Naprawdę chce pani, żebyśmy czołgali się przez te bagna?

Przywódczyni Rebeliantów zaśmiała się ponuro i bez słowa wyłączyła urządzenie.

Cofnięcie się plażą na taką odległość, aby dżungla chroniła ich przed strzałami obrońców, zajęło Hanowi, Brii i jej żołnierzom prawie dziesięć minut. Wszyscy przeszli przez wydmy i zagłębili się w tropikalną dżunglę. Przeciskając się między gnijącymi roślinami, Han podążał cały czas za Chewiem. Marszczył nos i krzywił się, ilekroć tylko czuł odór rozkładającej się roślinności. Chewbacca także raz po raz cicho wył na znak protestu. Han przypomniał sobie, że Wookie mają o wiele wrażliwszy narząd węchu niż ludzie. Pocąc się i ślizgając w błocie, Korelianiec żałował, że nie założył butów z podeszwami o wzmocnionej przyczepności.

W końcu wszyscy dotarli na skraj uprzątniętego obszaru. Spoglądając na ekran skanera, Bria upewniła się, że stanowiska obrońców znajdują się prosto przed nią. Nagle rozległ się cichy świergot komunikatora. Bria przykucnęła i zwiększyła siłę głosu.

- ...otrzymujemy coraz więcej meldunków o silnym oporze, stawianym przez obrońców. Zielona Jedyńka potwierdza, że wśród obrońców są najemnicy. Mówią, że należą do oddziału Nova. Kilku wzięliśmy do niewoli. Tęcza Jeden przerywa połączenie.

- Oddział Nova? Najemnicy? - Zdumiony Han spojrzał na Koreliankę. - Wspaniale. Jakim cudem się tu znaleźli?

Przywódczyni Rebeliantów wzruszyła ramionami. Han spojrzał na nią z ukosa.

- A ja powiedziałem przemytnikom i korsarzom, że to będzie spacer! - odezwał się, nie kryjąc urazy.

Przysłuchiwał się, jak kobieta porozumiewa się z Jacem Paolem. Wszystko było gotowe...

Uświadomił sobie, że jego puls zaczyna bić przyspieszonym rytmem. Przełknął ślinę. Miała metaliczny posmak.

- Jesteś gotów, kolego? - zapytał szeptem, zwracając się do Chewiego. Rosly Wokie właśnie sprawdzał zasobnik energetyczny kuszy.

- Hrrrrnnnnn!

Han sprawdził zasobnik karabinu... mimo iż był absolutnie pewien, że jest pełny.

W końcu Bria kiwnęła głową i cały oddział wyczołgał się z dżungli. Pełną przez polanę, na której wycięto drzewa i przyszyżono trawę, wszyscy umazali się czarnym błotem. Niedawno przeszła ulewa... właśnie tak wyglądało życie na Ilezji. Nagle dłonie Hana dotknęły permabetonu. Lądowisko albo droga... Korelianiec uświadomił sobie, że kiedy przed dziesięciu laty uciekał z Ilezji, niczego takiego jeszcze tu nie było.

Porozumiewając się z Paolem przez komunikator, Bria odliczała szeptem ostatnie sekundy. Gdy skończyła...

- Ognia!

Han wygrzebał się z błota i uklęknął. Spoglądając przez gogle, zauważył rozmazany kształt w dziwnym hełmie na głowie. Żółtawy odcień oznaczał źródło ciepła. Wymierzył i strzelił.

Nagle kończąca się noc eksplodowała błyskawicami blasterowych strzałów. Rozległy się zdławione okrzyki i jęki bólu. Nie przestając strzelać, Solo i Chewie pobiegli naprzód wraz z innymi żołnierzami oddziału Brii Tharen. Biegająca przed Hanem kobieta w mundurze Rebeliantów potknęła się i upadła na ziemię. Kiedy Han znalazł się obok niej, ujrzał czarną dziurę w miejscu twarzy. Brzegi rany dymiły.

Strzały obrońców zaczęły stawać się coraz rzadsze. Kiedy umilkły, Bria rozkazała wstrzymać ogień. Han i Chewie podeszli do niej, by przyjrzeć się rozrzuconym po całym placu zwłokom. Bria trąciła ciało jednego obrońcy czubkiem buta. W tej samej chwili stanął przed nią Jace Paol... umorusany co najmniej jak istota rasy flanda Til po kąpieli w błocie.

- Popatrz na ten znak na rękawie munduru - odezwała się Korelianka. - Eksplodująca gwiazda. A widzisz ich wyposażenie i broń? Bez wątplenia to zawodowcy. - Zaczęła liczyć nieruchome ciała. - Dwadzieścia. Prawdopodobnie dwukrotnie liczniejsza grupa obsługuje turbolaser.

Podążając za spojrzeniem kobiety, Han spojrzał na przeciwległy kraniec polany. Zbliżał się świt i w rzednących ciemnościach dostrzegł wieżę z zainstalowanym na szczycie laserowym działem.

- Jak to dobrze, że nie mogą zmniejszyć kąta podniesienia lufy i strzelać do celów na powierzchni gruntu. - Odetchnął z ulgą. - W przeciwnym razie byłoby po nas.

Po minucie czy dwóch pojawili się Jarik i Lando. Nie chcąc przeszkadzać Brii, wszyscy czterej przyjaciele odeszli na bok. Tymczasem Korelianka rozkazała sanitariu-

szom, aby odprowadzili rannych na pokłady wahadłowców. Inni żołnierze mieli zająć się zbieraniem broni najemników z Novej.

- Pamiętajcie - zwróciła się do swoich ludzi. - Zabieramy wszystko, co zdołamy. Wszystko, co jeszcze nadaje się do użytku.

Jej żołnierze pokiwali głowami i rozeszli się po pobojowisku. Han spojrzał na Jarika i Landa. Widząc, że są usmarowani schnącą mazią, uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Lando, gdyby mogła cię teraz widzieć Drea Renmal...

Chewie wybuchnął głośnym śmiechem.

- Zamknij się, Hanie - burknął hazardzista. - Ty także, Chewbacco. - Skrzywił się i nie kryjąc rozpaczy, zaczął czyścić zniszczone ubranie. Na szczęście, przygotowując się do udziału w akcji, nie zapomniał założyć wytrzymałego i niezbyt kosztownego stroju. - Nie zamierzam tego wysłuchiwać - ciągnął po chwili. - Nie byłem taki umorusany od... no cóż, to bardzo długa historia.

Han zachichotał i przeniósł spojrzenie na Jarika.

- A ty, chłopcze? - zapytał. - Jak się spisywałeś?

Młodzieniec kiwnął głową.

- Wydaje mi się, że całkiem nieźle, Hanie - odparł ze skrywaną dumą. - Trafiłem przynajmniej dwóch.

Han klepnął go po ramieniu.

- Doskonale! Przekonasz się, jeszcze będzie z ciebie dobry żołnierz.

W usmarowanej błotem twarzy chłopaka błysnęły białe zęby.

Kiedy sanitariusze odprowadzili rannych na pokłady statków, Bria wyciągnęła komunikator i wystukała na klawiaturze lokalną częstotliwość. Rozkazała żołnierzom, żeby ruszali do ataku.

- Biegiem! - krzyknęła do mikrofonu. - Opanować dziedziniec! Atakować zwartymi grupami. Saperzy, przygotować ładunki wybuchowe!

Zmieniła kanał i nastawiła pokrętkę siły głosu na maksimum, żeby wysłuchać melodii składanych przez dowódców innych oddziałów.

- Tęczo Jeden, tu Zielony Dwa. Przejmuję dowodzenie. Zielony Jeden nie żyje.

- Tęcza Jeden rozumiem cię, Zielona Dwójko. Jak twoja sytuacja?

- Prawie skończyliśmy. Musimy jeszcze pozamiatać. Powinniśmy zdobyć cel, zanim upłynie... jakieś pięć minut.

Bria wykrzywiła twarz w dziwnym grymasie.

- Mamy opóźnienie - powtórzyła, włączając nadajnik komunikatora. - Tęczo Jeden, tu Czerwona Jedyńka. Pierwsza linia obrony przełamana. Ściągam odwody i przystępuję do ataku na dziedziniec.

- Czerwona Jedyńko, co z tym turbolaserem?

- Tęczo 1, dwa oddziały właśnie przygotowują się do szturm na wieżę. Czerwona Jedyńka przerywa połączenie.

- Tęcza Jeden także.

Żołnierze Paola mieli zatoczyć łuk i zaatakować turbolaser od wschodu. Han i Chewie obserwowali, jak znikają w głębi dżungli. Później podążyli za żołnierzami od-

działu Brii w kierunku dziedzińca kolonii pierwszej. Ilezjańscy strażnicy stawili tak słaby opór, że rozprawiono się z nimi bez trudu... jak zresztą się spodziewano. W powietrzu krzyżowały się jęki rannych, wołania o pomoc i okrzyki obcych istoty z najróżniejszych światów...

Kierując się ku dziedzińcowi, Bria otrzymywała meldunki od dowódców swoich pododdziałów.

- Dowódco Czerwonej Ręki, melduje się oddział trzeci. Fabryka andrisu opanowana. Saperzy przystępują do zakładania ładunków wybuchowych.

- Dowódco Czerwonej Ręki, zgłasza się dowódca grupy szóstej. Zdobyliśmy ośrodek powitań. Prosimy o przysłanie saperów.

- Dowódco Czerwonej Ręki, tu siódemka. Zbliżamy się do baraków niewolników. Strzegą ich najemnicy... ale chyba nie więcej niż sześciu. Nie spodziewamy się kłopotów...

- Dowódco Czerwonej Ręki, zgłasza się oddział drugi. Zajmujemy pozycje wyjściowe do szturm na wieżę turbolaser. Przybliżony czas przystąpienia do akcji... pięć minut.

Han i Chewie trzymali się blisko Brii, by uniemożliwić ewentualny atak od tyłu. Nad dziedzińcem niesły się odgłosy blasterowych strzałów. Czasami towarzyszyły im jęki albo piski, pochrząkiwania gamorreńskich strażników i zawrota głowy obcych istot.

Han ocenił, że kolonii pierwszej strzeże najprawdopodobniej pluton najemników w sile trzydziestu, najwyżej czterdziestu żołnierzy. Wiedział, że członkowie oddziału Nova są prawdziwymi zawodowcami. Odważni i doskonale wyszkoleni, bili się do końca... dopóki nie dochodzili do wniosku, że ich sytuacja staje się beznadziejna. Wówczas się poddawali. Walczyli, żeby zarobić kredyty, a nie w imię jakiegokolwiek idei. Zależało im na tym, żeby przeżyć i któregoś dnia spróbować szczęścia na innym polu bitwy.

Nagle zza rogu najbliższego baraku wyskoczyła oszalała niewolnica z blasterem wyciągniętym chyba ze składnicy złomu. Wymierzyła, strzeliła i omal nie zabiła Brii. Han wypalił do Bothanki i pozbawił ją życia. Nawet nie miał czasu nastawić karabinu na obezwładnianie. Prerażona Korelianka wpatrywała się dłuższą chwilę w leżącą istotę. W pewnej chwili Hanowi wydało się, że w jej oczach zakręciły się łzy.

- Kochanie... - zaczął, podchodząc do niej. - Nie mogłem zrobić nic innego...

- Wiem... - Bria obdarzyła go nikłym, wymuszonym uśmiechem. - Tylko nie mogę się z tym pogodzić. Czasami tak trudno zrozumieć, dlaczego nas atakują. Przecież przyłecieliśmy, by im pomóc.

Pragnąc ją uspokoić, Han poklepał ją po ramieniu. Rozległo się ćwierkanie komunikatora. Bria wyjęła urządzenie. Wiadomość pochodziła od dowódcy wyprawy i zaczynała się od słów: „Tu Tęcza Jeden”.

Nic szczególnego się nie działo. Czas upływał. Mijała minuta za minutą. Bria gestem nakazała swoim żołnierzom, by stanęli za jej plecami. Chwilę później znów ktoś, korzystając z kanału dowódcy wyprawy, przerwał ciszę w eterze. Mówiący starał się zachowywać spokój, ale w jego głosie wyczuwało się zdenerwowanie.

- Tęcza Jeden, tu Niebieski Jeden. Proszę o wsparcie. Głos Blevona brzmiał spokojnie, niemal beznamiętnie.

- Niebieska Jedyńko, melduj, co u ciebie.

- Straty sięgają trzydziestu procent stanu. Obrońcy przysypili-li nas ogniem automatycznych Masterów. Mają co najmniej dwa. Jeden w magazynie, a drugi w sypialni pielgrzymów. Proszę o Białą Jedyńkę.

- Niebieska Jedyńko, tu Biały Jeden - odezwał się ktoś inny. - Możemy ci przysłać dwa plutony za mniej więcej trzy minuty. Gdzie mają wylądować?

- Niech zajmą się magazynem. Jeden mógłby wylądować na południowym stoku wzgórza trzy-jeden. Drugi na wschód od nich, na polanie w dżungli, tak by żołnierze mogli zaatakować z flanki. My będziemy szturmować baraki.

- Wygląda, że to dobry plan, Niebieska Jedyńko. Biały Jeden przerywa połączenie.

- Niebieski Jeden także.

Bria skierowała zaniepokojone spojrzenie na wieżę turbolaser. Niebo za nią zaczynało różowieć...

- Jace powinien zacząć lada chwila - mruknęła do siebie.

Jakby w odpowiedzi na te słowa rozległy się odgłosy blasterowych strzałów. Zaraz potem dołączyły do nich okrzyki i huk przynajmniej dwóch eksplodujących granatów. Jeszcze później rozległy się gromy kolejnych detonacji.

Bria odczekała pięć pełnych napięcia, długich sekund, po czym przełączyła komunikator na lokalną częstotliwość i powiedziała:

- Oddział drugi, zgłoś się. Złóż raport z sytuacji. Czy zdołaliście wdrzeć się do środka? Zdobyliście wieżę?

Odpowiedziała jej cisza. Han i Chewie spojrzeli po sobie. Ukryci za budynkiem przetwórci błyszczostymu starali się nie okazywać niepokoju. Nagle z tyłu, zza rogu przetwórci błyszczostymu, wybiegł jeden z żołnierzy Czerwonej Ręki.

- Jesteśmy cali i zdrowi, pani komandor - zameldował. - Przybiegłem prosić o saperów.

Korelianka kiwnęła głową, ale chyba myślała o czymś innym.

- Dobra robota, Sk'kot - powiedziała, po czym zbliżyła usta do mikrofonu komunikatora. - Oddział drugi, tu Dowódca Czerwonej Ręki. Proszę o raport. Co się u was dzieje?

Na kilka uderzeń serca, długich jak wieczność, zapadła cisza. Później z głośnika wydobył się cichy trzask.

- Dowódco Czerwonej Ręki, tu dowódca Dwójki. - Głos należał do Jace'a Paola. Otaczający Hana i Chewiego żołnierze wyszczerzyli zęby, a kilku nawet wzniosło ciche radosne okrzyki. - Wdarliśmy się do środka, ale mamy wielu rannych. Prosimy o lekarzy. Bez odbioru.

Bria pospiesznie wezwała posiłki dla oddziału drugiego i zażądała przysłania wahadłowca szpitalnego. Oznajmiła pilotowi, że może bez obaw wylądować na dziedzińcu.

Ponownie uniosła do ust miniaturowy komunikator.

- Oddział ósmy? - zapytała. - Jak sprawują się twoi Togorianie?

W głośniku odezwała się obca istota. Choć jej basie brzmiał dziwacznie, dawał się zrozumieć.

- Tu Mrrov. Budynek praktycznie zdobyty, Brio. Musimy jednak przeczesać okoliczną dżunglę. Obawiamy się, że ukryli się w niej strzelcy wyborowi. Pięciu czy sześciu strażnikom udało się zbiec. W okolicy wylądowało kilka statków... przeważnie małych wahadłowców, tylko jeden duży. Pilnujemy ich. Podejrzewamy, że strażnicy spróbują porwać którąś jednostkę.

Bria przełączyła komunikator na nadawanie.

- Doskonała robota, Mrrov - pochwaliła Togoriankę. - Założę się, że twoi ziomkowie nie patyczkowali się z tymi Gamorreanami.

Mrrov odpowiedziała mrukliwym śmiechem. Bria przełączyła kanał... w samą porę, by usłyszeć:

- Czerwona Jedyńko, tu Tęcza Jeden. Proszę o meldunek.

Korelianka otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, gdy w kierunku jej ludzi ze środka dziedzińca posypały się strzały. Bria, Han, Chewie i pozostali żołnierze rozplaszczyli się na ziemi. Niektórzy poszukali schronienia za załomem muru. Han wypluł bryłkę błota. Żałował, że nie może sięgnąć po manierkę i przepłukać ust lykiem wody. Nie chciał ryzykować.

- Oslaniajcie mnie, chłopcy! - krzyknęła Bria przez ramię i poczołgała się na czoło grupy. Han i Chewie uczynili to samo, tylko sekundę później. Błyskawice blasterowych strzałów przelatowały ze świstem tuż nad ich głowami.

Bria odwróciła głowę i spojrzała na Hana.

- Wycofaj się! - rozkazała. - Dam sobie radę sama.

- Nie wątpię w to! - odkrzyknął Solo. - Chciałem tylko zobaczyć, jak to zrobisz!

Pierwszy raz usłyszał, jak klnie. Starannie wymierzyła, a kiedy strzelający napastnik wychylił się zza jakiegoś pojazdu, przycisnęła guzik spustowy karabinu.

Strażnik runął na ziemię i znieruchomiał.

- Wspaniały strzał! - pochwalił Han.

Wszyscy troje zerwali się i cofnęli, by dołączyć do pozostałych żołnierzy. Bria podniosła z ziemi komunikator.

- Czerwona Jedyńko, tu Tęcza Jeden. Proszę o meldunek.

W głosie Blevona nie wyczuwało się niepokoju.

Bria odezwała się cicho i spokojnie... mimo iż z trudem chwytiała powietrze.

- Tu Czerwona Jedyńka. Turbolaser zniszczony. Opanowaliśmy większość przetrwami. W tej chwili atakujemy magazyny i baraki pielgrzymów. Powinniśmy je zdobyć, nim upłynie dziesięć minut.

- Zrozumiałem, Czerwona Jedyńko. Czy przysłać wam Białego Jeden?

- Raczej nie, Tęczo Jeden. Panujemy nad sytuacją. Damy sobie radę.

- Tęcza Jeden rozumie.

Czekali w napięciu, nasłuchując wiadomości z innych frontów. W pewnej chwili...

- Tęczo Jeden, tu Złota Jedyńka. Cel osiągnięty. Minutę później usłyszeli:

- Tęczo Jeden, tu Pomarańczowy Jeden. Cel opanowany.

- Tu Tęcza Jeden. Rozumiemy.

Później zaczęli się zgłaszać dowódcy innych oddziałów. Jeden po drugim meldowali, co u nich... wszyscy, z wyjątkiem grupy atakującej kolonię trzecią. W tym czasie Bria zdążyła nawiązać łączność z dowódcami swoich pododdziałów.

- Tęczo Jeden - odezwała się w końcu. - Tu Czerwona Jedyńka. Melduję, że cel został osiągnięty.

- Tęcza Jeden rozumie, Czerwona Jedyńko.

- Nadal brak wiadomości z kolonii trzeciej - ciągnęła zaniepokojona Korelianka. - Prosimy o wsparcie. Miejmy nadzieję, że wszystko u nich w porządku.

- Tęcza Jeden. Rozumiemy.

Jakby pragnąc ją uspokoić, w komunikatorze odezwał się inny głos:

- Tęczo Jeden, tu Biały Jeden. Zgłaszam się z kolonii 3. Cel opanowany.

- Zrozumieliśmy cię, Biała Jedyńko - potwierdził Blevon. - Co się stało z Niebieską Jedyńką?

- Nie żyje - odparła ta sama osoba tonem nie zdradzającym żadnych emocji.

Bria powiodła spojrzeniem po twarzach swoich ludzi.

- No cóż, to by było na tyle - oświadczyła. - Ileżja jest nasza. Pozostało nam zrobić tu porządek. Wezwijmy wahadłowce.

Han odwrócił się do Chewiego. Dyskretnie odciągnął go na bok.

- Posłuchaj, Chewie - zaczął cicho. - Chciałbym, żebyś coś zrobił. Natychmiast.

- Arhnnn?

- Muuurghowi i Mrrov przydałaby się pomoc przy zabezpieczaniu budynku administracyjnego.

A zwłaszcza skarbcza - dokończył w myślach, ale Wookie i tak wiedział, o co chodzi.

- Chciałbym, żebyś się u nich zameldował i upewnił, że wszystko zrobiją, jak należy - podjął po chwili. - Pomóż im, jeżeli tego potrzebują. Widzisz w ciemnościach równie dobrze, jak Togoria-nie, a jeżeli Muuurgh i Mrrov będą musieli ścigać w lesie strażników, możesz się im bardzo przydać. A poza tym, umiesz poruszać się w dżungli.

- Hrrrrrhhhhh!

Jak zwykle, Chewbacca nie był zachwycony, że musi się rozstać z partnerem.

- Daj spokój! - zachnął się Solo. - Strażnicy mogą włamać się do skarbcza i ukraść najcenniejsze przedmioty! To nasza działka, nie pamiętasz?

Chewie mruknął coś, ale bez większego przekonania. Jego opór najwyraźniej słabł.

- Posłuchaj, futrzaku - burknął Han. - Nie pora teraz na kłótnie. Mam zaufanie do Muuurgha i Mrrov, ale nie mogę wierzyć pozostałym Togorianom. Wystarczy, że do skarbcza wdrze się jeden strażnik. Pomóż Muuurghowi i Mrrov zabezpieczyć budynek. Upewnij się, że skarbiec jest zamknięty. Później możesz tu powrócić. Cała wyprawa nie powinna ci zająć więcej niż pół godziny. Pamiętasz, gdzie znajduje się skarbiec? Pokazywałem ci na planie...

- Hrrrrrrnnnnnnnnnn...

- Dobrze. Zabieraj stąd swój kosmaty tyłek i ruszaj w drogę.

Chewbacca nie był zadowolony, ale bez słowa odwrócił się i odszedł.

W tej samej chwili z różowiejącego nieba zaczęły opadać na ziemię - niczym stalowy deszcz - wahadłowce Rebeliantów. Większość lądowała pośrodku dziedzińca.

Dopiero teraz Han mógł odpiąć i unieść do ust manierkę. Łykając pierwszy haust wody, zauważył, że biegnie ku niemu jakaś ciemna postać. Nasunął na oczy gogle - musiał zmrużyć oczy, jako że rozwidniało się coraz szybciej - i ujrzał Landa. Jeszcze zanim spojrzął na twarz hazardzisty, uświadomił sobie, że stało się coś złego. Podbiegł do przyjaciela.

- Hanie... to Jarik - odezwał się zdyszany Calrissian. - Chłopak porządnie oberwał... Nie przeżyje. Prosił, żebym cię sprowadził.

- Niech to diabli! - zaklął Solo.

Obaj pobiegli.

Lando poprowadził przyjaciela do wzniesionego przez saperów prowizorycznego szpitala i wskazał mu jakieś nosze. Han podszedł do nich, pochylił się, spojrzął... Rozpoznał jedynie rozwichrzoną czuprynę chłopaka, nic więcej. Twarz młodzieńca przemieniła się w czerwoną spieczoną galaretę. Z początku Korelianin myślał, że Jarik nie żyje. Dopiero po kilku chwilach zauważył, że chłopak wciąż jeszcze ciężko oddycha. Z nadzieją spojrzął na oczy najbliższego lekarza. Alderaanin ponuro pokręcił głową i bezgłośnie powiedział:

- Niestety.

- Hej... - odezwał się głośno Solo. - Jariku... czy mnie słyszysz? - Ujął umazaną błotem dłoń młodzieńca i lekko ją uściśnił. - Chłopcze... to ja, Han.

Jarik nie miał nawet powiek. Korelianin domyślił się, że chłopiec nie widzi. Mimo to młodzieniec odwrócił głowę. Jego usta się poruszyły...

-Hanie...

- Nie próbuj nic mówić... niedługo wydobrzejesz. Lekarze zanurzą cię w zbiorniku bacta i zanim się obejrzysz, znów będziesz uganiał się za dziewczynami albo polował na żołnierzy Imperium.

Chłopak wypuścił trochę powietrza. Han zorientował się, że młodzieniec usiłuje się roześmiać.

- Łgarz... - szepnął tak cicho, że Han z trudem usłyszał. - Hanie... muszę... ci... coś... powiedzieć.

Solo z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Ta-a? No cóż, zamieniam się w słuch, kolego.

- Nazwisko... moje nazwisko... nie nazywam się... Solo. Skłamałem.

Han odchrząknął.

- Ta-a, wiedziałem o tym, chłopcze. Nic się nie stało. Moim zdaniem, już dawno zasłużyłeś na to nazwisko.

- Wie... wiedziałeś?

- Jasne - przyznał beztrudno Korelianin. - Od samego początku, Jariku.

Bezładne palce młodzieńca wyprężyły się i znów zwiotczały. Han pochylił się, żeby sprawdzić puls. Później delikatnie uwolnił swoją dłoń. Ujrzawszy, że obok przechodzi zaferowana lekarka, pochwyił ją za rękaw kitla.

- Chłopak nie żyje - oznajmił. - Gdzie może być jego tabliczka identyfikacyjna?

Kobieta wręczyła mu informacyjną płytkę z wtopionym mikroobwodem. Han ujął ją i tam, gdzie było miejsce na „imię i nazwisko zmarłego” wpisał: „Jarik Solo”.

Lekarka wezwała sanitariuszy. Po kilku sekundach zjawiły się dwa androidy. Han obserwował, jak - szybko i fachowo - zawinęły ciało zmarłego młodzieńca w prześcieradło, a potem przeniosły je i ułożyły obok wielu innych równie starannie owiniętych ciał, spoczywających rzędem na ziemi.

Zanim zdążył odwrócić głowę, zauważył, że automaty kładą na zwolnionych noszach inną osobę.

- Wody... - wychrypiała ranna kobieta.

Han podał jej swoją manierkę.

- Nie martw się - powiedział, podtrzymując jej głowę. - Z pewnością wydobrzejesz.

Kobieta łapczywie wypila prawie całą wodę.

- Dzięki - westchnęła, po czym znów opadła na nosze.

- Nie ma za co - odrzekł Solo. - Jak się nazywasz?

- Lyndelah Jenwald... - mruknęła i skrzywiła się z bólu. - Jestem ranna w rękę...

- Zaraz sprowadzę pomoc - obiecał Han, po czym odwrócił się i odszedł, by poszukać lekarza.

Kiedy oddał Jenwald w ręce fachowców, opuścił szpital i dołączył do Landa. Hazardzista spojrziała na niego ze współczuciem.

- Hanie, strasznie mi przykro. Staralem się mieć na niego oko, ale tamci rzucili granat i musiałem paść na ziemię... a kiedy wstałem i spojrzałem...

Calrissian urwał i ze smutkiem rozłożył ręce. Han kiwnął głową.

- Wiem, jak to jest, Lando - powiedział. - Nie mogłeś nic poradzić. Nie miej do siebie żalu. - Głęboko odetchnął. - Był dobrym chłopakiem.

- Ta-a... - zaczął Lando i urwał, kiedy usłyszeli znany ryk. Han przynaglił hazardzistę niecierpliwym gestem. Pobiegli przez dziedziniec do miejsca, skąd dobiegał głos Chewiego.

Gdy Chewbacca przekonał się, że Han jest cały i zdrowy, chwycił go za ramię i w rozwichrzył mu włosy. Han zaczerpnął głęboki haust powietrza.

- Chewie, stary kumplu - powiedział. - Weź się w garść. Jarik nie żyje.

Wookie wpatrywał się w niego, jakby nie rozumiał. Później odchylił do tyłu głowę. Z jego gardła wydarło się przeciągłe wycie... pełne bólu, wściekłości i rozpacz. Han czuł to samo.

Kiedy Chewie się opanował, odciągnął Hana na bok i energicznie gestykułując, kilka razy zaryczał.

- Mrrov? - zapytał Solo. - Jest ranna? Przeżyje?

Chewbacca nie był pewien, ale sądził, że tak.

- Powinienem odnaleźć Muuurga - zdecydował Korelianin. - Wiesz, co, Chewie? Idź na plażę, do „Sokoła”, i przeleć nim na przedpole hangaru obok budynku administracyjnego, dobrze? W taki sposób łatwiej i szybciej przeniesiemy wszystko do ładowni.

Chewie kiwnął głową i odszedł. Jego wysoka sylwetka zniknęła w tłumie żołnierzy, krzątających się i tłoczących w przejściach między szturmowymi wahadłowcami Rebeliantów a frachtowcami i trampami przemysłowców.

Rozejrzał się w nadziei, że zobaczy Landa, ale ciemnoskóry przyjaciel gdzieś zniknął. Udał się więc do polowego szpitala i zapytał pierwszego napotkanego lekarza, gdzie leżą ranni Togorianie. Lekarz nie wiedział. Dopiero trzecia zapytana osoba wskazała mu właściwe miejsce.

Han musiał udać się do innego prowizorycznego szpitala, gdzie opatrywano rany istot nie będących ludźmi. Od razu ujrzał wielką, czarną sylwetkę Muuurgha, pochylającą się nad noszami. Pospieszył ku niemu.

- Hej, Muuurghu!

Słyszac znajomy głos, Togorianin odwrócił się gwałtownie. Natychmiast się wyprostował i pochwycił Hana w objęcia.

- Muuurgh jest rad, że widzi Han Solo - powiedział. - Zaraz nas stąd zabierają, a Muuurgh nie chciał odlatywać bez pożegnania.

Korelianin popatrzył na Mrrov. Bandaże skrywały pół jej głowy.

- Co się stało?

- Muuurgh i Mrrov stali na straży lądowiska. Napaść na nas trzej Gamorreanie. Zanim Muuurgh rozszarpał gardło jednego ten dwukrotnie uderzył Mrrov piką mocy.

- Och... hej, kolego... strasznie mi przykro... - odezwał się Solo. - Ale nic jej nie będzie, prawda?

- Straciła oko - odparł Togorianin. - Lekarze twierdzą, że może trzeba amputować jej rękę. Jeszcze nie wiedzieć na pewno. Ale Mrrov przeżyje. Jest dumna, że uwolnić pielgrzymów. I że kapłani nie żyją.

Han kiwnął głową, nie wiedząc, co mógłby powiedzieć. Przyglądał się, jak do rannej Togorianki podchodzi dwóch sanitariuszy z antygrawitacyjnymi noszami. Ostrożnie przełożyli na nie ranną istotę. Korelianin towarzyszył Muuurghowi do szpitalnego wahadłowca. Chwilę patrzył, jak sanitariusze wnoszą Mrrov po rampie, a potem bez słowa uściskał przyjaciela na pożegnanie.

Kiedy wahadłowiec wystartował, Han skierował się w stronę wielkiego magazynu przyprawy. Miał nadzieję, że właśnie tam znajdzie Brię. Ujrzawszy spieszącego dokądś Jace'a Paola, zapytał go, czy nie widział Korelianeki. Porucznik wskazał baraki pielgrzymów. Han zawrócił i przyspieszył kroku, ale w pół drogi między magazynem a najbliższym barakiem zamarł bez ruchu.

Rebeliancy żołnierze wyprowadzili z baraku zdezorientowanych niewolników. Oszołomieni i przerażeni pielgrzymi w każdej chwili mogli wpaść w panikę. Przed nimi stała Bria z włączonym megafonem.

- Posłuchajcie! - zawołała. - Wszyscy kapłani nie żyją! Przylecieliśmy tu, żeby zwrócić wam wolność!

- Zamordowali kapłanów! - krzyknął jakiś starzec i rozplakał się.

Z tłumy niewolników dobiegły jęki i okrzyki.

- Szybko, wchodźcie na pokłady wahadłowców! - zawołała Koreliancka. - Czekają tam na was lekarze! Chcą wam pomóc! Mają wszystkie niezbędne leki. Od razu poczujecie się o wiele lepiej! Wyleczymy was!

Pielgrzymi zdradzali coraz większy niepokój. Jedna chwila i zaczęły się zamieszanie - pomyślał Solo. Słowa Brii najwyraźniej nie docierały do ich świadomości.

- Chcemy Uniesienia! - zawołał nagle któryś. W następnej sekundzie okrzyk podchwycili pozostali. W powietrze uniósł się las raje. Wyrażając pięściami, krzyczeli już wszyscy: - Chcemy Uniesienia!

Bria machnęła ręką w kierunku czekających gwiazdnych statków.

- Pomożemy wam! - krzyknęła przez megafon. - Wchodźcie na pokłady wahadłowców!

Nagle tłum krzyzących niewolników zafalował i runął naprzód. Rozgoryczona i smutna Bria dała znak żołnierzom, którzy zaczęli omiatać gromadę pielgrzymów wiązkami ogłuszających strzałów. Nieszczęśnicy padali jak muchy.

Han, który sam został kilka razy ogłuszony i doskonale pamiętał późniejsze doznania, współczuł niewolnikom. Prawdę mówiąc, był trochę zaskoczony bezwzględnością Brii. Miał jej za złe, że wydała rozkaz strzelania do niewolników.

Doszedł jednak do wniosku, że zwracanie jej uwagi albo prawienie morałów nie miałyby większego sensu. Wahając się, co robić, stał i obserwował, jak automaty wnoszą nieruchome, zwiotczałe ciała niewolników na pokłady wahadłowców. Bria odwróciła głowę i ich spojrzenia się spotkały.

Han pomachał ręką, a ona podbiegła do niego. Oboje się objęli. Zadowoleni i uspokojeni, z całej siły przytulili się do siebie.

- Jarik? - zapytała w końcu Koreliancka. Han pokręcił głową.

- Nie żyje - powiedział.

- Och, Hanie... tak mi przykro!

Han pocałował ją w usta. Dłuższy czas stali objęci pośród powszechnego chaosu.

W końcu Bria uwolniła się z uścisku Hana.

- Najwyższy czas pójść do budynku administracyjnego - oznajmiła. - Musimy przekonać się, co ze skarbcem.

Solo kiwnął głową.

- Poleciłem Chewiemu, żeby przyleciał tu „Sokołem” - powiedział, spoglądając w prawo i w lewo. - Kiedy wylądujemy, załadujemy wszystkie skarby.

Słońce wzeszło. Po dziedzińcu krzątali się Rebelianci. Choć każdy miał do wykonania ważne zadanie, żołnierze wyglądali, jakby kręcili się bez celu.

- Gdzie jest Lando? - zainteresował się Han. - Jeszcze przed kilkoma minutami go tu widziałem. Czyżby poszedł do magazynu po swoją część przyprawy?

- Chodźmy! - przynagliła go Koreliancka.

Han popatrzył na magazyn. Zapewne Lando był w środku i czekał na swoją dolę. Kiedy w końcu go zauważył, postąpił krok w tamtą stronę. Bria jednak go powstrzymała.

- Nie! - powiedziała. - Chodźmy! Nie możemy tracić czasu!

Han zmrużył oczy.

- Tam się dzieje coś dziwnego - oznajmił, nie odrywając spojrzenia od wrót magazynu.

Lando, Arly Bron, Kaj Nedmak i pięciu albo sześciu kapitanów przemytniczych transportowców stało przed otwartymi wrotami magazynu... zupełnie nieruchomo. Han popatrzył na Landa. W tej samej chwili hazardzista obejrzał się przez ramię i zobaczył przyjaciela. Mimo to nie uczynił żadnego ruchu.

- Chodźmy!

Han ruszył... ale w stronę magazynu. Po kilku krokach zorientował się, dlaczego przemytnicy się nie poruszali. Obok wrót czał się automatyczny ciężki blaster, osadzony na trójnogu. Stojący za nim rebeliancki żołnierz mierzył do przemytników. W pewnej odległości od niego - w odstępie kilku kroków - stali trzej inni Rebelianci. Każdy trzymał gotowy do strzału blasterowy karabin.

- Co tam, do diabła, się dzieje? - wybuchną Korelianin. Odwrócił się na pięcie i popatrzył gniewnie. - Co ty wyprawiasz?

Kobieta przygryzła dolną wargę.

- Miałam nadzieję, że się nie dowiesz - rzekła cicho. - Tak byłoby o wiele prościej. Widzisz, Hanie, ubiegłego wieczora otrzymałam nowe rozkazy. Szykuje się coś wielkiego... coś bardzo groźnego. Musimy mieć wszystkie kredyty, jakie uda nam się zdobyć. Każdy musi coś poświęcić... z czegoś zrezygnować. Kapitanów przemytniczych statków przetrzymujemy - na krótko - jako zakładników. Członkowie ich załóg mogą ładować surową przyprawę... ale Rebelianci muszą zabrać stąd wszystko, co najcenniejsze i najlepsze. Potrzebujemy tego, Hanie. Przykro mi, ale nie miałam wyboru.

Han aż otworzył usta. Popatrzył przez ramię na innych przemytników. Byli nie mniej niż on zdumieni i oburzeni. Piorunowali go spojrzeniami.

Co powinienem zrobić? - pomyślał Solo. - Zrezygnować ze swojej części łupów ze skarbcza Teroenzy i opowiedzieć się po stronie korsarzy i przemytników? Gdyby oni znaleźli się na jego miejscu, większość nie kiwnęłaby palcem, by mu pomóc. A poza tym... prawdę mówiąc, prawie nikogo spośród nich nie znał.

Z wyjątkiem Landa...

Han pokręcił głową i nie kryjąc urazy, popatrzył na Koreliankę.

- Kochanie, dlaczego po prostu nie powiedziałaś mi, co chcesz zrobić?

- Ponieważ nie zgodziłbyś się na to - odparła z goryczą.

- Ale Lando to mój przyjaciel. - Han wzruszył ramionami. - Pozostali... no cóż, właściwie są obcy. Ale Lando...

- Daj spokój - zachnęła się Bria. - Część łupów ze skarbcza należy do ciebie i możesz z nią zrobić, co tylko zechcesz. Jeżeli dręczą cię wyrzuty sumienia, możesz później odstąpić coś Calrissianowi.

Han zastanowił się nad jej propozycją. Ciężko westchnął. Jakoś ci to potem wynagrodzę, Lando - postanowił. - A co mnie to wszystko obchodzi. Odwrócił się i ruszył za Brią. Zostawił za sobą rozwścieczonych przemytników. Paskudna historia - pomyślał ponuro. - Ale co innego mogę zrobić?

Cieszył się, że nie było przy nim Chewiego. Wookie miewał bardzo wrażliwe sumienie... czasami aż przesady.

Kiedy Han i Bria dotarli do budynku administracyjnego, zastali tam i Chewiego, i ustawionego przed hangarem „Sokoła”. Chewbacca chciał wiedzieć, gdzie jest Lando. Han wahał się chwilę.

- Odleci z Arlym - powiedział.

Całe szczęście, Chewie myślał tylko o skarbcu Teroenzy. Nawet nie zauważył załopotania przyjaciela.

Han sięgnął po niewielki termiczny detonator z arsenału Rebeliantów. Drzwi wejściowe skarbcza stanęły otworem.

Wszedł do środka i, zamarł bez ruchu. Większość półek świeciła pustkami.

-Co...

- Teroenza chciał wywieźć kolekcję! - wykrzyknęła Bria, wyciągając rękę. - Spójrzcie, wszystko zapakował do skrzyń! Oszczędził nam pracy!

Wielkie tylne drzwi skarbcza były uchylone -jakby arcykapłan zdążył wynieść niektóre skarby. Han spojrzał przez szczelinę, ale nie zobaczył żadnego gwiazdowego wadłowca. Zapewne Teroenza zdołał wezwać statek, zanim został zamordowany przez kogoś ze skrytobójców Jabby.

- Doskonale! - wykrzyknął i obrócił Brie jak w tańcu. - Dziękujemy Teroenzo!

Wycisnął na ustach Korelianki przelotny, ale namiętny pocałunek. Potem odwrócił się i powiodł spojrzeniem po stojących na podłodze skrzyniach ze skarbami.

- No cóż, przydałby się nam tu repulsorowy podnośnik - zauważył. - Mamy jeden na pokładzie „Sokoła”. Chewie, czy mógłbyś...

- Nie ruszaj się, Solo - odezwał się nagle głos z przeszłości.

Han znieruchomiał. Teroenza wypełził zza białej jadeitowej fontanny, za którą się ukrywał.

Arcykapłan trzymał blasterowy karabin, a błysk szaleństwa, jaki rozjarzył się w jego oczach, uświadomił Hanowi, że tym razem łatwo się nie wykrepi.

- Ręce do góry - rozkazał Teroenza.

Han, Chewie i Bria posłusznie unieśli ręce. Solo zerknął na towarzyszy. Gorączkowo się zastanawiał, jak znaleźć wyjście z sytuacji. Teroenza ani na sekundę nie spuszczał z nich oczu.!

- Sprawi mi to wielką radość, Brio Tharen i Hanie Solo - oświadczył arcykapłan. - Wezwałem pilota, żeby zabrał mnie z kolonii czwartej. Odleczę z tego parszywego świata... rzecz jasna, ze skarbami. Będę tęsknił za swoją towarzyszką życia, ale - w gruncie rzeczy - mogło spotkać mnie coś gorszego. Możliwe, że zaproponuję swoje usługi lordom klanu Desilijic...

- Hej - odezwał się Han. - Jestem przyjacielem Jabby. Jeżeli mnie zabijesz, nie będzie zachwycony.

Teroenza wybuchnął chrapliwym śmiechem.

- Huttowie nie wiedzą, co to przyjaźń - parsknął. - Żegnaj, Solo.

Wymierzył blaster w Hana i położył na spuście koniec krótkiego, grubego palucha. Han zamknął oczy. Usłyszał charakterystyczny skowyt blasterowego strzału...

...nie poczuł jednak nic. Żadnego bólu. Żadnego nieznośnego żaru.

Po dłuższej chwili rozległ się głuchy stuk upadającego ciała.

Zastrzelił Brie - pomyślał Solo i otworzył oczy.

Na podłodze leżało jednak cielsko Teroenzy. W miejscu, gdzie kiedyś znajdowało się wielkie, wyłupiaste lewe oko, widniała teraz ogromna, czarna dziura.

Zdezorientowany Han rozejrzał się po pomieszczeniu. Nie wiedział, czy postradał zmysły, czy może tylko majaczy. Co się dzieje? - pomyślał, nie wierząc własnym oczom.

Usłyszał nagle, że stojąca obok niego Bria zachłysnęła się powietrzem.

Obrócił głowę i zobaczył, że z mrocznego kąta skarbcza wychodzi Boba Fett. Łowca nagród trzymał w dłoniach blasterowy karabin.

No, to pięknie! - pomyślał Han ponuro. - Teraz poniesiemy śmierć z ręki Fetta!

Łowca nagród powoli podszedł do zwłok arcykapłana. Cały czas trzymał blaster wymierzony w oboje Korelian i Chewiego. Potem przełożył broń do lewej dłoni i przyklęknął na jedno kolano. Nie opuszczając lufy, wyjął niewielkie wibroostrze. Włączył miniaturowe urządzenie i chwilę czy dwie słuchał, jak brzęczy. Potem przyłożył ostrze do głowy Teroenzy i odciął róg istoty u nasady.

Han nie mógł otrząsnąć się z szoku. Kręciło mu się w głowie.

W końcu łowca nagród wstał, schował wibroostrze, pochylił się i wsunął róg arcykapłana pod pachę. Idąc tyłem, zaczął się cofać do wielkich drzwi skarbcza.

Han nie mógł się powstrzymać.

- Zostawiasz nas? - wyrwało się Hanowi.

Czyżby w wytwarzanym przez syntezator głosie Boby Fetta zabrzmiała nuta rozbawienia?

- Tak jest - powiedział łowca nagród. - Dostałem priorytetowe zlecenie na zabicie kapłana. Nie przyleciałem tu po was.

Nadal idąc tyłem, dotarł do uchylonych drzwi i przemknął się przez szczelinę. Zniknął równie cicho, jak przedtem się pojawił.

Han otworzył usta i dłuższy czas stał nieruchomo. Nagła ulga spowodowała, że czuł się lekki jak piórko.

- Brio! - krzyknął i pochwycił Korelianę w objęcia.

Bria, Han i Chewie zaczęli podskakiwać i krzyczeć z radości. Cieszyli się jak małe dzieci.

Później Han poszedł do „Sokoła” po repulsorowy podnośnik. Wszyscy troje ustawili skrzynie na posadzce w taki sposób, żeby ładowanie zajęło jak najmniej czasu.

Nagle, na permabetonowej płycie obok „Sokoła”, wylądował rebeliancki wahadłowiec szturmowy. Zdumiony Han obserwował, jak po rampie schodzi Jace Paol w towarzystwie grupy uzbrojonych Rebeliantów.

- Brio... - odezwał się, spoglądając na Korelianę. - Hej... co to ma znaczyć? To nasz skarb. Mój i twój. Zabierzemy go i odlecimy „Sokołem”. Razem... pamiętasz?

Kobieta odwzajemniła jego spojrzenie. Przygryzła wargę i nie odpowiedziała. Żołądek Hana zacisnął się w lodowaty węzeł.

- Brio... kochanie... pamiętasz? Obiecałaś. Mówiłaś, że będziemy zawsze razem. Pamiętasz? Zawsze. - Przełknął ślinę. - Brio...

Zrozpaczony Chewie zaryczał. Nagle w dłoni Brie pojawił się blaster. Kobieta wymierzyła broń w Koreliana i Wookiego.

- Hanie - odezwała się cicho. - Musimy porozmawiać.

ROZDZIAŁ

15

OSTATNI PRZELOT TRASĄ NA KESSEL

Ostupały Han wpatrywał się w wylot blastera. Broń nastawiona była na ogłuszanie.

- Kochanie... - powiedział. - Co ty wyprawiasz?

- Muszę zabrać wszystko, Hanie - odparła kobieta. - Nie dla siebie, tylko dla ruchu oporu.

Skinęła na Rebeliantów, którzy przystąpili do pracy. Przesunęli repulsorowy podnośnik Hana i zaczęli ładować skrzynie ze skarbami.

Solo nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przyglądał się, jak pierwszy stos skrzyń znika za drzwiami skarbcza Teroenzy.

- Brio - wychrypiął w końcu. - Nie wolno ci tego robić. To się nie dzieje naprawdę. To tylko... taki żart, prawda? Chcesz mnie wypróbować?

- Przykro mi, Hanie - odrzekła Korelianka. - Muszę zabrać wszystko. Absolutnie wszystko, co moi ludzie zdołają znaleźć na tej parszywej planecie. Całą przetworzoną przyprawę... broń i skarby. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale nic na to nie poradzę.

- Czy pozostali rebeliancy dowódcy też tak postępują, Brio? - zapytał Solo.

- O ile wiem, nie - odrzekła kobieta. - Tylko ja otrzymałam wczoraj taki rozkaz. Nasi wywiadowcy donieśli, że Imperium przygotowuje coś wielkiego. Naprawdę ogromnego. Coś, co może zadecydować o losie wielu światów. Musimy się dowiedzieć, co knuje, a to pochłonie sporo kredytów... mnóstwo. Na łapówki, broń, wyposażenie szpiegowskie, żołd... mogłabym tak wyliczać bez końca. Mam tylko nadzieję, że wystarczy nam to, co zdobędziemy na Ilezji.

Han przesunął językiem po zeschniętych wargach.

- Myślałem, że mnie kochasz - powiedział. - Sama mi to powiedziałaś.

Za drzwiami skarbcza zniknęła druga sarta skrzynek. Han przyglądał się, jak żołnierze wnoszą je do ładowni wahadłowca. Chciał jęknąć. Chewie nie tylko chciał. Głośno zawył.

Bria westchnęła i kiwnęła głową.

- Tak, kocham cię - odrzekła cicho. - Chcę, żebyśmy zawsze byli razem. Przyłącz się do nas, Hanie. Nie możesz powrócić teraz na księżyc Nar Shaddaa. Przyłącz się do nas, Razem będziemy walczyli przeciwko Imperium. Ty, ja i Chewie. Zobaczysz, stworzymy zgrany zespół! Wszyscy musimy z czegoś zrezygnować dla dobrej sprawy. My poświęcimy się, rezygnując z naszej części łupów. Chyba nie sądzisz, że zamierzam zatrzymać cokolwiek dla siebie?

Han pokręcił głową.

- Nie, wcale tak nie sądziłem, Brio. - W jego głosie zabrzmiała nieopisana gorzkość. - Ani przez chwilę. - Z trudem nabrał powietrza. - Brio... a tak cię kochałem.

Kiedy kobieta uświadomiła sobie, że użył czasu przeszłego, na jej twarzy odmawiała się udreka.

- Hanie, ja ciebie nadal kocham! - wykrzyknęła. - Naprawdę cię kocham! Tylko nie mogę dopuścić, żebyś pogrzebał szanse Sojuszu Rebeliantów! Ta wyprawa była dla nas czymś w rodzaju egzaminu. Zdaliśmy go, Hanie! Opanowaliśmy całą planetę! Kiedy pozostałe ugrupowania ruchu oporu dowiedzą się o tym, uwierzą we własne siły i może zechcą się do nas przyłączyć. Jestem pewna, że ta wyprawa przejdzie do historii Rebelii!

- Ta-a, jako wyprawa, podczas której Bria Tharen nabiła w butelkę ludzi, którzy jej zaufali - zauważył cierpko Solo. - Nie wyłączając kogoś, kogo ponoć kochała.

W oczach kobiety zakręciły się łzy. Lśniące strużki spłynęły po policzkach. Widząc, że jej żołnierze manewrują repulsorowym podnośnikiem, żeby przetransportować kolejny stos skrzynek ze skarbami, Korelianka usunęła się na bok.

- Hanie... Proszę cię... proszę... poleć ze mną. Jesteś urodzonym dowódcą. Nie możesz dłużej żyć jak przestępca. Jeżeli przyłączysz się do Sojuszu Rebeliantów, bardzo szybko awansujesz na oficera. Otrzymasz wysoki żołd. Może nie fortunę, ale wystarczy na godziwe życie. Proszę cię, Hanie!

Mężczyzna zmierzył ją lodowatym spojrzeniem. Bria zaniósła się od płaczu. Ujrzawszy to, Jace Paol podszedł do niej i wyjął blaster z jej drżących palców.

- Ładujemy ostatnią partię skrzynek, pani komandor - zameldował.

Kobieta kiwnęła głową i z trudem się opanowała. Otarła oczy rękawem munduru.

- Proszę cię, Hanie - podjęła po chwili. - Jeżeli jesteś teraz bardzo zły, zrozumieć. Po prostu... prześlij mi wiadomość. Jabba wie, jak się ze mną skontaktować. Proszę cię, Hanie.

- Jasne, prześlę ci wiadomość - odparł Solo. - Pamiętasz wszystko, co ci powiedziałem tamtego wieczora w Błękitnym Świecie? No cóż, mówiłem świętą prawdę. Ale ufając ci, zrobiłem z siebie głupca. - Pogrzebał w wewnętrznej kieszeni i wyciągnął niewielki woreczek, z którego wyjął arkusik flimsiplastu. - Pamiętasz to, hmmm?

Bria uniosła głowę i podeszła bliżej. Później cofnęła się i kiwnęła głową. Zbladła i zacisnęła zęby. -Tak...

- No cóż, byłem tak głupi, że nosiłem go na sercu przez te wszystkie lata. - Han prychnął pogardliwie. - Ale od tego dnia żadna kobieta nie zrobi ze mnie głupca, siostrze. Żadna kobieta mnie nie otumani. Nigdy.

Demonstracyjnie powoli uniósł arkusik, po czym go podarł. Pozwolił, żeby przeliznęły się między palcami i sfrunęły na podłogę.

- Lepiej wracaj na pokład swojego statku i wynoś się stąd, póki jeszcze możesz - powiedział lodowatym tonem. - Jeżeli jeszcze kiedyś w tym życiu cię zobacze, strzelam bez ostrzeżenia.

Wstrząśnięta Bria wpatrywała się w niego. Nie odezwała się ani słowem. W końcu Paol ujął ją pod rękę i powiedział:

- Pani komandor... skończyliśmy ładować.

- Dobrze - odezwała się kobieta. Jej cichy głos drżał. - Hanie... Bardzo mi przykro. Zawsze będę cię kochała. Zawsze. Nigdy nie liczył się nikt oprócz ciebie... i nigdy nikt nie zajmie twojego miejsca. Przepraszam.

Porucznik Paol objął ją i zwrócił się do Hana.

- Zostawiłem jedną skrzynkę i podnośnik. Radzę nie tracić czasu. Nastawiliśmy zapalniki detonatorów na trzydzieści minut.

Powoli wycofał się do drzwi, cały czas kierując blaster w Hana i Chewiego. Mierzyli do nich także inni Rebelianci, którzy czuwali na straży obok szturmowego wahałdowca.

Han stał jak sparaliżowany. Bez słowa przyglądał się, jak rebeliancki statek unosi się w powietrze i odlatuje.

Kiedy zniknął, Korelianin usiłował nabrać powietrza, ale przekonał się, że nie może. Za każdym razem odczuwał dojmujący ból w piersi. W końcu odetchnął. Odnosił wrażenie, że coś kłuje go w oczy. Przygryzł dolną wargę, aby ból pozwolił mu odzyskać panowanie nad sobą.

- Chewie - zwrócił się do przyjaciela. - To jeden z najwspanialszych dni naszego życia, nie uważasz?

Wookie próbował go pocieszyć przeciągłym, współczującym wyciem.

- No cóż, powinniśmy się stąd zmywać - oznajmił Solo. - Wiesz, co ci powiem, kolego? Zostało niewiele czasu, ale postaraj się przetrząsnąć budynki tej kolonii. Może w pośpiechu pozostawili jakieś fiołki z błyszczostymem albo inne cenne przedmioty. Ja zajrzę do osobistych apartamentów Teroenzy. Pewnie znajdę tam coś wartościowego. Spotkamy się tu za siedemnaście minut. Nie później, partnerze.

- Hrrrrrrggggggghhh!

Wookie odwrócił się i wyszedł na dwór.

Han przeszukał skarbiec i apartament Teroenzy. Rzeczywiście, znalazł kilka wartościowych drobiazgów... i zapłakanego Ganara Tosa. Zmierzył starą człekokształtną istotę lodowatym spojrzeniem.

- Masz szczęście, że się z nią nie ożeniłeś - powiedział. - A teraz wynoś się stąd, Tos. Za kwadrans ten budynek przemieni się w kupę gruzów.

Sędziwy Zisianin czmychnął niczym spłoszony robak. Han parsknął pogardliwie i przeszukał pozostałe pomieszczenia.

Kiedy zaniósł na pokład „Sokoła” woreczek ze znalezionymi przedmiotami, stanął we władze i zaczął wpatrywać Chewiego. Pospiesz się, futrzaku - przynaglił go w myślach.

Powrócił do sterowni, żeby zająć się procedurami przedstartowymi, ale kilka chwil później usłyszał głos przyjaciela. Chewbacca domagał się, żeby Han natychmiast do niego przyszedł i przekonał się, co znalazł.

Han poczuł, że jego serce zaczyna bić żywszym rytmem. Kasetkę z ampułkami błyszczostymu - pomyślał z nadzieją.

Wybiegł ze sterowni, ale stanął jak wryty na skraju włazu. U stóp rampy stał Chewbacca w otoczeniu gromady obszarpanych, umorusanych, wygłodniałych i przerażonych dzieci. Najmłodszego brzdąca tulił do kosmatego torsu. Pozostałych ośmioro mogło mieć od czterech do dwunastu lat.

Han wpatrywał się w całą gromadę jak urzeczony.

- Co to takiego? - odezwał się w końcu. - Do licha, Chewie! Skąd ich wytrzasnąłeś?

Chewbacca wyjaśnił. Przeszukiwał opustoszałe budynki, kiedy usłyszał ciche jęki i okrzyki. Dobiały z piwnicy jakiegoś baraku niewolników. Kapłani najwyraźniej przetrzymywali tam dzieci, które urodziły się uwięzionym na Ilezji pielgrzymom. Zapewne uzależnieni od Uniesienia rodzice, odlatując z planety, zapomnieli powiedzieć Rebeliantom o swych pociechach.

Wszystkie dzieci były istotami ludzkimi. Han domyślił się, że ich rodzice pochodzili z Korelii. Popatrzył na Wookiego i jęknął.

- Chewie! - powiedział. - Wysłałem cię, żebyś znalazł coś cennego!

Oburzony Chewbacca wyjaśnił, że uważa dzieci za największy skarb.

- Tylko wówczas, jeżeli sprzedamy je na targowisku niewolników - burknął Solo.

Chewie cofnął górną wargę i odsłonił ogromne zęby. Groźnie warknął.

Han uniósł ręce.

- Dobrze, dobrze. Tylko żartowałem! Przecież wiesz, że nigdy nie handluję niewolnikami. Tylko co teraz z nimi pocniemy?

Chewbacca przypomniał, że do wysadzenia budynków w powietrze pozostało niecałe pięć minut. Nie uważa zatem, aby to była odpowiednia chwila na zastanawianie się, co zrobić z dziećmiakami.

Han rzucił mu gniewne spojrzenie.

- No dobrze, pędraki - powiedział w końcu. - Wchodźcie na pokład, tylko szybko. Chyba znajdują się dla was jakieś racje żywnościowe.

Dziesięć minut później „Sokół” wystartował. Han zatoczył krąg nad dziedzińcem kolonii. Z ponurą satysfakcją obserwował, jak budynki -jeden po drugim - przemieniają się w gigantyczne ogniste kule. Wiedział, że po kilku godzinach nie pozostanie z nich nic oprócz szerniałych, wypalonych szczątków, a po roku czy dwóch całą polanę weźmie we władanie ilezjańska dżungla...

Durga, lord klanu Besadii, przebywał na pokładzie luksusowego jachtu. Jego gwiazdny statek szybował nad pograżoną w mroku częścią Ilezji. Młody Hutt nie mógł uwierzyć własnym oczom. Spoglądał przez iluminator w dół i mimo dużej odległości wyraźnie widział pożary, szalejące w wielu miejscach na powierzchni planety. Wokół polan, na których kiedyś mieściły się kolonie, jarzyły się jaskrawo-pomarańczowe pla-

my. Podsycany przez porywisty wicher ogień obejmował coraz wieszę połacie dziewiczej dżungli.

Durga wiedział, że kilkoro jego podwładnych przeżyło tę katastrofę. Najemnicy z oddziału Nova, którzy się poddali... a także stary Ganar Tos. Posługując się ocalonymi z kataklizmu przenośnymi komunikatorami, nawiązali z nim łączność i opowiedzieli, co się stało. Kiedy jacht Durgi osiągnął orbitę, czekali tam na niego, skomląc o ratunek. Natomiast z przetwórci i magazynów przyprawy nie pozostało nic oprócz dymiących stert gruzów.

Wszystko przepadło... Durga wciąż jeszcze nie mógł się z tym pogodzić. Jednego dnia działało normalnie, a następnego... i to zaledwie w ciągu kilku godzin.

Przepadło. Wszystko stracone.

Durga zaczerpnął haust powietrza i przypomniał sobie rozmowę, którą zaledwie przed kilkoma minutami odbył z księciem Xizorem. Przywódca Czarnego Słońca zwracał się do niego grzecznie i uprzejmie, ale nie omieszkiał przypomnieć, że lord klanu Besadii jest mu winien mnóstwo kredytów. Xizor oświadczył jednak, że -mając na uwadze katastrofę, jaką zakończyło się przedsięwzięcie Durgi na Ilezji - z przyjemnością zgadza się na odroczenie terminu spłaty długu. Przywódca Czarnego Słońca zaproponował nawet, że - oczywiście za zgodą Durgi - pomoże klanowi Besadii w odbudowie fabryk i magazynów na Ilezji.

Nie - pomyślał lord Hurtów. - Nie ma sensu zaczynać wszystkiego od zera.

Po pierwsze, Rebelianci uwolnili tysiące pielgrzymów. Podobno - jeżeli wierzyć meldunkom szpiegów Xizora - wynaleźli „lekarstwo” czy odtrutkę na Uniesienie. Z pewnością już niedługo na wielu planetach pojawią się dziesiątki byłych niewolników. Rozgłoszą prawdę o Ilezji, a wówczas Durga będzie miał kłopoty ze znalezieniem nowych rekrutów.

Po drugie, samiec rasy flanda Til, którego Zier zwerbował na stanowisko arcykapłana, tylko raz rzucił okiem na to, co pozostało z kolonii i przerażony oświadczył, że nie chce mieć z Ilezją absolutnie nic wspólnego.

Nie - pomyślał lord Huttów. - Nie ma mowy. Następnym razem spróbuję czegoś innego.

Rzecz jasna, dobrze wiedział, że coś wymyśli. Znajdzie sposób, żeby klan Besadii jeszcze bardziej się wzbogacił. A jeżeli on, lord Durga, musi służyć księciu Xizorowi... No cóż, może trzeba będzie zastanowić się nad tym, jak zostać następnym przywódcą Czarnego Słońca?

Pierwszym i najpilniejszym zadaniem będzie awansowanie na Viga. A później... może rzucenie wyzwania samemu Xizorowi? A może nawet Imperatorowi? Durga wiedział, że jest mądry i sprytny. Był pewien, że - nie gorzej niż ktokolwiek inny - poradziłby sobie z władaniem opanowaną przez Imperium częścią galaktyki.

Spojrzał w dół, na jedyną pamiątkę, jaką pozostała mu z tego piekła. Długi, usmarowany posoką róg. Przynajmniej pomściłem śmierć Aruka - pomyślał z dumą. - Teraz ojciec może spoczywać w spokoju...

Włączył interkom i niemal natychmiast usłyszał głos pilota.

- Zabierz na pokład ocalałych najemników z oddziału Nova -rozkazał. - A później obierz kurs na planetę Nal Hutta. Nic tu po mnie. Wracam do domu.

- Tak jest, Wasza Ekszelencjo - odparł pilot.

Durga rozparł się wygodniej i westchnął. Sięgnął po róg Teroenzy i zamyślny, zaczął go gładzić. Układał plany na najbliższą przyszłość...

Kiedy sześć godzin później „Sokół” wyskoczył z nadprzestrzeni, Han Solo i Chewbacca wciąż jeszcze się sprzeczali, co zrobić z koreliańskimi sierotami. Nagle usłyszeli piski dobiegające z odbiornika komunikatora. Ktoś usiłował się z nimi skontaktować.

Chewie uważał, że powinni zabrać dzieciaki na Korelię, gdzie zajęliby się nimi krewni. Han protestował, twierdząc, że to strata paliwa i czasu.

- Zostawimy je w pierwszym lepszym kosmoporcie najbliższej cywilizowanej planety - powiedział. - Z pewnością ktoś się o nie zatroszczy.

Chewbacca - podkreślając, że jest ojcem - upierał się przy obraniu kursu na Korelię.

Han rzucił Wookiemu groźne spojrzenie. Odwrócił się i włączył komunikator, by odebrać wiadomość. Nad kontrolnym pulpitem pojawił się mały, świetlisty hologram Hutta Jabby.

- Hanie, mój chłopcze! - odezwał się jowialnie lord klanu Desilijic.

- Cześć, Jabbo - burknął Solo. - O co chodzi?

Jabba zmarszczył brwi, jakby lekko zdziwiony chłodnym powitaniem, lecz najwyraźniej postanowił nie zwracać na nie uwagi.

- Hanie, przyjmij moje gratulacje! - zahuczał radośnie. - Wasza wyprawa zakończyła się całkowitym powodzeniem! Jestem bardzo zadowolony!

- Wspaniale - mruknął ponuro Korelianin. - Czy chciałeś ze mną rozmawiać?

- Och... ho, ho! Nie, Hanie - zachichotał lord Huttów. - Chciałbym, żebyś poleciał na Kessel i skontaktował się z Moruthem Doolem. Ma dla mnie ładunek przyprawy. Przetransportuj go jak najszybciej do mnie, na Tatooine. Rozumiesz? Wszystko jest załatwione, a dostawa opłacona z góry.

- W porządku, Jabbo - odparł nieco cieplejszym tonem Solo. - Taka sama doła, jak zwykle?

- Oczywiście, oczywiście - zahuczał Jabba. - I może miła premia za szybką dostawę.

- Już tam lecę, Jabbo.

- To świetnie, Hanie, mój chłopcze. - Jabba wbił w Korelianina spojrzenie. - Aha, Hanie, jeszcze jedno... - ciągnął po chwili. - Później weź sobie jakiś urlop. Sprawiasz wrażenie wycieńczonego... czy zmęczonego. Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe tej uwagi?

- Ależ skąd, Jabbo - odparł Solo. - Zrobię sobie kilka dni odpoczynku.

Przerwał połączenie i spojrzał z ukosa na Wookiego.

- Wspaniale - mruknął. - Po statku pętają się skomlące bachory, a ja mam lecieć z nimi trasą na Kessel po przyprawę. Może najwyższy czas wycofać się z tego interesu? Może powinienem dać sobie spokój z przemytem?

Chewbacca stwierdził tylko, że kiedy wylądują na Kessel, powinni kupić sporo traladonowego mleka i zaopatrzyć się w mnóstwo podpłomyków.

Han jęknął... postarał się, by wypadło to jak najgłośniej.

Dwanaście godzin później, kiedy już ukryli przyprawę w tajnych skrytkach pod płytami pokładu, Han wystartował z lądowiska na Kessel. Pozwolił, żeby Chewie zajął się rozdawaniem jedzenia i picia głodnym dzieciom, a sam sprawdził współrzędne kursu i skierował frachtowiec ku Otchłani. Nagle ujrzała, że na kontrolnym pulpicie zaczyna mrugać jakaś lampka. Z przerażeniem uświadomił sobie, że ścigają ich dwa patrolowce imperialnych celników.

- Chewie! - wrzasnął. - Chodź tu do mnie!

Chwycił dźwignię i zaczął przyspieszać.

Do sterowni wbiegł Chewbacca.

- Przypnij te przeklęte bachory! - krzyknął Solo. - Później wróc do mnie! Ścigają nas dwa imperialne statki. Będziemy mieć ciężką przeprawę!

- Hrrrrrrnnnn!

Han nie przestawał przyspieszać. Leciał coraz szybciej. W końcu wycisnął z jednostki napędowej prędkość większą niż wówczas, kiedy ścigał się z Sallą. Kątem oka zauważył, że na fotel drugiego pilota opadł Wookie. W następnej sekundzie usłyszał za plecami cichy pisk. Odwrócił głowę i ujrzał małego urwisa, który otwierając coraz szerzej oczy - a przy okazji i usta - spoglądał przez iluminator na czeluść Otchłani.

- Co tu robisz, smarkaczu? - burknął Solo.

Tego mi tylko brakowało - pomyślał z ponurą satysfakcją. - Szczeniaka, który będzie się mazał za moimi plecami!

- Przyglądam się - odparł chłopiec.

- A nie boisz się, hmmm? - zadrwił Korelianin.

Obrócił „Sokoła” bokiem i przeleciał tuż obok świecącej chmury zjonizowanych gazów, które, wijąc się niczym wielobarwne węże, wpadały do gromady pobliskich czarnych dziur. Nagle pilot jednego z imperialnych patrolowców strzelił, ale haniebnie spudłował. Świetlista błyskawica przeleciała daleko od burty „Sokoła”.

Wspaniale - pomyślał Solo. - Nikogo nie obchodzi, że mam na pokładzie stado bachorów!

- Nie, psze pana! - zaszczębiotał malec. - To jest... po prostu super! Czy nie mógłby pan lecieć jeszcze szybciej?

- Miło mi, że ci się podoba - mruknął trochę udobruchamy Han. - No cóż, chłopcze. Mogę spróbować...

Przyspieszył jeszcze bardziej i przemknął obok pierwszej gromady czarnych dziur. Leciał z taką prędkością że welony zjonizowanych gazów wyglądały jak rozmazane smugi... jakby frachtowiec miał dokonać skoku do nadprzestrzeni. Han uświadomił sobie, że jeszcze nigdy, odkąd został właścicielem „Sokoła”, nie leciał nim równie szybko.

- Hurra! - krzyknął, kiedy statek prawie otarł się o skraj grawitacyjnej studni pobliskiej czarnej dziury.

- Hurra! - zawtórował piskliwie stojący za jego plecami malec.

Nie zwalniając, Han roześmiał się jak szalony.

- Podoba ci się to, chłopcze, prawda? - zapytał. - Zobaczysz, za chwilę zostawimy te imperialne ślimaki daleko za rufą.

- Napsiód! - zawołał chłopczyk. - Jeszcze szybciej, kapitanie Solo!

- Jak się nazywasz, chłopcze? - zainteresował się Korelianin.

„Sokół” pokonywał właśnie ostatnią krzywiznę straszliwych grawitacyjnych lejów Otchłani. Leciał tak szybko i tak blisko, że przeciążona jednostka napędowa zaskowyczała w proteście.

- Kryss P'teska, psze pana.

- Lubisz szybko latać, hmmm? -O, tak!

- To dobrze...

Wciąż zmieniając kurs i wykonując uniki, Han leciał przez niebezpieczne przestworza Otchłani. Raz po raz zbaczał z kursu to na sterburtę, to znów na bakburtę, żeby nie roztrzaskać się o pędzące ku statkowi bryły asteroid. O niektóre „Sokół” prawie się ocierał. Nagle Han uświadomił sobie, że niewielka odległość, jaka dotąd dzieliła go od prześladawców, z każdą chwilą się powiększa. Ledwo widział patrolowce imperialnych celników... Odetchnął z ulgą.

Gdybym zwiększył odległość jeszcze bardziej... - pomyślał w pewnej chwili.

Krople potu spłynęły mu do oczu, ale Solo nie zwolnił. Imperialne jednostki zostawały coraz dalej za rufą. Han, omijając kolejne nadlatujące asteroidy, nagle zorientował się, że zbliża się do granicy Otchłani.

- O to chodziło - mruknął do siebie. - Musimy tylko się stąd wynieść, a potem przyspieszyć do prędkości światła i...

Nagle Chewie zaskowyczał. Gwałtownie gestykulując, zaczął pokazywać coś na pulpicie. Han zerknął na ekrany przyrządów i zdretniał. Głośno jęknął.

- A niech to! - zaklął z pasją. - Trzy imperialne patrolowce na obrzeżach Otchłani! Zaczaili się i czekają na nas, dranie! Jeden łajdak jest naprawdę bardzo duży!

Uświadomił sobie, że myśli szybko jak chyba nigdy przedtem.

- Chewie... nie uciekniemy tym imperialnym krwiopijcom - odezwał się po chwili.

- Mają większą siłę ognia. Zgubiliśmy tamtych za rufą... przynajmniej na jakiś czas. Jeżeli wysforujemy się przed nich jeszcze trochę, zdołamy wyrzucić przyprawę na samym skraju Otchłani. Nic nie zauważą. Pamiętajasz? Już raz tak zrobiliśmy... Gdy lecieliśmy trasą na Kessel i gościliśmy na pokładzie pułkownika Quirta. Kiedy tamci przeszukali pomieszczenia „Sokoła” i upewnili się, że nie transportujemy żadnej kontrabandy, wróciliśmy i odzyskaliśmy ładunek. Co ty na to?

Chewie uznał to za doskonały pomysł.

- No dobrze, w takim razie przejmij stery - polecił Korelianin. - Musimy uwinąć się naprawdę szybko. Podaję ci współrzędne.

- Hrrrrrrnnnnnnhh!

Solo wypadł na korytarz. Ścigany przez Kryssa, pobiegł do tajnych skrytek pod pokładem.

- Dzieciaki, pomóżcie mi! - krzyknął mijając drzwi świetlicy.

Wyciągnął skądś zwój drutu. Kilkoro dzieci wybiegło z pomieszczenia i stanęło na korytarzu. Otworzywszy szeroko oczy, przyglądały się, co robi.

- Jak się nazywacie? - zapytał Korelianin.

- Cathea, proszę pana - odezwała się dwunastoletnia dziewczynka. Miała długie, złociste warkocz i błękitne oczy. - Ja panu pomogę.

- Ja nazywam się Tym - oznajmił z dumą mały chłopiec.

- A ja Aeron - dodał ciemnowłosy malec. - Ja też pomogę!

- To świetnie - mruknął Solo. Zaczął dźwigać - jedną po drugiej - ciężkie metalowe płyty. - Pomóżcie mi przenieść te baryłki do sterburtowej śluzy. Później zwiążemy je razem drutem.

Dwie minuty później, przyprawa była przygotowana do wyrzucenia w przestworza. Han machnął ręką na dzieci, żeby uciekały ze śluzy, a potem także wyszedł i starannie zamknął kłapę za sobą. Postanowił zignorować standardową procedurę usuwania powietrza. Przełączył mechanizm zamka na sterowanie ręczne i, nie marnując czasu, otworzył zewnętrzną kłapę śluzy. Baryłki z przyprawą poszybowały w przestworza.

- Chewie! - krzyknął tak głośno, aby siedzący w sterowni Wookie go usłyszał. - Ładunek za burtą! Zapamiętaj zestaw współrzędnych!

Han był pewien, że bez trudu obliczy trajektorię lotu baryłek i przy odrobinie szczęścia, odnajdzie je w przestworzach, tym łatwiej i szybciej, że bezułki wykonano ze stopu, który z niewielkiej odległości dawał czytelne echo na ekranie skanera.

Zważywszy na okoliczności, chyba nie mógł wymyślić nic innego.

Pobiegł do sterowni i usiadł na fotelu pilota, a potem szybko zmienił kurs, by wyłonić się z Otchłani mniej więcej w miejscu, gdzie spodziewali się go zobaczyć piloci czekających patrolowców. Kiedy „Sokół” ukazał się spomiędzy chmur świecących gazów, piloci dwóch ścigających go imperialnych statków zmienili kurs i przyspieszyli... przekonani, że tym razem ofiara już się im nie wymknie.

Han popatrzył na Chewiego.

- Niewiele brakowało - mruknął, lekko się uśmiechając.

Na panelu komunikatora zaczęła mrugać jakaś lampka. Han włączył urządzenie.

- Wzywam niezidentyfikowany statek. Przygotujcie się do abordażu - odezwał się gniewny głos. W tej samej chwili Han zorientował się, że największy imperialny okręt pochwycił „Sokoła” wiązką ściągnającą. - Mówi dowódca imperialnego lekkiego krążownika „Taksator”. Jeżeli nie będziecie stawiali oporu, nic się wam nie stanie.

Han rozparł się wygodniej na fotelu pilota. Wokół niego, w sterowni, zgromadziły się dzieci. Wszystkie spoglądały w iluminator i obserwowały, jak rośnie w nim sylwetka dużego gwiazdnego statku.

- Dzieciaki, tylko się nie wygadajcie - odezwał się Solo. - Ja z nimi porozmawiam.

Frachtowiec Hana osiadł w hangarze na płycie lądowiska. Pod kłapą włazu stanęło kilku funkcjonariuszy Imperium, którzy zażądali, żeby kapitan statku wpuścił ich do

środku. Han westchnął, po czym poszedł otworzyć kłapę. Ani na chwilę nie odstępowały go podniecone dzieci.

Na pokład „Sokoła” pofatygował się sam dowódca imperialnego krążownika. Starzawemu oficerowi towarzyszyli uzbrojeni po zęby żołnierze oddziału abordażowego.

- Kapitan Tybert Capucot - oznajmił wyniośle łysiejący mężczyzna. - Kapitanie Solo, jest pan podejrzany o przemykanie z planety Kessel transportu przyprawy. Zostałem upoważniony do przeszukania pańskiego statku.

Han machnął ręką, jakby zapraszał go do wnętrza.

- Proszę bardzo - powiedział. - Nie mam nic do ukrycia.

Capucot z cichym sykiem wypuścił powietrze przez nos. Wyglądało na to, że w poczuciu własnej wyższości usiłuje spojrzeć z góry na pilota frachtowca... mimo iż był od niego kilka centymetrów niższy.

Odwrocił się i władcym gestem przywołał żołnierzy ze skanerami.

- Przeszukajcie każdy milimetr - rozkazał. - Chcę znaleźć tę przyprawę.

Solo wzruszył ramionami i z niewinną miną usunął się na bok, żeby zrobić przejście.

Żołnierze Imperium szukali, szukali... szukali... i szukali. Ilekroć Han i Chewie słyszeli dobiegające ze świetlicy albo rufowej ładowni stuki lub trzaski, spoglądali po sobie i mrużyli oczy. W końcu Han udał, że traci cierpliwość.

- Hej! - zaprotestował. - Jestem uczciwym handlarzem i obywatelem Imperium. Nie możecie demolować mojego statku!

- Uczciwym handlarzem. Dobre sobie - zadrwił Capucot. - Jeżeli nie przemyczał pan przyprawy, co pan tutaj robi?

Han zaczął szybko myśleć.

- Ja... uhhh... no cóż, wracałem z tymi dziećmi na Korelię - odezwał się w końcu.

- Widzi pan, niedaleko stąd zaaatakowano pewną planetę i oswobodzono wielu niewolników. Uhm... no cóż, tak się złożyło, że zapomniano zwrócić wolność tym dzieciakom. Wziąłem je więc na pokład i postanowiłem zabrać do domu.

Kapitan imperialnego okrętu rzucił Hanowi podejrzliwe spojrzenie.

- Korelia znajduje się tam - oznajmił lodowatym tonem, wskazując w kierunku rufy.

Han wzruszył ramionami.

- Musiałem zboczyć z kursu, żeby kupić im coś do jedzenia - odrzekł. - Czy nie tak było, dzieciaki?

- Tak! - zaseplenił mały Tym. - My byliśmy głodni! Kapitan Solo nas ulatował!

- Kapitan Solo ryzykował własne życie, żeby nas ocalić - dodała Cathea, okręcając długie warkocz wokół palca. - To prawdziwy bohater.

- Uratował nas od śmierci - oznajmił Aeron. - Gdyby nie on, my bylibyśmy zginęli w płomieniach.

Do Hana podszedł mały Kryss. Chwycił jego dłoń i popatrzył w górę, w oczy imperialnego oficera.

- Kapitan Solo jest najlepszym pilotem w całej galaktyce - stwierdził z dumą. - Bez trudu zostawia za rufą wszystkie imperialne śl...

W ostatniej chwili Han zakrył drugą dłonią usta malca.

- He, he! - zachichotał, wykrzywiając usta w niepewnym uśmiechu. - Ach, te dzieciaki... Czasami wygadują straszne głupstwa. Ma pan dzieci, panie kapitanie?

Capucot nie odpowiedział. Chyba nie miał ochoty na zarty. Powrócili żołnierze z oddziału abordażowego. Ich dowódca stanął przed kapitanem i zasalutował z dość ponurą miną.

- Panie kapitanie, przeszukaliśmy dokładnie wszystkie pomieszczenia - zameldował. - Nie znaleźliśmy niczego podejrzanego.

Twarz Tyberta Capucota spąsowiała. Oficer milczał, jakby zastanawiał się, co powiedzieć. W końcu spojrzął na Korelianina.

- Niech tak będzie - oświadczył obojętnym tonem. - Nasz odważny bohater, kapitan Han Solo, utrzymuje, że leci z tymi dziećmi na Korelię. Postępuje szlachetnie i zasługuje, żeby władze mu pomogły. Proszę obrać kurs na Korelię, panie kapitanie. Będziemy pana eskortowali.

Han otworzył usta, jakby chciał zaprotestować, ale w następnej sekundzie je zamknął.

- Jasne - odezwał się równie obojętnym tonem. Zmusił się, żeby kiwnąć głową. - To dla mnie wielki zaszczyt.

Dotarcie na rodzinną planetę zajęło mu większą część dnia. Han pienił się ze złości, że nie może rozpocząć poszukiwań wyrzuconej przyprawy. Wiedział, że jeśli baryłkom stanie się coś złego, Jabba nie będzie zachwycony. Dla lorda klanu Desilijic interes liczył się ponad wszystko inne, a Huttowie nie wiedzieli, co to litość.

Kiedy wylądował na Korelii, stwierdził, że kapitan imperialnego krążownika powiadomił o wszystkim władze. W stołecznym kosmoporcie czekały tłumy wiwatujących mieszkańców metropolii... a także przedstawiciele wszystkich możliwych środków masowego przekazu. Han i Chewie zostali powitani jak bohaterowie. Odebrali mnóstwo podziękowań i gratulacji. Korelianin już wcześniej otrzymał prawo noszenia krwistoczerwonych lampasów, ale gdyby nie to, wdzięczni przedstawiciele władz rodzinnego świata uhonorowaliby go nimi bez chwili wachania.

Tymczasem bohater uświadomił sobie, że zaczyna go ogarniać panika. Chciał jak najszybciej powrócić w rejon Otchłani i zająć się poszukiwaniami porzuconej przyprawy. W końcu pożegnał się z dziećmi - musiał przyznać, że były całkiem grzeczne i miłe - po czym wystartował, i jako wolny obywatel wyruszył w drogę powrotną.

Leciał najszybciej, jak mógł. Wpisał współrzędne celu i skierował się ku miejscu, w którym wyrzucił za burtę baryłki z surowym błyszczącym. Cztery godziny szukał zguby na obrzeżach pola asteroid. Z każdą upływającą minutą ogarniało go coraz większe zdenerwowanie.

- Muszą być gdzieś w pobliżu! - wybuchnął w pewnej chwili.

Niestety, nic nie znalazł.

Poświęcił na poszukiwania jeszcze dwie godziny. Posłużył się nawet awaryjnymi sensorami ze świetlicy. Wykorzystał je, żeby wspomóc te, które miał zainstalowane w sterowni. Nagle czuwający za sterami Chewie głośno ryknął.

- Już idę! - odkrzyknął i pobiegł do sterowni.

Chewbacca pokazał mu dwie świetliste plamki na ekranie monitora dalekosiężnych skanerów. Wyglądało na to, że bardzo szybko zbliżają się do „Sokoła”. Han sprawdził sygnały identyfikacyjne nadlatujących statków. Głośno zaklął i uderzył się otwartą dłonią w czoło.

- No, to pięknie! - wykrzyknął z goryczą. - Następne imperialne patrolowce! Tego mi tylko brakowało! Dlaczego uwzięli się właśnie na mnie?

Opadł na fotel pilota, zawrócił i skierował się w głąb Otchłani. Chewie pytająco zawył. Chciał wiedzieć, dlaczego uciekają, skoro nie przemycają ani grama przyprawy.

- Nie rozumiesz, futrzaku? - parsknął Han, jeszcze bardziej przyspieszając. Przelatujące za iluminatorami asteroidy śmigają zbyt szybko, żeby dało się zauważyć ich kształty. - Musieli odnaleźć nasze baryłki z przyprawą. Domyślili się, że po nią przylecieliśmy. Przecież Capucot nie uwierzył w to, co mu powiedziałem... Idę o zakład, że to on nas ściga! Te ślimaki mają dowód rzeczowy i chcą nas aresztować pod zarzutem próby przemytu. Jestem pewien, że przy okazji zajmą „Sokoła”. Już nigdy go nie zobaczymy!

Skreślił raptownie na bakburcie, żeby uniknąć zderzenia z asteroidą o rozmiarach imperialnego niszczyciela.

- A poza tym... - ciągnął po chwili - nie zamierzam dopuścić, żeby przeszukując pomieszczenia jeszcze raz, znów wszystko zdemolowali. Ledwo uporządkowaliśmy ten bałagan, jaki chłopcy Capucota zostawili w pomieszczeniach „Sokoła”.

Han i Chewie kierowali frachtowiec coraz dalej w głąb Otchłani. Piloci dwóch imperialnych patrolowców nie dawali za wygraną. Lecieli cały czas za „Sokołem” z podziwu godną determinacją i beztroską.

Han przebierał palcami po kontrolnych pulpitych jak w transie. Wykonywał uniki i omijał kolejne asteroidy. Przerażony Chewie od czasu do czasu głośno wył. Nie podołało mu się, że jego partner tak ryzykuje.

- Zamknij się, futrzaku! - nie wytrzymał w pewnej chwili Solo. - Nie dajesz mi się skupić!

Chewie usłuchał i odtąd tylko cicho jęczał. Możliwe, że się modlił... Han i tak był zbyt zajęty, żeby zwracać na to uwagę. Zbliżali się do rejonu straszliwych czarnych dziur Otchłani.

- Chewie, chyba nie mam wyboru - odezwał się ponuro Korelianin. - Muszę otrzeć się o nie spodnią płytą kadłuba i liczyć, że te imperialne ślimaki zrezygnują. Może przestraszą się, a może... Dlaczego lecą cały czas naszym śladem?

Doprowadzony do rozpaczki Wookie głośno armiihhhhnnnnnn!

- Nic na to nie poradzę! - odkrzyknął Solo. - Nie pozwolę im wejść na pokład „Sokoła”!

Dwa imperialne patrolowce leciały za frachtowcem jakby wleczone przez promień ściągający. Han i Chewie gorączkowo przebierali palcami po pulpitych. Raz po raz zmieniali kurs, prędkość lotu, orientację w przestworzach, natężenie ochronnego pola...

Zdesperowany Han skierował „Sokoła” jeszcze bliżej gromady czarnych dziur... bliżej niż uczyniłby to jakikolwiek inny pilot, pozostający przy zdrowych zmysłach. Uświadomił sobie, że teraz może ocalić ich tylko jedno.

„Sokół Millennium” przelatywał tak blisko potężnych grawitacyjnych studni, że wyłącznie swej nieprawdopodobnej prędkości zawdzięczał, iż nie został wessany w głąb któregoś leja. Wiecznie czuwające, podobne do wielkich oczu dziury, które wyglądały jak zwięzające się i rozszerzające źrenice, obserwowały frachtowiec śmigający po obrzeżach zdradzieckich wirów. Piloci imperialnych patrolowców także przyspieszyli. Wiernie powtarzali każdy manewr ściganej ofiary.

Przelatując po obrzeżach ostatniej czarnej dziury, Han wykonał niewiarygodnie ciasny skręt, a potem raptownie zmienił kurs i zaczął się oddalać od leja. Popatrzył na ekran skanera i zauważył, że jeden z imperialnych statków - mniejszy i chyba wolniejszy - tym razem nie powtórzył jego manewru. Wciągany w głąb grawitacyjnego leja, pewien czas wirował po spirali, a potem zniknął w bladym błysku bezgłośniejszej eksplozji.

- Tak jest! - wykrzyknął zapalczywie Korelianin. - Nie dostaniecie mnie, dranie! Arii dziś, ani nigdy!

Pilot drugiego imperialnego patrolowca, widocznie przerażony losem kolegi, zaczął zostawać coraz dalej za rufą... a tymczasem „Sokół” wylatywał z rejonu Otchłani.

- Dobra nasza, Chewie! - zawołał Solo. - Jeszcze tym razem się udało!

- Arrrrrrhhhhhhhhnnn!

Wyciskając z jednostki napędowej ostatnie rezerwy mocy, Han śmignął obok Kesel. Obszar pełen zdradzieckich pułapek i grawitacyjnych lejów pozostał daleko z tyłu. Han pochylił się nad pulpitem nawigacyjnego komputera i po chwili krzyknął:

- Kurs wytyczony! Przyspieszaj, Chewie! Wskakujemy!

Chwilę potem, cali i zdrowi, znaleźli się w nadprzestrzeni. Han rozparł się na fotelu pilota.

- Niewiele brakowało - wychrypiał cicho, zupełnie wyczerpany.

Chewie cichym wyciem przyznał mu rację.

Kilka minut później, kiedy Han trochę odpoczął i odzyskał siły, spojrzał na sterowniczy pulpity.

- Hej, Chewie! - powiedział. - Popatrz tylko! - Pokazał na wyświetlacz. - Przy okazji ustanowiliśmy nowy rekord!

Chewbacca z goryczą zauważył, że odbyło się to kosztem jego nerwów. Han zmrużył oczy.

- Hej, to dziwne - stwierdził po chwili. - Chyba nie tylko skróciliśmy czas przelotu, ale także długość trasy. Przelecieliśmy mniej niż dwanaście parseków!

Chewie zaryczał sceptycznie i poklepał kosmatymi paluchami obudowę wskaźnika. Dzikie harce, jakie wyprawiał Han, z pewnością spowodowały zwarcie. Urządzenie musiało się popsuć.

Han usiłował się z nim sprzeczać, ale kiedy zdenerwowany i z natury popędliwy Wookie groźnie warknął, postanowił się nie kłócić.

- W porządku, w porządku - mruknął, unosząc ręce w geście rezygnacji. - Jestem zbyt wyczerpany, by się z tobą spierać.

Ale wiem swoje - pomyślał z uporem. - Idę o zakład, że przelecieliśmy mniej niż dwanaście parseków.

W tej chwili jednak musiał rozwiązać pilniejszy i poważniejszy problem niż zastanawianie się, czy pobili rekord prędkości, czy długości lotu. Co, na wszystkie galaktyki wszechświata, powie Jabbie?

R O Z D Z I A Ł

16

TOPRAWA...I MOS EISLEY

Han wpatrywał się w zniekształcony, pocętkowany iskierkami zakłóceń hologram koreliańskiego majordoma Hutta Jabby, Bidla Kwerve'a. W tle widział piaskowożółte ściany pałacu, który lord klanu Desilijic wzniósł na pustynnej planecie Tatooine.

- Cześć, Kwerve - odezwał się Solo. - Chciałbym porozmawiać z szefem.

Szkaradny Korelianin miał czarne jak smoła włosy. Przez środek głowy biegło pojedyncze białe pasmo. Wbił w Hana zielonkawę oczy i wykrzywił usta w wyjątkowo paskudnym, złośliwym uśmiechu.

- Hej, to przecież Solo! - zadrwił. - Jabba pytał o ciebie. Gdzieżeś się podziewał, Solo?

- Tu i tam - odparł krótko Han. Nie zamierzał wdawać się w dyskusję. A poza tym - nie znosił, kiedy ktoś się z niego naigrawał. - Miałem trochę kłopotów z urzędnikami Imperium.

- No cóż, to bardzo niedobrze - oznajmił majordom. - Nie wiem, czy Jabba zechce z tobą rozmawiać. Ostatnio, kiedy go widziałem, był wściekły, że nie dostarczyłeś na czas ostatniego transportu. Miał już klienta na tę przyprawę.

Nie zmieniając obojętnego wyrazu twarzy, Han wpatrywał się w migoczący wizerunek.

- Po prostu mnie połącz, Kwerve - powiedział. - I daj sobie spokój z drwinami i żartami.

- Oho, a kto powiedział, że żartuję, Solo?

Świetlisty wizerunek koreliańskiego majordoma nagle zniknął. Zastąpiły go iskry wyładowań i zakłóceń. Przez chwilę Han myślał, że sługus Jabby po prostu przerwał połączenie. Wyciągnął rękę, aby wyłączyć komunikator, ale w tej samej sekundzie iskry zniknęły jak zdmuchnięte. Zamiast nich ukazał się hologram masywnego cielska Hutta.

- Jabbo! - wykrzyknął zaskoczony Han. Nie wiedział, czy powinien czuć ulgę, czy może przerażenie. - Hej, posłuchaj... Mam mały problem.

Lord Hurtów nie wyglądał na zadowolonego. Palił jakąś brunatną substancję. Smużki dymu snuły się wokół nargili i pełnego wijących się robaków akwarium, które odziedziczył po Jiliac. Narkotyk sprawiał, że źrenice jego wyłupiastych były rozszerzone.

Wspaniale - pomyślał Solo. - Musiałem trafić na moment, kiedy szpikuje się przyprawą...

- Uhhmm... Hej, Jabbo - powiedział. - To ja... Han Solo.

Hurt kilka razy zamrugał, by odzyskać ostrość spojrzenia.

- Hanie! - zahuczał po chwili. - A gdzie to się podziewałeś, mój chłopcze! Spodziewałem się, że przylecisz do mnie tydzień wcześniej!

- Uhhmm... no cóż, Jabbo - bąknął Solo. - Właśnie chciałem ci to wytłumaczyć. Posłuchaj... to nie była moja wina!

Jabba zamrugał.

- Hanie, mój chłopcze... o czym ty właściwie mówisz? Co zrobiłeś z moją przyprawą?

Korelianin z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Uhhmm... no cóż... jeżeli chodzi o ten transport, Jabbo... No cóż... sam rozumiesz... Wyglądało, jakby ktoś zastawił na mnie pułapkę! Imperialni urzędnicy czekali tam na mnie i...

- Imperialni celnicy zarekwirowali moją przyprawę? - zagrzmiął Jabba tak głośno i niespodziewanie, że przerażony Han się skulił. - Jak mogłeś do tego dopuścić, Solo!

- Nie! Nie, nie, Jabbo! - krzyknął Han. - Niczego nie zarekwirowali! Nie wiedzą, że masz z tym coś wspólnego! O niczym nie mają pojęcia! Tylko... nie mogłem dopuścić, żeby ją znaleźli, i musiałem wyrzucić wszystko w przestworza. Zapamiętałem współrzędne, ale urzędnicy nie pozwolili mi tam od razu wrócić. A kiedy w końcu przyleciałem po przyprawę, okazało się, że jej tam nie ma!

- Moja przyprawa zniknęła - stwierdził złowieszczu cicho i spokojnie lord Huttów. Pierwszy raz skierował załzawione oczy prosto na rozmówcę.

- Uhhmm... tak. Ale... Jabbo, spokojna głowa. Nic na tym nie stracisz. Obiecuję. Ja i Chewie zwrócimy ci pieniądze. Do ostatniego kredytu. Wiesz, że jesteśmy bardzo dobrzy. Prawdę mówiąc, Jabbo, mam wrażenie, że ktoś nas wsypał. Kto jeszcze oprócz ciebie i Morutha Doole'a wiedział, że będziemy lecieli tą trasą?

Jabba zignorował pytanie Korelianina. Kilka razy zaciągnął się dymem i jeszcze bardziej wybałuszzył wyłupiaste oczy. Później sięgnął do akwarium, i zanurzył dłoń w półprzezroczystej cieczy. Wyjął rozpaczliwie wijące się stworzenie i wepchnął do ogromnych ust.

- Hanie... Hanie, mój chłopcze - zacząj. - Dobrze wiesz, że kocham cię jak własnego syna. - Złowieszczu ściszył głos, starannie wymawiając każde słowo. - Ale interes to interes, a ty właśnie złamałeś podstawową zasadę. Nie mogę robić wyjątków tylko dlatego, że cię lubię. Ten transport kosztuje mnie dwanaście tysięcy czterysta kredytów. Daję ci dziesięć dni. Dostarczysz mi przyprawę albo pieniądze. Inaczej... no cóż, musisz się liczyć z konsekwencjami.

Han przesunął językiem po wargach.

- Dziesięć dni... - mruknął przerażony. - Posłuchaj, Jabbo...

Połączenie zostało raptownie przerwane.

Zrozpaczony Korelianin osunął się na fotel pilota. Co ja mam teraz zrobić? - pomyślał ponuro.

Sześć dni później wylądował na księżycu Nar Shaddaa. W ciągu tych sześciu dni próbował - bezskutecznie - namówić do zwrotu długów istoty, które były mu winne pieniądze. Postanowił więc zrobić coś, czego nienawidził: zwrócić się do przyjaciół z prośbą o pożyczkę.

Zorientował się niemal natychmiast, że któryś z uczestników przerażającego wyścigu trasą na Kessel - może jakiś imperialny oficer, a może zwykły żołnierz - musiał paplać o tym, co się stało. Przyjaciele przemysłnicy spoglądali na Hana z mieszaniną podziwu i strachu.

Podziwu, ponieważ ustanowił nowy rekord przelotu tą trasą. Strachu... no cóż, wszyscy już wiedzieli. Zdążyli się dowiedzieć, że Jabba jest niezadowolony - bardzo niezadowolony - z poczyną ulubionego pilota.

Shug wyruszył na jakąś wyprawę i Han nie zastał go na księżycu Nar Shaddaa. Zaklął, kiedy się o tym dowiedział. Shug pożyczylby mu... może i całą sumę - nawet gdyby musiał wyczyścić swoje konto.

Han kontaktował się z wieloma przyjaciółmi. Powołując się na wyświadczone im kiedyś przysługi, zdołał w końcu zdobyć dwa albo trzy tysiące kredytów. Przekonał się jednak, że wieść o wydarzeniach na Ilezji zdążyła obieć chyba wszystkie sektory księżycy Nar Shaddaa. Ilekroć Han zwracał się z prośbą o pożyczkę, większość dawnych przyjaciół po prostu wyłączała komunikator.

W końcu zrezygnowany Han postanowił udać się do Landa Calrissiana. Nie uśmiechało mu się to, ale nie miał innego wyjścia.

Zapukał do drzwi. Z wnętrza dobiegł zaspany głos hazardzisty:

- Kto tam?

- Lando, to ja - odrzekł Korelianin. - To ja, Han. Usłyszał odgłos kroków. Nagle szarpnięte drzwi otworzyły się

i na progu stanął Lando. Zanim Solo miał czas powiedzieć choćby słowo, zaciśnięta pięść hazardzisty wystrzeliła niczym tłok i wylądowała na szczęce Hana. Osłupiały Korelianin zatoczył się na przeciwległą ścianę korytarza. Chyba na chwilę stracił przytomność, gdyż osunął się na posadzkę.

Kiedy oprzytomniał, potarł obolałą brodę. Przed oczami latały różnobarwne plamy. Usiłował coś powiedzieć, ale nie potrafił wykrztusić ani słowa. Kilka razy zamrugał. W końcu odzyskał ostrość spojrzenia i przekonał się, że stoi nad nim Lando.

- Ależ masz tupet! - krzyknął ciemnoskóry mężczyzna. - Wykręciłeś nam taki numer na Ilezji i bezczelnie zjawiasz się tutaj, jakby nic się nie stało! Masz szczęście, że po prostu cię nie zastrzeliłem. .. ty parszywy, kłamliwy draniu!

- Posłuchaj, Lando - zdołał w końcu wychrypieć Korelianin.

- Przysięgam... Nie wiedziałem, że to robi. Przysięgam...

- Akurat! - parsknął pogardliwie Calrissian. - Uważaj, bo ci uwierzę!

- Czy przylatywałbym tu, gdybym czuł się winny? - wymamrotał Solo. Z jego szczęką działo się chyba coś niedobrego. Puchła.

- Lando... mnie też wykiwała. Daję słowo! Nie zarobiłem na tej wyprawie ani kredyta! Ani jednego!

- Nie wierzę ci - oświadczył lodowatym tonem Lando. - Ale jeżeli to prawda, masz za swoje! Zasłużyłeś sobie! Nie jesteś ani trochę lepszy niż ona!

- Lando - powtórzył Han. - Straciłem przyprawę, którą miałem dostarczyć Jabbie. Znalazłem się w rozpaczliwej sytuacji. Czy nie mógłbyś mi pożyczyć...

- Co takiego? - Calrissian chwycił Hana za klapy bluzy i szarpnąwszy z całej siły, postawił na nogi. Nie wypuszczając, pchnął tak, że Korelianin rąbnął plecami o ścianę. - Przyleciałeś tu, żeby prosić mnie o pożyczkę?

Han z trudem kiwnął głową.

- Zwrócę ci wszystko... do ostatniego kredytu... - wycharczał. - Daję słowo...

- Niech to nareszcie zaświta w twoim mózgu, Solo - zadrwił hazardzista. - Byliśmy kiedyś przyjaciółmi, więc nie zrobię tego, na co zasługujesz... i nie roztrząsam o mur twojej głowy. Pamiętaj jednak, żebyś w przyszłości trzymał się ode mnie jak najdalej!

Jeszcze raz pchnął Hana na ścianę, aż zadudniło, a potem zwolnił uścisk palców. Korelianin znów osunął się na posadzkę, a Lando wpadł jak burza do mieszkania. Trzasnęły drzwi. Chwilę później szczęknął zamek.

Powoli, z wysiłkiem, Han dźwignął się na nogi. Czuł w szczęce pulsujący ból. W ustach miał pełno krwi.

To byłoby na tyle - pomyślał, wpatrując się w zamknięte drzwi. - I co teraz?

- Nie wyjdziemy z tego, prawda?

Pani komandor Bria Tharen zignorowała zadane szeptem pytanie. Skuliła się za stosem gruzów i usunęła zużyty zasobnik energetyczny blastera. A raczej próbowała. Zasobnik się zakleszczył. Kobieta przypomniała sobie, że w ciągu kilku ostatnich minut walki bez przerwy strzelała. Styki się stopiły. Usunięcie wyczerpanego ogniwa okazało się niemożliwe.

Cicho zakłęła i przeczołgała się do leżącego obok niej nieruchomego ciała Jace'a Paola. Na twarzy porucznika malowały się upór i gniew. Umarł, tak jak pragnął... podczas walki. Korelianka chwyciła jego blaster i próbowała wydostać broń spod ciała. Zanim jej się to udało, stwierdziła, że lufa jest stopiona. Broń nie nadawała się do użytku.

Spoglądając na umęczone twarze kilkorga ludzi z Czerwonej Ręki, którzy pozostali przy życiu, Korelianka szepnęła:

- Jeżeli ktoś może, proszę mnie osłaniać. Muszę znaleźć jakąś broń.

Joaa'n kiwnęła głową. Uśmiechnęła się w ciemnościach i wymierzyła kciuk w niebo.

- Jestem gotowa, pani komandor - rzekła. - Na razie nie widzę nic podejrzanego.

- Doskonale - odparła Bria.

Odrzuciła na bok bezużyteczny blaster i ostrożnie zerknęła ponad wierzchołkiem stosu gruzów. Później, starając się poruszać powoli, przeczłogała się na drugą stronę. Nie wiedząc, czy jej zraniona noga zdoła utrzymać ciężar ciała, na wszelki wypadek nie wstawiała. Na czworakach wypełzła przez wypalony w zewnętrznym murze niewielki otwór. Miał osmalone krawędzie i nieregularne kształty, ale Bria nie zwróciła na to uwagi. Znieruchomiała za załomem muru na dziedzińcu niemal całkowicie zburzonego imperialnego ośrodka łączności, w którego ruinach Czerwona Ręka postanowiła bronić się do końca.

Zaledwie kilka metrów dalej leżał imperialny żołnierz. Z wielkiej dziury, wypalanej w białej płycie chroniącego piers pancerza, wciąż jeszcze unosiła się smużka siwego dymu.

Najszybciej jak mogła, podczołgała się do zabitego szturmowca, zabrała mu broń i wszystkie zapasowe ogniwa. Z posępnym uśmiechem stwierdziła, że zanim poległ, wykorzystał wszystkie granaty odłamkowe. Jaka szkoda - pomyślała. - Gdybym miała choć kilka takich granatów, wiedziałabym, jak zrobić z nich użytek...

Przez chwilę zastanawiała się, czy nie ściągnąć pancerza z nieruchomego ciała, ale zrezygnowała. Szurmowcowi nie ocalił przecież życia.

Z imperialnego ośrodka telekomunikacyjnego pozostała tylko część pierwszego piętra i parter, gdzie ukrywali się ostatni Rebelianci. Teraz, kiedy znalazła się na dworze, Bria lepiej wszystko widziała i słyszała. Pozbyła się również kłopotów z oddychaniem. Zamiast odoru spaleniźny i swądu płonących ciał czuła napływającą z nocnym wiatrem rześką woń pobliskiego oceanu. Kucnęła za najbliższą bryłą permabetonu i nawet odważyła się zdjąć helm. Otarła umazane sadzami czoło i odetchnęła z ulgą. Zimne powietrze przyjemnie gładziło jej brudne włosy. Korelianka pomyślała, że ostatnio czuła takie miłe, kojące podmuchy chłodnego wiatru bardzo, bardzo dawno... kiedy przebywała na Togorii.

Gdzie jesteś, Hanie? - pomyślała. - Co teraz robisz?

Zastanawiała się, czy Han kiedykolwiek dowie się, o kim myślała w ostatnich chwilach życia. Czy zmartwiłby się, gdyby to wiedział? Czy nadal ją nienawidzi? Miała nadzieję, że nie, ale już nigdy się o tym nie przekona...

Przypomniała sobie tamte ostatnie chwile na Ilezi. Żałowała, że sprawy tak się ułożyły. A jednak... gdyby miała wszystko zaczynać od nowa, czy postąpiłaby inaczej?

Uśmiechnęła się ponuro do własnych myśli. Chyba nie - pomyślała.

Zdobyła wówczas mnóstwo kredytów, które bardzo się przydały. To właśnie dzięki nim otrzymała to zadanie. Torbul i inni przywódcy ruchu oporu mogli wysłać na planetę Ralltiir kilka grup zwiadowców. Dowiedzieli się, że Imperium przesyła plany jakiejś gigantycznej tajnej superbroni właśnie tu, do ośrodka telekomunikacyjnego na Toprawie.

Kiedy Torbul i Bria zastanawiali się, czy wyprawa na Toprawę ma szanse powodzenia, koreliański dowódca ruchu oporu nie ukrywał przed nią prawdy. Wielokrotnie używał sformułowań w rodzaju: „mało prawdopodobne”, „bardzo wątpliwe” czy nawet „prawie niemożliwe”. Spodziewał się, że wszyscy uczestnicy wypadu zgina.

Mimo to Bria zgłosiła się na ochotnika. Oświadczyła, że najlepiej poradzi sobie jej Czerwona Ręka.

Ta wyprawa okazała się najważniejszą jak dotąd akcją ruchu oporu. Zadanie polegało na zdobyciu i przekazaniu planów owej tajnej superbroni, zaś powodzenie misji zależało od idealnej koordynacji i współpracy wielu grup Rebeliantów. Bria nie знаła szczegółów, ale wiedziała, że jej zadanie polega na opanowaniu budynku imperialnego ośrodka łączności na Toprawie. Czerwona Ręka powinna utrzymać go, dopóki łącznościowcy nie prześlą wykradzionych planów na pokład rebelianckiego statku konsularnego... Koreliańskiego promu czy korwety, niby przypadkiem przelatującej przez gwiazdny system, do którego Imperium broniło wszystkim dostępu.

Kiedy więc Torbul oświadczył Brii, że szuka ochotników, Korelianka nie wahała się ani chwili.

- Proszę wysłać Czerwoną Rękę - oznajmiła. - Z pewnością damy sobie radę.

Wychyliła głowę i zerknęła na majaczącą po drugiej stronie placu ulicę. W świetle latarni ujrzała, że i tam toczyły się zacięte walki. Zobaczyła poprzewracane pojazdy ła-dowe, rozbite śmigacze, zwłoki... Okolica wyglądała jak po przejściu tornada.

Bria przypominała sobie sceny, widziane na Ilezi. Tam także toczyły się zacięte walki. Kto wie, może na dziedzińcu kolonii panował nawet większy chaos? Czuła się dumna, że zamieszanie to było po części jej zasługą. Spojrzała w niebo, gdzie powinna unosić się jej „Zemsta”. Bria straciła z nią wszelką łączność i obawiała się najgorszego.

Czas wracać do pracy - pomyślała. Odkleiła plecy od bloku permabetonu i poczołgała się z powrotem ku ruinom zburzonego ośrodka łączności.

Kiedy prześlizgnęła się przez otwór w murze, usłyszała dobiegający z podwórza basowy pomruk potężnych repulsorów. Ukryta za załomem muru, spojrzała za siebie. Zobaczyła błysk światła odbijającego się od płyt pancerza ogromnego prostopadłościennego obiektu, który unosił się nieruchomo nad zaścielonym odłamkami permabetonu dziedzińcem. Bria domyśliła się, że za chwilę wyląduje za szczątkami telekomunikacyjnej wieży jedna z opancerzonych imperialnych „latających fortec”. Ukryci za grubymi płytami szurmowcy zamierzali przystąpić do kolejnego ataku na Czerwoną Rękę... a raczej na to, co z pozostało z oddziału.

Bria wycofała się na czworakach, by przekazać wiadomość swoim żołnierzom.

- Posłuchajcie - zaczęła, zwracając się do tych, którzy jeszcze żyli - zaledwie kilkorga! - a teraz czekali, ukryci za naprędce wzniesioną barykadą. Rozdała im zdobyte zasobniki energetyczne - uważając, żeby każdy dostał tyle samo. - Znów nadchodzą. Musimy zdwoić czujność. Postarajmy się odpierać atak najdłużej, jak to możliwe.

Nikt nie odpowiedział. Wszyscy tylko kiwnęli głowami na znak, że zrozumieli. Bria była z nich dumna. Zawodowcy - pomyślała. - Idealiści, ale i prawdziwi zawodowcy.

Wiedziała, że tym razem walka nie potrwa długo. Znalazła odpowiednie miejsce za wyszczerbionym blokiem permabetonu.

- Żołnierze... - rzekła trochę głośniejszym głosem. - Czy wszyscy mają swoje kołysanki?

Chór pomruków upewnił ją, że tak. Bria sprawdziła swoją. Przyczepiła miniaturową kapsułkę do kołnierza munduru. Nie wiedziała, czy kiedy zostanie ranna, będzie

mogła poruszać rękami. Teraz, gdyby chciała połknąć kołysankę, musiała tylko wyciągnąć język i obrócić głowę.

Pospieszcie się - pomyślała. - To nieuprzejme... kazać nam czekać tyle czasu.

Imperialni dowódcy nie wiedzieli, że przybyli za późno. Czerwona Ręka zdołała utrzymać budynek telekomunikacyjnego ośrodka na tyle długo, by rebelianccy technicy ukończyli przesyłanie tajnych planów na pokład statku konsularnego. Fakt, że uporali się z tym dosłownie w ostatniej chwili. Kiedy tylko przekazywanie planów na pokład „Tantive IV” dobiegło końca, imperialni saperzy zdołali wysadzić w powietrze wieżę z antenami transmisyjnymi. Jednak Bria widziała na własne oczy potwierdzenie odbioru. Na ekranie monitora ukazały się od dawna oczekiwane słowa: „Transmisja zakończona”.

Zanim saperzy zniszczyli transmisyjną wieżę, zobaczyła także, jak złowieszcza sylwetka imperialnego gwiazdowego niszczyciela puszcza się w pogoń za rebelianckim statkiem konsularnym. A jeżeli pościg zakończył się powodzeniem? Nigdy się tego nie dowie...

Zastanawiała się, co właściwie wykradli i przesłali rebelianccy technicy łącznościowcy. Uświadamiała sobie jednak, że i tego nigdy się nie dowie. I tak wszyscy biorący udział w tej akcji Rebelianci wiedzieli za dużo... i dlatego nie mogli dopuścić, żeby imperialni szturmowcy pochwycili ich żywych.

A zresztą, rzadko słyszało się, żeby żołnierze Imperium wzięli jeńców - pomyślała ponuro.

Kiedy pochylała się, żeby sprawdzić, czy opasujący jej udo bandaż się nie rozwinął, czuwający obok niej żołnierz zadał półgłosem to samo pytanie, na które przedtem nie odpowiedziała:

- Pani komandor... nie wyjdziemy z tego, prawda?

Bria popatrzyła na bladą twarz, w ciemnościach ledwo widoczną pod powgniatanym hełmem. Młodzieniec kierował na nią szeroko otwarte oczy. Sk'kot był doskonałym żołnierzem, oddanym i lojalnym... i jej, i sprawie. Był jednak jeszcze taki młody...

Mimo to zasługiwał na szczerą odpowiedź.

- Nie, nie wyjdziemy, Sk'kot - odparła równie cicho Korelianka. - Sam chyba wiesz najlepiej. Żołnierze Imperium zniszczyli nasze wahadłowce. Nie mamy czym odlecieć. A nawet gdybyśmy nie otrzymali rozkazu, żeby bronić tego ośrodka tak długo, jak to możliwe, nie mielibyśmy na tej planecie dokąd uciec. Nic nie pomoże, jeżeli prześlizgniemy się między atakującymi szturmowcami... Nie zdołamy opanować latającej fortecy. - Uśmiechnęła się ponuro i wskazała zranione udo. - A poza tym wyglądałabym śmiesznie, gdybym próbowała stąd uciec, skacząc na jednej nodze, prawda?

Młodzieniec kiwnął głową. Na jego twarzy pojawił się wyraz udręki.

Bria popatrzyła w jego oczy.

- Sk'kot... - zaczęła cicho. - Nie możemy pozwolić, żeby nas pochwycili. Chyba to rozumiesz, prawda?

Młodzieniec kiwnął głową. Wyjął z kieszeni kołysankę i - podobnie, jak przedtem Bria - przypiął kapsułkę do kołnierza munduru.

- Tak, pani komandor - szepnął. - Rozumiem.

Wyglądało na to, że odpowiedź kosztowała go sporo nerwów. Żołnierz się wzdrygnął.

- Pomóż mi lepiej z tym bandażem, dobrze, Sk'kot? - odezwała się Korelianka.

Gestem przynagliła młodzieńca, żeby jeszcze mocniej zacisnął opaskę na udzie. Chłopak przestał dygotać. Podczołgał się do kobiety i pociągnął za końce bandaża.

- Jeszcze mocniej - syknęła Bria.

Młodzieniec zapał się i pociągnął z całej siły. Korelianka poczuła fale przeszywającego bólu... choć przedtem zażyła środki znieczulające, bez których w ogóle nie mogłyby się ruszać.

- Doskonale. A teraz zawiąż końce.

Młody Burrid usiadł obok niej. Bria objęła go jak ukochanego brata, a przerażony chłopak przytulił się do niej.

- Ja też nie chcę umierać, Sk'kot - rzekła Korelianka - Ale, na wszystkie supernowe, nie pozwolę, żeby Imperium zwyciężyło. Nie dopuszczę, żeby porządnych ludzi masakrowano i brano do niewoli. Nie chcę, żeby jęczeli pod ciężarem coraz większych podatków, i w końcu nie mieli za co żyć ani wyżywić rodziny. Nie zgadzam się, aby byli mordowani na rozkaz tego czy innego imperialnego moffa, który akurat wstał z łóżka lewą nogą.

Sk'kot uśmiechnął się.

- Nie przejmujemy się więc, że tym razem nie wyjdziemy cało - ciągnęła Korelianka. - Wiesz co, Sk'kot? Nie ma w tym nic dziwnego. Ja i ty poświęcimy życie, ponieważ oni - ruchem głowy pokazała poległych towarzyszy broni - poświęcili swoje. Nie możemy ich zawieść, prawda?

- Prawda, pani komandor - odparł żołnierz.

Bria uśmiechnęła się słabo i jeszcze raz przytuliła go do siebie. Młodzieniec odwzajemnił jej uśmiech. Przestał drzeć.

W tej samej chwili Joa'a, która obserwowała podwórze, cicho krzyknęła:

- Pani komandor! Coś tam się poruszyło!

Bria puściła Sk'kota i lekko pchnęła, żeby wrócił na swój posterunek. Potem odwróciła się i spojrzała przez szczelinę między dwoma blokami permabetonu. Nie oglądając się na swoich żołnierzy, zaczęła wydawać rozkazy:

- Joa'a, na początku się nie pokazuj, ale trzymaj granatnik w pogotowiu. Dopiero kiedy zaczniemy strzelać, wyskoczysz na podwórze i postarasz się upolować tę latającą fortecę. Zrozumiałaś?

- Tak jest, pani komandor! - odrzekła krępa kobieta.

- Żołnierze, pamiętajcie o tym, żeby po każdym strzale poszukać sobie innego miejsca. Inaczej zostanieie namierzeni i zginiecie, trafieni ogniem z automatycznych blasterów. Wszyscy gotowi?

Odpowiedział jej chór twierdzących pomruków. Bria sięgnęła po zdobyczny karabin blasterowy i sprawdziła poziom energii w zasobniku. Spoglądając ponad łufą, westchnęła. Żegnaj, Hanie! -pomyślała.

Na podwórzu coś się poruszyło. Nabrała głęboki haust powietrza w płuca.

- Otworzyć ogień! - rozkazała.

Nie wyobrażałem sobie, że Tatooine to taka straszna dziura -pomyślał Han. Mimo iż była noc, piloci „Sokoła” przemykali pogrążonymi w ciemności bocznymi uliczkami. - Okazało się, że Jalus Nebl mówił świętą prawdę...

Obaj przemytnicy wylądowali zaledwie przed kilkoma godzinami. Han doszedł do przekonania, że jeżeli pragnie porozmawiać z Jabbą na temat odroczenia terminu spłaty długu za utraconą w przestworzach przyprawę, musi spotkać się z nim osobiście. Sprawy jednak nie wyglądały różowo. Na razie wszelkie próby porozumienia się z Hurtem przez komunikator w celu ustalenia terminu audyencji, skończyły się niepowodzeniem. W końcu zniechęcony i przygnębiony Han wrócił na lądowisko dziewięćdziesiąt cztery, gdzie zostawił „Sokoła”. Natknął się wówczas na tego idiotę, Rodianina Greeda. Pacholek Jabby węszył i wypytywał wszystkich, co mogło się stać z pilotem koreliańskiego frachtowca. Sugerując, że Jabba wyznaczył nagrodę za jego głowę, rodiański półgłówek usiłował wycisnąć z Hana chociaż trochę kredytów.

Jakby wtórując myślom Hana, Chewbacca napomknął półgłosem, że krążą tu różne plotki. Podobno ten rodiański szczeniak, Greedo, pokazywał się w towarzystwie byłego łowcy nagród, niejakiego Warhoga Goi.

Han prychnął pogardliwie.

- Chewie, wiesz chyba równie dobrze jak ja, że Jabba tylko usiłuje nam dać coś do zrozumienia. To właśnie dlatego wynajął kogoś tak głupiego jak Greedo. Gdyby naprawdę pragnął mojej śmierci, zatrudniłby kogoś kompetentnego. Greedo jest takim idiotą, że nie znalazłby własnego tyłka, nawet gdyby macał obiema rękami i posługiwał się laserowym palnikiem.

- Hrrrrrrnnnnnn...

Okazało się, że Chewbacca także nie ma zbyt wysokiego mniemania o rozumie małego Rodianina.

Han miał w kieszeni kilka zbywających kredytów; postanowił zatem spróbować szczęścia w którejś z gier hazardowych. Liczył na to, że wygra tyle pieniędzy, żeby wpłacić Jabbie sporą zaliczkę na poczet przyszłej spłaty reszty długu. Gdyby mu się udało, mógłby skupić całą uwagę na zdobyciu brakującej sumy...

Obaj piloci weszli do Klubu Smoka Krayta i zaczęli rozglądać się po zasnutym dymem, mrocznym pomieszczeniu. Rzeczywiście, kilka istot siedzących przy jednym ze stolików w kącie sali grało w sabaka.

Podeszli trochę bliżej. Han zaczął przyglądać się graczom. Jeden z nich - szczupły mężczyzna o ujmującym wyrazie twarzy i rudych włosach - wydał mu się znajomy.

- Hej! - wykrzyknął w pewnej chwili zdumiony Solo. - Jaki ten wszechświat mały. Jak się masz, Dash!

Dash Rendar rzucił Korelianinowi obojętne spojrzenie. Było widać, że ma się na baczności.

- Witaj, Solo. Witaj, Chewbacca - powiedział. - Dawno was nie widziałem. Co to za numer wykreśliście na Ilezji?

Han głośno jęknął. Dash Rendar wskazał im wolne miejsca. Obaj skorzystali z zaproszenia i usiedli.

- Rozdajcie i dla mnie, dżentelistoty - odezwał się Korelianin, wyciągając z kieszeni garść kredytów. - A ty, Chewie? Nie przyłączysz się do nas?

Wookie pokręcił głową. Chwilę potem wstał od stolika i udał się do baru. Widocznie chciał się pokrzepić jakąś płynną trucizną. Han przeniósł spojrzenie na Rendara.

- Hej, kolego, gdzie dowiedziałeś się o tym, co wydarzyło się na Ilezji? - zapytał.

Po powitaniu, jakie zgotowali mu przemytnicy na księżycu Nar Shaddaa, ucieszył się, że jeszcze ktoś chce z nim rozmawiać.

- Och, przed tygodniem natknąłem się na Zeena Aflta i Katyę M'Buele - odrzekł Renar, rozdając karty-płytki. - Powiedzieli, że dowódcą ich grupy Rebeliantów potraktował przemytników uczciwie, ale podobno ten, który cię zwerbował, wystawił wszystkich do wiatru. To prawda? Han kiwnął głową.

- Ta-a - mruknął niechętnie. - Mnie także oszukał. Niestety, nikt nie chce w to uwierzyć. - Spojrzał spode łba. - A ja nie kłamię. Najgorsze jednak, że Jabba zastanawia się, czy nie wyznaczyć nagrody za moją głowę. Nie mogę spłacić długu.

Renar wzruszył ramionami.

- To prawdziwy pech, kolego - odparł obojętnym tonem. - Jeżeli chodzi o mnie, mam jedną zasadę. Nigdy nie zadaję się z kimś takim, jak ci Rebelianci.

- No cóż, do niedawna i ja tak robiłem - przyznał Solo. -Tylko ten jeden raz... Wydawało się, że łatwo można zarobić fortunę...

- Ta-a, Katya i Zeen nie posiadali się z radości - oznajmił Dash. - Szastali kredytami na prawo i lewo, jakby rzucali banthom kawałki karmy.

Grali zaledwie kilka minut. Han zdążył już przegrać prawie wszystkie pieniądze, gdy nagle poczuł, że ktoś ciągnie go za rękaw. Zobaczył obok siebie małą Chadra-Fankę.

- Hmrrnn?

Istota coś zaszczębiotała, ale Han zmarszczył brwi. Nie bardzo rozumiał, co powiedziała.

- Kabe twierdzi, że ktoś czeka na zewnątrz - przetłumaczył Rendar. - Prosi, żebyś się z nim spotkał.

Jabba! - domyślił się Solo. - Z pewnością otrzymał moją wiadomość i chce porozmawiać. Nareszcie mam okazję z nim pogadać, wszystko wytłumaczyć...

Rzucił karty-płytki na blat stołu i wstał, a potem gestem przynaglił Wookiego, żeby dopił trunek.

- W porządku, kolego - zwrócił się do Dasha. - Nie wezmę udziału w tym rozdaniu, ale może zdążę na następne.

Ściskając jedną dłonią rękęjeść Mastera, podążył za małą Chadra-Fanką. Obaj przemytnicy opuścili bar tylnymi drzwiami i po chwili znaleźli się na pogrążonej w ciemnościach bocznej ulicy. Rozglądali się wokół, lecz nikogo nie dostrzegli.

Nagle Chewie gwałtownie się odwrócił.

- Rrrrrhhhhh!

To pułapka! - uświadomił sobie niemal w tej samej chwili Han.

Sięgnął po broń, ale nim zdążył wyciągnąć blaster z kabury, usłyszał dobrze znany głos:

- Nie ruszaj się, Solo. Rzuć blaster! I powiedz Wookowi, że jeśli choć drgnie, obaj jesteście trupami. Bardzo chciałbym mieć jeszcze jeden skalp Wooka w swojej kolekcji.

- Chewie! - odezwał się Han do gniewnie warczącego przyjaciela. - Nie ruszaj się! Powoli wyciągnął blaster i rozluźniwszy palce, pozwolił, żeby upadł na pokrytą pyłem ulicę.

- A teraz obaj się odwróćcie. Powoli.

Korelianin i Wookie usłuchali.

W głębokich ciemnościach, w jakiejś bramie, czekał Boba Fett. Han uświadomił sobie, że już jest martwy. Chcąc mieć pewność, że jego zlecenie zostanie wykonane, Jabba musiał wynająć kogoś naprawdę kompetentnego. Dobrego łowcę nagród... najlepszego. Napiął mięśnie, ale Boba Fett nie strzelił. W uszach Korelianina zazgrzytał ten sam obojętny, mechanicznie syntetyzowany głos:

- Odpręż się, Solo. Tym razem nie poluję na żadną nagrodę.

Han, nadal spięty, ze zdumieniem obserwował, jak łowca nagród rzuca małej Kabe monetę kredytową. Chadra-Fanka podskoczyła i chwyciła ją w locie. Później, radośnie szczebiocząc, zniknęła w ciemnościach nocy.

- Nie polujesz na nagrodę? - Han nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

- Hhhhhmmmmmm? - zawtórował Chewie, nie mniej zdumiony.

- Jabba kazał zawołać Greeda i oświadczył, że wyznacza nagrodę na twoją głowę - odezwał się Fett. - Ale Greedo jest idiotą, a Jabba chce tylko, żeby deptał ci po piętach. Przypominał, że traktuje bardzo poważnie termin spłaty twojego długu. Jak myślisz, gdyby Jabba naprawdę pragnął twojej śmierci, do kogo by się zwrócił?

- Ta-a - odparł z ulgą Solo. - Chyba masz rację. - Zawahał się. - A zatem... dlaczego chciałeś się ze mną widzieć?

- Wylądowałem tu przed godziną - zaczął łowca nagród. - Złożyłem komuś pewną obietnicę, a ja zawsze dotrzymuję słowa.

Han zmarszczył brwi. Nadal nic nie rozumiał.

- O czym ty właściwie mówisz, Fett? - zapytał w końcu.

- Ona nie żyje - oznajmił łowca. - Obiecałem jej, że kiedy umrze, powiadomię o tym jej ojca, żeby nie dręczył się do końca życia, co się stało z córką. Ale nie powiedziała mi, jak jej ojciec ma na imię. Postanowiłem zatem, że powiem tobie, żebyś mógł przekazać wiadomość staremu Tharenowi.

- Bria? - wyszeptał Han przez zaciśnięte zęby. - Bria... Nie żyje?

- Tak.

Miał wrażenie, że ktoś wymierzył mu silny cios w brzuch. Chewie zawył współczująco i położył kosmatą dłoń na ramieniu przyjaciela. Solo stał nieruchomo dłuższą chwilę. Walczył z targającymi nim sprzecznymi emocjami. W końcu zwyciężył smutek. Smutek, do którego przyłączyły się ból i skrucha.

- Nie żyje... - powtórzył, wciąż odrętwiały. - Jak się o tym dowiedziałeś?

- Mam dostęp do imperialnych baz danych i źródeł informacji. Bria Tharen zginęła przed trzydziestoma sześcioma godzinami. Jej oddział stanowił tylną straż podczas jakiejś szpiegowskiej operacji. Imperialni urzędnicy właśnie zidentyfikowali jej zwłoki.

Han przełknął ślinę. Tylko nie mów mi, że zginęła na próżno -pomyślał, spoglądając na Fetta.

- Czy ich akcja się powiodła?

- Nie mam pojęcia - rozległ się obojętny, sztuczny głos. -Ktoś musi powiedzieć jej ojcu, Solo. Obiecałem jej to, a ja zawsze dotrzymuję słowa.

Han uczynił wysiłek i kiwnął głową. Wciąż jeszcze nie mógł przyjść do siebie.

To będzie dla niego cios - pomyślał ponuro. Przełknął ślinę i poczuł w piersi ból. Chewie cicho zaskowyczał.

- To dobrze - odezwał się łowca nagród.

Odwrócił się i zniknął w ciemnościach nocy. Chewie i Han znów zostali sami. Korelianin powoli pochylił się i podniósł blaster. Wspomnienie Brii rozsadzało jego mózg.

Czy pamiętałaś wtedy o mnie, kochanie? - pomyślał. - Mam nadzieję, że umarłaś szybko i bez bólu...

Powoli, na wpół machinalnie, odwrócił się i ruszył ku jaśniejszemu wylotowi bocznej uliczki. Chewbacca szedł u jego boku. Chwilę później obaj skręcili w główną ulicę. Han musiał szybko skorzystać z komunikatora. Miał do przekazania bardzo ważną wiadomość...

EPILOG

Następnego dnia Han wyszedł na przaloną blaskiem dwóch słońc ulicę kosmoportu Mos Eisley. Żałował, że zamiast wybrudzonej i przepeconej białej koszuli oraz starej, czarnej i podniszczonej lotniczej kamizelki nie założył zwyczajnej koszulki z krótkimi rękawami. Przebywał na dworze zaledwie od dziesięciu minut, a już zdążyły podejść do niego trzy nieznanne istoty. Wszystkie ostrzegały go, że Greedo zamierza dobrać mu się do skóry.

Za każdym razem Han kiwał głową i dziękował nieznanemu informatorowi. Każdemu też rzucał decykrety. Najlepiej nie robić sobie wrogów... nawet z nieznanymi.

Ponieważ z nieba lał się bezlitosny żar, Han musiał nieustannie mrużyć oczy. Mimo to zdołał zauważyć coś niezwykłego. Wszędzie kręci się mnóstwo imperialnych szturmowców - pomyślał, trochę zaskoczony. Chwilę później minął go następny oddział żołnierzy. - Ciekawe, co tu robią?

Na widok przygotowanych do strzału blasterowych karabinów poczuł się nieswojo. Zastanawiał się, czy ich obecność na Tatooine nie ma czegoś wspólnego z Boba Fettem. Po rozstaniu z łowcą nagród poprzedniej nocy poszedł do jakiegoś baru, którego właściciel w zamian za kilkanaście kredytów pozwolił mu skorzystać z komunikatora.

Rejestrując wiadomość dla Renna Tharena, Korelianin bardzo starannie dobierał słowa. Z początku nie miał pojęcia, co powiedzieć. W końcu zaczyna:

- Witam pana, mówi Han Solo. Mam nadzieję, że pan mnie pamięta. Mam dla pana bardzo złą wiadomość. Bria nie żyje. Zginęła jak bohaterka. Może pan być z niej dumny. Nie chciała, żeby do końca życia zastanawiał się pan, co się z nią stało, więc poprosiła kogoś, aby przekazał panu wiadomość o jej losie. Bardzo mi przykro. Wiem, że pana kochała... To wszystko. Mówił Han Solo.

Głęboko odetchnął i dodał w myślach kilka słów pożegnania od siebie. Spoczywaj w pokoju, Brio - pomyślał. - Do widzenia, kochanie...

Ale Bria odeszła. Nie ma sensu rozpamiętywać tego, co minęło. Powinienem skupić się na chwili obecnej - pomyślał. - I na tym, co może czekać mnie w najbliższej przyszłości...

Tego dnia musi się zobaczyć z Jabłą. Nie miał żadnych wątpliwości. A następnego... musi znaleźć pracę. Jakąkolwiek pracę.

Chewie zapewne siedzi w kantine Chalmuna. Chalmun był jakimś jego dalekim kuzynem... podobnie zresztą jak połowa Wookiech na Kashyyyku.

Postanowił, że wpadnie do Chalmuna. Choć dochodziło dopiero południe, powinno być tam pełno gości. Kiedy zbliżał się do wejścia, usłyszał dobiegające ze środka piskliwe dźwięki muzyki, wygrywanej na jakimś egzotycznym instrumencie.

Wnętrze kantyny okazało się chłodne i pogrążone w półmroku. Han głęboko odetchnął. Nabral w płuca mieszaninę woni egzotycznych, mniej albo bardziej szkodli-

wych trunków. Przechodząc obok szynkwasy, kiwnął głową Wuherowi - zgorzkniałemu i wiecznie niezadowolonemu barmanowi. Wuher kiwnął głową w prawo i Han od-ruchowo spojrzął w tamtą stronę. Szedł ku niemu szeroko uśmiechnięty Chewbacca.

Wookie był podniecony i zadowolony z siebie. Starając się mówić cicho, wydał całą serię warknięć, skowytów i pomruków.

Han pochylił głowę i zerknął ponad ramieniem Chewiego na dwóch ludzi, stojących przy szynkwacie.

- Wynająć? - powtórzył cicho. - No cóż... hej, to lepsze niż siedzieć beczynnienie. Doskonale się spisałeś, futrzaku! Czy to tamci? Starzec ubrany jak Jawa i dzieciak w stroju wieśniaka z hydroponicznej farmy?

Chewie kiwnął kosmatą głową. Zauważył, że chociaż starzec sprawia wrażenie pocziwiny, kilka chwil wcześniej załatwił doktora Evazana i Pondę Babę. I posłużył się w tym celu niezwykłą bronią.

Han zmarszczył brwi. Ostatnia informacja zrobiła na nim duże wrażenie.

- Powiadasz, że miał świetny miecz? - zapytał. - Hmm... Nie wiedziałem, że ktoś jeszcze ich używa. No dobrze, pogadam z tym staruszkim i dzieciakiem i uzgodnię wszystkie szczegóły. Zaproś ich do tamtej pustej niszy, a ja dołączę do was chwilę później.

Skreślił, żeby zamienić słowo z Chalmunem. Tymczasem Chewbacca kierował przyszyłych klientów do stojącego w ciemnym kącie sali wolnego stołu. Bardzo dobrze - pomyślał Solo. -Nigdzie ani śladu Greeda...

Potem odwrócił się i ruszył przez zatłoczoną salę kantyny ku stolikowi, przy którym siedział już Chewie w towarzystwie starszawego mężczyzny i najwyżej siedemna-stoletniego chłopaka...

POCZĄTEK

PODZIĘKOWANIA

Upłynęły mniej więcej dwa lata, odkąd Wydawnictwo Bantam poprosiło mnie, żebym opisała, co robił Han Solo dziesięć lat przed Nową nadzieją. Czułam się zaszczycona, ale także trochę przerażona ogromem czekającej mnie pracy.

A teraz... mam ją już za sobą. Spędziłam dwa lata we wszechświecie Gwiezdných Wojen. Wiele razy raz oglądałam filmy i czytałam inne powieści z tego cyklu. Podczas zjazdów albo konferencji spotykałam się z miłośnikami Gwiezdných Wojen. Korzystając z Internetu, dyskutowałam z bywalcami tematycznych kawiarenek, podczas wieczorów autorskich zasięgałam rady czytelników moich powieści. Gwiezdne Wojny wypełniły - w dosłownym sensie - całe moje życie.

Czuję się trochę dziwnie, kiedy pomyślę, że muszę się z nimi rozstać - przynajmniej na razie. Z drugiej strony, cieszę się na myśl o tym, że wrócę do pisania trylogii Avonu, o której musiałam na pewien czas zapomnieć (dzięki Wam, Johnie i obie Jennifer), żeby opisać dzieje Hana Solo. Ogarnia mnie smutek, kiedy uświadomię sobie, że muszę porzucić wszechświat, w którym spędziłam tyle radosnych chwil. Poznałam jednak nowych przyjaciół, którzy - jestem tego pewna - będą nadal informowali mnie o tym, co nowego się tam wydarzyło.

Lista ludzi, którzy pomogli mi w pisaniu tej trylogii, nie przestaje się wydłużać. Muszę przyznać, że Świt Rebelii sprawił mi sporo kłopotów. Miałam wrażenie, że na moich barkach spoczywa odpowiedzialność za „przygotowanie” Hana Solo do roli, jaką miał odegrać w filmach z cyklu Gwiezdne Wojny - a nie było to zadanie łatwe. Nie zdołałabym napisać tej powieści, gdyby nie pomoc wielu ludzi. Staralam się, jak umiałam, zachować spójność z innymi, wcześniejszymi napisanymi, ale jeżeli wyjdą na jaw jakieś błędy, wyłącznie ja ponoszę za nie odpowiedzialność. Chciałabym serdecznie podziękować następującym osobom:

Przede wszystkim dobremu przyjacielowi i znawcy militariów, Steve'owi Osmańskiemu. Steve i jego żona Mary cały czas podtrzymywali mnie na duchu. Nie poradziłabym sobie bez ich pomocy.

Michaelowi Capobianco - przyjacielowi, powiernikowi, partnerowi. Michael nie pozwalał, bym zoczyła z kursu, i wyłapał w fabule nieskończoną liczbę dziur, zanim stały się prawdziwymi problemami. Podejrzewam, że w tej chwili jesteśmy największymi autorytetami w dziedzinie cywilizacji Hurtów. Doprawdy, możemy być z tego dumni!

Richowi Handleyowi, Craigowi Robertowi Careyowi (ojcu chrzestnemu Wokiech!), Mike'owi Beidlerowi i Pablowi Hidalgo za bezcenne informacje dotyczące wszechświata Gwiezdných Wojen. Dzięki, chłopaki.

Peterowi, Paulowi, Ericowi oraz Timowi z West End Games.

Robowi Brownowi i Curtisowi Saxtonowi za informacje dotyczące „Sokoła Millennium” - najszybszej kupy złomu w galaktyce.

R. Lee Brownowi z Echo Station i Peetowi Janesowi z Dark Horse Comics.

Mojej pani redaktor, Pat LoBruno - osobie jedynej w swoim rodzaju - której jestem winna domową lazanię ze wszystkimi dodatkami. Także Tomowi Dupree - przede wszystkim za to, że w ogóle o mnie pomyślał. I Evelyn Cainto, dzięki której funkcjonuje wydział redakcyjny Gwiezdných Wojen - za to, że zawsze znajdowała czas, aby mnie wysłuchać.

Sue Rostoni z wydziału licencji firmy Lucasfilm. To właśnie ona pomagała mi zachować zgodność tej powieści z całą resztą wszechświata Gwiezdných Wojen.

Moim kolegom i koleżankom, autorom i autorkom powieści z cyklu Gwiezdne Wojny, za materiał, który „pożyczyłam”, pisząc Świt Rebelii: L. Neilowi Smithowi, Brianowi Daleyowi, Kevinowi J. Andersonowi, Kristine Kathryn Rusch, Steve'owi Perry'emu, Mike'owi Stackpole'owi, Timothy'emu Zahnowi, Rebecce Mo-esta i Michaelowi P Kube-McDowellowi.

Gwiezdnym Damom oraz wszystkim innym moim internetowym przyjaciółkom i przyjaciółkom, którzy wyrażali opinie i okazywali niesłabnące zainteresowanie dalszymi przygodami Hana Solo. Dobrze wiecie, ile dla mnie znaczą.

Cathy Cathers, Chrisowi Petesta, Roseann Caputo, Glennowi Thibertowi, Lindzie Jean Weldon, Timowi i Aaronowi.

Drewowi Struzanowi za to, że zaprojektował i namalował fantastyczne okładki. Każda była cudowna!

I, oczywiście, George'owi Lucasowi, który dał wszystkiemu początek. Dziękuję, panie Lucas. To dla mnie wielki zaszczyt.

Niech Moc będzie z Wami wszystkimi...

O A U T O R C E

Ann C. Crispin napisała ponad szesnaście książek, które stały się bestsellerami. Zaliczają się do nich pozycje z cyklu Star Trek i seria powieści fantastyczno-naukowych Gwiezdny Most.

Pierwszy raz pojawiła się we wszechświecie Gwiezdných Wojen, kiedy jej przyjaciel, Kevin Anderson, poprosił ją, żeby napisała dwa opowiadania do zbiorów: Opowieści z kantyny Mos Eisley i Opowieści z pałacu Hutta Jabby.

Ann zajmuje się pisaniem książek zawodowo od 1983 roku. Ostatnio pełniła obowiązki kierowniczkę Stowarzyszenia Pisarzy Literatury Fantastyczno-Naukowej i Fantastycznej Wschodniego Rejonu - Stanów Zjednoczonych. Nierzadko pojawia się na zjazdach pisarzy fantastyki naukowej, podczas których prowadzi zajęcia z teorii pisania książek.

Mieszka w stanie Maryland razem z synem Jasonem, pięcioma kotami, owczarkiem niemieckim, dwoma końmi rasy appaloosa i Michaelem Capobianco - autorem książek o tematyce fantastyczno-naukowej. W wolnych chwilach (a co to takiego?) jeździ konno i żegluje, a także wyjeżdża na obozy i czyta książki, których nie napisała.

W najbliższej przyszłości zamierza napisać siódmą powieść z cyklu Gwiezdny Most, Głosy chaosu (do spółki z Ru Emersonem), a także skończyć Wygnańców z Boq'uraina - wydawaną przez Avon Books trylogię o tematyce fantastycznej.